PPS

ZYGMUNT ŻUŁAWSKI

WSPOMNIENIA

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA

Drogiemu Mirkowi -

- zawsze wdzięczna

za wyrozumiałość (i nie tylko)

Wanda Sudnik

Julian Bardach

Publikując integralny tekst pamiętnika Zygmunta Żuławskiego, wybitnego działacza polskiego ruchu robotniczego i partii polskich robotników - PPS, kierujemy się dążeniem do wypełniania istotnych luk w polskiej świadomości historycznej. Autor spisał swoje wspomnienia w ostatnich latach życia. Była to pełnia stalinizmu; o publikacji nie było mowy. Przez następnych trzydzieści lat żadne z oficjalnych wydawnictw, nawet wydawnictwa fachowe o niskich nakładach, nie opublikowało tych wspomnień, choć tekst był dostępny w państwowych archiwach i krążył w licznych odpisach.** Podobny los spotkał pamiętnik innego wybitnego socjalisty, Kazimierza Pużaka, opublikowany przed trzema laty w "Zeszytach historycznych" "Kultury" paryskiej. Sądzimy - a nawet wiemy - że jest takich pamiętników, wciąż ukrytych i czekających lepszych czasów, więcej. Sądzimy też, że nadszedł czas, by ujrzały światło dzienne. Do wszystkich naszych czytelników apelujemy o pomoc.

Zamiast wstępu zdecydowaliśmy się na przedrukowanie z "Krytyki" nr 6 artykułu Ludwika Cohna o Zygmuncie Żuławskim.

** W maszynopisie posiadanym przez nas brak jest jednej strony. Mimo wielu starań nie udało się jej zdobyć, za co Czytelników przepraszamy. Miejsce to zaznaczyliśmy w tekście.

ZYGMUNT ŻUŁAWSKI

Niedawno minęło trzydzieści lat od śmierci Zygmunta Żuławskiego, a za kilka miesięcy przypadnie setna rocznica jego urodzin.

Przyszedł na świat i wyrósł w Małopolsce, należał od 1904 roku do Polskiej Partii Socjaldemokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego, będącej odpowiednikiem działającej nielegalnie w pozostałych zaborach Polskiej Partii Socjalistycznej. Do wybuchu pierwszej wojny światowej Żuławski zajmował stanowisko sekretarza Krajowej Komisji Związków Zawodowych z siedzibą w Krakowie, a w niepodległej już Polsce był nieprzerwanie sekretarzem generalnym Centralnej Komisji Związków Zawodowych w Warszawie, członkiem, a następnie przewodniczącym Rady Naczelnej i członkiem Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS do 1939 roku. Był posłem do Sejmu Polskiego od 1922 do 1935 roku, a jakiś czas jego wicemarszałkiem.

Żuławski reprezentował polskie Związki Zawodowe w Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych w Amsterdamie oraz w Radzie Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie.

Na osobowość Żuławskiego jako działacza wpłynęły warunki względnej wolności, z jakiej korzystali Polacy w ostatnim okresie monarchii habsburskiej w przeciwieństwie do zaboru rosyjskiego, gdzie o jawnym istnieniu organizacji robotniczych nie mogło być mowy, a za działalność rewolucyjną i niepodległościową groził stryczek, a co najmniej katorga lub zesłanie na Sybir.

Galicja korzystała z autonomii w ramach Austro-Węgier i choć działały tam także cesarskie sądy i policja, spory zakres niezależności miały autonomiczne władze polskie /Sejm i Wydział Krajowy/, rozwijały się legalnie organizacje robotnicze, związkowe, spółdzielcze, oświatowe /Uniwersytet Ludowy im. A. Mickiewicza/, sportowe itp., a przede wszystkim Polska Partia Socjaldemokratyczna, która w 1911 roku miała już 10 posłów w parlamencie wiedeńskim, wybranych w tej mało uprzemysłowionej części państwa.

W tych warunkach kształtowali się działacze zaprawieni w masowych akcjach ekonomicznych i politycznych, a także wybitni mówcy i parlamentarzyści. Wystarczy wymienić nazwiska Ignacego Daszyńskiego, Hermana Liebermanna, Zygmunta Marka, Hermana Diamanda.

Był to więc zupełnie inny typ działacza, nie ukryty pod pseudonimem agitator czy bojowiec, który, jeśli nie trafiał wprost do więzienia, zaznawał goryczy długoletniej często emigracyjnej tułaczki po świecie.

Nic dziwnego, że [illegible]zonego w 1919 r. polskiego parlamentaryzmu najwięcej doświadczenia wnieśli posłowie z Małopolski.

Różnic tych nie należy jednak przeceniać. Bardzo szybko nastąpiło zintegrowanie wszystkich dzielnic. Wspólna walka przy budowaniu zrębów tworzącego się państwa, o jego demokratyczne podstawy, konieczność obrony jego niepodległości przed zagrożeniem zewnętrznym w latach 1919 i 1920, a przede wszystkim atmosfera wzajemnej tolerancji, jaka cechowała PPS po jej zjednoczeniu, wpłynęła na szybkie zatarcie różnic w ludzkich postawach.

Żuławski do końca życia zresztą czuł się związany szczególnie z Krakowem, gdzie mieszkał do śmierci. Ale stanowisko Żuławskiego różniło go od wielu ówczesnych działaczy PPSD, którzy popierali stworzone przez Piłsudskiego organizacje paramilitarne na terenie Galicji, a następnie Legiony Polskie, w których czynnie walczyli liczni socjaliści. Żuławski był antymilitarystą i obawiał się wpływu dowódców wojskowych na normalne życie kraju.

Znalazło to później wyraz w jego stosunku do tworzonej w czasie okupacji hitlerowskiej polskiej armii podziemnej /ZWZ i AK/, a następnie wobec powstania warszawskiego w 1944 roku.

Zyskał sobie jednak autorytet i powszechne uznanie jako wybitnie uzdolniony przywódca polskiego ruchu zawodowego, co nie było rzeczą łatwą, jeśli sobie uprzytomnimy, że wśród związków reprezentowanych w Centralnej Komisji Związków Zawodowych były i organizacje robotników mniejszości narodowych, a także te, w których znaczne wpływy mieli komuniści.

Działalność polityczna Żuławskiego, a w szczególności jego przemówienia sejmowe nie ograniczały się do obrony zdobytych w pierwszych latach Niepodległości przy jego wybitnym współudziale korzystnych dla pracowników ustaw z zakresu ochrony pracy i ubezpieczeń społecznych.

Dominantą jego wystąpień w okresie rządów sanacyjnych /po przewrocie majowym/ była obrona demokratycznych podstaw odbudowanego państwa. Z własnych doświadczeń oraz ze współpracy z międzynarodowym ruchem robotniczym wyniósł zamiłowanie do pełnej demokracji politycznej. Nienawidził wszelkiej przemocy, choćby legitymowała się ona wolą większości społeczeństwa. Przestrzegając przed niebezpiecznymi skutkami autorytarnych rządów Piłsudskiego i jego następców, zwalczał wszelkie formy totalizmu jakie powstały m.in. u naszych obu głównych sąsiadów.

I choć nieraz krytykowano go, że był twardym i nieustępliwym w sprawach związanych z działalnością organizacji zawodowych, gromił w Sejmie i poza Sejmem zwolenników modnych wówczas teorii o rządach silnej ręki, które niweczą podstawowe prawa człowieka, jakim jest prawo do wolności i głoszenia swych przekonań.

Mówcą był znakomitym. Miał głos dźwięczny i donośny , dobre warunki zewnętrzne. Obdarzony dużą inteligencją, poczuciem humoru, a jednocześnie darem polemicznym z powodzeniem chłostał politycznych przeciwników. Głos jego brzmiał tym donośniej, że zamilkł złożony ciężką niemocą Ignacy Daszyński, nazwany później Marszałkiem Demokracji Polskiej, zmarł porażony atakami Sławka Zygmunt Marek, a Herman Lieberman po procesie brzeskim udał się na emigrację.

A gdy przeforsowana przez obóz sanacyjny ordynacja wyborcza z 1935 praktycznie zamknęła dostęp do ciał ustawodawczych przedstawicielom opozycji, która wobec tego rzuciła hasło bojkotu wyborów, Żuławski w krótkich artykułach ogłaszanych w prasie socjalistycznej dawał wyraz swoim poglądom.

Większość z nich, zebrana w wydanym przed samą wojną tomie pt. "Refleksje", zawiera mnóstwo myśli zadziwiająco do dziś aktualnych.

W czasie okupacji hitlerowskiej nie należał do WRN, której kierownictwo spoczywało w rękach Arciszewskiego, Pużaka i Zaremby, ani też do żadnego innego ugrupowania wywodzącego się z dawnej PPS. Działalność jej została po kampanii wrześniowej przez prezydenta CKW zawieszona na czas trwania wojny. Starał się jednak odgrywać rolę mediatora między socjalistycznymi konspiracyjnymi formacjami.

Ten wybitny działacz, wychowany w tradycjach jawnego i masowego ruchu socjalistycznego dawnej Galicji i zaprawiony w ostrych niekiedy walkach politycznych niepodległej Polski, trzeba to stwierdzić, nie miał inklinacji do działalności w ramach ścisłej konspiracji. Jego możliwości były też ograniczone wskutek doznanego przed wojną wylewu, który spowodował trudności w wysławianiu się.

Zawieszenie działalności PPS na czas wojny na mocy decyzji zdekompletowanego wskutek wydarzeń CKW PPS było przedmiotem ostrej krytyki ze strony Żuławskiego. W spisanych pod koniec wojny i ukończonych dopiero w pierwszych latach rządów komunistycznych w Polsce, a więc wtedy, gdy drogi jego i Pużaka były od siebie oddalone, daje on niejednokrotnie wyraz niechęci do sekretarza generalnego partii, któ-

Jej głównym źródłem jest wspomniana decyzja CKW. Żuławski nie bierze pod uwagę faktu, że decyzja CKW miała formalne oparcie w uchwale Rady Naczelnej PPS z czerwca 1939 /Żuławski prawdopodobnie był nieobecny na tym posiedzeniu Rady/ upoważniającej CKW do tego rodzaju postanowienia w razie wybuchu wojny i okupacji kraju. Nie uwzględniał też tego, że przejście do konspiracji nie mogło mieć miejsca przy zachowaniu tych samych form organizacyjnych, identycznych metod działania, tych samych składów osobowych i niezmienionego trybu życia działaczy znanych choćby w wąskim kręgu swojej działalności.

Nie mogę pominąć, że krańcowo różne uformowanie osobowości obu sekretarzy generalnych /PPS - Pużaka i KCZZ - Żuławskiego/ przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego nie miało żadnego wpływu na podziały ujawniające się w życiu ruchu robotniczego w zakresie stojących przed nim aktualnych zadań.

Współpraca między partią a klasowymi związkami zawodowymi, które miały charakter bezpartyjny , zarówno w skali krajowej jak i lokalnej układała się harmonijnie, chociaż konflikty wynikające zarówno ze struktury, jak i zadań obu gałęzi ruchu, gdyby istniały, mogłyby być zrozumiałe.

A przecież nie można nie wspomnieć o uderzającej różnicy usposobień i stylu życia, wynikającej być może nie tylko z odmiennej drogi życiowej Żuławskiego i Pużaka, która z pewnością nie ułatwiała wzajemnego zrozumienia obu tych wybitnych działaczy.

W surowym spojrzeniu Pużaka niejako znajdowała odbicie jego przeszłość bojowa oraz siedem lat spędzonych w ciężkim więzieniu carskim - Szlisselburgu.

Zamknięty w sobie Pużak nie szukał przyjaciół, nie lubił rozgłosu, rzadko uczestniczył w wielkich zgromadzeniach, wyjątkowo tylko korzystał z pióra. Treścią jego życia była partia, troska o jej bezpieczeństwo i jedność, o losy jej członków, zwłaszcza w trudnym okresie lat trzydziestych. Czas wolny spędzał w zaciszu rodzinnym.

Nigdy nie wyjeżdżał na Zachód, do którego żywił instynktowną nieufność, którą ogłębiało niezrozumienie i obojętność tych krajów wobec groźby faszyzmu z jednej strony i dyktatury komunistycznej z drugiej.

Pod tym ostatnim względem obaj przywódcy mało różnili się między sobą, choć Żuławski miał zawsze serce otwarte dla demokracji zachodnich. W przeciwieństwie do Pużaka lubił odległe podróże, był pełen radości życia, dobrze czuł się wśród ludzi, z którymi chętnie dyskutował. Potrafił utrzymać dobre stosunki z ludźmi, których poglądy namiętnie zwalczał. Przed pierwszą wojną m.in. z K.Radkiem i F.Dzierżyńskim.

Wybuch wojny w 1939 r. zastał go w sanatorium w Karolinie pod Warszawą, gdzie pozostał dopóki pobyt tam nie okazał się niebezpieczny. Potem przebywał w Krakowie lub jego okolicach, gdy czuł, że jego osobą interesuje się gestapo.

Żuławski był przeciwnikiem tworzenia armii polskiej w podziemiu. Uważał, że bezpośrednia walka z potężnie uzbrojonym wrogiem spowoduje niezliczone ofiary. Obawiał się dominującej roli dowództwa Związku Walki Zbrojnej/ZWZ/ czy Armii Krajowej /AK/ w tej walce dla przyszłej demokracji w kraju.

Był zwolennikiem akcji sabotażowej, którą mogą prowadzić i organizacje cywilne, ale która będzie celowa i skuteczna dopiero, gdy nieprzyjaciel będzie osłabiony na polach bitew na Zachodzie i Wschodzie.

Powstanie Warszawskie uważał za wielki błąd i nieszczęście narodowe.

Po wyjściu Niemców Żuławski próbował uzyskać wpływy w powstałej na terenie Krakowa nowej "koncesjonowanej" PPS /jak ją nazywali wucenowcy/, a jednocześnie rozpoczął walkę o znalezienie w nowym układzie sił miejsca dla szerzenia poglądów socjaldemokratycznych.

Podejmował kilkakrotnie próby porozumienia się z kierownictwem utworzonej w Lublinie tzw. "odrodzonej" PPS /Szwalbe i Osóbka/ w sprawie połączenia się zwolenników jego linii /wśród których także była część "wucenowców" z okresu wojny/ z działającą legalnie organizacją. A kiedy pierwsza próba została przez to kierownictwo odrzucona, ogłosił utworzenie nowej partii pod nazwą "Polska Partia Socjaldemokratyczna", której działalność została zakazana przez władze.

Kiedy zawiodła i druga próba ugody z kierownictwem współrządzącej w tym czasie, a podporządkowanej komunistom , "odbudowanej" PPS i mimo wezwania Żuławskiego do wstępowania do tej partii jej Rada Naczelna odmówiła zgody na ustalone warunki porozumienia, Żuławski wraz z paru towarzyszami zrzekł się przyznanego mu mandatu członka Rady, nie zrezygnował jednak z jeszcze jednej próby wpłynięcia na dalszy rozwój wydarzeń w kraju, w ramach demokratycznych sposobów walki.

Zbliżały się wybory do Sejmu, zapowiedziane uchwałami konferencji przedstawicieli trzech mocarstw odbytej w czerwcu 1945 r. w Moskwie. W konferencji tej uczestniczył Żuławski, jako jeden z Polaków z kraju obok przedstawicieli tymczasowego rządu - Bieruta i Osóbki-Morawskiego, oraz Mikołajczyka i jego kilku adherentów polskich z Londynu.

Wprawdzie skład i przebieg tej konferencji, w którym brakowało przedstawicieli uznawanego wówczas jeszcze przez zachodnich sprzymierzeńców polskiego rządu emigracyjnego /którego premierem był stary działacz PPS Tomasz Arciszewski/, a także reprezentantów działającego w czasie okupacji hitlerowskiej kierownictwa podziemnego państwa polskiego /sądzonego w tym czasie w Moskwie w słynnym procesie "szesnastu"/ nie rokował nadziei, że wybory te będą przeprowadzone w sposób rzetelny, Żuławski nie tracił wiary, że uda mu się choć zdobyć trybunę dla głoszenia prawdy o istotnych potrzebach i myślach szerokich rzesz ludności kraju.

Podjął kiełkującą już wówczas myśl o wspólnych listach wyborczych z Polskim Stronnictwem Ludowym spod znaku Stanisława Mikołajczyka.

Dla uzyskania poparcia wszystkich członków i sympatyków dawnej PPS w całym kraju, którzy pozostali poza obrębem współrządzącej PPS, wyłoniła się konieczność porozumienia z Kazimierzem Pużakiem, który już w listopadzie 1945 r. powrócił z Moskwy, gdzie był skazany w procesie "szesnastu" , a jako jeden z przywódców organizacji PPS-WRN cieszył się wyjątkowym autorytetem w szeregach uczestników okupacyjnego podziemia.

Do spotkania tego doszło na kilka miesięcy przed wyborami wyznaczonymi na styczeń 1947 roku.

W toku tego jednego spotkania nastąpiło porozumienie między tymi dwoma przywódcami o tak różnych osobowościach, o tak odrębnych pozycjach zajmowanych przez cały okres wojny.

Ale było to zgodne z duchem kompromisu, który panował zawsze w szeregach PPS, a gdy był on niemożliwy do osiągnięcia, mniejszość poddawała się woli większości.

Do wyborów na liście PSL stanął sam Żuławski w Krakowie, jako czołowy kandydat. Wysunięta na drugim miejscu listy PSL w Warszawie kandydatura Antoniego Zdanowskiego została unieważniona przez Państwową Komisję Wyborczą pod pretekstem , że Zdanowski jako członek WRN rzekomo przeciwdziałał walce zbrojnej z okupantem /co przewidywał art.3 ust.4 Ordynacji Wyborczej do Sejmu Ustawodawczego z 22.IX.1946/.

Wspaniałym akordem wieńczącym wieloletnią działalność polityczną Żuławskiego były jego dwa wystąpienia w Sejmie wybranym w 1947 r. Gromił w nich bezlitośnie wyłonioną z oszukańczych wyborów większość rządową, która pod pozorem demokratycznych frazesów wprowadza faktycznie niekontrolowaną przez ogół obywateli dyktaturę.

Na IV posiedzeniu Sejmu w dniu 8 lutego 1947 r. powiedział m.in. :

"O słuszności nie może decydować siła fizyczna, rewolwer, czy laska, lecz wyrok większości, ustalony w swobodnej wymianie argumentów".

A na XVII posiedzeniu w dniu 20 czerwca 1947 tak mówił do wrogiej mu większości sejmowej:

"Przez całe życie walczyłem szczerze o wolność człowieka i o demokrację przeciwko wszelkim dyktatorskim zakusom i przez całe życie byłem z tego powodu przedmiotem ataków: to rządzącej konserwy, to rządzącej endecji, to rządzącej sanacji, a dziś znowu rządzącego Bloku, który przywłaszczył sobie wyłączne prawo na postęp i słuszność. Przyznam jednak otwarcie, że właściwie powinienem być dumny, że niemal po półwiekowej działalności ci nowi moi przeciwnicy nie mogą mi zarzucić nic, jak tylko to, że dziś jestem stary i nieprzyzwoicie, po chamsku naśmiewają się z moich niedomóg fizycznych i braku sił, które strawiłem w walce. Albo szarpią mnie i szczypią tam, gdzie sięgną: po stopach, po łydkach i obrzucają mnie ordynarnymi wyzwiskami: 'odszczepieniec', 'warchoł', 'zwolennik liberum veto', 'reakcjonista' , czy 'zdrajca'." /cytowane wg Nr4 "Krytyki" z 1979 r./

Był to ostatni na dziesiątki lat głos niezależnego socjalisty w polskim Sejmie, który stał się potem już tylko karykaturą reprezentacji parlamentarnej.

Na zakończenie oddajmy ponownie głos samemu Żuławskiemu.

"Wolność i niepodległość - to jedno dobro, to jedno i to samo pojęcie - i żadne uczone wywody reakcjonistów nie zdołają rozszczepić go w duszy człowieka. Kto narusza wolność i osłabia umiłowanie jej w narodzie - ten narusza niepodległość, osłabia jej wartość - i podcina umiłowanie samej niepodległości!"

Tak pisał Żuławski w końcu artykułu pt. "Niepodległość i wolność" w styczniu 1939 roku /"Refleksje", wydawn. KCZZ, str.248/.

LUDWIK COHN

Spis treści

Rozdział I

SŁOMIANA

Urodziłem się w roku 1880, w małej karpackiej wiosce w limanowskim powiecie. Dworek nasz w Słomianej, otoczony starymi lipami, stał wśród gór w małej kotlince, poprzez którą, u południowego jej krańca, tuż u stóp góry porośniętej czarnym, świerkowym i jodłowym lasem, płynęła rzeka Łososina. Zazwyczaj jasna, przeźroczysta, pełna pstrągów, szemrała po kamieniach, tworząc sobą rozkoszny teren dla naszych dziecięcych zabaw. Lecz czasem nagle, niemal z godziny na godzinę, zmieniała swe oblicze i stawała się wtedy jakimś dzikim, rozszalałym żywiołem, który teraz, tocząc swoje brudne, spienione bałwany wśród potwornego huku, niszczył wszystko - zasiewy, drzewa, ogrody, domy; by jutro stać się na nowo rozkosznym potokiem. Na wysokim brzegu Łososiny rozciągał się nasz ogród, który ona w okresie swego gniewu stale podmulała i rwała, a zaraz dalej mały park, w którym szumiały dęby, buki, klony, jawory, akacje, czeremchy, osiny i olchy. Na wiosnę i w lecie ogród pełen był zawsze upajających woni i przecudnych kwiatów, które ojciec specjalnie kochał i pielęgnował. Ale nad tym wszystkim - nad domem, nad ogrodem i nad drzewami górował olbrzym - świerk, znany w całej okolicy. Toteż, gdy tuż przed ostatnią wojną przeczytałem w 'Ilustrowanym Kurierze Codziennym,' że świerk ten został ścięty, odczułem to tak, jak gdybym utracił kogoś bardzo drogiego. Ten świerk, zasadzony przez naszego dziadka czy pradziadka, był dla nas zawsze świątynią i ochroną. Na jego potężnych omszałych konarach, wysoko nad ziemią, przybiliśmy jeszcze jako dzieci dużą platformę z kilku desek, na którą jak wiewiórki wspinaliśmy się, by w cichości wypłakać swoje żale, roić dziecinne marzenia lub projektować nowe jakieś psoty. Rzeka, góry: Kamienna na północy, Groniec na południu i Mogielnica na zachodzie, a za nią majacząca daleko mglista Łomnica i ten olbrzymi świerk - to był obraz, który pierwszy wrył się w me oczy dziecięce i pozostał w nich na zawsze.

Rodzice moi byli dziwnie niedobraną parą. Ojciec, właściciel ziemski, był uosobieniem zdrowia i siły męskiej, matka zaś była słabowita, wiecznie chorowała to na serce, to na nerwy - i nie pamiętałem jej nigdy jako wesołej, hożej kobiety, chociaż była jeszcze przecież młoda i przystojna. Ojciec kochał wieś, gospodarstwo rolne, a matka marzyła tylko o mieście, nienawidziła stajni, krów, spiżarni, ogrodu warzywnego - i chociaż niemal od dziecka wychowywała się na wsi, prawie nie rozróżniała pszenicy od żyta; ojciec wstawał raniutko i tubalnym swoim głosem budził cały dom, podczas gdy matka - cichutka kobieta, wpatrzona w nas, dzieci - wzdrygała się przed każdym hałasem i krzykiem; ojciec, praktyczny gospodarz, krzyczał na nas, gdy który się zamyślił, potknął lub coś potrącił - mówiąc, że patrzymy w gwiazdy, a włazimy w łajna - a matka na odwrót uczyła nas patrzeć tylko w gwiazdy i rozbudzała fantazję i poczucie poezji i piękna; ojciec wychowywał nas bardzo ostro, trzepał nam skórę za byle co, natomiast matka pobłażała nam wszystko, żaliła się nad naszymi zmartwieniami, głaskała nas i pieściła. W domu, przy ojcu, nie wolno nam było płakać ani skarżyć się na jakieś dolegliwości i bóle, gdyż chłopiec miał umieć 'znieść wszystko'. Gdy któryś z nas zbił sobie guza, czy spadł z drzewa lub z konia, to musiał robić jak najbardziej zadowoloną minę, by pokazać, że z tego wszystkiego nic sobie nie robi, bo inaczej - zwłaszcza, gdyby się rozbeczał - zaraz by dostał na dodatek w skórę. Nie wolno nam było się bać - i nieraz, choć nasłuchaliśmy się przy kolacji od babki o duchach, o strachach i o topielcach - musieliśmy odważnie, bez okazywania lęku, iść na drugą stronę domu, by przynieść ojcu fajkę lub tytoń. Do pasji doprowadzało go, gdy który z nas - zapytany o coś odpowiedział: 'wszystko jedno' - i krzyczał na nas, twierdząc, że tylko nieboszczykom może być coś wszystko jedno. Pływać nas uczył tak, że rzucał jak szczenięta na głęboką wodę i musieliśmy wymachiwać rękami, by się jakoś utrzymać na powierzchni, ale potem przestrzegał bardzo

skrupulatnie, byśmy pływali 'klasycznie'. Jeździć konno uczyliśmy się w ten sposób, że ojciec podsadzał nas na oklep na młodego źrebca, na którym była tylko trenzla z wędzidłem i musieliśmy się utrzymać nogami i nawet rękami - tak, by nie spaść, choć źrebiec robił nieraz największe harce i skoki. Żeśmy przy tej metodzie nie potopili się lub nie skręcili karków, to tylko cud boski, ale nauczyliśmy się przy niej doskonale jeździć konno i pływać jak ryby. W zimie musieliśmy bose przynieść sobie śniegu na miednicę i wycierać się nim po plecach, po piersiach i po nogach, a w lecie razem z ojcem raniutko maszerowaliśmy w kusych koszulinach przez ogród, by się wykąpać w zimnej, jak lód górskiej rzece. Ja nie mogłem się nigdy przezwyciężyć, by skoczyć i zanurzyć się od razu - i zawsze kucałem nad brzegiem - zazwyczaj tak długo, dopóki nie opryskał mnie wodą któryś z braci lub nie wrzucił mnie do niej ojciec. Nie wolno nam było grymasić i czegoś "nie lubić", a gdy któryś z nas nie chciał jeść jakiejś potrawy, ojciec kazał mu ją zostawić na później, aż wygłodnieje. Pamiętam jak raz - gdy usłyszałem, że ojciec kazał niejakiemu rzeźnikowi, Żydowi Lejzerowi, przynieść flaki, których nie cierpiałem - zaczaiłem się za bramą i gdy Lejzer przechodził, rzuciłem mu się na szyję i - całując go po jego rudej brodzie - prosiłem: "Lejzerku, nie przynoś flaków: bo ja ich tak strasznie nie lubię, a będę je musiał jeść, bo ojciec by się gniewał, że grymaszę". Poczciwy Lejzer, który mnie bardzo lubił, nie przynosił ich też nigdy. Innym znowu razem najstarszy brat wyniósł mnie "na barana" po drabinie na dach wysokiego brogu i posadził na kalenicy, skąd patrzyłem, jak starsi bracia skakali na siano, które - z powodu jego dużej ilości w tym roku - było układane w stóg obok brogu. Gdy zobaczył mnie ojciec, który właśnie wracał z pola, kazał mi również skoczyć. Mimo, że przyzwyczajony byłem do posłuszeństwa - gdy popatrzyłem na dół, przeszło 15 metrów, nie byłem w stanie się odważyć i zacząłem beczeć. Wtedy ojciec kazał braciom skoczyć, drabinę odstawił, a ja zapłakany zostałem sam. Robiło się już ciemno, naokoło nie było nikogo, więc w tej rozpaczy zdecydowałem, że gdy mam takiego złego ojca, to się chyba zabiję - i skoczyłem na stóg. Zobaczywszy jednak, że żyję, pomału ześlizgnąłem się na ziemię i cichaczem zaszedłem pod okno. Wszyscy siedzieli już przy kolacji, która w tej porze roku składała się u nas zawsze z kwaśnego mleka i młodych ziemniaków - i skruszony wszedłem do pokoju. "Dlaczegoś nie skoczył" - przywitał mnie ostro ojciec i nim jeszcze zdążyłem odpowiedzieć, otrzepał mnie cybuchem. W ogóle ten cybuch - długi, wiśniowy - był u nas bardzo często w użyciu. Zwłaszcza dostawaliśmy nim w skórę za nieposłuszeństwo, za krnąbrność, za mazgajstwo, za jakieś psoty, popełnione ze złośliwości i za wzajemne bójki pomiędzy rodzeństwem.

A było nas tego rodzeństwa siedem sztuk. Najstarszy był Jerzy, późniejszy literat i poeta; potem Witold, wieczny wędrownik, który - uciekłwszy z wojska austriackiego - przewędrował od Samary do Ponta Grossa w Brazylii; siostra Jadwiga, która - wyszedłszy za mąż za mało kulturalnego Rusina - wychowała mu dwoje dzieci swoją własną pracą profesorską i zarobkiem; ja - środkowy, który z natury rzeczy łączyłem swoją osobą obie "ekipy": starszą i młodszą - i którą to rolę utrzymania całej rodziny w jedną harmonijną całość spełniałem przez całe życie; Bohdan, inżynier naftowy, a później dyrektor Związku Okręgowego Ubezpieczeń Społecznych, z którym może najbardziejśmy się bili, ale z którym kochaliśmy się bardzo; Sławomir, późniejszy starosta, którego usunęła sanacja; i Janusz, ułan legionista, major, a potem dyrektor Rozgłośni Radiowej w Wilnie, "benjaminek" i ulubieniec całej naszej rodziny. Atmosfera w naszym domu była mniej więcej podobna, jak we wszystkich dworkach w Sądecczyźnie. Była to jakaś mieszanina staro-szlacheckich tradycji, wspomnień o walkach wyzwoleńczych, nawrót do "pracy organicznej" i pozytywizmu oraz nowoczesnych marzeń o wolności. Babka, z domu Lodkiewiczówna, ze starej patrycjuszowskiej rodziny mieszczan krakowskich, córka żołnierza napoleońskiego, opowiadała nam często o swym ojcu, o starych czasach, o przeczuciach i duchach, które zjawiały się we dworze, gdy ktoś z rodziny padł w walkach; o przygotowaniach powstańczych, prowadzonych przez jej męża, a naszego dziadka, który jako jeden

ze sprzysiężonych tuż przed rabacją, został zaaresztowany przez Austriaków i przesiedział w Wiśniczu aż do "Wiosny Ludów"; opowiadała nam o strasznym i krwawym roku 1846, kiedy to całą rodzinę schował w swej komórce stary gazda Giza - i opowiadała o obu powstaniach. Ojciec natomiast, który jako siedemnastoletni student przekradł się przez kordon i wstąpił do oddziału Langiewicza, mówił o powstaniu i o swych przeżyciach bardzo niechętnie. Jego oddział zaraz w pierwszym starciu z Moskalami został rozproszony, a on sam błąkał się po lasach nim wreszcie udało mu się z powrotem przedostać przez granicę. Toteż po tej "krwawej i świętej burzy, którą on - chłopię - z bronią w ręku przetrwał" - jak pisał Jerzy w dedykacji, poświęcając mu swego "Dyktatora" - ojciec rozczarowany zwrócił całą swą energię do pracy nad utrzymaniem majątku. I prawdopodobnie zostalibyśmy wszyscy zwykłymi "zjadaczami chleba" i groszorobami, gdyby nie nasza matka, z domu Gosławska, krewna poety Maurycego Gosławskiego, wychowana w najpiękniejszych tradycjach "Towarzystwa Demokratycznego", która ustawicznie sączyła w nasze młode dusze demokratyczne ideały wolności i równości. Ona uczyła nas, że trzeba kochać i szanować nie tylko wolność narodu lecz również wolność wszystkich ludzi; uczyła nas, że wszyscy są równi wobec Boga i wobec siebie samych, że wszyscy mają jednakową godność ludzką i jednakowe prawo do wolności i życia, oraz zaszczepiała w nas umiłowanie piękna. Ojciec abonował konserwatywny "Czas" i często wyjeżdżał do Limanowej za interesami lub w sąsiedztwo na partię "taroka". Matka natomiast miała zawsze nos włożony albo w naszą bieliznę i ubranka, które trzeba było ustawicznie cerować, albo w literaturę. Jak przez sen pamiętam, jak entuzjazmowała się Skrzetuskim, Podbipiętą czy Kmicicem - i jak nie mogła się doczekać momentu, kiedy przyniosą pocztę.

Nasz codzienny tryb życia był bardzo prosty i skromny, ale bardzo zdrowy. Pochłanialiśmy jakąś niewiarygodną ilość chleba, masła, mleka, ziemniaków ze skwarkami, pierogów i jarzyn, natomiast znacznie mniej jedliśmy mięsa i pościliśmy co najmniej trzy dni w tygodniu. Po każdym obiedzie i kolacji, od których nie wolno nam było odejść bez pozwolenia, musieliśmy ucałować ręce babki i obojga rodziców, natomiast drugie śniadanie robiliśmy sobie sami, piekąc na kamieniach ryby, owinięte w liście, albo smażąc ustrzelone wróble. W zimie jedliśmy drugie śniadanie razem z ojcem, który wówczas dawał nam zawsze po pół kieliszka wódki i po dużym dzwonku marynowanego pstrąga, których u nas było zawsze całe zatrzęsienie. W tej porze roku musieliśmy też grać z ojcem w szachy lub w taroka, ale rozrywki tej nie lubiliśmy bardzo, bo ojciec zaraz na nas krzyczał, gdy tylko któryś źle wyszedł czy zrobił inny jakiś błąd. Nauczyliśmy się jednak grać tak dobrze, zwłaszcza w taroka, że raz, gdy ojciec od partii z panami musiał na chwilę odejść do gospodarstwa, powierzył mi karty, a ja - ośmioletni berbeć - zapowiedziałem "pagat ultimo" i zrobiłem go mimo trudnej sytuacji. Toteż matka biadała nad nami, mówiąc ciągle: "Ach, Kaziu, ty tych chłopców wychowasz chyba na pijaków i karciarzy", a ojciec tłumaczył jej, że właśnie powinniśmy przyzwyczajać się do wszystkiego - tak, by nam w życiu nic nie było dziwne i by nic nie nęciło nas urokiem nowości. I rzeczywiście, choć nie wylewaliśmy za kołnierz i graliśmy we wszystkie gry, to jednak żaden z nas nie był nigdy ani graczem, ani pijakiem.

Do tego dworku w Słomianej, do domu o tych tradycjach i zwyczajach - my, nowe pokolenie w tej chwili wnosiliśmy tylko nieokiełzany niczym zapas energii i zapału, który na razie przejawialiśmy w jak najgłośniejszych zabawach i krzykach. Kiedy odbywały się one na rzece, na kamieńcu, w lesie, na polach, we wspinaniu się na drzewa, w harcowaniu na zroblach i w walkach pomiędzy "Indianami" - to było jeszcze pół biedy. Ale rozpoczynało się istne skaranie boskie, gdy z powodu deszczu czy zimna siedzieliśmy w domu, bo wówczas - przynajmniej na "naszej stronie" domu przewracaliśmy wszystko do góry nogami - i zabawie mogło położyć kres dopiero zjawienie się ojca, który już samym swym widokiem temperował wzburzone fale naszych temperamentów.

Codzienne życie i zajęcia urozmaicało zjawienie się "beskidzkich rówsinogów". Przychodzili cyganie z niedźwiedziem, a czasem i z małpą, a biedny

misio, trzymany na łańcuszku za nozdrza, droptał i wykonywał przy cygańskiej muzyce prześmieszne ruchy i tańce. To znowu zachodził do nas jakiś Bośniak w narodowym stroju, z fezem i w prześmiesznych pantalonach, który w płaskim koszyku, noszonym na głowie, miał cały magazyn najwspanialszych w naszych oczach i w oczach naszych dziewcząt towarów, jak: scyzoryki, noże, pularesy, fajki, piłki, chustki, wstążki, świecidełka i duże, barwne banie szklane, którymi się upiększało paliki, podtrzymujące róże czy inne jakieś krzewy. Od czasu do czasu dochodził od gościńca przeciągły głos druciarzy: "garki dru-toat" - szklarzy, którzy w dużych skrzynkach drewnianych nieśli na plecach szkło - lub "miśkarzy", którzy smętnym, ale donośnym głosem wołali: "miśkowaty", obwieszczając, że kastrują wieprzki, cielaki i źrebki - i których przybyciu towarzyszyły zawsze chichoty dziewcząt, przestrzegających chłopaków: "uciekaj, bo cię miśkosz chyci". A czasem jechali znowu drogą słowaccy maziarze, którzy potężnym głosem zapowiadali: "ma-zi-ma-zi" lub zatrzymywały się wozy, pokryte dużą płócienną płachtą, wyładowane morelami lub winogronami. Ale wszystkie te wizyty powsinogów kończyły się wraz z upływem lata - i wraz z nim kończyły się nasze głośne zabawy i krzyki, bo kończyły się też teraz wakacje. Wtedy w domu naszym zapanowywała cisza i spokój. Starsi bracia wyjeżdżali na "studia" do Limanowej, siostra zazwyczaj do dziadków do Biońkowic, u ujścia Raby do Wisły - a mnie też powoli zaprzęgano do nauki. W naszej wsi szkoły nie było: czytać i pisać uczyła mnie więc matka, najprzód z jakiegoś elementarza, a potem z bajek Jachowicza. Uczyłem się jednak zawsze tylko tyle, by nie zrobić przykrości i zmartwienia matce, którą bardzo kochałem, ale poza tym tylko patrzyłem, jakby się jakoś móc wyrwać od książki i pogonić w pole czy na ogród, nawet choćby to była jesień lub zima. Plątaliśmy się więc z Bohdanem po stodole, gdzie młócono i gdzie raz strzaskałem mu paluszek, gdy majsterkując coś przy nowej sieczkarni, włożył go między tryby, a mnie kazał zakręcić korbą; szliśmy do ludzi, jak kopali, kiedy "mgła za nimi idzie w to zbolałe kroki"; paliliśmy ogniska i piekliśmy ziemniaki, gdy "tak saro, okrutnie, tak smutno, tak straśnie, kiedy ogienek tępy - nim zatli - już zgaśnie" - lub wreszcie goniliśmy do owiec, do bydła, kiedy "krowy skubią niemrawie ściorń rzadką, kolącą" - i przymilaliśmy się pasterzom, którzy za to strugali nam noże proste, ale dla nas cudowne zabawki. Byliśmy jak prawdziwe góralskie dzieci - bose, twarde, zahartowane, "ze stopkami skwardłymi na rodzinną grudę" - tylko dzieci nie Beskidu, o których z taką czułością pisał Zegadłowicz; ale dzieci Gorców.

Po tym całodziennym uganianiu się - po kolacji, na którą zazwyczaj jedliśmy barszcz z ziemniakami, żur, zacierkę lub mieszankę - i po wieczornym pacierzu, zasypiałem też natychmiast. Budziłem się dopiero nad ranem, gdy przychodziła dziewczyna, by napalić w piecach. Gdy jednak tylko rozżarzył się ogień, natychmiast wyskakiwałem z łóżeczka i całymi godzinami wpatrywałem się w płomienie, które miały dla mnie jakiś fascynujący urok. Nieraz patrząc na mnie, jak kucałem przy piecu i wpatrywałem się w skaczące języki ognia - stara Ewa, coś w rodzaju starszej służącej, a coś - totumfackiej w domu - mówiła do mnie: "Aj, ty Zygmuś, ty się chyba nie uchowasz, bo tak zawsze patrzysz w ogień jak urzeczony". Niestety z całego rodzeństwa dziś "uchowałem" się tylko ja, podczas gdy wszyscy pomarli, choć nie patrzyli w płomienie.

Lubiłem też bardzo rozmyślać samotnie nad całym szeregiem zagadnień, nie dopuszczając do tych myśli nawet Bohdana, który wydawał mi się za mały i za głupi, by je zrozumieć. Siedząc więc przy piecu i dodając coraz to nowych polan lub chodząc po ogrodzie, złożywszy ręce w tył, potrząsając nóżką spadłe liście i szukając wśród nich kasztanów, żołędzi i dębinek, zastanawiałem się, czym jest Bóg, do którego się modlę - gdzie mieszka - dlaczego stworzył akurat mnie, który muszę kiedyś umrzeć, czego się tak strasznie bałem i co wydawało mi się tak potworne i niesprawiedliwe - jak powstają i rodzą się ludzie, bo nigdy nie wierzyłem w bociany - i rozmyślałem nad życiem i nad szczęściem, zwłaszcza, że tak często słyszałem w domu, że nasz wiek dziecięcy to najrozkoszniejszy okres życia - podczas, gdy ja czułem się przecież nieraz tak strasznie nieszczęśliwy, że zdawało mi się, iż pęknie mi moje małe serduszko. Jakże okrutne musiało być życie dorosłych, jeżeli to, nad czym ja nieraz tak

rzewnie płakałem, nazywano najszczęśliwszym okresem. Ileż to łez wylałem jako dziecko - to dlatego, że ojciec kazał wygnać z domu mojego ukochanego gołąbka, bo "paskudzi po pokojach", to z powodu śmierci małego szczygiełka, którego zjadła kocica, to dla-tego, że ojciec sprzodał moją ulubioną cieliczkę, to znowu dlatego, żem rozdarł spodenki przy nowym ubraniu, to dlatego, że Bohdan którego miałem pilnować, wpadł do głębi, rzucając kamienie do wody, i o mało się nie utopił, to znowu dlatego, że chwyciłem go, jak zjadłszy swoje cukierki, które dostaliśmy na Św. Mikołaja, oblizywał moje i z tego powodu przysięgliśmy sobie nie mówić do siebie już przez całe życie, to dlatego, że dostałem w skórę niesprawiedliwie, bo wcale się nie biłem, a płakałem nie z bólu lecz z żalu, że zrobiłem szkodę - i nie ja się biłem lecz Bohdan, bo on "zaczął".

Te i tym podobne zmartwienia były dla mnie tak istotne i robiły mnie tak samo nieszczęśliwym, jak czuje się nieszczęśliwy ktoś, kto stracił cały majątek, drogiego człowieka czy doznał innego jakiegoś zawodu w życiu. Dziecko i dorosły - obaj - odczuwają jednakowo krzywdę, stratę czy zawód - i jednakowo nazywają je nieszczęściem, tylko istnieją dla nich odmienne przyczyny nieszczęścia. To, co było nieszczęściem dla dziecka, mogło przestać nim być dla dorosłego - i na odwrót, ale intensywność odczucia krzywdy, straty czy zawodu pozostaje dla nich jednakowa - i zależy zawsze nie od wieku, tylko od stopnia wrażliwości i wytrzymałości nerwów człowieka.

Rozdział II

CZASY SZKOLNE

W roku 1888 wyłonił się w domu projekt, by matka przeniosła się do Bochni ze względów oszczędnościowych z tymi dziećmi, które miały chodzić do szkoły i za które przedtem trzeba było płacić "stancję". Ojciec wynajął więc osobny domek z ogrodem naprzeciw plebanii - i pięcioro nas z matką przeniosło się na cały rok ze Słomianej, podczas gdy najmłodsi pozostali w Bieńkowicach.

Nie widziałem nigdy w życiu szkoły i nie mogłem jej sobie wyobrazić - mimo, że opowiadali mi o niej starsi bracia. Wiedziałem, że jest to jakaś instytucja, w której zamęcza się małych chłopców - i choć z jednej strony bałem się tej szkoły jak diabła, to z drugiej byłem jej niesłychanie ciekaw. Dzień przed terminem rozpoczęcia nauki byłem tak zdenerwowany, że nie spałem całą noc i dopiero matka uprosiła dyrektora, Rydarowskiego, by wysłał po mnie swego synka, z którym mieliśmy kolegować w tej samej trzeciej klasie, o ile się okaże, że jestem dostatecznie przygotowany. Pamiętam doskonale chwilę, jak przyszedł do nas mały, rudawy chłopaczynka ze sztywnym, dużym, wykładanym kołnierzem - i wziąwszy mnie za rękę, poprowadził jak bywalec przez parę ulic i wpuścił do ogromnej sali, w której chłopcy popychali się, krzyczeli i śmiali. Byłem tak onieśmielony, że siadłem cichutko w pierwszej ławce na miejscu,które mi wskazał mały Rydarowski i nie miałem odwagi odezwać się do nikogo, szukając wzrokiem ratunku w swym nowym opiekunie i koledze, do którego też przylgnąłem całą duszą. Był on teraz moim najlepszym i najpierwszym przyjacielem, którego po tym jednym roku kolegowania straciłem jednak z oczu na okres blisko 30 lat - i którego spotkałem dopiero w tak bardzo dla nas obu odmiennych warunkach wojennych. Cały projekt bocheński okazał się jednak niepraktyczny i już po roku matka wróciła do domu, a mnie zapisano do szkoły w Limanowej. Mieszkałem u dyrektora szkoły p. Sikory, młodego wdowca, którego prawie nigdy nie było w domu - i czułem się bardzo osamotniony. Z kolegów pamiętam młodszego ode mnie małego Tysia Czyżewskiego, który zdobył sobie potem sławę malarza nowego kierunku; Tadzia Krudzielskiego, który stale imponował mi swą elegancką kurtką aksamitną i był moim najserdeczniejszym przyjacielem, nie przypuszczałem, że po latach zobaczę go jako dyrektora cementowni w Szczakowej, po drugiej stronie barykady; oraz dwóch, z którymi spotkaliśmy się jeszcze raz w gimnazjum i z którymi razem zdaliśmy maturę: Biedronia, który potem zrzucił sukienkę kapłańską i wystąpił z kościoła - i Bolka Kielskiego, późniejszego wyższego urzędnika Ministerstwa Oświaty w Warszawie i profesora Uniwersytetu w Łodzi. A poza tym kolegowałem z całym szeregiem dzieci góralskich ze Słopnic, z Lipowego, z Szarycza i z innych okolicznych wsi, z którymi stale wymieniałem chleb z masłem, otrzymywany na podwieczorek, na placki owsiane. W szkole nauczyciel - młody, silny człowiek - bił dzieci za mniejsze przewinienia linią po łapach, a za większe - na pokładankę na stołku, przy czym bardzo często spotykał ten los starsze dziewczęta, już stosunkowo silnie rozwinięte. Po upływie każdej godziny jeden z uczniów z naszej klasy, jako najwyższej w szkole, wychodził z dzwonkiem na korytarz pierwszego piętra, i na parter, i w odpowiednim tempie wydzwaniał zakończenie lekcyj. Ta funkcja dzwonienia wydawała mi się tak ważna i odpowiedzialna, że rwałem się do niej całą duszą, ale brakło mi zawsze odwagi i pewności, czy spełnię ją dobrze. W klasach siedzieli razem chłopaki i dziewczęta, tylko po dwóch stronach. Po tych dwóch latach nauki szkolnej czytałem i pisałem już bardzo dobrze, znałem wszystkie działania arytmetyczne - zarówno liczbami całymi, jak i ułamkami dziesiętnymi i zwyczajnymi, nauczyłem się trochę historii i geografii i trochę niemieckiego - i zastanawiałem się ustawicznie, czego ja się też jeszcze mogę uczyć potem w gimnazjum, kiedy wszystko już wiem. Moje pytanie, skierowano raz w tej materii do Jadwigi, która przyjeżdżała na święta z klasztoru w Staniątkach, ona zbyła

niczym - i dalej było dla mnie tajemnicą, czego się jeszcze mogę uczyć - tym bardziej, że nasz karbowy, Marcin Gołąb, który nosił duże "bakenbarty" a la Franciszek Józef I i który ustawicznie się martwił, że tyle pieniędzy "musimy" znowu posłać za tę naukę pana Jerzego i Witolda, twierdził, że gdyby on się tak długo uczył, ják oni, to z pewnością już dawno zostałby biskupem.

Pobyt w Limanowej był dla mnie na ogół bardzo smutny; nie miałem żadnego towarzystwa, siedziałem przeważnie w pokoju, bo po mieście nie wolno mi się było plątać, a ogrodu nie było. Uczyłem się więc z nudów, rozmyślałem i modliłem się nieraz żarliwie, o to, bym nie dostał się do piekła - i by uprosić Boga o zdrowie dla rodziców i dla rodzeństwa. Ale modlić mogłem się tylko wówczas gdym był sam; uciekałem więc na strych i tam wpadłem w jakieś zapamiętanie. Przeglądając jakąś książkę, przeczytałem w niej "Redutę Ordona", która spodobała mi się tak, że nauczyłem się jej na pamięć i z przejęciem deklamowałem potem matce ku jej wielkiemu zdumieniu. Gdzieś na wiosnę wybuchła w Limanowej epidemia szkarlatyny, a my zostaliśmy na dziesięć dni zwolnieni ze szkoły. Wróciłem więc do domu, gdzie ku mej ogromnej radości zastałem moją ciotkę Stasię, która była moją chrzestną matką i którą bardzo kochałem. Pod wpływem pieszczot obu kobiet roztajały moje wszystkie uczucia i było mi tak dobrze,że drżałem na myśl, że ten okres może się kiedyś skończyć. Kiedy też miałem już wyjeżdżać, rozpłakałem się tak rzewnie, że ciotka obiecała odprowadzić mnie do pół drogi. Ale i wtedy rzuciłem się jej na szyję, a ona też nie miała siły, by mnie pożegnać. Dostałem jakiegoś spazmatycznego płaczu i wróciłem się do domu, po czym dostałem żółtaczki i wróciłem do Limanowej dopiero po kilku tygodniach.

Po skończonym roku szkolnym miałem teraz zdawać egzamin do gimnazjum. Zawiózł mnie więc ojciec do Bochni, gdzie egzamin wypadł mi bardzo dobrze. W nagrodę za to ojciec obiecał zabrać mnie z sobą do Krakowa na uroczystość sprowadzenia zwłok Mickiewicza. Byłem u szczytu marzeń. Nigdy nie jechałem koleją i nigdy nie widziałem Krakowa, który dla nas był jakimś uroczym i rozkosznym miastem. Widziałem już wprawdzie Bochnię z dużymi kamienicami - i Limanową, której ruch, zwłaszcza podczas jarmarków, odbywających się raz na 3 tygodnie, kiedy spędzano bydło i woły z najdalszych okolic, był dla mnie pod tym względem najwyższym wyrazem, lecz wszystko to miało być podobno jeszcze niczym wobec Krakowa.

Jechaliśmy więc z ojcem koleją, której jazda zrobiła na mnie szalone wrażenie - i podczas której nie oderwałem się ani na sekundę od okna. Pod wieczór stanęliśmy w Krakowie i zamieszkaliśmy w domu stryjecznego brata ojca, lekarza, profesora psychiatrii, który wówczas mieszkał przy ulicy Floriańskiej. Byłem tak oszołomiony ogromem i wspaniałością miasta i jego ruchem, że niemal nie wiedziałem,jak się poruszać, jak chodzić po froterowanej posadzce - i najchętniej schowałbym się pod ziemię. Młodsza ode mnie kuzynka, która wyprowadziła mnie na planty, goniła swobodnie za obręczą, wpadała na inne dzieci i na dorosłych, rzucając im niedbale: "przepraszam" - i w ogóle zachowywała się jak w domu, podczas gdy ja stałem jak kołek, nie wiedząc, co zrobić ze swymi rękami i z całą swoją osobą. Zaprowadziła mnie do budki z wodą sodową, która ze swymi żółtymi i czerwonymi syfonami, wypełnionymi sokami, wydała mi się ostatnim wyrazem wykwintu. Tam kupiła mi duży okrągły andrut, który jadłem pierwszy raz w życiu i który mi bardzo smakował, ale sprawił mi dużo zmartwienia, bo pozostawiał za sobą okruszki, spadające na ziemię, a ja tak się bałem, by ktoś mnie nie złajał, że śmiecę. Drugim przejawem wykwintu kultury w Krakowie wydał mi się tramwaj konny, w którym woźnica z krótkim batem popędzał konia, ciągnącego duży wóz, toczący się po szynach. Moim marzeniem było , by kiedyś przejechać się tego rodzaju tramwajem.

Po tych wszystkich wrażeniach rozpoczęła się uroczystość i pochód, który obserwowałem z okna mieszkania stryja. Szły nieprzeliczone sztandary, banderie i delegacje ze wspaniałymi wieńcami. Jak w kalejdoskopie przesuwał się w moich oczach barwny wąż, przetykany kontuszami, czamarami, mundurami sokolimi, sukmanami, ciuchami i ludowymi strojami ze wszystkich stron Polski, a potem karawan, wieziony przez 8 koni - i księża - i znowu ludzie,

a wszystko to posuwało się naprzód w majestatycznej powadze, wśród nieustannego bicia we wszystkie dzwony Krakowa, nad którymi górował dzwon Zygmunta. Gdy pochód ten przeszedł ulicą Floriańską, Jerzy chwycił mnie za rękę i bocznymi ulicami popędził ze mną na Wawel.Tu jednak były już roje ludzkie, na Jerzego, który trzymał mnie ciągle za rękę i wciskał się w tłum, jakiś jegomość napadł, krzycząc: "Nie pchaj się tu, ty Żydziaku". Byłem do żywego oburzony - i tym, że Jerzemu, który był dla mnie ostatnią wyrocznią, mógł ktoś powiedzieć: "ty" - i bardziej jeszcze tym, że nazwano go "Żydziakiem". Z ciżby wyszliśmy już po południu - i byłem tak oszołomiony wrażeniami, że wszystko to, co widziałem, wydawało mi się jakimś nierzeczywistym snem.

Po powrocie do domu i po upływie wakacji zaczęły się dla mnie zwykłe - czasem nudne, czasem zabawne i wesołe czasy nauki gimnazjalnej. Stałem na stancji starej, prześmiesznej, ale poczciwej Niemki, p. Gembkowej - małej, garbatej, z której ust wysterczał na przedzie jeden wielki ząb i która namiętnie paliła fajkę na długim cybuchu. Mieszkało nas u niej zwykle pięciu, sześciu, a czasem i więcej chłopców - i muszę przyznać, że troszczyła się o wszystkich bardzo. Karała nas za byle co sama, bijąc lekko trzcinką, z czegośmy sobie jednak zbyt wiele nie robili, natomiast było źle, gdy oddawała nas do ukarania "swemu mężowi i Ferdziowi", który walił bez litości. Przed spaniem wypytywała nas z lekcyj - i nieraz leżąc na kanapie, pilnowała, czy się chłopcy uczą. A chłopcy - zwłaszcza mój brat Witold, kiwając się nad Neposem czy Cezarem monotonnym głosem mógł powtarzać w kółko: "Pani myśli, że ja się uczę, a ja się nie uczę; pani myśli, że ja się uczę itd." W sobotę przynosiliśmy od jednego z profesorów, z których dwóch lub trzech również zawsze mieszkało u p. Gembkowej, książeczkę z odpisem not z całego tygodnia. P. Gembkowa jak anioł sprawiedliwości ustawiała się wtedy w sieni i zastępując nam drogę, wkładała nos w książeczkę, czytając: "Dost.","dost.", "dob.", a gdy wpadła na "niedost.", biła książeczką po głowie i oczach, krzycząc: "znowu niedost."; będziesz wstawał o 5 rano" - i potem razem z delikwentem wstawała sama, by go dopilnować,żeby się uczył.

Z profesorów pozostał mi w pamięci przede wszystkim katecheta ks. Fox, młody elegancki mężczyzna, który mnie specjalnie wyróżniał i zapraszał do siebie, częstując ciastkami i winem, którego jednak nigdy nie chciałem pić. Po latach dowiedziałem się, że ten ksiądz został później usunięty z gimnazjum po jakimś skandalicznym procesie o pederastię; - a mnie uratowała prawdopodobnie tylko moja nieśmiałość i skromność. Poza nim pamiętam starego Kachnickiego, profesora geografii, który z pewnością był jednym z najkulturalniejszych mieszkańców Bochni, ale i jednym z najgorszych pedagogów. Cierpiąc na reumatyzm czy podagrę, siedział zawsze na katedrze w futrze - i by zapełnić czas, stawiał jakieś pytanie, na które, od Arway'a począwszy, nie odpowiadał zazwyczaj nikt - i wszyscy otrzymywali "trzecią". I szła taka kolejka, w czasie której Kachnicki, masując swoje chore ramię, wywoływał z katalogu coraz to nowych chłopców, powtarzając mechanicznie: "sequens - trzecia, sequens - trzecia", aż tak dochodził do mnie, który wreszcie przy jego pomocy zawsze odpowiadałem Po tym powtarzała się na nowo ta sama historia, nieraz po trzy razy w czasie jednej i tej samej godziny. Naszym gospodarzem klasy był niejaki profesor Koczwar - przystojny, niski blondyn z bródką, który chodził stale w cylindrze - dobry nauczyciel, ale straszny pijak. Raz po południu, kiedy miał dwie godziny z rzędu, przyszedł do klasy tak zalany, że nawet my byliśmy przerażeni. Porozdawał nam zegarek, scyzoryk, pusty pugilares i notes - i wreszcie musieliśmy go wyprowadzić na "loda", bo zrobiło mu się słabo. Przez cały czas zachowywaliśmy się jednak cichutko, bo baliśmy się, by nie usłyszał o tych awanturach dyrektor. Mimo to na drugi dzień, kiedy złożyliśmy te"dary" na katedrze, Koczwara bez jednego słowa wziął je do kieszeni, ale zaczął szaleć, pisząc jedną dwóję za drugą. Jednemu koledze, rodowitemu Niemcowi z Bielska, postawił na świadectwie na półrocze "dwóję" z niemieckiego, a gdy ten zaczął protestować, twierdząc, że przecież on zna niemiecki najlepiej z całej klasy, Koczwara odczytał mu tekst świadectwa: "postęp w języku niemieckim niedostateczny", mówiąc: "Widzisz - postęp, a jakiżeś ty postęp zrobił w ciągu tego

półrocza; cofnąłeś się tylko, więc słusznie, żem cię tak skwalifikował". Wreszcie "najlepszym", u którego wszyscy uczniowie szukali obrony, był stary profesor zoologii Sklarz, który mając sam kilkoro dzieci, które razem z nim uganiały się po mieście i psociły, miał największe zrozumienie dla słabości młodego wieku.

W miarę upływu czasu stawałem się coraz bardziej zadomowiony w gimnazjum i zacząłem się wisusować tym bardziej, że przeszedłem na inną stancję. Zawsze miałem teraz w kieszeni procę, rzucałem kamieniami po ulicach, uganiałem po całym mieście i okolicy, zapoznałem się z chłopakami z cyrku, który rozbił swoje namioty przy ulicy Trudnej i wspólnie z kolegami projektowałem i urządzałem napady na Żydów, widząc w tym swą narodową pracę. Raz w czasie takiej wyprawy, gdy Żydzi wychodzili z bożnicy, zaczęliśmy razem z cyrkowcami obrzucać ich kamieniami i cegłami. Zrazu zaatakowani znienacka Żydzi cofnęli się, ale później z tłumu wysunęło się kilkunastu młodzieńców i zaczęli otaczać nas z tyłu. Przyjaciele z cyrku uciekli do swej budy, a ja - kiedy już miał mnie chwycić za kołnierz jakiś silny wyrostek żydowski - wpadłem do najbliższego domu, w którym znowu zastąpiła mi drogę mieszkająca w nim Żydówka. W rozpaczy, ryzykując już wszystko, przewróciłem Żydówkę i wypadłem drugą stroną domu na przyległe pagórki. Biegłem bez przerwy i bez opamiętania, aż doszedłem gdzieś na stok Rozborni. Uważałem się jednak za bohatera i kiedy w czasie najbliższych świąt pochwaliłem się tym przed matką, ona ofuknęła mnie ostro i zaczęła mnie zawstydzać tłumacząc, że wśród Żydów, jak w ogóle wśród wszystkich ludzi, mogą być ludzie dobrzy i źli, uczciwi i nieuczciwi - i że to wstyd, by młody chłopiec napadał i obrzucał kamieniami starszych, którzy zebrali się, ażeby się modlić. Przecież to nie może być winą, że się ktoś urodził Żydem; nie on wybierał sobie rodziców i nie może za nich odpowiadać. Zawstydzony, zacząłem się też zastanawiać nad argumentami matki i odtąd widziałem w Żydach takich samych, jak ja ludzi. W ten sposób skończył się okres mego antysemityzmu w trzynastym roku życia; - w tym wieku przebyłem kryzys w chorobie, na którą inni w przeciągłej formie cierpią nieraz aż do swej starości.

Równocześnie dokonywał się we mnie, który byłem dotąd bardzo pobożny, przewrót w stosunku do religii i do mych wierzeń. Ogarniał mnie coraz większy sceptycyzm i w miarę zdobywania świadomości i samodzielnego myślenia rozwiewała się moja pobożność i wiara, jakkolwiek zawsze - przez całe życie - zachowałem dla niej i dla tych, którzy prawdziwie wierzyli, wielki szacunek; w szczególności - gdy patrzyłem na swoją własną pobożną, dobrą matkę, której wiara pozwalała znieść tyle ciężkich i przykrych zawodów.

Ze szkoły wyjeżdżaliśmy do domu dwa razy w roku: na święta Bożego Narodzenia i na Wielkanoc. To była radość... Zwłaszcza Boże Narodzenie miało tyle dla nas uroku, że do dziś dnia nie mogę myśleć o nim bez rozczulenia. Naokoło było tak pięknie i biało; schodziło się razem całe rodzeństwo; robiliśmy choinkę; potem łamaliśmy się opłatkiem; wilia zastawiona na białym obrusie na sianie, a pod stołem duży snopek owsa; jedenaście potraw i kolędy, które intonował pod oknami karbowy z całą czeladzią - i kolędnicy - i szopka - i turoń. To było wszystko cudowne. Na Wielkanoc znowu szedł już od gór pierwszy powiew wiosny - rezurekcja, święcone, babki, placki, mazurki, torty, wędliny, ogromny stół zastawiony najwspanialszymi przysmakami - i cała wieś zebrana przed gankiem, z którego przybyły ksiądz błogosławił i kropił chłopskie kołacze, jaja i kiełbasy. A wreszcie na Wielkanoc przyświecała nam już nadzieja nadejścia nowych wakacji, w czasie których mieliśmy odzyskać na nowo swoją swobodę i możność uganiania się po lesie, po polach, po łąkach i po rzece.

Po trzech latach mego pobytu w Bochni ojciec zadecydował, że mam się przenieść do Krakowa. Przyjechałem tam sam koleją, ze skromnym kufereczkiem w ręku - a na peronie miał na mnie czekać kuzyn Leon Krzeczowski. Ludzie wychodzili z pociągu i tłum się przerzedzał, a mego kuzyna nie było widać. Czekałem więc - mimo, że po chwili zostałem przed pociągiem sam - i nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. W końcu spuszczono na dół dużą, drucianą siatkę, która oddzielała wówczas peron od torów - i zobaczywszy się jak w potrzasku, zacząłem rzewnie płakać. Byłem zrozpaczony, a nie śmiałem zwrócić się do

kogokolwiek, by się spytać, jak się mogłem wydostać. I nieraz potem porównywałem tę chwilę, w której - bezradne, obce, nieznane nikomu dziecko - płakałem na dworcu krakowskim, z tą, w której zostałem posłem tego Krakowa i przemawiałem publicznie do jego mieszkańców u stóp pomnika Mickiewicza. Z opresji wybawił mnie wreszcie kuzyn, który się tylko spóźnił i jakoś mnie szczęśliwie przeprowadził do domu, w którym mieszkałem - u wujostwa, przy ulicy Kurniki.

Obok nas mieszkał młody Emil Bobrowski, który imponował mi swym wspaniałym zbiorem marek pocztowych i z którym po latach zamieszkaliśmy znowu razem jako członkowie tej samej partii i posłowie do Sejmu Polskiego. Wówczas wprowadził mnie on do jakiejś konspiracyjnej, patriotycznej organizacji, na czele której stał syn handlarza dewocjonaliami Zajączkowski, czy też sam handlarz. Działalność nasza sprowadzała się głównie do urządzania i brania udziału w nabożeństwach żałobnych w rocznicę ważnych zdarzeń narodowych, do śpiewania pieśni patriotycznych u Pijarów, chodzenia na cmentarz, demonstrowania przed grobem powstańców oraz przypinania sobie trójkolorowej kokardki w dniu 3 Maja.

W Krakowie połączyłem się na nowo z Bohdanem, tylko on chodził do szkoły realnej, a ja do gimnazjum Św. Anny, lecz obaj rozpoczęliśmy nasze wspólne wędrówki po mieście. Kraków był wówczas małym miastem, zamkniętym pomiędzy Wisłą a wysokim wałem, po którym biegła kolej do mostu Dębnickiego - tam, gdzie dziś są aleje trzech wieszczów. Podróż na koniec ulicy Długiej, gdzie mieszkał stryj, który tam teraz założył sobie zakład dla obłąkanych, wydawała się nam już bardzo daleka - a za wałem rozciągały się już tylko ogrody, pola, przemiłe gaiki i wsie, których mieszkańcy chodzili wyłącznie w krakowskich strojach - tak, że w czasie targów w mieście widać było chłopów tylko w sukmanach lub w "barwie". Podgórze było odrębnym miastem; na Półwsiu zwierzynieckim królowała "Królowa Przedmieścia"; Nowa Wieś, Czarna Wieś i Krowodrza były przedmieściami o małych, drewnianych, parterowych domkach, których mieszkańcy zajmowali się uprawą roli lub ogrodnictwem, a Łobzów i Bronowice były już dalekimi wsiami poza zasięgiem kultury miasta.

Raz mieliśmy obaj z Bohdanem iść na przedstawienie "Kościuszko pod Racławicami" - do teatru, mieszczącego się przy placu Szczepańskim. Nie byłem w teatrze jeszcze nigdy i nie mogłem go sobie wyobrazić w żaden sposób. Toteż, gdy otrzymałem obietnicę pójścia, byłem jak w gorączce; przez całe popołudnie przygotowywaliśmy się na "występ", aż naraz Leon wraca i oświadcza, że biletów już nie ma. Był to dla mnie jeden z najprzykrzejszych zawodów życiowych. Było mi wstyd płakać, alem się dusił od łez. Dostaliśmy za to parę dni później bilety na jakiś poranek muzykalno-wokalny do Strzelnicy. Ktoś deklamował, ktoś grał, ktoś śpiewał, a my oklaskiwaliśmy wszystko. Naraz na estradę wszedł jakiś młody człowiek - szczupły, wysoki, z wybitnymi kośćmi policzkowymi, z małym wąsikiem - i rozpoczął przemawiać. Po kilku minutach na widowni wybuchła naraz jakaś dzika burza. Jedni sykali i krzyczeli; inni namiętnie oklaskiwali, a nad tym wszystkim górował potężny, jasny głos mówcy. My z Bohdanem przyłączyliśmy się do tych, co klaskali - i gdy tak przejawialiśmy nasze zadowolenie, jakiś starszy jegomość uderzył mnie z tyłu laską, krzycząc: "Cicho smarkacze, bo nie wiecie, o co chodzi". A my, nie wiedząc faktycznie, o co to chodziło, lecz wiedzeni trafnym instynktem, na złość zaczęliśmy klaskać jeszcze głośniej, Tym mówcą, którego tak oklaskiwaliśmy wówczas, był Ignacy Daszyński, którego potem byłem uczniem, później - szczerym młodym przyjacielem i towarzyszem broni, a w końcu - zastępcą i następcą na stanowisku prezesa Rady Naczelnej partii i zastępcą na trybunie marszałkowskiej Sejmu Rzeczypospolitej.

W gimnazjum w Krakowie nie odznaczałem się specjalną nauką, natomiast zdobyłem sobie tam palmę pierwszeństwa pod względem wisusowania się. Po zapoznaniu się z nowym terenem zacząłem broić tak, że w klasie nikt nie mógł ze mną wytrzymać. Roznosił mnie temperament; chichotałem, śmiałem się, rozmawiałem i dokazywałem tak, że wreszcie raz katecheta ks. Rychlak, którego nazywaliśmy Habakukiem, powiedział podczas lekcji, że sami uczniowie powinni poskromić taką zakałę klasy. Podchwycił to niejaki Dach, syn agenta policyjnego,

chłopak najstarszy i najsilniejszy - i zapowiedział na jutro "lanie" mnie i małemu Arndtowi. Zaczęliśmy się więc przygotowywać do obrony. Kupiliśmy sobie boksery, a do drugiej ręki zrobiliśmy kołki, do których po obu stronach wbiliśmy ostre gwoździe - i bojąc się, by nam tych narzędzi walki nie odebrano, przywiązaliśmy je sznurkami do dłoni. Na wielkiej pauzie Dach dał faktycznie znak do ataku i wtedy cała zgraja rzuciła się na nas, przy czym odebrano nam nasze mordercze narzędzia. Mimo to broniliśmy się do upadłego jak lwy - i walce położył kres dopiero dzwonek.

Z tej klasy pamiętam Włodka Rogosza, syna redaktora antysemickiego "Głosu Narodu" - chłopca, który potem na Uniwersytecie oddziałał na mnie tak bardzo decydująco; Münnicha, u którego jako bibliofil nabywałem potem tyle ładnych i cennych starych książek; Goldfingera-Zarneckiego, znanego potem malarza, z którym łączył mnie serdeczny stosunek przez całe życie; Kapuściarza--Jedlicza, smętnego góralskiego poetę; Józka Sikorskiego, który siedział tuż przede mną i zawsze mi "podpowiadał", a który potem jako komendant policji w Warszawie oskarżony został o zaniedbanie środków dla zapewnienia bezpieczeństwa zamordowanemu prezydentowi Narutowiczowi - i Mietka Arndta, którego kochałem ze wszystkich najbardziej.

Poza tym jednak, od czasu awantury z Dachem, nie lubiłem tej całej klasy i na złość im w dalszym ciągu dokazywałem jeszcze bardziej. Młodemu profesorowi niemieckiego, Kukuczowi, dokuczałem tak, że raz, niemal ze łzami w oczach, powiedział o mnie z wyrzutem, że jestem zły chłopiec. To zabolało mnie bardzo dotkliwie i odpowiedziałem mu zaraz, że to nieprawda i że mu pokażę,iż się myli. Nie zrobiłem mu też odtąd nawet najmniejszej przykrości, ale za to obrałem sobie teraz za ofiarę młodziutkiego profesora Wilkosza, który w zastępstwie uczył nas polskiego. Hałasowałem na jego godzinie tak, że wytargał mnie za uszy, a wreszcie wyrzucił za drzwi. Potem było już tak stale, że ilekroć wchodził Wilkosz do klasy, to pierwsze jego słowa były: "Żuławski - za drzwi!" Póki było ciepło, to jakoś to znosiłem i wybiegałem na ulicę Św.Anny lub na planty i godzina ta upływała mi nawet przyjemnie. Ale znudziło mi się to zupełnie, gdy nastąpiły zimna i słoty jesienne. Wtedy raz - spostrzegłszy, że w drzwiach naszej klasy tkwi klucz - zaczaiłem się - i trzask... cichutko przekręciłem go na drugą stronę. Po upływie lekcji zamknięci uczniowie powybiegali oknem na planty, a biedny Wilkosz, nie mogąc naruszyć swej powagi, musiał czekać zmiłowania boskiego, aż go ktoś zechce wybawić. Cała sprawa wydała się jednak bardzo wnet; sprowadzono ślusarza, a ja dostałem 10 godzin karceru z zagrożeniem wykluczenia ze szkoły. Na półrocze dostałem też jak najgorsze świadectwo, ale ponieważ zależało mi bardzo na promocji, zacząłem się teraz uczyć i bez większego trudu przeszedłem do V klasy.

Zasadniczo postępowania swego jednak nie zmieniłem; siedział we mnie już jakiś mały diabeł, który mnie ciągle podmawiał do coraz to nowej psoty. Uczyć mi się nie chciało, chodziłem więc"na laby" na Krzemionki, nad Wisłę lub brałem książkę i czytałem ją pod ławką w czasie lekcji. Raz w ten sposób przechwycił mnie ks. Rychłak - i odebrawszy mi książkę, schował ją do obszernej kieszeni swej sutanny. Ponieważ książka była nie moja, przemyśliwałem tylko nad tym jakby ją z powrotem wydobyć. Był w klasie zwyczaj, że wszyscy chłopcy po lekcji religii tłoczyli się do księdza, by go pocałować w rękę. Skorzystałem więc z ciżby i podszedłem z tyłu, by książkę księdzu z sutanny wyciągnąć, Niestety książka była za duża - tak, że chcąc ją wydobyć, musiałem otwór kieszeni poszerzyć scyzorykiem. Spostrzegł to jednak Habakuk i zrobił się prawdziwy sąd ostateczny. Tym razem uszło mi jednak jakoś na sucho, tylko na półrocze dostałem znowu "trzecią".

Z tego zmartwienia chciałem się napić i razem z drugim kolegą, którego spotkał podobny los, co mnie - poszliśmy na wódkę. Po jednej kolejce wiśniówki - nie mając pieniędzy, a chcąc koniecznie upić się "z rozpaczy", posprzedawaliśmy książki - i rozpoczęła się zabawa. Byliśmy w jakimś szynku przy ul.Szpitalnej i na Małym Rynku; wreszcie zawędrowaliśmy na miód do Robackiego. Tam mnie jednak już "rozebrało" - i wyszedłszy na planty, siadłem wśród śniegu na ławce obok Placu Szczepańskiego. "Pijane dziecko we mgle" - jak powiedział Boy

- tylko dziecko nie wiedziało już o bożym świecie. W takim stanie znalazł nas jakiś oficer austriacki - i mój towarzysz zabawy i niedoli, widoczniej bardziej odporny na alkohol niż ja, zapytany, dlaczego tak siedzimy, wybełkotał, że właśnie mieliśmy imieniny, a mnie się zrobiło niedobrze. Poczciwy oficer,który widocznie miał współczucie dla stanu pijaństwa, osobiście sprowadził "expressa" z Rynku i kazał mnie odnieść na ulicę Jagiellońską, gdzieśmy obaj z kolegą mieszkali.

Wszystkie te przykre przejścia otrzeźwiły mnie jednak bardzo i postanowiłem otrząsnąć się z dotychczasowego trybu życia. Po półroczu zacząłem się uczyć, a ponieważ jednocześnie zmienił się gospodarz klasy, który mnie nie lubił, a miejsce jego zajął przychylny mi profesor nauk przyrodniczych, p.Bobek, więc miałem widoki na przejście. Na wiosnę nowy gospodarz klasy urządził nam wspaniałą dwudniową majówkę, w czasie której - po przejeździe koleją do Krzeszowic - przeszliśmy piechotą do ruin zamku tenczyńskiego, a dalej przez Regulice i Babice do ruin w Lipowcu, a więc przez okolice, w których potem tyle razy w życiu przemawiałem jako poseł tego okręgu.

Bez wielkich trudności dostałem też promocję do VI klasy, ale mimo to widocznie nie było mi przeznaczone skończyć swych studiów u Sw. Anny. Uczniowie VII klasy urządzili, jak co roku, tradycyjny wieczorek mickiewiczowski, po którym razem z nami - jako tymi, którzy mieli zorganizować następny wieczorek - urządzili wspólny komers, który skończył się w jakimś trzeciorzędnym tinglu na Kazimierzu. Doszło tam do jakichś awantur, w czasie których wkroczyła policja i nie wiadomo dlaczego aresztowała ucznia VII klasy, niejakiego Molickiego, który później - jakem się dowiedział - został zakonnikiem w klasztorze Augustynów. Wraz z wkroczeniem policji rozproszyli się wszyscy, pozostawiając biednego Molickiego w rękach policjantów. Ja z Goldfingerem po naradzie postanowiliśmy jednak iść razem na policję by zaświadczyć, że aresztowany był niewinny. Kilku policjantów, którzy prowadzili Molickiego, odpędzało nas kilkakrotnie, a nawet u wejścia do dyrekcji policji, która mieściła się wówczas przy ul. Mikołajskiej, zastąpił nam drogę jakiś kapral i nie chciał wpuścić. Uparliśmy się jednak i wobec dyżurującego komisarza złożyliśmy zeznania, że Molicki nie zrobił nic złego - i faktycznie puszczono go też zaraz wolno. Nie przewidywaliśmy jednak wszyscy, jakie będą konsekwencje tego przejawu naszej solidarności z nieszczęśliwym kolegą. Raport policyjny został odesłany do gimnazjum, które zatrzęsło się teraz w swych podwalinach. Wszyscy trzej zostaliśmy wezwani do dyrektora, który zakazał nam chodzić do szkoły: byśmy "nie psuli innych uczniów" - i tylko z łaski zezwolił nam zdać egzamin prywatny na końcu półrocza. Obaj z Goldfingerem z staliśmy więc wylani, a ze względów solidarności przestał chodzić do szkoły również Arndt - i wszyscy trzej wałęsaliśmy się teraz i używaliśmy życia. Na stancji, na której mieszkałem, była niewiele starsza ode mnie, bardzo ładna i wesoła dziewczyna do posługi, Tereska, która uświadamiała mnie praktycznie o życiu. Arndt, którego ojczym miał zastępstwo francuskiego koniaku, przynosił co parę dni butelkę; Goldfinger papierosy, a ja dostarczyłem kart do taroka i cały dzień graliśmy, pili i palili. Naturalnie przy takim podłożu: Tereski, koniaku, papierosów i kart rezultat naszej nauki był z góry do przewidzenia. Egzaminu na półroczu nie zdaliśmy, a ja, bojąc się ojca, nie wiedziałem teraz, co zrobić dalej ze sobą.

Na szczęście spotkałem się z nowym swym znajomym, uczniem cukierniczym, którego też z praktyki wylano i który, wracając do Nowego Sącza, doradzał mi, byśmy tam pojechali razem. Pożyczył mi w tym celu 5 koron i obiecał wystarać się o lekcję, a ja, zdecydowawszy się na ten pierwszy samodzielny krok w życiu - zaryzykowałem, tym bardziej, że miałem w Nowym Sączu ciotkę, u której mieszkali obaj najmłodsi bracia. Ciotka mnie przyjęła; lekcje dostałem, ale gorzej było z zapisaniem się do gimnazjum. Zrobiłem najniewinniejszą minkę, na jaką tylko mogłem się zdobyć i poszedłem sam do dyrektora, który miał opinię ogromnie surowego. Przejrzał moje świadectwo; zauważył, że nie jest zbyt dobre, ale - oświadczając, że zna moją rodzinę - obiecał się spytać, "co ja jestem za ptaszek". W tym celu miał poprosić jednego z profesorów, który uczył przedtem w gimnazjum Sw. Anny - i za chwilę wrócił w towarzystwie człowieka, którego już

sam widok rozwiał wszystkie moje nadzieje. To był prof. Wilkosz, który mnie stale wyrzucał i którego zamknąłem w klasie. Popatrzył na mnie, poznał mnie natychmiast i powiedział: "A co, znamy się, prawda". Ja zaś w odpowiedzi na to posłałem mu spod oka najbardziej urwiszowskie spojrzenie. Naraz, nie wierząc własnym uszom, usłyszałem, jak Wilkosz mówił do dyrektora: "Tak, ja go znam, to bardzo porządny chłopak, tylko bardzo żywy". Tym powiedzeniem pozyskał on u mnie największą przyjaźń - i aż do końca gimnazjum uczyłem się i zachowywałem wobec niego już jak najlepiej. Przeobleklem się w inną skórę; zacząłem się uczyć sam i uczyć innych, i w nowych warunkach koleżeńskich stałem się wzorowym uczniem.

Profesorów miałem dobrych, ale przeważnie bardzo starych. Poza wspomnianym profesorem Wilkoszem, który nas uczył polskiego, uczył nas łaciny i greki stary Kretowicz, ojciec kilku pretensjonalnych, a nieładnych córek, który był też naszym gospodarzem klasy i którego nazywaliśmy "Ogórkiem"; historii - staruszek Dworzański, tak zwany "madziar", który w zapale oratorskim stale zapluwał dwie pierwsze ławki i machał rękami tak, że często dostawało się od niego po nosie; matematyki i fizyki - stary i bogaty Drzymuchowski, strasznie niechlujny i ubrany zawsze w jakiś odwieczny, potargany żakiet, w którym utyskiwał stale przez nos, że "człowiek nie może się nawet ubrać porządnie do tej głupiej szkoły"; niemieckiego - najprzód sympatyczny pijak Leonhard, a po nim jeszcze sympatyczniejszy czyściutki staruszek, ruchliwy jak żywe srebro - Czerny Szwarcenberg, a logiki - prof. Bizoń, młody brunet z bródką i ogromnymi wąsiskami. Zaczynał on lekcje z nami od tego, że kazał schować książkę i z każdym z nas, których było razem dziewiętnastu, rozmawiał osobno. Po dwóch czy trzech lekcjach wyróżnił mnie spośród wszystkich i cały jego wykład odbywał się potem tylko przy pomocy rozmowy ze mną. Toteż, choć w innych przedmiotach nie odznaczałem się nigdy specjalnie, z logiki otrzymałem notę: "bardzo dobrze" - jedyny z całej klasy.

Raz poprowadził nas prof. Bizoń na wycieczkę do warsztatów kolejowych, w których pracowało przeszło tysiąc robotników. Byłem zachwycony samą pracą, jej organizacją, postawą robotników - i kiedy mówiłem z nim o tym na najbliższej lekcji, odpowiedział mi mimochodem: "Powinieneś być ich apostołem i głosić im ewangelię wolności". Potem nie widziałem go już nigdy w życiu, jakkolwiek tyle razy myślałem o nim i o jego proroczych słowach. Wówczas jednak o walce o wolności i o socjaliźmie miałem jeszcze bardzo słabe pojęcie. Pamiętałem wprawdzie demonstrację majową w roku 1895 w Krakowie, której wówczas wszyscy tak strasznie się bali - i pamiętam, jak obaj z Bohdanem przepisaliśmy sobie do notesów słowa "Czerwonego Sztandaru", bo jakoś odpowiadały one bardzo naszym młodym buntowniczym duszom. Ale później w Nowym Sączu przedstawicielami socjalizmu byli: poczciwy młody fotograf Malisz, który nosił krawatkę w formie ogromnej kokardy, czasem czarnej, a czasem czerwonej - i importowany ze Lwowa krawiec Teller, niechlujny i zawsze zapluty, ci dwaj nie mogli tedy wzbudzić we mnie entuzjazmu dla idei socjalistycznej, chociaż przecież był to już okres pierwszych walk parlamentarnych Daszyńskiego przeciwko Badeniemu i Abrahamowiczowi - i okres stanu wyjątkowego w Galicji Zachodniej.

Z dala więc od tego wszystkiego - w spokoju - uczyłem się bardzo sam i uczyłem innych, zarabiając na utrzymanie, bo stało się moją ambicją dać sobie w życiu radę samemu, bez jakiejkolwiek pomocy. Uczyłem więc to mego cukrowniczka, to jakiegoś tępego syna starego feldfebla, który z wdzięczności, że syn jego przeszedł, wlewał we mnie jedną bombę za drugą piwa, którego nie cierpiałem, a wstydziłem się odmówić - to córeczkę żydowskiego sklepikarza, który mnie zawsze w piątek i w sobotę częstował herbatą z rumem i makagigami, - to jakichś dwóch synów urzędnika skarbowego, aż wreszcie dostałem posadę pisarza u adwokata na popołudnia. W ten sposób potrafiłem się utrzymać zupełnie samodzielnie i wynająłem sobie nawet oddzielny pokój kawalerski, w którym schodzili się moi koledzy.

Spośród nich najlepiej i najserdeczniej żyłem z Julkiem Smolikiem, późniejszym prezesem Sądu w Nowym Sączu, oraz z Rudkiem Moszorą i Karolem Nonnelem, którzy obaj pomarli jeszcze w czasie studiów uniwersyteckich. Razem robiliśmy

kawalerów; chodziliśmy czasem na bilard, na wódkę i w ogóle nadawaliśmy ton całej klasie. Raz ksiądz, który wszystkich czterech posądzał o najrozmaitsze zdrożności, postawił nas przemocą przy spowiedzi przy swoim konfesjonale i kazał nam się przed sobą spowiadać. Byliśmy w wielkim kłopocie; dwóch z nas powiedziało mu to, co uważało za właściwe, a dwóch poszło zaraz do drugiego konfesjonału, by tam się wyspowiadać, że zataili grzechy. Powoli stawaliśmy się kawalerami i, gdy przyjechała do Nowego Sącza trupa wędrownego teatru, zapoznaliśmy się z artystami i fundowaliśmy aktorkom to kiszkę kaszaną, to wielkie piwo lub wódkę. Poza tym kochaliśmy się stale w którejś z uczennic, zmieniając jednak przedmiot swej adoracji niesłychanie szybko.

Stosownie do tego nowego nastawienia życiowego zmieniły się również nasze wakacje. Przestaliśmy już być "góralskimi dziećmi", hasającymi boso w rzece i wspinającymi się po drzewach, a staliśmy się młodymi ludźmi, utrzymującymi stosunki towarzyskie. Jerzy, który studiował filozofię w Bernie szwajcarskim i miał się właśnie doktoryzować, wydał już dwa tomiki poezji; Witold, którego ojciec oddał do wojska, uciekł i siedział na osiedleniu samarskim; Jadwiga stała się dorastającą panną; ja kończyłem ósmą klasę, a reszta rodzeństwa była też w gimnazjum. W domu naszym gromadziła się więc cała okoliczna młodzież. Przyjeżdżali kuzynowie i bardzo ładne kuzynki z Mordarki; przyjeżdżała młodzież z Limanowej; panny Dunikowskie z Koszar; kuzynki Czechowskie, wnuczki generała z powstania; Bilińskie z Młynnego; i bracia stryjeczni - tak, że nieraz siadało do stołu przeszło 20 osób. A wszystko to było rozbawione, wesołe; flirtowało, śpiewało - tak, że mały nasz dworek przez cały czas wakacji rozbrzmiewał nieustannym gwarem i śmiechem.

Maturę zdałem bardzo dobrze, toteż ojciec, który właśnie przyjechał do Nowego Sącza, choć od dwóch przeszło lat nie łożył już na mnie zupełnie - kupił mi dwa ubrania cywilne. Chodziliśmy bowiem od roku 1895 przymusowo w granatowych mundurkach - i gdy go zdejmowałem, ogarnęła mnie jakaś sentymentalna żałość. Byłem sam w pokoju - i albo z żalu po minionych latach, w których było mi tak dobrze i wesoło - albo z przedenerwowania i nadmiaru wrażeń wybuchnąłem spazmatycznym płaczem. Uspokoiwszy się, umyłem się i przebrałem w ubranie cywilne, i poszedłem na wspólną ucztę pożegnalną, którą obstalowaliśmy w jednym z nowosądeckich hoteli. Z profesorów był z nami tylko Wilkosz i Kretowicz - i obaj przemawiali, a oprócz nich przemawiali poszczególni koledzy. Mnie spętał język jakiś dziwny lęk. Nie byłem w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa, choć zwykle byłem wygadany i znajdowałem się przecież w towarzystwie ludzi, z którymi się nie żenowałem i z którymi nieraz mówiłem i baraszkowałem. Czułem głęboką potrzebę wypowiedzenia swoich uczuć - i wobec profesorów, a zwłaszcza profesora Wilkosza, i wobec kolegów, których na ogół lubiłem - i chciałem słowami pożegnać coś, o czym wiedziałem, że od nas odchodzi na zawsze. Milczałem jednak jak zaklęty, a to milczenie odbierało mi jeszcze bardziej odwagę i męczyło coraz bardziej dotkliwie. Wreszcie kolacja się skończyła; - żegnaliśmy się ze sobą z przeświadczeniem, że rozpoczęliśmy nowy okres życia.

Rozdział III

UNIWERSYTET

Uznany za dojrzałego, stanąłem teraz przed zagadnieniem: co dalej? W jaką stronę się skierować i jaki obrać sobie zawód w życiu? Miałem wstręt do kariery urzędniczej, więc nie chciałem iść na prawo, które wydawało mi się zresztą za nudne i pozbawione cech prawdziwej nauki. Poszedłbym na medycynę, ale znowu stawała mi pod tym względem na przeszkodzie świadomość, że muszę się w czasie studiów utrzymać własnymi środkami, bo położenie finansowe ojca stawało się coraz cięższe, a medycyna była bardzo droga. Pozostawała więc z konieczności filozofia. Tylko jaki dział w niej wybrać? Poszedłem drogą eliminacyjną. Klasycyzm: łacina i greka wydawały mi się zbyt martwe i zimne; historia nie nęciła mnie wcale, bo zwracałaby moje oczy wstecz, w przeszłość - podczas gdy ja całym zapałem młodości chciałem wpatrywać się w przyszłość; polonistyka i lingwistyka wydawały mi się za błahe, by im poświęcić życie; pozostały więc z konieczności nauki przyrodnicze - i je właśnie wybrałem.

Zapisałem się więc na zoologię, botanikę, mineralogię, fizykę i chemię - i chociaż zerwałem potem z wszystkimi tymi zagadnieniami, to jednak mam wrażenie, że dokonałem wówczas wyboru trafnego. Z odbytych studiów pozostała mi bowiem na całe życie pewnego rodzaju metoda myślenia, pewna ścisłość, przyrodnicza umiejętność obserwowania zjawisk oraz wstręt do blagi i frazesu. Profesorem, który oddziałał na mnie pod tym względem najbardziej i którego najbardziej w czasie studiów lubiłem, był profesor zoologii Antoni Wierzejski, stary kawaler i dziwak, który ze specjalnym lekceważeniem odnosił się do studentek, które zresztą wtedy można jeszcze było na uniwersytecie policzyć na palcach. Przed wykładem rozstawiał on zazwyczaj we wnęce okien mikroskopy z rozmaitymi preparatami i zwracając się do uczniów, a zwłaszcza do uczennic, pytał je, co widzą. Więc jedna widziała amebę; inna komórkę czy jajko w stadium podziału lub taką czy inną tkankę, a gdy te odpowiedzi go nie zadawalały zwracał się jako do ostatniej instancji do mnie lub do pedela Marcina, który - nawiasem mówiąc - stale wypijał spirytus ze słojów z okazami, ze słowami: "No, Marcin, powiedz pan tym doktorkom, co widziały". A Marcin, przykładając oko do obiektywu, recytował: "widzę szarą plamę, na której odcinają się ciemniejsze kreski, krzyżujące się w formę siatki" lub "widzę plamę, spośród której wybija się silniej zabarwiony punkt, około którego koncentrują się tak samo zabarwione nitki". "A widzicie - mówił Wierzejski - to on ze swą spostrzegawczością mógł zostać pedelem, a wy chcecie być doktorkami czy profesorkami". Te lekcje starego Wierzejskiego pozostały mi też na całe życie - i przez całe życie nie cierpiałem używania słów, które w formie ogólników lub przyjętych z góry terminów i nazw, mogą kryć nieraz nieświadomość lub blagę.

Na uniwersytecie rozpocząłem też swoje studia z wielkim zapałem - tym bardziej, że miałem bardzo miłych i mądrych profesorów. Oprócz wspomnianego już prof. Wierzejskiego, którego byłem ulubieńcem przez cały okres studiów - wykładał młodziutki docent dr Tadeusz Garbowski. Pomiędzy nim a profesorem istniał ustawiczny konflikt. Podczas gdy Wierzejski był starym darwinistą, to Garbowski, który później objął katedrę filozofii ścisłej, patrzył na Darwina i na jego teorię jak na przebrzmiałą przeszłość. Wprowadzał nas w świat myśli o rozwikłaniu zagadki życia i - oparty o nowoczesne badania Roux'a i Driesch'a, wyjaśniał zasady "biomechaniki". Botanikę wykładał wymowny zawsze prof. Rostafiński i prof. Janczewski, na którego ćwiczenia chodziłem zawsze z wielkim zapałem; mineralogię - poczciwy stary Kreutz; fizykę - Witkowski, a chemię - Olszewski.

Te pierwsze moje porywy naukowe zostały jednak przerwane depeszą z domu, wzywającą mnie do powrotu celem wzięcia udziału w pogrzebie babki.

Przyjechałem po południu w chwili, kiedy cały dom był jakby wymarły, gdyż wszyscy poszli właśnie do kościoła, dokąd eksportowano zwłoki i skąd na drugi dzień miało się odbyć nabożeństwo i pogrzeb w Łososinie. Siedziałem więc sam, gdy naraz zajechał fiakier z Limanowej i z wózka wyskoczyła jakaś fertyczna, przystojna dziewczyna. Przedstawiła się, że jest koleżanką mej siostry Jadwigi ze Stoniątek - panną Stefą - i dowiedziawszy się o pogrzebie, chciała od razu zawrócić. Zatrzymałem ją jednak i zacząłem bawić towarzyską rozmową. W ciągu tego samego sam na sam, które trwało dość długo, zadzierżgnęły się między nami nici sympatii - i gdy Jadwiga wróciła, zatrzymała gościa na kilka tygodni, w czasie których miała załatwić pozwolenie uczęszczania na Uniwersytet w charakterze nadzwyczajnej słuchaczki.

Ten pogrzeb, na który zjechała się cała nasza rodzina, i cały ten okres pozostał mi w pamięci jak niemiły koszmar, na tle którego, jak jasna plama, jaśniała tylko panna Stefa. Ojciec podjął już petraktacje co do sprzedaży majątku i było już prawie pewne, że niedługo będziemy musieli Słomianą opuścić. Jerzy miał się żenić - wbrew woli ojca - co wywoływało ustawiczne scysje i awantury, a Jadwiga czuła się nieszczęśliwa, że nie może iść na uniwersytet, o czym ustawicznie marzyła - tak, że wszyscy byli skwaszeni i wściekli. Tylko ja, choć już wszyscy się rozjeżdżali, pozostałem w domu - może, by odpocząć, a może dlatego, że chciałem być razem z p. Stefą, z którą zacząłem flirtować coraz bardziej zacięcie. Była ona niesłychanie pewna siebie - typowa Warszawianka - której zachowanie się doprowadzało mnie nieraz do rozpaczy, ale jednocześnie podniecało i wiązało. Raz była ona słodka jak cukierek, milutka, że do rany przyłóż i sentymentalna - to znowu w najmniej spodziewanym momencie pokazywała swe pazurki i drapała bez litości. Przypuszczam jednak dziś, gdy patrzę wstecz, że ta jej metoda to była tylko zwykła chęć, tkwiąca w każdej kobiecie, by wypróbować swe siły w stosunku do mężczyzny i przekonać się, w jakim stopniu może na nie liczyć, by go opanować i rządzić nim. W każdym razie mnie metoda ta drażniła bardzo - tak, że bardzo wnet zdobyłem się na energię i postanowiłem co tchu wyjechać do Krakowa. I skończyłby się cały flirt, gdyby nie konieczne względy kurtuazji wobec Stefy, która - przyjechawszy niedługo po mnie do Krakowa - posłała mi piękny kwiat. Musiałem ją więc odwiedzić i podziękować za ten znak pamięci i przyjaźni. W moje codzienne życie wcisnęły się teraz stałe wizyty, które co prawda z jednej strony dawały mi przedsmak rozwijającej się miłości, ale z drugiej - odciągały mnie od nauki, od zajęć zarobkowych i od życia koleżeńskiego, które teraz pochłaniało mnie coraz bardziej. Te wahania rozstrzygnęła jednak sama p. Stefa, która - rozeznawszy się w terenie - "zdradziła" mnie, znalazłszy sobie starszych i bardziej doświadczonych adoratorów, którzy ją potem niegodnie wykorzystali i zniszczyli.

Nie krępowany więc już niczym, wykorzystywałem pełną swobodę życia akademickiego, widząc ją przede wszystkim w możności bomblowania i picia. Chodziłem na komersy i na wspólne "biby" - i w czasie jednej z nich chciano mnie raz, jako "fuksa", wystrychnąć na dudka i ośmieszyć. Piliśmy "butem" z jednej dużej szklanki o objętości 2 litrów - w ten sposób, że nie wolno było przerwać picia dla złapania oddechu, bo wówczas musiało się oddać szklankę następnemu, a przedostatni, który z niej pił, miał płacić za całego buta. Mnie posadzono pomiędzy znanym biboszem i szaławiłą Kasparkiem, synem b. rektora, a niejakim Talarem, ogromnym chłopem z Nowego Sącza - i już z góry koledzy zaczęli się ze mnie śmiać, że będę musiał płacić wszystkie "buty". Kasparek pociągnął spory haust i podał mi buta w przeświadczeniu, że Talar mnie już skończy. Wziąłem jednak "na ambit" i przystawiłem się tak, żem to ja skończył Kasparka ku ogólnej wesołości i śmiechu całego stołu. Musiałem jednak natychmiast wyrzucić ze siebie tę masę piwska, którego zresztą zawsze nie cierpiałem. Ja - pijąc - szukałem sposobności do bomblerki nie dla smaku trunku lecz dla towarzystwa i dla rozlewnej wesołości, która towarzyszyła piciu. A sposobności te nasuwały mi się ustawicznie: to przyjechał jakiś kolega, którego dawno już nie widziałem - to dlatego, że dostałem dobrą lekcję, - to znowu, że zdałem "kolloquium" lub że był "jubileusz cesarski", który jakkol-

wiek mnie nic a nic nie obchodził, to jednak stwarzał pretekst do picia.

Zainkasowawszy raz pieniądze z lekcyj, poszliśmy z Rudkiem Moszorą, z którym mieszkałem razem w "Hotelu pod Różą", w pokoju na poddaszu, w którym nie było nawet pieca, ale który miał tę zaletę, że był tani, bo płaciliśmy za niego razem 7 koron miesięcznie - by oblać tę uroczystość. W czasie szerokiej zabawy straciłem jednak wszystkie pieniądze, a w dodatku jeszcze pogniewałem się ze swym serdecznym przyjacielem Moszorą. Wróciłem nad ranem sam, bez grosza w kieszeni i nawet bez jednego papierosa. Położyłem się spać, a za chwilę wrócił również Moszoro - w podobnym stanie, jak ja - zalany, bez pieniędzy i bez papierosów. Leżeliśmy więc obaj na łóżkach w zimnym pokoju, nie mówiąc do siebie ani słowa. Powypalałem znalezione niedopałki, powytrząsałem cały proch tytoniowy z kieszeni i zrobiłem sobie z niego papierosa, który był moim ostatnim - i znowu położyłem się do łóżka. W ten sposób przeleżeliśmy przeszło 48 godzin - głodni, zziębnięci i zrozpaczeni. Wreszcie uświadomiłem sobie, że takie leżenie i czekanie na zmiłowanie boskie jest bez celu. Zebrałem się więc i osłabiony wyszedłem na planty, gdzie usiadłem wśród śniegu na ławce. Tak siedzącego i medytującego, gdzie by pożyczyć parę groszy, zobaczył mnie mój starszy kolega z Nowego Sącza, niejaki Saturnin Żytyński, który potem jeszcze kilkakrotnie w moim życiu zjawiał się przede mną jako "Deus ex machina", by mnie poratować. Dowiedziawszy się o moim położeniu, zaczął się śmiać i zapewnił,że jak długo pamięć sięga - żaden jeszcze z uczniów Uniwersytetu nie umarł z głodu. Pożyczył mi 5 koron i zafundował obiad w kuchni akademickiej, a co najważniejsze - przepoił mnie na całe życie wiarą, że tak czy inaczej złe minie i że wobec tego nie mam powodu martwić się obecną sytuacją. Nie zapomniałem jednak o Moszorze i natychmiast poszedłem do domu, aby - choć się na niego gniewałem - również i jego wydobyć z tarapatów. Ale jego już nie zastałem, bo on też znalazł jakąś "opatrzność". Pełen otuchy i wiary w słuszność tezy Żytyńskiego, poszedłem też zaraz wieczorem do knajpy, gdzie spotkałem również Moszorę i gdzie obaj musieliśmy popić na zgodę. Na drugi dzień z pozostałej forsy kupiłem bilet kolejowy i wyjechałem do domu na święta.

Wróciwszy do Krakowa, pogrążyłem się znowu w nauce, w lekcjach i w życiu akademickim. Wtedy to życie zostało wstrząśnięte wiadomością, że lubiany powszechnie i bardzo ceniony, jako uczony, gramatyk i znawca języka polskiego, prof. Baudouin de Courtenay miał stracić katedrę, ponieważ nie chciano z nim odnowić kontraktu. Opinia studentów była podzielona: po jednej stronie stali wszyscy "lojalni" uczniowie, narodowi i konserwatywni, dla których ideałem było przede wszystkim zrobienie jak najszybciej i jak najlepszej kariery - i którzy nie chcieli się narażać na podejrzenie o solidaryzowanie się z radykalnym profesorem - a po drugiej - cała młodzież postępowa, która zrobiła z niego swój sztandar.

Zwoływano więc wiece i komersy pro i contra - i na jednym z takich komersów, na którym przemawiali różni - mnie uderzył przede wszystkim jakiś niski brunet z małą brodą, o czarnych, głęboko osadzonych oczach, o chrystusowej twarzy, który spokojnym, przeciągłym trochę głosem mówił o postępie, o wolności i o konieczności walki z reakcją, widząc jej przejaw również w usunięciu z katedry prof. Baudouina. Nim mnie jeszcze zdołano poinformować, że jest to medyk Ryszard Kunicki, prezes "Zjednoczenia" młodzieży postępowej na Uniwersytecie, miejsce mówcy zajął inny, w którym natychmiast poznałem dawnego kolegę gimnazjalnego Włodka Rogosza. Podniosłym stylem i z niesłychanym zapałem mówił on o zrywaniu kajdan, o dążeniu do wyzwolenia człowieka i o walce z ciemnotą,gwałtem i wyzyskiem. Słowa mówcy padały na moją duszę, w której zawsze tkwiło umiłowanie wolności i nienawiść do przemocy, jak rosa na rozpalony kamień - i pochłaniałem je jak spragniony, któremu wskazano krynicę. Zobaczyłem po raz pierwszy, że na Uniwersytecie jest nie tylko młodzież, która marzy o karierze: o bomblerkach i o nauce, lecz również młodzież, która marzy o walce i o buncie. Moim najgorętszym pragnieniem stało się teraz zbliżyć do tej młodzieży i zacząć z nią współdziałać.

Podczas komersu zapoznałem się z młodym medykiem Bronisławem Koszutskim i on pierwszy dał mi informacje o tych ludziach, którzy skupiali się w "Zjed-

noczeniu". Marzyłem teraz tylko o tym, by do niego również przystąpić, ale powiedziano mi, że musi mnie "polecić" dwóch członków, którzy zaręczą za mój charakter i za moje postępowe zapatrywania. A ja nie znałem nikogo, oprócz kilku kolegów z Nowego Sącza i kilku kolegów z przyrody. I znowu wybawił mnie z kłopotu kol. Zytyński, który się przyznał, że on też był członkiem "Zjednoczenia". On więc i Koszutski oświadczyli gotowość polecenia mnie i zaręczenia za mnie - i w ten sposób zostałem członkiem "Zjednoczenia", do którego przylgnąłem też całą duszą.

Skupiało się w nim bodąj wszystko, co tylko było wówczas najlepszego w Krakowie. Poprzez "Zjednoczenie" przeszli obaj bracia Grabscy: Stanisław i Władysław, późniejsi ministrowie Rzeczypospolitej; bracia Zakrzewscy, jeden profesor historii i senator, a drugi - profesor fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim; bracia Stulniccy, z których jeden wsławił się propagandą za współpracą z Niemcami; Grużewski, znany potem publicysta endecki; zawsze smętny Horbaczewski, późniejszy wybitny działacz litewski; Strug-Gałecki, powieściopisarz; rozwichrzony, ale zdolny Tadeusz Ulanowski, zawsze wymowny wyższy urzędnik Ministerstwa Pracy, który potem popisywał się swymi dziwacznymi utworami literackimi; Edward Klich z siostrą, późniejszy profesor polonistyki na Uniwersytecie poznańskim, skończył tragicznie w czasie inwazji niemieckiej; August Kisielewski, dramaturg; cała plejada młodzieży z Kongresówki, która się nie mogła pogodzić z przemocą rosyjską - i socjaliści, jak Emil Haecker, późniejszy redaktor "Naprzodu"; Kapellner-Kaplicki, później prezydent Krakowa; Kaczanowski, redaktor i poseł, jeden z najczystszych i najbardziej ofiarnych młodych zapaleńców; Klemensiewicz, redaktor "Prawa Ludu", senator i dyrektor Ubezpieczalni krakowskiej; oryginały: kaukazczyk Nowicki i Białorusin Majewski, z których pierwszy przemawiał zawsze przez trzecią osobę i zbierał namiętnie druki bibliograficzne, a drugi paradował po Krakowie w długiej czerwonej koszuli, przepasanej rzemieniem, z ogromnym kapeluszem słomianym na głowie; - a oprócz tego koleżanki, spośród których wybijała się Maśka Dulębianka, późniejsza wybitna artystka dramatyczna, Markowska, poetka - i cały szereg przemiłych koleżanek i kolegów, których wszystkich trudno by mi było wymienić z nazwisk.

To "Zjednoczenie" stało się dla mnie nową rodziną; odbywały się w nim zawsze niemal ciekawe odczyty polityczne i literackie, dyskusje i herbatki - i zżyłem się z nim tak, że nie mogłem się bez niego obejść. Bardzo wnet zacząłem też w nim odgrywać pewną rolę i zostałem jego sekretarzem. Zmieniłem też dotychczasowe mieszkanie i przestałem teraz chodzić do knajp z damską kapelą na piwo i na wódkę, a coraz częściej zacząłem zachodzić do kawiarni Schmidta, która mieściła się wtedy na plantach, na rogu Szewskiej, i w której królowały kudłate łby młodych literatów i malarzy, peleryny i działacze społeczni.

Raz, kiedy dla zohydzenia socjalizmu wznowiono ohydną sztukę: "Kusiciele ludu" postanowiliśmy zademonstrować i podnieść publicznie protest przeciwko zohydzeniu walki o wyzwolenie, jak również przeciwko poniżaniu sztuki. W tym celu poszliśmy gromadnie na galerię i w czasie przedstawienia zaczęliśmy głośno krzyczeć i protestować. Policja, która była już o tym z góry powiadomiona, rzuciła się na demonstrujących - i znany agent policyjny Hoga zaaresztował między innymi również mnie. Odprowadzono mnie do aresztu "Pod Telegrafem", gdzie razem z ostatnimi szumowinami przesiedziałem trzy dni, zaczem mnie wreszcie jako akademika uwolniono. To zbliżyło mnie jednak tylko do walczących. Zacząłem czytać teraz broszury socjalistyczne, Kautsky'ego, Bebla, a nawet "Kapitał" Marxa, który jednak nigdy mnie nie zachwycił - lecz mimo to ani na chwilę nie zmniejszyłem swego zainteresowania naukami przyrodniczymi, a zwłaszcza zoologią.

W tym roku Słomiana została sprzedana, a Święta Bożego Narodzenia 1899r były ostatnie, które w niej spędziłem, a jednocześnie pierwsze smutne i ponure. Rodzice przygotowywali się bowiem, by na Trzech Króli opuścić ją na zawsze. Byłem też w domu bardzo krótko i zaraz po Bożym Narodzeniu opuściłem dom rodzinny, z którym łączyło mnie tyle wspomnień i tyle nierozerwalnych nici, a którego nie zobaczyłem już nigdy w życiu. Słyszałem tylko potem, że tam, gdzie były dawniej rabatki z kwiatami, teraz rosły ziemniaki; że drzewa zostały powykarczowane i że to miłe ustronie zmieniło się na zwykłe chłopskie obejście.

Po trzydziestu kilku latach byłem w tych stronach jeszcze raz z okazji przemawiania na zgromadzeniu robotników rafinerii w Limanowej - w Domu Robotniczym, który nosił nazwę mojego imienia - i spotkałem chłopów słomiańskich jako towarzyszy idei i walki, ale nie miałem odwagi, by zobaczyć, jak życie z konieczności i swego rozwoju przeistoczyło poezję na prozę.

Miałem więc być teraz "bezdomnym" lecz przygarnął mnie Kraków, który - choć nie miałem w nim własności - stał się jednak dla mnie nowym, szerszym domem. Przylgnąłem też do niego całą duszą, na całe życie, bo w nim - w jego pokrytych zielenią kopułach, w jego kościołach, w jego Rynku i Zamku, który był pomnikiem wielkości narodu - odnalazłem nowe swe miejsce rodzinne.

W tym czasie Witold, który znowu uciekł z "posielenia" i mieszkał teraz na Zachodzie - w Paryżu czy w Londynie - znęcony pogłoskami o amnestii, powrócił i zgłosił się do wojska. Ponieważ kazano mu jednak za karę odsłużyć 6 lat, postanowił na nowo uciec, tym razem jednak już do Brazylii. Przyjechał więc ojciec i zaopatrzył go w odpowiednią sumę, chciał go przemycić do Genui skąd miał już jechać na drugą półkulę. Ja miałem mu towarzyszyć do Wiednia i tam załatwić wszystkie sprawy biletu i "schiffkarty". Byłem przejęty i poruczoną mi rolą - i myślą, że zobaczę Wiedeń - milionowe i wspaniałe miasto - i wieczorem, przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności, wsadziłem Witolda do pociągu, który miał nas odwieźć w świat. Zadowolony wyszedłem na peron, by kupić sobie papierosy, lecz - gdy wróciłem - struchlałem: Witold wdał się tymczasem w jakąś zażartą sprzeczkę z dwoma austriackimi żandarmami o miejsce. Na szczęście skończyło się bez katastrofy; Witolda wyekspediowałem i pożegnałem serdecznie, nie wiedząc, czy i kiedy spotkam go jeszcze w swym życiu. W Wiedniu, który mi się ogromnie podobał, zostałem jednak jeszcze dwa czy trzy dni, w czasie których byłem w teatrze, zwiedziłem muzea i zbiory zoologiczne - i Schönnbrun i Kahlenberg i Prater - i syty wrażeń wracałem do domu.

W drodze powrotnej, którą odbywałem pociągiem osobowym wlokącym się w nieskończoność, poznałem przemiłą Czeszkę p. Olgę - i oboje zawróciliśmy sobie głowy. Zwierzaliśmy się nawzajem ze swych sympatii i wrażeń; mówiliśmy o wszystkim; całowaliśmy się i postanowiliśmy sobie utrzymać nasz stosunek na całe życie. Przy pożegnaniu wyściskałem i wycałowałem ją bardzo serdecznie, a ona mnie - i tak miał się rozpocząć romans na odległość. Ja pisywałem miłosne listy do niej, do Czech - a ona do mnie, do Krakowa - i trwałaby ta korespondencja miłosna Bóg wie jak długo, gdyby nie to, że Olga w pewnym momencie potrąciła o kwestię małżeństwa. Przeląkłem się i uświadomiwszy sobie, że mógłbym faktycznie stracić swą dotychczasową swobodę, którą ceniłem ponad wszystko, zerwałem z Olgą delikatnie.

Podobną "wagonową" znajomość o podobnym zresztą zakończeniu zawarłem potem jeszcze raz - w czasie jazdy z Bochni do Krakowa. Poznałem się wtedy z bardzo ładną wiejską dziewczyną z Łękty pod Bochnią, a ponieważ charakteryzowałem się wówczas na robotnika i chodziłem w granatowej koszuli, z miękkim wykładanym kołnierzem, przewiązanym zamiast krawatki tylko jedwabnym kolorowym sznureczkiem, więc moja donna wzięła mnie za prawdziwego robotnika z Morawskiej Ostrawy, za którego mogła by się wydać. Po tym flircie w wagonie spotkaliśmy się oboje na plantach - i wówczas zaprosiła mnie na wesele swej siostry z jakimś fiakrem, na które właśnie ze "strykiem" przyjechała. Wesele miało się odbyć w sali Goldfingera przy ulicy Sw. Filipa, w znanej mordowni, ale mimo to na nie poszedłem, bo moja Kasia była bardzo ładna. Asystowałem jej, tańczyłem z nią, piłem całowałem ją i ściskałem, aż w pewnym momencie "stryk" zaprosił mnie do swej kompanii i postawił mi piwo. Przy kuflu zaczął mi opowiadać o bratanicy, przedstawiając, że będzie miała parę morgów ziemi i dwie krowy i pół chałupy - i oświadczył, że mógłbym się z nią ożenić. Przeląkłem się nie na żarty, a ponieważ już od dłuższego czasu spostrzegłem, że wchodzę komuś "w kapustę" i uświadomiłem sobie, że zazdrosny konkurent w tym towarzystwie może mnie zdzielić majchrem bez żalnych ceregieli, drapnąłem przezornie, pozostawiając swą "narzeczoną", jej morgi, krowy i chałupę na los szczęścia.

Finansowo było mi teraz trochę lepiej, bo obiady jadałem u Jerzego, który w międzyczasie, po ożenieniu się, został przeniesiony jako profesor do gim-

nazjum Św. Anny - i któremu przepisywałem za obiady skrypty "Spinozy", a potem "Na srebrnym Globie". W domu Jerzego poznałem też wszystkie ówczesne gwiazdy literatury polskiej. Tetmajera, Przybyszewskiego, Rydla, Kasprowicza, Brunera - Stena i cały szereg pomniejszych przedstawicieli "Młodej Polski", jak Stasinka Gierosławskiego, Konrada Rakowskiego, Brzozowskiego i innych, którzy skupiali się dookoła "Życia", tygodnika literacko-artystycznego - i zbierali się w kawiarni Turlińskiego, naprzeciwko teatru. Wszyscy oni byli "wyżsi" nad tłum, pielęgnowali swoje "nagie dusze", byli niezrozumiani i chorzy - i by wyleczyć swe nerwy, zalewali się absyntem, koniakiem lub wódką. Wyśmiewaliśmy ich, a jednak zawsze ja i całe "Zjednoczenie" przeżywaliśmy bardzo intensywnie każdą ich nowość literacką - i zachwycaliśmy się Przybyszewskim czy Żeromskim, szukając w ich utworach podniet, których nie znajdowaliśmy w życiu. Na codzień życie to bowiem, złożone z wykładów, koniecznych zajęć zarobkowych, kawiarni, odczytów i flirtów, wydawało się nam, którzy czekaliśmy na jakieś wielkie epokowe zdarzenie - na jakąś rewolucję świata czy ducha, mającą wstrząsnąć ludzkością - czymś zbyt szarym, zbyt nudnym, zbyt małym i zbyt spokojnym. Nie znajdując więc tych wielkich podniet w rzeczywistości, tymczasem czerpaliśmy je z literatury: szarpiąc swoje własne dusze i nerwy. Zachwycaliśmy się najpotworniejszymi dramatami Ibsena, jak "Dzika Kaczka", Przybyszewskiego, jak "Śnieg", "Goście" czy "Dla szczęścia",lub utworami ponurych pisarzy rosyjskich. "W sieci" - dramat naszego kolegi ze "Zjednoczenia", Augusta Kisielewskiego, który wystawił go z wielkim powodzeniem, a w którym smagał filistrów i karierowiczostwo - powitaliśmy też, jak powiew świeżego powietrza. Ale największe wrażenie wywarło na nas "Wesele" Wyspiańskiego. Do dziś dnia pamiętam jego premierę, która się ciągnęła gdzieś do drugiej czy trzeciej godziny nad ranem i w której, jak w kalejdoskopie, przesuwał się w naszych obu oczach obraz całego ówczesnego społeczeństwa. Jak żywego, widzę tego konserwatywnego dziennikarza, który spowiadał się "z cudzych grzechów" - i Stańczyka, rzucającego mu błazeński kaluceusz, by nim dalej "mącił narodową kadź"; literackiego "latacza", który - siadając wysoko na kalenicy - nie umiał widzieć, co się dzieje blisko w sercach ludu - i chłopa, który "zgubił złoty róg". Byłem oszołomiony tym wszystkim - i niemal drżąc, sam jak zaczarowany, patrzyłem, jak tam cały krąg społeczny: chłopy pany - pany chłopy - zasłuchani w skrzypkę Chochoła, obracali się w kółko półsenni, nie przewidując, że idą wypadki, które ich tak wkrótce otrzeźwią i zbudzą.

Zapisałem się do Towarzystwa Uniwersytetu Ludowego, które urządzało popularne wykłady i odczyty na temat całego szeregu aktualnych lub naukowych zagadnień. Na jego zjeździe, w którym wzięła udział cała niemal postępowa część społeczeństwa, wybrano mnie sekretarzem - i siedząc na trybunie prezydialnej, pożerałem oczami uroczą towarzyszkę Marylę, która - otoczona rojem starszych towarzyszy, od Daszyńskiego począwszy, brylowała na sali swoją osobą i która była dla mnie wówczas najwyższym wyrazem wykwintu kobiecości. Była śliczna, jak obrazek- ubrana, jakby wycięta z żurnalu - pachnąca, roześmiana, wesoła, a przy tym socjalistka, która walczyła razem ze mną o nowy świat. Była ona wówczas ode mnie tak strasznie daleka, że nawet nie śmiałem marzyć, by się do niej zbliżyć. Życie jednak zbliżyło nas potem bardzo i pozwoliło przeżyć razem kilka miłych chwil, by nas znowu rozłączyć na zawsze.

W tym czasie rozwiązany został parlament austriacki, a w grudniu 1900 roku miały się odbyć nowe wybory. O mandat z V kurii ubiegał się dotychczasowy poseł Daszyński, któremu przeciwstawiano kandydatury chłopa Ptaka z Bieńczyc i klerykalnego profesora gimnazjalnego Krotowskiego. Reakcja poruszała wszelkie sprężyny, by tylko Daszyńskiego obalić, toteż z drugiej strony sfery postępowe i socjalistyczne wytężały wszystkie siły, by atak odeprzeć. Ja wysłany zostałem na agitację do jednej z najbardziej zagrożonych części okręgu, w okolicy Ruszczy i Mogiły, gdzie właśnie mieszkał Ptak - i tam, pod kierownictwem jednego z robotników, Grochala, rozpocząłem swą pierwszą działalność agitacyjną. Dziś, pisząc te wspomnienia, zobaczyłem właśnie na murze skromną klepsydrę, zawiadamiającą lakonicznie, że umarł Jan Grochal. A przecież zasłużył on sobie, by powiedzieć o nim, że był to jeden z pięknych typów robot

niczych. Może nie był orłem; może było wielu, którzy przewyższali go inteligencją, rozumem i wiadomościami, ale mało było takich, którzy by mieli większy niż on zapał w walce; większą wiarę, że stwarzają szczęśliwszą przyszłość dla swej klasy społecznej i dla całej ludzkości - i większe wytrwanie w szeregach - chociaż nieraz znajdował się w takich ciężkich warunkach życiowych.

W czasie takiej jednej właśnie podróży agitacyjnej natknąłem się na swego dawnego katechetę z gimnazjum Sw. Anny, ks. Rychlaka, który teraz został proboszczem w tej właśnie okolicy. Poznał mnie od razu i przez nos powiedział mi, że mu to "bardzo - bardzo przykro, że spotyka mnie w takim towarzystwie". A gdym się go ironicznie spytał, "dlaczego", odpowiedział: "bo socjaliści to złodzieje i draby". Chciałem go chwycić za sutannę, ale pośpiesznie wsiadł na bryczkę i wyjechał w stronę Pleszowa, gdzie mieszkał. Wynik wyborów był niespodziewanie pomyślny. Daszyński otrzymał przeszło 15 tysięcy głosów, podczas gdy obaj kontrkandydaci razem dostali zaledwie 9 tysięcy, - a również i okolica, w której agitowałem, popisała się doskonale.

Po wyborach, w czasie których musiałem rzucić cały szereg lekcyj i zaniedbałem się nieco w swych studiach, powoli wracałem do normalnych zajęć. Dostałem nowe lekcje i - jakby na ironię - w znanym pensjonacie p. Hołubowicza, w którym mieszkali wyłącznie synowie arystokratycznych rodzin. W zetknięciu się z nimi przekonywałem się nieraz, ile w tych młodych ludziach tkwiło ignorancji, zacofania i przesądów, a równocześnie, ile było w nich buty i korzenia się jedynie przed siłą. Deptali oni bezlitośnie po każdym, kto tylko wydawał im się słabszy, ale równocześnie ulegali natychmiast, gdy zobaczyli bat w ręku. Pamiętam, jak raz w czasie obiadu, przy którym zawsze asystował na przemian jeden z nas, korepetytorów - któryś z tych małych arystokratów nie chciał wziąć na talerz jarzyny, oświadczając, że będzie jadł tylko samo mięso. Po zwróceniu uwagi p. Hołubowicza, że "tylko dzikie zwierzęta jedzą samo mięso" - ten odpowiedział mu niegrzecznie: "To właśnie ja chcę jeść tak, jak dzikie zwierzę", Na to Hołubowicz, nie zastanawiając się zbyt długo, chwycił za trzcinę,która zawsze leżała na stole, i zaczął nią biedaka okładać tak, że ja się przeląkłem. Poskromiony chłopak, bez protestu sięgnął jednak natychmiast po jarzynę i podlewając ją własnymi łzami, spucował już posłusznie. Drugi raz, kiedy przyszedłem na lekcję, jeden z tych chłopaków, rozwalony niedbale na łóżku - nawet nie wstając na moje przywitanie - oświadczył, że dziś odbędziemy lekcję leżąco, bo on jest zmęczony. Kiedym się jednak na to nie zgodził, odpowiedział impertynencko, że mi za to płacą, bym go uczył, bez względu na to, czy on sam będzie siedział czy leżał. Pierwszy raz w życiu pobiłem swego ucznia - i waliłem go trzcinką tak, że wreszcie jak poskromione zwierzątko, skromnie siadł do stołu. W życiu widziałem potem tych ludzi, już jako dorosłych, jak płaszczyli się przed władzą Piłsudskiego, którego bez wiedzy nazywali bandytą,i jak bez godności służyli reżimowi hitlerowskiemu.

W ciągu tych trzech lat, które spędziłem już na Uniwersytecie, w ostatnim roku stosunki wśród młodzieży uległy bardzo gruntownej zmianie. Kiedy dawniej na Uniwersytecie istniały tylko trzy wyraźne grupy: młodzież konserwatywna, grupująca się w "Jagiellonii"; postępowa - w "Zjednoczeniu" i politycznie indyferentna - w "Czytelni akademickiej", to teraz potworzyły się grupki i koterie, zwalczające się nawzajem to na tle różnic faktycznego rozwiązywania zagadnień politycznych, to na tle narodowościowym, a nawet kulturalno-obyczajowym.

W "Zjednoczeniu" utworzyła się grupa, która - pozostając pod wpływem Ludwika Kulczyckiego, propagowała nawrót do terroru, naśladując pod tym względem taktykę dawnego "Proletariatu". Kilku z tej grupy wynajęło wspólne mieszkanie przy ulicy Batorego i zaczęło żyć we wspólnym gospodarstwie. Ta "komuna" była jednak od razu wyrazem największego niechlujstwa i brudu. W dużym mieszkaniu nie było żadnych mebli: na podłodze pościelona była słoma, pokryta jakimiś łachami, a jedynymi sprzętami były dwa stołki, maszynka spirytusowa, miednica i dzbanek na wodę. Królował tam jakiś emigrant - Żyd z Litwy, Rubinstein,który uciekł ze szkoły rabinackiej, mówiący kiepsko po polsku, ale zdolny i niesłychanie zapalony; jakiś młody, sympatyczny robotnik z Zagłębia, który uciekł

po dokonanym akcie terrorystycznym - i którego spotkałem po latach w Detroit; jakiś student z Brukseli z bródką w szpic, który namiętnie hipnotyzował - i ofiara jego eksperymentów, przemiły medyk, syn znanego malarza, który pierwszy zainicjował małżeństwa artystyczno-chłopskie - Kazio Pruszkowski, z którym wspólnie agitowaliśmy przedtem za Daszyńskiego w czasie akcji wyborczej, tylko on szalał w innej części powiatu, a ja w innej. W tej "komunie", do której zachodził również jako prorok nowego "Proletariatu" p. Róg, późniejszy dyrektor cementowni, który potem bardzo wnet zapomniał o swych chmurnych i górnych polotach - schodziliśmy się często i - leżąc w brudzie i w zimnie na podłodze - godzinami prowadziliśmy dyskusje i spory co do słuszności taktyki, jaka powinna być zastosowana w walce o socjalizm.

Drugą kwestią, która wywoływała w "Zjednoczeniu" jeszcze bardziej zażarte dysputy i walki - to była kwestia stosunku socjalistów do spraw narodowościowych. Bardzo wnet "Zjednoczenie" podzieliło się na dwa wrogie obozy : zwolenników PPS i Piłsudskiego oraz zwolenników SDKPiL. Ja zwalczałem zarówno stosowanie terroru, jak i prowadzenie jakiejś odrębnej akcji narodowej, uważając, że wyzwolenie ludzkości i poszczególnych narodów może się dokonać jedynie w demokratycznej walce, prowadzonej równocześnie przez wszystkie narody. Spory te roznamiętniły się do tego stopnia, że utrzymanie jednej wspólnej organizacji młodzieży postępowej stało się już wprost niemożliwe - i zasłużone "Zjednoczenie", w którym tyle miłych chwil przeżyłem, zostało roztrzaskane - i padło.

Na jego miejsce utworzyliśmy "Ruch", który miał skupiać w sobie tylko prawdziwie socjalistyczne żywioły - i ja zostałem jego pierwszym prezesem.

Pamiętam, jak raz, wśród zażartej dyskusji, zobaczyłem nagle od stołu prezydialnego młodą, nieznaną mi dotąd towarzyszkę na końcu sali. Spodobała mi się ogromnie, a gdym się z nią zapoznał, nie mogłem już jej obrazu i głosu zapomnieć. Była drobna, o delikatnym owalu twarzy, brunetka o przecudnych aksamitnych oczach, która mówiła, jakby dzwonił srebrny dzwonek - i tak niewinnie patrzyła na nas wszystkich... To była Marynka, w której teraz zaczęliśmy się kochać wszyscy na zabój. Kochał się w niej młody student, zesłany na Syberię, skąd posyłał jej pełne tęsknoty i miłości listy, - i cichy, sympatyczny student medycyny, który stracił nogę - i jakiś młody literat z Łodzi - i mój serdeczny przyjaciel Bronek Koszutski, z którym o mało nie zerwaliśmy naszych stosunków - i zakochałem się w niej ja, który wówczas widziałem w jej oczach cały świat.

W tym czasie na Uniwersytet Jagielloński zapisało się kilkuset studentów ruskich, którzy opuścili Uniwersytet Lwowski, ogłaszając wobec niego bojkot. Naturalnie teraz wyłoniła się od razu "kwestia ruska" również i w Krakowie - i również i tam rozpoczęła się walka na tle stosunków Polaków do Rusinów. Przyjeżdżali do Krakowa na "gościnne występy" studenci narodowo-demokratyczni: Stroński i Dubanowicz, z którymi prowadziłem zażarte walki, nie przypuszczając, że będę je znowu kiedyś toczył z nimi, tylko już na arenie Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej, zwalczając ich jako posłów. Spokojny Kraków zawrzał - odbywały się teraz ustawicznie komersy i wiece, na których namiętnie przemawiałem, zdobywając sobie przez to sławę wiecowego mówcy. Broniłem na nich zasze zasady równouprawnienia - i raz - mówiąc o roli, jaką wielcy wieszczowie narodu chcieli przypisać Polakom, przypomniałem, jak to Winkelrid skierował włócznię przemocy w swoje własne serce, by tylko utorować drogę wolności. Przez cały czas tej secesji ruskiej byłem też jako prezes "Ruchu" pewnego rodzaju protektorem i obrońcą kolegów ruskich, spośród których z wielu zawarłem wówczas bardzo serdeczne i trwałe stosunki przyjaźni. Spośród tych krakowskich secesjonistów utrwaliły mi się w pamięci nazwiska: Łuckiego, który był potem wybitnym członkiem UND i posłem, dr Starosolskiego, Tomnickiego, syndyka Ubezpieczalni Lwowskiej - i przedwcześnie zmarłego Tanczakowskiego. Oni wszyscy wnieśli wówczas do Krakowa nową atmosferę śpiewu, muzyki - i wnieśli do niego pewną wschodnią rozlewność i sentymentalizm.

Wreszcie poza tymi wszystkimi grupami, które się tworzyły na postawach społecznych lub narodowościowych, wyłaniała się nowa grupa "etyczna" prof.

Lutosławskiego. Otrzymał on katedrę filozofi ścisłej czy badań nad twórczością Słowackiego - i wykładami swymi zjednywał sobie teraz coraz większą popularność i wpływ na młodzież. Wykłady te miały się odbywać raz czy dwa razy w tygodniu po godzinie, a przedłużały się nieraz na całe pół dnia - tak, że mający wykładać po Lutosławskim inni profesorowie zastawali salę zajętą i musieli wykłady zawieszać albo szukać innych wolnych sal. Wykłady te stały się pewnego rodzaju wiecami, na które schodzili się wszyscy: jedni z przekonania, inni z ciekawości, którą Lutosławski podniecał tym, że po upływie godziny wzywał wszystkich, by wyszli, bo teraz będzie mówił jedynie do wybranych, co naturalnie miało tylko ten efekt, że wszyscy czekali do końca, nieraz aż do późnej nocy. Kiedy w tych warunkach senat wykłady te zawiesił, Lutosławski kontynuował je przed uniwersytetem, na plantach, a potem na błoniach, aż wreszcie położyła im kres policja, uważając je za niezgłoszone zgromadzenia. Zwolenników swych Lutosławski zorganizował w osobne stowarzyszenie czy klub pod nazwą "Eleuteria", w którym - mówiąc o "wyzwoleniu ducha" - propagował nudyzm i poczwórną wstrzemięźliwość: od alkoholu, tytoniu, mięsa i stosunków płciowych.

Pewnego razu zawiadomił mnie Jerzy, że Lutosławski szuka nauczyciela dla swych małych córeczek, które - mając matkę Hiszpankę - nie mówiły zupełnie dobrze po polsku - i radził mi, bym te lekcje objął. Poszedłem więc na ulicę Czystą, gdzie Lutosławski mieszkał - i ten wyznaczył mi termin rozmowy na godzinę 5-tą rano. Brama była jeszcze zamknięta, otworzył mi ją więc zaspany dozorca, lecz do mieszkania wpuściła mnie już wyświeżona pokojóweczka, która wprowadziła mnie do gustownego saloniku, zawiadamiając, że pan profesor natychmiast nadejdzie. Faktycznie po paru minutach zjawił się Lutosławski w stroju adamowym, mając na sobie jedynie narzuconą na ramiona jakąś długą chlamidę z białego, góralskiego sukna. Ten jego strój oraz żądanie, bym lekcje odbywał o godzinie 5-tej rano dlatego, że wtedy umysł jest najmniej zmęczony, spowodowały, że lekcji tej nie mogłem przyjąć. Jego samego zacząłem jednak uważać za komedianta albo za wariata, choć jego wpływ i oddźwięk nauki utrzymywały się wśród innych jeszcze długo potem.

Nawiązałem natomiast coraz bliższe stosunki z socjalizmem, i z reprezentującą go Polską Partię Socjalno-Demokratyczną Galicji i Śląska. Zacząłem chodzić na zgromadzenia do "Ujeżdżalni" - dużej szopy pod "Kapucynami", która leżała mniej więcej w tym miejscu, gdzie wznosi się dziś gmach Wyższej Szkoły Handlowej; zapisałem się do partii oficjalnie; chodziłem do "Związku Stowarzyszeń Robotniczych", którego lokal - brudny i obdarty - mieścił się wtedy przy Małym Rynku 6 - i tam wygłaszałem odczyty i wykłady na tematy przyrodnicze: "Jak powstała ziemia", "Jak powstało życie", o darwinizmie lub o człowieku pierwotnym.

Jako przedstawiciel młodzieży socjalistycznej wziąłem udział w VIII kongresie partii, który odbył się we Lwowie w czerwcu 1901 r. i w czasie którego poznałem prawie wszystkich ówczesnych matadorów ruchu socjalistycznego całego kraju. Coraz częściej zachodziłem też teraz do restauracji Machaufa "Pod Garnkiem", obecnego "Józefa", która wówczas była "stamm-knajpą" sztabu socjalistycznego. Przychodzili tam: poseł Daszyński, którego nazywano "robe" i którego zdanie było niemal wyrocznią, choć miał on wówczas zaledwie trzydzieści kilka lat; chodził młody adwokat Heski, który stale bronił wszystkich socjalistów i wymyślał coraz dowcipniejsze kruczki w walce z ówczesnymi sądami; koncypient adwokacki Zygmunt Marek - miękki, dobry, subtelny i zdolny mówca, ulubieniec robotników, których zjednywał sobie swą jowialnością i prostotą; przychodzili członkowie redakcji "Naprzodu", na czele z Emilem Haeckerem, erudytą, który wiedział wszystko i pisał niesłychanie cięte i złośliwe nieraz artykuły; z Czakim, który pilnie śledził politykę austriacką i zagraniczną oraz z Kazimierzem Kaczanowskim, jednym z najmilszych i najlepszych chłopskich agitatorów; chodził tam poważny Jan Englisch, były drukarz, a obecnie sekretarz miejskiej kasy chorych, urodzony komik, który już sam swoją miną mógł rozśmieszyć całe towarzystwo - i Leon Misiołek, drukarz piastujący stale funkcje przewodniczącego zgromadzeń ludowych, czysty dobry towarzysz, który - chodząc z dużą lagą w ręku - ustawicznie perorował i pouczał wszystkich; dr Bałanda,

kierownik i organizator Związku Stowarzyszeń Robotniczych; Zygmunt Klemensiewicz, który wiecznie projektował coraz to nowe wydawnictwa i godzinami nieraz zabawiał całe towarzystwo swymi "witzami" i dowcipami; rozwichrzony koncypient adwokacki dr Józef Drobner, brat Bolesława; młodziutki lekarz Maurycy Käpellner - i ja. Rolę podoficerów w tym sztabie spełniali wtedy starsi robotnicy: Kurowski - drukarz, który robił w Związkach Zawodowych, ponury Sułczewski, kamieniarz a potem urzędnik Kasy Chorych - człowiek, który odbył 3 lata więzienia za zamach na Dyrekcję policji; zapalony Bryniarski, szewc, który był duszą wszystkich przedstawień amatorskich - i szewc Serkowski, który potem tak niegodnie zdradził. Nawiązane w ten sposób stosunki towarzyskie zbliżyły mnie przede wszystkim do redakcji "Naprzodu", na którego łamach rozpocząłem też pierwsze swoje próby dziennikarskie, a potem - gdy potraciłem lekcje - do jego administracji, gdzie znalazłem zajęcie zarobkowe.

Ale mimo tych wszystkich zajęć, mimo udziału w życiu akademickim, w "Ruchu" i w Partii - nie przestawałem ani na chwilę zajmować się studiami. Robiłem cały szereg bardzo interesujących prac zoologicznych i nieraz godzinami całymi ślęczałem nad mikroskopem czy nad skalpelem, zjednując sobie opinię jednego z najzdolniejszych uczniów. Lubiłem też tę pracę - zwłaszcza w pracowniach, gdzie wśród nas wszystkich, których nieraz było tylko kilku, panował prawdziwie koleżeński nastrój.

Raz dr Garbowski, który wykładał etymologię owadów o godzinie 8-tej rano, rozmawiał ze mną o jakiejś musze, a gdy mu powiedziałem, że muchę tę znalazłem i mam ją w swym zbiorze, który gromadziłem bardzo skrzętnie i umiejętnie, poprosił, bym mu ją pokazał. W tym celu poszedł ze mną do mego mieszkania, a ja - nie przewidując niczego - otwarłem mu drzwi, wpuszczając go na-przód. Lecz naraz zażenowany Garbowski cofnął się o krok, a ja spoza niego - ku swemu największemu zdziwieniu - zobaczyłem rozwaloną na moim łóżku jedną ze swych licznych dawnych przyjaciółek. Garbowski, nie patrząc dyskretnie w tę stronę, wziął owada i wyszedł, a ja wściekły zacząłem indagować, skąd ta dziewczyna tam się znalazła, skoro ja przecież, wychodząc, z domu, zamknąłem drzwi na klucz - i jej tam nie było. Okazało się, że przechodząc koło mego domu - wstąpiła, by zobaczyć, czy mnie nie ma, a ponieważ stróżka, która ją znała, otwarła właśnie pokój, by go sprzątnąć, więc weszła i kazała się zamknąć, czekając w ten sposób na me przyjście. Byłem na nią wściekły i oburzony, ale cóż - kiedy tego wszystkiego nie mogłem już odrobić, i moje stosunki z docentem zostały od tego czasu bardzo oziębione - tym bardziej, że właśnie ostatnio - ze względu na pracę w administracji "Naprzodu" - musiałem się nieco opuścić i zaniedbać w nauce.

Musiał to stwierdzić i zauważyć również mój profesor, bo raz - wezwawszy mnie do siebie i mówiąc ze mną w najbardziej przyjacielskim tonie - zaczął mi robić wyrzuty, że zawiodłem nadzieje, które on ze mną związał. Mówił, że muszę się w życiu zdecydować: albo na politykę albo na naukę... Wskazywał, że stosunki pomiędzy ludźmi, a więc wszelkie zagadnienia społeczne czy polityczne są zawsze tylko przemijające i zmienne, a niezmienna i wieczna jest jedynie nauka, którą ja dla tych przemijających zagadnień chcę porzucić. Równocześnie przedstawił mi możliwość uzyskania asystentury i stypendium w Międzynarodowej Stacji Doświadczalnej w Neapolu, radząc, bym nie zawracał sobie głowy polityką, ale zabrał się szczerze do nauki. Podziękowałem mu bardzo serdecznie za zainteresowanie się mą osobą, ale nie obiecywałem mu niczego.

Przy najbliższej sposobności natomiast, odbyłem długą rozmowę z Daszyńskim, do którego również miałem wielkie zaufanie. Ten stanął na innym stanowisku, niż Wierzejski - i tłumaczył, że zoologów można znaleźć dużo - jednych mniej, innych więcej zdolnych, ale nie można znaleźć na podorędziu ludzi, którzy by mogli walczyć i chcieli stanąć do tej walki. Zresztą zoologia - mówił dalej Daszyński - jest martwa, a ludzie są żywi - cierpią, chcą walczyć i potrzebują pomocy.

W tym czasie - skończywszy cztery lata studiów - wziąłem absolutorium i na wszelki wypadek podałem się o posadę nauczyciela w gimnazjum. Na szczęście, "ze względów politycznych", posady mi odmówiono - i na nowo - tak, jak przy rozpoczęciu studiów uniwersyteckich - stanęło przede mną zagadnienie: co robić dalej?

Rozdział IV

NA ROZDROŻU

Pierwsza myśl, jaka mi się w tej sytuacji nasunęła, była, by wykorzystać wolny czas i odwalić ciążący nade mną obowiązek służby wojskowej. Byłem bowiem zaasenterowany jeszcze w roku 1901 i stosownie do swego podania o służbę jednoroczną, miałem ją odbyć w jakimś węgierskim pułku piechoty we Fiume, w roku 1903-1904. Wniosłem więc podanie, by mi termin służby przyspieszono i otrzymałem na to zgodę z tym, że musiałem ją odbyć w swej właściwej formacji, tj. w 20 pułku piechoty, który rekrutował się w okręgu nowosądeckim.

Zgłosiłem się więc do komendy w Krakowie, gdzie w tej chwili pułk ten stacjonował - i gdym się przebierał, miałem takie wrażenie, jak gdyby mnie ktoś zdzielił pałą w głowę. Byłem przecież w tym samym Krakowie, na własnych śmieciach, a tymczasem był to inny świat, w którym mnie przesadzono wraz ze zmianą mego ubrania. Zamknięty w kasarni przez pierwsze dwa tygodnie, miałem się przede wszystkim nauczyć chodzić, salutować i w ogóle zachowywać się tak, by nie "kompromitować" armii i munduru. Uczono mnie więc głupawych ćwiczeń i ruchów, "sztrefowania" nóg w kolanach, obrotów szyi i tym podobnych mądrości, które mnie stale rozśmieszały. Moi bezpośredni przełożeni: "Dienst - führender Feldfebel" i kierownik szkoły jednorocznych - jakiś kapitan ze Śląska, wydawali mi się tak naiwni, śmieszni i głupi, że patrzyłem na nich z niesłychaną wyższością. A ponieważ uczuć swych nie umiałem ukrywać, więc oni odpłacali mi się za nie tym samym - z tą jedynie różnicą, że oni mieli władzę, a ja byłem bezsilny w ich rękach. Po dwóch tygodniach pobytu w kasarni pozwolono nam wyjść na miasto - i pierwszym moim krokiem była wizyta u Marynki. Nie spodziewała się mnie - i gdy mnie zobaczyła ostrzyżonego, w podkutych butach, w "komiśnym" mundurze i w niezgrabnym mantlu, wybuchnęła płaczem. No, ale wśród pocałunków uspokoiłem ją wnet i wspólnie zastanawialiśmy się teraz tylko, jakbym mógł zrzucić z siebie ten przeklęty mundur, w który się tak lekkomyślnie ubrałem a który już dziś, po dwóch tygodniach noszenia, palił mnie jak koszula Dejaniry.

Miałem już dość wojska i kilka tygodni spędzonych w koszarach wystarczyły mi zupełnie, by przepoić mnie wstrętem do militaryzmu na całe życie. To składanie munduru "w kostkę", którą pierwszy lepszy kapral mógł mi zburzyć, pociągając od spodu sztukę, co do której uznał, że "wystercza"; to nakrywanie butów "szufecami", które zawsze musiały być czyste i w których nie wolno było chodzić; to wieczne pucowanie świecących się guzików, których blask miał być wyrazem porządku i dzielności żołnierza; to "sztrekowanie" się i stawianie nienaturalnych kroków - wszystkie te zajęcia, które dla wielu były najważniejszym zagadnieniem - i te wieczne krzyki, rozbrzmiewające po korytarzach "tagskapral" albo "szalki na bas", a na hofie znowu: "einjährig freiwilliger Zarzycki - mitto - antretten" albo "herstellt" - rozśmieszały i irytowały mnie, dając mi równocześnie poznać ducha armii.

To-też po paru tygodniach miałem tego wszystkiego dość już powyżej uszu i zacząłem "markirować", meldując się ustawicznie: "marod", aż wreszcie posłano mnie "zur Konstatierung", do garnizonowego szpitala, który się mieścił na Zamku a potem przeznaczono mnie do "Überprüfung". Ponieważ zaś faktycznie nie byłem zbyt zdrowy, zwolniono mnie "der Zeit" z powodu "Lungenspitzenkattar mit verdichtetem Gewebe".

Poczułem się więc na nowo wolny i na nowo nie wiedziałem teraz, co z tą wolnością zrobić. Podał mi przyjacielską rękę Bronek Koszutski, który właśnie kończył medycynę - i dowiedziawszy się, że zwolniono mnie z wojska z powodu zajęcia szczytów, zaproponował bym wyjechał do Zakopanego i objął tam w tamtejszej Bratniej Pomocy stanowisko "gospodarza", które właśnie było opróżnione po wyjeździe p. Stanisława Downarowicza, późniejszego ministra spraw wewnętrznych w wolnej już Polsce. Nie namyślając się długo wyjechałem więc i objąłem posadę, nie zdając sobie jasno sprawy ani ze swych nowych zajęć ani z tego, czy potrafi

im podołać. Wierzyłem w swoje własne siły i byłem pewny, że jeżeli obowiązki te mógł spełniać mój poprzednik, to z pewnością potrafię to zrobić również i ja. W ogóle byłem wówczas tak nastawiony, że gdyby mi ktoś kazał uczyć języka chińskiego, to prawdopodobnie podjąłbym się tego z głęboką wiarą, że zawsze nauczę się go o tyle, by móc być potem o dwie lekcje mądrzejszy od swego ucznia. Nie było jednak tego potrzeba, bo okazało się, że moje nowe zajęcie nie wymagało ani specjalnych wiadomości ani zbyt dużej pracy. Miałem czuwać nad utrzymaniem porządku w dwóch willach, położonych na skrzyżowaniu ul. Chramcówek i Nowatarskiej, w których mieszkali pensjonariusze "Bratniej Pomocy", pilnować służby i tego, by wszystkie zarządzenia lekarza były skrupulatnie wykonywane.

Pomiędzy pensjonariuszami, wśród których przeważali studenci gimnazjów i uniwersytetów rosyjskich, był cięty i rozpoczynający wówczas swą literacką karierę p. Adolf Neuwert-Nowaczyński oraz Feliks Dzierżyński, używający nazwiska Józef Domański. Ta Bratnia Pomoc, której prezesem i lekarzem naczelnym był dr Zychoń, była przemiłą i bezsprzecznie zasłużoną instytucją, lecz wtedy robiła wrażenie jakiegoś klubu dyskusyjnego, na którym ścierały się wszelkie możliwe orientacje i zapatrywania polityczne. Prym w tych dyskusjach wiedli zawsze pp. Nowaczyński i Dzierżyński, stojąc na dwóch przeciwnych biegunach, a ponieważ prowadzone przy wspólnym stole - podniecały one i roznamiętniały chorych, dr Zychoń zakazał obu dysputantom jeść na wspólnej sali - i obaj musieli jeść u siebie, choć nie zapewniło to spokoju chorym, którzy w dalszym ciągu ustawicznie spierali się i dysputowali.

W czasie tego pobytu w "Bratniej Pomocy" zbliżyłem się przede wszystkim do Domańskiego. Łączyły nas wspólne socjalistyczne przekonania i łączył jednakowo zapalny charakter. Feliks stał się teraz dla mnie najserdeczniejszym towarzyszem. Był wobec mnie zawsze miękki, dobry i niesłychanie ofiarny; dbał o mnie, o moje zdrowie i uczucia, toteż - kiedy słyszałem potem o jego "krwiożerczych instynktach", jakie miał zdradzać jako szef "Czeki" - to do dziś dnia nie mogę uwierzyć, by mógł on zmienić swoją duszę. Dla mnie pozostał zawsze tym samym subtelnym idealistą i serdecznym przyjacielem, który do mnie pisał: "Kochany Zygmuncie, właściwie leniuchu! Dlaczego nie piszesz? Milczysz, jak zaklęty, a ja nie będąc czarodziejem, nie znam tajemnicy, jak cię odczarować /25/ /9/1903/". A potem zachwycał się okolicą Limanowej, że tam tak "ślicznie, cudownie. Już na wierzchołkach gór śnieg... Nie mogę w domu usiedzieć, całymi godzinami łażę po górach i lasach, a one mi szumią i coś opowiadają, a ja o niczym nie myślę, słucham ich szumu, patrzę na całe pasmo gór, na doliny, strumyki, białe domki porozrzucane i ludzi malutkich, kopiących w ziemi - i dobrze mi jest... Bywaj zdrów, pisz mi i przybywaj /9/XI/1904/". To też jego "krwiożerczość" tłumaczę sobie zawsze tylko jego niesłychaną obowiązkowością wobec własnych ideałów. Pamiętam raz, kiedyśmy mówili o walce o socjalizm, o wyzwoleniu ludu i o potrzebie poświęcenia, Feliks, zapalając się coraz bardziej, tłumaczył, że jeżeli ktoś ma wielką wiarę w słuszność swych ideałów, to nie cofnie się nawet przed największą osobistą ofiarą, jeśli s ełnienie jej może się przyczynić do ich zrealizowania. "Gdybym miał poświęcić ojca i matkę, których bardzo kochałem - mówił Dzierżyński - a w zamian za to miałbym urzeczywistnić socjalizm to poświęciłbym ich życie bez namysłu, choćby moje własne serce krwawiło się równocześnie w najpotworniejszym bólu". Miał duszę patriarchy, który dla Boga gotów był poświęcić życie ukochanego syna Izaaka - i wytrzymałość pierwszych chrześcijan, którzy dla swych ideałów mogli spokojnie patrzyć i wytrzymywać męki. I prawdopodobnie tylko, by ulżyć własnemu sercu, jako szef "Czeki" nie chciał przyjmować znajomych, którzy go mieli prosić o takie czy inne względy - z obawy, by się nie załamać i nie sprzeniewierzyć na rzecz swego uczucia, temu, co uważał za swój obowiązek. Dla mnie, z którym razem sięgaliśmy jako młodzi ludzie do dna własnych dusz, z którym mieszkałem w jednym pokoju i z którym potem prowadziłem przez parę lat korespondencję - pozostał on tym samym serdecznym przyjacielem młodości, z którym marzyliśmy i pracowali dla tych samych ideałów.

Będąc już w Borysławiu, otrzymałem od Dzierżyńskiego list, w którym pisał:

"Jestem obecnie w Monachium. Dawno już nie miałem o tobie żadnych wiado-

mości, dawno i ja Ci nie pisałem. Cały czas włóczyłem się po Szwajcarii, teraz zamierzam dłużej tu pobyć... Musimy, Zygmuncio, zabrać się do pracy. I "Przegląd" i "Sztandar" zbyt mało mają współpracowników, zbyt wiele pracy wymagają. Więc pisuj stale... bo wiesz przecież sam dobrze, jak ważnym jest regularne wydawanie "Przeglądu" dla socjalizmu polskiego".

Pisywałem więc i pracowałem z nim wspólnie, a przy okazji tej wspólnej pracy poznałem też wybitnego członka SDKPiL Adolfa Warszawskiego-Warskiego, z którym osobiście zetknąłem się jeszcze raz w dniu wybuchu wojny, a potem - w parę lat później - na terenie Sejmu, gdzie zwalczałem go bardzo ostro jako posła komunistycznego, który - tak samo zresztą, jak Dzierżyński - nie rozumiał, że nie ma socjalizmu bez demokracji i nie ma wyzwolenia mas bez ich wolności. Ale wówczas wszyscy myśleliśmy jeszcze jednakowo i jednakowo marzyliśmy o socjaliźmie polskim.

Pobyt w Zakopanem posłużył mi pod każdym względem bardzo. Podreperowałem sobie zdrowie; dostawałem pensję taką, że zawsze mogłem sobie coś zaoszczędzić - i w ogóle byłoby mi tam doskonale, gdyby nie tęsknota za Marynką. Kochałem się w niej bez pamięci i tylko marzyłem, by się z nią gdzieś spotkać. Raz po takim spotkaniu napisała mi na kartce, która była potem dla mnie talizmanem: "Szczęśliwy kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta. Bajka jasna, złota, promień słońca na tle zmroku". To-też by ten "zmrok" rozpraszać, przyjeżdżałem coraz częściej do Krakowa, aż wreszcie dr Zychoń zakazał mi tych wyjazdów twierdząc, że przeszkadzają mi one w spełnianiu moich obowiązków. Zacząłem więc wyjeżdżać tak, by nie potrzebować prosić o zwolnienie i odbywać jazdy w obrębie czasu, który należał do mnie. Wyjeżdżałem wieczorem i przyjeżdżałem około północy do Krakowa, gdzie miałem blisko dwie godziny czasu do najbliższego pociągu, który przyjeżdżał do Zakopanego przed ósmą - tak, że mogłem być na stanowisku, gdy wydawano śniadanie. Na tle tych wyjazdów, które zresztą strasznie mnie męczyły, wybuchł też pomiędzy mną a dr Zychoniem, który się o nich dowiedział, konflikt, na skutek którego zrezygnowałem ze swej posady i wyjechałem z Zakopanego.

Otarłem się o Lwów, gdzie przebyłem około dwóch tygodni w Sekretariacie Związku Kolejarzy i gdzie doszła mnie wiadomość, że Marynka zniknęła "jak sen jakiś złoty" i pozostał po niej tylko "smutek, żal i tęsknota". W tym samym czasie otrzymałem też list od Emila Haeckera, który po jakiejś scysji z Daszyńskim przeniósł się do Tarnowa, by tam - w tym gnieździe klerykalizmu i zacofania - budować organizację socjalistyczną. Haecker - pisząc że ze względów rodzinnych musi z Tarnowa wyjechać - prosił mnie, bym go choć czasowo zastąpił. Chcąc być bliżej Krakowa i Marynki, przyjąłem propozycję bardzo chętnie, choć nie zdawałem sobie sprawy ani z rodzaju mojej pracy ani z tego, czy ją zdołam wykonać. Pędzony nowością i tęsknotą, spakowałem manatki i w lutym czy marcu 1903 roku przybyłem do Tarnowa.

To, co tam zastałem było dla mnie straszne. Lokal mieścił się w jakiejś ciemnej norze przy placu Kazimierza, a jedynymi prawie członkami partii i związków była żydowska młodzież, pracująca w przemyśle kapeluszniczym lub w handlu - i dosłownie kilku katolickich robotników niewykwalifikowanych, spośród których wybijali się swoim zapałem dwaj analfabeci: Podstawski i Starzyk. Na inaugurację miałem wygłosić odczyt o Marxie. Jechałem prosto ze Lwowa pociągiem osobowym, byłem zmęczony - i gdym zobaczył to nowe środowisko, wśród którego miałem pracować, straciłem cały kontenans - tak, że odczyt wypadł jak najgorzej. Nie wiedziałem, co mówić; stękałem jak uczeń w szkole; jąkałem się i uderzały na mnie ostatnie poty, by tylko jakoś dobrnąć do końca. Mam wrażenie, że tą bezradnością wzbudziłem współczucie nawet u siedzącego przy stole "przedstawiciela władzy", komisarza Wolańskiego, który był potem największym moim wrogiem i prześladowcą. Z tej opresji wybawił mnie Haecker, który bez przygotowania - potoczyście i interesująco - opowiadał o życiu i pracach Marxa to wszystko, czego ja właśnie nie powiedziałem.

Bardzo wnet zorientowałem się jednak w nowej sytuacji i zobaczyłem, że mogę zdobyć wpływy na robotników i pozyskać ich dla socjalizmu nie przez suche

naukowe wywody o Marxie czy Beblu - i nie przez odczyty o naukowych podstawach socjalizmu lecz przez apelowanie do uczuć i przez budzenie w duszach robotniczych poczucia krzywdy, której one same nieraz nie odczuwały jeszcze. Zacząłem więc zwoływać zebrania, to z tego, to z innego warsztatu czy fabryczki - i wyławiać spośród zebranych tych, na których potem mógłbym się oprzeć jako na mężach zaufania. Wtargnąłem w ten sposób do fabryki pilników Baştika, do jakiejś cegielni, do fabryki świec - i ustawicznie utrzymywałem kontakt z poszczególnymi zawodami, jak krawcy, piekarze, malarze i kapelusznicy. Największy wpływ pod tym względem zdobyłem tam, gdzie pracowali robotnicy żydowscy, natomiast wykwalifikowani robotnicy katoliccy pozostawali jeszcze pod wyłącznymi prawie wpływami kleru. Nie zrażony jednak trudnościami, szturmowałem tę twierdzę bez ustanku - i ustawicznie robiłem w niej coraz to większe wyłomy. Po pewnym czasie założyłem też cały szereg nowych organizacji: krawców, malarzy, stolarzy, chemicznych i metalowców, do których należeli już zarówno robotnicy żydowscy jak i katoliccy - i wszystkie one opierałem o centralne związki ogólno-austriackie, które dawały swym członkom duże świadczenia w czasie strajku, bezrobocia i podróży.

Raz przyszedł do mnie taki zorganizowany robotnik - młody metalowiec z Krakowa, niejaki Soból, z którym zapoznałem się jeszcze na Podgórzu i którego bardzo lubiłem - i przedłożył mi "legitymację podróżną" do wypłacenia. Ponieważ byłem właśnie zaziębiony i leżałem w łóżku, poprosiłem go, by sam wydobył z mojej szafy żelazną kasetkę, w której trzymałem związkowe pieniądze - i otworzywszy ją tak, że przybyły mógł widzieć w niej większą sumę pieniędzy - wyjąłem dwie czy trzy korony i wypłaciłem mu je jako należną zapomogę. Soból wziął pieniądze, położył kasetkę na miejsce i poprosił jedynie, by mógł u mnie -zaczekać aż do najbliższego pociągu, na co się też bardzo chętnie zgodziłem. Zrobiliśmy sobie herbatę i gawędziliśmy, gdy naraz wszedł mój ojciec, który niespodziewanie przyjechał do Tarnowa. Chciał on, bym z nim wyszedł na obiad, wobec czego - mimo przeziębienia - zebrałem się i nie wiedząc, co zrobić z Sobolem, pozostawiłem go w mym pokoju, pouczając, gdzie ma zostawić klucz, gdyby się mnie nie doczekał. Wróciłem już po południu; Sobola nie zastałem, ale poza tym wszystko było w zupełnym porządku. Po paru dniach, przeglądając gazety, przeczytałem w kronice, że w Krakowie ujęty został przy włamywaniu się do jakiegoś sklepu młody metalowiec Soból i przy tej sposobności ustalono, że to on właśnie dopuścił się ohydnego mordu rabunkowego na rodzinie stróżów przy ulicy Kącik w Podgórzu. Zdrętwiałem... Przecież widział, że w moim pokoju leżało przeszło tysiąc koron - i mógł je wziąć wszystkie bez żadnej przeszkody, bo przecież otwarcie kasetki nie przedstawiałoby dla niego żadnej trudności. A jednak - mimo, że ważył się on na mord biednych staruszków, by ich ograbić - u mnie nie ruszył niczego. Dziwna jest dusza ludzka. Nawet zła - potraktowana przyzwoicie i z zaufaniem, stara się okazać, że jednak zasługiwała na wiarę i zaufanie - i wzdraga się przed popełnieniem oszustwa i zdrady.

Poza organizowaniem robotników w związki zawodowe, budziłem ich politycznie, przemawiałem do nich na zgromadzeniach ludowych, pisywałem stale korespondencje o stosunkach tarnowskich do "Naprzodu" i skupiałem wokół siebie coraz więcej żywiołów socjalistycznych spośród inteligencji i młodzież "promienistą". Dopomagali mi w tej pracy bardzo energicznie: mechanik Władysław Strzakowski, który piskliwym głosem ale odważnie referował na zgromadzeniach, nie zwracając uwagi na spadające na niego za to represje, dr Simche - młody, zdolny i bardzo kulturalny adwokat, dr Ringelheim, koncypient adwokacki - i kilku młodzieńców, spośród których wybijali się już wówczas: Karol Sobelsohn, który pod nazwiskiem "Radka" zdobył sobie później rozgłos jako działacz komunistyczny i redaktor bolszewickiej "Prawdy"; Stefan Jaracz - wybitny później artysta dramatyczny; Marian Kukiel, późniejszy generał i członek emigracyjnego rządu polskiego w Londynie oraz Mieczysław Jarosz, który potem redagował "Górnika" dla robotników polskich na Śląsku i jako adwokat bronił w procesie "brzeskim". Sobelsohn, który dotąd pozostawał pod wpływem Haeckera i jego narodowych nastawień, teraz w rozmowach ze mną zaczął trzeźwieć i stał się wkrótce moim pomocnikiem w pracy i codziennym gościem. Te wspólnie spędzone chwile zadzierżgnęły

też między nami trwało więzi przyjaźni, której nie wstrząsnęło nawet to, że stanęliśmy potem w różnych obozach politycznych. Często przychodził też do mnie Stefan Jaracz, by przerobić jakąś lekcję z Karolem, z którym razem obaj uczyli się do matury; obaj kochali się w tej samej dziewczynie i obaj zwierzali mi się ze swych miłości. I chociaż widziałem potem Jaracza w różnych rolach w teatrze i w życiu, to jednak w moich oczach stoi on zawsze jako student z długimi włosami na głowie, jak w milczeniu składa na moim stole duży bochen chleba i garnek masła, by go za to parę dni przeżywić i przenocować.

Przy ich pośrednictwie poznałem też bardzo miłą i ciekawą rodzinę Richterów, której jedna córka została potem moją żoną, a druga - żoną mojego brata Bohdana. Głową tej rodziny był radca sądowy - dobry człowiek, ale safanduła, typowy urzędnik, który ustawicznie bał się całego świata: przełożonych, opinii, córek i żony, która - na odwrót - nazywana zazwyczaj przez córki "Kubek", miała niezależny sąd i była dziwnym zjawiskiem w Tarnowie. Pochodząc z arystokratycznej rodziny, a potem wychowana w sferach małomiasteczkowej biurokracji otworzyła w Krakowie dom, w którym gromadziło się całe młodsze pokolenie "Młodej Polski", literatów i malarzy, - by znowu w Tarnowie otoczyć opieką młodych socjalistów. Gdy przyjechał tam raz na zgromadzenie Daszyński, "pani radczyni" siadła w pierwszym rzędzie i ostentacyjnie oklaskiwała mówcę, a potem zaprosiła go do domu, ku oburzeniu całego biurokratycznego Tarnowa. Córki jej, bardzo przystojne, przychodziły stale do Stowarzyszenia, uczyły śpiewu, odbywały próby przedstawień amatorskich lub czytały robotnikom gazety, a w dniu 1 Maja poprzypinały sobie odznaki socjalistyczne, co doprowadziło do pasji tarnowskie kołtuństwo. Najprzystojniejszą z nich była Zośka, którą też najbardziej lubiłem.

Naturalnie w tych warunkach starosta Dunajewski i komisarz Wolaniecki zaczęli mi coraz ostrzej następować na palce. Zakazywano mi odbywania zgromadzeń publicznych, a ponieważ każdy tego rodzaju zakaz władza musiała umotywować, więc biedny starosta nieraz musiał się dobrze napocić, by wymyślić, dlaczego zakazał zgromadzenia, które normalnie były dozwolone. Dopomagałem sobie tak,jak zresztą wszyscy, paragrafem 2-im ustawy o zgromadzeniach, która zezwalała na odbywanie zgromadzeń nawet bez zgłoszenia ich u władzy, o ile miały się one ograniczać do osobiście zaproszonych gości. "Gości" tych miałem też nieraz dziesiątki i setki - i rozpoczęło się między mną a Wolanieckim "polowanie"; ja zwoływałem zebrania "za zaproszeniami", a Wolaniecki tropił, gdziem je zwołał - i wkraczając do lokalu, rozwiązywał je pod jakimkolwiek pretekstem naruszenia formalności, które w myśl przepisów miały być zachowane. Ale od czasu do czasu starosta - - głównie ze względu na rząd centralny i z obawy, by nie stworzyć przeciwko sobie zarzutu, że w Tarnowie starosta zawiesił konstytucję i prawo zgromadzeń - musiał na nie zezwalać, lecz wówczas prawie z reguły wkraczał Wolaniecki i zgromadzenie rozwiązywał pod pretekstem, że przemówienie moje zawierało w sobie "znamiona zbrodni". W ciągu roku tych doniesień popełnione zbrodnie Wolaniecki uskutecznił 11, lecz przeważnie spalały mu one na panewce i tylko raz osiągnął prawomocny wyrok skazujący mnie na 2 tygodnie aresztu za jakieś drobne przekroczenie, a drugi raz zasądzono mnie na 6 tygodni ciężkiego więzienia za zbrodnię gwałtu publicznego, której miałem się dopuścić przez czynne targnięcie się na policjanta, urzędującego w czasie strajku piekarzy.

Ten strajk poruszył wówczas całą tarnowską opinię publiczną. Nikt nie zwracał uwagi na to, że ówcześni robotnicy piekarscy pracowali po piekarniach nieraz po 20 godzin na dobę; że byli to nieszczęśliwi niewolnicy, którzy zarabiali tylko tyle, by móc utrzymać swą nędzną egzystencję; że pracowali w najgorszych warunkach higienicznych, które robiły z nich od młodości kaleki o pokrzywionych i powykręcanych nogach - tępe i apatyczne - lecz wszyscy oburzali się na sam fakt strajku i uważali już samo porwanie się do walki za bezczelność, a dążenie do polepszenia bytu przy jej pomocy - za coś niesłychanego, czego władza nie powinna tolerować. Strajk ten, który trwał blisko 2 tygodnie, zakończył się zwycięstwem strajkujących, a mnie przyniósł wyrok, który zresztą nie był jeszcze prawomocny.

Raz na jednym z takich zgromadzeń, które odbywało się na "Grabówce", - w dużej sali, do której wchodziło się przez długi i stosunkowo wąski korytarz -

Wolaniecki, wedle swego zwyczaju, rozwiązał zgromadzenie i wezwał zebranych do opuszczenia sali. Tymczasem na sali nie ruszał się nikt, bo korytarz był tak zapchany, że wydobyć się z sali było prawie niemożliwością. Pod adresem uwięzionego w ten sposób Wolanieckiego padały teraz coraz obraźliwsze i ostrzejsze słowa, a Wolaniecki słuchał ich bezradny, oddany na łaskę i niełaskę tłumu. W pewnym momencie wreszcie zwrócił się do mnie z żądaniem, bym z sali wyprowadził, alem się z niego naturalnie wyśmiał, tłumacząc mu, że tu nie ja mam być stróżem bezpieczeństwa dla niego lecz on dla mnie. Puścił się więc sam przez wzburzone fale, które coraz częściej i coraz silniej uderzały o jego urzędową osobę. Wysturchany porządnie, wydobył się wreszcie, ale szukał teraz tylko sposobności, by mi się za to odpłacić.

W tym czasie otrzymałem niespodziewanie wiadomość, od Marynki, że jest w Krakowie i chce się ze mną widzieć. Chciałem lecieć, jak na skrzydłach, by jak najprędzej ją przywitać i wyjaśnić przyczyny jej zniknięcia. W najwyższym też zdenerwowaniu, nie spodziewając się niczego złego, kupiłem sobie bilet - i gdy siedziałem już w wagonie, bez żadnych rzeczy, zobaczyłem naraz, że przystępuje do mnie agent policji i zawiadamia, że p. komisarz Wolaniecki, który stale urzędował na dworcu, prosi mnie do siebie. Tknięty jakimś złym przeczuciem, podszedłem do niego ostro, a ten oświadczył mi krótko, że mnie aresztuje, gdyż - mając dochodzenie o zbrodnię - chciałem uciekać z miejsca zamieszkania. To był grom. Marzyłem już, że za chwilę zobaczę Marynkę i wyjaśnię nieporozumienie, a to bydlę policyjne na złość mnie zaaresztowało. Byłem tak wściekły, jak rzadko mi się to zdarzało w życiu, a wściekłość moją powiększała jeszcze świadomość mej bezsiły.

Gdym się znalazł w areszcie, dokąd odwieziono mnie wieczorem, by nie poruszyć opinii robotników - pierwszym, który się zajął moim losem, był dr Simche, który mi radził, bym się zaraz zgłosił do odbycia prawomocnego już wyroku, zasądzającego mnie na 2 tygodnie aresztu - tak, bym "za darmo" nie siedział, gdyż w śledztwie mogą mnie trzymać Bóg wie jak długo. Zniecierpliwiony czekałem też, by upłynęły te dwa tygodnie - i wniosłem podanie o uchylenie decyzji co do zastosowania wobec mnie aresztu śledczego. Decyzję otrzymałem przychylną i już przygotowywałem się, by wyjść na wolność w dniu 1 Maja, w którym akurat kończyła się moja kara, gdy naraz starosta i Wolaniecki obmyślili nowy oszukańczy "tryk", by uniemożliwić mi udział w demonstracji i przemawianiu. Dnia 30 kwietnia radca sądowy Windakiewicz, cieszący się powszechnie opinią "porządnego" człowieka, zawezwał mnie do siebie z aresztu i oświadczył, że po porozumieniu się z moim adwokatem dr Simchem proponuje, bym - zamiast skargi o unieważnienie wyroku, skazującego mnie na 6 tygodni za zbrodnię gwałtu publicznego - wniósł podanie o "wznowienie" sprawy. Nie rozróżniając tych wszystkich subtelności, zgodziłem się też na to bez niczego, a wówczas "porządny" radca Windakiewicz - zwracając mi uwagę, że - by móc sprawę "wznowić" - trzeba, by poprzedni wyrok był już prawomocny, posunął mi do podpisania papier z oświadczeniem, że cofam skargę przeciwko wyrokowi poprzedniej instancji. Nie podejrzewając podstępu i nie przypuszczając, by "sprawiedliwy" sędzia mógł przedstawić mi fałszywie rozmowę z adwokatem, do którego miałem pełne zaufanie, podpisałem papier i jeszcze tego samego popołudnia dostałem decyzję sądową, że wobec cofnięcia skargi przeciwko wyrokowi, który w ten sposób stał się prawomocny, sąd zatrzymuje mnie w więzieniu dla wykonania wyroku. Wpadłem w pasję i plułem sobie w brodę, żem się tak dał oszukać, ale cóż - było już za późno. Musiałem więc zostać; zgromadzenie w moim zastępstwie odbyli: Dzierżyński i Sobelsohn, który tymczasem zdał już maturę - a ja mogłem rozmyślać nad moralnością sfer, wśród których pan Windakiewicz mógł zdobyć sobie opinię "porządnego człowieka". Dostałem tylko bardzo smutną wiadomość, że Marynka wyjechała, nie pozostawiwszy dla mnie ani jednego słowa wyjaśnienia ani pożegnania.

Teraz w więzieniu dano mi ubranie aresztanckie i wstrzymano mi wikt z miasta, ale mimo to nie mogę powiedzieć, by mi tam było źle. Dbali o mnie wszyscy - z jednej strony towarzysze i żona jednego z piekarzy - Kornbluma, która stale przemycała dla mnie chleb i wędliny, pieczeń, wódkę, papierosy,

a nawet spirytus do palenia, a z drugiej pan radca Richter, który pod wpływem córek i żony ustawicznie posyłał mi rozmaite przysmaki i wódki. Przemytem tym, a zwłaszcza wódkami, dzielił się ze mną stale poczciwy dozorca Pituła, stary pijak, który - podchodząc pod okienko celi - zawiadamiał mnie zawsze tajemniczo: "Byłem tam", a potem - skarżąc się na zimno, chociaż było już na świecie coraz cieplej - pytał, czy może sobie łyknąć na rozgrzewkę. Jedynie nie doręczono mi do więzienia bukietu, które na moje imieniny posłały mi właśnie "panny radczanki", gdyż skonfiskował go sam prezes sądu z umotywowaniem, że więźniowie nie mogą otrzymywać kwiatów, choć właściwie odnośnego zakazu nie było ani w ustawie ani w regulaminie więziennym.

W celi siedziałem razem z rozmaitymi pospolitymi przestępcami i wśród nich pamiętam dwóch złodziejów kieszonkowych, krawca i fryzjera, oraz starego chłopa, który całe życie spędził na różne nawroty na Wiśniczu i którego teraz znowu zaaresztowano za włóczęgostwo. Stał się on już zawodowym więźniem i odu- czył się życia na wolności, toteż największym jego zmartwieniem było, co zrobić, gdy się skończą te dwa miesiące, na które został zasądzony - i co by można było zrobić, żeby na nowo dostać się do Wiśnicza. Zamordować czy zabić człowieka nie chciał, bo to "nie jego interes"; kraść nie mógł, bo był już za stary i "ino go chycą i zbiją"; podpalić i "tak bez potrzeby i bez dania racji zniszczyć drugiego człowieka i dary boskie" - wydawało mu się w jego sumieniu zbyt złe i grzeszne - i nie pozostawało mu nic innego, jak chyba tylko "napsioczyć temu staremu cysarzowi" - tak, żeby się na dobre "pogniewał". Gdym go częstował wód- ką, to zawsze prosił o spirytus denaturowy, bo - siedząc w Wiśniczu, gdzie wy- sączał go z politury, którą politurował stołki, już się do tego "tronku przy- zwyczaił".

Również bardzo mili byli moi kieszonkowcy. Krawiec przykroił i przero- bił mi więzienne ubranie płócienne; dbał o moje prowianty, gotował i krył zwła- szcza spirytus do palenia, a fryzjer opowiadał o swoich bohaterskich czynach i pokazywał mi cały szereg sztuczek złodziejskich, a nawet - gdy już miałem wyjść i dostałem zwrot własnego ubrania - założył się ze mną, że wyciągnie mi zegarek z kieszeni w przeciągu godziny - i wygrał.

To był inny świat, o innej moralności; świat, który uważał jedynie, że walczy o własne prawo do życia z tymi, którzy wymyślili sobie inne sposoby za- robkowania. Kradzieże, włamania, rabunki - to były dla nich tylko różne sposo- by zarobkowania na życie. Tak, jak zarabia stolarz czy sędzia, ślusarz czy pro- kurator - tak samo zarabia złodziej kieszonkowy czy włamywacz - i wszyscy oni muszą się nieraz porządnie namozolić i namęczyć. Toteż moi kompanowie, opowia- dając o swym życiu na wolności, nieraz skarżyli się, że cały dzień "przepraco- wali" ciężko, w pocie czoła, a "nie zarobili" ani grosza. Zresztą podobną mo- ralność spotkałem jeszcze potem w życiu u starej stróżki Feliksowej - w kamie- nicy, w której mieszkaliśmy - jak przechwalała się bez żadnych osłonek, że ta "jej Honorka jest tak zręczno", że nigdy nie wróci do domu z gołymi rękami i "ino przejdzie przez tramwaj czy przez peron, to zawszo cosi przyniesie". Uważała ona też tę swą latorośl za jedyną swą pociechę, podczas gdy inne córki nazywała "nicponiami", które by "ino leżały i chorowały". Z ówczesnych moich kolegów więziennych spotkałem potem - w parę lat później - krawca i odwdzięczy- łem mu się tym, żem udał, iż go nie poznałem. Jadąc tramwajem we Lwowie, usły- szałem na przystanku koło politechniki krzyk jakiegoś pasażera, że mu ktoś wy- ciągnął portfel. Zrobiło się zamieszanie, a ja - stojąc na tylnej platformie - zobaczyłem, jak spoza wozu wyłonił się spokojnym krokiem mój krawiec, dążąc w stronę ulicy "Na Bajkach". Poznałem go odrazu na pewno "zarobił", ale nie by- łem w stanie go zadenuncjować i zdradzić i odebrać mu wolność, którą tak kochał - nawet, gdybym miał w ten sposób stać się współwinnym jego kradzieży.

W ten sposób to "ciężkie" więzienie w Tarnowie było dla mnie niesłycha- nie lekkie i zabawne - i nie miałem w nim po prostu czasu, by się nudzić. To kompanowie więzienni opowiadali o swych przeżyciach; to musiałem czatować, by odebrać "przemyt" z miasta; wreszcie przyjmowałem wizyty znajomych, a zwłasz- cza córek pana radcy, które odwiedzały mnie nieraz dwa razy w tygodniu, gawę- dząc o wszystkim. Tylko ani razu nie pokazała się u mnie najsympatyczniejsza

dla mnie i najprzystojniejsza Zośka. Nieraz porównywałem ją w myśli z Marynką: obie były drobne; obie miały kasztanowate, puszyste włosy, obie czesały się á la Boticelli - tylko Zośka była zawsze odważna i czynna, podczas gdy Marynka była sentymentalna i bierna - i Zośka miała duże jasne, przecudne oczy. Toteż z czasem ich spojrzenia wypierały mój dawny ideał - i w moich oczach powoli zacierał się obraz Marynki, a rysował się w nich coraz ostrzej obraz nowej mej sympatii. Mógłbym się w niej zakochać i mógłbym o niej marzyć jako o swej przyszłej żonie, gdyby nie to, żem nie chciał się żenić w ogóle ani z nią, ani z żadną inną.

Aby się spod jej uroku wyzwolić, a z drugiej strony - by wypłynąć na świat, postanowiłem - gdy więzienie me się skończyło - z Tarnowa wyjechać. Robota tam była dla mnie za mała, zbyt małomieszczańska, a ja tęskniłem do jakiejś wielkiej walki. Jeszcze przed aresztowaniem, w marcu 1904, otrzymałem list od komitetu partyjnego w Przemyślu, w którym jego przewodniczący tow. Schiffer kreślił stosunki w Borysławiu i proponował, bym się tam przesiedlił. "Inżynierowie i kierownicy - pisał Schiffer - to ludzie z młodej szkoły, bardzo postępowi. Wielu jest między nimi i socjalistów. Ruchowi naszemu nie przeszkadzają; przeciwnie - sympatyzują; niektórzy po cichu pomagają, niektórzy głośno, a są i tacy, co jawnie i czynnie się udzielają. Ująć ten proletariat naftowy w ramy naszych organizacyj jest bardzo łatwo. Dla nafciarzy zostało przed kilkoma miesiącami założone stow. "Siła", kształcąco-zapomogowe i bez przesady można powiedzieć, że się rozwija. Obok nafciarzy są metalowcy w pokaźnej liczbie. To także znakomity element do zorganizowania. Do grupy metalowców należy z nich około 100, a w końcu są i górnicy woskowi... Osiedlenie się wasze tam byłoby nieocenioną zasługą dla partii".

Wówczas na drodze do wykonania tego planu stanęło moje aresztowanie, a teraz chciałem go wykonać, lecz znowu przeszkadzały mi pod tym względem stosunki finansowe. W przezwyciężeniu tych wszystkich trudności dopomógł mi jednak nieoceniony "Kubek", który zawsze był gotów dopomóc każdej sprawie, którą uważał za dobrą - i każdemu, w którym widział bojownika postępu. Pożyczył mi więc paręset koron, które umożliwiły mi załatwienie wszystkich moich finansowych zobowiązań - i wyjechałem z Tarnowa na zawsze.

Przyjechawszy do Borysławia, przeniosłem się w nowy świat. Przedstawił mi się on jak wyraz ustawicznych kontrastów. Z jednej strony widziałem cudowną podkarpacką okolicę, góry i stoki porośnięte jodłami i smrekami, a z drugiej - ropiejącą osadę przemysłową, brudną, bez trotuarów, o ulicach, wzdłuż których ciągnęły się deski oparte na kozłach albo błota, w których można było zgubić buty, albo kurzu, pędzonego wiatrem i zasłaniającego tumanami całą tę śliczną okolicę, począwszy od Hubicz aż po samą Mraźnicę. Naokoło osady był las czarnych drzew, które w lecie uroczo szumiały potrącane wiosennym powiewem, a w zimie uginały się pod białą powłoką śniegu; wewnątrz zaś - las wież, z których od czasu do czasu wydobywał się ostry syk pary, wypuszczanej spod maszyny lub smętny i przeciągły głos robotnika, który, jak muezzin z galerii meczetu, woła śpiewnie ze swej wieży: "hejja-hejja-gotóóów". To był teren ustawicznej pogoni za zyskiem, który można było znaleźć w gorączkowych, spekulatywnych operacjach handlowych i przemysłowych - i teren ciężkiej spokojnej pracy; to było miasto, w którym żyła nieliczna grupa bogaczy - i miasto, w którym osiedlił się proletariat - prosty, szary, znękany, ale odważny i chcący walczyć o swe wyzwolenie

Tak przedstawił mi się Borysław, gdym spojrzał na niego po raz pierwszy Chciałem się w nim zanurzyć po samą szyję - i chciałem się z nim zespolić, ale tak, by pomiędzy mną a nim nie było ani jednej sztucznej rysy. Jeśli miałem być reprezentantem tej walczącej klasy robotniczej, to tylko jako jej istotna cząstka; jeżeli miałem protestować przeciwko wyzyskowi - to tylko jako sam wyzyskiwany; jeśli miałem walczyć o interesy i prawa robotników - to tylko tak, by były one równocześnie moimi własnymi interesami. Przy pomocy Maćka Wohlfelda, przyjaciela z dawnych lat, z którym razem batiarowaliśmy się swojego czasu po Krakowie, a który teraz pracował jako wiertacz, dostałem robotę w jednej małej firmie i pierwszy raz w życiu stanąłem do zarobkowej pracy fizycznej.

Miałem pracować na nowym szybie i w jakiś piątek pod wieczór puszczono

w ruch maszynę i zapuszczono pierwszy raz świder. Po upływie niespełna godziny robotę tę jednak wstrzymano - i na szybie rozpoczęła się uroczystość oblewania, w której wzięli udział wszyscy, począwszy od właściciela, kierownika wiertaczy, hejzerów i pomocników aż do mnie - "trzeciaka" - który byłem najmłodszy. Piliśmy piwo i wódkę - i po każdym wypróżnieniu szklanki wylewaliśmy resztki w górę tak wysoko, jak wysoko miała potem tryskać z szybu ropa.

Na drugi dzień o dwunastej stanąłem do pracy normalnej. Była ona dla mnie zrazu niesłychanie ciężka i męcząca. Każde uderzenie świdra, który był przykręcony do sztangi i którym trzeba było obracać, wstrząsało człowiekiem tak silnie, że do sztangi tych trzeba było przywiązywać długi drążek i chodzić naokoło jak w kieracie, jakkolwiek i to nie chroniło przed ustawicznym sieczeniem. Po pół godzinie tej pracy nawet silny mężczyzna musiał być zmieniony, bo dosłownie opadały mu ręce. Z maszyną wiertniczą zapoznałem się wnet, ale było dla mnie tragedią, gdy przychodziło mi zanieść na własnych barkach ciężki świder do zaostrzenia do kuźni, która była dość daleko od szybu. Pracowałem od godziny 12 do 12: w jednym tygodniu od południa do północy, w drugim od północy do południa. Cały tydzień byłem jak bydlę robocze, dla którego jedynym marzeniem było jeść i wypocząć. Nie miałem nigdy czasu, zwłaszcza że pracowałem dosyć daleko, prawie pod samą Kraźnicą, lecz i inni byli w tym samym, co ja, położeniu. Mówiło się o konieczności wprowadzenia trzeciej szychty i chociaż kwestia ta rozpalała umysły robotnicze powszechnie, to jednak projekty te uważano jeszcze za dalekie.

Powoli przyzwyczajałem się do swej roli robotnika i do pracy, gdy naraz, gdzieś w lecie, jak elektryczna iskra, buchnęła po całym Borysławiu wiadomość: strajk. Jakiś kierownik miał znieważyć wiertacza; stanęli w jego obronie robotnicy; zaczęto gwizdać na alarm, a jednemu gwizdkowi odpowiadały drugie - i za chwilę cały Borysław rozbrzmiewał syrenami i - zgodnym głosem: strajk! strajk! Na tłokę - wszyscy na tłokę: Ludzie rzucali robotę, jak który stał: nie podciągano świdrów; nieraz pozostawiano sztangi wewnątrz rur, oparte jedynie na widełkach; rzucano kotły bez żadnej opieki, a po kuźniach pozostawiano ognie, nie gasząc ich nawet. Wszystkich ogarnął jakiś szał - i wszyscy , krzycząc: "strajk", kierowali swe kroki na tłokę, na której zbierali się normalnie robotnicy na swe zgromadzenia. Z szybów i warsztatów wysypała się teraz szara masa robotników - silnych, odważnych, przeświadczonych o swej krzywdzie - gotowych do walki i pełnych otuchy i wiary w zwycięstwo. W okamgnieniu cała tłoka zaroiła się kilkutysięcznym mrowiem robotniczym. Wybrano komitet strajkowy, spośród którego pamiętam metalowców: Górskiego, Proroka i Wolfa - i wiertaczy, braci Błażów i Wohlfelda, który był "spirytus movens" całej walki - i jako zasadnicze żądanie wysunięto wprowadzenie 8-mio godzinnej szychty.

I władze i przedsiębiorcy żądanie to uznali za rewolucję. Cały Borysław zapchany został wojskiem, które miało teraz bronić międzynarodowych kapitałów , a cała narodowa prasa i polskie narodowe sfery stanęły przeciwko polskim robotnikom. Po ich stronie stanęła jedynie Polska Partia Socjalno-Demokratyczna - i jako jej reprezentanci przyjechali na teren strajku: Daszyński, Diamand i Kaczanowski, referując niemal codziennie sytuację strajkową i podtrzymując zapał strajkujących. Mimo to jednak strajk przeciągnął się i - by go wzmocnić - wysłano mnie do Krośnieńskiego, by i tam wzniecić walkę i rozszerzyć ją na całe zachodnie Zagłębie.

Odbyłem zgromadzenia w Potoku, w Wietrznem, w Równem, w Charklowej i w całym szeregu mniejszych miejscowości, osiągając tu i ówdzie rezultat,lecz tylko częściowy. Kiedy byłem pod Jasłem skusiła mnie myśl, by odwiedzić Tarnów i towarzyszki "radczanki". Jechałem na rowerze, który wziąłem ze sobą z Borysławia i po mile przebytym dniu wracałem na teren walki. Przed Krosnem zastąpił mi jednak drogę komisarz starostwa Bal z dwoma żandarmami i zmusił do zatrzymania się na gościńcu. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego mnie zaaresztował bez żadnego powodu lecz ten z uporem maniaka tłumaczył ustawicznie, że on mnie nie "zaaresztował" lecz "zatrzymał" do dyspozycji pana starosty. Żandarm odkręcił mi pedały, bym nie uciekł - i w tym towarzystwie, spierając się ustawicznie

doszliśmy wreszcie do kancelarii starosty, który po długich wywodach obwieścił mi swoją decyzję wydalenia mnie "na zawsze" z powiatu krośnieńskiego, jako "niebezpieczne indywiduum". Wracałem więc do Borysławia koleją, bo podałów żandarm nie chciał mi oddać - i wręczył mi je dopiero, gdym już wchodził na schodki wagonu.

W Borysławiu zastałem jednak zmienioną sytuację. Przeciągający się strajk wyczerpywał coraz bardziej siły robotnicze - i by zmusić przedsiębiorców do ustępstw - zaczęto stosować sabotaż w formie podpalania szybów. Kiedym się o tym dowiedział, byłem tej taktyce bardzo przeciwny, ale niestety byłem bezsilny - tym bardziej, że prawie wszyscy poważni towarzysze aprobowali ją. Wraz z zastosowaniem sabotażu wzmogły się jednak również represje, a w ich następstwie ostygł zapał i otucha walczących. Trzeba było szukać wyjścia za wszelką cenę i wreszcie komitet strajkowy powziął uchwałę, by przyjąć interwencję rządu i strajk zakończyć.

To był cmentarny dzień. Z Borysławia powyjeżdżali przedstawiciele partii z Krakowa i ze Lwowa, a przykrą decyzję miałem referować ja i Kazio Kaczanowski. Kazio jednak najprzód na "zgryza", a potem "na kuraż" popił sobie zdrowo - tak, że musiał zostać w knajpie i tylko ja miałem dokonać przykrego obrządku pogrzebania strajku. Już wtedy - sprzecznie z opinią wielu towarzyszy, którzy mi potem - już jako sekretarzowi Komisji Centralnej - nieraz zarzucali brak odwagi, gdy im proponowałem męskie zakończenie jakiejś beznadziejnej walki - przekonałem ich, że znacznie więcej potrzeba odwagi na przeciwstawienie się popularnej walce, niż na podniecenie i trwanie w niej bez względu na nieuchronne następstwa. W czasie mego referatu zrazu odzywały się pomruki i okrzyki niezadowolenia, a potem - w miarę, jak przedstawiałem faktyczną sytuację - zapanowała cmentarna cisza.

Strajk został zakończony. Setki robotników odchodziły do kancelarii z książkami robotniczymi, w których była tylko lakoniczna notatka: "odszedł, zdrów i wypłacony". Chęć zemsty przedsiębiorców została jednak powstrzymana względami na brak wykwalifikowanych sił, które trudno było znaleźć na podorędziu - i ogromna większość tych "wypłaconych" i zdrowych" otrzymywała natychmiast robotę gdzie indziej - tak, że jedynym efektem tych wydaleń była tylko szalona wędrówka z jednych szybów na inne.

Musiał jednak wyjechać Maciek Wohlfeld, kilku robotników, którzy najbardziej się narazili i ci, o których zaczęto szeptać, że byli sprawcami pożarów. Nazwiska ich zdradził rudy Petrow, robotnik - i po pewnym czasie aresztowano ośmiu, sprowadzając ich z Galicji czy z Rumunii. Staliby się oni istotnymi ofiarami tej walki, gdyby nie zbytnia gorliwość prokuratora, który ich czyny zakwalifikował jako działanie "zorganizowanej szajki, mającej na celu szerzenie pożogi", na co wedle obowiązującego kodeksu karnego była przewidziana tylko kara śmierci. Chociaż więc oskarżeni niemal że się przyznali - i na lokalnej wizji wskazywali, skąd i jak rzucali zapalone pakuły, to jednak ze względów czysto formalnych protokóły nie zostały włączone do dowodów prawdy, a sądy przysięgłych - po wspaniałych obradach dr Hoskiego, dr Marka i dr Liebermana - trzykrotnie orzekły niewinność oskarżonych, nie chcąc, by za strajk zawisło na szubienicy ośmiu uczciwych robotników których jedyną winą było to, że się dali unieść zapałowi w walce.

Ja pozostałem w tej samej firmie, tylko przesunięto mnie na inny szyb - głęboki przeszło 1000 metrów. Sztangi można już było obracać wprost "kałamunkiem", siedząc "na banku" i to nie przedstawiało już żadnej trudności, ale znowu - gdy musiało się przerzucić kilkadziesiąt długich sztang i zaśrubować je silnie - to pod koniec tej pracy też nieraz ręce omdlewały. Powoli przyzwyczaiłem się do nowego życia i popłynęły mi teraz monotonne długie dni, w czasie których pracowałem na szybie - i w Stowarzyszeniu, nad przeobrażeniem dotychczasowej formy organizacji.

Monotonię tę przerwał mi IX Kongres Partii, który zwołany został do Krakowa na koniec października 1904 - i na który zostałem wysłany jako delegat. Główną sprawą, około której toczyła się dyskusja, było zajęcie stanowiska wobec wniosku Daszyńskiego odnośnie stosunku PPSD do PPS. Daszyński i egzekutywa

Partii chcieli, by Polska Partia Socjal-Demokratyczna w Austrii pozostawała w ścisłym braterstwie i moralnym sojuszu z PPS w granicach Rosji, Prus i zagranicą. Natomiast ja, wspólnie z młodym koncypientem adwokackim, dr Anzelmem Moslerem z Buczacza - zajmowaliśmy stanowisko, by się nie identyfikować i nie łączyć z PPS Kongresówki, gdzie obok niej istniała jeszcze druga socjalistyczna organizacja robotników polskich: Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy /SDKPiL/, lecz by wobec obu tych organizacji zająć jednakowe stanowisko i starać się pomiędzy nimi pośredniczyć na podstawie wspólnych zasad socjalizmu. W rezultacie wniosek Daszyńskiego przeszedł, lecz przeciwko jego stanowisku - mimo, że zażywał on największego autorytetu w obrębie całej Partii - zdołaliśmy skupić 1/3 Kongresu, co było już dla nas wielkim sukcesem. Potem ówczesna PPS wydała osobno sprawozdanie z tej debaty pod tytułem: "Europa czy Buczacz" - i w niej, niezgodnie z prawdą, starała się wmówić w opinię, że walka toczyła się o stosunek do niepodległości. Ani ja ani dr Mosler nie kwestionowaliśmy nigdy prawa narodu polskiego do niepodległego bytu, a kwestionowaliśmy jedynie potrzebę odrębnych programów i odrębnej narodowej walki,która - prowadzona siłami całego międzynarodowego proletariatu - o socjalizm, a więc o wyzwolenie człowieka ze wszystkich więzów, nie wyłączając narodowych, może być daleko skuteczniejsza, niż prowadzona przez poszczególne grupy narodowe. Bezsprzecznie na kongresie stanęła kwestia: Europa czy Buczacz, tylko niestety wówczas Europę reprezentował Buczacz, a ci, którzy rościli sobie prawo do reprezentowania myśli europejskiej, zeszli na stanowisko zaścianka buczackiego.

Po powrocie z Krakowa zająłem się z całą energią przebudowywaniem dotychczasowej organizacji zawodowej nafciarzy. Już przedtem, bezpośrednio po strajku, wyciągnęliśmy z jego przebiegu naukę, że przegraliśmy dlatego, że nie mieliśmy odpowiedniej pomocy materialnej dla strajkujących. Taką pomoc mogliśmy sobie zapewnić jedynie przez przyłączenie się do centralnej organizacji górników: "Unii Górników w Austrii", która - po wpłaceniu do niej odpowiedniej ilości składek - gwarantowała członkom stałe zapomogi strajkowe. Postanowiliśmy więc przeistoczyć dotychczasowe lokalne stowarzyszenie "Siła" na grupę "Unii" w Borysławiu, która po upływie krótkiego czasu była już tak silna, że mogła na najbliższy kongres mający się właśnie odbyć w Leoben w Styrii, wysłać aż dwóch delegatów. Wybrany zostałem ja i jeden z wiertarzy - i tam po raz pierwszy spotkałem się i nawiązałem stosunki z robotnikami polskimi z kopalni węgla, spośród których wybijał się wówczas Alojzy Bonczek, późniejszy sekretarz ze Stonawy. Wtedy też poznałem starego Piotra Cingra, niesłychanie sympatycznego i zasłużonego posła, który - pracując jako górnik w okręgu karwińskim - był jego największym wyrazem. Mówił on kiepsko po czesku, kiepsko po niemiecku i kiepsko po polsku, ale mimo to umiał w swej specjalnej gwarze zachęcać i organizować wszystkich bez względu na narodowość - i wszyscy kochali go jak ojca.

Przebywając w Borysławiu, przyzwyczaiłem się nie tylko do pracy lecz również do trybu życia robotnika. Mieszkałem kątem z dwoma robotnikami u starej rodziny robotniczej, w której żona stołowała nas i opierała; ubierałem się jak robotnik; pracowałem jak oni; jak oni chodziłem do Stowarzyszenia - i jak oni piłem i lumpowałem się w czasie "wielkiej szychty". Raz po jakiejś zabawie miałem iść do roboty, na nocną szychtę, a ponieważ obiecałem kierownikowi, który - przewidując następstwa zabawy - specjalnie prosił mnie, bym się nie spóźnił i dopilnował wiertarza, który lubił sobie popijać - mimo, żeśmy się wszyscy zalali, poszedłem i wyciągnąłem ze sobą wiertacza, który też na czas puścił maszynę. Gdy świder był już na dole, stanąłem przy "ślusbanku", a wiertacz poszedł poszukać sobie jakąś "miękką" deskę, na której by się mógł położyć na kotle. Poszedł z nim również drugi pomocnik i na szybie zostałem tylko ja sam, obracając sennie kałamutkę. Naraz usłyszałem nad głową jakiś podejrzany szum; oglądnąłem się, ale nie było widać nic; na nowo nastąpiła cisza i wśród niej, po chwili, jakby piorun uderzył - trzasnęło coś tuż przed samym moim nosem. To "prosiak", ogromny obciążnik, wiszący na linie, który zahaczało się o żelazny skobel, obsunął się, bo wiertacz, nie zahaczywszy liny, okręcił

ją tylko naokoło skobla. Otrzeźwiałem momentalnie, wstrzymałem maszynę i poszedłem do "hejzu", by zbudzić wiertacza i pomocnika, a sam położyłem się teraz na tej miękkiej desce i leżałem na niej aż do świtu.

Po skończonej robocie - często po zakończeniu szychty o 12 w nocy - chodziliśmy razem na poczęstunek do jakiejś nędznej knajpy, w której można było dostać tylko wódkę, śledzie i kwargle, lecz które smakowały nam jak najlepsze specjały. Natomiast szeroka zabawa rozpoczynała się w czasie "wielkiej szychty". Przy zmianie szycht z nocnej na dzienną, co dwa tygodnie, przychodził okres, że wychodziło się z roboty w sobotę w południe i wracało na szyb aż w poniedziałek w południe. Cały Borysław był wtedy mój i często, nie myjąc się nawet, szliśmy od knajpy do knajpy, piliśmy, kazaliśmy sobie grać czeskim harfiarkom; zachodziłem do pięknej szynkareczki, która mnie obdarzała względami - i po tej zabawie, zazwyczaj zalany jak noc, wracałem na szyb, by znowu przez dwa tygodnie oszczędzać i pracować jak wół.

Zanurzyłem się w prawdziwym życiu robotników, pracowałem z nimi, piłem z nimi, biłem się z nimi nawet nieraz - i wspólnie, z tego samego poziomu, mówiłem z nimi o potrzebie walki, stając się jednym z nich, równym im wszystkim pod każdym względem. Toteż od tego czasu, kiedy w codziennym naszym życiu zatarła się zupełnie granica pomiędzy mną a nimi, "robotnik" przestał być dla mnie jakąś szklanką, którą trzeba traktować ostrożnie, by się nie rozbiła. Nie traktowałem go jako jakiegoś "tabu", które by z tytułu swego zajęcia miało być czymś lepszym i miało prawo do nietykalności i do swobodnego gadania głupstw, jeśli tylko poprzedzi je apostrofą, że wygłasza to jako "prosty robotnik", żądając by w imię tego jego głupstwa były specjalnie respektowane. Robotnicy stali się dla mnie codziennymi kolegami i towarzyszami, wśród których rozróżniałem mądrych i niemądrych; uczciwych i nieuczciwych; ofiarnych i egoistów. Tę opinię swą przyzwyczaiłem się też wygłaszać wobec nich jasno i nie schlebiając im nigdy, traktowałem ich odtąd przez całe życie jako równych sobie ludzi, do których można i trzeba mówić zupełnie otwarcie i szczerze.

Gdzieś z początkiem wiosny 1905, gdy zrzucałem z wozu i układałem rury jedna przygniotła mi koniec palca, miażdżąc go jak opłatek. Wymoczyłem rękę w ropie, ale ponieważ ból wzmagał się ustawicznie, poszedłem do Kasy Chorych, gdzie mi koniec palca obcięto. Nie pracowałem teraz, ale gorzej - bo nie zarabiałem i musiałem żyć z zasiłku, otrzymywanego z Kasy Chorych.

W tym czasie w kwietniu, miała się odbyć w Przemyślu I konferencja krajowa Związków Zawodowych, zwołana przez Centralną Komisję Zawodową w Austrii celem ukonstytuowania sekretariatu krajowego dla Galicji i dokonania wyboru sekretarza. Przybyłem na konferencję z kilkoma towarzyszami borysławskimi i tam dowiedziałem się, że o stanowisko sekretarza ubiegają się dwaj bardzo sympatyczni dla mnie towarzysze: Józef Schiffer z Przemyśla i Tadeusz Reger z Cieszyna. Dla obu miałem wielkie uznanie, bo Schiffer - zawsze trzeźwy i rozstropny działacz robotniczy - z prostego robotnika wybił się na dyrektora Kasy Chorych, a Reger rzucił wszystko i osiedlił się na Śląsku, by tam uświadamiać i organizować górników. W ciągu dyskusji, która w tych warunkach jest zawsze niemiła, któryś z delegatów Tarnowa czy Krakowa rzucił moje nazwisko, które od razu zostało przyjęte bardzo przychylnie przez wszystkich, nie wyłączając obu wzajemnych kontrkandydatów. Jedynie bardzo ostro protestowali moi towarzysze borysławscy, którzy nie chcieli mnie puścić, oraz ja sam, który przecież włożyłem bluzę robotniczą nie po to, by ją już po roku zrzucić - zwłaszcza, że było mi w niej tak dobrze i swobodnie. Mimo tych protestów zostałem jednak wybrany wszystkimi głosami oprócz głosów borysławskich. Gdym sobie jednak uświadomił, że musiałbym teraz rzucić to życie, które miało dla mnie tyle uroku i które dawało mi tyle wolności - to, dziękując za wybór, który uważałem za wielkie odznaczenie, oświadczyłem, że niestety wyboru tego przyjąć nie mogę. Przewodniczący Konferencji, stary Misiołek, odraczając obrady, zapowiedział jednak, że oświadczenia mego nie przyjmuje jeszcze do wiadomości lecz prosi, bym się pod tym względem zastanowił i dał definitywną odpowiedź dopiero na drugi dzień rano. Po zamknięciu obrad poszliśmy na kolację

która przeciągnęła się późno w noc - i w czasie której wszyscy towarzysze, a zwłaszcza Misiołek i młody Topiński z Sanoka, nastawali na mnie coraz uporczywiej bym wybór przyjął, tłumacząc, że jest to moim obowiązkiem wobec socjalizmu i wobec klasy robotniczej; zresztą, o ile tylko nowe zajęcie nie będzie mi odpowiadało, to mogę je przecież każdej chwili rzucić i wrócić do nafty.

Na drugi dzień oświadczyłem, że wybór przyjmuję i w ten sposób wstąpiłem na drogę, z której nie zszedłem już nigdy i która już do końca stała się treścią mego życia.

Rozdział V

GALICYJSKI SEKRETARIAT KRAJOWY
CENTRALNEJ KOMISJI ZAWODOWEJ W AUSTRII

W maju 1905 roku miałem więc objąć Sekretariat i w tym celu wyjechałem do Krakowa, gdzie miała się mieścić moja siedziba. Na samym wstępie byłem jednak niemile zdziwiony, gdy jako pensję miesięczną wręczono mi 60 koron, a zatem mniej, aniżeli wynosił nawet mój zasiłek z Kasy Chorych i byłbym to wszystko od razu rzucił, gdyby nie wstyd, który mi nie pozwalał uciekać z powodu pieniędzy, które zresztą nigdy nie odgrywały zbyt dużej roli w mym życiu. Z Komisji Centralnej w Wiedniu nie otrzymałem żadnej specjalnej instrukcji i to, co i jak mam robić, pozostawiono wyłącznie mej własnej inwencji. Przesłano mi jedynie roczną kartę wolnej jazdy koleją po całej Galicji i sam musiałem ustalić sobie plan pracy tak, by zadowolić z jednej strony moich przełożonych tj. kierowników Związków Zawodowych i Komisję Centralną, a z drugiej samych robotników.

Stan organizacji zawodowej w Galicji nie przedstawiał się wówczas zbyt imponująco. Do organizacji centralnej należało trochę kolejarzy, którzy mieli odrębny sekretariat; kilka grup metalowców, rozsianych po całym kraju; koło Unii w Borysławiu i te nieliczne oddziały innych związków, które pozakładał w Krakowie dr Bałanda lub które pozakładałem ja w Tarnowie. Poza tym ze Lwowa, jako z ówczesnej stolicy kraju, starano się zakładać oddziały "związków krajowych" i odnośną akcję prowadził poważny działacz, sekretarz lwowskiej Kasy Chorych, Karol Nacher. Te jego związki krajowe - zarówno centrale, jak i oddziały - nie odznaczały się jednak nigdy ani siłą ani porządkiem. Oddziały te, nawet oparte formalnie o wspólny statut krajowy, przeważnie były faktycznie tylko organizacjami lokalnymi, które zdane na własne siły miały same decydować o sposobie swej walki i same pokrywać wynikające z niej wydatki swoimi własnymi funduszami. Nie potrafiły też one objąć robotników fabrycznych, którzy pozostawali poza obrębem organizacji - i ograniczały się prawie wyłącznie do zawodów rzemieślniczych. W myśl ówczesnej ustawy przemysłowej robotnicy ci mieli specjalne reprezentacje w formie "zgromadzeń towarzyszy" przy cechach i one to tworzyły podstawę związków zawodowych, z którymi przeważnie miały wspólne lokale, a ich odrębne władze i fundusze były raczej wynikiem formalnych wymogów, celem obejścia przepisów cechowych.

Objąwszy sekretariat w tych warunkach, postawiłem sobie też jako pierwszy cel stworzenie nowoczesnej, centralnej organizacji zawodowej, a następnie wtargnięcie do przemysłu fabrycznego i organizowanie robotników fabrycznych. By ten pierwszy cel osiągnąć, musiałem przede wszystkim pousuwać dawne "związki krajowe" i rozpocząłem na nie atak - tak, że już po krótkim czasie udało mi się przeistoczyć ich dotychczasowe oddziały krajowe czy lokalne we Lwowie, w Przemyślu, w Stanisławowie, w Stryju, w Jarosławiu, w Rzeszowie. Ku największej rozpaczy Nachera, przeprowadzałem uchwały co do rozwiązania dawnych organizacyj krajowych malarzy, kaflarzy, blacharzy, krawców, szewców i piekarzy - i wcielałem ich do odnośnych centralnych związków austriackich. Równocześnie zacząłem wyławiać odważniejszych robotników z fabryk i przy ich pomocy wkraczać na tereny fabryk i tworzyć oddziały z robotników fabrycznych. Zaczepiłem w ten sposób o Chrzanowskie, nawiązałem kontakt z górnikami z Jaworzna, założyłem oddział robotników cementowni w Szczakowej, oddział robotników papierni w Żywcu, oddział robotników browarni w Krakowie i Tenczynku, oddział robotnic fabryki tytoniu w Krakowie, a potem w Winnikach - i wreszcie pozakładałem cały szereg oddziałów w przemyśle drzewnym, jak w Skolem, Synowodzku i Krechowicach. W ogóle szalałem po całej Galicji od końca do końca; mówiłem, organizowałem, jeździłem, a w ślad za każdym mym przyjazdem powstawały nowoczesne organizacje, walki i strajki - tak, że już po kilku miesiącach tej pracy miałem pokaźne rezultaty.

By odpocząć i odetchnąć po tej ustawicznej szarpaninie miałem wziąć urlop - tak zresztą, jak mi to napisał mój nowy szef, sekretarz Centralnej Komisji Zawodowej w Austrii, Anton Hueber. Był to człowiek, były robotnik, mądry w postępowaniu w stosunkach prywatnych z ludźmi - i mądry w swej polityce. Widząc rezultaty mej pracy, sam z własnej inicjatywy podwyższył mi gażę - tak, że miałem już przeszło 200 koron miesięcznie i zapowiedział mi stabilizację po upływie roku. W obrębie Komisji Centralnej stworzył on warunki pracy, które przez całe życie pozostały dla mnie jako ideał i które też - gdy zostałem sam sekretarzem centralnym w Polsce - starałem się potem naśladować. Poza pensją otrzymywaliśmy dwa razy w roku dodatki: na Boże Narodzenie, by pomóc wyrównać ewentualne swe deficyty z roku i pokryć wydatki świąteczne - oraz na urlop, ale tylko pod tym warunkiem, jeżeli wyjeżdżaliśmy poza miejsce zamieszkania, co nas zawsze zmuszało do wyjazdu i do odpoczynku. Wszelkie obciążenia z tytułu składek do zakładów ubezpieczeń i podatków pokrywała już sama Komisja Centarna - tak, że tym, cośmy otrzymywali jako pensję, mogliśmy już dysponować jako swoją wyłączną własnością. Jako szef, Hueber był wobec nas zawsze koleżeński, nie obciążał nas żadnymi formalnościami biurokratycznymi czy odstawieniem "kawałków" ale wymagał, by każdy z nas - gdy była potrzeba - pracował bez osobnego wynagrodzenia, choćby mu nawet język wychodził na brodę - i by każdy pracą swą przyczyniał się faktycznie do wzmocnienia sił klasy robotniczej. Pod względem politycznym, jako sekretarz wielojęzycznej Austrii, choć sam mówił tylko po niemiecku, zdawał sobie dokładnie sprawę, że wszystkie narody w obrębie państwa muszą mieć równe prawa i że Komisja Centralna musi stwarzać dla nich wszystkich takie warunki, w obrębie których mogłyby się pomieścić wszystkie ich dążenia i potrzeby narodowe. Przestrzegając równości praw, Hueber był równocześnie nieubłaganym strażnikiem jedności organizacyjnej widząc w niej pierwszy warunek siły i zwycięstwa klasy robotniczej. Przepracowałem z nim i pod jego kierownictwem prawie dziesięć lat w różnych warunkach i pracą swą zdobyłem sobie u niego wielkie zaufanie; on zaś u mnie - wielkie uznanie i wielką wdzięczność, bo on pierwszy nauczył mnie podstaw organizacji zawodowej, nauczył rozumnej walki i pokazał praktycznie rolę sekretarza centrali związków zawodowych. Spotykałem się z nim potem często po wojnie - na międzynarodowych kongresach i na Radzie Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie, której obaj byliśmy członkami, a ostatni raz pamiętam go z posiedzenia Międzynarodówki Zawodowej, odbytego w Wiedniu jak - wyciągając do mnie starczą, trzęsącą się już rękę, ściskał mnie i witał słowami: "O, Culaski, unser polinischer Liebling".

W myśl jego instrukcji musiałem więc wyjechać na urlop i postanowiłem spędzić go za granicą - tym bardziej, że wyjeżdżał tam również Jerzy. Umówiliśmy się więc obaj, że spotkamy się we Fiume i razem spędzimy parę dni w Wenecji. Wybrałem się jednak na rowerze - nie wiem, czy ze względów oszczędnościowych, czy by szukać przygód - dość, że puściłem się sam przez Kieszmierk, Tyscowiec aż do Budapesztu. Droga była przecudna - wszystko mnie zajmowało, ale zajęło mi to też tyle czasu, że - by dotrzymać umówionego z Jerzym terminu - musiałem w Budapeszcie wsiąść w pociąg - i na rower siadłem dopiero aż w Karlovac. Jechałem stąd przez pagórki, obrośnięte dębami, to znów pachnącymi szpilkowymi lasami - i naraz z grzbietu jakiegoś pasma gór roztoczył się przede mną widok, którego nie zapomnę nigdy. Za mną były góry, prosłe czarnym lasem, a przede mną nagie białe stoki wapienne i szmat przecudnego lazuru. Zobaczyłem po raz pierwszy morze; byłem jego widokiem oczarowany; jakkolwiek widziałem je tylko z daleka, nie widząc ani jego fal, ani życia, ani ruchliwości, to jednak już sam jego koloryt zachwycił mnie i przykuł do siebie. Jak zahipnotyzowany, wpatrzony w nieruchomy płat błękitu, jechałem na dół - i tak, jak nieraz powtarzał nam w dzieciństwie nasz ojciec - wpatrzony w gwiazdy, zaryłem nagle nosem o gościniec, walając się w jego prochu. Otrząsnąwszy się z niego, jechałem dalej do miasta i już po drodze spotkałem Jerzego, który był zaniepokojony, czy zdążę na czasm Po raz pierwszy w życiu jechałem okrętem i po raz pierwszy miałem zobaczyć Włochy i przecudną Wenecję.

Była przecudna pogoda; Wenecja, jakby na moje przywitanie, ubrała się

w najpiękniejsze swe szaty i przedstawiła mi się we wszystkich swych powabach, we wszystkich swych blaskach i kolorach. Plac Sw. Marka, na którym nie było wówczas campanili, Pałac Dożów i ich groźna zemsta, która kazała zamalować czarną chustą portret jednego z nich - tak, by zostało tylko puste miejsce, wskazująco, że jest to "locus Marini Falieri, decapitati pro criminibus" - a potem "canale grando" i widnokrąg przecięty strzelistą wieżą kościoła Santo Giorgio Maggiore i kopułę kościoła Santa Maria de la Salute; kręte uliczki, wśród których były jakieś knajpy marynarskie; doskonałe wino, krewetki i Lido. Wszystko to wryło się w moją pamięć na zawsze - i chociaż widziałem potem te wszystkie cuda tyle razy w życiu, to jednak nie zachwycały mnie one już nigdy tak, jak wówczas.

Po paru dniach trzeba było jednak wracać. Jerzy miał jechać do Florencji, a ja przez Tyrol do Wiednia, a stąd już koleją do Krakowa. Pożegnaliśmy się w Padwie z tym, że o ile zabrakłoby mi pieniędzy, to on mi je natychmiast telegraficznie prześle. Jechałem więc znowu rowerem sam przez dolinę lombardzką, przez Winconzzę i Woronę wzdłuż uroczej Adygi. Niestety od Worony pogoda zaczęła się psuć i na drugi dzień lało już jak z cebra. Cudnych widoków alpejskich nie było, ale mimo to brnąłem dalej z uporem, choć teraz każde naciśnięcie pedała wywoływało u mnie tylko uczucie zmęczenia. Tak dowlekłem się wreszcie do Worgle, ale dalej jechać było już niepodobna. Stanąłem więc w jakiejś "herberdze" robotniczej i zadepeszowałem do Jerzego, czekając na pieniądze. Czekałem dwa dni, wydawałem pieniądze, których miałem coraz mniej, a wiadomość od Jerzego nie nadchodziła. Zorientowawszy się, że Jerzy musiał gdzieś wyjechać i zobaczywszy, że pieniędzy zostało mi już akurat tylko tyle, by móc kupić bilet do Wiednia, postanowiłem nie czekać dłużej. Rower nadałem "per Nachnahme", a sam wsiadłem do pociągu, kupiwszy sobie dopłatę do pociągu pośpiesznego do Salzburga, gdzie miałem przesiąść się do pociągu osobowego. Przybyłem tam pod wieczór i dowiedziałem się, że na pociąg osobowy muszę czekać aż do rana i że do Wiednia zawlokę się nim dopiero pod wieczór. Byłem zrozpaczony. Całego swego majątku miałem w kieszeni dosłownie 20 centów, a tu - nie mówiąc o tym, że od Wörgle już o głodzie jechałem, mając w perspektywie znowu czekanie bez jedzenia całą noc w Salzburgu, cały dzień jazdy w wagonie i znowu czekanie o głodzie w Wiedniu przez następną noc, bo przecież zdawałem sobie sprawę, że tam w nocy nie będę mógł nigdzie wydobyć pieniędzy. Wobec więc perspektywy tej 48 godzinnej głodówki wziąłem na odwagę i przedstawiwszy swoje położenie, poprosiłem konduktora, by mi pozwolił "na kredyt" jechać dalej pośpiesznym, obiecując mu wyrównać wszystkie zobowiązania w południe, gdy spotkamy się w Wiedniu. Dobroduszny Wiedeńczyk roześmiał się, ale zgodził, poklepawszy mnie po ramieniu, zabrał jednak mój kwit na rower jako zabezpieczenie i umówił się co do terminu i miejsca spotkania. Bez przeszkody dojechałem więc do Wiednia - głodny, z 40 groszami w kieszeni, ale na tym nie skończyły się jeszcze moje tarapaty. Chciałem iść na Lerdenfelderstrasse - do Związku Kapeluszników, którego sekretarz był moim przyjacielem jeszcze z czasów tarnowskich, ale nie wiedziałem dobrze w którą stronę mam się zwrócić. Zapytany o to "dienstmann" ogromnie grzecznie poinformował mnie i wskazał, do jakiego tramwaju mam wsiąść, a ja - by nie okazać się grubianinem - dałem mu za to 10 ct. Otrzymawszy ten napiwek, express - chociaż protestowałem przeciwko temu, bo chciałem już ze względu na brak pieniędzy iść piechotą - podprowadził mnie aż do samego przystanku i nie opuścił, dopóki nie wepchnął do wozu. Chcąc nie chcąc musiałem więc jechać, lecz znowu nie wiedziałem, ile kosztuje bilet - i drżałem, czy nie zabraknie mi pieniędzy i czy nie wyrzuci mnie z tramwaju konduktor, gdy się okaże, że np. za bilet trzeba zapłacić 12 centów. Szczęście bilet kosztował tylko 6 ct., więc wyszedłszy z wozu, kupiłem sobie jeszcze 4 "sporty"; bez trudności odszukałem swego przyjaciela i pożyczyłem od niego kilkadziesiąt koron.

Już bez przygód dojechałem do Krakowa i od razu zabrałem się do roboty ze zdwojoną siłą - tym bardziej, że zaostrzyła się teraz ogólna sytuacja polityczna. Dokonywująca się właśnie po wybuchu wojny japońskiej rewolucja rosyjska oddziaływała również bardzo wybitnie na kształtowanie się stosunków austriackich i tamtejsze sfery socjalistyczne, wykorzystując ogólne nastroje, postanowiły

podjąć walkę o zdobycie powszechnego i równego prawa głosowania do parlamentu. Ogólno-austriacki kongres socjalistyczny, w którym wziąłem udział jako jeden z przedstawicieli PPSD, powziął też uchwałę o rozpoczęciu odnośnej akcji, której punktem kuliminacyjnym miał być proklamowany na 28 listopada strajk powszechny. Wpadłem w sam wir walki. Jeździłem jak szalony od miasta do miasta, od jednej osady do drugiej; przemawiałem nieraz po kilka razy dziennie - i jeśli ten strajk nawet w Galicji wypadł tak wspaniale, to była w tym również cząstka mojej ciężkiej pracy. Zastraszone ogromem demonstracji sfery lwerskie zgodziły się na zmianę ordynacji wyborczej, a rząd wobec wyłonionej delegacji obiecał przygotować odpowiednie przedłożenie.

Przemęczony, zachorowałem jednak potem na żółtaczkę i musiałem przeleżeć parę tygodni.

Po strajku i po wyzdrowieniu wracały powoli normalne stosunki i normalna praca, ale nie powrócił już normalny spokój do mojej duszy. Od czasu powrotu z Włoch marzyłem tylko, by się wyrwać w świat. Gdym sobie uświadomił przyszłe swoje życie, które miałem spędzić na wiecznych zgromadzeniach, na wiecznych strajkach, wiecznych podróżach na tych samych turach od Białej po Kołomyję - i na zakładaniu coraz to nowych organizacji w Galicji, to ogarniał mnie strach i przerażenie - i chciałem się wyrwać z tego koła za wszelką cenę. Nie przewidując, że na tej drodze, na której stałem znajdę właśnie to, czego szukałem: wieczną walkę z przemocą, zaspokojenie głodu wrażeń, urozmaicenie życia i sposobność oglądania świata - drogę tę chciałem nieopatrznie porzucić. Zacząłem więc przemyśliwać, co by zrobić, by się wyrwać z tego zaklętego kręgu - i w tym celu porozumiewałem się to z Maćkiem Wohlfeldem, który pracował w Rumunii, by razem z nim jechać do nafty do Algieru, a potem dalej i dalej, - to znowu z jednym młodym inżynierem, z którym projektowaliśmy wspólną podróż do Brazylii, dokąd mieliśmy się dostać jako robotnicy okrętowi.

Napisałem o tym do matki i zwierzyłem się ze swych projektów Daszyńskiemu. Matka odpowiedziała mi: "Nie wiem, moje dziecko, dlaczego każdo z was wyrywa się w świat. Ty piszesz, że pojedziesz w świat; Bohdan w świat; Jurek w świat; Tolek poszedł w świat i od jakiegoś czasu ani słychu o nim nie ma. I nie wiem, który też z was znajdzie szczęście na świecie i za jaką mar. tam goni". A Daszyński moimi pomysłami był też nie mniej zdumiony. W tej chwili, kiedy zdobyłem sobie takie duże zaufanie u robotników i kiedy mogłem się już poszczycić dużymi rezultatami na polu budowania organizacji - usuwanie się z roboty wydawało mu się nieprzebaczalną winą. W długiej rozmowie zobowiązał mnie więc, że muszę zostać, wyzbyć się niewczesnych pomysłów i wpoić w siebie samego przeświadczenie, że moim zawodem życiowym jest robota zawodowa, a nie gonienie za romantycznymi marzeniami. Czułem zresztą sam, że rzucenie roboty w tym stadium jest prawie niemożliwe i w ten sposób stawałem się niewolnikiem swojej własnej idei i obowiązków, które sam sobie narzuciłem. Wydawało mi się to wówczas ciężką krzywdą wobec mojego "ja" i mojej wolności, gdyż nie rozumiałem jeszcze, że znacznie cięższą jest taka niewola, w której życie narzuca człowiekowi konieczność spełnienia nie tego, co on sam uznał za swój obowiązek, lecz tego, co jako obowiązek narzucili mu inni, zaprzęgając go do pracy zarobkowej. Mówiłem o tym dużo z robotnikami, a zwłaszcza z jednym z nich, drukarzem Karolem Pellerem, który stał się potem serdecznym moim przyjacielem. Skarżył się on nieraz przede mną, że wprost nie jest w stanie zmusić się, by stanąć przy kaszcie i składać głupstwa, które mu każą - i które go nic nie obchodzą - a musi, bo musi zarobić na życie. W rozmowach z nim zacząłem sobie coraz bardziej uświadamiać, że w życiu trudno jest uciec od obowiązku - bez względu na to, czy narzuca go sobie człowiek sam, czy narzuca mu go inny - i że nie można żyć tylko myślą o osobistej wolności.

Tylko jeśli tak, jeśli ta moja wolność jest już z konieczności skrępowana poczuciem obowiązku, to po co narzucać sobie jakieś tamy, a nie iść za własnym uczuciem i nie ożenić się z Zośką, która - przeprowadziwszy się w międzyczasie z matką i z siostrami do Krakowa - wchodziła mi coraz bardziej w krew i bez której nie mogłem niemal żyć? Po co ta cała walka o zachowanie swej osobistej wolności, jeśli i tak stawałem się coraz bardziej niewolnikiem mojej

własnej pracy i mojej własnej idei? Raz, przyjechawszy na zgromadzenie do Ławocznego, mając przed sobą jeszcze parę godzin wolnych, wyszedłem w góry. Było tam przecudnie; na stokach leżały jeszcze naokoło śniegi, ale szedł już powiew wiosny, a ja - choć za chwilę miałem mówić do setek towarzyszy - czułem się tak strasznie osamotniony i sam - zwłaszcza, gdym sobie uświadomił, że jutro będzie to samo i tak samo będę się musiał tułać sam z jednej miejscowości do drugiej i tak samo przemawiać do nieznanych, obcych dla mnie ludzi. Poczułem potrzebę kogoś bliskiego i od razu myśl moja spoczęła na Zośce.

Przyjechawszy do domu, zwierzyłem się ze swych zamiarów Pellerowi i wspólnie z nim umyśliliśmy wycieczkę do Bidziny pod Sakwiną, gdzie właśnie Zośka wyjechała do swej przyjaciółki, przemiłej nauczycielki ludowej, która wnet potem tak tragicznie zakończyła życie. Nakupiwszy więc trunków, jedzenia i słodyczy, wybraliśmy się razem w "konkury". Niestety Zośka tymczasem wyjechała, więc my, chcąc czy nie chcąc, przy skutecznej pomocy fiakra musieliśmy wypróżnić wszystkie flaszki i urżnęliśmy się tak, że fiaker leżał na wózku jak kłoda, a nam wydawało się wszystko możliwe. Ponieważ droga była zawiana śniegiem, postanowiliśmy jechać wprost na przełaj do Skawiny i tylko cud boski, żeśmy przy tej jeździe nie poskręcali karków i nie połamali nóg koniowi, zwłaszcza że wózek był bez hamulców. No, ale Pan Bóg opiekuje się pijakami i na drugi dzień oświadczyłem się Zośce, która też zgodziła się na proponowane jej małżeństwo.

W międzyczasie odbył się na wiosnę 1906 r X Kongres PPSD i ja zostałem na nim wybrany do egzekutywy Partii, jednak w dalszym ciągu poświęcałem wszystkie swoje siły w kierunku budowania organizacji zawodowej.

Równocześnie zaś przygotowywałem się do małżeństwa. Zacząłem trochę oszczędzać, dostałem podwyżkę pensji i osiągnąłem stabilizację - i napisałem o swym projekcie do rodziny, a zwłaszcza do matki, która bardzo wnet odpisała mi, że "chciałaby porozmawiać ze mną szczerze i serdecznie i uspokoić się trochę o los tej panienki, która wychodzi za mnie". "Nie obrażaj się drogie dziecko moje, o ten mój niepokój - pisała do mnie matka, która wtedy mieszkała w Bieńkowicach - wiem, że jesteś dobry i szlachetny, pomimo tego jednak tak się obawiam twego usposobienia porywczego, twego życia koszującego, krążącego od miasta do miasta. Zresztą od czasu kiedy Helenka ma taki żal do Jurka, lękam się teraz o każdą młodą dziewczynę, która kocha jednego z moich synów i takie mam uczucie, że każdą z nich powinnabym najprzód przepraszać". W rozmowie matka powiedziała mi, że powinienem przez całe życie pamiętać o dwóch rzeczach: o tym, że w małżeństwie obie strony muszą miec równe prawa i mają prawo do życia własnego, oraz, że żeniąc się, zaciągam stały obowiązek otoczenia opieką kobiety, która zgodziła się zostać moją żoną, gdyż ona zawsze będzie słabszą stroną w tym stosunku.

Wróciwszy do Krakowa, udałem się do swej parafii, by dać na zapowiedzi. I jakież było moje zdumienie, gdy wchodząc do kancelarii, zobaczyłem za biurkiem "Habakuka", mego dawnego katechetę od Sw. Anny, ks. Rychlaka. Poznał mnie od razu, przypomniał nasze ostatnie spotkanie w czasie agitacji wyborczej za Daszyńskim - i przez nos odezwał się do mnie, szydząc, że jednak przyszedłem do kościoła. Oświadczyłem mu, że istotnie przyszedłem lecz nie po to, by prosić o jakąś usługę religijną, lecz jedynie o czysto świecką formalność wygłoszenia mi zapowiedzi. "A ja ich panu nie wygłoszę" - powiedział do mnie ks. Rychlak, tłumacząc, że się grubo mylę, jeśli tak traktuję zapowiedzi, których on wcale nie jest zobowiązany ogłaszać wobec ludzi, podejrzanych o niereligijność. Nie pomogły żadne argumenty i musiałem odejść z kwitkiem, nie wiedząc, co mam teraz robić. Wybrałem się więc do pałacu biskupiego i tam przyjął mnie ówczesny sufragan ks. Bandurski, który - wysłuchawszy mej skargi - kazał mi zaczekać, a sam poszedł do kardynała Puzyny. Za chwilę wrócił i oświadczył, że księże biskup musi w tej sprawie zaczerpnąć przedtem rady u Ducha Swiętego - i kazał mi przyjść po odpowiedź za parę dni. Zjawiłem się w oznaczonym terminie, a ks. Bandurski - opowiedziawszy, że biedny ks. Rychlik napisał w tej sprawie aż osobny długi traktat, udowadniający słuszność swego stanowiska, - poszedł do kardynała lecz za chwilę wrócił, mrugając filuternie okiem i tłuma-

cząc, że książe biskup nie miał jeszcze czasu "porozmawiać" z Duchem Swiętym w tej sprawie. Widząc, że się to wszystko przedłuża - a zwłaszcza, że termin ślubu ustaliliśmy i ze względu na rodzinę nie chcieliśmy go odkładać - poszedłem do magistratu, by mi tam dano ślub cywilny. Urzędnik, dawny mój kolega z gimnazjum Sw. Anny, obiecał mi załatwić wszystkie formalności, ale żądał, bym przedłożył na piśmie, że mój proboszcz odmawia mi udzielenia ślubu kościelnego. Poczuwszy się więc zwycięzcą w sporze z ks. Rychlakiem, poszedłem teraz do niego i - oświadczając, że rezygnuję ze wszystkich jego zapowiedzi i ślubów - poprosiłem jedynie, by pisemnie stwierdził, że mi ślubu kościelnego odmawia. "A ja panu takiego poświadczenia też nie wystawię" - powiedział ks. Rychlak. Gdym go zaś zdumiony zapytał: "dlaczego" - spokojnie mi odpowiedział: dlatego, bo ja go nigdy o ślub nie prosiłem, więc jakże może mi odmawiać czegoś, czego od niego nie żądałem. Stanąłem bezradny. Z parafii mej narzeczonej ogłoszone zostały już dwie zapowiedzi i za parę dni miał się odbyć nasz ślub, a ja nie mogłem pokonać uporu mojego Habakuka. I kiedym tak medytował, co dalej robić - przyszedł niespodziewanie kościelny z zawiadomieniem, że ks. kanonik Rychlak prosi mnie do siebie. Poszedłem chmurny i wściekły, a on - kiedy mnie zobaczył - śmiejąc się do rozpuku - wręczył mi dyspensę do ogłoszenia wszystkich trzech zapowiedzi w jedną niedzielę i oświadczył, że wygłosi mi je wszystkie razem, bo przecież nie chciałby mi zrobić faktycznej przykrości, a chciał mi tylko pokazać, że "w życiu nie idzie wszystko tak, jak sobie to młodzi, radykalni ludzie wyobrażają". Podziękowałem mu bardzo serdecznie i wziąłem ślub w oznaczonym terminie, mając jako świadków mego przyjaciela Karola Pellera i starego Misiołka.

W ten sposób Zośka została moją żoną. Przez całe życie dobra i pogodna, obdarzyła mnie po roku synem, któremu nadaliśmy imię Jacek, a w pięć lat potem drugim - Rafałem; stała się panią mojego domu, najlepszą matką dla synów, dbałą synową dla mej matki, która mieszkała potem u nas przez długie lata i kochaną bratową wszystkich moich braci. A jeśli mimo to wybuchały pomiędzy nami czasem konflikty życiowe, to tylko dlatego, że ja - zmęczony bujnym i pełnym rozmaitości życiem, które niosła mi moja praca i walka - szukałem w domu i w żonie wypoczynku i spokoju, podczas gdy ona, po największej części osamotniona, musiała szukać urozmaicenia w życiu poza pustym domem. Podczas, gdy ja chciałem, by nasz wspólny dom był dla mnie schronieniem, do którego mógłbym uciec od gwaru i odpocząć w ciszy, to ona - znudzona monotonną ciszą i spokojem domu - musiała szukać wypoczynku poza nim - w urozmaiceniu, w gwarze i w ruchu. Poza wspólnymi, serdecznymi stosunkami rodzinnymi, musieliśmy często chodzić własnymi drogami i stwarzać dla siebie własne światy: ja pracę i walkę na świecie i odpoczynek w domu; ona - poza spokojnym domem - własne gwarne stosunki towarzyskie.

Mój świat pochłaniał mnie teraz coraz bardziej. Organizacje rozrastały się, a wraz z tym rósł również zakres pracy, której już sam nie byłem w stanie podołać. W Krakowie pomagali mi dzielnie: Peller; zawsze żywy i zdolny Bolesław Jaroszewski, stolarz, jeden z najinteligentniejszych robotników, jakich spotkałem w życiu; Kazimierz Łapiński, młody, niesłychanie silny murarz, pełen zawsze pomysłów i inicjatywy - i dwaj zapaleńcy: Władysław Kübner, introligator i Michał Hofman, modelarz. Na prowincji zaś wybijał się swą odwagą i rozumem młody tokarz żelazny z fabryki wagonów w Sanoku, Wilhelm Topinek. Jego lubiłem i ceniłem go ze wszystkich najwyżej, bo miał zawsze odwagę własnego zdania - nie tylko wobec przełożonych i dyrektora lecz również wobec własnych kolegów - i choć młody, nieraz przeciwstawiał się poważnym robotnikom sanockim, gdy chcieli się dać sprowokować dyrekcji czy władzom.

Raz, w czasie karnawału 1906 roku, gdy sfery ziemskie ostentacyjnie urządziły bal w Sanoku - mimo, że partia ze względu na ofiary rewolucji w Kongresówce, ogłosiła "żałobę narodową", młody Topinek zorganizował protest. Robotnicy w roboczych ubraniach weszli na salę balową, niosąc na ramionach pustą trumnę - i samym zjawieniem się swych osmolonych, czarnych postaci zmusili rozbawionych panów, i panie do poszanowania żałoby. Robotnicy stanęli jak milczący, ale groźny wyrzut sumienia, przed którym defilowały teraz wystrojone damy i wyfraczeni panowie, uciekając co tchu do swych powozów i domów. Topinek

i kilku robotników zostali z tego powodu oskarżeni o zbrodnię gwałtu publicznego, ale sprawa skończyła się ich uwolnieniem.

Gdy więc roboty organizacyjne wzmagały się ustawicznie, namówiłem Topinka, by przyjął stanowisko sekretarza Związku Metalowców, na co wreszcie się zgodził i przeniósł się do Krakowa. Odtąd przez długie lata, w różnych warunkach życiowych, pracowaliśmy razem i z każdym rokiem tej współpracy przekonywałem się coraz bardziej o jego wielkim charakterze i wysokiej wartości. Wnet po zaangażowaniu Topinka na sekretarza centrala metalowców posłała do Krakowa, w charakterze redaktora polskiego organu związku "Metalowca", młodego człowieka z Wiednia, Mikołaja Kozłowskiego, miłego kompana, który odznaczał się tym, że nie mówił na zgromadzeniach i nie napisał ani jednej litery, a jednak potrafił wytrwać na swym stanowisku blisko 3 lata. Nasz sztab "zawodowców" powiększył się potem przez ustanowienie sekretariatu okręgowego we Lwowie, który objął Teller, ten właśnie niemiły krawiec, który swoją postacią zrażał mnie do socjalizmu w okresie, gdym chodził jeszcze do gimnazjum w Nowym Sączu - i przez utworzenie sekretariatu budowlanych który objął Łapiński.

Znalazszy się razem w Krakowie: ja, Topinek i Łapiński przemyśliwaliśmy tylko, jakby wyprowadzić się z Małego Rynku i zdobyć nowy, odpowiedniejszy lokal. Udało nam się to przez wynajęcie dużego mieszkania przy ul. Wiślnej, któreśmy przebudowali i urządzili względnie po europejsku, kupując nowe meble, bilard, bufet i nowe biurka dla poszczególnych organizacji. Był to wielki postęp w porównaniu z Małym Rynkiem, toteż byliśmy wszyscy dumni z dokonanej zmiany. Tam jednak bardzo szybko zbudził się szybki prąd "anty-inteligencki", który wlókł z Kongresówki niejaki Machajski. Ten półinteligent zionął nienawiścią do wszelkiej inteligencji i cały ruch socjalistyczny chciał oprzeć wyłącznie o robotników. My natomiast, stojąc na stanowisku, że dla socjalizmu muszą być obojętne zawody, lecz ważne jest to, kto pracuje dla idei wolności, zwalczaliśmy ten ruch bardzo ostro - tak, że po paru zebraniach zdołaliśmy go zdusić. Mimo to jednak od czasu do czasu odzywał się ten "machaizm" w tej czy innej formie - zawsze u tych, którzy demagogicznie chcieli zdobywać wpływy nie przez swój rozum i inteligencję, lecz przez to, że byli "robotnikami".

My, sekretarze zawodowi, do których towarzysko przyłączyło się jeszcze kilku wybitnych robotników, a zwłaszcza przewodniczący okręgu, metalowiec Tomasz Tokarz, stanowiliśmy teraz jakąś odrębną kastę; jakieś wspólne bractwo pracy i życia. W tej paczce żyliśmy w prawdziwej przyjaźni i zgodzie; razem zgodnie pracowaliśmy - i razem też piliśmy i hulali. Staliśmy się dla siebie jedynym towarzystwem, toteż zżyliśmy się jak bracia - i często po robocie, która ciągnęła się dla nas, a zwłaszcza dla mnie, niejednokrotnie poza godzinę 10-tą, schodziliśmy się - zazwyczaj w restauracji Kuczmierczyka przy ul. Św. Anny - i stojąc przy bufecie, przyglądaliśmy i pili nieraz aż do brzasku, by rano stanąć jednak do pracy - zwłaszcza, gdy mieliśmy jakieś walki, strajki czy wyjazdy.

W tym czasie - w roku 1907 - nasza praca została wzmożona jeszcze przygotowaniami do nowych wyborów, które pierwszy raz miały się odbywać na podstawie nowej ordynacji wyborczej, uwzględniającej powszechność i równość głosowania. Mnie interesowały specjalnie wybory w Krakowie, gdzie kandydował na Wesołej Daszyński i gdzie niestety na skutek oszustw i przekupstw wyborczych przepadł on ku memu największemu zmartwieniu. Rzuciliśmy się więc wszyscy na wiejski okręg Biała-Oświęcim, gdzie do wyborów "ponownych" można było jeszcze postawić kandydaturę Daszyńskiego, lecz mimo wytężonej pracy agitacyjnej rezultat był tam też ujemny - i Daszyński w tej kadencji odzyskał mandat dopiero w wyborach uzupełniających, rozpisanych na skutek ofiarnego zrzeczenia się mandatu ze strony tow. Regera.

Zaraz potem wydelegowany zostałem przez Komisję Centralną na V Międzynarodową Konferencję Związków Zawodowych do Chrystianii, późniejszego Oslo, gdzie obok Huebera miałem reprezentować austriackie związki zawodowe. Był to mój pierwszy występ na arenie międzynarodowej - i wówczas to poznałem Legiena, przewodniczącego związków niemieckich, pełniącego równocześnie funkcję sekretarza Międzynarodówki; Huysmansa, który reprezentował związki belgijskie;

Sassenbacha, Niemca, który potem po wojnie, był sekretarzem Międzynarodówki - i jego następcę na tym stanowisku młodziutkiego wówczas Oudegesta, Holendra; poważnego już wtedy Madsena z Kopenhagi, z którym spotykałem się potem na terenie międzynarodowego ruchu zawodowego i w Radzie Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy, gdzie jako staruszek reprezentował bez zmiany małą Danię - i Jasseja, przedstawiciela Węgier. Ta V konferencja, a dla mnie pierwsza, nie zachwyciła mnie jednak wcale. Z ogólnych zagadnień poruszono tylko mimochodem kwestię strajku powszechnego, którą starali się rozdymać syndykalistyczni delegaci francuscy, a poza tym mówiono prawie wyłącznie o wzajemności wsparć - zwłaszcza w czasie podróży - i o niewykonywaniu robót pochodzących z fabryk, objętych strajkiem lub bojkotem.

Wracałem więc zdetonowany trochę - i chcąc w czasie podróży powrotnej zobaczyć jak najwięcej świata, zacząłem oszczędzać. Zaraz na wstępie skąpstwo moje zostało jednak ukarane. W Göteborgu pociąg stał dość długo, poszedłem do restauracji, w której zastawione były obiady i przekąski, ale ja skromnie wziąłem sobie tylko szklankę herbaty i dwie bułki z szynką, patrząc jak inni pasażerowie obżerają się rybami, pieczeniami i leguminami. Kiedy jednak trzeba było płacić, okazało się, że zawsze płaciło się tam tylko bilet wyjścia z restauracji, który kosztował dwie korony szwedzkie i za który można było jeść do woli byle tylko nie wynosić niczego z restauracji. Niestety dowiedziałem się o tym za późno, gdy trzeba było wchodzić już do wagonu i nie było czasu, by "odjeść" swe pieniądze. Zatrzymałem się w Kopenhadze, gdzie zwiedziłem Gliptothekę, zachwycając się nowoczesnymi rzeźbami Meniera, Rodina czy Skandynawa Sindinga, posiedziałem dwa dni i w cichej i spokojnej nadmorskiej stacji kąpielowej w Warnemunde i zwiedziłem Berlin, który mi się bardzo nie podobał mimo swej pretensji do wielkości i przepychu. Wstąpiłem do Drezna, które na odwrót oczarowało mnie swymi galeriami, kościołami, tarasem Bruna i Zwingren, oraz przez złotą Pragę, w której zachwycałem się Hradczynem, starym ratuszem, potężnym pomnikiem Husa i wspaniałymi mostami - wracałem do domu.

Powróciwszy do Krakowa, musiałem go jednak bardzo wnet opuścić, by wziąć udział w V Kongresie austriackich Związków Zawodowych, który odbywał się we Wiedniu w jesieni 1907 roku. Tam po raz pierwszy, ku największemu przerażeniu, spostrzegłem u przedstawicieli czeskich bardzo silne tendencje nacjonalistyczne, które wkrótce potem przerodziły się w groźny ruch "separatystyczny" wysuwający zasadę odrębnych narodowych związków zawodowych. Ja, który podstawę socjalizmu widziałem w walce o wyzwolenie klasy robotniczej i w międzynarodowej solidarności proletariatu, nie mogłem się też nigdy zgodzić z jakimkolwiek nacjonalizmem, widząc w nim największe niebezpieczeństwo dla wolności.

W międzyczasie, na skutek rezygnacji, spowodowanej scysją pomiędzy ówczesnym prezesem Kasy Chorych w Krakowie, dr. Markiem a jej lekarzami, zostałem wybrany prezesem zarządu miejskiej Kasy Chorych, która mieściła się wtedy w jednopiętrowym budynku przy ulicy Dunajowskiego i miała wszystkiego razem kilka tysięcy członków. Kwestia ubezpieczeń, a zwłaszcza ubezpieczenia na wypadek choroby, nie zajmowała mnie nigdy specjalnie i zająłem się nią też głównie pod przymusem - ubocznie - o tyle jedynie, o ile mogła ona dotykać związków zawodowych i mogła być traktowana jako środek walki zawodowej. Nie przypuszczałem, że kwestia ta w Polsce zostanie potem na długie lata związana z moim nazwiskiem - że stanie się drugim terenem mojej działalności i równocześnie długotrwałym środkiem ataków na moją osobę.

Najbliższy urlop - w 1908 - mieliśmy już razem z żoną spędzić we Włoszech, gdzie w Rzymie mieszkał Jerzy z drugą swą żoną, która urodziła mu synka - Marka. Byliśmy razem w Wenecji i we Florencji, która o tej porze jakby kąpała się w kwiatach; zachwycaliśmy się placem Signoria, ogrodami Boboli i galerią obrazów Pitti i Uffizi - i przeszło dwa tygodnie spędziliśmy w Rzymie, gdzie mieszkaliśmy razem z Jerzym i jego żoną w pensjonacie przy ulicy Compidoglio, z którego okien mogliśmy patrzeć na Forum Romanum i na ruiny Palatynu. Poprzez Neapol i Sorrento, gdzie spędziliśmy parę uroczych dni w towarzystwie poety Kasprowicza i młodego literata Germana, wracaliśmy do kraju razem z Je-

rzym, jego żoną, małym Markiem i psem Robakiem. Od samej Ankony, gdzie siedliśmy na statek, droga ta była dla nas wszystkich nieustannym pasmem zmartwień i męczarni. Kończyły się nasze pieniądze; potem na okręcie bratowa i moja żona dostały morskiej choroby; Marek w wagonie darł się jak opętany; Robak zlał się w eleganckiej restauracji kolejowej w Budapeszcie - tak, że struga płynęła poprzez całą salę, a nas chcieli za to wyrzucić - Jerzy zaś ustawicznie nam się gubił na peronie; tak, że ta podróż do pieleszy domowych pozostała dla nas wszystkich wspomnieniem udręki i zmęczenia - i odetchnęliśmy po niej dopiero wówczas gdy znaleźliśmy się w naszym czyściutkim, zacisznym mieszkanku przy ulicy Długiej 14.

Po powrocie wpadłem od razu w istny wir zajęć i prac, które nagromadziły się z całego miesiąca. To trzeba było kończyć strajki i pozawierać umowy zbiorowe, o których beze mnie nie chciano decydować - do tego stopnia, że gdy byłem w Rzymie, depeszowano do mnie, bym przyjechał skończyć strajk piekarzy; to trzeba było poodbywać zaniedbane zgromadzenia lub kontrolować oddziały, a wreszcie musiałem przygotować drugą konferencję zawodową, która - odbyta potem w Przemyślu - wykazała duży wzrost ruchu zawodowego w kraju i zdobyła mi uznanie zarówno wśród towarzyszy, jak i w opinii publicznej. W swej pracy organizacyjnej natrafiałem też na coraz mniejsze przeszkody, bo z jednej strony sami robotnicy niemal codziennie przekonywali się praktycznie o znaczeniu i wartości dla nich związków, a z drugie - społeczeństwo i przedsiębiorcy wobec zorganizowanej siły, chcąc czy nie chcąc, musieli ją respektować i pertraktować ze mną jako z jej reprezentantem. Wkroczyliśmy do największych przedsiębiorstw; do przemysłu węglowego, gdzie organizacja wzrosła tak, że trzeba było ustanowić osobny sekretariat górników; do fabryk tytoniu, któreśmy opanowali w zupełności; do broniącego się zacięcie państwa "Skole", reprezentującego największe przedsiębiorstwa drzewne - i prawie pozawieraliśmy umowy zbiorowe, ustalające warunki pracy i wysokość płacy. Tylko wyjątkowo natrafiłem na jakieś przedsiębiorstwo, które - broniąc zasady "sama w swoim domu" - zamykało przed nami swoje podwoje.

Na taki opór napotkaliśmy w cukrowniach w Przeworsku, Chodorowie - i taki opór stawiał nam stale właściciel fabryki papieru w Sussowie pod Złoczowem, chociaż - według relacji Piłsudskiego - miał on być "sympatykiem" PPS i miał popierać socjalistów. Każde zwołane tam zgromadzenie robotników papierni starosta w Złoczowie uniemożliwiał zakazem, pod takim czy innym pretekstem, a zebrania poufne rozwiązywał komisarz, który w tym celu razem ze mną przyjeżdżał ze Złoczowa do Sussowa. Te praktyki przypominały mi mojego dawnego "przyjaciela" tarnowskiego, Wolanieckiego - i postanowiłem zastosować wobec niego tę samą metodę. Zwołałem zgromadzenie poufne, na które przyszło około 300 ludzi - i kiedym tylko zaczął do nich mówić, wkroczył komisarz z żandarmami, by skontrolować, czy wszyscy mają zaproszenia. Komisarza wpuściłem, ale - powołując się na ustęp - stanowczo zaprotestowałem, by wkroczyli na salę uzbrojeni żandarmi, którzy musieli też pozostać przed domem. Podczas, gdy komisarz kontrolował, czy zebranie odbywa się wedle przepisów ustawy, naraz ktoś przekręcił klucz w zamku i komisarz został odcięty od żandarmów. Kto zamknął salę i co się stało z kluczem, trudno było ustalić, bo ja stałem przez cały czas tuż przy komisarzu, ale w każdym razie nastrój zebranych zmienił się momentalnie. Komisarz prosił, bym go puścił - zwłaszcza, że ludzie zaczęli go powoli poszturchiwać, ale ja poprosiłem, by sobie usiadł - i odbyłem zgromadzenie, po którym założyliśmy organizację, będącą potem jedną z najbardziej wzorowych. Od tego czasu jeździłem już do Sussowa bez przeszkody i nie widziałem tam już nigdy komisarza.

Kiedy tak pracowałem nad rozbudowaniem organizacji robotników, równocześnie w mej pracy nastąpiły pewne zmiany. Musiałem teraz więcej pozostawać w Krakowie, bo wydawałem osobny dwutygodnik "Zawodowiec" dla wszystkich tych zawodów, które nie miały własnych organów zawodowych - i sam go redagowałem, a ponadto zobowiązałem się pisać co tydzień artykuły dla ogólnozawodowego pisma "Oświata" w Poznaniu, wydawanego przez Generalną Komisję Niemieckich Związków Zawodowych, dla polskich robotników. We Lwowie ustąpił ze stanowiska

sekretarza okręgowego tow. Teller, który po ustąpieniu Kozłowskiego objął teraz redakcję "Metalowca", mając do tego to jedyne uzasadnienie, że metalowymi nożyczkami wycinał odpowiednie artykuły z innych pism. Miejsce sekretarza lwowskiego zajął zaś inny krawiec, Iwan Kuśnierz, który pracował ze mną potem całe lata w niepodległej Polsce aż do swej męczeńskiej śmierci, jaką znalazł w więzieniu bolszewickim.

Powrócił w tym czasie z Brazylii do Krakowa również mój brat Witold pod zmienionym nazwiskiem Gosławski - i nie zapomnę nigdy chwili, kiedy - otwierając drzwi - zobaczyłem go przed sobą w dużym kapeluszu panama, w towarzystwie miłej bratowej, trzymającej za rączki dwoje małych dzieci, z dwiema klatkami w ręku, z których w jednej trzepotały się przecudne papużki, a w drugiej dwie maleńkie, ale złe małpeczki. Witolda ulokowałem w krakowskiej Kasie Chorych, co wymawiano mi potem - za sanacji - jako największą moją zbrodnię i zarzucano mi "nepotyzm", że zbiegowi dałem zajęcie za 60 koron miesięcznie.

Wreszcie czuć już było w Krakowie zmianę nastrojów politycznych w Europie Środkowej i Wschodniej. Pod wpływem wojny japońskiej, która wstrząsnęła potęgą caratu pod wpływem rewolucji rosyjskiej, pod wpływem zdobywania przez narody Austrii coraz większej swobody politycznej, a wreszcie pod wpływem dążeń wyzwoleńczych, ujawniających się w Turcji - pomału konała dawna idea imperializmu, tylko nie było jeszcze wiadomo, co ma przyjść na jej miejsce. Z jednej strony chwiały się imperialistyczne reżimy i groziły zupełnym rozkładem, ale z drugiej - wyłaniał się już nowy wróg w formie budzącego się nacjonalizmu. Wyzwalające się narody coraz silniej i głośniej domagały się wolności, widząc ją niestety przede wszystkim we własnym egoizmie narodowym i w uznaniu swej własnej narodowej wyższości. U Polaków wyrazem obudzenia się tego ducha narodowego była akcja Piłsudskiego i jego Frakcji rewolucyjnej, a potem uroczystość 500-nej rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem, którą ja powitałem całym sercem widząc w niej wyraz walki z przemocą, podczas gdy inni widzieli w niej tylko wyraz walki z niemieckością. U Czechów natomiast te tendencje nacjonalistyczne przejawiały się w obstrukcji czeskiej w parlamencie i w coraz bezwzględniejszej agitacji, która nie umiała rozróżnić pojęcia wolności, opartej na współpracy wolnych i równych narodów, od pojęcia separatyzmu narodowego. Idee tego separatyzmu, posuniętego aż do rozbicia wspólnych związków zawodowych na narodowe organizmy, propagowali zresztą nie tylko politycy czescy, lecz propagował ją również młody poseł socjalistyczny, Jędrzej Moraczewski, który w organie PPSD, "Głosie", wychodzącym we Lwowie, starał się w szeregu artykułów wykazać konieczność uniezależnienia się związków zawodowych od central wiedeńskich i chciał nawrotu do organizacji krajowej i do polskich, narodowych związków zawodowych, które by - zespolone z partią polityczną - były od niej zależne. Tym pomysłom przeciwstawiałem się bardzo ostro w artykułach, które ogłaszałem w "Naprzodzie" - tak, że wynikła polemika pomiędzy Moraczewskim, chcącym upartyjnienia związków, a mną, który broniłem ich bezpartyjności i stałem na stanowisku wspólnych central, obejmujących wszystkich robotników państwa bez względu na ich różnice narodowe.

Te tendencje separatystyczne, przejawiające się zwłaszcza silnie w Czechach, stały się też tematem obrad międzynarodowego kongresu partii socjalistycznych i związków, który zwołany został do Kopenhagi w roku 1910. Jako delegat Związków, wyjechałem razem z żoną i spotkaliśmy się tam z naszym wspólnym przyjacielem RadkiemSobelsohnem, który nas pierwszy z żoną zapoznał.

W czasie obrad, kiedy uzasadniłem na komisji potrzebę wspólnej organizacji zawodowej dla wszystkich robotników danego państwa, bez względu na różnice narodowe, towarzysze czescy, stojąc obok trybuny, przeszkadzali mi ustawicznie okrzykami: "nemecki knecht". Życie przyniosło mi jednak dużą satysfakcję: ci sami towarzysze czescy w czechosłowackiej Republice występowali potem przeciwko separatystycznym związkom niemieckim i domagali się wspólnej organizacji narodowej, którą przed 10 laty tak ostro zwalczali. Moraczewski zaś, zapominając o swym dawnym stanowisku z przed kilkunastu laty, - by przysłużyć się Piłsudskiemu, atakującemu pod pretekstem walki z "partyjnictwem" zasadę demokracji - wysunął potem hasło związków "bezpartyjnych", starając się rozbić

dotychczasowe związki jako "socjalistyczne". Zarzucał im i mnie, który byłem ich sekretarzem, "partyjność", jakkolwiek i one i ja nie zmieniły swego stanowiska ani w swej praktycznej działalności ani w teoretycznej ocenie. Kongres kopenhaski zaakceptował nasze stanowisko i więcej - zaakceptowało je życie. Wracałem więc zadowolony razem z Sobelsohnem, z którym pożegnaliśmy się w Niemczech nie przypuszczając, że będzie to rozłąka na przeciąg dziesięciu lat, w czasie których staniemy przeciwko sobie - w dwóch wrogich obozach.

W parę miesięcy potem, pod jakimś pretekstem, rozwiązany został parlament i na rok 1911 rozpisano nowe wybory, do których partia postawiła mnie jako kandydata w swym okręgu chrzanowskim, gdzie przemysł i robotnicy byli najsilniejsi. Tow. Haecker napisał odezwę wyborczą, w której zalecał mnie jako "jednego z bojowników, co od lat stoi w ogniu walki i niemało się przyczynił do powiększenia swobód i praw ludowych". "Stawiając kandydaturę Zygmunta Żuławskiego" - pisał Haecker - chcemy nie tylko uznać rzetelne zasługi wybornego organizatora sił ludowych. Chodzi nam o wprowadzenie do parlamentu siły młodej, żywej, rzutkiej, pełnej inicjatywy i zapału - chodzi nam o pozyskanie znawcy interesów, potrzeb i pragnień ludu pracującego. Jako człowiek, który stanął o własnych siłach, Zygmunt Żuławski poznał wszystkie szczeble społeczne, wszystkie warstwy ludzi pracy. Urodzony na wsi, ukończył studia wyższe, co mu nie przeszkadzało być robotnikiem - górnikiem w Borysławiu. Powołany zaufaniem organizującej się klasy robotniczej na sekretarza, w krótkim czasie poznał stosunki i potrzeby wszystkich kategorii robotniczych. Jemu w znacznej mierze zawdzięcza klasa pracująca w Galicji niejedno zwycięstwo o lepszą płacę, o krótszy dzień roboczy, o godność ludzką. Wszyscy, którzy chcą walczyć o polepszenie swej doli, którzy są pracą przeciążeni, gnębieni i licho opłacani - wszyscy, którym na sercu leży los ludzi wszelkiej kategorii, sprawa ich zaopatrzenia na starość, w razie kalectwa, niezdolności do pracy, los żon ich i dziatek, wszyscy ci powinni natężyć swe siły, by do parlamentu wszedł Zygmunt Żuławski". Wytężali oni też faktycznie wszystkie swoje siły, ale silniejsze, niż oni okazało się oszustwo i władza Koła Polskiego.

Wedle obowiązującej ordynacji każdy okręg wiejski wybierał dwóch posłów: reprezentanta większości, który musiał mieć ponad 50% oddanych głosów - i mniejszości, który miał mieć 25% głosów. W razie nieosiągnięcia tego rezultatu odbywały się "wybory ponowne", a potem "wybory ścisłe" spomiędzy trzech kandydatów, którzy otrzymali największe ilości głosów. Moimi kontrkandydatami byli: ks. Stanisław Stojałowski, demokrata; inż. Zarański, radca górniczy, oraz ludowiec dr Wróbel, wicedyrektor kolei. Ci dwaj ostatni cieszyli się poparciem władz i starosty, młodziutkiego syna redaktora "Czasu" p. Chylińskiego, dla którego wybory te miały być egzaminem z jego zdolności administracyjnych. Dla mnie jedynym groźnym współzawodnikiem mógł być tylko ks. Stojałowski, stary wyga polityczny, posiadający duże wpływy z okresu walki, jaką prowadził z klerem i Kościołem, lecz jemu przeciwstawiałem swoją młodość i zapał oraz zaufanie i pracę zorganizowanych robotników i górników. Spośród tych, z którymi pracowałem potem przez długie lata jako ich poseł i sekretarz Komisji Centralnej, najgłębiej wryła mi się w pamięć postać Kuby Chechelskiego, górnika z Lgoty, dla którego nigdy nic nie było ciężkie, gdy chodziło o pracę dla ogółu, i który całe swoje życie ofiarnie przewalczył za swe ideały, nie bacząc, że naraża się przez to na prześladowanie i szykany. Stał się on też ofiarą sanacji, potem przedsiębiorców, a następnie władz okupacyjnych - i opuszczony, umarł w szpitalu chrzanowskim. Oparty wówczas o te walory, zdobyłem też w pierwszym głosowaniu przeszło sześć i pół tysiąca głosów, i do absolutnej większości brakło mi bardzo niewiele, ksiądz Stojałowski otrzymał bowiem około pięciu, Wróbel około dwóch, a Zarański półtora tysiąca głosów. Wybory ponowne dały podobny rezultat, chociaż już wówczas pp. Wróbel i Zarański poprawili swe szanse, gdyż - jak pisał "Czas" - "myśl narodowa torowała sobie drogi". Te drogi do umysłów wyborców znajdowała jednak "myśl narodowa" przede wszystkim w przekupstwie, w kiełbasie wyborczej, w piwie lub w oszustwach, w terrorze i groźbach. Wedle rezultatu, do wyborów ścisłych powinienem był stanąć ja, ks. Stojałowski i Wróbel, podczas gdy rządowi i Kołu Polskiemu chodziło przede wszystkim o przeforsowanie kandydatury Zarańskiego, jako

męża zaufania miejscowego przemysłu węglowego. Starosta Chyliński wpadł więc na cudowny pomysł. Zawezwawszy jako eksperta jednego z nauczycieli ludowych na okoliczność, czy nad dużym "I" ma być kropka czy nie, spowodował unieważnienie przez Komisję Wyborczą blisko pięciu tysięcy głosów, oddanych na ks. Stojałowskiego - z tego powodu, że nazwisko kandydata było napisane "błędnie". Taką bowiem stampilę z kropką nad dużym "I" w swym nazwisku miał Stojałowski - i tą stampilą jego mężowie zaufania umieszczali na urzędowych kartach głosowania jego nazwisko, by uniknąć błędów przy ręcznym pisaniu. Rozwścieczony ks. Stojałowski napisał wówczas list do swego politycznego przyjaciela, p. Kozlika, w Jaworznie i radził by "oddać swe głosy przy trzecim głosowaniu, we środę 26/6, na Zygmunta Zuławskiego... niech go mają! Wybór socjalisty będzie ciosem dla polityki Bobrzyńskiego i Rady Narodowej... wobec rozmachu socjalistów Zuławski i tak przejdzie, a nasze wstrzymanie się od głosowania... ściągnęłoby... zarzut zdrady..." W tych warunkach mogłem więc zdobyć nawet trzykrotną większość nad mymi oboma kontrkandydatami, gdyby nie torowali sobie drogi przez "myśl narodową", która przekupywała, terroryzowała, a następnie ordynarnie wyjmowała z urny karty z moim nazwiskiem i wrzucała je do pieca, gdzie je potem - nieoględnie niespalone - znajdowano, byle tylko zwyciężyć. Mimo to wszystko - wedle wyników, ogłoszonych w poszczególnych miejscach głosowania - ja otrzymałem 6344 głosów, Zarański 5852, a Wróbel 5513. Wbrew temu, bez podania liczby głosów, Komisja ogłosiła wybór Zarańskiego i Wróbla - i dopiero po paru dniach, których potrzebowano, by spreparować odnośne cyfry i akty, ogłoszono szczegółowe daty, które wywołały żywe protesty ze strony wyborców i mężów zaufania. "Naprzód" bez żadnych osłonek napisała, że "jest to oczywisty rozbój wyborczy, dokonany już po ogłoszeniu wyników głosowania w poszczególnych miejscach wyborczych" - i, że "ten rozbój wyborczy, nie ujdzie płazem - na winnych zostanie wniesione doniesienie karne, a "mandat"... skradziony socjaliście, zostanie rychło przez parlament unieważniony". Niesłychanych nadużyć dopuszczali się specjalnie Żydzi z Jaworzna i Chrzanowa, pod kierownictwem niejakiego Süssmana Kühnreicha, który z największą zaciętością zwalczał moją kandydaturę, nie wiedząc, że tak wnet i on i jego współwyznawcy będą musieli szukać obrony i pomocy właśnie pod moimi skrzydłami.

O popełnionych nadużyciach wyborczych nie trzeba było jednak wnosić osobnego doniesienia karnego, bo już przy weryfikacji wyborów, których akty z okręgu chrzanowskiego dostały się w tym celu do rąk posła dr. Zygmunta Marka, ujawniła się cała bezceremonialność i bezczelność "myśli narodowej". Po prostu przekreślono kreski z rubryki z jednym nazwiskiem i wpisano je do innej, nawet innym atramentem; wycierano protokóły i fałszowano podpisy członków Komisji - tak, że wreszcie cały ten akt musiano skierować do prokuratora, który stwierdził popełnione oszustwo. By jednak uniknąć kompromitacji Koła Polskiego i władz galicyjskich - w myśl wypróbowanej austriackiej zasady "fortwürsten" i "verschlappen" - odnośną relację zwrócono z powrotem do prokuratora celem ustalenia "sprawcy oszustwa" - w nadziei, że tymczasem upłynie kadencja i cała sprawa przestanie być aktualna.

Wszystkie te wypadki oraz rozwijająca się sytuacja polityczna z konieczności zbliżały mnie teraz coraz bardziej do roboty politycznej, do politycznych działaczy i do partyjnej inteligencji, z którą zacząłem żyć towarzysko - zwłaszcza, że po wyjeździe Kozłowskiego, po śmierci Tokarza i po przyjeździe Tellera, z którym nigdy nie mogliśmy się zżyć, rozbiła się nasza dawna paczka. Spotykałem się teraz prawie stale z Daszyńskim, z red. Haeckerem, z adw. Heskim, dr. Krzysztoniem, sekretarzem egzekutywy partyjnej, z dr. Kaplickim, który kierował krakowskim komitetem partyjnym. Na codzień w lecie widywaliśmy się w kawiarni Janikowskiego na plantach, obok pomnika Bałuckiego, w zimie zaś w Krystale, a "od święta" zbieraliśmy się dla uczczenia jakichś nadzwyczajnych okazji w seperatkach którejś z restauracji krakowskich. Tam wspólnie przewracaliśmy cały świat, dysputując to o reformie do sejmu lwowskiego, która jak wąż morski ciągnęła się bez końca i która została załatwiona dopiero bezpośrednio przed samą wojną - tak, że stała się już nieaktualna, - to o możliwości wojny europejskiej, która od czasu aneksji Bośni w roku 1908 zdawała się nieraz lada chwila

grozić wybuchem i która garnęła już swą pożogą cały Bałkan - to wreszcie o polskich ruchach niepodległościowych i o "Strzelcu", którego oficerowie napełniali kawiarnie krakowskie coraz większą wrzawą i hałasem.

Na urlop w tym roku wybrałem się razem z najmłodszym bratem Januszem - i dojechawszy koleją do Fiume, jechaliśmy stamtąd już rowerami przez cudne okolice Kroacji i Dalzacji, poprzez Gospic, Knin, Split, Metkowic, Dubrownik i Czarnogórę, a potem przez Mostar i Sarajewo aż do Lukavac, gdzie mieszkała siostra, zamężna z inżynierem, pracującym tam w fabryce sody. Wycieczka ta, choć nieraz męczyła nas bardzo, gdyż wspinaliśmy się z jednej góry na drugą, z których roztaczał się zawsze wspaniały widok to na Kars, to na Alpy dynarskie, na Velebit czy na Adriatyk - i w czasie której nie obeszło się również bez konfliktu z władzami - pozostała dla mnie jednym z niezatartych i najmilszych wspomnień.

W tym czasie Kraków, Lwów i cały szereg miast galicyjskich zaroiło się też od emigrantów z Kongresówki, którzy musieli uciekać przed prześladowaniami caratu, spowodowanymi żywą walką organizacyj podziemnych. W lokalu Związku Stowarzyszeń Robotniczych w Krakowie pełno było członków PPS i bojowców, którzy - skupieni w "Komunie", rządzonej energiczną towarzyszką Marią, - prowadzili stamtąd w dalszym ciągu swą podziemną rewolucyjną robotę.

Równocześnie w Krakowie zaroiło się również od prokuratorów i szpicli rosyjskich. Sensacją dnia była afera austriackiego kapitana Rybaka, Polaka, którego schwytano na gorącym uczynku szpiegostwa; rewelacje Burcewa i Bakaja; sprawa Stanisława Brzozowskiego, którego oskarżono publicznie o utrzymywanie stosunków z "Ochroną" oraz proces Janiny Borowskiej, której tow. Haecker zarzucił w "Naprzodzie" prowokację i która później zamordowała swego adwokata, dr. Lewickiego.

Było to wszystko sensacyjne, ale równocześnie niemiłe i przykre, zwłaszcza sprawa Brzozowskiego, co do którego do dziś dnia nie byłbym w stanie w swoim własnym sumieniu ustalić, czy był zdrajcą, czy tylko ofiarą.

W tych warunkach trzymałem się też z dala od tego podziemnego ruchu - tym bardziej, że towarzysze z Kongresówki swym zachowaniem nie budzili we mnie entuzjazmu - tak zresztą, jak u nich my, których nazywali pogardliwie "centkami".

Raz zwrócił się do mnie Daszyński, bym odbył z nim i z Piłsudskim konferencję w sprawie stosunku członków związków zawodowych do "Strzelca", który skupiał w sobie głównie inteligencję postępową i studentów, a co do którego pomawiano mnie stale o jakąś niechęć. Piłsudski w długim i niesłychanie mętnym wywodzie starał się przedstawić mi ogromne znaczenie "Strzelca" dla wywalczenia niepodległości, chociaż ja przecież wiedziałem, że "Strzelec" ten podlega komendzie austriackiej i może być uzbrojony w razie wybuchu wojny tylko przez władze austriackie. W swej prostolijności rozumiałem: albo za albo przeciw Austrii. Jeśli przeciw - to nie pojmowałem konszachtów z generalnym sztabem austriackim i łudzenia się, że Austria uzbroi "Strzelca" przeciwko sobie; jeśli zaś za, to dlaczego miało być takie ważne dla niepodległości, jeśli w ten wspólny splot wciśnie się jeszcze dobrowolną organizację, uzbrojoną bronią austriacką i postępującą wedle dyrektyw władz austriackich - tylko ubraną w inne mundury i posiadającą niefachowych oficerów. Jeśli taka dobrowolna akcja wojenna obywateli austriackich, podjęta pod kontrolą i opieką władz austriackich, miała się przyczynić faktycznie do wyzwolenia się z niewoli państw imperialistycznych, to przecież byłoby znacznie prostsze i skuteczniejsze, gdyby ci Polacy - austriaccy obywatele - po prostu przystępowali jako ochotnicy do armii, nie stwarzając nowej organizacji i nowych komend. Ku największemu oburzeniu Piłsudskiego odmówiłem więc wszelkiej współpracy z nim i z jego organizacją, widząc w niej nie poważny wysiłek w kierunku odzyskania niepodległości, lecz jedynie próbę stworzenia militaryzmu polskiego - zwłaszcza, gdy patrzyłem jak oficerowie "Strzelca" starali się małpować we wszystkim oficerów austriackich: ich życie, butę, obcisłe mundury, sztylpy - i największe zmartwienie, że nie mogli nosić szabel, które zastępowali jednak specjalnymi trzcinkami.

Niechętny wobec tego ruchu, zwróciłem się z całą energią i siłą do urze-

czywistnienia swych dążeń w kierunku zdobycia odpowiedniego pomieszczenia dla ruchu robotniczego. Z lokalu przy ul. Wiślnej przeprowadziliśmy się na ul. Zwierzyniecką, a stamtąd na ul. Św. Filipa, lecz mimo to każdy nowy lokal okazywał się bardzo szybko zbyt szczupły, gdyż organizacje rozrastały się ustawicznie, a wraz z tym rosły ich potrzeby. Jako prezes Kasy Chorych widziałem, że Kasa miała gotówkę, złożoną przez robotników, od której brała bardzo małe procenty, - że miała niezabudowany podworzec, na którym rosła tylko trawa - i, że głównym jej zadaniem była dbałość o zdrowie i interesy robotników. Równocześnie zaś, jako sekretarz związków, rozumiałem, że robotnicy nie mają pomieszczenia i, że ich akcja zawodowa zdąża również do podniesienia zdrowotności klasy robotniczej. Logicznie więc nasuwała mi się sama przez się myśl, że w interesie obu tych instytucyj robotniczych należy zbudować dom, który by stał się ośrodkiem spełnienia obu tych wspólnych zadań.

W urzeczywistnieniu swych planów napotkałem jednak na cichy lecz zdecydowany opór sekretarza Kasy Chorych, tow. Englischa, który drżał o każdy wydany grosz, i na niechętną obojętność większości Zarządu Kasy. Dzięki też tylko swojemu uporowi przeprowadziłem swe zamysły, popierany pod tym względem dzielnie przez ogół robotników i przez Daszyńskiego. Rosło mi też serce w piersi, kiedy patrzyłem, jak pod kierownictwem architekta Malinowskiego, starego "pepesowca", wznosił się powoli nowy budynek, który miał zaspokoić wszystkie potrzeby ruchu robotniczego w Krakowie. W pierwszych miesiącach 1913 roku Związki przeniosły się już do nowego lokalu w oficynach przy ul. Dunajewskiego 5, zajmując trzecie i drugie piętro, na którym była również sala, mogąca pomieścić około 700 ludzi - i urządziły się tam bardzo wygodnie i elegancko. Resztę domu, parter i pierwsze piętro zajął "Naprzód" i wspaniale urządzona Drukarnia Ludowa. Ten dom stał się potem na 15 lat siedliskiem myśli i walki socjalistycznej - i wygnał je z niego dopiero - "socjalista" - Prystor, jako minister pracy, i "socjalista" dr Kaplicki, jako prezydent miasta, a socjalista Klemensiewicz, jako komisaryczny dyrektor Ubezpieczalni - by wypełnić czymś puste mury, które dotąd rozbrzmiewały gwarem ruchu robotniczego, oddał dom na burżuazyjną kawiarnię.

W czasie budowy - zrazu dla załatwienia interesów, a potem dla rozrywki - zacząłem coraz częściej zachodzić do kawiarni Michalika. Spotykałem tam przy wspólnym stole młodego, przystojnego Ukraińca z dużą brodą, Waśkę Ziniowicza, który śpiewał smętne dumki ruskie; dawnego swego kolegę z przyrody, geologa dr. Wiktora Kuźniarka, który stale "obniżał" sobie temperaturę alkoholem; przemiłego malarza Leona Czechowskiego, z którym razem chodziliśmy z pasją na mecze footbalowe, pocieszając się potem wódką i kwiczołami w razie porażki naszej ulubionej "Cracovii". i inżyniera Jędrka Galicę, który - opuszczony czasowo przez żonę - wyśpiewywał śpiewki góralskie i zalecał się do sentymentalnych Żydóweczek. Albo śpiewał im "wyniosła dwa gorki, siadła do pogworki - kielo Jasio kosul mos" - albo nabierał znowu satanicznego tonu i mówił "Ej, dziewce, jak byk cie tak chycił za ten warkoc, prasnął a sponiewierał...". Gdy zaś któraś z nich - rozanielona jego siłą - odpowiadała: "Jędruś, rób ze mną co chcesz" - to Jędruś spoglądał na zegarek i przypominał sobie, że "trza iść ku chałupie, dziecka umyć, uśpić - bydź zdrowa". Czasem siadała przy naszym stole moja żona, która zazwyczaj miała inne towarzystwo - "strzeleckie" - i zawsze piękna pani Maryla, która patrzyła na mnie teraz łaskawie, uważając, że "jej potrzebą wewnętrzną jest to, żebym odczytał, co mi było przeznaczone". Na drugim końcu sali, na podniesieniu, rozsiadał się albo "Zielony Balonik" albo sztab "Strzelców", wśród których rej wodził młody Rydz Smigły z bródką, Jurek Sladki, Ryszard Trojanowski i Kitaj, dysputujący o wojnie i o operacjach wojennych - tak, jak gdyby spędzili na nich co najmniej pół wieku. Wszyscy u tego "Michalika" znali się - razem pili, razem śpiewali i razem flirtowali, stwarzając niesłychanie miłą atmosferę. Ta kawiarnia o zacisznych kątkach i głębokich lożach, zastawiona wygodnymi, pokrytymi skórą meblami i obwieszona obrazami wybitnych polskich malarzy oraz wspólne wycieczki z Waśką, Leonem i Daszyńskim do Woli Duchackiej, gdzie z wiosną przeniosła się żona - i gdzie wszyscy razem, leżąc w ogrodzie, śpiewali i pili - to są ostatnie moje wspom-

nienia o pokojowym życiu.

Już wtedy jednak zaczęliśmy żyć jak w gorączce; ogarniało nas wszystkich powoli "jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem - jakieś oczekiwanie tęskne i radosne". I naraz w czasie jakiegoś meczu footbalowego gruchnęła po trybunach wiadomość o zabójstwie następcy tronu, arcyksięcia Ferdynanda, a potem nastąpiła mobilizacja i wojna.

Mnie i całe pokolenie, które tęskniło do jakichś wielkich, epokowych zdarzeń, które by do dna wstrząsnęły duszą ludzką - i które przeklinało spokój codzienność i nudę - teraz życie pochwyciło w swe szpony i wtłoczyło w tryby wypadków, które - wlokąc nas w szalonym, zawrotnym tempie - nie pozostawiły ani jednej chwili wytchnienia.

Rozdział VI

NA WOJNIE

Po ogłoszeniu mobilizacji, która miała objąć wszystkie roczniki wojska i obrony narodowej, Kraków zamienił się w jeden wielki zbrojny obóz. Ulice napełniły się masą ludzką - i albo płynęły przez nie umundurowane już regularne, niezliczone szeregi wojsk, albo stały na nich szare masy chłopów i robotników, wyczekujących kolei swego umundurowania. Podniecenie podtrzymywały ustawiczne demonstracje uliczne i przemowy w lokalach publicznych. Ludzi ogarniał istny szał; zwłaszcza trzęsły się kawiarnie, w których wrzało jak w ulu i huczało od śpiewów i mów, choć nikt w nich nic nie zamawiał i nie płacił, bo naraz zniknęła cała zdawkowa moneta. Znaczenie mieli tylko ci, którzy mieli na sobie polowe mundury.

Ja - wedle obowiązujących norm - nie podlegałem jeszcze mobilizacji, ale nie mogłem pozostać poza kołem tych, którzy mieli wziąć udział w rozpoczynających się wypadkach. Z braci Bohdan, jako oficer rezerwowy, był już w wojsku; zgłosił się również Witold, przyznając się, że był dezerterem; wstąpił do "Strzelca" Jerzy - i na pierwszą wiadomość o wojnie przyjechał z zagranicy Janusz, któremu za własne pieniądze kupiłem mundur strzelecki. Ja sam jednak, wierny swej orientacji i zgodnie z tym, co mówiłem o "Strzelcach", zgłosiłem się dobrowolnie do armii austriackiej i przy pomocy dr. Kuźniarka, który miał objąć komendę pierwszej kompanii 16 pułku obrony krajowej, dostałem się do jego szeregów jako zwykły żołnierz. Nie chodziło mi wtedy ani o szarżę, ani o uznanie, lecz jedynie o możliwość walki - prawdziwej, w której bym rozporządzał najbardziej nowoczesną bronią, a nie przestarzałym Wendlem, w który uzbrojeni byli Strzelcy. To-też odrzuciłem od razu myśl wstąpienia do "Strzelca", bo on - nazwany później "Legionami" - wydawał mi się raczej bawieniem się w wojnę, a nie samą wojną, podczas gdy ja chciałem wojować i walczyć faktycznie. Podobnie więc, jak swojego czasu, gdy - zdecydowawszy się na podjęcie walki o prawa robotnicze - wdziałem na siebie bluzę robotniczą i sam stanąłem do roboty - tak i teraz, zdecydowawszy się na udział w walkach zbrojnych - wstąpiłem jako żołnierz do regularnej armii. Już umundurowany spotkałem niespodzianie w kawiarni dawnego swego przyjaciela Warskiego - i kiedy mówiliśmy o przyszłości, o naszych zadaniach i o naszych rolach, on przyznał wówczas, że nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wdziać mundur, iść w pole i walczyć.

Wymaszerowałem też zaraz w pierwszych dniach sierpnia z Alei Mickiewicza, wśród wielkich uroczystości, po mszy polowej, po przemówieniach i po krótkiej przerwie, zarządzonej dla pożegnania się żołnierzy z rodzinami. Była ze mną żona, malutki Jacek, służąca i paru znajomych, ale rozczulenie ogarnęło nas wszystkich dopiero wówczas, gdy odezwała się trąbka na "wstąpienie do szeregów", bo momentalnie uświadomiliśmy sobie teraz, że żegnamy się może na zawsze. Byłem w pierwszym plutonie pierwszej kompanii i - odprowadzony przez rodzinę - pożegnałem się z nią koło kościoła Mariackiego, idąc dalej na Grzegórzki, gdzie mieliśmy wsiąść na przygotowane galery.

Jechaliśmy więc Wisłą i na ląd wysiedliśmy dopiero blisko Sandomierza, gdzie zostaliśmy parę dni, by znowu ruszyć wzdłuż Wisły ku północy, jako boczna flanka dla armii Dankla, idącej na Kraśnik. Dotąd cała ta wojna wydawała mi się jak przyjemna romantyczna wycieczka. Dopiero w Tarłowie pierwszy raz zaczęły rozpryskiwać się nad naszymi głowami prawdziwe szrapnele i komendant naszej kompanii, Kuźniar, wyprowadził nas za miasto, gdzie na jakichś łąkach rozsypaliśmy się w tyralierę. Zgromadził nas jednak bardzo wnet komendant batalionu, major Mohelsky, typowy Austriak, który nie wiedział dobrze, jakiej był narodowości, ale dobry żołnierz i dobry człowiek, którego potem serdecznie polubiłem. Uszeregował on cały batalion w "kolumnę" i po krótkiej przemowie zarządził: "zum Gebet", by podziękować Bogu, że nikt w tym ataku nie zginął -

tak, jak gdyby w ten sposób chciał Go kusić, nie zdając sobie sprawy, że takie właśnie skupienie zwartego batalionu mogło pociągnąć za sobą bardzo ciężkie straty.

Zaraz potem jednak dostaliśmy się na nowo w ogień i wtedy rozwinęliśmy się już we wszystkich kompaniach. Pamiętam ten pierwszy nasz atak, podjęty tak, jak przepisywał "dienstreglament". Na czele szedł major Mohelsky z wydobytą szablą, opasany "feldbindą", a obok niego adiutant - i trochę dalej lt. Kuźniar, a my płynęliśmy jak fala, padając co chwila na ziemię, by znowu się podnieść i zbliżyć do brzegu, którym był dla nas lasek, z którego strzelali okopani Rosjanie. Ranni i trupy padali coraz częściej; padł adiutant batalionu; zwalił się z nóg Kuźniar; szeregi nasze się przerzedzały, aż wreszcie Mohelsky wydał rozkaz cofnięcia się wstecz. Ja chciałem koniecznie dowiedzieć się, co się stało z Kuźniarem, podczołgałem się więc w tę stronę, w której widziałem upadającego, lecz nie mogłem go odnaleźć. Za chwilę znalazłem się razem z innymi w poprzeciwnym lasku i stamtąd widziałem tylko, jak wyjechały duże wozy z ogromnymi białymi chorągwiami z czerwonym krzyżem, z których wyszli teraz sanitariusze, zbierając rannych i zabitych, bez jakiejkolwiek przeszkody ze strony Moskali. Były wtedy jeszcze inne zwyczaje wojenne, które tak wnet zmieniła praktyka, każąca potem strzelać do nieprzyjaciela kulami "dum-dum" i atakować szpitale i ambulanse z rannymi.

Zaraz spod Tarłowa poszliśmy dalej i natrafiliśmy na Moskali pod Wolą Pawłowską i Ciszycą Górną. Tam rozwinęła się już bardziej regularna bitwa. Wkopaliśmy się w ziemię, grały armaty i karabiny maszynowe, coraz częściej padały ofiary, a my ustawicznie strzelaliśmy, lecz mimo to szeregi rosyjskie zbliżały się ku nam coraz bardziej i bardziej. Miałem jakąś pewność, że mi się nic nie może stać i zastanawiałem się tylko, jak się może skończyć cała ta awantura. Rozwiązał to zagadnienie komendant mojego plutonu, lt. Peszkowski, który wydał rozkaz, byśmy zesunęli się w głęboki wąwóz - i wzdłuż niego wyszli pod wieczór do wsi, którą powoli zajmowali już Moskale. Pod osłoną ciemności, przekradając się przez wiklinę, doszliśmy wreszcie do Wisły, gdzie na drugą stronę przewieźli nas saperzy wśród ustawicznych strzałów armatnich. Znalazłszy się tam, poczuliśmy się od razu bezpieczni, ale nie zastanawiałem się wcale nad naszą przyszłością. Byłem przy swoim bezpośrednim komendancie, więc nie ja, lecz on miał sobie łamać głowę, co dalej robić. Na razie prowadził nas dalej i w ten sposób odbiliśmy się od pułku, który szedł w przeciwnym kierunku. Lt. Peszkowski, zorientowawszy się co do tego w pośpiesznym marszu, w którym odbyliśmy blisko 70 km, w ciągu kilkunastu godzin, doprowadził nas wreszcie do Sandomierza, gdzie pułkownik przywitał go okropnie, ale na szczęście nie było czasu na wyrzuty, bo musieliśmy zająć nową pozycję na północ od miasta.

- Leżeliśmy w rezerwie wzdłuż drogi prostopadłej do frontu - tak, że z boku dostawaliśmy ustawicznie ogień. Pokopaliśmy więc sobie małe wałki ochronne, by przynajmniej zasłonić swe głowy, lecz gdy zobaczył to pułkownik, przesunął nas o kilkadziesiąt metrów dalej - tak, byśmy leżeli bez żadnej ochrony, twierdząc, że żołnierz nie może się bać kulek. W ogóle ten nasz pułkownik Niemiec Freisinger - był to ładny typek. Raz - zobaczywszy, jak żołnierz, wracając z "latryny" z pobliskiego lasku, zgiął się przy przechodzeniu przez gościniec, kazał mu za karę stać 10 minut na środku gościńca, a gdy ludzie zaczęli już szemrać, stanął obok niego sam i wyciągnąwszy zegarek, liczył spokojnie, jak upływały minuty, choć naokoło szuściały kule jak groch. To znowu, gdyśmy się przesunęli na drugą stronę Sandomierza - na Kamienną Górę - i gdy nad brzegiem Wisły zobaczył blisko dziesięcioletniego chłopczynę, zaczął krzyczeć "Spion", "niederschiessen" i oddał krzyczącego chłopca do rozstrzelania Mohelskiemu, a ten naszemu plutonowi. Siedział więc biedny chłopczyna w naszym okopie i ryczał jak oszalały, aż wreszcie poszedłem do lt. Peszkowskiego, który w międzyczasie objął komendę kompanii i powiedziałem mu, by - albo chłopca puścił, albo sam go zastrzelił, bo nikt z nas robić tego nie będzie. Peszkowski się jednak bał - i chłopiec w dalszym ciągu siedział i zanosił się od płaczu, podniecając tym nasze zdenerwowanie, które poza tym wzmagało się je-

szcze na skutek coraz intensywniejszego ognia. Poszedłem więc powtórnie do lt. Peszkowskiego, lecz z takim samym, jak poprzednio, rezultatem - i wtedy zdecydowałem się iść sam do mjr Mohelskiego, u którego miałem duże "fory". Przedstawiłem mu naszą prośbę, a on oświadczył, że nie ma prawa zmieniać rozkazu pułkownika, ale nie ma też czasu kontrolować, jakeśmy go wykonali. Otrzymawszy taką odpowiedź, krzyknąłem tylko "Chłopak wyrywaj", a on - przestawszy momentalnie płakać - w paru susach, jak zając, dopadł do swego domu, który mieścił się niedaleko naprzeciw.

To znowu później pułkownik ten, schwyciwszy dwóch chłopów, kazał Mohelskiemu, by zarządził rozstrzelanie ich jako szpiegów, a ten - zasalutowawszy: "Befehl" - starego ukrył na "vorszpanie", a młodego przebrał za żołnierza - i obu widziałem jeszcze potem długo, jak pałętali się na już włoskim froncie.

W czasie cofania się spod Sandomierza, gdy jedyny most zapchany był artylerią i trenami, Mohelsky pchnął nas w bród przez Wisłę, wedle z góry wytyczonych brodów. Szedłem w pierwszej czwórce, która - schwyciwszy się za ramiona, z karabinami uwieszonymi u szyi, runęła w wodę, sięgającą nam już po piersi. Mokrzy do nitki, szliśmy też w szalonym marszu, by się tylko jakoś ogrzać, gdy naraz przyleciał w galopie oficer i przyniósł rozkaz powrotu na dotychczasowe stanowiska. Przeszliśmy już przez most i zajęliśmy zabłocone, wilgotne rowy strzeleckie, nie mogąc nawet wysuszyć swych mokrych ubrań. Na drugi dzień tę kąpiel w Wiśle powtórzyliśmy na nowo - z tą tylko różnicą, że po ostatnich dwóch dniach deszczu mieliśmy już teraz wody niemal po samą szyję.

Po dłuższym kontredansie, tańczonym pomiędzy Sanem a Dunajcem, w czasie którego zostałem kapralem, a potem otrzymałem srebrny medal waleczności - dobrnęliśmy wreszcie do Sanu i wkopaliśmy się w jego wały. Pozycja była nienajgorsza, tylko zaczęły nam niemiłosiernie dokuczać wszy, które stały się dla mnie istną plagą i których wyzbyłem się dopiero na włoskim froncie, gdy wyszedłem z kompanii. Mówiono, że nad Sanem będziemy zimować, w rzeczywistości zaś jednego słotnego wieczora cały pułk cichutko zaczął odmaszerowywać w stronę zachodu. Na całym długim odcinku, który zajmował nasz batalion, mjr Mohelsky zostawił teraz tylko mnie jako komendanta z 6 ludźmi i kazał nam udawać ruch całego batalionu. Biegaliśmy więc od jednego końca do drugiego i pukaliśmy z karabinów to tu, to tam - i zeszliśmy z pozycji dopiero nad ranem, w oznaczonej godzinie, kiedy pułk musiał już być daleko. Byłem tak przemęczony, że - maszerując - niemal spałem, lecz gdy przyszedłem - okazało się, że batalion jest znowu "gotów do marszu". Szliśmy teraz ciągle wstecz - i gdy raz jako kwatermistrz wyznaczyłem kwatery dla poszczególnych kompanii batalionu i jego komendy, Mohelsky - niezadowolony z mieszkania - zbeształ mnie ostatnimi słowami. Przekonawszy się jednak, że nie miał racji - by mnie udobruchać - wyznaczył mnie razem ze "sztabfeldfeblem" do jazdy do Krakowa, gdzieśmy mieli załatwić ja-kieś drobne interesy i dokonać jakichś zakupów.

Naturalnie przeprosiło mnie to natychmiast i przez całą noc marzyłem, że znowu zobaczę Kraków i spędzę w nim choć parę spokojnych dni. W domu moim nie było nikogo. Żona z chłopcami wyjechała do Zakopanego, a potem do Wiednia, lecz znalazłem swą bieliznę i zapakowałem do tornistra 6 koszul, licząc, że jeśli je będę nosił oszczędnie - jedną przez trzy tygodnie - to może bez prania, którego nie cierpiałem, dobrnę jakoś do końca tej wojny. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, ile razy będę je musiał jeszcze prać - i, że potargają się one na strzępy, a wojna ciągle będzie jeszcze trwała. W Krakowie spotkałem starego Misiołka, który zaprosił mnie do Hawełki i fundował mi wódkę i piwo, kanapki, i gulasz, i jakąś pieczeń - tak, że o mało nie pękłem od obżarstwa. A potem ściągnął mnie do siebie Topinek i też gościł serdecznie, a jego żona zastawiała mi coraz to nowe przysmaki. Ja - jedząc to wszystko - drżałem, że jednak zawszę ich czyściutkie mieszkanko, bo - choć przebrałem całą bieliznę - to jednak mundur mój aż kapał od wszy.

Po kilku dniach trzeba było jednak wracać - i pułk zastałem w okolicy Brzeska, gdzie znowu pod Rudymi Rysiami dostaliśmy się w ogień i staczaliśmy ostre bitwy.

Od kilku miesięcy zatraciłem zupełnie swoją indywidualność, zagubiłem

się w szarej masie i zanurzyłem się w niej tak, jak swojego czasu w Borysławiu. Znowu od kilku miesięcy prości chłopi i robotnicy stali się moimi jedynymi towarzyszami i kolegami. Równy im towarzysko, spędzałem życie na tym samym co oni poziomie, zapoznając się coraz bardziej z ich sposobem myślenia i psychiką. Rozmawialiśmy z sobą; wspólnie z nimi marzyłem o jutrze; miałem te same, co oni zmartwienia; wspólnie żarły nas wszy; wspólnie bałem się, gdy strzelano - i wspólnie posuwałem się naprzód, gdy kazano.

Wśród ustawicznych popukiwań doszliśmy wreszcie do Wisły i przekroczyliśmy ją dnia 24 listopada. Na lewym brzegu major odesłał w tył swoje konie i szedł piechotą na czele batalionu, wdając się, jak zwykle, w rozmówki ze mną co do sytuacji. Był markotny i w pewnym momencie powiedział, że nie wie, czy się wydobędziemy z tej matni. Stanęliśmy we wsi Książnice Wielkie i, leżąc w opłotkach, dostaliśmy zaraz ogień artyleryjski. Mohelsky przesunął nas do jakiegoś wąwozu, bo teraz skończyła się już dawna fanfaronada - i tam otrzymał on rozkaz stawienia się razem z komendantami innych batalionów przed pułkownikiem. Jak zwykle, szedłem za majorem razem z czterema podoficerami - tak, byśmy w razie potrzeby mogli natychmiast zanieść rozkazy - każdy do swej kompanii - i z pewnej odległości słyszałem, jak pułkownik, wskazując na jeden z pagórków, mówił: "Direktion - diese drei Bäume - einen rücksichtslosen Angriff". Mohelsky, jak oniemiały, stał - tak, że pułkownik powtórzył mu rozkaz jeszcze raz, a wreszcie odezwał się: "Du, Mohelsky, ich werde dir nicht mehr befehlen". Dopiero wtedy mój major jakby się ocknął, zasalutował, powiedział: "Befehl" - i rozwinął nasz batalion w tyralierę. Posuwaliśmy się naprzód przez trzy pagórki - i póki byliśmy w dolinie, było jeszcze jako tako, ale gdy wydobywaliśmy się na grzbiet wyniosłości, ogień rosyjski kosił nas bez litości. Szeregi nasze przerzedzały się: przyszedł na "wzmocnienie" trzeci batalion, lecz już na ostatnim pagórku naszego batalionu prawie nie było. Padł Mohelsky i przeszło 30 oficerów, a z dwóch batalionów, w liczbie około dwóch tysięcy ludzi, pozostało nas niewiele ponad paręset. Jak przez sen pamiętam to pobojowisko i na nim komendanta czwartej kompanii, jak - zalany jak noc - razem ze wspomnianym już sztabsfeldfeblem - krzyczał ustawicznie: "vorwärts" - nie wiadomo, do kogo i po co. Nad pozostałymi resztkami objął komendę jakiś oficer węgierski i cofnął nas pod wieczór wstecz. Tam zobaczyłem też chciwość duszy ludzkiej. Ci sami żołnierze, którzy dopiero co myśleli jedynie, jak by uratować życie - i którzy dopiero co wyrwali się z objęć śmierci - gdy poczuli się bezpieczni, zaczęli od razu szukać korzyści życiowych i myszkować. Słowaccy żołnierze, napotkawszy jakiś nędzny sklepik, w którym znaleźli kartony z majtkami kobiecymi i twardymi, sztywnymi półkoszulkami męskimi, z zapamiętaniem zaczęli je teraz tłoczyć do swych ruksaków, a gdym ich się zapytał, co im z tego przyjdzie i dlaczego to robią - tłumaczyli mi, że w domu będzie im to właśnie bardzo potrzebne. Na drugi dzień po tej klęsce i stratach, pierwszy raz w życiu usłyszałem z ust naszego pułkownika słowa uznania, rzucone w łamanej polszczyźnie pod naszym adresem - i pod jego komendą dostaliśmy się po dwóch dniach w obręb twierdzy krakowskiej.

Staliśmy się więc częścią załogi Krakowa i zakwaterowaliśmy się w Mogile, spełniając ustawicznie ciężką służbę i ustawicznie odpierając ataki rosyjskie. Gdzieś w pierwszej połowie grudnia opuściliśmy nasze kwatery i otaczającymi pagórkami doszliśmy do Białego Kościoła pod Ojcowem. Pozycja była dobra - było cicho i biało, toteż mogłem się rozkoszować wspaniałymi widokami, które roztaczały się przed moimi oczami. Jak na dłoni, widziałem Kraków i Wieliczkę, pasmo Karpat i Tatry, które zdawały się tak bliskie, że niemal można by ich ręką sięgnąć. Po paru dniach cała nasza dywizja wykonała atak w stronę Skały, lecz uderzenie trafiło już w próżnię. Moskale cofnęli się tymczasem na wschód, a my wśród roztopów brnęliśmy za nimi w ciężkich warunkach i doszliśmy nad Nidę.

Na Boże Narodzenie, wracając z okopów, które zajmowaliśmy nad Wisłą - w kącie, w którym wpada do niej Nida - gdyśmy suszyli się w kwaterach, zobaczyliśmy nagle, że od Nidy cofają się szybko jakieś wojska. Bardzo wnet zorientowałem się, że to nasza nowosądecka "dwudziestka", za którą szły teraz szeregi

rosyjskie. Nie było czasu na jakieś formowanie się w szeregi - i każdy - tak, jak stał - chwytał, co mu pod rękę wpadło i wybiegał - tym bardziej, że pułkownik rzucił tylko rozkaz, byśmy kierowali się w stronę Chwalibógwic. Taką uciekającą czeredę napotkał pędzący z dywizji oficer - i osadziwszy spienionego konia przed pułkownikiem, spytał głośno: "Wer hat den Rückzug anbefohlen", a ten spokojnie odpowiedział tylko "Der Russ - der Russ" - i na tym skończyła się między nimi rozmowa. Moskale, idąc ciągle, strzelali do nas spod ramienia, nie powodując tym specjalnych szkód, bo postrzelili jedynie pucilka pułkownika, któremu przy tej sposobności ktoś ukradł z jego tobołów dwie flaszki wódki. Gdyśmy wreszcie w tym nieładzie doszli do krańca lasu i gdy zdołaliśmy zająć pozycję obronną w otaczającym go rowie - zwłaszcza, że spoza nas wysunęła się tymczasem piechota węgierska - pułkownik szalał, lecz nie z powodu utraconej pozycji, ale przede wszystkim z powodu utraconej wódki.

Stamtąd przesunięto nas trochę w górę Nidy - do Złoty, a potem do Mozgów, gdzie wszędzie służba nie była zbyt ciężka. Moskale strzelali bardzo delikatnie, a poza frontem były wsie, w których można się było oprać i w których można było dostać wszystko. To była bodaj najlepsza pozycja, jaką zajmowałem w czasie całej wojny. Zadraśnięty lekko kulą, myślałem, że mi się uda na tym wojnę skończyć i skwapliwie zgłosiłem się do lekarza, który odesłał mnie aż do Słomnik, a potem do Kocmyrzowa. Niestety po paru dniach odesłano mnie stamtąd z powrotem nad Nidę, którą opuściłem jednak bardzo wnet, lecz już razem z całym pułkiem. Luzowali nas na naszych wygodnych okopach legioniści i pamiętam tych miłych, młodych chłopców, rozwleczonych w marszu na przestrzeni długich kilometrów, jak ledwo dźwigali swoje własne nogi po błotnistym terenie. Odnosili się do nich wszyscy z największym współczuciem, toteż nie mogłem potem nigdy zrozumieć twierdzeń ich brygadiera Piłsudskiego, że oni odnosili się do nas z "pogardą".

Nas i całą naszą brygadę przesuwano teraz pod Gorlice, gdzie mieliśmy - razem z kilkoma innymi dywizjami - stanowić rdzeń wojsk, mających dokonać nowego natarcia. Maszerując na południe, po jakimś forsownym marszu, blisko już Wisły, zakwaterowaliśmy się w dużej dworskiej stodole. Ja, razem z drugimi "cugsführerem", w pełnym rynsztunku siedziałem u jakiegoś chłopa i naraz zobaczyłem całą stodołę w płomieniach. Ludzie wybiegali tak, jak stali - jedni bez butów, rozebrani z mantlów - i zabierali to, co im padło pod rękę. Z żołnierzy nie zginął nikt, ale spaliły się plecaki, karabiny, pasy, czapki, buty, płaszcze - tak, że rano cały pułk przedstawiał rozpaczliwy widok. Pułkownik się wściekł i ryczał, a my w tym stanie, gdzie co najmniej czwarta część była bez butów, a połowa bez karabinów, maszerowaliśmy naprzód. Ja miałem wszystko, ale gdym patrzył na kolegów, ogarniał mnie po prostu wstyd i śmiech. Przedstawialiśmy się jak kupa dziadów i tak dobrnęliśmy do Brzeska, gdzie ludzie dostali buty i płaszcze, ale nie dostali karabinów. Mimo to zajęliśmy pozycję pod Siemiechowem i dopiero po kilku dniach wyekwipowano nas w zupełności.

W międzyczasie rozkazem z dnia 7 marca 1915 roku nasz pułk, łącznie z dwoma innymi, został rozwiązany, a nas wcielono do 32 pułku pospolitego ruszenia w Nowym Sączu. Równocześnie odnośny rozkaz Komendy Dywizji tłumaczył, że "pułki 6, 31 i 32 otrzymują przyrost, z którego mogą być dumne. Czyny pułków 16 i 38 dokonane w dotychczasowej kampanii przyłączają się godnie do tych aktów, w które obecny dumny okres jest tak bogaty. To, czego te dzielne pułki dokonały pod Ciszycą Górną 28 sierpnia, pod Sandomierzem 14 września, pod Rudymi Rysiami 19 listopada, nad Wisłą pod Opatówką w październiku i pod Krakowem - niewątpliwie zostanie wpisane w honorową księgę historii i pozostanie wiecznie w nieśmiertelnej pamięci o tych, którzy tym dzielnym pułkom przewodzili. Dla pułków 16 i 38 pozostanie więc w ten sposób gwarancja, że mimo rozdzielenia ich, pozostaną one niezapomniane i będą jeszcze miały sposobność okazać w ogniu swą dzielność. W obrębie nowych swych pułków utrzymują one swą tradycję, a wspomnienie o ich dotychczasowych czynach przyczyni się do wzmożenia i utrzymania sławy nowych ich pułków".

Nasza 1 kompania 16 pułku stała się teraz 1 kompanią 32 pułku i w dalszym ciągu pełniła służbę na górskim grzbiecie, wśród ustawicznej strzelaniny,

która raz słabła, to znowu się wzmagała, ale która powoli wyczerpywała moje nerwy. Byłem już faktycznie zmęczony po całej tej kompanii zimowej - i chcąc choć na chwilę wyrwać się w tył, napisałem do Daszyńskiego, lecz on mi odpis że jest bezradny i radził, bym "wytrwał". A mnie było nieraz tak ciężko i ni raz łamałem się duchowo - zwłaszcza po ustawicznych klęskach i po kapitulac Przemyśla. Podtrzymywał mnie na duchu Jerzy swym artykułem, zamieszczonym w "Nowej Reformie", w którym przypominał, jak to Poniatowski, nęcony pod Lipskiem widokami na korzyść narodu, gdy zdradził, pozostał wierny cesarzowi, broniąc honoru Polaków i ich sztandarów. Pisał Jerzy, że dziś tak samo w obronie swojego honoru naród winien wytrwać przy raz obranych sztandarach - i pisał o honorze tak, jak ja go pojmowałem - nie w "służbie" na rzecz wodzów, którzy by mogli dowolnie wystawiać nad sobą to raz "buńczuk z włosia końskiego", to znowu "biało-czerwone sztandary", lecz w dochowaniu wiary sztandarom, które naród sam raz nad sobą wywiesił i którym sam przysiągł wierność. Napisałem ta do Jerzego serdeczny list, na który mi 8 marca odpowiedział: "Słowa twojej ka ki głęboką radość mi sprawiły, zwłaszcza, że pracując tu od paru tygodni z r kazu Naczel. Komitetu Narod. w sprawach organizacyjnych narażony jestem od "k chanych" przyjaciół na taki nieprawdopodobny atak obelg i potwarzy, że gdyby to nie o naszą narodową rzecz chodziło, można by się doprawdy czuć zniechęconym. Ale wytrwamy do końca - i ty i ja, każdy na swym stanowisku " - i dodał, że "wszyscy dla jednego celu pracujemy i walczymy". Równocześnie pisał on do matki: "Zygmunt wyraził się z uznaniem o moim artykule i poglądach, co mnie tak ucieszyło, bo uznanie Zygmunta cenię najwięcej". Bał się też ciągle o mni najbardziej spośród wszystkich braci, bo Witold kontuzjowany był już w szpit w Czechach, Bohdan w kadrze na Węgrzech, a potem w Styrii; on sam przy komendzie Legionów, a Janusz w pułku legionowym Boliny, podczas gdy ja stałem cią le na froncie, wśród ustawicznych walk. Starał się więc wyrwać mnie z tego piekła i wnosił podania do komendy Legionów, by mnie do nich przydzielono, a d mnie pisał, że bym się "im przydał bardzo", choć przecież wiedział doskonale, chodziło mu tylko o to, by mnie w ten sposób uchronić przed niebezpieczeństwa Nie wiedział, że on właśnie pierwszy i jedyny z całego naszego rodzeństwa sta nie się ofiarą tej wojny.

Moje minorowe nastroje zmieniły się jednak z końcem kwietnia. Na nasz odcinek płynęły coraz to nowe pułki, baterie artyleryjskie i "morsery" - i os tatniego kwietnia rozpoczęły one swoją piekielną muzykę. Pierwszego maja po p łudniu ruszyliśmy naprzód i przy małych stosunkowo stratach przełamaliśmy lin rosyjską - i idąc w stronę północno-wschodnią bez większej przeszkody doszliś aż do Sanu. Tam zatrzymali nas Moskale i widziałem wtedy imponujący atak dra gonów czeskich, jak - wpadając jak grom - zdobyli rowy rosyjskie, a potem dłu szy czas leżeliśmy koło Leżajska. Było jakieś wielkie święto, więc pozwolono nam partiami iść do tamtejszego klasztoru. Kościół był ogromny, wypełniony po brzegi żołnierzami, wspierającymi się o karabiny, z których dopiero co strzel li i z których znowu za chwilę mieli strzelać, a tymczasem przy wtórze wspani łych organów prosili kornie: "od powietrza, głodu, ognia - i wojny - zachowaj nas Panie".

Ale Pan nie chciał nas od tej wojny zachować, szliśmy więc poprzez jej pożogę naprzód, wśród ustawicznych potyczek, poprzez Tanew, Biłgoraj - i więk sze walki stoczyliśmy dopiero w Wilkołozie, już blisko Lublina. Tam we wsi Cz ne spotkałem się też z Legionami Polskimi, które w międzyczasie ruszyły od Nid i wcielone zostały do naszej 106 dywizji. Ku największej radości powitałem J nusza, a zaraz potem Bohdana, który też z jakąś "marszkompanią" przyszedł do 30 p.o., należącego również do naszej dywizji. Zetknęliśmy się więc wszyscy trzej bracia z różnych formacji w jednej i tej samej dywizji.

A poza tym spotkałem się wtedy z dawnymi towarzyszami partyjnymi i pr jaciółmi od "Michalika": Leonem Czechowskim, Orkanem, Bobrowskim i Galicą. Ci dwaj ostatni umówili się ze mną raz na dłuższą rozmowę w jakimś lesie i wted to zrozpaczony Jędrek Galica skarżył się przede mną na postępowanie Piłsudsk go. Oburzał się, że stwarza on ustawicznie różnice pomiędzy oficerami i żoł

rzami jednej a drugiej brygady i opowiadał, jak przy zameldowaniu jego "przyjścia" przetrzymał go rozmyślnie Piłsudski przez 5 godzin na dworze, a potem przez adiutanta kazał mu złożyć raport po niemiecku - i żalił się na jego stronniczość i niesprawiedliwość. Nie przeszkodziło mu to potem, jako sanacyjnemu posłowi, wygłaszać z trybuny sejmowej peanów na cześć tego samego Piłsudskiego, a gdym mu je przerwał, przypominając tamtą rozmowę, zrobił minę, którą u niego tak dobrze znałem jeszcze od "Michalika" i rzucił od niechcenia: "Li - różnie się ta w różnych czasach godało".

Doszła nas wtedy wiadomość o wybuchu wojny z Włochami- które bez ceremoni zdradziły sojuszników z "Trójporozumienia". Dywizja nasza została odznaczona uznaniem "Ober-Armee Komando", które podnosiło, że w skutecznej ofensywie majowej armii sprzymierzonych wybitny udział wzięła 106 dywizja piechoty pospolitego ruszenia. "Wyraża. więc tej dzielnej dywizji, zwłaszcza pułkom piechoty! Cheb Nr 6, Cieszyn Nr 31, i Nowy Sącz Nr 32 za ich wzorowe, pełne pogardy śmierci zachowanie się, za ich nadzwyczaj dobrego ducha i doskonałą działalność, która staje godnie obok czynów najlepszych pułków armii, moje podziękowanie i szczególne uznanie. Nie omieszkam jego cesarskiej mości donieść i prosić go, aby raczył te bohaterskie pułki szczególnie odznaczyć, aby pamięć ich czynów została utrzymana na wieczne czasy". Ja sam natomiast dostałem też nowe odznaczenie w formie drugiego medala waleczności - i zostałem feldfeblem.

Przekroczyliśmy Wieprz i raz, kiedy 30 p.p. w którym Bohdan był komendantem jednej z kompanii, leżał w pierwszej linii, a my stanowiliśmy dla niego rezerwę, Moskale pod osłoną niezwykle ciemnej nocy podeszli tuż pod samą naszą linię. Rozpoczął się atak wręcz; Moskale zajęli część "trzydziestki"; my zaś - by wzmocnić pierwsze szeregi - ruszyliśmy naprzód, lecz wśród ciemności absolutnie nie można było rozróżnić, kto do jakiej armii należy. Rozdzieliły się te szeregi dopiero nad ranem i cały impet rosyjski powstrzymała wreszcie nasza artyleria. Byłem bardzo zaniepokojony, co się stało z Bohdanem i rozpytywałem się wśród rozbitków z 30 p.p., otrzymując jak najbardziej fantastyczne informacje. Jedni go znali, inni nie; jedni widzieli na własne oczy, jak padł zastrzelony z rewolweru przez jakiegoś oficera rosyjskiego, to znowu inni - że został formalnie zakłuty bagnetami, aż wreszcie znalazłem jednego, który mi opowiedział, że brat dostał się do niewoli i, że - gdy go Moskale brali i rozbrajali, wpadł w jakąś wściekłość, którą - nie mogąc jej wyładować inaczej - wyładował w spazmatycznym płaczu. Po dwóch latach wyrwał się on z tej niewoli po romantycznej ucieczce przez Finlandię i Nordkap - i dostał się do Szwecji i do Berlina, a potem z powrotem do własnych szeregów.

Przy przechodzeniu przez jeden z małych dopływów Bugu - w ponury, słotny dzień - zobaczyłem nagle, jak wyłonił się z zakrętu rozbawiony sztab 4 pułku Legionów. Jechali na koniach jak panowie: pułk Roja, adj. Czechowski, Orkan, dr Dobrowski i mjr Galica - i ze względu na otoczenie i różnicę naszych szarż, przywitali mnie bardzo wyniośle, jak żołdaka w rozpiętym "mantlu", który stał oparty o karabin. Jeden z nich zapytał, czy dostałem już wiadomość o Jerzym. Tknęło mnie złe przeczucie, a gdy żaden z nich nic więcej nie chciał mi powiedzieć, choć ja coraz natarczywiej się tego domagałem - powiedział mi dopiero Orkan, że Jerzy - jadąc na front - umarł po drodze w szpitalu w Dębicy.

To był dla mnie grom. Wiedziałem, że to wojna - i patrzyłem, jak koło mnie padali koledzy i znajomi, a jednak nie mogłem się pogodzić z myślą, że Jerzy miał przestać żyć; że nie zobaczę już nigdy tego brata, którego tak bardzo kochałem, choć nie mówiliśmy sobie nigdy o swych wzajemnych uczuciach. "Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce karabin jemu pod głowę żołnierski... gdyby miecz w serce lub zabójcza kula. Lecz nie - szpitalne łoże... i koszula". Mówiłem sobie, że to konieczne, nieuchronne ofiary, posiew przyszłości narodu - i tak też napisałem do zrozpaczonej Matki. Odpisała mi: "Twoje słowa, takie kojące, serdeczne, są mi wielką pociechą, ale nie mogę się opanować, jestem bardzo nieszczęśliwa". Ja też nie byłem w stanie się opanować i zapomnieć - zwłaszcza, że dowiedziałem się, że on na łożu śmierci jeszcze o mnie pamiętał - i pisząc swój testament, prosił mnie bym się zaopiekował jego synami i załatwił sprawy, na których zależało mu najbardziej. Pisał o nim przyjaciel jego

Rydel, który tak wnet poszedł potem za nim w zaświaty, że: "Wojna i wszystkie związane z nią nadzieje i pragnienia narodu nastroiły wysoko i rozpłomieniły tę duszę szlachetną i namiętną, zdolną do porywów najwyższych, do poświęcenia i ofiar bezgranicznych. Porzucił rodzinę, zaciągnął się pod sztandary Legionów, promieniał męstwem i zapałem". Przytaczając ostatni jego wiersz: "Do moich synków", pisał dalej: "Biedni, mali synkowie, choć ojca może nawet nie zapamiętają, z dumą będą mieli prawo myśleć o tym ojcu, że był lutnią, w której dusza ludu śpiewa".

To było dla mnie wszystko straszne, a jednak trzeba było iść dalej. Przekroczyliśmy Bug; staczaliśmy jakieś drobne potyczki koło Wysokiego Litewskiego i doszliśmy do krańca Puszczy Białowieskiej. Tam - w wiosce, która nazywała się Wojska - cała nasza dywizja została wstrzymana. Po jednej stronie obozował nasz pułk, po drugiej Legiony. Leżąc na pagórku i wygrzewając się w słońcu, zobaczyłem nagle na ziemi "feldpostkartkę", pisaną znanym mi pismem. Podniosłem ją - tak, to niewątpliwie pismo mego brata Sławka, którą pisał do brata swej żony, legionisty - Staszka Wiśniowskiego. Ten ranny dostał się do szpitala, a tam - po jego śmierci - wyrzucono pozostałe przy nim papiery.

Padły legionista doczekał się potem w swoim rodzinnym miasteczku ulicy, nazwanej jego imieniem - i podobnie wszyscy oni - tak czy inaczej - doczekali się uznania i sławy, która opromieniła ich pamięć, podczas gdy tylu moich kolegów z szeregów - z tej samej, co oni dywizji - padając, nie doczekało się nie tylko ulicy, lecz nawet marnej tabliczki, na której by były wyryte ich nazwiska. Kiedy myślę o tej niesprawiedliwości losu, który z nich zrobił tylko mierzwę, użyźniającą przecież tak samo rolę ludzkości - to nie zazdroszczę tym wybrańcom sławy, ale czuję głęboki żal, że pamięć tych innych - zapomnianych i nieznanych - szarga się jeszcze wyzwiskami: "trepy".

Legioniści poszli na Wołyń, a my w powolnych marszach - do Radomia, gdzie władowano nas na kolej i przeniesiono na włoski front - na Isonzę. Zrazu byliśmy z tej zmiany bardzo zadowoleni, bo było ciepło i była jakaś rozmaitość, ale bardzo wnet zaczęliśmy ją przeklinać, wspominając o dawnych trudach i niebezpieczeństwach, jak o dziecinnych zabawach. Na Dobero, w St. Michale, na Jamiano, wzdłuż całej Isonzy, leżeliśmy na kamieniach, nie mogąc się wkopać - i trzeba było ciężkiej pracy, nim żołnierze wykuli sobie kilofami i dłutami jakie takie rowy.

W czasie jakiejś ofensywy, która powtarzała się regularnie niemal co dwa miesiące i w przeciągu paru dni kosztowała dziesiątki tysięcy żyć ludzkich, lało przez dwa dni jak z cebra. Ziemia, na której leżeliśmy pomiędzy kamieniami, zrobiła się jak ohydna, lepka, czerwona maź; byliśmy mokrzy i przeziębieni; nie jedliśmy nic, bo z powodu ognia zaporowego nie można było nic dowieźć, a Włosi prażyli nas swą artylerią bez litości. Naraz rozstąpiły się chmury, błysnęło słonko, artyleria przestała strzelać, zrobiło się lżej, lecz równocześnie rozumieliśmy, że teraz rozpocznie się atak włoskiej piechoty. Byliśmy tak zrezygnowani, że było nam wszystko jedno - i czekaliśmy tylko, by się to wszystko jak najprędzej skończyło; wobec tego nie odstrzeliwaliśmy się zupełnie, przygotowani by się poddać. Coraz wyraźniej zaczęły się też teraz ukazywać małe figurki, jak - skacząc od kamienia do kamienia - zbliżały się do nas coraz bardziej - lecz gdy miały nas już ująć, rzucały karabiny przed naszymi nosami i przechodziły - rozbrojone - na drugą stronę. Oni też mieli tego wszystkiego dość - i deszczu i głodu, i zimna, i strzałów naszej artylerii - a ponieważ w ich rękach była "inicjatywa", więc one nas uprzedziły - i zamiast my im, to oni nam się poddali. Chcąc czy nie chcąc, musieliśmy ich wziąć do niewoli i otrzymali my w rozkazie uznanie za "dzielne zachowanie się wobec wroga".

Służba na tym froncie była niesłychanie ciężka i niebezpieczna. Rozbijając ofensywy, które pociągały za sobą prawdziwe hekatomby zabitych i rannych, żołnierze musieli ciężko pracować, jak kamieniarze, obywać się bez wody i jeść tylko raz dziennie w nocy, gdyż tylko w nocy można było dowieźć na linię żywność, wodę i amunicję. Jedyną rekompensatą za to wszystko były przecudowne widoki, którymi można się też było rozkoszować do syta. Przed nami rozciągała się naga, górzysta pustynia, zasłana kamieniami wapiennymi, wypalonymi na żużel

i dźwięczącymi jak stal; po jednej stronie leżało lazurowe morze, a po drugiej śnieżyste szczyty Alp julijskich. Z czasem jednak tych wszystkich wspaniałości mieliśmy już wyżej uszu i zacząłem markirować - zwłaszcza, że skręciłem sobie nogę w kostce i w lecie 1916 roku przydzielono mnie do "lżejszej służby", powierzając dowóz żywności, amunicji i "drahthinternissów" do "sztützengrabów" przez kolonię "tragthierów".

Akurat w tym czasie Brusiłow przełamał front i my w przyśpieszonym tempie zostaliśmy przerzuceni koleją spod Triestu pod Brody. W Krakowie byliśmy blisko dwie godziny i wykorzystałem je, by wpaść choć na chwilę do domu i zobaczyć się z żoną i synkami, którzy tymczasem powrócili już ze swej przymusowej emigracji. Pod Brodami - ponieważ pozostałem w dalszym ciągu przy dowozie żywności - było mi bardzo dobrze, ale po paru tygodniach, gdyśmy tylko "dzielnie bronili" Austrię, ona w nagrodę za to kazała nam wrócić w to piekło, szalejące nad Isonzą. Tam ta "lżejsza służba" stała się wprost niemożliwa. Podczas gdy kompanie odbywały tylko raz na dwa tygodnie drogę na front, która stanowiła największe niebezpieczeństwo, bo na froncie samym były teraz wykute głębokie rowy i powywiercane przez osobne oddziały "kawerny", to ja co dzień ze swymi tragthierami musiałem "vorrückować", rozładowywać ładunek w jakiejś karstowej "dolinie", iść do komendanta batalionu i niemal przemocą wydobywać z kompanii ludzi, by poszli że mną odnieść menaż, prowianty i amunicję, przy czym nigdy prawie nie obchodziło się bez jakiejś nowej ofiary w ludziach. Zresztą nawet w tyle nie byłem nigdy bezpieczny - i raz, gdym stał z oficerem prowiantowym na gościńcu - wybuchnął niemal tuż przed nami granat, który zabił i poranił kilkunastu żołnierzy, choć stali znacznie dalej od miejsca wybuchu, a mnie i oficera przewrócił tylko i zdarł mi czapkę z głowy. Toteż zameldowałem się sam, że czuję się już lepiej i zrzekając się tej "lżejszej służby", powróciłem do kompanii, co prawda - już nie na zbyt długo.

Chodziłem teraz często do jednego z kolegów z czwartej kompanii,który w cywilu pracował w administracji "Kuriera Ilustrowanego" i dlatego stale go teraz otrzymywał. W czasie jednej z takich wizyt, kiedy zazwyczaj razem czytaliśmy gazetę i dysputowaliśmy na temat zaszłych wypadków - spostrzegłem naraz, że ustawicznie wzmaga się ogień, który też bardzo wnet przeszedł w "trommelfeuer". Zrozumiałem, że rozpoczęła się nowa ofensywa. Musiałem więc iść do swojej kompanii i po drodze przyłączyło się do mnie czterech jakichś telefonistów. Chciałem przejść przez rowy jak najszybciej, a oni przeciwnie - chcieli się posuwać jak najostrożniej - i przystawali za każdym trawersem. Musiałem więc ich opuścić - i gdym się oglądnął, zobaczyłem tylko, że w to miejsce, w które się właśnie schronili, trzasnął granat, zabijając wszystkich czterech. Doszedłszy po chwili do rowów drugiej kompanii, dowiedziałem się, że część ich zajęli już Włosi. Musiałem więc wyjść na wierzch i szedłem po kamieniach, razem z jakimś napotkanym żołnierzem - aż do lasku, za którym była komenda batalionu i duża kawerna. Lasek był jednak jakby oświetlony wybuchającymi w nim ustawicznie granatami i nie byłem w stanie zdobyć się na tyle odwagi, aby przezeń przejść. Zobaczywszy jakąś szopę i chcąc na chwilę odpocząć, siadłem, lecz pod wpływem zdenerwowania i zmęczenia usnąłem momentalnie - i dopiero po godzinie towarzyszący mi żołnierz zaczął mnie szarpać i budzić. Ocknąwszy się i uświadomiwszy sobie, że leżałem przecież wśród największego ognia bez żadnej osłony - w dwóch susach skoczyłem razem z moim żołnierzem i szczęśliwie dostaliśmy się do kawerny batalionowej. Nie wróciłem już jednak tego dnia do kompanii, która w międzyczasie w nocnym kontrataku musiała wypierać Włochów z odcinka drugiej kompanii.

W tym czasie państwa centralne ogłosiły swój znany akt z dnia 5 listopada 1916 roku, w którym - proklamując niepodległość Polski - nie określiły jednak ani jej granic, ani ustroju. Akt ten, pełen niedopowiedzeń i niejasności, wywołał też we mnie duże rozczarowanie - i pocieszałem się jedynie tym, że - jak wyraził się potem Piłsudski - wobec przedstawiciela redakcji "Le Petit Parisien" - w każdym razie - Polska miałaby więcej swobody pod Niemcami i Austriakami, niż miała jej pod panowaniem rosyjskim".

To wszystko nie przyczyniało się jednak do wzniecenia we mnie zapału wojennego, toteż gdy przeczytałem rozkaz, że wszyscy żołnierze i podoficerowie, którzy mieli maturę, mają się zgłaszać do szkoły oficerskiej, wniosłem odnośne podanie - i nie dlatego, żeby uzyskać szarżę oficerską, lecz by wyrwać się z frontu. Z dniem 1 stycznia 1917 zostałem też przydzielony do szkoły oficerskiej w Opawie. Szkoła ta przypominała mi bardzo dokładnie szkołę jednoroczną - i, jak wówczas nie mogłem w siebie wmówić, że to "sztrekowanie" ma być cechą dobrego żołnierza, tak samo i teraz patrzyłem na nie z największą niechęcią. Laurów też tam nie znalazłem, ale jakoś tę szkołę skończyłem - i już w marcu, jako "chorąży" znalazłem się w kadrze w Nowym Sączu. Póki odbywałem ćwiczenia w polu w zwrotach, w marszach, we wzajemnych atakach czy w strzelaniu, to jeszcze było pół biedy, ale nie mogłem po prostu wycierpieć całego popołudnia, kiedy bezmyślnie musiałem ćwiczyć ludzi w rzucaniu klocków imitujących granaty ręczne lub w "Anlehnung des Ziengels".

Raz, gdym szedł przez korytarz, by odbyć "na hofie" ceremonię rozdziału wart, uderzyła mnie w oczy znana mi twarz młodego, rudawego nadporucznika. On też odwrócił się na mój widok i - nim wymienił moje nazwisko - wiedziałem już, że to mój mały, rudy Rydarowski, który pierwszy zaprowadził mnie do szkoły w Bochni i który był pierwszym moim przyjacielem. Przywitaliśmy się bardzo serdecznie, ale musiałem iść do służby, bo moi przełożeni: podpułkownik Janiszewski i kapitan Prohazka byli strasznie groźni.

Z żarliwości służbowej Janiszewski przydzielił mnie do pierwszej "marszkompanii", która miała iść na front, a Pröhazka, gdym mu na ostatnich ćwiczeniach na błoniu zameldował, że mi w międzyczasie "ktoś" wymienił kilku żołnierzy - i powiedziałem, że sześciu z nich jest w ogóle niewyszkolonych, rozpoczął proces ze mną co do jednego i podał mnie do raportu. Gdyśmy jednak na ten raport u podpułkownika czekali, a ja wcale nie miałem miny skruszonej, Prohazka wszedł sam do kancelarii, a potem zawiadomił mnie przez feldfebla, że raportu nie będzie. Ten Prohazka prowadził bowiem taki proceder, że za opłatę wymieniał ludzi, którzy byli przeznaczeni do wymarszu w pole, i krył ich w kadrze, zastępując innymi - bez względu na stan ich zdrowia i wyszkolenia.

Zaraz po Wielkiej Nocy - w roku 1917 - odjeżdżaliśmy - wśród odpowiednich uroczystości, parad i dźwięków muzyki, która do znudzenia, bez przerwy, grała "Hymn Ludów". Żołnierzy i oficerów odprowadzali znajomi i krewni, a ja byłem zupełnie samotny. W jednej chwili zjawił się znowu mój dawny kolega Żytyński z dziesięcioletnią córeczką, która wręczyła mi wiązankę kwiatów. Byłem jej za to tak strasznie wdzięczny - i uściskałem serdecznie i ją i jego - i mając właśnie służbę inspekcyjną przy pociągu, wstąpiłem ostatni na stopnie odjeżdżającego wagonu. Na stacjach - tu i ówdzie - żołnierze żegnali się jeszcze z miejscowymi góralami, a w Muszynie zapłakana stara Cyganka i prześliczna Cyganeczka nie mogła się po prostu oderwać od szyi swego narzeczonego, do którego przylgnęła całym ciałem. Płakała przy tym tak rzewnie, że serce mi pękało, toteż czułem się jak kat, gdy zmusiłem Cygana, by wszedł do wagonu. Cygan w parę miesięcy później został rozszarpany przez granat - i nie zobaczyła go już nigdy ani jego stara matka Cyganicha, ani urocze dziewczę cygańskie.

Z wagonu wyładowano nas w cudownej okolicy Kranja nad Sawą, której mleczno-opalowe wody użyźniały tam szeroką, bogatą dolinę. Na drugi dzień wszyscy oficerowie mieli się zameldować o godzinie 8-ej rano u komendanta etapu, jakiegoś starego węgierskiego pułkownika. Mieszkał on przeszło dwie mile od nas, toteż wstaliśmy raniutko, by się nie spóźnić i zaraz na wstępie, gdyśmy mu zasalutowali, stojąc w jednym szeregu wśród krzaków, poznaliśmy, co nas czeka. "Herstellt" i "herstellt" - i w ten sposób zmusił nas powtórzyć 12 raz nasze salutowanie, które za każdym razem wydawało mu się nie dość przepisowe. Po tym przygotowaniu poprowadził nas w górę, gdzie ćwiczyły jakieś węgierskie "marszkompanie" - i jak dziki zwierz rzucał się na biednych Madziarów. Tu jednego skopał, tam kogoś przewrócił; wszystko było dla niego złe; krzyczał, ryczał, bił - a my, nieprzyzwyczajeni do tego rodzaju traktowania ludzi, szliśmy za nim oniemieli i przerażeni. Wreszcie doszliśmy do urządzonej strzelnicy - i tam wybrał on czterech, między którymi również i ja się znalazłem. Strzelałem bardzo

dobrze, ale byłem tak wściekły i zdenerwowany, że przy "próbnym strzelaniu" ręce mi drżały i opanowałem się dopiero przy ostatnich dwóch strzałach. Toteż z oddanych pięciu próbnych strzałów, które bez względu na odległość od środka powinny być skupione, trzy były porozrzucane bezładnie po całej tarczy, a dwa razem po jej drugiej stronie. Pułkownik przezywał nas ostatnimi słowy, ale gorzej się jeszcze stało, gdy przyszło do tzw. "głównego strzelania", przy którym chodziło już o trafienie w sam środek tarczy. Gdy ją przyniesiono, pułkownika wprowadziło to w istny szał; zaczął wymachiwać nade mną rękami i zdawało mi się, że lada chwila mnie uderzy. "Nicpoń, leń, drab" - wyzywał mnie za to, że ja, umiejąc strzelać, z niedbalstwa rozrzuciłem w poprzednim strzelaniu kulki po całej tablicy. Po całej tej poglądowej lekcji rozkazał, byśmy na drugi dzień zaczęli swój "Beschäftigung" punktualnie o godzinie 5 rano i mnie przeznaczył na strzelnicę, zapewniając, że "radzi", by pierwszy strzał padł punktualnie o oznaczonej godzinie. Zrozpaczeni wracaliśmy do kwater - i na drugi dzień, by się nie spóźnić, wyszliśmy z nich przed drugą. Mój oddział zaczął strzelać punktualnie o godzinie piątej; inne ćwiczyły obok, a my słyszeliśmy tylko z daleka, jak pułkownik na przeciwległym stoku góry wyprawiał swoje harce. Do nas jednak nie zaszedł, toteż punktualnie o godzinie 9 skończyłem "zajęcie" i zakomenderowałem - "Vergatterung" i "Abmarsch".

Jakaż też była nasza radość, gdyśmy się dowiedzieli, że w międzyczasie przydzielono nas do innego okręgu, na prawym brzegu Sawy. Naszym nowym komendantem był teraz jakiś młody kapitan, który patrzył tylko, by się obijać, a my wraz z nim robiliśmy to samo. Te kilka tygodni stały się dla nas prawdziwymi "dolce far niente" i upłynęły, jak z bicza trzasł. Po ćwiczeniach, które polegały głównie na rozsypywaniu się w tyralierę i leżeniu w lesie lub strzelaniu do celu, chodziliśmy na wycieczki, na wino, to znowu na zabawę i flirtowaliśmy z rozkosznymi Słoweńkami, lecz wszystko znalazło swój kres.

Jednego dnia przyszedł rozkaz marszu do pułku. I nam, i żołnierzom zrzedły miny, a zwłaszcza przejawiało się to u dwóch Żydów, których miałem w oddziale. Jeden z nich, stary karczmarz spod Dębicy - gdy się dowiedział, że idziemy na front - dostał dwa razy ataku i było mi go tak serdecznie żal, że puściłbym go od razu, gdyby to tylko ode mnie zależało. Natomiast drugi, nazwiskiem Rosenblatt, postanowił ratować się kryminałem. Pod wieczór zameldował mi kapral, że Rosenblatt powiedział, że pójdzie raczej do kryminału, niż na front, lecz mnie było to zupełnie obojętne i niechby sobie poszedł nawet do diabła, byle tylko pozostawił mnie w spokoju. Wieczorem mieliśmy ćwiczenia "mit Gegenseitigkeit", w czasie których jeden z kolegów mnie atakował, a ja - broniąc się - zarządziłem "Schnelfeuer". Wedle regulaminu nie wolno było strzelać nawet ślepymi patrolami na odległość bliższą niż 40 kroków, bo papendeklowe kule raniły bardzo boleśnie, toteż zakomenderowałem: "Feuer einstellen", co każdy żołnierz miał powtórzyć i natychmiast sam przestać strzelać. Mimo to spod moich nóg wysypała się cała salwa - i zobaczyłem, że to mój Rosenblatt spokojnie sobie strzela i nabija. Gdym go spytał, czy słyszał "rozkaz", odpowiedział, że słyszał, a na zapytanie, dlaczego więc strzela - bezczelnie odpowiedział: "bo mi się tak podoba". Chodziłem zawsze z prętem, który sobie wycinałem z dębiny i tym prętem uderzyłem Rosenblatta po karku. Na drugi dzień, kiedyśmy rzucali ostrymi granatami ręcznymi, Rosenblatt - mimo, że rzucał na ogół dobrze - zaaktywowawszy granat, rzucił go tuż przed rów, z któregośmy rzucali - i o mało nie poranił ludzi. Myślałem, że ten jeden dzień jakoś z nim wytrzymam, ale w czasie "rastu" kapral wobec ludzi zameldował, że Rosenblatt się odgrażał, że on mi "odda" i, że "kij ma dwa końce". Chcąc nie chcąc, zawezwałem więc Rosenblatta i zapytałem, co powiedział, a on cynicznie odpowiedział mi: "pan fenrych przecie słyszał". Ogarnęła mnie wściekłość; chwyciłem leżącą na ziemi "fechsztangę", której używało się przy fechtunku na bagnety, i bez opamiętania zacząłem nią okładać mego Rosenblatta - tak, że drążek strzaskał się na drzazgi, a on sam padł na ziemię. Przeląkłem się trochę i - opamiętawszy się kazałem zanieść leżącego do pobliskiego potoku i oblać go wodą, alem się uspokoił, gdym zobaczył, że się broni przed tą operacją i powoli sam wstaje. Po południu mieliśmy już wsiąść na pociąg, który miał nas zawieść aż na front. Rosenblatt nie

chciał iść, twierdząc, że bolą go ręce, po których go porządnie wysmarowałem, ale posłałem po niego osobno - i razem z nami jechał i wysiadł z wagonu, wspinając się potem pod wysoką górę. Spoza niej ukazało się naraz kilka aeroplanów włoskich, które obrzuciły nas bombami, zabijając i raniąc przeszło 50 ludzi. Z mojego oddziału nie zabrakło nikogo oprócz Rosenblatta, który jakby zapadł się pod ziemię. Machnąłem nad nim ręką, zameldowałem go jako "vermisset" i poszedłem dalej do pułku, gdzie wcielono nas do kompanii.

Zostałem lejtnantem i pełniłem koło Tolminu normalbą służbę, jak zwykle na froncie. Raz - poszedłszy z 40 ludźmi w nocy po amunicję dla całego batalionu - wracałem przez stromy przesmyk, który był stale ostrzeliwany przez Włochów. Położywszy się za kamieniem, puszczałem w odpowiednich odstępach każdy parę, noszącą "Verschlag" - i naraz na samym końcu zobaczyłem mojego starego Żyda z Dębicy, jak spokojnym krokiem nie zwracając uwagi na niebezpieczną pozycję, powoli schodził na dół, jakby się wychował na froncie. Kiedym mu powiedział, że się jednak przecież przyzwyczaił, rzekł: "E... panie lejtnant... ja się nie przyzwyczaił; ja ino se powiedział, że ja już nie żyję, to co ja się teraz mam bać, jak ja jest już trup". I był też nieczuły, jak prawdziwy trup.

Wnet potem - pod koniec lata 1917 - nastąpiła nowa ofensywa. Byliśmy w dużej kawernie jako rezerwa, ale co chwila któryś z plutonów musiał uzupełniać sobą osłabioną strzelaniną linię. Ludzie przeklinali; inni modlili się; inni znowu zapadali w jakąś tępą martwotę, - a my, by zdusić bijące w nas serca, graliśmy w karty, coraz bardziej hazardownie. W tej grze przegrałem całą swoją gotówkę, lecz równocześnie wygrałem około 1000 koron od jednego z kolegów, który miał mi je zapłacić za parę dni, gdy dostanie gażę. Za chwilę poszedł on jednak na "Verstärkung" i rozszarpany granatem nie wrócił już nigdy, a po nim poszedłem ja i dostałem w swój oddział dwie duże, ciężkie miny włoskie. Ilu ludzi przy tym padło - nie wiem, zasłonił nas bowiem dym i deszcz kamieni, lecz wiem, że uczułem silne uderzenie w rękę i na bluzce zobaczyłem krew. Byłem przekonany, że dostałem w brzuch, czego się przez cały czas wojny najbardziej bałem, toteż - by to stwierdzić - rozpiąłem bluzkę, lecz koszula nie była skrwawiona. Dopiero teraz poczułem dotkliwy ból w strzaskanej ręce i co tchu spełznąłem w dół do kawerny, gdzie lekarz założył mi prowizoryczny opatrunek. Inny lejtnant, który został dosłownie naszpikowany odpryskami kamieni i - opatulony od pasa bandażami, jak kukła - zwrócił się do mnie, byśmy razem szli do najbliższego szpitala. Zgodziłem się bardzo chętnie i razem rozpoczęliśmy wędrówkę, podczas której odsyłano nas od jednego szpitala do drugiego, bo albo ewakuowano go z powodu postępu ofensywy, albo nie było w nim już miejsca, bo coraz więcej przybywało rannych. Słaby już bardzo - z gorączką, którą czułem w całym ciele - po upływie 48 godzin dostałem się wreszcie do jakiegoś maleńkiego szpitala węgierskiego. Po usunięciu bandaży z ręki, która mogła teraz służyć za sztandar austriacki - tak była czarna i żółta - buchnął z niej ohydny smród. Lekarz, nic mówiąc nawet ze mną, przechylił mnie na pryczy i zaczął mi nalewać jakieś krople na nos. Uświadomiłem sobie, że chce mnie uśpić i trzeba rachować sekundy, ale nie doliczyłem do 5, gdy zakotłowało mi się w głowie i wśród niesłychanie przyjemnego uczucia myślałem, że gdzieś lecę w światy. Zbudzony, czułem się bardzo dobrze, ale byłem bardzo słaby, a sanitariusz oddał mi duży odłamek żelaza, który tkwił w mej ręce. Memu kompanowi natomiast zdjęto bandaże, w których tak imponująco wyglądał, czym był strasznie zmartwiony, bo bał się teraz, że mogą go zawrócić na front - do kompanii. Lecz i ten szpitalik musiano ewakuować i w nocy odtransportowano nas po kilku godzinach jazdy do dywizyjnych zakładów sanitarnych daleko za frontem.

Była tam masa ludzka, ponad którą przeszła wojna: ludzie bez nóg, bez rąk, z potrzaskanymi żebrami, grzbietem, z postrzałami w głowę, w piersi, w brzuch, toteż - by ich opatrzeć - lekarze pracowali jak woły. W pewnym momencie ukazał się nad nami włoski aeroplan, zakołował i zawrócił, a jeden z rannych oficerów artylerii przepowiedział teraz ostrzeliwanie szpitala. I rzeczywiście - po chwili rozpoczęła się kanonada i atak na bezradnych rannych. Jakże daleko odbiegło już wówczas to poczucie humanitarności i rycerskości w walce, które pod Tarłowem kazało Moskalom pomagać zbierać naszych rannych - i kiedy

sztandary Czerwonego Krzyża były oznaką, która chroniła przed atakiem, a nie powodowała go - na rannych. Wojna w swoim rozwoju usunęła te wszystkie skrupuły, więc ranni w swej bezsilności popadali w paniczny strach i rozpacz. Komendant szpitala - stary Niemiec - wydał rozkaz, by wszyscy bez względu na szarżę przenosili na noszach tych, którzy o własnej mocy iść nie mogli, do pobliskiego, długiego na kilkaset metrów tunelu. Momentalnie szpital opustoszał, a tunel stał się jakimś potwornym piekłem, jedni konali, inni jęczeli, inni wymiotowali, a wszędzie panował nie do zniesienia smród i zaduch - tak, że ja, by odetchnąć, przeszedłem przez całą tę gehennę aż do przeciwnego wylotu tunelu. Zapoznałem się tam z jakimś młodym czeskim "fahnrychem", pełnym życia i werwy, który zabawiał mnie swymi opowiadaniami i który drżał, by go tylko nie cofnięto, bo dostał się tu jako rzekomo zatruty gazem, a on czuł się zupełnie dobrze. Wreszcie pod osłoną nocy odjeżdżały pociągi sanitarne i wywoziły nas na wschód, a ja - razem z młodym Czechem - dostałem się z powrotem do Kranja, w którym tak niedawno spędzałem miłe chwile na etapie. Mego Czecha, który sądził, że oszukał lekarza, pozostawiłem jednak już w bardzo ciężkim stanie, a sam odtransportowany zostałem do Lublany, gdzie leżałem teraz obok jakiegoś oficera włoskiego - i obaj nie czuliśmy wobec siebie żadnych nienawistnych uczuć, uważając się jedynie za jednakowe ofiary wojny.

Największym moim zmartwieniem było to, że zostałem bez pieniędzy, bo własne przegrałem, a kolega, który mi miał oddać dług, był już na drugim świecie. Zanim mogło przyjść moje "Richtigung-Zeugniss" z kadry w Nowym Sączu i gaża, mogło upłynąć nawet dwa miesiące. Toteż, gdy komendant szpitala, do którego napływało coraz więcej rannych, zapowiedział, że każdy z nas może otrzymać "marszrutę" do szpitala przy swojej własnej kadrze, zgłosiłem się momentalnie. W Wiedniu odwiedziłem Huebera, który mnie bardzo serdecznie powitał i dał mi trochę pieniędzy - i wreszcie wylądowałem w Nowym Sączu.

Było tam teraz "sto mil od brzegu i sto mil do brzegu"... Było cicho i spokojnie - i o wojnie dowiadywało się już tylko z gazet, ale na każdym kroku czuć było braki i ogólną nędzę. Moim komendantem był bardzo sympatyczny "sztabsarzt" - dobry człowiek, dobry Polak i dobry internista, dla którego mam dużo uznania i wdzięczności, ale który o chirurgii nie miał żadnego pojęcia. Gdym spostrzegł, że ręka się krzywi i dłoń spada z przegubów, mój "sztabsarzt" z początku temu przeczył, a potem zapowiedział, że mi sam zrobi operację. Kiedym sobie ją uświadomił, chciałem się od niej jakoś wykręcić, ale on - śmiejąc się, żem stchórzył - swoim naigrywaniem po prostu mnie do niej zmusił. W oznaczonym dniu kazał mi się położyć, na czczo, na stole operacyjnym i miał mnie uśpić. Podchodził jednak, jak kot, koło mnie - i wreszcie zadecydował, że operację zrobimy bez usypiania - przy rentgenie, gdy będzie już światło elektryczne. Ustaliwszy, że odłamki kości, pomiędzy którymi brakło co najmniej dwa cale, tymczasem się zrosły - chciał je na nowo rozsunąć - i w tym celu zaczął mnie bić najprzód bokiem dłoni, a potem zwykłym młotkiem. Z dumą i z zadowoleniem stwierdził, że zrosty pękły i teraz chciał odłamki rozciągać i dłoń odpowiednio ustawić na przegubie. "Sztabsarzt" był wysokim silnym mężczyzną i ciągnął mi rękę bez litości, a ja - zaciskając zęby - postanowiłem sobie przetrzymać wszystko. By mu pomóc, kazał mi klęknąć po jednej stronie stołu rentgenowskiego, a sam klęknął po drugiej - i gdy mnie tak ciągnął, prąd odrzucił nas obu w przeciwne strony aż do samych ścian. Zmęczony operator sprowadził wtedy czterech rosyjskich jeńców - chłopów, jak smoki, którzy - po dwóch z jednej strony - zaczęli mnie ciągnąć za rękę, lecz gdy mi ją tylko popuścili, schowałem ją za siebie, oświadczając doktorowi, że ja mu dowiodłem, że się nie boję, a on - że mi ręki nie umiał zreperować.

W szpitalu odbywało się normalne życie szpitalne: karty, spacery, plotkowanie, lekkie flirty, politykowanie i znowu karty. Raz - idąc na nie do oficerskiej menaży w przyległym budynku - spotkałem jakiegoś żołnierza, który z uśmiechem na twarzy kłaniał mi się tak serdecznie, że aż mnie to uderzyło - i spytałem go, skąd mnie zna. "Pan lejtnant mnie nie poznał? Ja jestem Rosenblatt, - ja tylko Boga prosiłem, by jeszcze raz pana lejtnanta w życiu zobaczyć, bo tylko panu zawdzięczam swoje życie". Momentalnie przypomniałem sobie

i jego - i to, jakem go walił kijem bezlitośnie - i jakem go potem zameldował: "vermisst". On zaś opowiedział, że w czasie nalotu włoskich aeroplanów zleciał na dół do zakładów sanitarnych i zgłosił się tam, jako potłuczony kamieniami przy wybuchu, pokazując sińce, którem mu zrobił na rękach, okładając go kijem. Papierów nie pokazał, a ponieważ był sprytny, przeżywił się parę miesięcy i teraz dopiero odesłano go do kadry, ale już nie da się z niej drugi raz wysłać w pole...

Tymczasem ze świata dochodziły coraz nowe wieści: najprzód wybuch rewolucji bolszewickiej, którą powitałem bardzo gorąco, nie przypuszczając, że skończy się ona dyktaturą i nowym czerwonym militaryzmem, a potem zawarciem 9 lutego traktatu brzeskiego. To były ciężkie ciosy dla mego pojmowania wolności - toteż, gdy całe społeczeństwo polskie demonstrowało przeciwko gwałtowi, którego chcieli dokonać komunistyczni władcy na spółkę z imperialistycznymi cesarstwami, poszedłem z kilkoma oficerami Polakami na rynek, gdzie odbywała się demonstracja, by również wyrazić swe uczucia i protest. Było strasznie zimno, a ponieważ chora ręka omal mi nie zdrętwiała, poszedłem z kolegą, lt. Pietrochowiczem, do jakiegoś domu, by się tam ogrzać. Przyłączyłem się do pochodu dopiero, gdy ruszył, lecz znowu ze względu na ranę, która z zimna piekła mnie coraz bardziej, musiałem go opuścić.

Na tle tej demonstracji po pewnym czasie rozpoczęły się najdziksze awantury. Do szpitala zajeżdżały coraz to nowe "inspicierung", w czasie których zjechał raz gen. Piasecki, Polak, któregom potem widział paradującego już w mundurze polskim. Kiedy na sali, na której było nas pięciu, przedstawiłem mu się: "Landstum - Letnant des Landsturm Infenterie Regiments Nr 32 in Neu Sandez - stellt sich gehorsamst vor", to on łaskawie mnie zapytał: co robię? A gdym mu odpowiedział, że się leczę - zrobił uwagę, że w tym stanie zdrowia mogę przecież robić jakąś służbę, np. w "Foindes - abwehr", która była pewnego rodzaju instytucją szpiclowską. Bez namysłu rąbnąłem mu więc, że służby takiej spełnić nie mogę, a na uwagę: "dlaczego"? - dodałem, że jako oficer frontowy służbę taką uważałbym za coś poniżej mojej oficerskiej godności. Zrobiła się piekielna awantura. Pan generał wykrzykiwał nade mną: "Was sind Sie im Civil", nie szczędząc mi najbardziej niepochlebnych epitetów, których ja wysłuchiwałem wyprężony, myśląc jednocześnie w kółko "oj, ty stary draniu", co zresztą w miarę czasu doprowadziłem do pewnej perfekcji w rozmowach z moimi przełożonymi. Zdenerwowany generał Piasecki wypadł z sali jak bomba i już nie poszedł do innych pokojów. Kolegów chorych - bez względu na ich stan zdrowia - odesłano na front, a oficerowie legionowi - ponieważ akurat Legiony przeszły na drugą stronę - musieli się gdzieś "spalić".

Pamiętam jednego z nich - weterynarza. W., który śpiewał potężnym basem i który stale nas ogrywał, a potem na drugi dzień rano jeszcze się z nas naigrywał, oświadczając, że się już nie odegramy, bo przegrane przez nas pieniądze poszły tymczasem do "Oleksego" na piwo i wódkę. Zmieniła mu się jednak "passa" - i nasz legionista przegrywał teraz ustawicznie "na kredyt", obiecując wyrównać dług po otrzymaniu gaży. Gdy więc przyszła wiadomość o przejściu Legionów pod Kaniowem, to - nie mogąc zapłacić swych długów - rozmierzał nam, stosownie do przegranej, odpowiednią ilość metrów sukna, które miał w ogromnym postawie.

Mnie nie mogli wysłać na front, bo miałem strzaskaną rękę, ale za to jakiś "frontowy oficer", który inaczej pojmował honor oficera niż ja, wniósł - by "odeprzeć nieprzyjaciela" - odpowiednią denuncjację do "Militar Komando" w Krakowie. W rezultacie zostałem zawiadomiony, że "dowódca ces. i król. komendy wojskowej w Krakowie zarządził śledztwo przed ces.-król. sądem dywizyjnym obrony krajowej przeciwko lt. Zygmuntowi Żuławskiemu, lt. Janowi Pietrochowiczowi, Feliksowi Wadze i Józefowi Polskowskiemu przy pozostawieniu ich na wolnej stopie, gdyż wymienieni podejrzani o popełnienie zbrodni zdrady stanu przez to, że w czasie politycznych demonstracji w Nowym Sączu dnia 18 lutego 1918 wzięli w nich udział, wznosząc okrzyki: "precz z cesarzem Karolem". Komendant szpitala radził mi nie ryzykować i obiecał mnie "zdokować" w "Rekonwalescenten-heim" w Krynicy.

I znowu zaczęły się dobre czasy: karty, chodzenie na grzyby, spacery

z p. Dziewulską i z bardzo miłą "siostrą" p. Klimą, którą spotkałem potem jako żonę jednego z mych znajomych - wyższego urzędnika Ministerstwa Oświaty w Warszawie. Trwało to wszystko aż do nastania jesiennych chłodów. Z frontu dochodziły jednak wtedy równocześnie coraz bardziej sensacyjne wiadomości. Koalicja zwyciężyła nad Marną; Anglicy z Salonik zaatakowali Bułgarię i po kapitulacji jej armii zagrozili wdarciem się w głąb Austro-Węgier - tak, że państwa centralne zaczęły się chwiać, a w miejsce dotychczasowej dyscypliny powstawały wszędzie coraz większe "zielone kadry" dezerterów.

Dnia 2 października Koło Polskie wniosło w parlamencie rezolucję,która stwierdziła:"Zwalczamy militaryzm i imperializm każdego narodu i wyrażamy przekonanie, że wojna światowa zakończyć się ma stworzeniem związku wolnych narodów i stworzeniem międzynarodowego trybunału rozjemczego. Kierując się tymi zasadami, oświadczamy jako przedstawiciele narodu polskiego w Austrii, że uważamy podział Polski za akt gwałtu, dokonany na narodzie polskim. Domagamy się przywrócenia niezawisłego, z wszystkich części polskich złożonego państwa polskiego, a więc z własnym wybrzeżem, jako też z obszarów zamieszkałych przeważnie przez ludność polską, zwłaszcza Śląska!...". Dnia 20 października zaś, zgodnie z wolą regentów, powstał już w Warszawie rząd Swierzyńskiego, który miał reprezentować całą zjednoczoną Polskę, - a potom zrezygnował cesarz austriacki, pozostawiając narodom swobodę urządzenia się wedle ich własnej woli.

Ze względu na coraz większe trudności aprowizacyjne żona moja i bratowa z chłopcami przeniosły się w tym czasie do Nowego Sącza, jakkolwiek ja sam unikałem go z powodu grożącego mi ciągle procesu. Poprosiłem więc o urlop do brata Sławka, który był komisarzem starostwa w Nisku - i tam doszły mnie też pierwsze mętne wiadomości o abdykacji cesarza Karola i o kapitulacji Austrii. Zebrałem się co tchu - i jadąc koleją, widziałem, jak chłopi napadali na poszczególnych żołnierzy i oficerów, odpinając im bączki z czapek, odcinając portupy i zabierając rowery. Nie miałem nigdy specjalnego nabożeństwa do Austrii, ale nie mogłem się zgodzić na tego rodzaju "rozbrojenie", popełnione wobec mnie przemocą. Toteż - stojąc w wagonie w Tarnowie - postanowiłem bronić się do upadłego, gdyby ktoś chciał mnie zaatakować. Na szczęście pociąg ruszył i bez wypadku dojechałem do Nowego Sącza, gdzie w domu żona odpruła mi bączka i przyszyła polskiego orzełka.

Ludzi ogarniał szał radości. Oficerowie obejmowali służbę na tych samych stanowiskach, co wczoraj - tylko pod innymi teraz sztandarami, i nawet prości żołnierze, tęskniący tylko, by dostać się wreszcie do swych domów, pozostawali nadal w kompaniach. Ja, choć rękę miałem nie wyleczoną, objąłem komendę żandarmerii - i wszyscy wedle sił starali się pracować i służyć, jak im kazano.

Obok kadry naszego pułku była jednak jeszcze w Nowym Sączu kadra pułku 10, w którym służyli przeważnie Rusini i Niemcy. O tym, by ich rozbroić, nie było mowy - podobnie zresztą, jak nie było mowy o tym w innych miejscowościach - i wszystkie te obce wojska odmaszerowywały na wschód lub na zachód w całym rynsztunku, a tzw. "rozbrojenie" było tylko ex post wymyśloną fantazją. Rewolucja dokonywała się w rzeczywistości w ten sposób, że odczytywano tylko rezygnację cesarza i proklamację nowej polskiej władzy: PKL.

Dnia 28 października bowiem zebrali się w Krakowie posłowie polscy i postanowili utworzyć POLSKĄ KOMISJĘ LIKWIDACYJNĄ, jako pierwszą niezależną władzę polską, uchwalając, że: "Ziemie polskie w obrębie monarchii austrio-węgierskiej należą już do państwa polskiego", oraz wyrażając przekonanie, że powinien być "do 10 tygodni zwołany... polski sejm konstytucyjny, na podstawach demokratycznych oparty...".

Do tej Komisji zostałem powołany również i ja - i jak na skrzydłach leciałem teraz do Krakowa, by rozpocząć tam nowy okres życia.

Rozdział VII

BUDOWANIE ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH I USTAWODAWSTWA ROBOTNICZEGO W POLSCE

W PKL miałem objąć razem z tow. Diamandem Departament Przemysłu i Górnictwa. W trakcie odnośnych przygotowań przybył do mnie jednak zaaferowany kierownik Departamentu Spraw Wewnętrznych, były poseł ludowiec, bardzo sympatyczny p. Lasocki, z którym później spotkaliśmy się jeszcze raz za czasów okupacji niemieckiej jako przedstawiciele w "Porozumieniu politycznym". Opowiedział o groźnych rozruchach antysemickich w Chrzanowskiem i prosił mnie, bym wyjechał do Sierszy, gdzie właśnie miały się rozpocząć rozruchy. Ponieważ z okręgiem tym miałem bardzo wyrobione stosunki jeszcze z czasu mego kandydowania, wyjechałem bezzwłocznie do Trzebini, a tam wsiadłem do czekającego na mnie powozu z huty cynkowej, zaprzęgniętego w parę pięknych koni. Z pagórka jednak zobaczyłem już dymy i usłyszałem krzyki i gwar ludzki, więc uświadomiwszy sobie, że - nim pisnę słowo - rozgorączkowani ludzie mogą napaść na mnie i na powóz i na konie, postanowiłem iść piechotą. O konie i powóz nie chodziło mi wcale, ale zależało mi na opanowaniu sytuacji. Idąc więc spokojnie, zaczepiłem kilku górników, a oni poznali mnie od razu. "O, to towarzysz Żuławski" - witali się ze mną i w chwili przyskoczyło do mnie kilku dawnych moich przyjaciół. W rozmowie zacząłem ich zawstydzać, jak mogli coś podobnego robić - i momentalnie sytuacja się zmieniła; ci sami ludzie którzy dopiero co rozgorączkowani sami palili i rabowali, teraz gasili ogień i wstawiali zrabowane graty żydowskie. Opowiadali mi oni, że przychodzą ustawicznie i podburzają naród do pogromów jacyś wysłannicy z Olkuskiego, którzy akurat w tej chwili są też w jakimś domu pod lasem. Wybrałem się tam więc z kilku towarzyszami i faktycznie chwyciłem tych agitatorów, którzy widząc zmienione nastroje miejscowej ludności - schowali do kieszeni swoje "spluwy" i poszli w stronę Kongresówki.

Po osiągnięciu tego pomyślnego rezultatu w Sierszy, niestety zaraz na drugi dzień okazało się, że powtórzyły się takie same rozruchy w Chrzanowie i tak samo p. Lasocki i Diamand uprosili mnie, bym - zatrzymując mandat w PKL objął równocześnie kierownictwo całego chrzanowskiego powiatu. Zdając sobie sprawę, że w tym momencie, na samym wstępie przejawiającej się niepodległości rozruchy antysemickie muszą kompromitować naród i samą ideę wolności, z bólem serca zgodziłem się na wyjazd i objąłem powiat licząc znowu głównie na swoją własną inwencję, bo przecież żadnej praktyki administracyjnej nigdy nie posiadałem i po prostu nawet dobrze nie wiedziałem, jak urzędować i siedzieć za biurkiem.

Jako zasadę postępowania z ludźmi postawiłem sobie, by wszystkim życie ułatwić, a nie utrudniać przez biurokratyczną formalistykę, i przez głupie "amcenie". Stosownie do tego zezwalałem też na wszystko, o co ludzie prosili i odmawiałem im dopiero wówczas, gdy kolidowało to z interesami ogólnymi lub z interesami innych. Przy tej metodzie pomału zacząłem też regulować stosunki po wsiach fabrycznych; przeprowadzałem wybory nowych zarządów gminnych; zobowiązywałem przedsiębiorstwa do zatrudnienia robotników; prowadziłem rewizje za zrabowanymi rzeczami; stwarzałem coraz większe poszanowanie prawa - i ponieważ trudno było nieraz ustalić właściciela zrabowanych rzeczy, magazynowałem je razem, by wydawać potem najbardziej potrzebującym. Dużą pomocą pod tym względem był dla mnie bogaty, kulturalny Żyd Löwenfeld, który ofiarnie kupował bieliznę i ubrania i oddawał mi je do dyspozycji, bym mógł rozszerzyć swoją akcję zapomogową, która wnet objęła cały powiat.

Ludzie chodzili do mnie jak na procesję: chłopi, robotnicy, przedsiębiorcy i Żydzi, a raz zjawił się nawet u mnie Kühresch, który swojego czasu tak zawzięcie zwalczał mnie podczas wyborów, kupując głosy i rozpijając chłopów,

za piwo i kiełbasę sprzedawali swe głosy na rzecz Zarańskiego. Teraz przybył, wystrojony jak na szabas, i oświadczył, że on się ubrał "świętalnie", by mnie w ten sposób uczcić i podziękować za moją sprawiedliwość. Największą pomoc w swej działalności znajdowałem jednak w samych zorganizowanych robotnikach, jak w maszyniście rafinerii nafty Grohsie, w maszyniście kopalni w Sierszy, Rejdychu, w górnikach: Chochalskim z Lgoty, Nowakowskim z Myślachowic i Bożku z Chełmka, w hutniku Adamczyku z Trzebini i w całym szeregu innych dzielnych i zasłużonych robotników, którzy potem za "sanacji" stali się przedmiotem specjalnych prześladowań dlatego tylko, że byli socjalistami i mymi osobistymi przyjaciółmi.

Natomiast ustawiczny kłopot miałem zawsze z Jaworznem. Raz rzucili się tam ludzie na zmagazynowane towary, które odebrałem z rabunków, a gdy na zgromadzeniu, przedstawiając szkodliwość tego rodzaju postępowania, doprowadziłem ich do tego, że publicznie przysięgli szanować zarządzenia władzy - to jednak zanim jeszcze dojechałem do Chrzanowa, rozgrabili wszystko na nowo - tak, że musiałem telefonicznie zarządzić aresztowanie sprawców i odprowadzenie ich do Chrzanowa. Pod wieczór żandarmii przyprowadzili 9 ludzi, wśród których był były sierżant policji, jakiś woźny, jakiś sklepikarz, dwie kobiety, dwóch chłopów okolicznych i dwóch robotników - w ogóle cała mieszanina, która wobec zarządzonych już "sądów doraźnych"stawała przed groźą kary śmierci za rabunek. Nie chcąc z jednej strony brać na swoje sumienie życia tych ludzi, a z drugiej strony nie mogąc tolerować tego rodzaju bezprawia, musiałem ich przetrzymać administracyjnie ponad określony termin, by w ten sposób nie podpadli pod sąd doraźny, lecz pod sąd zwyczajny.

To znowu zostałem zawiadomiony o jakichś awanturach w gwarectwie - z prośbą, bym niezwłocznie przybył do Krakowa. Przyjechawszy, zastałem tam dyrektora gwarectwa inż. Kowarzyka, który - trzęsąc się niemal na samo wspomnienie - opowiadał, jak przyszli do niego do kancelarii robotnicy w sprawach zarobkowych, a on - nie zdając sobie sprawy, dlaczego - podsunął się pod okno i wyskoczył przez nie na ogród. Naturalnie dopadnięto go, zrobił się zgiełk, a robotnicy osądzili go doraźnie na karę śmierci przez wrzucenie do szybu. W czasie długiej drogi wyrzucano mu wszystkie jego przewinienia;plwano na niego i rzucano błotem, a on szedł jak Chrystus na Golgotę, ale nie wierzył, by go chciano rzeczywiście uśmiercić. Przeląkł się dopiero naprawdę, gdy zobaczył, że żelazne zasuwy otwarto i gdy spojrzał w ciemną czeluść kilkuset metrów. Uratował go jeden z robotników, który - wspominając, że on też "przecież katolik" - radził, by zamiast kalać się jego krwią, lepiej go zaprzysiąc, że będzie teraz płacił uczciwie i nie będzie krzywdził.W dyskusji, toczącej się w tej kwestii nad otwartym szybem, zgodzono się wreszcie, by - trzymając jedną rękę na krucyfiksie - drugą napisał wysokość stawek, które będzie płacił. Posłano po krucyfiks, a Kowarzyk drżący, klęcząc pod przyniesionym krzyżem,przysięgał i pisał to, co mu podyktowano. Puszczono go wolno, a on przyjechał do Krakowa i teraz się pytał, co ma dalej robić. Pewno zdawało mu się to tylko,że do Jaworzna nie wróci już nigdy, tylko nie wiedział, jak ma wykonać zobowiązania, które zaprzysiągł, a które były wprost niemożliwe. Podjąłem się więc jechać sam do Jaworzna, by ten cyrograf odebrać.

Na zgromadzenie, które zwołałem tego samego dnia na wieczór, przyszli górnicy podnieceni, a ja - nie licząc się z ich psychicznym nastrojem - zreferowałem całą sprawę, żądając, by zobowiązania te mi zwrócili na rzecz nowych warunków, które ustali organizacja dla całego rewiru. Było to dla mnie najcięższe zgromadzenie, jakie odbyłem kiedykolwiek w życiu; późno po północy doprowadziłem wreszcie do tego, że robotnicy ogromną większością zaakceptowali moje propozycje i zwrócili mi pismo Kowarzyka, który zresztą za tydzień był już w Jaworznie z powrotem i pracował jeszcze długi czas zgodnie z tamtejszymi górnikami. Jeszcze raz w życiu przekonałem się, że demokracji i decyzji większości można zawsze zaufać, jeśli tylko mówi się do ludzi szczerze i otwarcie - i że siła indywidualna człowieka polega nie na dyktatorstwie nad większością lecz na zdolności zdobycia sobie tej większości na rzecz swojej własnej tezy o pojmowaniu słuszności.

Urzędując w starostwie chrzanowskim, przyjeżdżałem również na posiedzenia PKL i jako członek brałem udział w jej decyzjach. Poza tym jednak prowadziłem równocześnie akcję w kierunku stworzenia na terenie zachodniej Galicji i Śląska jednolitej naczelnej instancji, która by jako Komisja Zawodowa reprezentowała związki zawodowe. Po ukonstytuowaniu zostałem wybrany jej sekretarzem z tym, że w czasie mej nieobecności zastępować mnie będzie tow. Topinek. Wreszcie na nowo objąłem praktycznie prezesurę Kasy Chorych w Krakowie. Może być, że te wszystkie moje czynności nieraz formalnie ze sobą kolidowały, ale faktycznie nie mogłem rzucić żadnej z nich - ani związków, ani kasy, ani powiatu chrzanowskiego ani roboty politycznej w PKL. Zresztą to wszystko było tylko tymczasowe, bo z jednej strony nie miałem najmniejszej ochoty pozostać w administracji państwowej, a z drugiej - zdawałem sobie sprawę, że PKL musi złożyć władzę na rzecz nowego rządu ogólnopolskiego.

Rząd ten utworzony został najprzód w Lublinie pod przewodnictwem Daszyńskiego, a później powołany został przez Piłsudskiego, który na podstawie odnośnej decyzji Rady Regencyjnej objął władzę i powierzył ją p. Moraczewskiemu. Rozpisał on też od razu wybory, które się miały odbyć w pierwszych dniach stycznia 1919. Złożywszy więc funkcję komisarza PKL w Chrzanowie, zgłosiłem swoją kandydaturę na posła do Sejmu z listy socjalistycznej i rozpocząłem agitację na nią.

Między innymi przeciwko nam kandydował ks. Łobczowski, proboszcz z Rudawy, który stale uniemożliwiał nam odbycie tam zgromadzenia przez nasyłanie krzyczących i hałasujących chłopaków. By się tam dostać, jeden z towarzyszy, Mieczysław Dobrowski, raniutko zgłosił się jako przyjezdny i poprosił księdza, żeby mu pozwolił posłużyć sobie przy mszy świętej. Naturalnie ks. Łobczowski zgodził się chętnie, a gdy po sumie zobaczył na swym zgromadzeniu swego ministranta, zaprosił go na trybunę, serdecznie powitał i udzielił mu głosu przyklaskując jego słowom, które jednak zaczęły go coraz bardziej zastanawiać. Wreszcie - gdy usłyszał, że ten pobożny ministrant zaleca głosowanie na listę socjalistyczną - ksiądz oniemiał i dopiero wtedy spostrzegł, że stał się przedmiotem podejścia. Co prawda też "ministrant" w dwadzieścia przeszło lat później, użył tego samego tryku wobec mnie, starając się nadużyć mnie do "służby" na rzecz tez, które chciał mi podsunąć jako moje, choć wiedział, że są to tezy moich przeciwników politycznych. Charaktery ludzkie pozostają niezmienne bez względu na to, w jakich przejawiają się sytuacjach i barwach politycznych.

Przekonał mnie o tym zresztą wspomniany już powyżej górnik Chechelski, który - choć socjalista, jak wszyscy - stale chodził do kościoła. W czasie agitacji wyborczej księża prowadzili przeciwko nam zaciętą agitację - i próbował to robić również młody ksiądz, który przyjeżdżał z Trzebini, by odprawić nabożeństwo w kaplicy w Sierszy. Po nabożeństwie górnicy prosili go, by nie mówił do nich więcej o polityce, o wyborach i o organizacji, bo oni o tych wszystkich rzeczach mają już swój własny sąd i są sami socjalistami, a w kościele chcieliby się tylko pomodlić i wysłuchać słowa bożego. Mimo to na drugą niedzielę młody "duszpasterz", przygotowawszy się specjalnie, powtórzył swoją agitację z ambony - lecz wtedy Kuba Chechelski, wyciągając rękę do góry, donośnym głosem odezwał się: "Jak ksiądz skończy, to ja też poproszę o głos". Cała kaplica wybuchnęła śmiechem, a zdetonowany księżulko - nie wiedząc, co ze sobą zrobić - co tchu skończył swe kazanie i już nigdy nie pokazał się w Sierszy.

Okręg Chrzanów - Oświęcim, w którym przed paru laty pozbawiono mnie mandatu poselskiego przez ordynarne oszustwo, teraz z ogólnej liczby pięciu posłów, których miał wybrać, wybrał 3 socjalistów: mnie, Franciszka Rejdycha oraz importowanego ze Lwowa nauczyciela Smulikowskiego - i okazał się dla socjalizmu procentowo najlepszy z całego państwa.

W międzyczasie po operetkowym zamachu majora Januszajtisa i po ustąpieniu Moraczewskiego utworzył się rząd Paderewskiego, który - chcąc iść środkiem - st[illegible] się też wyrazem jak największej miernoty. Stosunki polityczne w państwie nie zachwycały mnie też wcale, a Warszawa zrobiła na mnie przygnębiające wrażenie. [illegible]skie, szare, nowoczesne miasto, pozbawione wielkich historycznych pomników i wspaniałych budowli - obszerne jednak, o szerokich ulicach, z którego niemal każde

kątka wyglądała nędza, brud i zaniedbanie. Ulokowano nas w gmachu Politechniki i tam zobaczyłem, do jakiego stopnia może się posunąć człowiek w swoim niechlujstwie. Odznaczało się nim specjalnie kilku wybranych posłów chłopskich, a zwłaszcza ks. Okoń, radykał, który w moich oczach zostanie zawsze uosobieniem brudu i nieczystości. Toteż szukałem sobie za wszelką cenę jakiegoś innego pomieszczenia i znalazłem je u rodziców młodej, rezolutnej dziewczyny Krzysi, która miała objąć posadę sekretarki naszego klubu poselskiego. Zainstalowałem się tam razem z nowowybranym posłem z Przemyśla, Łańcuckim, którego pamiętałem co prawda z nie najlepszej strony - bo jako tego, który rozbijał Centralny Związek Kolejarzy - ale łudziłem się, że miał on już czas się ustatkować. Gdy się zaś przekonałem, że mój kompan w dalszym ciągu chciał intrygować i rozsadzać klub i partię socjalistyczną, tylko teraz przy pomocy komunistów, zdemaskowawszy go, zerwałem z nim wszelkie stosunki, a jego miejsce w mieszkaniu państwa Bunków, u których potem przemieszkiwałem 10 lat, jako u dobrych, uprzejmych i dbałych gospodarzy, zajął dr Emil Bobrowski, z którym już raz mieszkałem jako trzynastoletni chłopiec.

Wtedy też zetknąłem się po raz pierwszy z towarzyszami i członkami klubu sejmowego, z którymi teraz miałem razem pracować. Ten klub był wówczas faktycznie przedstawicielstwem myśli socjalistycznej i skupiało się w nim niemal wszystko, co socjalizm wydał z siebie najlepszego. Był w nim Ignacy Daszyński, porywający mówca - i Herman Diamand, rubaszny może czasem, ale zawsze dobry i mądry, który nieraz przestrzegał towarzyszy, gdy lekkomyślnie obniżali powagę Sejmu awanturami, że rąbią gałąź, na której sami siedzą; świetny polemista i teoretyk dr Feliks Perl, redaktor "Robotnika"; zapalony obrońca wolności dr Lieberman; płomienny i gorący mówca, długoletni przewodniczący klubu Norbert Barlicki; poważny Moraczewski, który stale prowadził pertraktacje z rządem i z innymi stronnictwami i który gotów był zawsze okpić cały świat, by tylko zapewnić zwycięstwo myśli socjalistycznej; jowialny, dobroduszny dr Zygmunt Marek, świetny prawnik i mówca, którego kochali wszyscy; Bronisław Ziemięcki, rozważny znawca ustawodawstwa robotniczego; uczony Kazimierz Czapiński - i wreszcie młody, ale zdolny podrabinek socjalizmu, Mieczek Niedziałkowski. Patrzyłem na nich wszystkich z ogromnym szacunkiem i uznaniem - i wprost nawet na myśl nie przychodziło mi, by wpychać się pomiędzy nich na trybunę polityczną, pozostawiając dla siebie czarną robotę wśród samych robotników. Obok tych koryfeuszy w Klubie był jeszcze cały szereg miłych i zasłużonych działaczy z zaboru austriackiego, jak Artur Hausner, dr Kunicki, Tadeusz Reger, dr Emil Bobrowski - i cały szereg młodych posłów z Kongresówki, z maciejówkami na głowach, z których nie wywietrzała jeszcze rewolucja rosyjska - i cały szereg robotników ze wszystkich zaborów, spośród których żyłem się najlepiej z mym kolegą z okręgu: Franciszkiem Rejdychem, górnikiem z Sierszy, i Janem Durczakiem, ślusarzem ze Sporysza.

Poza tym zapoznałem się w Warszawie z towarzyszami z organizacji warszawskiej, których dotąd prawie zupełnie nie znałem, i nawiązałem kontakt z przedstawicielami ruchu zawodowego. W rozmowach i dyskusjach z nimi przekonałem się bardzo wnet, że jeżeli chodzi o organizację zawodową i o ustawodastwo robotnicze, to posiadałem co do tego znacznie więcej doświadczenia i teoretycznych wiadomości niż inni. Uświadomiłem też sobie wtedy zupełnie jasno swój cel i zadanie i z pełną świadomością dążyłem do ujęcia steru w budowaniu związków zawodowych i w budowaniu ustawodawstwa robotniczego w Polsce.

Rzuciłem się w tę robotę z całą pasją - tak, że nie miałem ani jednej wolnej chwili, by zająć się innymi zagadnieniami. Demokratyzację państwa chciałem osiągnąć przy pomocy silnych związków zawodowych, które by zapewniły klasie robotniczej odpowiedni udział w ogólnym dorobku i przy pomocy odpowiedniego ustawodawstwa robotniczego, które by podnosiło klasy wyzyskiwane na poziom życia zrównanych już politycznie obywateli polskich. Wpadłem w tę robotę po uszy - tak, że nie przywiązywałem specjalnej wagi ani do napadu Czechów na Cieszyńskie, ani do walk polsko-ukraińskich w Galicji Wschodniej, ani do zbrojnego zajęcia Wileńszczyzny i do rozpoczętej przez to wojny bolszewickiej. Traktowałem to wszystko jako incydenty lokalne, a Piłsudskiego jako człowieka, który - wpatrzony w militaryzm i w wojnę - szukał teraz sposobności samodzielnego wyżycia się wojennego. Rozumiałem, że te wszystkie konflikty państwowe i narodowościowe mogą być

rozwiązane znacznie lepiej przez pertraktacje obu zainteresowanych stron niż przez wojnę, która nigdy nie stwarza trwałości rozwiązania danego zagadnienia siłą militarną.

Te walki, to pobrzękiwanie orężem i ta wojna - wszystko to było dalekie, a tu blisko wali się na mnie istny ogrom pracy. W Kongresówce i w Poznańskiem trzeba było zaczynać niemal od początku i nieraz nie wiedziałem, od czego mam zacząć. To, co istniało bowiem, tchnęło takim bałaganem, że się zdawało, iż nie ma z niego wyjścia. Każda partia polityczna chciała mieć własne związki zawodowe jako swe "partyjne przybudówki": więc PPS tworzyła własne, powierzając ich kierownictwo tow. Arciszewskiemu i młodziutkiemu Zdanowskiemu; komuniści, hasając w "Radach delegatów robotniczych" i propagując zasadę "dyktatury proletariatu" zakładali własne chcąc robić z nich organy podporządkowane "Radom delegatów"; "Bund" budował odrębne związki żydowskie, - a poza tym były osobno związki prowincjonalne dla Galicji i Śląska, które zjednoczyły się w jednej Komisji Zawodowej w Krakowie; odrębne związki poznańskie jako filie związków niemieckich; odrębne związki na Górnym Śląsku o trzech kierunkach: niemieckie, polsko-socjalistyczne i polsko-narodowe - i odrębne związki dla poszczególnych zawodów, zwłaszcza Kolejarzy i Rolnych, które chciały też prowadzić własną politykę robotniczą. Zacząłem z nimi wszystkimi mówić z osobna, przedstawiając konieczność stworzenia wspólnej centrali zawodowej, która by ujęła całą tę mozaikę i która by się stała jedyną, uznaną przez wszystkich, kierowniczką całej roboty zawodowej. Bez większego trudu osiągnąłem też zgodę ze strony Komisji Zawodowej w Krakowie na jej podporządkowanie się wspólnej Komisji Centralnej w Warszawie, która wybrała mnie potem swoim przewodniczącym. Po długich mozolnych posiedzeniach udało mi się wreszcie ustalić "wspólną platformę", która się miała stać podstawą zjednoczenia się ze związkami komunistycznymi. Wciągnąłem do wspólnej Komisji przedstawicieli Poznańskiego, gdzie filie niemieckie skupiły się w odrębną organizację "Wolnych Związków Zawodowych" z siedzibą w Bydgoszczy, a w końcu przekonałem Związek Rolnych, by również do Komisji przystąpił.

Bezsprzecznie były to już duże kroki w kierunku ujednostajnienia ruchu, chociaż wszystko to było jeszcze płynne i chwiejne, począwszy od Komisji Centralnej, dalekiej od tego, by móc jednolicie kierować i wytyczać drogi rozwojowe związkom - aż do związków, które - słabiutkie - słabość swą chciały pokrywać podawaniem coraz bardziej fantastycznych cyfr zorganizowanych członków i które - niezdolne do pokrycia nawet najbardziej prymitywnych wspólnych swoich potrzeb - chciały utrzymywać tylko "kontakty" z Komisją Centralną. Naturalnie to wszystko - i Komisja i Związki - było "rewolucyjne", chociaż nikt z nas nie chciał sobie zdawać sprawy z tego, że pojęcie "rewolucyjności" a pojęcie postępu i wolności to nie są pojęcia identyczne. Rewolucja bowiem może iść w kierunku wolności i postępu wtedy, gdy stwarza rządy większości, ale może też iść w kierunku reakcji i gwałtu, gdy chce stworzyć siłą rządy mniejszości nad większością, a więc taką czy inną dyktaturę. W imię swej "rewolucyjności" Komisja Centralna nie nawiązała też żadnej łączności z odbudowującą się Międzynarodówką zawodową, która właśnie odbyła pierwszy swój kongres w Amsterdamie, i odrzuciła współpracę z Międzynarodowym Biurem Pracy w Genewie, które tymczasem zwołało pierwszą międzynarodową konferencję w Nowym Jorku, by ustalić tekst konwencji o 8 godzinnym dniu pracy. Jakkolwiek z całą tą polityką nie mogłem się zgodzić i niejednokrotnie przeciwko niej protestowałem to jednak - przegłosowany - ustępowałem wobec większości - i nie schodząc ze stanowiska przewodniczącego, brałem współodpowiedzialność za te wszystkie szaleństwa, zdając sobie sprawę, że jutro czy pojutrze zdołam je odwrócić, gdy tylko na najbliższym kongresie zjawi się prawdziwa wola zorganizowanych członków związków.

Pracując w ten sposób na terenie organizacji zawodowej, równocześnie miałem w Sejmie dwie bardzo odpowiedzialne roboty ustawodawcze: referowałem ustawę o czasie pracy w przemyśle i handlu i brałem udział w "podkomisji trzech" nad nową ustawą ubezpieczeniową na wypadek choroby. Z okazji zatwierdzenia przez Sejm dekretów, które - wydawane przez rząd Moraczewskiego nieraz bez przemyślenia i w pośpiechu - często przez długie lata stwarzały potem przeszkodę do parlamentarnego załatwienia odnośnych zagadnień jak to się stało np. z ustawą

o wolności prasy czy z ustawą o wolności koalicji i stowarzyszania się, od razu wniosłem nowy, gruntownie opracowany projekt ustawy o czasie pracy. Projekt ten ustalał dla wszystkich pracowników najemnych 46 godzin pracy na tydzień z tym, że praca dzienna nie powinna przekraczać 8 godzin na dobę. Mimo ciężkiej choroby, która przerwała moją pracę na przeciąg dwóch miesięcy, z projektem swym byłem już gotów przed Bożym Narodzeniem - i chciałem, by łącznie z ustawą o reformie rolnej był on podarkiem gwiazdkowym dla klas pracujących w Polsce. Niestety, na plenum obalili mój projekt ludowcy, których przedstawiciel, reakcyjny staruszek Średniawski z Myślenic, dodał do niego tylko "niewinny" dodatek opiewający, że te wszystkie normy nie obowiązują tych, którzy "chcą" pracować dłużej. Trzeba było ostrej walki, która skończyła się wreszcie jakimś ustępstwem na rzecz drobnego, przemysłu po małych miasteczkach, związanego z rolnictwem - i dopiero ten kompromis uratował całą ustawę, która mimo to okazała się potem jedną z najlepszych, które ten problem na świecie w ogóle załatwiały.

Drugą pracą ustawodawczą, która mnie pochłaniała, było przygotowywanie nowej ustawy ubezpieczeniowej na wypadek choroby. Referował ją niejaki poseł Waszkiewicz z klubu Narodowej Partii Robotniczej, lecz z jednej strony na skutek mej znajomości przedmiotu, a z drugiej - na skutek energii i tupetu przeprowadziłem prawie wszystkie swoje zasady - tak, że ustawa ta stała się wzororowa. Wprowadzała powszechny obowiązek ubezpieczenia dla wszystkich pracowników, bez względu na kategorię i pełny ich samorząd; zapewniała im i ich rodzinom duże świadczenia, stwarzała możność rozszerzania ich ponad ustaloną granicę, wreszcie przewidywała tylko jedną instytucję ubezpieczeniową na danym terytorium, zapewniając jej odpowiednie podstawy finansowe. Ubezpieczenie to mogło się też stać podstawą całego gmachu ubezpieczeń społecznych, gdyby nie późniejsza akcja "sanacyjna", która je z czysto politycznych względów zupełnie spaczyła.

Prace organizacyjne nad budową związków zawodowych posunąłem w ciągu niespełna dwóch lat naprzód tak dalece, że już na wiosnę mogłem zwołać I Kongres, który też odbył się w roku 1920 w Warszawie. Wytrząsał on swe rezolucje jak z rękawa. Oprócz tych, które ustalały "cele i taktykę" związków, ich "formy organizacyjne" oraz żądania co do "ustawodawstwa robotniczego" - była ich jeszcze cała masa: o stanie przemysłu, o klasie robotniczej, o stosunku ruchu zawodowego do ruchu politycznego, o ruchu spółdzielczym, o Radach delegatów robotniczych, o organizacjach żółtych i zwłaszcza delegaci komunistyczni prześcigali się w używaniu jak najostrzejszych słów, by "potępić kierunek polityki rządu burżuazyjnego" przedsiębiorców i organizacje żółte. Ja - licząc się z nastrojami danej chwili - godziłem się też na wszelkie kompromisy, byle tylko uratować samą zasadę - i nieraz z ciężkim sercem godziłem się na frazesy i ogólniki, jakkolwiek wiedziałem, że zawierają one tylko puste słowa lub wodę. Natomiast z całą stanowczością zwalczałem każdą tezę, która by mogła odprowadzać związki od tej linii rozwojowej, jaką sobie wytyczyłem. Rozumiałem bowiem wówczas - i do dziś dnia nie zmieniłem pod tym względem swego przeświadczenia - że każdy kompromis, bez względu na poczynione ustępstwa, jest dobry, jeśli tylko zbliża mnie do celu - i na odwrót, każdy jest zły, jeśli choćby najmniej odprowadza mnie od raz obranego kierunku. Dlatego też - godząc się na "rewolucyjne frazesy" i wodę - przeciwstawiałem się wszelkim pomysłom uzależnienia związków od "Rad delegatów robotniczych", oświadczając, że "to przeczyłoby naszemu zmysłowi organizacyjnemu. Nie masa niezorganizowana, wśród której tyle jest nieraz głupoty i demoralizacji, ma decydować - nie iluzje 'Rad delegatów robotniczych', lecz organizacja ludzi świadomych i czynnych. Związki zawodowe nie mogą być podporządkowane ciemnej niezorganizowanej masie, lecz tylko uchwałom własnych ich instancyj". Mimo krzyków, że lekceważę "masy", zwyciężyłem jednak i Kongres wyraził przekonanie, że związki zawodowe, stanowiąc tylko "część ogólnego ruchu robotniczego", muszą być jednak zupełnie "samodzielne i organizacyjnie niezależne".

Równocześnie sam wysunąłem trzy zasadnicze, rezolucje, które też zostały uchwalone. Pierwsza z nich ustalała, że "najpierwszy i jedyny cel Związków to

przygotowanie klasy robotniczej do stoczenia walki - o nowy porządek społeczny", że zadaniem związków jest "podnoszenie klasy robotniczej na możliwie wysoki poziom pod względem kulturalnym i ekonomicznym" i że cele te związki mogą osiągnąć jedynie "na drodze walki", którą mogą przeprowadzić tylko przy "bezwzględnej wolności słowa, wolności stowarzyszenia i wolności strajku". Druga rezolucja określała "formy organizacyjne", przewidując "centralne związki ogólnopaństwowe, obejmujące wszystkich robotników danej gałęzi przemysłu w całym państwie, bez względu na ich narodowość, wyznanie, przynależność partyjną, zawód i stopień kwalifikacji", zjednoczone we wspólnym "Związku Stowarzyszeń Zawodowych w Polsce", kierowanym przez "Centralną Komisję Związków Zawodowych". Trzecia wreszcie domagała się jak najdalej idącej ustawowej ochrony pracy i ubezpieczeń na wszelkie wypadki niemożności pracy, wyrażając przekonanie, że odnośne ustawy powinny przede wszystkim "utrwalać w drodze ustawodawczej wszystkie osiągnięte już przez walkę zawodową zdobycze" robotnicze. Idąc po linii wyrażonych wyżej zasad, starałem się też o to, by w Komisji Centralnej znaleźli się przedstawiciele wszystkich kierunków, nurtujących wśród zorganizowanych związków, wierząc w ich zdrowy instynkt społeczny i zdolność oceny własnego ich interesu.

Zaraz po Kongresie odpadła od Polski, na podstawie rozstrzygnięcia arbitrażowego, część Śląska Cieszyńskiego, a wraz z tym część najlepiej zorganizowanych i wyszkolonych zawodowo robotników. Potem zaś następowały już błyskawicznie wypadki polityczne, które mogły zmiażdżyć młodą organizację zawodową. Odbyty kongres PPS powziął w imię "rewolucyjności" uchwałę, uniemożliwiającą udział socjalistów w rządzie, co o mało nie pociągnęło za sobą rozłamu całej partii. Dopiero na skutek mego pośrednictwa pomiędzy obiema orientacjami udało się doprowadzić do jakiegoś kompromisu, który w następstwie umożliwił też potem udział Daszyńskiego w rządzie obrony narodowej.

Piłsudski bowiem zajmował coraz dalsze obszary wschodnie, zajmując Wołyń, Polesie i Kijów, a ja - chociaż nie znałem tych terenów - miałem duże zastrzeżenie co do słuszności tej polityki wyzwolenia narodów wbrew ich woli przy pomocy jedynie siły militarnej. Kiedy też Klub nasz witał Piłsudskiego jako "zwycięskiego wodza", składając mu hołdy, nie mogłem się przemóc i na uroczystość tę nie poszedłem. Bardzo wnet jednak okres triumfu zmienił się w okres trwogi. Zwycięskie wojska polskie zaczęły się cofać aż po Mazowsze, a rząd za zgodą naczelnika państwa podpisał zobowiązania w Spa, wedle których Polska miała się zgodzić na granice odpowiadające jej etnograficznemu rozsiedleniu. W zamian za to Liga Narodów gwarantowała jej nienaruszalność i gotowość podjęcia kroków mediacyjnych co do zaprzestania dalszej wojny ze strony Sowietów.

One jednak mimo to szły naprzód i stanęły niemal pod samą Warszawą. W tym ciężkim momencie społeczeństwo i Sejm zrozumiały, że muszą zespolić wszystkie swoje siły i - zawieszając na chwilę walkę ideologiczną o poszczególne programy - utworzyły koalicję i wspólny rząd koalicyjny. Prezydium jego objął Wincenty Witos jako przedstawiciel chłopów i Daszyński jako przedstawiciel robotników - i wszyscy zgodnie stanęli do obrony zagrożonego państwa. I wówczas to może najjaskrawiej przejawił się stosunek poszczególnych grup i klas do Polski: kiedy ku frontowi płynęły ustawicznie szare półbose masy chłopskie i robotnicze, by bronić zagrożonego państwa, to równocześnie od frontu - na zachód - szła druga fala ludzka: tych, którzy myśleli tylko, by ocalić siebie i swoje majątki. Przez cały czas pozostawałem w Warszawie i - choć inwalida - zgłosiłem się do wojska, a ponieważ nie pociągnięto mnie do służby, pracowałem w dalszym ciągu w Komisji Centralnej Związków Zawodowych.

Ona też zatrzęsła się w swoich podstawach. Z 12 jej członków siedmiu złożyło swoje mandaty, motywując to albo "jednostronnością" wybranych członków albo "bezskutecznością wysiłku, by postawić ją na wysokości zadania", jakkolwiek upłynęło dopiero kilka tygodni od jej ukonstytuowania się, albo tym wreszcie, że "poparła ona rząd koalicyjny", który bronił niepodległości państwa. W tej sytuacji Komisja Centralna na mój wniosek powzięła też dnia 4 sierpnia uchwałę, stwierdzającą, że "jako zorganizowani zawodowo robotnicy stoimy przed grożącym nam niebezpieczeństwem rozbicia przez najeźdźcę naszych wypróbowanych w walce

organizacyj zawodowych. Rozumiemy, że w takiej chwili tylko rząd robotniczo-chłopski, oparty o szerokie zaufanie ludu pracującego, przedsięwziąć może obronę zagrożonych granic i wyprowadzić nas z położenia, w którym znaleźliśmy się dzięki polityce dotychczasowych rządów stronnictw burżuazyjnych. Za taki rząd obecnego rządu koalicyjnego uważać nie możemy. Mimo to jednak, nie ustając w dążeniu do objęcia władzy państwowej przez klasy pracujące wsi i miasta, uważamy, że w obecnej chwili nie możemy przedsięwziąć niczego, co by utrudniało spełnienie zadań obrony i zawarcia pokoju, które rząd obecny wziął na siebie. Przeciwnie - wytężyć musimy wszystkie siły, by obronę swego niepodległego bytu i prawa urządzenia się na wewnątrz wedle naszej woli zrobić najskuteczniejszą". Stosownie do tego Komisja wezwała "ogół robotników do bezwzględnego spełnienia obowiązków obrony państwa", - a tam, "gdzie stanie stopa najeźdźcy - do bezwzględnego wytrwania na stanowisku".

Nie zrażając się stawianymi mi rozmyślnie trudnościami, z całym spokojem stosownie do postanowień statutu, uchwalonego przez ostatni kongres, pociągałem coraz to nowych następców - tak, że Komisja uratowała swe życie i funkcjonowała przez cały czas aż do najbliższego zjazdu. I nieraz, kiedy myślałem potem nad taktyką tych, którzy w tym okresie chcieli Komisję Centralną unieruchomić przez swoje "zrzeczenie się", nie mogłem zrozumieć, dlaczego - mając większość 7 na 12 - nie wykorzystali jej w kierunku przeprowadzenia swoich własnych tez, lecz poszli drogą abstynencji i bojkotu, zostawiając nam wolne pole działania.

Po przetrwaniu kilku ciężkich tygodni wojennych Polska odparła inwazję i zawarła rozejm z Sowietami: Komisja Centralna stężała i - nabierając sił - stawała się instytucją, z którą trzeba się było liczyć coraz poważniej, ja zaś starałem się teraz nawiązać stosunki z Międzynarodówką Zawodową.

W listopadzie zwołany został nadzwyczajny Międzynarodowy Kongres Związków Zawodowych do Londynu, więc razem z przedstawicielem Centralnego Związku Zawodowego w Katowicach tow. Adamkiem i ze starym Dębskim, który miał ułatwiać porozumienie, wybrałem się tam, by zgłosić nasze przystąpienie do Międzynarodówki. W Londynie zastałem jednak już silną reprezentację Polskiego Zjednoczenia Zawodowego pod przewodnictwem p. Simona, późniejszego wiceministra pracy, i p. Bernatowicza, który na skutek naszego bojkotu Międzynarodowego Biura Pracy reprezentował polski ruch zawodowy na odnośnej konferencji w Nowym Jorku i który przy tej sposobności nawiązał stosunki z przedstawicielami związków innych krajów. I my i oni staraliśmy się więc jednakowo o przyjęcie do Międzynarodówki, ale ze względu na jej statut, który przepisywał, że każdy kraj może być reprezentowany tylko przez jedną organizację zawodową, mógł być przyjęty tylko albo Związek Stowarzyszeń Zawodowych w Polsce albo Polskie Zjednoczenie Zawodowe. Byłem w sytuacji bardzo trudnej i zwycięstwo ułatwiła mi dopiero moja dawna znajomość z Huberem i z Legienem. Po ustaleniu charakteru "Zjednoczenia" przyjęta została do Międzynarodówki nasza organizacja i - już jako jej członek - współdecydowałem o uchwałach Kongresu. Wtedy też poznałem po raz pierwszy Leona Jouhaux, sekretarza związków francuskich i późniejszego długoletniego wiceprzewodniczącego Międzynarodówki oraz jego sekretarza Edona Fimmena, z którym związały mnie potem więzi serdecznej przyjaźni. Po kilkudniowym pobycie w Londynie, który mnie oczarował swoją spokojną powagą, wróciłem przez Paryż do Warszawy.

Tam jednak "Zjednoczeniowcy", by zemścić się za porażkę uknuli wersję, że w Londynie głosowałem za podziękowaniem tym, którzy "wykonywali bojkot Polski". A przecież w rzeczywistości odnośna rezolucja wyrażała jedynie "sympatię wszystkim tym, którzy w rozmaitych krajach musieli znosić cierpienia", "dziękowała robotnikom, którzy spełnili swój międzynarodowy obowiązek w walce przeciwko białemu terrorowi na Węgrzech oraz w akcji, mającej na celu przeszkodzenie transportowania materiałów wojennych dla kontrrewolucyjnych armii", wreszcie "protestowała przeciwko ekonomicznej i militarnej wojnie, którą ciągle prowadzi się przeciwko Rosji. Za tą rezolucją mogłem więc głosować z czystym sumieniem tym bardziej, że Kongres, potępiając walkę "kontrrewolucyjnych armii" przeciwko Rosji, równocześnie potępił wszelkie przedsięwzięcia wojenne, mające na celu

narzucenie ludom bez ich woli nowych form politycznych lub ekonomicznych".Ci więc, którzy na skutek mego głosowania za tą rezolucją starali się zarzucać "zdradę interesów politycznych", czy mnie czy Komisji Centralnej, musieliby stanąć na stanowisku, że ówczesna walka nasza przeciwko Sowietom była faktycznie "kontrrewolucyjna", podczas gdy my uważaliśmy ją tylko za obronę swej własnej niepodległości.

Kiedy więc tak mieszczańskie sfery "narodowo" krzyczały, że sprzedałem się sowietom, to z drugiej strony taki sam krzyk oburzenia podnosili komuniści, wyjąc, że "sprzedałem się polskiej burżuazji". Mimo, że Komisja Centralna w myśl uchwalonej rezolucji opiewającej, że Związki udzielą "poparcia w walce każdej partii politycznej zmierzającej do rozluźnienia więzów politycznych", starała się utrzymać ze wszystkimi robotniczymi partiami politycznymi, stojącymi na stanowisku klasowym - a więc i z partią komunistyczną - jak najlepsze bratnie stosunki, to jednak komuniści przez wydanie szeregu odezw i broszur zaatakowali związki, nie bacząc, że miały być drugą "bratnią" stroną. Nazywali je "zdradzieckimi" i podkopywali w ten sposób w szerokich masach zaufanie do nich,chociaż odpowiadały one za swą politykę nie przed poszczególnymi partiami politycznymi, lecz jedynie przed swymi własnymi członkami i przed ich Kongresem. W myśl recepty, zawartej w tzw. "21 warunkach moskiewskich", by "w łonie organizacyj zawodowych i kooperatystycznych tworzyć podporządkowane całkowicie Partii komórki komunistyczne, których obowiązkiem jest w codziennej akcji demaskować zdrady socjal-patriotów i niezdecydowanie centrowców" - partia komunistyczna zaczęła teraz wydawać własne "organy zawodowe", zwłaszcza dla robotników rolnych i kolejarzy - i starała się potworzyć wszędzie "czerwone frakcje", mające rozsadzać organizacje od wewnątrz. Opanowane w ten sposób niektóre związki - jak np. budowlanych czy szklarzy - wzywała wprost do "przeciwdziałania machinacjom dzisiejszych kierowników Komisji Centralnej". Ten atak na związki podjęty został zresztą w skali międzynarodowej i już przed międzynarodowym kongresem w Londynie komuniści wydali "list otwarty", w którym nazwali wszystkie zjednoczone związki "żółtymi" i wypowiedzieli im walkę, mówiąc: "będziecie mieli wojnę, robotnicy nie mają w niej nic do stracenia prócz was". Potoczyła się więc na terenie Związków zacięta walka, w której komuniści propagowali zasadę "dyktatury proletariatu" i ośmieszali demokrację, a socjaliści, stojąc na stanowisku demokracji, zwalczali każdą dyktaturę - i z prawa i z lewa.

W takich warunkach zaproponowałem też zerwanie wszelkich stosunków z "Komunistyczną Partią Polski", a plenum Komisji Centralnej dnia 26 kwietnia 1921, akceptując mój wniosek, uchwaliło "przeciwdziałać jej akcji na terenie zawodowym jako szkodliwej dla proletariatu i wrogiej jego dążeniom do wytworzenia wielkiej i zwartej organizacji zawodowej". Komisja Centralna, stojąc nadal na zasadniczym stanowisku bezpartyjności, nie mogła zamykać oczu na fakt, że funkcjonariusze zawodowi, będący członkami Partii Komunistycznej w Polsce, coraz częściej stają w kolizji wobec odmiennych dążności i uchwał ciał zawodowych a swych instancyj partyjnych, które domagają się od nich prowadzenia wewnątrz organizacji zawodowej akcji rozbijania związków i osłabienia ich zwartości wewnętrznej". Zgodnie z tym Komisja Centralna "zwróciła uwagę wszystkich związków na grożące im skutkiem tego niebezpieczeństwa" i wezwała je "do wydania zarządzeń, uniemożliwiających rozbijanie organizacji przez tych, którzy powołani są do jej budowania.

W międzyczasie został wreszcie zawarty w Rydze pokój z Sowietami. Pamiętam rozmowy na ten temat z Norbertem Barlickim, z którym żyłem w serdecznej przyjaźni. Jako jeden z delegatów, prowadzących rokowania pokojowe, skarżył się ustawicznie, że na każdym kroku natrafiał na coraz to nowe trudności, stawiane delegacji ze strony Piłsudskiego. Opowiadał mi o tym zresztą również i Radek - Karol Sobelsohn, mój dawny przyjaciel, który w czasie pertraktacji ryskiej należał do składu delegacji sowieckiej i którego spotkałem z okazji jego przejazdu przez Warszawę. Byliśmy już w dwóch wrogich obozach, a jednak - gdy się dowiedział, że jestem w Warszawie, chciał się ze mną koniecznie zobaczyć.Chociaż więc - jak powiedział do mnie - przestrzegali go przed mną jego właśni towarzysze, poszedł do mnie, twierdząc, że zna mnie przecież lepiej, niż oni

wszyscy razem. Po przyjacielskiej rozmowie o Rydze i o stosunkach w Sowietach na pożegnanie napisał do mnie serdeczny list czerwonym atramentem, tłumacząc się, że "atrament czerwony wybrany nie dla drażnienia Was, ale dlatego, że nie mam innego pod ręką". A potem spotkałem go jeszcze raz - znowu 10 lat później, na jakimś podwieczorku w poselstwie sowieckim, kiedy wysławiał mądrość Stalina. Gdym mu zaś zwrócił uwagę, że tak niedawno jeszcze krytykował go i zwalczał, odpowiedział: "Nie miałem racji. Rację miał Stalin, bo on zwyciężył". Nie przewidywał, że ten zwycięski Stalin zasądzi go potem na 8 lat katorgi za zdradę ideałów komunistycznych.

Po utrwaleniu pokoju pomiędzy Polską a Sowietami, zbliżaliśmy się teraz powoli do zakończenia prac Sejmu nad uchwaleniem konstytucji państwa. Nasz klub przez cały czas prowadził zaciętą walkę o to, by konstytucja była jak najbardziej demokratyczna - i w imię tego, posuwając się aż do technicznej obstrukcji, zwalczał wszelkie pomysły co do wprowadzenia senatu. Toteż - nie osiągnąwszy tego, nasz klub głosował przeciwko konstytucji, poza dwoma jego członkami: mym kolegą z okręgu, Smulikowskim i żoną byłego premiera Moraczewskiego, którzy oboje wyłamali się spod solidarności klubowej i ostentacyjnie głosowali za nią. Oboje oni też wyłamali się potem spod solidarności z całą partią, opuszczając ją, by móc stanąć po stronie Piłsudskiego i wspólnie z nim walczyć tym razem przeciwko tej samej konstytucji, której wówczas bronili, a którą Piłsudski teraz tak bezwzględnie poniewierał i nazywał "prostytutą".

Zostały więc definitywnie załatwione już przez Sejm kwestie pokoju i konstytucji, lecz nie zostały jeszcze załatwione: litewska i śląska. Wprawdzie wybrany w kilku powiatach "Litwy Środkowej" Sejm zdeklarował przyłączenie się do Rzeczypospolitej Polskiej, lecz było to raczej załatwienie formalne, a nie istotne - i kwestia litewska jątrzyła sobą w dalszym ciągu i ludność miejscową i zagranicę. W tej kwestii też Komisja Centralna, na mój wniosek, uchwaliła polecić wszystkim związkom, by "nie rozpoczynały na Litwie Środkowej oddzielnej działalności zanim stosunek Litwy Środkowej do państwa polskiego nie zostanie uregulowany i zanim instancje centralne w sprawie połączenia nie osiągną porozumienia".

W znacznie ostrzejszej formie natomiast wyłoniła się kwestia Śląska. Zgodnie z przyjętą przez obie strony propozycją Międzynarodówki, by wysłać komisję dla zbadania stosunków na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Ruhry, zebrała się w pierwszych dniach marca 1921 odnośna komisja we Wrocławiu, w której Polskę reprezentowałem ja i tow. Teller, a Niemcy - były minister Rzeszy Wiesel i sekretarz związków wrocławskich Kohl. Na skutek trudności, stawianych przez władze plebiscytowe, Komisja musiała jednak wrócić, nie osiągnąwszy niczego i my - pożegnawszy się z Wieslem, który wysiadł na "Schlesiescher Bahnhof", wysiadaliśmy na dworcu "Fredrichstrasse". W wagonie zostawił jednak swą teczkę z aktami tow. Teller i kiedy wrócił po nią, zobaczył ją już w rękach funkcjonariusza policji, który mu oświadczył, że go aresztuje. Skonstatowawszy pewną łączność pomiędzy nami, aresztował wszystkich członków Komisji i wezwawszy oddział policyjny, po zrewidowaniu nas, odwiózł w więziennej karetce do dyrekcji policji przy "Aleksanderplatz". Nie pomagały żadne tłumaczenia; traktowano nas jak zbrodniarzy i wepchnięto do jakiejś zimnej hali bez stołków i ławek, po której chodziliśmy wściekli od końca do końca. Jouhaux szalał; przedstawiciele związków angielskich, staruszek Poulton z flegmą chodził i powtarzał: "jestem niesłychanie rad, żem zobaczył, jak wygląda w praktyce demokracja niemiecka", a Fimmen ustawicznie domagał się tylko połączenia go z Wieslem. Wreszcie dostał je nad ranem i teraz dla odmiany Wiesel zaczął rozpaczać. Momentalnie brutalny niemiecki komisarz policji zrobił się słodki jak cukierek; odwieziono nas do zamówionego hotelu; przepraszano, a już około 8-ej zjawił się Wiesel, wyrażając żal i przepraszając za cały incydent. Lecz Fimmen żądał przeprosin oficjalnych. I ja i inni delegaci mieliśmy jednak tego wszystkiego dość, toteż powyjeżdżaliśmy co tchu do domów, ale Fimmen został, prowadząc dalej proces o formę przeprosin, którą wreszcie jakoś ustalił.

Sama sprawa śląska stała się jednak na nowo przedmiotem obrad Międzynarodówki, ~~gdy wybuchło powstanie śląskie.~~ W Amsterdamie delegat niemiecki

Leipart, który po zmarłym Legionie objął teraz przewodnictwo Ogólnego Związku Zawodowego w Niemczech, powtarzając rozsiewane tak skwapliwie wieści po całej Europie o "niesłychanych okrucieństwach i terrorze", uprawianym przez Polaków wobec robotników niemieckich - i powołując się na Cyrkularze, rozesłane przez "Zjednoczenie Zawodowe Polskie", grożące represjami robotnikom niemieckim i tym polskim, którzy mieli się dopuścić zdrady interesów polskich na Górnym Śląsku - domagał się, by Międzynarodówka Zawodowa stanęła w obronie niemieckich robotników i wyraziła "potępienie dla tych wszystkich, którzy cele swe chcą osiągnąć przez stosowanie przemocy i gwałtu". Ja - przedstawiwszy faktyczny stan rzeczy - oświadczałem, że też daleki jestem od chęci usprawiedliwiania aktów gwałtu i terroru, o ile miały one faktycznie miejsce, i w powstaniu nie widziałem najodpowiedniejszego i najskuteczniejszego kroku politycznego, ale uważałem, że trzeba je rozumieć jako akt rozpaczy polskiego proletariatu wobec ujawnionych chęci zachodnich kapitalistów frymarczenia interesami i wolnością polskiego górnika. Skargi niemieckie o stosowanie terroru wyłącznie przez Polaków przedstawiłem jako jednostronne i nieuzasadnione - zwłaszcza, gdy się uwzględni, że przecież do ostatnich czasów cała władza, administracja i zarząd przedsiębiorstw były w rękach niemieckich, które - mając siłę - raczej mogły stosować terror, a nie polscy robotnicy. Zresztą - wywodziłem dalej - obecny stan rzeczy jest tylko wynikiem długoletniego bezwzględnego postępowania Niemców wobec polskiego proletariatu, wśród którego właśnie pod opieką towarzyszy niemieckich zakorzenił się ruch nacjonalistyczny i klerykalny. Sprzeciwiłem się więc bezwzględnie potępieniu w jakiejkolwiek formie postępowania proletariatu polskiego, godząc się jednocześnie, by Międzynarodówka przez bezpośrednie zetknięcie się z robotnikami i dopiero po wysłuchaniu ich argumentów - wydała swe orzeczenie.

Moja teza zwyciężyła i w drugiej połowie kwietnia 1921 wyjechała delegacja, w której wzięli udział: Jouhaux, Fimmen, Belgijczyk Thomas, Holender Oldenbreck, Niemiec Kohl z Wrocławia i ja. We Wrocławiu zabawiliśmy dwa dni i zwiedziliśmy tam stare ciekawe polskie zabytki piastowskie, ale poza tym widzieliśmy już tylko panującą niemczyznę. To samo zresztą uderzyło mnie w Opolu i w Gliwicach - i wszędzie spotykaliśmy się tylko z niemieckimi robotnikami lub niemieckimi przedsiębiorcami. Przepuszczano nas przez kordon lecz wrażenia nasze nie zmieniły się prawie zupełnie w Bytomiu czy w Katowicach. Sklepy były niemieckie, restauracje niemieckie, kolejarze niemieccy; robotnicy, którzy na naszą cześć urządzili specjalne przyjęcie - niemieccy, tak, że były chwile, że byłem poważnie przerażony wrażeniem, jakie każdy z delegatów musiał odnieść, stykając się praktycznie z tym terenem. I dopiero jeden z towarzyszy miejscowych, kiedy podzieliłem się z nim swymi obawami, poradził mi, by zwołać wielkie zgromadzenie robotnicze, na którym by delegacja - poza nalotami niemieckimi - mogła zetknąć się z szarą masą robotniczą, której nie widać na oko ani na ulicach, ani w sklepach. Projekt mój został zaakceptowany i na drugi dzień mieliśmy jechać na zgromadzenie do Giszowca.

Już od przedmieść Katowic zaczęły się okazywać chorągiewki o barwach polskich i liczba ich rosła coraz bardziej - tak, że gdyśmy dojechali do kolonii robotniczej, widać było już tylko wyłącznie biało-czerwone kolory. W sali zbornej i naokoło kopalni skupiło się co najmniej 30 tysięcy ludzi - wypracowanych, nędznych, szarych, ale domagających się głośno wolności narodowej. Widok ten oddziałał też więcej niż wszystkie dotychczasowe konferencje i przyjęcia. Jouhaux, urodzony mówca, został wprost porwany nastrojem i ogromem masy: tak samo Fimmen, który po zgromadzeniu odezwał się do mnie, że teraz dopiero rozumie ten kraj, w którym proletariat polski został opanowany przez cieniutką warstewkę panujących Niemiec i wepchnięty w podziemie - tak, że go nawet nie widać. Poczułem się zwycięzcą - i kiedy Kohl odgrażał się, że zwoła takie same zgromadzenie niemieckie Fimmen ironicznie odpowiedział mu: "Zwołaj, o ile tylko będziesz w stanie to zrobić". Po paru dniach pobytu na Śląsku i ciężkich tarapatach dostaliśmy się wreszcie do Krakowa, którym delegacja była zachwycona.

Zaraz w parę miesięcy potem zapadło oficjalne rozstrzygnięcie Ligi Narodów co do podziału Górnego Śląska, a ja - opierając się na zasadzie, którą reprezentowałem konsekwentnie zawsze, bez względu na to, o jakie narody chodziło,

żądałem, by w obrębie jednego państwa polskiego istniała też jedna tylko organizacja zawodowa. Stosownie do tego już w styczniu 1922 roku zwołałem konferencję wszystkich organizacyj zawodowych w Katowicach, na której jednak towarzysze niemieccy stanęli na stanowisku utrzymania własnych związków niemieckich, zapominając o swych dawnych zasadach, w myśl których domagali się od robotników czeskich w Austrii i od polskich w Niemczech, by należeli do wspólnych Związków ogólnopaństwowych. Wykorzystując tekst konwencji górnośląskiej, która zezwalała, by przez 15 lat filie dotychczasowych związków centralnych utrzymywały kontakty ze swymi centralami, robotnicy niemieccy pozostali poza obrębem naszych związków - i nawet wówczas, gdy związki centralne w Niemczech zostały już opanowane przez hitlerowców, woleli utrzymać łączność z niemieckim ruchem narodowo-socjalistycznym, niż z polskim klasowym ruchem zawodowym.

Natomiast związki wileńskie po pewnych wahaniach zdeklarowały przystąpienie do Związku Stowarzyszeń Zawodowych w Polsce. A ponieważ z końcem roku 1921 zrobiły to również związki żydowskie, więc poza Górnym Śląskiem - u góry zjednoczenie było prawie dokonane.

Trzeba je było teraz przeprowadzić również u dołu - wśród samych zawodów i związków, które były rozproszkowane na poszczególne prowincje i grupy zawodowe - tak, że jedynie tylko kilka związków obejmowało cały dany przemysł na terenie całego państwa. Odnośną akcję, którą przerwała inwazja bolszewicka, podjąłem też natychmiast, gdy tylko bolszowicy odpłynęli - i już w październiku zjednoczone zostały związki metalowców, a mój przyjaciel Topinek, mimo wielkiej niechęci, zdecydował się na przyjazd do Warszawy i objął sekretariat zjednoczonego związku; zjednoczyły się związki górników rewiru cieszyńskiego i dąbrowieckiego i przystąpili do niego salinarze i nafciarze; pięć związków młynarzy, piekarzy i cukierników połączyło się w jeden związek robotników przemysłu spożywczego; zjednoczył się przemysł graficzny w jedną wspólną unię, która objęła wszystkich drukarzy w całym państwie, a poza tym pomoc drukarska, introligatorów i litografów; do Centralnego Związku Robotników Przemysłu Włókienniczego przystąpili robotnicy tkaccy z okręgu bielskiego, a potem związek żydowski i robotnicy z Białegostoku i zjednoczyły się Związki Robotników Miejskich, Związki Robotników Przemysłu Chemicznego - i od stycznia 1921 roku przystąpił do Komisji Centralnej Związek Pracowników Kolejowych Rzeczypospolitej Polskiej - tak, że w dwa lata po kongresie na skutek tej działalności z ogólnej liczby 67 związków, z których zaledwie 7 miało charakter ogólnopaństwowy, pozostało teraz tylko 41, z których 19 obejmowało swą działalnością już całe państwo, a 26 zostało wcielonych do wspólnych odnośnych central.

W tych wszystkich pracach organizacyjnych - w tych wszystkich pertraktacjach zjednoczeniowych, konferencjach i zjazdach brałem udział osobiście, przerzucając się od jednego zawodu do drugiego - i od jednej miejscowości do drugiej. Stawiano mi nieraz zarzut, że - prowadząc tę robotę połączeniową i wcielając do wspólnej organizacji robotników polskich i żydowskich, komunistycznych i socjalistycznych, nie zwracałem uwagi na "interes partyjny". Ja zaś, stojąc szczerze na stanowisku zjednoczenia wszystkich sił robotniczych, rozumiałem zawsze, że prędzej czy później wszyscy oni muszą stanąć na wspólnej platformie, odpowiadającej jednemu tylko, wspólnemu interesowi całej klasy robotniczej. Zarzucano mi, że w działalności swej miałem przejawiać "dyktatorskie zapędy", a przecież faktycznie nikt nie wskazałby mi ani jednego wypadku, w którym bym pominął wolę większości zorganizowanych lub poszedł wbrew powziętej przez nią uchwale. Walczyłem z całą zaciekłością o przeprowadzenie swej tezy i gdy zdobyłem dla niej większość, żądałem z całą bezwzględnością, by była wiernie wykonywana przez wszystkich, ale też umiałem zawsze sam szanować zasady demokracji i schylać głowę przed wolą odmienną, choćbym jej nawet nie uważał za słuszną. Pamiętam, jak raz w Łodzi, gdy jeden z towarzyszy skarżył się na konferencji na mój autokratyzm, widząc go w tym, że ja chcę, by członkowie związków tylko "płacili i słuchali", odpowiedziałem mu - ku największemu zdumieniu całego audytorium - : "Tak jest, to jest moje dążenie, bo to jest jedyny cel demokratycznej organizacji" - by wszyscy słuchali raz powziętych wspólnie uchwał i by wszyscy płacili na rzecz wspólnych potrzeb i interesów".

Pojmując tak organizację i jej zadania, byłem nieraz może przykry i bezwzględny wobec własnych towarzyszy, którym mówiłem zawsze bez ogródek prawdę w oczy, ale też przy pomocy tej szczerości zdobyłem sobie wielkie uznanie i przyjaźń wśród ogromnej wielkości związków i ich działaczy. Połączyły mnie bliskie stosunki przyjaźni na całe życie z Wilkiem Topinkiem i z Jasiem Kwapińskim, który pracował ze mną zgodnie jako prezes Komisji Centralnej przez 15 lat - i z małym Stańczykiem, sekretarzem Związku Górników - i z drukarzem Władysławem Szczuckim, którego ceniłem za jego spokój i równowagę - i z sekretarzem spożywczych Wąsikiem - i z przewodniczącym włókniarzy Szczerkowskim - i z Neubauerem z elektrowni - i z kolejarzami: Grylowskim, Koryłowiczem i Wojewodą - i z Alterem, choć stale toczyłem z nim walki - i z Antosiem Zdanowskim, który mnie zastępował na stanowisku sekretarza Komisji - i z sekretarzami okręgowymi: Papalskim z Łodzi, starym Tadeuszem Matuszewskim, grubym Kowalewskim z Poznania, młodym zapalonym Przybysiem z Krakowa i z dawnym moim kolegą jeszcze z czasów austriackich - Iwanem Kuśnierzem. Czułem się jak wierny stróż ideologii tych związków, które swoją własną uchwałą nałożyły na mnie obowiązek przestrzegania, by rosły prosto ku słońcu i nie schodziły mi na krok od wytyczonej drogi. Stały się one dla mnie ukochanym, wypieszczonym dzieckiem, nieraz może rozkapryszonym i rozmarzonym, nieraz przeceniającym swoje własne siły i ważącym się na czyny, które przekraczały ich możność, ale dzieckiem zdrowym, wzrastającym w potęgę i rokującym najlepsze nadzieje, że kiedyś urzeczywistni wspólne ideały wolności i równości.

Toteż tak pojmując swój obowiązek sekretarza Związków, występowałem z całą pasją i odwagą, pchając je na drogę walki, gdy tylko zobaczyłem, że ktoś chce je paczyć lub krępować ich rozwój. Kiedy w czasie strajku maszynistów kolejowych - gdy mimo stanowiska Związku Kolejarzy, który potępił ten strajk jako "samowolny" - rząd, chcąc pokazać buntującym się kolejarzom i całej klasie robotniczej, że może złamać jej walkę przy pomocy bagnetów - zarządził ogólną militaryzację kolejarzy. Komisja Centralna, by zaprotestować "przeciwko militaryzacji i krwawym groźbom gen. Iwaszkiewicza", proklamowała na dzień 20 lutego 1921 strajk powszechny, który objął cały kraj i wszystkie gałęzie przemysłu. Strajk ten został też cofnięty dopiero wówczas, gdy rząd - po odbytych konferencjach pomiędzy przedstawicielami Komisji a prezydentem Rady Ministrów i ministrem spraw wewnętrznych - przyrzekł, że militaryzację cofnie natychmiast, gdy tylko cofnięte zostaną zarządzenia strajkowe. Wobec tego Komisja Centralna powzięła decyzję co do zakończenia strajku, a rząd cofnął faktycznie zarządzenia co do militaryzacji kolejarzy, lecz mimo odmiennych przyrzeczeń starał się w dzikich represjach mścić się potem na przywódcach kolejarzy.

Kiedy Związek Ziemian usunął się od pertraktacyj ze Związkiem Robotników Rolnych co do zawarcia nowej umowy pod pretekstem, że związek ten w czasie inwazji bolszewickiej stanął "na stanowisku antypaństwowym", Komisja Centralna zażądała pertraktacyj, grożąc ogólną walką, co zmusiło rząd do wydania odpowiednich zarządzeń wobec Związku Ziemian.

Kiedy związki przedsiębiorców chciały uzależnić rozpatrywanie żądań podwyżkowych płac od wzrostu kosztów utrzymania, Komisja Centralna uznała to za niedopuszczalne i oświadczyła, że "każda organizacja zawodowa ma prawo zupełnej wolności w walce o najdalej idące żądania - bez uwzględnienia jakichkolwiek narzuconych im norm spożycia" - i odtąd dopiero przestały obowiązywać tzw. "budżety" przy stawianiu żądań podwyżkowych.

Kiedy na skutek powstającej drożyzny wyłaniały się coraz to nowe konflikty co do wysokości płac, które przedsiębiorcy chcieli dusić siłą - Komisja Centralna ustawicznie "czuwała nad rozwijającymi się akcjami zarobkowymi - zwłaszcza robotników rolnych i nafciarzy - i postanowiła udzielić im w razie potrzeby poparcia i pomocy".

Z całą energią wystąpiła ona przeciwko pomysłom ustawy antystrajkowej, jaką w styczniu 1921 wniósł w Sejmie najprzód Związek Narodowo-Ludowy, a potem rząd, powodując jej obalenie już w samej komisji sejmowej i podjęła walkę przeciwko próbom stosowania antystrajkowych paragrafów kodeksu carskiego, które też wreszcie zostały zniesione nową ustawą.

Kiedy - na skutek niejasności tekstu odnośnej ustawy - władze małopolskie starały się krępować swobodę zakładania oddziałów związków centralnych na terenie byłego zaboru austriackiego - Komisja Centralna swoją akcją zapewniła im zupełną wolność, a potem podjęła skuteczną akcję przeciwko zakazom enpeecrowskiego ministra pracy, by umowy zbiorowe przewidywały pośrednictwo pracy tylko ze strony związków klasowych.

Prowadząc te wszystkie prace i walki, z konieczności musiałem pozostawać w ustawicznym kontakcie z redakcją "Robotnika". W tym celu przychodziła do mnie jako reporterka młodziutka towarzyszka Bolka - dziewczyna o łagodnych orzechowych oczach zatrwożonej gazeli. Wyjechawszy przed wojną celem odwiedzenia rodziny do Ameryki, gdzie straciła matkę, znalazła się w ciężkim położeniu i szukała zajęcia, które znalazła wreszcie w redakcji polskiego dziennika "Nowy Swiat" w Nowym Yorku, pozostając tam już przez cały okres wojny. Powróciwszy do kraju, pracowała teraz w redakcji "Robotnika" i brała ode mnie informacje, sprawozdania ze związków i z komisyj sejmowych oraz chodziła jako sprawozdawczyni na zjazdy związkowe - tak, że bardzo wnet stała się nieocenionym i niezastąpionym łącznikiem pomiędzy redakcją a Komisją Centralną. Raz - jadąc z nią do Krakowa i flirtując trochę - rzuciłem cytat: "jestem nie winien, ale nie wiem czemu, w pamięci jestem podobny winnemu". Stałem się też wobec niej może winny, bo zmąciłem jej spokój, bo wtrąciłem ją w wir walki, którą sam toczyłem i pociągnąłem ją w życie, które sam pędziłem - może bujne, ale i bardzo rozrzutne. Stała się ona teraz dla mnie w tym życiu najserdeczniejszym przyjacielem i najdroższym powiernikiem wszystkich moich prac, myśli i marzeń.

Działalność swą, w której z jednej strony broniłem jednolitości organizacyjnej związków na terenie całego państwa, bez względu na różnice narodowściowe, a z drugiej - ich jednolitości ideologicznej, posunąłem wreszcie do tego stopnia, że w maju 1922 roku mogłem zwołać II Kongres Związków Zawodowych, który też zwołałem do Krakowa. Wszystkie, związane z Kongresem prace, jak sprawozdania, rezolucje i skład delegacyj musiałem robić sam, ze względu na sklecony w pośpiechu skład Komisji Centralnej w czasie bolszewickiej inwazji - i sam też musiałem zajmować się delegatami zagranicznymi, których zaprosiłem wedle utartego zwyczaju i którzy też - jako przedstawiciele Międzynarodówki, Francji, Niemiec, Czechosłowacji, Belgii i Holandii - przybyli po raz pierwszy do Polski.

Podczas, kiedy I Kongres miał za zadanie ustalić ideologię związków i ich formę organizacyjną, to Kongres II miał już stanowić przegląd osiągniętych pod tym względem rezultatów i miał być demonstracją za demokracją, którą atakowano teraz coraz ostrzej i na coraz to dalszych terenach. Kiedy kwestionował jej wartość tow. Alter, przedstawiciel robotników żydowskich, zwracając się do Jouhaux i przypominając mi przebieg rewolucji francuskiej, że w interesie postępu i wolności nie tylko można lecz nawet trzeba było naruszyć zasadę demokracji - ten odpowiedział mu: że naruszenie to zakończyło się jednak cezaryzmem i zdeptaniem ideałów samej rewolucji. Byłem tak przemęczony samą pracą przedkongresową, a potem ustawiczną uwagą w czasie obrad, referowaniem poszczególnych punktów porządku dziennego i zajmowaniem się delegatami zagranicznymi, że gdy Kongres się skończył, gdy powyjeżdżali delegaci, a ja pożegnałem gości zagranicznych - ze zmęczenia dostałem 40° gorączki i lekarz zakazał mi jechać do Warszawy, jakkolwiek na drugi dzień Sejm miał decydować o losach monopolu tytoniowego. Po kilku jednak godzinach odpoczynku gorączka spadła mi zupełnie i wyjechałem na posiedzenie Sejmu, który kwestię monopolu zadecydował tym właśnie jednym głosem.

Wspomniane wyżej antydemokratyczne tendencje, z którymi walka na terenie związków zawodowych stała się dla mnie codziennym chlebem, przejawiały się jednak również poza Polską. Trząsł się od nich II Międzynarodowy Kongres Związków Zawodowych w Rzymie, w którym wziąłem udział razem z czterema innymi towarzyszami i na którym przemawiałem bardzo ostro przeciwko delegatom włoskim, obwiniającym Polskę o "kontrrewolucyjność". Widziałem wtedy te rewolucyjne nastroje włoskie, które - przejawiając się w napisach na murach: "Eviva Lenin" albo "Eviva Soviet" - tak wnet skończyły się wprowadzeniem faszyzmu i zwycięstwem nad lekceważoną demokracją, dlatego - że dawała "za mało". Już wtedy,

mając wyjechać na wycieczkę w niedzielę do Tivoli, musieliśmy zmienić program i wyjechaliśmy do Frascati, bo okazało się, że Tivoli zostało opanowane przez bandy Mussoliniego, które chciały napaść na delegatów Międzynarodówki. To samo zaobserwowałem potem na zjeździe związków niemieckich w Lipsku, gdzie komuniści toczyli namiętne walki, by opanować "Dom Robotniczy" Związków, które były dla nich nie dość radykalne.

Po powrocie z Rzymu dowiedziałem się o śmierci mego ojca i nie zdążyłem już go pożegnać, choć on tak czekał, by mnie jeszcze zobaczyć. Umarł w Krośnie u Bohlanów, wyczerpawszy siły swego serca - silny i tryskający zdrowiem przez całe życie - może czasem wobec nas za zimny i za ostry, ale zawsze dobry, prosty, szczery, uczciwy i sprawiedliwy, który - żądając od nas siły i znoszenia cierpień - sam potrafił je znosić bez skrzywienia twarzy i spokojnie przechodzić nad przeciwnościami losu, których mu on też wcale nie oszczędzał.

W polityce polskiej oznaki tych anty-demokratycznych nastrojów na świecie przejawiły się w harcach przesileniowych, które przez dwa miesiące niemal urządzał Piłsudski, jako naczelnik Państwa, przeciwko ówczesnemu rządowi prof. Ponikowskiego. Zbeształ go jak smarkacza; zaczął się procesować z Sejmem o władzę i pod pretekstem, że rząd jest za słaby, by kierować Państwem w czasie zbliżających się wyborów, doprowadził do ukonstytuowania się nowego, jeszcze słabszego, który nie zdołał obronić ani godności narodu, ani powagi Sejmu, ani życia wybranego pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Na skutek tych walk, toczonych przeciwko demokracji i Sejmowi, w wyborach zwyciężyła prawica, podająca się za obrońcę wolności przed autokratyzmem Piłsudskiego. Ja kandydowałem w tym samym okręgu chrzanowskim który - połączony teraz w nowej ordynacji z powiatami: krakowskim, olkuskim, oświęcimskim i miechowskim - wybrał trzech posłów socjalistycznych: tow. Daszyńskiego, mnie i tow. Kwapińskiego. W innych okręgach Polski odnieśli jednak zwycięstwo "narodowcy", którzy kandydowali z listy "8".

Przed nowo wybranymi ciałami ustawodawczymi wysunęła się teraz - jako najważniejsze zagadnienie - kwestia wyborów prezydenta Państwa. Pierwotnie na to stanowisko Piłsudski postawił, jako swego kandydata p. Wincentego Witosa i dopiero gdy spotkał się pod tym względem ze zdecydowanym oporem ze strony klubu "Wyzwolenie", zmienił go na innego przedstawiciela "Piasta": na p. Stanisława Wojciechowskiego, który był jego długoletnim współpracownikiem i przyjacielem jeszcze z czasów londyńskich.

Na Zgromadzeniu Narodowym dnia 9 grudnia było jednak aż pięciu kandydatów: kandydat prawicy - Maurycy Zamojski; kandydat Piłsudskiego i "Piasta" - p. Wojciechowski; kandydat "Wyzwolenia" - Gabryel Narutowicz; kandydat mniejszości narodowych - Jan Baudoin de Courtenay; i kandydat socjalistyczny: tow. Ignacy Daszyński. W pierwszym głosowaniu odpadł tow. Daszyński, potem Baudoin - i wówczas, chociaż walczyłem przeciwko temu bardzo zacięcie, klub ogromną większością zadecydował o oddaniu naszych głosów na p. Wojciechowskiego. PPS popierała bowiem wówczas Piłsudskiego bez zastrzeżeń, widząc w nim przedstawiciela postępu i wolności, jakkolwiek ja nie łudziłem się co do jego charakteru ani sekundy i ustawicznie przedstawiałem niebezpieczeństwo, tkwiące w jego militaryzmie i autokratyzmie. Mimo naszego stanowiska z kolei odpadł p. Wojciechowski i pozostało tylko dwóch kandydatów: Zamojski i Narutowicz. Wtedy nie było już wyboru: wszystkie sfery anty-nacjonalistyczne oddały głosy na Narutowicza, który zwyciężył ogromną większością.

Niestety, rozpoczęły się wtedy ataki tych, którzy przedstawiali się w czasie kampanii wyborczej za obrońców praworządności i demokracji. W czasie uroczystego posiedzenia - Zgromadzenia Narodowego, na którym nowo wybrany prezydent miał złożyć przysięgę, na ulicach przed Sejmem zgromadziły się tłumy, podjudzone przez endeków. Młodzież uniwersytecka napadała na poszczególnych posłów, nie cofając się nawet przed atakami na Daszyńskiego i na staruszka Limanowskiego - i w moich oczach zmasakrowała posła Piotrowskiego.

Akt przysięgi minął jakoś szczęśliwie, ale wybrany prezydent na swym najbliższym publicznym występie stał się przedmiotem ataku ze strony sfanatyzowanego narodowca Niewiadomskiego i padł zamordowany jego strzałami. Byłem

właśnie w Krakowie i kiedy przyszła pierwsza wiadomość o zbrodni, oniemiałem, widząc, jak ta "praworządna" prawica gotowa jest posunąć się nawet do mordów, byle tylko zdobyć władzę i przeprowadzić swoje zamierzenia. W utrwalaniu się tej metody walki widziałem jednak wielkie niebezpieczeństwo dla demokracji - i gdy sfery Piłsudskiego,wykorzystując nastroje, chciały wywołac rewoltę przeciwko endekom, przeciwstawiłem się z całą siłą udziałowi organizacji socjalistycznej w napadach na nich, zdając sobie sprawę, do czego doszłoby to państwo, gdyby o jego aktach i wolności decydowała siła fizyczna.

Zamordowany prezydent Narutowicz stał się momentalnie symbolem demokracji, toteż Rzeczpospolita przywdziała na siebie żałobę i urządziła mu pogrzeb, który stał się hołdem dla jego pamięci i zwycięstwa jego idei po śmierci. Za trumną okrytą kirem i szkarłatem, na której leżał biało-czerwony sztandar Rzeczypospolitej, szły przez miasto od Belwederu aż do Zamku niezliczone masy wśród niemilknących dźwięków hymnu państwowego, który ze skocznego mazurka stał się teraz żałosnym hymnem pogrzebowym.

Po tych uroczystościach i po nowym Zgromadzeniu Narodowym wybrany został nowym prezydentem pierwotny kandydat Piłsudskiego p. Wojciechowski; słaby rząd prof. Nowaka runął, a jego miejsce zajął rząd gen. Władysława Sikorskiego. Piłsudski zaś objął generalny inspektorat armii.

Potoczyły się też teraz spokojne miesiące, w czasie których zająłem się normalną pracą w związkach zawodowych i rozbudowywaniem dalszego ustawodawstwa robotniczego. Wniosłem projekt ustawy o ochronie pracy robotników młodocianych i kobiet, który został uchwalony; pracowałem nad wniesionym przez Chadeków projektem ustawy o urlopach robotniczych, który również stał się ustawą - i opracowałem śmiały projekt ustawy o służbie domowej, obalony potem głównie przez przedstawicieli klubów chłopskich: zarówno "Wyzwolenia", jak i "Piasta". Wreszcie zająłem się rozszerzeniem biur Kasy Chorych w Krakowie i przeprowadziłem nadbudówkę dwóch pięter we frontowym budynku przy ul. Dunajewskiego.

W czasie, kiedy prowadziłem te prace, wśród robotników odzywały się coraz głośniejsze wołania o pracę i o wyższe zarobki. "Narodowa" akcja przedsiębiorców powodowała bowiem coraz większy spadek waluty i liczbę bezrobotnych w państwie zaczęto liczyć już na setki tysięcy. W tej sytuacji "sfery narodowe" szukały tylko sposobności, by ująć władzę - jeśli nie same, to przynajmniej w spółce z jakimś odpowiednim partnerem. Znalazły go w Witosie i w Lanckoronie, którą kupił zbogacony emigrant polski z Ameryki, senator Hamerling; doszło do zawarcia paktu, na podstawie którego powstała nowa większość w Sejmie i nowy rząd "Chieno-Piasta", pod przewodnictwem Witosa i Korfantego.

Stosunki polityczno-społeczne zaostrzyły się momentalnie. Piłsudski ustąpił ze stanowiska generalnego inspektora armii i usunął się w "zacisze domowe" do Sulejówka, by stamtąd prowadzić swoją walkę, a rząd - wpatrzony w tozę o swej "sile" - chciał rozwiązywać wyłaniające się konflikty przemocą. Nowy minister skarbu w gębie groził "żelazną miotłą" szkodnikom narodowym, a w praktyce uderzał coraz boleśniej tylko w klasę robotniczą. Powstawały ustawiczne strajki i walki, a gdy w jednej z nich rząd uderzył w kolejarzy, w obronie ich stanęła cała klasa robotnicza.

Na podstawie uchwały Komisji Centralnej Związków Zawodowych ogłosiliśmy strajk powszechny aż do odwołania i cały ruch przemysłowy w państwie zamarł. Chciał tę okoliczność wykorzystać dla siebie marsz. Piłsudski. W tym celu zjechał do Krakowa p. Walery Sławek, pokazał się w biurach Kasy Chorych i poodbywał poufne rozmowy, po których przewodniczący OKR krakowskiego, tow. Bobrowski, zwołał - wbrew zakazowi władzy - zgromadzenie publiczne pod gołym niebem, a komenda miasta wysłała jako asystę kompanię wojska z batalionu, dowodzonego przez majora czy pułkownika Kostka Biernackiego. Kompania ta dała się rozbroić, a na czele uzbrojonych w ten sposób robotników stanął sam Kostek Biernacki w cywilu i zaczął "robić porządek".

Opowiadał mi potem Stańczyk, że kiedy na OKRze zjawił się jakiś obcy człowiek, zawiadamiając, że obejmuje komendę, Stańczyk zażądał przede wszystkim ujawnienia jego nazwiska. Tow. Bobrowski zawiadomił jednak, że tego człowieka zna i może za niego ręczyć. Później dopiero okazało się, że to był właśnie

przebrany major Kostek Biernacki, późniejszy bohater brzeski, którego podwładny dał się rozbroić przez bezbronny tłum. Toteż, kiedy po latach zaszła podobna sytuacja - i do walki przeciwko reakcyjnemu rządowi stanęli krwawiący się w "chłopskim czynie" chłopi, przypomniałem tym, którzy piętnowali ich jako zdrajców, jak to zupełnie inaczej oceniali poprzednio pojęcie zdrady i szkodnictwa narodu. W tamtym okresie późniejszy wojewoda sanacyjnego rządu strzelał do żołnierzy i uważał, że - dążąc do władzy po walkach i trupach - robi to w interesie Polski, a potem jego rząd aresztował i skazywał tych, którzy wstrzymywali furmanki, jadące do miasta. Mój artykuł w tej sprawie został też skonfiskowany tylko chyba ze wstydu za przeszłość i niekonsekwencję.

W czasie owego strajku w Krakowie byłem właśnie w prezydium ministrów i omawiałem z premierem Witosem warunki zakończenia go, gdy naraz przyszła wiadomość o wypadkach krakowskich - o strzelaniu i o dziesiątkach trupów. Zaaferowany Witos odezwał się do mnie mniej więcej tymi słowy: "Nie ma wątpliwości, że te wypadki, to jest rzecz duża, że są one godne pożałowania, ale może dlatego właśnie, że są takie duże, trzeba w interesie państwa zachować umiar i spokój. Ze względu więc na ten interes rządu będzie trzeba nie dopuścić do pogłębienia przepaści i zwiększenia antagonizmów pomiędzy walczącymi stronami. W państwie nie może powstać wrażenie, że to ja czy mój rząd chcę się mścić kosztem interesów państwowych - za walkę, podjętą przeciwko nam". Wobec tego prosił o dalsze pertraktacje, które miał prowadzić już p. wicepremier Korfanty. W rozmowie z nim ustaliłem też warunki zakończenia strajku, które Komisja Centralna Związków Zawodowych zaakceptowała w zupełności, zdając sobie sprawę, że dalsza walka mogłaby stać się nieszczęściem i spowodować zmianę stosunków politycznych w kierunku wcale dla nas niepożądanym.

Czyż ta "rewolucja", podjęta przy pomocy wojska, Sławka i Kostka Biernackiego przeciwko rządom, opartym bądź co bądź o większość parlamentu, a więc przeciwko demokracji - mogła być naprawdę wyrazem dążności wolnościowych? Czy rządy oparte o siłę militarną i o Piłsudskiego nie przedstawiały większego niebezpieczeństwa dla wolności i demokracji, niż nawet najbardziej reakcyjny rząd parlamentarny?

W takich nastrojach wyjechałem natychmiast do Krakowa - i mimo protestów "radykałów" - przeprowadziłem uchwałę o wydaniu karabinów i o powrocie do pracy.

W toczących się walkach - poza Krakowem - padło od kul policyjnych kilku robotników w Borysławiu i w Tarnowie. Przemawiając tam na pogrzebie ofiar, wskazałem - gdy kler tarnowski odmówił w nim udziału - że jeżeli tylko jest Bóg to z pewnością błogosławi te ofiary i w tej chwili jest z nami, a nie z oficjalnym Kościołem, który solidaryzował się z przemocą.

Skończyły się krwawe walki, rząd uroczyście pochował 19 trupów chłopów, odzianych w mundury ułańskie, my - 26 trupów robotników, a kilkunastu towarzyszy zasiadło na ławie oskarżonych przed sądem przysięgłych, który ich na szczęście uwolnił. P. Kostek Biernacki cofnął się do kasarni, by objąć potem stanowisko komendanta twierdzy w Brześciu nad Bugiem i wojewody nowogrodzkiego, a p. Sławek wrócił do Warszawy, by dalej planować walkę z demokracją.

Wszystkie te przejścia i dalsze intrygi Piłsudskiego, prowadzone na terenie Sejmu, spowodowały bardzo szybko upadek "silnego rządu" Chieno-Piasta, a ster państwa objął teraz gabinet urzędniczy pod przewodnictwem p. Władysława Grabskiego.

W tym jakoś czasie przyjechał do Warszawy Fimmen, sekretarz Międzynarodówki Związków Zawodowych, w towarzystwie czarniawego, szczupłego mężczyzny o palących, inteligentnych, czarnych oczach, który przedstawił mi się jako J.H. Retinger. Zacząłem mówić do niego po niemiecku i dopiero w czasie rozmowy dowiedziałem się, że jest on Polakiem i Krakowianinem. Wytworzyły się pomiędzy nami bardzo wnet serdeczne stosunki, gdyż oczarował mnie on swoją wybitną inteligencją i śmiałością poglądów, chociaż nieraz miałem pewne zastrzeżenia co do jego praktycznego pojmowania "solidności". Co prawda - w życiu nie lubiłem nigdy tych zanadto "solidnych" i ~~zawsze~~ miałem słabość do ludzi, którzy z tą "solidnością" ~~byli trochę na~~ bakier. Ogromnie lubiłem w Krakowie Karola Pollera,

bo był bystry i zdolny, choć wiedziałem, że lubił sobie popić i miał wstręt do pracy - Jaroszewskiego, w którym widziałem jednego z najzdolniejszych i najmądrzejszych robotników, choć wiedziałem, że był notorycznym karciarzem; miałem słabość do rozlewnego pijaka Sofroniusza Kowalewa z Komisji Centralnej i do jego sekretarki Hanki, o której wiedziałem, że mnie stale naciąga, ale za to, gdy stanęła do pracy, to pracowała jak diabeł. Taką samą słabość czułem też wobec mego znajomego "Dżozefa", który był w wiecznych kłopotach pieniężnych. Zaprzyjaźniłem się więc z nim wnet i żyłem bardzo serdecznie, bo zawsze był nieoceniony i zawsze pełen coraz to nowych pomysłów. Raz zaprosił do Polski młodego, zdolnego sekretarza Międzynarodówki Górników Hodgesa, to znowu wybitną działaczkę Labour Party p. dr Marion Philips, która potem przez długi czas była wierną przedstawicielką interesów polskich na terenie Labour Party.

Oboje - Marion Phillips i Retinger - urządzili potem moją i tow. Mieczysława Niedziałkowskiego wizytę w Londynie, która miała nawiązać bliższe stosunki pomiędzy polskim a angielskim ruchem robotniczym. W dzień naszego przyjazdu do Londynu, kiedym się ledwo umył po podróży, wpadł do mnie Józek, zawiadamiając, że towarzysze angielscy urządzili na nasze powitanie wspólny "lunch", na który nas zapraszają. Byłem wściekły, ale musieliśmy naturalnie iść. Rzeczywiście przybył Henderson, który był wówczas ministrem spraw wewnętrznych - i Dalton z ministerstwa spraw zagranicznych - i Hicks, sekretarz angielskich "Trade Unionów" - i Giles, sekretarz partii socjalistycznej - i wybitny jej członek Wedgwood - i Hodges, którego znałem z ruchu zawodowego jako sekretarza Międzynarodowej Unii Górników, a który teraz był lordem admiralicji - i Ewer, redaktor "Daily Heralda" - i towarzyszka Bonfield, która była ministrem opieki społecznej - i niestrudzona dr Phillips - i cały szereg innych działaczy Labour Party i Związków. Nastrój na ogół był bardzo miły, zwłaszcza na skutek starań Phillipsowej i Józka, lecz jakże się zdziwiłem, gdy - wstając od stołu - otrzymałem od Józka rachunek na jakąś bajeczną sumę z żądaniem, bym razem z Mieczkiem natychmiast ją zapłacił. Co było robić? Przepadło. Trzeba było zapłacić, ale za to i Józek i Phillipsową zapoznali nas z całym towarzystwem angielskim, skupiającym się wówczas w Labour Party. Nawiązaliśmy faktycznie stosunki z działaczami socjalistycznymi; poodbywaliśmy konferencję to z przedstawicielami klubu parlamentarnego, to z przedstawicielami poszczególnych ministerstw, a zwłaszcza ministerstwa pracy; zwiedziliśmy urządzenia pomocy dla bezrobotnych; byliśmy na wspaniałej wystawie w Wembley, a Hodges zawiózł nas autem do Oxfordu, o którym pozostało mi na zawsze niezatarte nigdy wspomnienie.

Na wiosnę 1924 r. razem z innymi towarzyszami, reprezentującymi polskie związki zawodowe, wyjechałem do Wiednia, gdzie zwołany został III Międzynarodowy Kongres Związków Zawodowych. Kongres ten był potężną demonstrancją za pokojem i przeciw wzrastającym coraz bardziej tendencjom antydemokratycznym faszyzmu i komunizmu, a prosto z niego udałem się do Genewy, gdzie jako zastępca członka Rady Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy po raz pierwszy zobaczyłem z bliska tę instytucję, biorąc udział w jej obradach, w których uczestniczyłem już potem przez długie lata.

Nowy rząd Władysława Grabskiego był słaby, ale nie był najgorszy. Przeprowadził reformę waluty wprowadził ustabilizowanego złotego, gdy kursujące dotąd "marki" liczono już na miliony i dziesiątki milionów - i wśród ustawicznych trudności borykał się przez dwa lata, załatwiając "konieczności państwowe". Toteż, choć politykę jego krytykowałem nieraz bardzo ostro, uważałem jednak, że nie wolno nam żądać od niego zbyt dużo - i na ogół stosunek nasz do tego rządu był przychylny, zwłaszcza, że zdawalismy sobie sprawę, iż premier Grabski jest jedynym człowiekiem, który może i chce rządzić, nie posiadając ustalonej większości.

Wprowadzenie przez niego stałej waluty i próby położenia kresu bezwzględnemu dotąd wyzyskowi przedsiębiorców oceniałem bardzo dodatnio i wydałem na ten temat broszurkę pt. "Nędza robotnicza a zamachy kapitalistyczne w Polsce", w której wskazywałem, że "przedsiębiorcy nauczyli się dotąd tuczyć kosztem państwa i robotników" i, że "twierdzenie, jakoby obecne groźne przesilenie w przemyśle spowodowane było dopiero sanacją skarbu i wprowadzeniem pełnowartościowej

waluty, jest fałszem". Pisałem, że istota zła w przemyśle polskim polegała przede wszystkim na niesłychanym wyzysku robotników, bo nieraz "przedstawiało się w tym samym przedsiębiorstwie dyrektora, zarabiającego tyle, co sto robotników". Toteż, gdy przedsiębiorcy dopuszczali się coraz to nowych ataków na złotego i na rząd Grabskiego, uważałem, że w interesie klasy robotniczej trzeba go podtrzymać - tym bardziej, że widziałem jego dobrą wolę i chęć lawirowania wśród przeciwieństw, w które popadało państwo coraz bardziej.

Po kongresie wiedeńskim, widząc zaostrzające się konflikty społeczne i konieczność nowych walk strajkowych, które musiały prowadzić związki zawodowe, a zwłaszcza, gdy zobaczyłem do jakiej potęgi doprowadziły one w małej Austrii - napisałem artykuł, w którym wskazywałem na konieczność stworzenia wielkich funduszy strajkowych i domagałem się "uzbrojenia" nimi Związków do walki, co niestety pozostało tylko głosem wołającego na puszczy. Nie pomógł też pod tym względem zwołany w roku 1925 III Kongres Związków Zawodowych w Warszawie, który podjął wprawdzie odpowiednie uchwały, lecz pozostały one - niestety - tylko na papierze. Kongres ten zażądał przede wszystkim usunięcia resztek niescentralizowanych jeszcze organizacyj i domagał się równocześnie "podniesienia zdolności konsumpcji przez przeprowadzenie reformy rolnej i przez podwyższenie płac". I chociaż chciał to osiągnąć jeszcze przez "upaństwowienie dojrzałych gałęzi przemysłu" - to jednak postawił już wyraźnie zasadę "wprowadzenia nowego dodatkowego pieniądza". Już wówczas bowiem czułem, że główne zło społeczne tkwi przede wszystkim we władzy nad człowiekiem i w organizacji pieniędzy, tylko myśli tej nie zdołałem jeszcze dostatecznie rozwinąć i rozwiązać.

Po zakończeniu Kongresu w Warszawie, na którym było już cały szereg przedstawicieli Związków innych krajów, których pomagał mi tym razem przyjmować i bawić nieoceniony Retinger, musiałem wyjechać na Międzynarodowy Zjazd Socjalistów do Marsylii, gdzie miano ustalić wspólną akcję w sprawie 8 godzinnego dnia pracy. Korzystając ze sposobności, zatrzymałem się przez parę dni na Riwierze. Potem na Kongresie przemawiałem za ustaleniem czasu pracy na 46 godzin tygodniowo, zdając sobie sprawę, że każde inne rozstrzygnięcie może narazić poważnie na niebezpieczeństwo nasze dotychczasowe zdobycze pod tym względem. Z Marsylii udałem się do Paryża na krajowy Kongres Związków Zawodowych /CGT/, które musiałem rewizytować i z którymi chciałem ustalić zasady współpracy z polskimi emigrantami - i wreszcie, syt tych peregrynacyj zagranicznych, wróciłem do kraju.

Zastałem tam rząd Grabskiego podkopany już bardzo gruntownie - zwłaszcza, że przedsiębiorcy i bankierzy uderzyli w międzyczasie w główne jego dzieło: w ustalonego złotego. Ten Grabski, który przez dwa niemal lata w najcięższych chwilach chwytał się tylko za głowę i dobrodusznie wołał: "O la Boga" - teraz zachwiał się poważnie. Zaostrzył się bowiem stosunek pomiędzy stronnictwami a Piłsudskim, który - jadąc na ustawie o "najwyższych władzach wojskowych" i zdobywając sobie przy pomocy swych odczytów i "wywiadów" coraz to większy wpływ na armię - otwarcie już podważał powagę Sejmu i demokracji. Zaostrzył się stosunek pomiędzy przedsiębiorcami, którzy w dalszym ciągu chcieli ciągnąć zyski ze skarbu i z nieustalonej waluty, a robotnikami, wśród których rosło katastrofalnie bezrobocie. Zaostrzył się w końcu stosunek pomiędzy obszarnikami sabotującymi reformę rolną, a chłopami - tak, że nie było nic dziwnego, iż wreszcie ten cierpliwy Grabski miał tego wszystkiego dość i podał się do dymisji.

Zastąpić go kimś, kto by się podjął trudu rządzenia w tych warunkach, nie było łatwo, toteż - gdy rzucono myśl utworzenia rządu koalicyjnego, chwyciłem się jej oburącz. Widziałem bowiem - zwłaszcza wobec ustawicznych antysejmowych harców Piłsudskiego, które niestety popierali wówczas najbardziej radykalni socjaliści, i wobec zwiększającej się agitacji nacjonalistycznego "Obwiepola" /"Obóz Wielkiej Polski"/- że lada dzień teraz może paść demokracja również w Polsce, tak jak padła we Włoszech i w Hiszpanii, na skutek przeceniania własnych sił, niecierpliwości i stawiania maksymalistycznych żądań przez ugrupowania lewicowe. Tak więc, jak broniłem dawniej rządu Grabskiego, widząc w nim pewnego rodzaju piorunochron przed dyktatorskimi zakusami - tak samo teraz zobaczyłem ten piorunochron w rządzie koalicyjnym.

Odpowiednie rozmowy podjął ku wielkiej niechęci części Klubu tow. Moraczewski przy mojej pomocy. Obaj chodziliśmy do przedstawicieli Stronnictwa Narodowego i Chrześcijańskiej Demokracji - i tylko dzięki naszym zabiegom udało się wreszcie sklecić rząd, w którym miały wziąć udział wszystkie polskie kluby z wyjątkiem "Wyzwolenia". Ono jedyne wiązało swe losy zupełnie z osobą Piłsudskiego, zwalczającego w tym czasie coraz namiętniej Sejm i przygotowującego się już do militarnego zamachu.

W nowym rządzie, utworzonym pod przewodnictwem konserwatysty Aleksandra Skrzyńskiego, z socjalistów zasiedli: Bronisław Ziemięcki jako minister pracy i Jędrzej Moraczewski jako minister robót publicznych. Ten rząd koalicyjny natrafiał jednak od samego początku na ustawiczne trudności, które stwarzał mu stale i świadomie siedzący w Sulejówku marszałek Piłsudski. Pod jego wpływem PPS chwiała się ustawicznie i nie umiała zdecydować się i wybrać: koalicja jako jedyna obrona demokracji - albo radykalna dyktatura Piłsudskiego. Nawet stary i rozumny Perl szpikował swego "Robotnika" tylu złośliwościami i tak ostrą krytyką pod adresem rządu koalicyjnego, że nie wiadomo było, czy my ten rząd zwalczamy, czy też bierzemy za niego odpowiedzialność! W imię radykalizmu w naszych własnych szeregach zaczęto podkopywać powagę Sejmu i coraz ostrzej występowano przeciwko "współpracy z endekami". Najprzód, pod pozorem choroby, usunął się z gabinetu przyjaciel Piłsudskiego Moraczewski, mimo że był jednym z ojców koalicji, a potem zwołany na przełomie roku 1925 - 1926, Kongres PPS przeprowadził dyskusję w takim tonie, że była ona raczej potępieniem koalicji, niż jej poparciem. Ja, łącznie z tow. Barlickim, który był prezesem Klubu, walczyliśmy jak lwy i przeforsowaliśmy stanowisko utrzymania koalicji, ale wiedzieliśmy, że podstawa tej koalicji jest tak słaba, że może się zawalić lada dzień. Po ustąpieniu Moraczewskiego tekę ministra robót publicznych objął Barlicki i formalnie koalicja ciągle jeszcze istniała, ale gromadziły się przeciwko niej coraz groźniejsze chmury i coraz więcej niechęci. Wreszcie, w czasie świąt Wielkanocnych 1926 r., tow. Daszyński postawił wobec premiera Skrzyńskiego parę - jak powiedział - "niewinnych" żądań i zapytań, które koalicję rozsądziły, a na to tylko czekał Piłsudski. Wiedział on bowiem doskonale, że może podjąć z powodzeniem militarną walkę przeciwko prawicy, ale nie może jej przeprowadzić przeciwko rządowi, w którym zasiadają socjaliści.

Po wspomnianych "zapytaniach", na najbliższym posiedzeniu Klubu zapadła w końcu uchwała wystąpienia z Koalicji wszystkimi głosami przeciwko trzem: mojemu, Barlickiego i Paczka, który potem zresztą stanął bez zastrzeżeń po stronie dyktatury. Utworzył się nowy prawicowy rząd pod przewodnictwem Witosa, co naturalnie ułatwiło atak Piłsudskiemu. W rozmowie, w której ze strony Klubu brałem udział razem z prezesem Barlickim, Witos - wskazując na konsekwencje usunięcia się PPS-u z Koalicji - prosił, by wytrzymać ją jeszcze przez parę miesięcy, przyrzekając uroczyście rozwiązać sejm zaraz po żniwach i rozpisać nowe wybory, które by wykazały istotną większość i wolę społeczeństwa.

Lecz już było za późno.

Z Sulejówka szła propaganda, obejmująca coraz szersze koła ludności, nie zdającej sobie sprawy, że wraz z obaleniem rządu przy pomocy siły militarnej kończy się demokracja. Dla tej koncepcji objęcia władzy przez Piłsudskiego starano się pozyskać również i mnie; chodził za mną tow. Hołówko, basując mi bardzo uprzejmie - i poseł Polakiewicz, który, nie utrzymując ze mną nigdy bliskich stosunków towarzyskich, naraz zapłonął ku mnie miłością - i każdy z nich z osobna przedstawił mi konieczność oddania rządów "komendantowi", którego ja w odpowiedzi na to stale nazywałem wobec nich jednym z największych szkodników narodu. Pozostawiono mnie więc poza obrębem "wtajemniczonych", natomiast cały szereg innych towarzyszy, jak Moraczewski, Jaworowski, poszczególni przywódcy kolejarzy i członkowie OKR-u warszawskiego, brał czynny udział w przygotowywanym zamachu.

Nastąpił on dnia 12 maja 1926 r., kiedy byłem w Krakowie. Wracając razem z tow. Stańczykiem z Błoń w piękny dzień majowy, dowiedziałem się o rewolcie, którą potępiłem też jak najostrzej, natomiast mały Jaś - jak zawsze, gdy tylko poczuł zapach krwi i usłyszał słowo "rewolucja" - szalał z radości

i nie mógł się opanować. Wśród dyskusji i sporów doszliśmy do Domu Robotniczego przy ulicy Dunajewskiego - i tam odezwałem się do grupy towarzyszy, spośród której pamiętam tow. adwokata Rosenzweiga-Różańskiego, że rewoltę tę uważam za największe nieszczęście dla postępu i wolności, przewidując, że teraz rządzić będą państwem ci, którzy zdobyli w nim władzę przy pomocy siły, tj. czynnik wojskowy, reprezentowany przez Piłsudskiego. Byłem jednak w położeniu bez wyjścia: partia stanęła po stronie Piłsudskiego, a zwycięstwo rządu wbrew niej nie zabezpieczyłoby rządów demokracji, lecz jedynie spowodowałoby dyktaturę prawicy. W największej rozterce duchowej przeżyłem też te parę dni w Krakowie, łudząc się, że może jednak Piłsudski w imię swych dawnych przekonań socjalistycznych nie pójdzie przeciwko wolności, przeciwko robotnikom i przeciwko partii.

Złudy te rozwiał mi jednak bardzo wnet sam Piłsudski, gdy rozegnał rząd, zmusił swego przyjaciela prezydenta Wojciechowskiego do rezygnacji; gdy na pierwszym zebraniu przedstawicieli stronnictw dnia 29 maja oświadczył, że nie czuje się zobowiązanym do tłumaczenia się ze swych czynów - i w gołosłownych wymyślaniach zaatakował sejm i stronnictwa polityczne. Mimo to ogromna większość towarzyszy widziała w nim ciągle jeszcze przedstawiciela wolności i postępu. Jedni pocieszali się, że ujęcie władzy przez Piłsudskiego będzie tylko "Skrótem rozwojowym" ku socjalizmowi, a Daszyński - kiedy oburzałem się na treść słów Piłsudskiego, który groził "batem" - powiedział mi, że on jego słów nie odnosi do siebie, a jeśli ktoś chce je brać pod swoim adresem, to on może mi jedynie współczuć. Niestety Piłsudski zastosował swe groźby i wobec Daszyńskiego - i wobec partii - i wobec całego społeczeństwa.

Sterroryzowane Zgromadzenie Narodowe, na skutek zabiegów nowego premiera prof. Bartla, wybrało prezydentem Piłsudskiego, a gdy ten - uważając swój wybór jedynie za pewnego rodzaju legalizację swego zamachu - wyboru nie przyjął, wybrało jego kandydata prof. Mościckiego, cieszącego się dotąd opinią postępowego, niezależnego człowieka. Miałem duże zastrzeżenia, co do tej nowej kandydatury dlatego, że stawiał ją Piłsudski i Bartel, lecz towarzysze, którzy znali Mościckiego, zaręczali, że jest to człowiek o silnym charakterze i nie ustąpi nawet wobec Piłsudskiego. Okazało się jednak, że to też była przykra złuda, bo ten nowy prezydent zawarł "pacta conventa" z Piłsudskim i stał się jego manekinem spełniającym niegodnie jego wolę.

W takich warunkach zabrała głos Komisja Centralna - i na mój wniosek, na posiedzeniu dnia 10 czerwca, powzięła następującą uchwałę: "Komisja/.../ stwierdzająca, że dokonana akcja burżuazji i zamożnych chłopów, nie jest w stanie wpłynąć na spełnienie żądań ekonomicznych i politycznych klasy robotniczej, wzywa ogół robotników do podjęcia najenergiczniejszej pracy organizacyjnej, widząc w niej skuteczny środek do walki o poprawę położenia klasy robotniczej. Od obecnego rządu Komisja domaga się utrzymania w całej pełni dotychczasowego ustawodawstwa ochronnego i ubezpieczeniowego/.../ wreszcie/../oświadcza, że - widząc w parlamentaryzmie i w kontroli reprezentacji ludowej nad władzą wykonawczą skuteczne narzędzie walki w obronie interesów klasy robotniczej - domaga się bezzwłocznego przeprowadzenia wyborów do nowego sejmu oraz wzywa ogół robotników do przeciwstawienia się wszelkiej agitacji za dyktaturą militarną, faszystowską, czy monarchistyczną, i do obrony parlamentaryzmu".

Zasady te rozwinąłem potem w osobnym artykule, zamieszczonym w prasie, w którym wskazałem, że "marszałek Piłsudski, uważający się słusznie czy niesłusznie za przedstawiciela interesów ogólno-narodowych, nie może być uważany za wykładnika interesów klasy robotniczej i że jej programu socjalistycznego urzeczywistniać nie będzie. To musi robić sama klasa robotnicza/.../, a przewrót rządu nie mogą i zmiana jego, nie mogą w niczym naruszyć naszego programu i naszych żądań, mających na celu poprawę bytu klasy robotniczej. Bez względu na to, jak na poszczególne żądania zapatrywać się będzie marsz. Piłsudski czy rząd, dla nas muszą one pozostać nadal wytyczną w naszym działaniu i walce. Byłoby błędem, gdybyśmy w tej chwili działalność tę prowadzić chcieli pod kątem widzenia przeciw czy za Piłsudskim. Klasa robotnicza i jej wyzwoleńcze dążności są wartościami daleko wyższymi i silniejszymi od najwyższych i najsilniejszych indywidualności - i dlatego nie ona ustosunkowywać się winna do poszczególnych

jednostek, lecz musi żądać by jednostki te- bez względu na to, jaką posiadają opinię o swej indywidualnej wartości - ustosunkowały się do klasy robotniczej i jej żądań. Stanowisko więc Związków Zawodowych wobec rządu i marsz. Piłsudskiego musi być w tej chwili dyktowane tymi względami rzeczowymi i musi zależeć bezpośrednio od tego, jak czynniki te zachowają się wobec naszych interesów i żądań. A żądania nasze - to walka o ugruntowanie pokoju i walka z militaryzmem, któremu dopiero co dopomogliśmy do zwycięstwa nad rządem burżuazji i bogatego chłopstwa, walka o demokrację i Sejm/.../ to walka z faszyzmem, walka o utrzymanie praw politycznych, walka o utrzymanie i rozszerzenie ustawodawstwa ochronnego/.../ walka o pracę, przeciw bezrobociu, wreszcie walka o podniesienie zarobków, walka przeciw drożyźnie, walka o podniesienie stopy życiowej klasy robotniczej".

Skonkretyzowawszy w ten sposób stanowisko Związków, musiałem wyjechać do Londynu, gdzie odbywał się zwołany przez Międzynarodówkę Zawodową Kongres Emigracyjny. Zagadnienie emigracji dotykało bezpośrednio naszych interesów, toteż na Kongres wyjechała dosyć duża delegacja, w której ja i tow. Zdanowski reprezentowaliśmy Związki, a tow.tow. Diamand, Gumplowicz, Praussowa i Dolka - ruch polityczny i pracę.

W ogóle z Dolką, która stawała się dla mnie coraz bardziej droga i potrzebna w życiu, spotykałem się zagranicą dosyć często: to raz w Marsylii, gdzie była tłumaczką języka angielskiego, to w czasie jej urlopu, to znowu teraz w Londynie.

Na Kongresie Emigracyjnym, na którym kraje przemysłowe chciały ograniczyć wjazd nowych emigrantów, stanąłem na stanowisku pełnej wolności emigracji, wskazując, że jeśli te same kraje domagają się zupełnej wolności handlu i wymiany towarów, to muszą również stanąć na stanowisku wolności emigracji tych sił, które te towary tworzą.

Na tym kongresie spotkałem się również z H. Retingerem, który w międzyczasie ożenił się z bardzo miłą i przystojną Angielką, panią Stellą. Razem z delegatem Meksyku projektował on wycieczkę przedstawicieli europejskich związków zawodowych, celem poinformowania ich o stosunkach meksykańskich, które w całej prasie europejskiej i amerykańskiej stały się przedmiotem namiętnej agitacji, prowadzonej przez kościół katolicki. Wycieczka ta nęciła mnie bardzo, toteż choć nie miałem czasu i miałem parę robót rozpoczętych, zwłaszcza co do nowych budowli Kasy Chorych w Krakowie i kupienia od niej domu przy ulicy Dunajewskiego dla ruchu robotniczego w Krakowie - gdy nadeszło oficjalne zaproszenie, zdecydowałem się na wyjazd. Omówiłem tylko w szczegółach z tow. dr. Bobrowskim, który był wówczas przewodniczącym CKR krakowskiego, i z tow. Schiffen, dyrektorem Drukarni Ludowej - warunki kupienia wspomnianego domu, upewniwszy się przedtem, że Zakład Ubezpieczeń od Wypadków we Lwowie, który miał większą pożyczkę hipoteczną na tym domu, pozostawi ją nowemu nabywcy bez zmiany. Ponieważ w tym samym czasie po zmianie rządu, na czele którego stanął teraz sam Piłsudski, załatwiona została również, przynajmniej formalnie, jątrząca sprawa udziału w nim Moraczewskiego - tak, że nie miał on już być reprezentantem PPS - wyjechałem z wielkim zadowoleniem rad, że choć na chwilę wyrwę się ze stosunków polskich, które stawały się coraz bardziej niemiłe.

W Paryżu spotkałem się z innymi uczestnikami wycieczki: z Anglikiem Braunem, drugim sekretarzem Międzynarodówki; z Anglikiem Clatterbackiem; z Fimmenem z Amsterdamu, który w międzyczasie objął międzynarodowy sekretariat Federacji Związków Transportowych; z Dürrem, przedstawicielem Związków szwajcarskich - i ze Szwedem Linddley'em i jego żoną. Oprócz tego przez Nowy York jechali dwaj przedstawiciele Związjów angielskich: Bramley i Hicks, podczas gdy przedstawiciele Francji, Belgii, Hiszpanii i Niemiec odmówili swego udziału, obraziwszy się z powodu jakichś rzekomych niewłaściwości.

Podróż tę wspominam zawsze jako przecudny odpoczynek. Wsiedliśmy na okręt w St. Nazaire i zatrzymaliśmy się u wybrzeży hiszpańskich: najprzód w La Coruna, skąd zrobiliśmy wycieczkę do skalistej twierdzy i do miasta, a następnie w Vigo, gdzie wsiadła jakaś trupa aktorska, jadąca do Havanny - i potem już bez przerwy płynęliśmy ciągle w stronę południowego zachodu.

Podróż morska, która trwała przeszło trzy tygodnie, napawała mnie jakimś dziwnym, błogim spokojem. Potrafiłem siedzieć bezczynnie i bezmyślnie na przodku okrętu lub na górnym pokładzie dla oficerów i patrzeć na rytmiczny ruch fal albo na bujne życie oceanu. To pląsały wesoło delfiny, wyskakując wysoko w powietrze, to gdzieś koło Bermudów podpłynął tuż pod okręt olbrzymi wieloryb, popatrzył zdumiony naszym widokiem poszybował jak strzała w stronę północy, znacząc tylko swoją drogę wytryskującą od czasu do czasu fontanną - to wreszcie obserwowałem całe roje rybek latających, które jak wróble zrywały się w wielkich stadach z fal, by okrążywszy część horyzontu - zapaść na nowo w głębinie. To morze wprost fascynowało mnie i nie było ani jednego momentu, bym się na nim nudził.

Wreszcie nasz "Lafayette" - mały, 9 tysięczno-tonowy okręcik, piękny jak cacko - dobił do wybrzeży Kuby, gdzie mieliśmy pozostać blisko 3 dni. Zwiedziliśmy więc Hawanę - jej starą część hiszpańską i wspaniałą nową, amerykańską a potem wśród gromadzących się chmur na horyzoncie, który dotąd był czysty i jasny - i wśród coraz większego żaru zatoki meksykańskiej wylądowaliśmy w Vera Cruz. Czekali tam na nas tamtejsi delegaci Związków i Retinger, który przeniósł się w międzyczasie wraz z żoną do Meksyku. Po odpoczynku i zwiedzeniu miasta ruszyliśmy osobnym wagonem, wspinając się ustawicznie w górę 2000 metrów ponad poziom, gdzie leżało piękne miasto Meksyk. By się zapoznać ze stosunkami, chcieliśmy zobaczyć kraj, jego dawne zabytki i dzisiejszą kulturę, chcieliśmy wejść w kontakt z ludnością miejscową - z robotnikami i chłopami, którzy zorganizowali się wspaniale w CROM /Confederation Regional Obrera Mexicana/ - i wreszcie chcheliśmy poodbywać oficjalne rozmowy z przedstawicielami ruchu robotniczego i z przedstawicielami rządu.

Zwiedziliśmy więc wspaniały park Chapultapec, skąd w oddali widać było dwa śnieżne szczyty Ixtaccihuatl i Popocatepetl, z którego wydobywały się właśnie wulkaniczne dymy; podziwialiśmy ciekawe zabytki z epoki azteckiej, wspaniałe muzeum, miasto, a potem odbyliśmy szereg konferencji z przedstawicielami związków zawodowych.

Z odbytych rozmów spostrzegłem, że tam u nich istnieją prawie te same problemy, co u nas: przeprowadzenie reformy rolnej i powolne wydźwiganie się ludności robotniczej spod jarzma półfeudalnego przy pomocy akcji zawodowej i nowych ustaw ochronnych - ta sama szalona rozpiętość pomiędzy stopą życiową bosego chłopa i robotnika a zbytkami burżuazji hiszpańskiej, ten sam klerykalizm i te same śmiałe nadzieje co do stworzenia nowego państwa, w którym wolny Meksyk zapewni wolność i niepodległość również wszystkim swym obywatelom. Mówiliśmy o stosunkach przemysłowych i o warunkach pracy z ministrem Moronesem, socjalistą - i o stosunkach rolnych z młodym ministrem rolnictwa Leonem, radykalnym ludowcem; o dawnych walkach z byłym prezydentem Meksyku, miłym generałem bez ręki - Obregonem, który z całą szczerością - gdysmy go tytułowali "generałem" - odpowiedział, że on swe generalstwo zdobył nie w militaryzmie lecz w walkach o wolność, a z fachu jest zwykłym ślusarzem - i wreszcie rozmawialiśmy z prezydentem Callesem, który przyjął nas na dłuższej audiencji. Przedstawiono go jako krwiożerczego tyrana, pławiącego się w krwi niewinnych księży katolickich, a on był tylko spokojnym nauczycielem ludowym, który za cel postawił sobie przeprowadzenie reformy rolnej.

Dotąd ziemia należała bowiem do wielkich obszarników, do szlachty, do klasztorów i księży. Były miejscowości liczące kilka tysięcy mieszkańców i posiadające kilka, a czasem kilkanaście kościołów, których księża - tak samo, jak hiszpańscy hidalgo - żyli wyłącznie z wyzysku indyjskich chłopów. Kiedy więc przeprowadzono ustawę o reformie rolnej i chłopów uwłaszczono, wszystkie te kościoły, straciwszy ziemię, straciły również możność życia i egzystencji - i rozpętały walkę przeciwko rządowi, przedstawiając zamykanie kościołów jako wyraz rzekomych prześladowań religijnych, a nie jako wyraz zmiany stosunków gospodarczych. Wobec reformy rolnej rząd musiał pozamykać nadmierną ilość kościołów, których księża nie mieli z czego żyć, ale w każdej parafii został kościół i ci proboszczowie, którzy znaleźli utrzymanie z tytułu swych funkcyj kościelnych, pozostali nadal w najlepszych stosunkach z rządem.

Zwiedziliśmy wzorową państwową szkołę rolniczą w Mexe pod Hidalgo; ogromną fabrykę tytoniu pod Meksykiem; kopalnie srebra w Pachucą; byliśmy na uroczystości założenia jakiejś spółdzielczej mleczarni w uroczym jak bajka Xochililco; uczestniczyliśmy w jakiejś wspaniałej demonstracji chłopskiej, w której wzięło udział kilkanaście tysięcy nędznie odzianych, bosych, w ogromnych słomianych "sombrerach" chłopów - i patrzyliśmy na codzienne ich życie chłopskie, na ich wsie i domy, zbudowane z niewypalanej cegły, które się kruszyły i rozpadały, jak gniazda jaskółcze.

Na naszą cześć urządzono walkę byków - i zasiadłem razem z delegatami i z ministrami: Moronesem i Leonem na trybunie, obok p. Stelli Retingerowej. Zabawa ta, w której wzięło udział około 40 tysięcy ludzi, zaczęła się bardzo pięknie jakąś fanfarą, wśród której na arenę wyjechali na koniach wspaniale ubrani "piccadorzy", a potem wpadł na nią oszołomiony światłem i ogromem ludzi duży byk i - zraniony długą piką w grzbiet - rzucił się rogami na konia i rozpłatał mu brzuch. Po bardzo krótkim czasie wszystkie konie stały bezwładnie, z wypuszczonymi wnętrznościami, a służba wynosiła je na noszach, by je potem zoperować i zszywać. Piccadorzy, walcząc teraz z ziemi, jątrzyli byka to uderzeniami swych pik, to zapalonymi gałkami smoły, która - paląc się na jego sierści - doprowadzała biedną ofiarę do wściekłości. Byk szalał, miotał się i uderzał na lewo i prawo, lecz piccadorzy - mając w rękach czerwone chusty - zasłaniali mu oczy, ustępując zgrabnie przed jego atakami, aż wreszcie zmęczonego do cna oddawali "espadzie". Na arenie był teraz tylko zmęczony, zziajany, poraniony byk - i espado, odziany we wspaniały hiszpański strój, trzymając w jednej ręce czerwoną chustę a w drugiej długą szpadę, którą miał zadać ostatni cios biednej ofierze krwiożerczości hiszpańskiej. Espado, po krótkiej walce, wbił szpadę w głowę byka, a ten - rozkraczywszy nogi - runął na ziemię. Takich przyjemności czekało nas jeszcze pięć - i w czasie drugiej - chociaż uważano to za pewnego rodzaju "shocking" - ulotniłem się dyskretnie z panią Stellą, która też nie mogła patrzeć spokojnie na to znęcanie się nad biednym zwierzęciem.

Toteż, kiedy z jednej ze wsi zawiadomiono nas potem, że po południu urządzą znowu na naszą cześć walkę byków, oparłem się stanowczo i poszedłem dopiero wówczas, kiedy mi zaręczono, że ta walka wcale nie jest taka, jaką widziałem w Meksyku. Zgoniono tam kilkadziesiąt młodych, około dwuletnich byczków - i puszczono je długą, odgrodzoną aleją, z której boku zajeżdżał jeździec, mający z konia zwalić jedną ręką byczka na ziemię. Powstawała pomiędzy nimi szalona gonitwa i jeździec - doganiając uciekającego byczka - chwytał go za ogon u podstawy i pędząc dalej, starał się go zwalić z nóg. To była bardzo miła i wesoła zabawa. Było kilku chłopów, którzy każdego niemal byczka rozkładali na ziemię; ale przeważnie byk ściągał jeźdźców z siodeł - i pędził zatrwożony na stronę urządzonej grodzi. Ze dwa razy dosiadał konia również minister Leon, by pokazać swą siłę i zgrabność, lecz za każdym razem leżał na ziemi ku ogromnej wesołości uczestników zabawy.

Wyjeżdżaliśmy też dużo autami w okolicę bliższą i dalszą przez dziką wyżynę, pełną zastygłej lawy i pokrytą małymi stożkami wygasłych wulkanów, oraz zwiedziliśmy wspaniałe piramidy słońca i księżyca w Teotihuacan i ruiny tamtejszej świątyni, której dobrze utrzymane ściany pokryte były rzeźbami i statuami jakichś dzikich, fantastycznych potworów. Przeszliśmy kilka kilometrów ogromnej groty, Cacahuamilpa, pełnej stalaktytów i stalagmitów, która podobno ma się ciągnąć przez 80 kilometrów w głąb. Byliśmy w cichym miasteczku Pueblo, do którego jechaliśmy drogą, skąd roztoczył się przed nami wspaniały widok: po jednej stronie na śnieżny stoczek Orizony, a po drugiej - na Popocatul z pióropuszem dymu i białą Ixtaccituatl. Wyjechaliśmy ze sfery roślinności podzwrotnikowej i byliśmy w górach, w których rosły już tylko lasy szpilkowe, sosny, modrzewie i cisy. Wracając, zawadziliśmy o małą miejscowość Cholula, wciśniętą w długi wąwóz górski, w którym niegdyś była główna świątynia Azteków. Hiszpanie zburzyli ją do cna - i aby wypędzić diabła azteckiego, wybudowali na tym miejscu 365 kaplic, kościołów i krzyżów - tak, że dziś w maleńkiej Choluli widać tylko kopuły i wieże. Wyjeżdżaliśmy z Meksyku przez Zakatecas, skąd

zrobiliśmy jeszcze wielką wycieczkę do wzorowej farmy rządowej - i już przy przekraczaniu granicy Stanów Zjednoczonych w El Paso uderzyła nas zupełna zmiana stosunków.

Tu wszystko było takie "kulturalne", układne i równe - dalekie od meksykańskiego "rozwichrzenia". W El Paso, kupując jakieś drobiazgi, spotkałem Polkę z Poznania, która miała tu ogromny sklep i której mąż był również Polakiem, ale dzieci już ledwie potrafiły wypowiedzieć swe nazwisko. Jechałem do Chicago, gdzie miałem spotkać się z redaktorem amerykańskiego "Robotnika" tow. Olszewskim, by wspólnie z nim odbyć turę agitacyjną po kolonii polskiej. Tylko z okna wagonu widziałem rozległą równinę nad Mississippi, łany pszenicy, pola bawełniane i bogate farmy. W Chicago pożegnałem się z sympatyczną szwedzką parą Lindley'ów, z którymi zżyłem się bardzo, z przyjacielem Dürrem, i z Anglikami - i po krótkim tam pobycie pojechałem wspaniałą linią "Twenty Century" wprost do Nowego Yorku. Tam spotkałem cały szereg towarzyszy, o których opowiadała mi nieraz Bolka - i cały szereg moich własnych znajomych robotników i towarzyszy z Krakowa - i mówiłem do nich o obecnych stosunkach polskich, a zwłaszcza o tych, jakie wytworzyły się po zamachu majowym. Zobrazowując walkę, jaką polska klasa robotnicza musiała prowadzić od samego zarania niepodległości - przez cały czas aż do przewrotu, dokonanego przez Piłsudskiego, rozwijałem tezę, wyrażoną w uchwale Komisji. Centralnej i w moim artykule, że stosunek nasz do Piłsudskiego zależy przede wszystkim od ustosunkowania się jego samego do dążeń klasy robotniczej, która musi walczyć niezmiennie o własne swoje ideały. W odpowiedzi na to pro-sanacyjny "Nowy Swiat" napisał, że "poseł Żuławski, jako członek partii, jeżeli chodzi o sprawy robotnicze, mówił z punktu widzenia zasadniczego racjonalnie i słusznie. Klasa robotnicza musi sama walczyć/.../ tylko nie widzimy, że dzisiaj, po Przewrocie Majowym, klasa robotnicza była ukrzywdzona". A ja w całym szeregu następnych wywodów udowadniałem, że była.

Zgromadzenia moje wywołały również duży oddźwięk w prasie amerykańskiej, która zajmowała jednak zazwyczaj stanowisko niezależnie od tego, co ja mówiłem, lecz zależnie od własnej barwy politycznej pisma. Więc jedno z nich szydziło z Piłsudskiego, że "is seeking to be king" /stara się zostać królem/, a inne pisało, że "Żuławski, Labour Union chief, backing Piłsudski" /przedstawiciel Związków Zawodowych popiera Piłsudskiego/ lub, że Żuławski, one of the best know orators in Poland, is an adherent of Marshal Józef Piłsudski/.../" /Żuławski, jeden z najbardziej znanych mówców w Polsce, jest zwolennikiem Marszałka Józefa Piłsudskiego/.

Odbywszy cały szereg zgromadzeń w okolicy Nowego Yorku, a potem w tkackich osadach robotniczych w Nowej Anglii, w Bostonie i w Buffalo, zamierzałem zawadzić również o Kanadę.

W tym celu, zapoznawszy się już trochę z tymi sławionymi "porządkami amerykańskimi", zwróciłem się do Urzędu Emigracyjnego o wydanie odpowiedniej przepustki, na podstawie której mógłbym potem wrócić do Stanów Zjednoczonych - przedstawiając równocześnie kupiony już bilet okrętowy do Europy. Niesłychanie uprzejmy urzędnik zaręczył mi jednak, że żadnej przepustki nie potrzebuję i że mogę jechać swobodnie na podstawie tych dokumentów, które mu przedłożyłem. Uspokojony, zatrzymałem się w Niagara Falls, które w zimie robiły wspaniałe wrażenie - i po odbyciu tam zgromadzenia udałem się do Toronto. Tam komuniści, którzy zaraz po moim przyjeździe do Stanów Zjednoczonych wydali ogromny, głupi paszkwil, oskarżający mnie o wszystkie możliwe zbrodnie wobec klasy robotniczej, urządzili awanturę - i to było jedyne zgromadzenie, na którym natrafiłem na jakiekolwiek przeszkody. Komunistyczne krzyki i awantury, które przypomniały mi od razu ojczyznę, momentalnie uciszyło jednak zjawienie się dwóch policjantów w olbrzymich futrzanych czapach, ale ponieważ miałem już dość ujadania się - zwłaszcza, że było już późno - siadłem na pociąg, którym miałem dojechać do Detroit.

W czasie drogi, już blisko granicy, urzędnik amerykański, przeglądając paszporty, zatrzymał i mnie i mego towarzysza Olszewskiego - i kazał nam czekać w jakiejś zimnej, pustej hali. Kiedy zapytałem tę "władzę", o co mu chodzi, odpowiedział mi: "Zaraz" - i wyszedł. Po pół godzinie przeszedł przez halę, nie zwracając na nas żadnej uwagi i zjawił się znowu dopiero po półtorej godzinie,

a kiedy - coraz bardziej głodny i zziębnięty - powtórzyłem mu moje pytanie, odpowiedział uprzejmie: "Zaraz" - i znowu zniknął. Wreszcie po blisko trzech godzinach zjawił się z uśmiechem na twarzy i - mówiąc też tylko jedno słowo: "Przepraszam" - oddał nam nasze paszporty, nie wyjaśniając ani słowem, dlaczego nas zatrzymał. Byłem jednak szczęśliwy, żem się w końcu z tego urzędu wydobył i pojechałem wprost na kolonię polską.

Tam było wszystko, jak w Polsce: polskie afisze, polskie szyldy, polskie sklepy, polscy robotnicy i Polski Dom, w którym miałem przemawiać. Spotkałem tam wspomnianego już Jasińskiego, który za mych studenckich czasów mieszkał w "proletariackiej komunie" przy ulicy Batorego w Krakowie; tow. Zembatego, który musiał uciekać przed pościgiem policji polskiej, szukającej go jako jednego ze sprawców strzelaniny dnia 6 listopada, oraz wesołego, znanego mi już z Warszawskiej Kasy Chorych dr. Konecznego, z którym mimo prohibicji oblaliśmy uroczyście nasze ponowne spotkanie. Pod wieczór wreszcie spotkałem opatulone jakieś dziecka, w kraciastych chustach, związanych na krzyż naokoło ciała, jak ślizgały się po zamarzniętym rynsztoku. Przystanąłem przy nich: typowo polskie dzieci z pyrkatymi nosami, z pucułowatymi buziami i z lnianymi warkoczykami, tylko szwargocące pomiędzy sobą po angielsku. Kiedy zwróciłem na nie uwagę Olszewskiemu, wyjaśnił mi, że to rzeczywiście dzieci polskie, które właśnie wracają z polskiej szkoły i które mówią doskonale po polsku, ale na ulicy mówią już tylko po angielsku. Mimo woli nasuwała mi się myśl: po co więc cały ten trud utrzymania wśród emigracji pierwotnej narodowości i języka, kiedy ci, których własny kraj wypędził z domu jako "zbędnych", wcześniej czy później muszą ulec asymilacji - i czy naprawdę leży w ich interesie podtrzymywać sztuczną przegrodę pomiędzy nimi a ich nową ojczyzną? Skarżył mi się jeden bardzo sympatyczny i rozumny robotnik z Nowego Yorku, że dzieci jego mówią wprawdzie do niego i do matki tylko po polsku, ale pomiędzy sobą mówią już wyłącznie po angielsku - i to samo zauważyłem w Nowej Anglii i w Chicago i u towarzyszy żydowskich. Język polski czy żargon stał się dla nich językiem martwym, ewangelicznym, jakąś tradycją i wspomnieniem, ale życie i przyszłość pcha ich nieubłaganie w kierunku amerykanizacji i asymilacji.

Jedyny odwrotny wypadek spotkałem tylko u bardzo miłego towarzysza Przyckiego z Milwaukee, który był sekretarzem Unii Krawców "Amalgamated" - i który już od dwóch pokoleń nie mówił ani słowa po polsku, ale teraz, spotykając się z robotnikami polskimi, odgrzebał w swej duszy tradycje i przywiązanie do polskości. Nauczył się po polsku tak, że mówił zupełnie poprawnie, jakkolwiek zawsze z pewnym obcym akcentem. Przyjechał on potem do Polski i był u mnie w Komisji Centralnej, ale był rozczarowany co do stosunków, które stworzył reżim - i nie mógł pojąć, że robotnicy polscy mogli je cierpliwie znosić. Spotkałem go jeszcze raz w Krakowie, w dwadzieścia lat później, i powitałem z prawdziwą radością jako starego przyjaciela, choć teraz nie dziwił się już, że robotnicy polscy tolerują obecne stosunki, lecz przeciwnie - usprawiedliwiał te stosunki i zachęcał do pogodzenia się z nimi.

Z Milwaukee pojechałem do Chicago, a potem do Cleveland, gdzie gościli mnie bardzo uprzejmie doktorostwo Petersowie - i do Filadelfii, gdzie zwiedziłem odbywającą się właśnie wspaniałą międzynarodową wystawę, urządzoną z okazji 150 lecia niepodległości Stanów. Pamiętam niewielki pamiątkowy dzwon, który pękł, gdy obywatele, dzwoniąc nim, zwoływali się, by stanąć do walki. Na Wystawie tej uderzyła mnie szalona rozpiętość eksponatów, z których jedne były ostatnim wyrazem techniki przemysłowej, a inne - prymitywnego, choć nieraz bardzo artystycznego, egzotycznego przemysłu domowego. Nie wystarczyło mi czasu, by przemawiać w Pittsburgu i w okręgu górniczym, więc - pożegnawszy towarzyszy w Nowym Yorku - wsiadłem na wspaniały, 52-tysięczno tonowy okręt "Berengaria", który po pięciu dniach wysadził mnie w Cherbourgu.

Byłem już szczęśliwy, gdym się znalazł w Europie i z niecierpliwością jechałem do kraju, nie wiedząc, jakie w nim zastanę nastroje. Przede wszystkim dowiedziałem się, że moje plany kupienia od Kasy Chorych domu przy ulicy Dunajewskiego zostały unicestwione na skutek sporu o to, czy dom ten ma być własnością spółdzielni spożywczej "Proletariat" czy spółki "Drukarnia Ludowa".

Po powrocie ogłosiłem serię artykułów o swej meksykańskiej podróży - i w jednym z nich podnosiłem miłe zdziwienie, gdy "po wylądowaniu z Vera Cruz znaleźliśmy się w otoczeniu szeregu towarzyszy wysoko uświadomionych i pełnych energii, nie różniących się niczym, jak chyba większą wiarą i zapałem od europejskich kolegów /.../ Pojęcie moje o dzikim Meksykańczyku, z nożem i rewolwerem w ręku, pierzchło jak mgła i zastąpił je utrwalający się z każdym dniem bardziej w mym umyśle obraz człowieka biednego i wyzyskiwanego, który - zrzuciwszy kajdany - w trudzie i mozole buduje sobie przyszłość, z wiarą jedynie w swoje własne siły". Pisałem, że "Struktura społeczna w pewnej mierze przypominała polskie stosunki. Ogromne obszary ziemi, pozostające wyłącznie prawie w rękach wielkich obszarników i kleru; bezrolny chłop, biedny i ciemny, zmuszony do pracy "na pańskim"; obcy kapitał, bezwzględnie eksploatujący bogactwa narodowe, niedbały zupełnie o bogactwo kraju i dobro ludności; wreszcie kler katolicki, rozpanoszony jak w żadnym innym chyba kraju na świecie". Porównywałem Polskę z Meksykiem, gdzie "zwycięski generał nie stanął na stanowisku rewolucji bez rewolucyjnych konsekwencyj, nie odgrodził się tajemniczością swych planów od klasy robotniczej, która pomogła mu zwyciężyć, lecz przeciwnie - stworzył nowe prawo, nową konstytucję, wedle której cała ziemia, znajdująca się w rękach obszarników i kleru, stawała się własnością ludu meksykańskiego; jak również wszelkie naturalne bogactwa kraju, eksploatowane dotąd w tak bezwzględny sposób przez obcy kapitał, przejść mają na rzecz państwa".

Odpowiedział mi na to p. Adolf Nowaczyński, wołając: "Tędy go wiedli pana posła z czerwonego Krakowa; To mu pachnie! Rewolucja, ale z rewolucyjnymi konsekwencjami/.../. Masoneria bestia triumphaus. Uwięzienie arcybiskupów. Kościoły na kina! Grabit "zagrabiennoje"."

Tak samo zresztą, jak Nowaczyński, rewolucyjnych konsekwencji nie chciał również rząd Piłsudskiego, który był ciągle niesłychanie zadowolony z siebie, zwłaszcza - że na skutek strajku węglowego w Anglii Polska eksportowała duże ilości węgla i dostawała za to dewizy, które rząd wydawał, nie oglądając się wcale ni na celowość wydatków ani na uprawnienia budżetowe. Piłsudskiemu się zdawało, że poprawa skarbu i położenia ekonomicznego kraju spowodowana została jego osobistą "genialnością" i zatamowaniem kradzieży z kas państwowych. Toteż był bardzo zdziwiony, gdy po wstrzymaniu dostaw do Anglii zobaczył na nowo deficyty budżetowe, bezrobocie i nędzę, która nawet w czasie tego krótkotrwałego okresu dobrej koniunktury nie ginęła nigdy. Położenie klasy robotniczej w sanacyjnej Polsce nie było bowiem na ogół różowe, bo rezultat dobrej koniunktury zagarnęły prawie wyłącznie zgłodniałe rekiny kapitalistyczne, które - propagując "kapitalizację wewnętrzną" - osiągały ją przy pomocy coraz większego wyzysku pracy ludzkiej.

Na wiosnę wybuchł zacięty, ogólny strajk robotników tkackich, a potem walka przeciwko przedłużeniu czasu pracy w hutach, gdzie analogicznie do hut śląskich chciano wszędzie wbrew obowiązującej ustawie, przedłużyć czas pracy o 14 godzin na tydzień. Pokazało się, że utrzymanie dawnego ustawodawstwa niemieckiego na Śląsku, jak żądały tego niemieckie związki zawodowe i Międzynarodówka, nie zabezpieczało wcale zdobyczy robotniczych, lecz przeciwnie - podważyło te, które zdobyli robotnicy w wolnej Polsce. W ten sposób kwestię, którą postawiłem zaraz po Przewrocie Majowym, oświadczając, że nasze stanowisko wobec Piłsudskiego zależy od spełnienia przez niego naszych dążeń, on sam rozstrzygnął przez bezwzględne opowiedzenie się po stronie kapitału i obszarników, z którymi zawarł pakt w Nieświeżu i w Dzikowie.

Kiedy podnosiłem to wszystko i stwierdzałem, że krok za krokiem unicestwia się zdobycze robotnicze, osiągnięte w dobie demokracji, minister pracy Jurkiewicz - przyzwoity i rozumny człowiek, z którym o tych rzeczach mówiłem dużo i często, pocieszał mnie ustawicznie, że wszystko to się zmieni. Przyznawał, że szczegóły mogą być faktycznie czasem przykre, ale zaręczał, że na ogół klasa robotnicza może być dziś pewna, że jej zasadnicze postulaty, które dotąd stale atakowali endecy, zostaną uszanowane. Wbrew jednak jego zaręczeniom, nie posiadałem wcale tej pewności i z coraz większą troską patrzyłem w przyszłość.

W lecie 1927 wziąłem udział w IV Międzynarodowym Kongresie Związków

zawodowych w Paryżu, który był niemiłą walką na tle wycieczki do Meksyku - i wtedy, po usunięciu Brauna ze stanowiska międzynarodowego sekretarza, pierwszy raz rzucono myśl przeniesienia siedziby Międzynarodówki z Amsterdamu do Berlina.

W kraju, krępowanym politycznie coraz bardziej, zająłem się teraz przede wszystkim tym, czym się można było jeszcze zająć: budowaniem domów robotniczych i Kas Chorych. Związek Kolejarzy zbudował wspaniały gmach w Warszawie, do którego przeniesione zostały biura Komisji Centralnej, a ja na jego otwarciu - ku największemu oburzeniu przedstawicieli Ministerstwa Kolei - życzyłem, by dom ten stał się rozsadnikiem walki z przemocą i dyktaturą. Po zbudowaniu tego domu Związek Kolejarzy budował lub kupował inne, a taką samą akcję podjął również Związek Górników, który postawił kilka domów robotniczych w rewirach naftowych, a poza tym w Krakowie, Wieliczce i Jaworznie. Równocześnie Kasy Chorych, po przezwyciężeniu oporu przeciwko sobie ze strony robotników, których zresztą z całą świadomością i złośliwością podjudzali przedsiębiorcy i lekarze - zaczęły się rozwijać i budować własne gmachy dla ubezpieczonych. W Krakowie, jako prezes tamtejszej Kasy Chorych, przeforsowałem uchwałę co do budowy gmachu w Podgórzu, a to reprezentacyjnej centrali w Krakowie, która stanęła przy ulicy Batorego i stała się moją dumą. Obok domu w Krakowie powstawały teraz, jak grzyby po deszczu domy Kasy Chorych w Bielsku, w Częstochowie, w Chrzanowie, we Lwowie itd.

Po wybudowaniu gmachu przy ulicy Batorego dom przy ulicy Dunajewskiego zajęły teraz w całości Związki TUR i kilku prywatnych lokatorów, między którymi znalazłem się również ja z żoną i matką. Na pokrycie kosztów budowy przedsiębiorcy i robotnicy krakowscy uchwalili dodatkowy 1% składki, a ja uzyskałem zgodę, by dodatek ten przedłużyć celem wybudowania jeszcze dużego szpitala. Wziąłem się więc energicznie do tej nowej roboty: kupiliśmy grunt w Prądniku, spowodowałem wyłonienie się komisji, w której zasiedli - obok przedstawicieli Zarządu - dwaj inżynierowie architekci i trzej profesorowie Uniwersytetu; położnictwa, chirurgii i chorób wewnętrznych - i ustaliliśmy koszt budowy na 2,5 miliona złotych. Niestety nie zdołałem dokończyć mego dzieła - i postawiłem jedynie cały budynek w stanie surowym, pokrywając go dachem, na co razem wydałem okrągło 1 milion złotych. Gdy zaś w roku 1929 rozwiązano samorząd Kas Chorych, momentalnie sanacyjni szakale zaczęli wszystko przestawiać, przebudowywać, poprawiać - tak, że cały gmach kosztował podobno około 7 milionów złotych. Szpital, który nazwano "imienia Narutowicza" - nie wiadomo dlaczego, bo z tym zagadnieniem zamordowany prezydent nie miał nigdy nic do czynienia - miał być nieoprocentującym się darem przedsiębiorców i robotników dla nich samych, a stał się ciężarem, który potem robotnicy utrzymywali niesłychanie wysokimi opłatami.

W trakcie tych robót w roku 1927, na konstytuującym Zjeździe, wybrano mnie również prezesem Ogólnopaństwowego Związku Kas Chorych, gdzie też projektowałem cały szereg robót, których ze względu na usunięcie samorządu również nie zdołałem już wprowadzić w życie.

Zresztą przedtem już zdawałem sobie coraz jaśniej sprawę, że w przyspieszonym tempie wkraczamy w okres dyktatury. Wraz z przygotowaniami do nowych wyborów zaczęły się napady "niewyśledzonych sprawców" na niewygodnych działaczy politycznych, na byłych ministrów i na dziennikarzy : "zaginął" w czasie przejazdu z więzienia generał Zagórski i poaresztowano cały szereg byłych wyższych oficerów i urzędników. Zaginięcie gen. Zagórskiego tłumaczyłem bez żadnych ogródek jego zamordowaniem, na co gorąco oburzał się Daszyński, który nawet zamieścił w "Pobudce" odpowiedni artykuł.

W takich warunkach Komisja Centralna dnia 15 września 1927 powzięła uchwałę, w której stwierdziłem, że "w stałym i systematycznym dążeniu, sprzecznym z duchem obowiązującej Konstytucji, do ograniczeń wszelkich urządzeń demokratycznych, a przede wszystkim praw Sejmu, jako demokratycznej reprezentacji narodu - w niesłychanym skrępowaniu wolności pracy, w dążeniu do rozbicia, względnie podporządkowania sobie wszelkich partyj politycznych, organizacyj zawodowych i społecznych, wreszcie w coraz częściej powtarzających się napadach

"niewyśledzonych sprawców" na niemiłe rządowi osoby - tkwi świadoma i celowa dążność do obalenia obecnego ustroju demokratyczno-parlamentarnego i zastąpienia go ustrojem dyktatorsko-faszystowskim". Wobec tego Komisja Centralna zwróciła uwagę na "niebezpieczeństwo grożące /.../ z poczynań obecnego rządu" i wezwała "wszystkich robotników do jak najściślejszego zespolenia się w organizacji zawodowej celem obrony swoich interesów klasowych, obrony demokracji i jej urządzeń oraz przeciwstawienia się wszelkim możliwym zakusom w kierunku wprowadzenia jakiejkolwiek - jawnej czy ukrytej - formy dyktatury jednostki lub kliki". Oświadczyła przy tym Komisja Centralna, że "w razie naruszenia zasad demokracji, ponad dyktaturę jednostki wybrać by musiała dyktaturę zorganizowanej klasy robotniczej".

Stanowisko nasze wywołało burzę - nie z powodu treści uchwały, która była niewinna i słuszna - lecz dlatego, że uderzała w Piłsudskiego i wskazywała konsekwencje jego antydemokratycznych poczynań. Wszyscy jego bliżsi i dalsi zwolennicy rzucili się na mnię, starając się za wszelką cenę zrobić ze mnie "komunistę" i zwolennika "dyktatury proletariatu". Zaczęła się niegodna nagonka, w której wziął udział cały szereg naszych towarzyszy po to tylko, by odwrócić uwagę od niebezpieczeństwa, które przedstawiał sobą i swoją dyktaturą Piłsudski dla klasy robotniczej i dla socjalizmu. W Warszawie, w Krakowie i w całym szeregu innych miejscowości towarzysze zwoływali "zebrania partyjne" i wygłaszali odczyty, by krytykować uchwałę Komisji Centralnej i wskazywać, że wstąpiłem na drogę komunizmu. Nawet Daszyński napisał niemiłą broszurkę, w której - nie wymieniając mego nazwiska - starał mi się imputować propagandę na rzecz "dyktatury proletariatu", chociaż wiedział, że nienawidziłem całą duszą każdej dyktatury i chciałem jedynie bronić demokracji przed dyktatorskimi zakusami Piłsudskiego. Odpowiedziałem też publicznie, tłumacząc, że "jak długo klasie robotniczej nie odbiera się praw swobodnej agitacji w słowie i w prasie, jak długo każdy obywatel ma zagwarantowaną wolność słowa i przekonań - i jak długo uznana jest zasada, że prawo dyktuje wola większości narodu - tak długo klasa robotnicza nie ma potrzeby i nie może schodzić z drogi demokracji". Ale "położenie robotników staje się najzupełniej odmienne w razie obalenia ustroju demokratycznego". W końcu napisałem, że "dziś w Polsce jeszcze nie jest za późno", toteż tym bardziej "klasa robotnicza musi wytężyć wszystkie siły, by bronić demokracji i jej urządzeń.

Nie pomogło to zbyt wiele, by sanacja chciała przez swą agitację zdobyć jedynie atut przeciwko Związkom i przeciwko mnie - w okresie, kiedy kończyła się właśnie kadencja sejmowa i miały się odbyć nowe wybory.

Kandydowałem, jak zawsze, w tym samym okręgu Kraków-Chrzanów-Miechów, a ponieważ Daszyński nie zajmował się okręgiem zbyt dużo, cały ciężar walki i pracy spa-dał na barki moje i Kwapińskiego. Piłsudski, chcąc mieć swobodę nadużyć wyborczych zamianował wbrew prawu głównym komisarzem wyborczym p.Cara i rozpoczęła się agitacja wyborcza, w której w poszczególnych okręgach jeździli i agitowali na rzecz kandydatów sanacyjnych nawet starostowie - i na nowo odżyło terroryzowanie i kupowanie ludzi, jak za najlepszych czasów "wyborów galicyjskich". W moim okręgu naczelnik bezpieczeństwa w województwie krakowskim p. Dziadosz porozumiał się z wydalonym z naszych związków z powodu konszachtów z komunistami Czumą i płacił mu subsydia, by ten tylko kandydował i odrywał nam w ten sposób głosy robotników. Te wszystkie sztuczki nie pomogły jednak - i Piłsudski mimo stosowanego terroru zdołał skupić za sobą zaledwie 27% głosów, a my w naszym okręgu zdobyliśmy czwarty mandat socjalistyczny, który przypadł w udziale bardzo miłemu i wartościowemu górnikowi Janowi Nosalowi z Brzeszcz, który potem zginął zamordowany przez Gestapo w czasie okupacji niemieckiej.

Nowy klub poselski wybrał na swego prezesa tow. Zygmunta Marka i na tym tle pomiędzy mną a Barlickim, z którym byłem dotychczas w serdecznej przyjaźni, wynikły scysje i obrazy, jakkolwiek powiedziałem mu jasno, że moim zdaniem on na to stanowisko nie powinien kandydować i że powinien pozostawić je Markowi. Te nieporozumienia wykorzystał człowiek niesłychanie ofiarny, ale ulegający zawsze wpływom swego dawnego przyjaciela Sławka, tow. Kazimierz Pużak, sławny bojowiec i długoletni więzień, który dotąd pełnił przy Barlickim rolę sekretarza

ców, bez większego znaczenia. Podjudzając teraz Barlickiego przeciwko mnie, zdobywał równocześnie coraz to większy wpływ na niego i na partię, aż wreszcie stał się niemal nieograniczonym jej panem.

Nowy Sejm, zaczerpnąwszy siły ze społeczeństwa, stanął też dzielnie do obrony zagrożonej demokracji. Już na pierwszym posiedzeniu w styczniu 1928, na którym zamiast prezydenta sesję otwierał w jego imieniu Piłsudski, powstała awantura, w czasie której przygotowana z góry policja wpadła - zupełnie, jak za czasów Abrahamowicza w Wiedniu - na salę obrad, wyciągając z ław poszczególnych posłów. W wynikłej walce wziął udział osobiście nowy minister spraw wewnętrznych, generał Składkowski, komenderując policjantami - prawdopodobnie przekonany, że w ten sposób pokaże "siłę" rządu i podniesie jego autorytet. Druga scysja wynikła zaraz po tym przy wyborze nowego marszałka. Piłsudski chciał, by prezydium Sejmu objął prof. Bartel, tymczasem Sejm wybrał marszałkiem tow. Ignacego Daszyńskiego.

Niedługo po tym rozchorował się Piłsudski, a prezydium Rady Ministrów objął na nowo nieoceniony dla sanacji prof. Bartel. W gruncie rzeczy był to przyzwoity i postępowy człowiek, demokrata, który zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie przedstawiał dla demokracji marsz. Piłsudski, ale był za słaby, aby mu się oprzeć. Nieraz w rozmowach osobistych z nami krytykował go bardzo ostro, a raz - gdy tow. Marek w mojej obecności zapytał Bartla, dlaczego dał się znowu nadużyć i stanął na czele rządu - ten zaczął się tłumaczyć, że Piłsudski tak go gorąco prosił i głaskał po kolanach i mówił: "panie Kazimierzu, zróbcie mi to jeszcze raz", że nie mógł mu tego odmówić!

Poza tym prof. Bartel zdawał sobie jednak dokładnie sprawę z wartości sanacji i swych ministerialnych kolegów. Na audiencji, na której byłem u niego razem ze Stańczykiem i Retingerem, który przedstawił jakiś fantastyczny pomysł w związku z eksportem węgla, prof. Bartel, zapalając się, prosił, by na razie o tej sprawie nic nie mówić, bo minister skarbu Matuszewski - to człowiek, który by gotów był sprzedać nawet własną duszę; ministra przemysłu interesuje w gruncie rzeczy tylko jedno zagadnienie w życiu: jak się ma upozować na pomniku w Gdyni - z ręką wyciągniętą naprzód czy złożoną na piersiach - a o ministrze pracy Prystorze powiedział, że on jest tak "durnowaty" i tępy, że w ogóle nie zdaje sobie sprawy, co z nim robią na świecie. Nie przeszkodziło to jednak p. Bartelowi w krótkim czasie po tym wygłosić na trybunie Senatu mowy, w której cały rozum i poczucie odpowiedzialności widział w tym właśnie rządzie i w tych właśnie ministrach.

Ten rząd Bartla zaprosił do Warszawy Radę Administracyjną Międzynarodowego Biura Pracy, która od pewnego czasu każdą swoją sesję jesienną odbywała w coraz to innej stolicy. W tym roku więc odbyła ją w Warszawie, a potem - w następnych latach - zapraszały ją inne państwa: Niemcy do Berlina; Francja do Paryża; Belgia do Brukseli i Antwerpii; Hiszpania do Madrytu i Czechosłowacja do Pragi. W Warszawie zaczęły się ustawiczne przyjęcia, uroczystości i obiady, które były tak męczące, że nie byłem już w stanie brać w nich udziału. W Radzie Administracyjnej zasiadałem już stale od roku 1925. Raziło mnie w jej obradach zawsze to, że rozszczepiano tam dane zagadnienie niemal na atomy, dysputowano godzinami o jakichś kwestiach formalnych i wygłaszano - a zwłaszcza robił to Jouheaux i dyrektor Biura Albert Thomas - namiętne mowy, które kończyły się zazwyczaj bardzo niewinnymi uchwałami. Kiedy słuchałem tych mów i patrzyłem na te gorące walki o jakieś takie czy inne jedno słowo, odnosiłem nieraz wrażenie, że jak dzieci kłócimy się, jak pomalować kamyczek, by potem - gdyśmy się wreszcie, po długiej walce, zgodzili na jakąś najmniej rażącą barwę - rzucić go do wody i podjąć z brzegu nową zabawkę z taką samą kłótnią. Podjętych bowiem uchwał - konwencyj lub zleceń - nikt prawie nie chciał ratyfikować, a kto je ratyfikował - patrzył, by je tylko obejść. Toteż Rada Administracyjna Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie była jedną instytucją, w której zasiadając nie przejmowałem się zbytnio jej pracami. A jeśli mimo to tkwiłem w niej tyle lat, to tylko dlatego, że dawało mi to dużą swobodę ruchu, możność komunikowania się bez trudu z towarzyszami zagranicznymi i pewną niezależność finansową.

Wtedy to, na sesji warszawskiej, zaprosił do siebie na podwieczorek

grupę robotniczą tow. Daszyński - i w rozmowie z nim dowiedziałem się o nowym planowanym zamachu na całość partii i związków zawodowych.

Zaraz po wyborach Piłsudski, który zaciecie zwalczał "partyjnictwo" i "partie", założył sobie własną, - tylko nazwał ją "Bezpartyjnym Blokiem Współpracy z Rządem" - BBWR - i jako program wysunął wysługiwanie się jej każdemu rządowi za doraźne korzyści. Ponieważ Blok wyszedł z wyborów niezbyt wielki, a miał wielkie pretensje rządzenia, starał się więc zdobywać nowych członków przez odrywanie poszczególnych ludzi od macierzystego pnia i rozszczepianie dotychczasowych stronnictw. Pierwsze sidła zostały zastawione na PPS. Część jej członków, pod egidą przewodniczącego Rajmunda Jaworowskiego, rozpoczęła bez wiedzy partii wydawanie własnego pisma pod pretekstem, że jest to pismo Moraczewskiego, wydalonego już w międzyczasie z PPS. Towarzysze, unikając rozłamu, zamykali oczy na te, coraz bardziej bezczelne akty bezkarności, lecz ja na posiedzeniu CKW /Centralny Komitet Wykonawczy/ doprowadziłem swymi zapytaniami do tego, że wreszcie Jaworowski musiał puścić farbę i CKW, chcąc czy nie chcąc, musiał zawiesić go w prawach członka. Wtedy to Jaworowski i cały szereg towarzyszy utworzyli odrębną grupę "Frakcji Rewolucyjnej PPS", która rozpoczęła już otwartą walkę z Partią i ze Związkami Zawodowymi. Jaworowski chciał przede wszystkim opanować Radę warszawską i warszawskie oddziały związków, a dopomagał mu pod tym względem "radykał" socjalistyczny poseł Gardecki, który przy wyrobionej metodzie podejść i nieszczerości chciał w ten sposób zyskać na czasie, by potem, po odpowiednich przygotowaniach, postawić organizację przed faktem dokonanym. Ustaliwszy więc ten faktyczny stan rzeczy, zaproponowałem Komisji Centralnej rozwiązanie Rady warszawskiej, przez co udało mi się zdusić niebezpieczeństwo w zarodku. Nastąpił jednak okres napadów "jaworowszczyków" na poszczególnych towarzyszy i na lokale związkowe - i trzeba było dużo hartu i wytrwałości, by móc te wszystkie ataki odeprzeć - tym bardziej, że było wśród nas wielu takich, którzy się chwiali , a chwiał się wtedy jeszcze nawet sam Daszyński. Na zwołany do Sosnowca z początkiem 1929 r. Kongres PPS, na którym przewodniczyłem, Daszyński nie przybył, lecz przysłał bardzo dyplomatyczny list, a poszczególni towarzysze, jak dr Bobrowski i inni, też nie mogli się zdecydować, po której stronie stanąć - zwłaszcza, że równocześnie odbywał się też kongres PPS Frakcji Rewolucyjnej w Katowicach.

Środkami propagandowymi wśród klasy robotniczej za nową organizacją, którą na szyderstwo nazwano BBS miały być "realne" zdobycze nowej grupy. Posłanka Praussowa postawiła więc wniosek o jakąś pomoc dla bezrobotnych, którym rząd odbierał coraz bardziej zasiłki, a inny "bebesowiec" referował przedłożenie rządowe o scalonych ubezpieczeniach społecznych, łącznie z ubezpieczeniem na starość.

O tym projekcie mówiłem bardzo wiele z ówczesnym ministrem Jurkiewiczem, jeszcze jako z dyrektorem Departamentu Ubezpieczeń Społecznych, z którym jedynym spośród ministrów utrzymywałem stosunki dość dobre, jakkolwiek cały rząd potępiałem bardzo ostro. Minister Jurkiewicz pocieszał mnie zawsze, że te wszystkie, przykre nieraz i na pozór antydemokratyczne pociągnięcia rządu skończą się z chwilą, gdy tylko rząd doprowadzi do odpowiedniej równowagi pomiędzy władzą wykonawczą a ustawodawczą.

Przedłożony przez niego 23 lutego 1929 roku projekt ubezpieczenia na starość, jakkolwiek odbiegał już daleko od naszych dawnych projektów, to jednak nie był jeszcze najgorszy. Toteż w Sejmie stanąłem po jego stronie, zapowiadając jedynie walkę o zmianę tych tez, które uważałem za złe. Oświadczyłem, że nie chcę współzawodniczyć o zasługę dojścia do skutku tej ustawy i "wystarczy mi radość /.../, że to, cośmy uważali za niezbędnie potrzebne, zostaje zrealizowane", a ci "którzy w tym wyścigu chcą zyskać palmę pierwszeństwa, niech robią wszystko w kierunku poprawienia tej ustawy/.../. Rada Ministrów, która by pragnęła dziś wić sobie wieńce laurowe za to, że przychodzi z tym projektem, niech nie zapomina, że przyszła niemal ostatnia ze wszystkich krajów europejskich i że cały wydatek na starców robotniczych ze skarbu państwa preliminowała 12 milionów złotych tj. niewiele ponad to, czego żąda minister spraw wewnętrznych w funduszu dyspozycyjnym dla siebie". Żądałem więc wydatnego podwyższenia tej kwoty, obniżenia granicy wieku dla starców - i wskazywałem, że "wszelkie zakłady ubezpieczeń wtedy tylko spo-

swoje zadanie, gdy kierowane są przez samych ubezpieczonych".

Ostatnim pożytecznym aktem ministra Jurkiewicza było przygotowanie na Wystawę poznańską osobnego pawilonu ubezpieczeń społecznych, w którym nakręcona płyta - nawet już po zniesieniu ich autonomii - codziennie powtarzała jeszcze, jakby na ironię, że "podstawą ubezpieczeń społecznych jest samorząd ubezpieczonych". Wspomniany projekt scalonych ubezpieczeń i zasadę autonomii przekreślił jednak nowy rząd, który stanął na stanowisku walki z całym społeczeństwem.

Piłsudski bowiem obraził się na nie i na Sejm, że śmiał badać zamknięcia budżetowe rządu za rok 1927/8 - i żądać odnośnych przedłożeń kredytowych. Okazało się bowiem, że rząd Piłsudskiego przekroczył uchwalony budżet o przeszło pół miliarda złotych i że wśród tych przekroczeń była pozycja 8 milionów złotych, wydanych na agitację wyborczą za kandydatami sanacyjnymi. Ówczesny premier prof. Bartel obiecywał wprawdzie przedłożyć Sejmowi odnośne wnioski, lecz zwlekał z tym nie wiadomo dlaczego - tak, że wreszcie opozycja, po wysłuchaniu sprawozdania prezesa Najwyższej Izby Kontroli Państwa, który gospodarkę tę uznał za "nielegalną" - pociągnęła ministra skarbu Czechowicza do odpowiedzialności przed Trybunał Stanu. Jednym z trzech oskarżycieli był tow. Lieberman, który na rozprawie w czerwcu 1929 stoczył wspaniałą kampanię z Piłsudskim.

Już przedtem Piłsudski - gdy tylko dowiedział się o zarzutach co do przekroczeń budżetowych - starał się skierować je w inną stronę. W tym też celu na posiedzeniach Komisji Budżetowej senatu dnia 28 lutego postawił lekkomyślnie zarzuty, mówiąc, że "historia naszych budżetów wojskowych polega nie na czym innym, jak na kradzieży wyraźnej i defraudacji możliwie daleko posuniętej; na wydawaniu z budżetów wojskowych na sute libacje z dziewczynami z domów publicznych, robione dla panów posłów przez panów ministrów". Na najbliższym posiedzeniu Sejmu postawiłem więc przed porządkiem dziennym, imieniem PPS, zapytanie pod adresem marszałka Sejmu następującej treści: "Jako Sejm i posłowie nie mamy innej możliwości wglądu w gospodarkę groszem państwowym, za którą czujemy się być odpowiedzialni, jak tylko przedkładane nam zamknięcia rachunkowe i sprawozdania NIKP. Zamknięcia te, przedłożone nam przez rząd obecny, w którym uczestniczy p. marszałek Piłsudski, za lata ubiegłe, skontrolowane i zatwierdzone przez NIK, jak również jej sprawozdania, żadnej wzmianki o tego rodzaju nadużyciach i kradzieżach w sobie nie zawierają/.../. Nie możemy pozwolić ujść bezkarnie winowajcom - zarówno posłom, jak i ministrom - wobec których, jako oficerów czynnych armii, p. marszałek Piłsudski, pełniący od trzech lat funkcję szefa rządu i ministra spraw wojskowych, nie wiemy dlaczego nie zastosował dotąd żadnych sankcyj karnych. Dlatego prosimy pana Marszałka, aby zwrócił się do Prezesa NIK oraz do Ministra Spraw Wojskowych z żądaniem udzielenia nam wyjaśnień, jakie defraudacje, jacy posłowie i ministrowie i w jakich rozmiarach z budżetu wojskowego na szkodę państwa popełnili, a to celem pociągnięcia winnych do odpowiedzialności. Tolerowanie bowiem tych kradzieży i nadużyć mogłoby ściągnąć na nas, jako na Sejm, jak również na każdego, kto przez nieujawnienie sprawców przyczyniłby się w ten sposób pośrednio do zapewnienia im bezkarności /.../ zarzut współwiny". Zapytanie to zrobiło duże wrażenie, a Piłsudski nie mógł na nie nic odpowiedzieć. Wolał więc w dalszym ciągu zbeszczeszczać Sejm, a gdy w tych warunkach podał się do dymisji rząd prof. Bartla, powołał nowy z "pułkowników", pod przewodnictwem p. Switalskiego, który miał rozpocząć ostrzejszy kurs przeciw opozycji.

Powoli ustawały nawet pozory demokracji. Na posiedzeniu Trybunału Stanu Piłsudski wygłosił mowę, w której Sejm i posłów obrzucił stekiem najordynarniejszych wyzwisk i zapowiedział, że gdyby on był premierem to "Trybunał Stanu nie ośmieliłby mu się zebrać ani razu, "szajki Jaworowskiego rozhulały się coraz bardziej bezczelnie; prezes BBWR płk Sławek, na zgromadzeniu w Łodzi zapowiedział, że "trzeba odebrać placówki organizacyjne takim ludziom, jak Lieberman, Diamand, Kwapiński i Zuławski" i że "lepiej połamać komuś kości, jednemu z nich, niż wyprowadzić na ulicę karabiny maszynowe", a nowy minister pracy Prystor, zgodnie z zapowiedzią p. Sławka, cynicznie łamał postanowienia ustawy przez swój atak na samorząd Kas Chorych. Wszystko to miało być przygotowaniem do zmiany Konstytucji, toteż coraz bardziej zdawałem sobie sprawę, że ocalić

niezależność Związków, obronić dorobek zdobyty na terenie ustawodawstwa robotniczego i zabezpieczyć samorząd wspaniale rozwijających się Kas Chorych można tylko przez podjęcie wielkiej akcji politycznej.

W życiu politycznym brałem zawsze żywy udział i jeszcze za czasów austriackich zasiadałom w komitecie wykonawczym Partii, a na I Kongresie Związków Zawodowych postawiłem wyraźnie tezę, że Związki "uznają akcję partyj politycznych za niezbędną i konieczną". Stosownie do tego należałem więc sam do PPS, zasiadałem w jej najwyższych ciałach: w CKW i w Radzie Naczelnej, której byłom nawet wiceprezesem, lecz ze względu na pracę na terenie Związków Zawodowych, Kas Chorych i sejmowej Komisji Pracy - musiałem pracę polityczną pozostawić innym. Teraz wysunęła się ona dla mnie jako główne zadanie - i z konieczności wchodziłem na arenę polityczną, by bronić tego, co stało się treścią mego życia, prawa do walki i demokracji.

Tak samozresztą, jak ja, ocenił sytuację IV Kongres Związków Zawodowych odbyty w Warszawie, w dniach 30 maja do 2 czerwca 1929 roku, który stwierdził, że w państwie "swobody demokratyczne są systematycznie deptane. Samowola administracyjna kwitnie. System represyj stosowany jest szeroko i bez skrupułów wobec organizacyj zawodowych i politycznych. Olbrzymie procesy polityczne kończą się surowymi karami na działaczy robotniczych i chłopskich. Ograniczenia prawa zgromadzeń, konfiskaty prasy socjalistycznej i zawodowej, ucisk mas pracujących i mniejszości narodowych". W obliczu tego niebezpieczeństwa Kongres wezwał cały zawodowo zorganizowany proletariat "do walki o jak najrychlejszą likwidację dzisiejszego systemu, o demokrację, o rząd robotniczo-włościański!".

Rozdział VIII

NA ARENIE POLITYCZNEJ

Stanąłem więc do tej walki z całą energią i siłą. Minister pracy nowego rządu rozpoczął, jak wspomniałem, swą akcję od rozwiązywania autonomicznych zarządów Kas Chorych - i rozwiązał je we Lwowie, w Krakowie, w Łodzi, w Radomiu, w Bielsku, w Częstochowie, w Chrzanowie oraz w Związku ogólnopaństwowym; w ogóle wszędzie, gdzie ruch robotniczy był silny, nie bacząc zupełnie na to, że tego rodzaju represje polityczne muszą podeiąć egzystencję instytucji ubezpieczeń społecznych. Akcję tę, podjętą wbrew prawu, p.Prystor starał się wytłumaczyć rzekomymi "nadużyciami", których jednak nie zdołał ustalić nigdzie - i na miejsce rozwiązywanych zarządów wprowadzał bezprawnie komisarzy, często indywidua wprost z kryminalną przeszłością.

Po moim urlopie, który jak zwykle spędziłem w Jugosławii, nowa sesja Sejmu rozpoczęła się pod znakiem jakiegoś uplanowanego gwałtu. Piłsudski kazał bowiem około stu oficerom zgromadzić się w westybulu Sejmu, lecz gdy spostrzegł to Daszyński, wezwał ich jako marszałek Sejmu do opuszczenia gmachu. Oficerowie jednak pozostali nadal, bo - jak to dowcipnie potem wytłumaczył Piłsudski - nie dostali od niego "rozkazu", by wyjść. Pozostali więc i oni, którzy chcieli sobie tylko niewinnie kupić znaczki na poczcie, i Piłsudski, który się naraz zjawił w zastępstwie "chorego" premiera Switalskiego. Lecz w tych warunkach odmówił otwarcia posiedzenia "pod bagnetami, karabinami i szablami" - Daszyński. Piłsudski jak niepyszny musiał ustąpić i ulżył sobie tym, że na odchodnym powiedział Daszyńskiemu "dureń".

Zaraz po tym - na skutek scysji z płk Sławkiem i ohydnego artykułu Moraczewskiego - rozchorował się Marek, który - nie odzyskawszy już sił i zdolności do pracy - umarł w niedługi czas później.

Po tych występach Piłsudski, względnie jego manekin prezydent Mościcki, odroczył sesję na miesiąc, a PPS i Związki odbyły w dniu 14 listopada szereg zgromadzeń agitacyjnych, na których ja z Liebermanem przemawialiśmy spokojnie w Krakowie, ale niektóre z nich gdzie indziej - zwłaszcza w Warszawie - skończyły się ohydną masakrą ze strony policji.

Ponieważ w międzyczasie Najwyższa Izba Kontroli Państwa /NIK/ wykazała, że rząd znowu dokonał przeszło półmiliardowych przekroczeń budżetu i że w resorcie poczt i telegrafów uskuteczniał wydatki, które miały "bądź charakter wydatków osobistych ministra, podyktowanych względami towarzyskimi", opozycja na najbliższym posiedzeniu postawiła wniosek o "votum nieufności" dla rządu p. Switalskiego. Wniosek został uchwalony, a p. Switalski ustąpił, zostawiając znowu wolne miejsce prof. Bartlowi, który w dalszym ciągu chciał "bartolować" pomiędzy demokracją a dyktaturą. Oświadczył on, że przychodzi z "dobrą wolą" współpracy z Sejmem, ale równocześnie chciał, by "zasada autorytetu" uznana była za taką samą "trwałą wartość dorobku ludzkości, jak nimi są zasady równości i wolności". Nie rozumiał on, że pomiędzy nimi a "autorytetem" nie ma rozbieżności, o ile on siłę moralną dla swych koncepcyj czerpie z większości. Walka rozgorzała też nie pomiędzy "równością i wolnością", a "autorytetem" lecz pomiędzy demokracją a dyktaturą - walka której nie można już było powstrzymać.

Ja w tej walce zacząłem przede wszystkim coraz ostrzej atakować ministerstwo pracy, które p. Bartel pozostawił w rękach znienawidzonego Prystora - i przedstawiłem, że pod jego kierownictwem straciło ono zupełnie swe dotychczasowe znaczenie i charakter. Wykazałem, że stało się to właśnie na skutek zerwania stosunków z organizacją zawodową, bo tylko przy jej bezpośrednim współdzia-

łaniu i czynnej pomocy klasy robotniczej Ministerstwo to mogło spełniać swoje zadanie. Dziś "rozwój inspekcji pracy, a zwłaszcza powoływanie przewidzianych ustawą asesorów robotniczych zostało wstrzymane, a wraz z tym /.../ posunięte zostało bezkarnie łamanie obowiązującego ustawodawstwa robotniczego /.../. Minister pracy rozporządzeniem z dnia 28 listopada 1929 za jednym zamachem zniósł 46 godzinny tydzień pracy, zniekształcił urlopy oraz uchylił działanie dekretu o umowie pracy /.../. Projekt ustawy o ubezpieczeniu na starość został z Sejmu wycofany /.../, a minister zlikwidował wszelką działalność w dziedzinie ochrony pracy, rozjemstwa, rozbudowy ustawodawstwa robotniczego i opieki nad bezrobotnymi /.../. W zamian za to roztoczył on "radosną twórczość" na terenie Kas Chorych /.../. W rozpoczętej walce politycznej p.minister Prystor nie zachował nawet pozorów jakiej takiej przyzwoitości. Na stanowisku komisarzy, mających rozstrzygać o losie chorych robotników i o gospodarce pieniędzmi robotniczymi, do zebrania których p. Prystor nie przyczynił się niczym, powoływano ludzi, których jedyną kwalifikacją miała być pokora i uległość. Tętoż stanowiska sanacyjnych sfor, zajmowali ludzie, publicznie oskarżeni o szpiegostwo, o nadużycia, o szantaże, a nawet o kradzieże, ludzie pół-poczytalni, jeżeli tylko była pewność, że odpowiedzą obu poprzednim wymienionym wymogom".

Działalność tę przedstawiłem też na posiedzeniu Komisji Budżetowej Sejmu, mówiąc, że "jedne Kasy rozwiązuje się za to, że coś zrobiły; inne, że tego samego nie zrobiły. Zarząd Kasy łódzkiej rozwiązano, chociaż minister Jurkiewicz podawał ją za wzorową /.../. W Pińsku komisarzem jest osobnik karany 6 miesiącami więzienia za dezercję; w Nadwórnej - za kradzież. We Lwowie komisarzowi udowodniono szpiegostwo na rzecz rządu austriackiego /.../. Naczelnym lekarzem w Kasie warszawskiej zamianowany został bez konkursu i bez długoletniej praktyki lekarz ze Wschodu z 4000 złotych pensji miesięcznej, bo był szwagrem p. ministra /.../. W Łodzi dr Bogusławski, który w Ameryce był przedstawicielem Kołczaka i jednocześnie prowadził konszachty z bolszewikami /.../, gdy mu za to nawymyślano od złodziejów, powiedział, że to nieporozumienie /.../ i dostał się na burmistrza Rady Pabianickiej /.../ a teraz reprezentuje pana ministra".

Ci komisarze usuwali też starych urzędników kasowych bez litości. "W Krakowie wynikło z tego powodu 60 kilka procesów, z których ani jednego komisarz nie wygrał, lecz Kasa została obciążona setkami tysięcy złotych". Nowy dyrektor Departamentu p. Geetel tłumaczył, że wszystkie te poczynania wynikły z konieczności "unarodowienia tej gałęzi pracy państwowej", a minister pracy "Swiadczył się Bogiem", że mianowanie szwagra było tylko "dziwnym zbiegiem okoliczności" i starał się prostować, tłumaczyć i zaprzeczać. Miałem jednak potem tę satysfakcję, że na publicznym posiedzeniu Sejmu mogłem stwierdzić, iż podnoszone przeze mnie zarzuty okazały się prawdziwe, a p. Geetla, który miał mnie i robotników "unaradawiać", widziałem po latach z wielką swastyką u klapy, jak dla odmiany "odnaradawiał" ich jako komisarz rządu niemieckiego ."To był - jak pisał wówczas "Robotnik" - dzień sądu nad całą działalnością pułkownikowskiego" ministra pracy i opieki społecznej."

Kiedy więc ja prowadziłem w ten sposób walkę na terenie działalności ministerstwa pracy, to równocześnie bardzo ostro prowadził ją tow. Lieberman na tle przekroczeń budżetowych. Sprawa oskarżenia ministra Czechowicza przed Trybunałem Stanu nie była bowiem jeszcze zakończona, gdyż Trybunał zażądał jeszcze jakichś dodatkowych oświadczeń od Sejmu. By uniemożliwić dyskusję i zajęcia stanowiska przez Sejm, BBWR zaczął teraz stosować techniczną obstrukcję. Na wyznaczone posiedzenie uzbroił swych członków i przygotował zbrojny napad - do tego stopnia, że na galerii kuluarów dziennikarze wystawili białą chorągiew z czerwonym krzyżem z napisem: "Tu ranni mogą być opatrzeni". Przygotowania skończyły się pobiciem kilku posłów endeckich i zmasakrowaniem posła Rybarskiego, bo w międzyczasie sprawa Czechowicza została usunięta z porządku dziennego - i zdawało się, że ta burzliwa sesja dobiegnie spokojnie do końca, a rząd będzie mógł dalej rządzić wbrew woli Sejmu i społeczeństwa.

W ostatnim momencie podsadziłem jednak pod niego petardę, stawiając wniosek o "votum nieufności" dla ministra Prystora. Referowałem go wśród nie-

ludzkich krzyków i awantur posłów sanacyjnych, lecz wygrałem - i Pryster otrzymał "votum nieufności" wszystkimi głosami oprócz głosów posłów BBWR. W tej sytuacji jednak - zwłaszcza, że był jeszcze na porządku dziennym wniosek o "votum nieufności" dla ministra oświaty - prof. Bartel ustąpił, a Piłsudski, po komedii powierzenia misji utworzenia rządu marszałkowi Senatu p. Szymańskiemu i swemu bratu Janowi, czym chciał okazać, że Polską mogą rządzić tylko jego pułkownicy, zamianował premierem pułkownika Sławka, prezesa BBWR.

Na tej sesji zostałem wybrany wice-marszałkiem Sejmu i na wiadomość o tym przysłał mi serdeczny list dyrektor Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie p. Albert Thomas, a towarzysze krakowscy urządzili mi bardzo miłą owację.

Ta burzliwa sesja Sejmu dobiegła wreszcie do końca, lecz wywołała jeszcze bardziej wrogi nastrój wobec rządu i poczynań Piłsudskiego. W tych warunkach opozycja postanowiła zwołać sesję nadzwyczajną Sejmu i w tym celu przedstawiła prezydentowi pismo z odpowiednią liczbą podpisów, na podstawie którego miał on, w myśl postanowień Konstytucji, zwołać nową sesję w przeciągu miesiąca. Zaczęła się niegodna zabawa. Prezydent zwołał wprawdzie tę sesję, lecz jednocześnie odroczył ją na 30 dni, a potem zamknął nie dopuszczając w ogóle do obrad.

Opozycja, zjednoczona w "Centrolewie" uznała to za naruszenie Konstytucji - i by przeciw temu zaprotestować, zwołała na 29 czerwca 1930 roku do Krakowa Kongres Obrony Prawa i Wolności. Ostatnie posiedzenie przed Kongresem odbyło się w moim mieszkaniu w Krakowie - i wtedy to skonstatowaliśmy, że ktoś rozesłał depesze po kraju: do Witosa, że demonstracja się nie odbędzie, bo zdradzili socjaliści, a do mnie - dlatego, że zdradzili ludowcy. By zapobiec demonstracji, nie pozwalano ludności jechać furmankami; rekwirowano autobusy; stwarzano coraz to nowe trudności, lecz mimo to zebrała się potężna delegacja z całego kraju - chłopi, robotnicy, inteligencja - ludowcy, socjaliści, chadecy i enpeerowcy - przeszło 40 tysięcy ludzi, którzy w olbrzymim pochodzie domagali się poszanowania prawa. Między innymi, na rynku Kleparskim przemawiałem również i ja, a potem - wspólnie z tow. Bastkiem, który był wówczas przewodniczącym OKR-u krakowskiego i posłem po zachorowaniu Marka - ustaliliśmy z władzami wojewódzkimi i kolejowymi odtransportowanie tych mas, które napłynęły do Krakowa.

Po zakończeniu Kongresu "Centrolewu" musiałem zaraz wyjechać, by wziąć udział w V Międzynarodowym Kongresie Związków Zawodowych w Sztokholmie, w lipcu 1930, który też miał być wielką demonstracją za demokracją. Na plenum byłem sprawozdawcą komisji do walki z faszyzmem i referowałem odnośną rezolucję, a potem - już trochę zmęczony - wyjechałem na urlop do Jugosławii.

Lubiłem bardzo te wyjazdy. Już od Budapesztu wpadłem w nowy świat: to muzyka cygańska, to Margareth Biget, to znowu miły Belgrad i Sarajewo pełne meczetów wschodnich, kramów, zakwefionanych kobiet i mężczyzn w narodowych strojach, z fezami na głowach; to znowu cudowna wycieczka do Kotoru, na Łowczen i do górzystej Cetynii, a poza tym - pływanie na Adriatyku i pławienie się w słońcu. W czasie jazdy powrotnej - razem z Jasiem Stańczykiem i z Dolką - zatrzymałem się w dzikiej, ale uroczej miejscowości kroackiej Pletwickie Jezera. Była to cicha, senna dolina, położona wśród lasów i dziewięciu jezior różnej wielkości, na różnych poziomach i o różnych barwach, która przechodziła później w dziki wąwóz pełen fantastycznych grot i wodospadów. Tam to właśnie wyczytałem wiadomość o objęciu rządu przez Piłsudskiego, który po powrocie z Madeiry poczuł się na tyle silny, że postanowił stanąć sam na czele walki, którą toczył z Sejmem i z dotychczasową Konstytucją. Gdy więc tylko uskutecznił swe przygotowania, rozwiązał znienawidzony Sejm, w którym nie miał większości i który śmiał go oskarżać eti postanowił przeprowadzić wybory nowych ciał ustawodawczych, tak, by per fas i nefas zdobyć w nich większość, która by mu dała możność zmiany konstytucji.

Już na granicy zetknąłem się też z pierwszym gwałtem, które mnożyły się potem coraz bardziej i potworniej. Wbrew prawu władze kolejowe nie chciały respektować mej legitymacji poselskiej, jakkolwiek jako wicemarszałek Sejmu zatrzymałem wszystkie swoje funkcje i uprawnienia aż do czasu ukonstytuowania się nowego Sejmu. A zaraz potem następowały coraz to nowe nadużycia i coraz ohydniejsze bezprawia.

Piłsudski zarządził aresztowanie całego szeregu posłów i osadził ich w twierdzy wojskowej w Brześciu nad Bugiem, gdzie komendę objął znany z sadyzmu gen. Biernacki. Swoje zarządzenia uzasadnił żądaniem sądów, które rzekomo miały ścigać aresztowanych za jakieś "artykuły karne, których on nie znał", za "jakieś strzelania do policji, jakie macherki z wekslami, oszukaństwa, szantaże-no, i podobne paskudztwa", jakkolwiek potem okazało się, że te sądy musiały dopiero wymyślać motywy jego bezprawnych aresztowań - i znalazły je w udziale w Kongresie "Centrolewu", będącym legalną demonstracją, urządzoną za zezwoleniem władzy. W rzeczywistości aresztowania te miały na celu tylko sterroryzowanie wyborców i kandydatów oraz przygotowanie wyborów, w których by Piłsudski mógł wygrać. W tym celu rozpoczął on serię ohydnych paszkwilów, które nazwał "wywiadami" i w których obrzucał błotem partie, działaczy politycznych i Sejm, szkalując niegodnie ludzi, których winą było to jedynie, że patrzyli inaczej niż on na szczęście i przyszłość Polski.

Rozpoczęło się unieważnianie list kandydatów w robotniczych okręgach, przy czym między innymi unieważniono również listę socjalistyczną w okręgu chrzanowskim i olkusko-krakowskim - tak, że stracił mandat poselski tow. Kwapiński, a ja dostałem się do Sejmu już tylko jako kandydat miejskiego okręgu krakowskiego, gdzie kandydowałem równocześnie, po Daszyńskim, który mandat z Krakowa złożył, otrzymawszy go z listy państwowej. Zaczęto stosować wszędzie napady na poszczególnych ludzi; zaczęto zarzucać opozycyjne okolice fałszywymi numerkami wspólnej listy "Centrolewu", na którym "ktoś" niewidocznym drukiem zamieszczał jakieś sentencje i słowa - tak, by je można było potem unieważnić - i wreszcie rozpoczęły się najordynarniejsze oszustwa i kradzieże głosów z urny.

Przy tej metodzie Piłsudski rzeczywiście "wygrał", lecz nie otrzymał takiej ilości głosów, która by mu pozwoliła zmienić Konstytucję uchwałą ciał ustawodawczych. W czasie tej kampanii zachorował najprzód Daszyński - i on, wspaniały mówca, stracił możność mówienia - i nie podźwignął się już więcej, choć żył jeszcze siedem lat, a zaraz potem zachorował też na nowo marszałek Piłsudski. Chorobę tę starano się taić za wszelką cenę, stwarzając pozory jego pełnego zdrowia fizycznego i pełnej poczytalności. W tym celu wydano nawet odpowiedni dekret o "tajemnicach państwowych", wedle którego można było być karanym za zdradzenie wiadomości, nie będących w istocie tajemnicą i zawierających nawet prawdę, jeśli wiadomość ta mogła być szkodliwa dla państwa.

Po tak więc przeprowadzonych wyborach Piłsudski podał się do dymisji, a rząd w zimie 1930 roku objął na nowo pułkownik Sławek. Pierwszym zagadnieniem, które wyłoniło się po wyborach, to był Brześć. Aresztowanych posłów puszczono na wolność, lecz rząd nie wiedział, co z nimi teraz zrobić i jak umotywować ich aresztowanie - zwłaszcza, że podnosili oni coraz głośniejsze protesty i skargi na traktowanie ich i na bicie. Na podstawie zeznań aresztowanych przygotowałem bardzo gruntownie opracowaną interpelację, którą wręczył marszałkowi Sejmu z trybuny tow. Czapiński. Równocześnie na bliższym posiedzeniu odpowiedniej Komisji zaatakowałem z całą pasją ministra Sprawiedliwości Michałowskiego, który wówczas jako prokurator zarządził aresztowanie i zarzuciłem mu wprost popełnienie gwałtu i bezprawia. Wykręcał się on tylko kłamstwem - i tak samo kłamstwem ratował się p. Sławek, który twierdził, że "sprawę Brześcia zbadał i że nie było tam żadnych aktów sadyzmu", jakkolwiek nie przesłuchał skarżących się i doskonale wiedział, że skargi te były zupełnie uzasadnione.

Poza tą kwestią zająłem się również stosunkami, jakie zapanowały teraz w pozbawionych samorządu Kasach Chorych. Zgodnie z Uchwałą Komisji Centralnej poinformowaliśmy robotników o faktycznym stanie rzeczy i wezwaliśmy ich do bezpośredniej akcji przeciwko gospodarce komisarzy. Napisałem też artykuł, w którym na podstawie rzeczowego materiału wykazałem, jak od razu po zniesieniu autonomii Kas spadły świadczenia dla członków i jak zwrosły wydatki administracyjne, pensje komisarzy i lekarzy naczelnych.

Wreszcie rozpocząłem walkę z nową organizacją zawodową ZZZ /Związek Związków Zawodowych/, którą po nieudanej próbie Jaworowskiego, starał się teraz montować p. Moraczewski. Zwrócił się on do nas z "zaproszeniem" do wstąpienia do tej nowej organizacji pod hasłem "konsolidacja ruchu zawodowego" i utrzymania

go w zupełnej "niezależności i bezpartyjności". Odpisałem, że Związek Stowarzyszeń Zawodowych w Polsce stał zawsze na tym właśnie stanowisku i walczył o te zasady z wielu innymi towarzyszami, wśród których był również p. Moraczewski. "Nie o bezpartyjność idzie p. Moraczewskiemu i jego Związkowi Związków, lecz o uśpienie klasy robotniczej, sprowadzenie jej z drogi walki na drogę wysługiwania się Rządowi BBWR i zgrupowanym tam przedsiębiorcom". Związki zawodowe byłyby jednolite i skonsolidowane, gdyby nie rozbijał ich p. Moraczewski, który w liście sam do nas napisał, że po zjednoczeniu wszystkich odłamów, "federacyj" i "konfederacyj" Związek Związków będzie liczył 150000 członków. A ponieważ już sam Związek Stowarzyszeń Zawodowych w Polsce mimo spadku członków liczył ich jeszcze około 150 tysięcy, zapytałem Moraczewskiego, jak wyobraża sobie to "Zjednoczenie", w którym my, mając w ten sposób większość, przede wszystkim wykorzystalibyśmy ją do tego, by wykluczyć ze wspólnych szeregów jego, jako szkodnika klasy robotniczej.

Skończył się wprawdzie w ten sposób flirt z p. Moraczewskim i z ZZZ, lecz niestety w samej PPS nastąpiły teraz przykre zmiany. Umarł już dr Marek, Daszyński był ciężko chory, umarł Diamand, któremu dopiero co składałem jeszcze w rocznicę 70 letnich urodzin gratulacje imieniem całej organizacji zawodowej, nie wiele przedtem umarł mądry Perl, zasłużony redaktor "Robotnika", zdradził Moraczewski, nie ocknęli się jeszcze po Brześciu tow.tow. Lieberman i Barlicki - i pomału dawna elita polskiej socjalnej demokracji zaczęła się kruszyć.

Wreszcie po zjeździe PPS bez uprzedniego zawiadomienia, spławiono dotychczasowego przewodniczącego CKW tow. Barlickiego, a stanowisko po nim objął poczciwy, ale politycznie nie dość wyrobiony tow. Arciszewski. Oburzonego tym Barlickiego, z którym po Brześciu nawiązałem na powrót serdeczne stosunki, zastałem w korytarzu, jak słuchał tłumaczeń tow. Pużaka, że to "macki Belwederu sięgnęły aż tu - i że one to spowodowały jego upadek". Uważałem to za coś potwornego i chciałem, by razem z nimi oboma i z Liebermanem podjąć odpowiednią akcję. Niestety zauważyłem wnet, że tow. Pużak w praktyce stał przeciwko nam, a ponieważ już z rezultatu głosowania miałem pewne wątpliwości co do jego szczerości, zacząłem całą sprawę coraz skrupulatniej badać. Barlicki upadł jednym głosem. Z dziewięciu głosujących głosowałem na niego ja - i widziałem jak obok mnie głosowali na niego również: tow.tow. Czapiński i Kuryłowicz. Miałem więc wątpliwości tylko co do jednego głosu którym mógł być głos albo Niedziałkowskiego albo Pużaka. Niedziałkowski zaręczył mi, że głosował na Barlickiego, rosło więc we mnie coraz większe podejrzenie co do stanowiska Pużaka, które potem przeszło w pewność, gdy po latach tow. Kwapiński oświadczył mi wprost, że całą historię zmiany na stanowisku prezesa znał z rozmów z tow. Pużakiem. W ten sposób Belweder wyciągnął faktycznie swoje macki aż do środka Partii, tylko nie przypuszczałem, że mackami tymi stał się jej sekretarz generalny.

Kiedy w Polsce w ten sposób rok za rokiem zwyciężała dyktatura, to równocześnie w Hiszpanii podniosła głowę demokracja. Po zwycięstwach w wyborach samorządowych uciekł król hiszpański, a w rządzie zasiadł nasz stary przyjaciel, wypróbowany bojownik o prawa robotnicze, tow. Caballero, który prosił, by najbliższe posiedzenie Rady Generalnej Międzynarodów ' ' Zawodowej odbyło się w Madrycie.

Bezpośrednio więc po posiedzeniu Rady Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie wyjechałem do Hiszpanii, której dotąd prawie nie znałem. Zatrzymałem się w Barcelonie; rozkoszowałem się kwiecistymi "Ramblami", starym miastem i nowoczesnymi wspaniałymi bulwarami i nie mogłem się oprzeć pokusie zobaczenia Saragossy. Lecz tam w klasztorze "La Gracia", którego zdobycie opisał tak wspaniale Żeromski, nie pozostało już ani śladu. Pozostały jednak te same czarnookie Hiszpanki i te same cudowne katedry i bystro płynące Ebro. Zwiedziłem potem już razem z całą Radą Toledo i podziwiałem tam wiekowe uwarstwienie się kultur - to arabskiej, to żydowskiej, to znowu katolicko-hiszpańskiej - i dziwne, wspaniałe obrazy El Greca. W Madrycie odbywaliśmy posiedzenia w starej sali Senatu; patrzyłem z rozrzewnieniem na historyczny Puerta del Sol i nie mogłem się oderwać od arcydzieł Murilla, Velasqueza i Goyi zamieszczonych w galerii madryckiej.

Powróciwszy do kraju, zastałem już nowy rząd pod przewodnictwem p. Prystora, który - tak jak napisał Piłsudski w dedykowanej mu książce - "bronił jego woli wszędzie i zawsze" i "dla jego zwycięstwa stawał wszędzie, gdzie go posłał."

Na pierwszym posiedzeniu Sejmu, w jesieni 1931 r. zaatakowałem też mego "przyjaciela", z całą siłą. W swej książce "Pierwsze 15 lecie Polski niepodległej" pisał H. Swoboda /tow. Adam Próchnik", że "ze strony opozycji zabrzmiały podczas obrad sejmowych stanowcze głosy. Znalazły one zwłaszcza wyraz w mowach Zygmunta Żuławskiego". Mówiłem wówczas, że sanacyjni posłowie większości "mogą się nazywać formalnie sejmem, ale czują doskonale, że sejmem nie są /.../ Moralnego prawa imieniem ludu podejmowania decyzji i zobowiązań nie mają". "Słowo" wileńskie p. Mackiewicza napisało, że była to "po prostu najostrzejsza, najbardziej zawadiacka awanturnicza łajanina i nic więcej". A potem charakteryzował mnie pan redaktor, że "mógłbym być szlachcicem Borutą, gdyby mnie ubrano w kontusz; mógłbym być także Repninowskim kozakiem, piszącym list do sułtana, gdyby mnie znowu rozebrać do pół naga". "Wyrazy: krzykacz, wichrownik, demagog, pyskacz - pisał p. Mackiewicz, by ulżyć swej wściekłości - stosowane do posła Żuławskiego nie odzwierciedlają go dokładnie. Są to wyrazy zbyt słabo, groteskowo, pomniejszające siłę zła, która dominuje w tym człowieku".

Z końcem października 1931 rozpoczęła się wreszcie rozprawa przeciwko więźniom brzeskim. Spośród socjalistów oskarżeni zostali: Herman Lieberman, który wnosił oskarżenie przeciwko min. Czechowiczowi; Norbert Barlicki, jako długoletni prezes CKW i klubu posłów socjalistycznych; Mieczysław Mastek, - ówczesny prezes CKR w Krakowie, gdzie odbywał się Kongres "Centrolewu"; Stanisław Dubois, prezes organizacji młodzieży TUR i Adam Ciołkosz z Tarnowa.

W sądzie, tow. Lieberman powiedział wprost, że jest on "oskarżony dlatego, że był oskarżycielem przed Trybunałem Stanu", ale "żadnego uczynku w życiu publicznym nie żałuje i niczego nie odwołuje: niczego nie wypiera się i wierzy, że dyktatura runie pod naporem sił moralnych ducha narodu". To samo mniej więcej powiedział Witos - że jest "przeciwnikiem dyktatury i rządów jednostki z głębokiego swego przekonania"; że "nie on dokonał zamachu, ale on wraz z rządem stał się ofiarą zamachu"."A więc - mówił w końcu - kto inny zrobił zamach i spisek, a kto inny siedzi na ławie oskarżonych".

Przesłuchano między innymi również mnie, jako świadka, i na rozprawie zeznałem, że nie PPS i robotnicy przygotowywali zamach lecz sfery sanacyjne. Cytowałem słowa p. Świtalskiego; słowa red. Mackiewicza, który bez ogródek żądał oktrojowania konstytucji; słowa płk Sławka, że każdej chwili mogą zmienić konstytucję, nie potrzebując do tego parlamentu, oraz zapowiedź "Nowej Kadrowej" domagającej się publicznie nowego zamachu - i przedstawiłem, że tym zamiarom zamachowym my przedstawiliśmy jedynie chęć obrony prawa. "Nie my popełnialiśmy gwałty, lecz my byliśmy ustawicznie przedmiotem gwałtów". Powołałem się na planowany przeciwko mnie zamach, w którym jakaś szajka bandycka, nie mająca nic wspólnego z polityką, pod komendą znanego zbrodniarza Ząbika, przyjechała do Jaworzna aż z Zawiercia, by mnie zgładzić i tylko cudem uszedłem śmierci w zamachu, który ktoś jednak zamówił i finansował. Kongres "Centrolewu", w którym brałem udział i na którym przemawiałem, był legalną demonstracją, urządzoną za wiedzą i zezwoleniem władzy.

W parę dni po mnie zeznawał tow. Haecker, a gdy zaatakował rządy sanacyjne, zgłosił się jako "świadek" p. Dziadosz, ówczesny naczelnik wydziału bezpieczeństwa, który finansował właśnie Czumę, a obecnie dyrektor kancelarii sejmowej - i zeznał, że przeciwnie Haecker odnosił się bardzo krytycznie do ówczesnego kierownictwa PPS i - by móc po zerwaniu z partią zapewnić sobie możność utrzymania - prosił go o jakieś odpowiednie zajęcie w województwie. A ponieważ opowiadał mi o tym właśnie niedawno również sam p. Dziadosz, poprosiłem i ja o konfrontację z nim i w sądzie zacytowałem jego własne słowa, którymi zakończył naszą rozprawę ."Gdybym był świnią, mógłbym to wszystko powtórzyć" - No - i powtórzył. Nawet wśród tego poważnego i ponurego nastroju cała sala wybuchnęła śmiechem, począwszy od sędziów aż do woźnych, oprócz jednego biednego Dziadosza, który nie wiedział teraz, co ze sobą zrobić.

"Ekspress Poranny" napisał potem, że "te "konfrontacje" były węzłem procesu /.../. Odzywały się tedy /.../ wśród dyskusji najostrzejszej nuty dawnej zażyłości /.../. Po scenie gwałtownej błyskał humor, jak słońce po burzy". Sprawozdawca napisał, że "mówiono o pośle Żuławskim już, nim ukazał się na widowni sądowej /.../, że mówiono o nim jako o człowieku, który sprzeciwiał się polskiemu charakterowi partii; charakteryzowano go jako socjalistę o wybitnej międzynarodowej ideologii. Ale kiedy stanął przed Trybunałem, kiedy spojrzeliśmy na jego twarz szczerze polską, z wąsem czarnym,szpakowatą, jakby pogoloną czupryną, uderzyła od niego rasa i temperament - arcypolski. Był to jakby Czośnik Portusiewicz, rubaszny, wesoły i pogodny, który dziwnym losów zrządzeniem zabłąkał się do czerwonej międzynarodówki".

Proces skończył się tragicznie zasądzeniem niewinnych ludzi po kilka lat więzienia, totoż na najbliższym posiedzeniu Sejmu, dnia 22 stycznia 1932, wygłosiłem mowę dla poparcia wniosku o wyrażenie "votum nieufności" rządowi, Mówiłem że "trudno jest i ciężko oskarżać rząd i żądać dla niego votum nieufności w tym Sejmie, gdzie większość powołana jest nie do sprawowania kontroli nad rządem i jego czynami, lecz do krycia go przed odpowiedzialnością". Po przedstawieniu, że sanacja skarży się, iż podnosimy ustawicznie te same zarzuty, o "nadużycie wyborcze, o gwałty policji i konfiskaty pism", mówiłem, że to jest właśnie dowód, iż "te metody stały się już systemem rządzenia" - i specjalnie zająłem się więźniami brzeskimi. "Osadzono ich w twierdzy brzeskiej, w więzieniu wojskowym /.../ i tam zaczęto ich bić, znęcać się nad nimi, poniżać ich godność". A robili to oficerowie polscy, "którzy mają mieć specjalny "honor oficerski". "Honor polega przede wszystkim na tym, że "jeżeli oficer miał odwagę coś zrobić sam czy z rozkazu, to musi mieć również odwagę wziąć za to pełną odpowiedzialność. Ale nie rozumiem honoru, który pozwala popełniony gwałt kryć tchórzliwie wypieraniem się i przeczeniem". Powiedziałem przy tej sposobności, że wyrok był już z góry przygotowany i że o jego treści opowiadał mi jeden z posłów. Wtedy zerwała się burza. Na ogół byłem przyzwyczajony mówić wśród nieludzkich krzyków, hałasów, odgrażań, które podnosili przeciwko mnie posłowie sanacyjni, lecz w tym wypadku - dlatego może, że byłem już przemęczony - gdy marszałek zaczął się domagać wymienienia nazwiska mego informatora, obiecałem to zrobić nazajutrz - tym bardziej, że opierałem się na informacjach, które otrzymałem pod tym względem od Liebermana, Okazało się jednak, że informacje te nie były zupełnie ścisłe - i wtedy napisałem do marsz. Switalskiego list, donosząc, że "na podstawie przeprowadzonych badań ustaliłem, że faktycznie treść wyroku znana i omawiana była przez szereg posłów w kuluarach sejmowych już dnia 11.bm. wieczorem. Natomiast z przykrością muszę stwierdzić, że wprowadzony zostałem w błąd co do źródła, z którego informacje te miały wyjść /.../. Wobec tego lojalnie poczuwam się do obowiązku stwierdzić swą omyłkę".

Starano się potem przez długie lata wykorzystać ten mój "wypadunek", chociaż sam prokurator brzeski, późniejszy minister sprawiedliwości, tłumaczył po latach, że "czasem w ferworze oratorskim sfrunie nieopatrznie takie czy inne słowo, albo obraz nabierze kolorów za jaskrawych". Mnie jednak nie chciano tego wybaczyć, jakkolwiek słowa moje były daleko niewinniejsze, niż słowa n.p. Piłsudskiego, który, zagalopowawszy się, oświadczył, że ministrowie i posłowie przepijają budżety wojskowe z dziewczynami z domów publicznych , - i jakkolwiek ja omyłkę sprostowałem, on skrył się za swój autorytet urzędowy - i milczał. Mowę tę zakończyłem: "Oskarżamy was o podeptanie prawa, o podeptanie interesu narodowego; oskarżamy was o prowadzenie kraju wprost do ruiny - i dlatego jedyna droga dla was: odejść".

Lecz oni wcale nie mieli ochoty odchodzić; wprost przeciwnie, przygotowywali się do nowych ataków - tym razem na prawa robotnicze. Totoż widząc to - przy dyskusji budżetowej zapytałem wprost nowego ministra pracy gen. Hubickiego, czy to jest prawda, że "Ministerstwo opracowuje ustawę o objęciu czasu pracy, urlopów i świadczeń w czasie choroby", a więc, że "Rząd w dalszym ciągu chce naprawić kryzys kosztem najszerszych warstw ludności pracującej". Przy tej sposobności stwierdziłem: że "kiedy przed rokiem czy dwoma /.../ wskazywałem na typy, które p.min. Pryster wprowadził jako swoich mężów zaufania na komisarzy Kas

Chorych - i na kryminalną wielu z nich przeszłość", to panowie z sanacji krzyczeli: "kłamstwo, oszustwo", a "dziś, po dwóch latach, mam tę satysfakcję, że sądy coraz częściej potwierdzają moje oskarżenia. P. Zieliński ustąpił, ponieważ stwierdzono, że miał wyrok za kradzież i oszustwo. Prystorowy komisarz Herman zasądzony został na 2 lata za sprzeniewierzenie i dezercję, odszedł p. Hort, a p. Nadzieja, któremu zarzuciłem, że był podejrzany o szpiegostwo na rzecz Austrii, obiecał mnie zaskarżyć, gdy zaś sąd nie chciał rozprawy przeprowadzić, dopóki nie wyda mnie sejm, w pismach sanacyjnych napisał, że Żuławski uciekł spod odpowiedzialności. Sądzę - powiedziałem z trybuny - że p. marszałek może uspokoić p. Nadzieję, co to jest za parawan ta nietykalność poselska, spoza której p. Nadzieja rzekomo nie może mnie wydostać. On mnie nie chce wydostać."

Usuwano więc z Kas Chorych typy kryminalne, ale nie usunięto z nich ducha, który tam przez nie został wprowadzony. I gdy o tym duchu i jego nadużyciach mówiłem, jeden z sanacyjnych posłów odezwał się: "Za was było to samo". Odpowiedziałem mu od razu, że dlatego właśnie "przed majem naszą troską było usunąć nadużycia i oczyścić kraj z nieprawości - i że ta chęć właśnie pociągnęła nas do nieszczęsnej rewolty. Jeżeli więc dziś jej sprawcy usprawiedliwiają się, że obecnie jest to samo, co było wczoraj, to powinni pamiętać, że ta sama przyczyna musi wywoływać te same skutki /.../. To, co wyście zrobiliście przeciwko nieprawościom w imię dobra państwa, jutro ktoś może zrobić w imię dobra państwa przeciwko wam".

Moje zarzuty starał się łagodzić przez wyjaśnienia i tłumaczenia p. minister Hubicki, który musiał jednak przyznać, że "przygotowuje ustawę o ubezpieczeniu na starość, ale pod znakiem kontroli wszystkich świadczeń społecznych, realności tych świadczeń, żeby nie zrobić krzywdy państwu i gospodarce państwowej". Okazało się bardzo wnet, już przy pierwszym czytaniu zapowiedzianej ustawy, jak ma wyglądać ta "sprawiedliwość". Cała klasa robotnicza uznała ją za prowokację i za zamach na swe prawa. Zabrałem znowu głos w marcu i przedstawiłem całą ohydę "pułkownikowskiego rządu", który za otrzymane poparcie "sfer gospodarczych" przy minionych wyborach chciał ograniczyć urlopy, ograniczyć prawa bezrobotnych, znieść wolną sobotę i pogorszyć świadczenia w czasie choroby. W osobnym artykule porównywałem przedłożenie rządowe z memoriałem, który w tych sprawach wnieśli przedsiębiorcy z "Lewiatanu" jeszcze w październiku 1931 r.

Równocześnie w odpowiedzi na ten zamach Komisja Centralna Związków Zawodowych ogłosiła demonstracyjny strajk powszechny na 16 marca 1932 r., który rząd starał się sparaliżować przez zakaz wszelkiego pisania o nim i mówienia. Mimo to strajk objął conajmniej pół miliona robotników i przyczynił się do odparcia zamachu uplanowanego pomiędzy rządem a przedsiębiorcami. Rząd musiał przedłożenie swe cofnąć, ale nadal pozostały niezaspokojone apetyty i pogoń za zyskiem. Widział to zresztą p. Prystor, który - bezradny - apelował do przedsiębiorców, by "nie wyzyskiwali" - i p. Sławek, który jako prezes BBWR wydał nawet okólnik, wzywający do zaprzestania protekcji i spekulacji, lecz to naturalnie niewiele pomogło.

Taką demonstracją za "czystką" ideologii miał być również Zjazd Legionistów, urządzony bardzo uroczyście, na który zjechało się do Gdyni za darmowymi biletami przeszło 30 tysięcy "legionistów" i na który p. Sławek napisał artykuł: "Honor i ambicje państwowe". W odpowiedzi na to przypomniałem, że "sześć czy siedem tysięcy żołnierzy frontowych stanęło w czasie wojny z bronią w ręku w szeregach Legionów, ale w Gdyni - po blisko dwudziestu latach - znalazło się na Zjeździe Legionistów już około 30 tysięcy bohaterów, dla których, jak rzewnie z łezką w oku powiedział p. gen. Rydz-Smigły - róż zabrakło". Trudno! Jeżeli nie stało róż, to ci nowi bohaterzy sięgnąć musieli po inne laury. Róże zastąpić musiały posady dyrektorów i wicedyrektorów w bankach państwowych, stanowiska ministrów i wiceministrów, wojewodów, starostów, komisarzy; krzesła w Radach nadzorczych i dyrekcjach przedsiębiorstw akcyjnych; subwencje, koncesje, pożyczki. Toteż im bardziej posuwamy się w lata, im dalszymi stają się wspomnienia minionych walk i im bardziej zaciera się pamięć o istotnym poświęceniu i zasłudze, tym gęściejszy staje się las rąk, wyciągniętych już nie po

róże, którymi przecież państwa budować nie można, lecz po tytuły, po władzę, po dobrze płatne stanowiska i posady. Wśród nowej elity widzimy na poczesnym miejscu "lewistańczyków" /.../ obszarników, dawnych konserwatystów /.../ widzimy ludzi tego pokroju, co redaktor wielkiego dziennika, poseł na Sejm p. Dąbrowski, piętnowany przez innych swych współtowarzyszy z elity jako "rajfur i zakała"; widzieliśmy członka Rady miejskiej Tasiemkę, skazanego sądownie za wymuszenie i szantaż; obok niego oskarżonego o podobne czyny Łokietka, a dalej p. Czumę, skazanego sądownie za działanie na szkodę własnego państwa, dziś zaś wysuniętego przez sanację na kierownicze stanowisko wśród klasy robotniczej /.../ Honor tej elity pozwala na porzucenie przekonań, partyj i obozów, na łamanie danych słów i przyrzeczeń; pozwala na napady licznych "niewyśledzonych sprawców" na bezbronne jednostki; na znęcanie się uzbrojonych nad pozbawionymi wolności ofiarami; na wykłamywanie się od popełnionych czynów; na podszywanie się w fałszywych depeszach, listach i odezwach pod inne osoby; na wykradanie i fałszowanie kart i rezultatów wyborczych; na otoczenie wreszcie całego życia publicznego, a często i prywatnego siecią szpiclóstwa i donosicielstwa".

Naturalnie wywołało to wśród senatorów wściekłość - i "Gazeta Polska", nie mogąc odeprzeć mych zarzutów, obrzuciła mnie wyzwiskiem "trep", który w czasie wojny umiał tylko "uciekać /.../ grabić, kiedy nie bał się oporu i żebrać, kiedy widzi kłonice w sękatych łapach, płaszczyć się, puszyć, a nade wszystko dużo, dużo i grzmiąco gadać". W końcu zaś rzucił mi autor artykułu, że "płaczę na myśl o straconych posadach w Kasach Chorych, którymi miałem sobie kupować wyborców" i że mi żal "własnej pięknej posady, na której brałem zapewne więcej niż minister Rzeczypospolitej".

W wywiązanej stąd polemice odpowiedziałem, że takich jak ja "trepów", którzy mieli tylko "uciekać", "grabić" i "żebrać" było oprócz mnie "blisko milion"; że "setki tysięcy tych "trepów" polskich - chłopów, robotników, i inteligentów - którym "Gazeta Polska" dziś cynicznie zarzuca tchórzostwo i grabież, stało wytrwale na froncie, wykonywując obowiązek narzucony im nie tylko przez władze austriackie, lecz również przez Naczelny Komitet Narodowy i Koło Sejmowe, które słusznie czy niesłusznie uważali wówczas za naczelną władzę narodową." Te pogardliwie traktowane "trepy" polskie "przelały swą krew i zasłały trupami pół Europy /.../. Można mieć najwyższy kult dla Legionów, można przypisywać im najwyższe znaczenie, ale żeby dlatego posunąć się do tego, by ogromnej części narodu polskiego zarzucić grabież i tchórzostwo, by w ten sposób pluć na ich przelaną krew i trupy - na to trzeba już być zwyrodnialcem".

W końcu napisałem, że "Gazeta Polska" zarzuca mi, że 'zapewne' brałem z Kas Chorych więcej niż minister Rzeczypospolitej. Nie twierdzi tego stanowczo - bynajmniej - przypuszcza tylko, jakkolwiek komisarze rządowi mają do swej dyspozycji wszystkie księgi instytucyj ubezpieczeniowych, na czele których stałem - i mogą dokładnie stwierdzić ile 'brałem' za swe 'posady' pod jakimkolwiek tytułem i ile brali moi towarzysze, a ile biorą dziś 'ideowi' działacze sanacyjni. Ale zamiast tego lepiej jest rzucać nieokreślone zarzuty, że 'zapewne' brałem ! A ja mogę na to oświadczyć, że 'zapewne' niejednego z dzisiejszych 'ideowców' w Kasach Chorych wsadziłbym do kryminału, gdyby mi umożliwiono taki wgląd w ich księgi, jako oni mają w moje. Niech mi 'Gazeta Polska' wskaże jednego człowieka spośród wszystkich 'ideowców' sanacyjnych, który by przez lata stał na czele instytucyj mającej obrót roczny dwadzieścia kilka milionów złotych, kierował nią i bezpośrednio załatwiał jej sprawy - i brał za to razem, jako jedyne wynagrodzenie, w formie zwrotu własnych wydatków, 83 złote miesięcznie, a odwoła wszystkie moje zarzuty. Faktycznie ma rację 'Gazeta Polska': żal mi tej placówki; nie 83 złotych, ale zmarnowanego długoletniego, ofiarnego dorobku klasy robotniczej. Artykuł w 'Gazecie Polskiej' musiał pisać zapewne ktoś o poczuciu humoru/../ dzisiejszej 'elity'."

Po tym wyzwaniu usłużny p. minister Hubicki wysłał też osobną komisję rządową, złożoną z kilku urzędników, którzy badali księgi Kasy Chorych w Krakowie za ostatnie 5 lat i ustalili, że pobrałem:

"w roku 1925:
9/3 - zwrot kosztów podróży na konferencje w OUU - 75 zł;
22/7 - dieta na konferencje w Warszawie w sprawie finansowej Kasy - 75 zł;
w roku 1926:
26/2 - koszta podróży do Lwowa w sprawie pożyczki budowlanej - 75 zł, ryczałt 1000 zł, jako zwrot za drobne wydatki osobiste w roku 1926;
w roku 1927:
20/4 - koszta podróży i utrzymania w Warszawie - Zjazd delegatów Związku Kasy Chorych - 120 zł;
20/8 - wydatki reprezentacyjne /przyjęcie delegacji amerykańskiej/- 150 zł;
21/10- zwrot kosztów podróży do Zakładu Ubezp. od wyp. /konwersja długów/ - 100 zł;
29/X - koszta podróży /po rozwiązaniu Sejmu/ - 75 zł;
7/XII- zwrot kosztów podróży Warszawa-Kraków - 58 zł; wydatek bez allegatów - 240 zł;
17/3/1928 - ryczałt za zwrot za drobne wydatki osobiste za rok 1927 - 1000 zł;
w roku 1928:
10/I - zwrot kosztów podróży w sprawie pragmatyki - 116 zł;
23/7 - ryczałt za zwrot za drobne wydatki osobiste w roku 1928- 1000 zł;
w roku 1929:
17/4 i 14/5 - po 500 zł, jako zwrot ryczałtowy za drobne wydatki osobiste w roku 1929;
10/6 - delegacja na Zjazd do Poznania - 100 zł;"

W ciągu więc pięciu lat w czasie których na skutek rozwiązania Sejmu musiałem nawet nieraz płacić koszta przejazdu koleją - oprócz rocznego ryczałtu, pobrałem razem aż 1184 złotych!

Protokółu tego nie mieli naturalnie odwagi ogłosić, ale mimo to przy najbliższej mojej mowie jeden z krzykaczy sanacyjnych znowu wykrzyknął: "Boli pana utrata posady w Kasie Chorych". Odpowiedziałem mu jeszcze raz, że "jak długo żyję /.../ żadnej posady nigdy w Kasie nie miałem. Napisałem też to już raz publicznie i zażądałem, byście mi pokazali u siebie poczynając od Piłsudskiego do Sanojcy, jednego człowieka, który by - tak jak ja - stał na czele instytucji obracającej 20 milionami i brał za to 80 zł miesięcznie wynagrodzenia w formie zwrotu własnych kosztów za telefony i dorożki, to odwołam wszystko, co tu powiedziałem. Wysłaliście wówczas urzędnika do Kasy Chorych, który siedział tam 5 dni, badał wszystkie księgi za ubiegłe 6 lat i przyniósł wam relacje, co kiedy i ile wziąłem. Dlaczego nie ogłosiliście tego, a dziś znowu śmiecie mi stawiać zarzuty!".

W tej samej mowie porównałem dawne zapowiedzi złożone przez pierwszego sanacyjnego premiera w roku 1926 z tym co faktycznie dziś zapanowało w państwie. Rząd miał nie dopuścić, ażeby "panoszyła się korupcja" i "ażeby w jakiejkolwiek mierze doznały szwanku prawa i interesy pracy /.../ Co z tego zostało? Jak w republice babińskiej - odwrotność i sprzeczność /.../" "Naczelnym zadaniem naszej polityki gospodarczej - jak powiedział potem p. Miedziński - stało się wzmożenie procesu wewnętrznej kapitalizacji /.../ rozpanoszyła się korupcja, nepotyzm i partyjnictwo oraz deptanie wolności obywatelskich". Zapytałem też p. Sławka - który na jednym z zebrań BBWR jak najostrzej potępiał dyktaturę i terror, mówiąc, że prowadzą one do tego iż społeczeństwo przestaje być społeczeństwem, a staje się popędzanym stadem baranów - czy nie uważa, że słowa jego i działalność są właśnie największym potępieniem jego samego, który "wolny naród chce zmienić w stado baranów sanacyjnych?" W końcu zwróciłem się do p. Prystora, który wysławiał cierpliwość i spokój mas - i powiedziałem, że "do tych właśnie zastraszonych", bitych, głodnych i kopanych mas odzywamy się stąd, ażeby zburz-

ich spokój i ażeby je porwać do buntu przeciwko gwałtowi, krzywdzie i bezprawiu".

Starałem się też rozpętać te walki jak tylko mogłem. Wobec wznowienia przez rząd dawne o projektu zniesienia wolnej soboty, zmniejszenia zapłaty za godziny nadliczbowe, ograniczenia urlopów i świadczeń w czasie choroby, wykazywałem na zgromadzeniach, w artykułach i w mowie sejmowej, że wszystkie te zarządzenia są tylko wynikiem "pactów conventów" - "tylko nie, jak mówił swojego czasu marsz. Piłsudski, zawartych przez "partiów kawałek". - ale "pactów conventów, zawartych z przemysłowcami w sprawie dostarczenia pieniędzy na wybory przez rząd polski, w którym siedzi ten sam marsz. Piłsudski, "pactów conventów", których koszta opłacać ma klasa robotnicza". Koszta robocizny w Polsce należały bowiem do najmniejszych w Europie, ale mimo to przemysłowcy chcieli przyśpieszyć swój proces "kapitalizacji wewnętrznej", w którym jest zawsze ktoś "kto będzie kapitalizował i kto się będzie bogacił oraz ktoś kto będzie musiał ponosić ofiary tej kapitalizacji".

Nawet Moraczewski i jego ZZZ stanął na stanowisku, że projekty te są dowodem, że państwo polskie opierające dotychczas swe istnienie na patriotyzmie mas pracujących, zaczęło nie doceniać głównej podstawy swego istnienia".

Zapowiedziałem, też, że "gdy państwo zrzuca z siebie ten obowiązek ochrony, podnieść go musi klasa robotnicza i jej organizacja" - przewidując, że "uchwalone projekty rozpętają na nowo walkę o czas pracy i długość urlopów". "Losy problemów, które ta ustawa załatwia, rozstrzygną się poza tą Izbą - mówiłem - rozstrzygną się w walkach. Ale trzeba, ażeby klasa robotnicza pamiętała zawsze, że ten cios następuje z rąk rządu, w którym siedzą ludzie, którzy lata całe mieli na ustach frazes obrony interesów robotniczych; którzy lata całe żyli z pieniędzy organizacyj robotniczych, wtenczas, gdy im to było potrzebne. Trzeba żeby klasa robotnicza w Polsce pamiętała, że ten cios i nową walkę narzuca jej rząd, na czele którego stoi pan "towarzysz Bogdan"; w którym zasiada pan "towarzysz Ziuk Piłsudski" i pan "towarzysz Ignacy"; narzuca jej klub na czele którego stoi pan "towarzysz Gustaw".

Tę podjętą walkę Związków Zawodowych, Partii i Klubu parlamentarnego scharakteryzował Swoboda, pisząc we wspomnianej książce, że "na czoło wysunęły się znów przemówienia Zygmunta Zuławskiego, który bez skrupułów rozprawił się z obozem rządowym".

W walkach tych zbliżyłem się też bardzo do tow. Niedziałkowskiego, który po śmierci tow. Marka objął prezesurę naszego klubu sejmowego. Był on ode mnie znacznie młodszy, ale mimo to nawiązałem z nim serdeczne stosunki przyjaźni, widząc w nim wybitny intelekt, rozum i wielkie zdolności. Może czasem był za miękki, zanadto "dobrze wychowany", ale był zawsze niesłychanie uczciwy, przyjacielski, oddany i dobry. Wspólna nasza praca polityczna nawiązała też między nami bliskie stosunki towarzyskie - i razem z Dolką, z nim i z jego żoną panią Marysią, w której zawsze podziwiałem i spokojną urodę przemiłej blondynki, i ciętość umysłu, z jaką doskonale charakteryzowała nieraz jednym słowem i ludzi, i sytuacje - spędzaliśmy często miłe chwile w "Nowej Gospodzie" czy w innej restauracji lub rewii warszawskiej.

W międzyczasie umarł nagle dyrektor Międzynarodowego Biura Pracy, mój szczery przyjaciel i szczery przyjaciel Polski, a ponieważ w Niemczech po antydemokratycznych harcach komunistycznych objął władzę Hitler, Międzynarodówka Związków Zawodowych, w której funkcje sekretarza pełnił ostatnio młody Belgijczyk Schevenels - musiała przenieść się do Paryża. Moje stosunki z tymi dwoma ośrodkami międzynarodowego ruchu robotniczego uległy też pewnej zmianie, co starał się wyzyskać p. premier Prystor, który - chcąc mi uniemożliwić przemawianie poza granicą Polski - odmówił mi wydania urzędowego paszportu, jakkolwiek jako członek Międzynarodowego Biura Pracy musiałem stale wyjeżdżać do Genewy. Oświadczyłem, że wezmę paszport zwyczajny i zapłacę każdą cenę - tylko kwotę tę zaliczę jako wydatek Biura i zażądam jej zwrotu, co bezsprzecznie skompromituje rząd polski w oczach całej zagranicy i Ligi. Bezradny Prystor musiał więc ustąpić, a ja w dalszym ciągu wyjeżdżałem, mówiłem i udzielałem wywiadów.

W dniach od 30 lipca do 3 sierpnia 1933 odbył się Zjazd Międzynarodowych

Związków Zawodowych w Brukseli, na którym z tow. Alterem /rozstrzelanym potem przez reżim sowiecki/ reprezentowaliśmy Związek Stowarzyszeń Zawodowych w Polsce. Zaraz po tym odbył się nasz własny Zjazd Związków Zawodowych w Warszawie w 1933r.

Na Zjeździe tym mogłem już złożyć sprawozdanie, że "przeważna część naszej pracy centralizacyjnej założonej na I Kongresie, została prawie zupełnie zakończona" i że "schemat organizacyjny /.../ został w ciągu minionych 15 lat w całości wprowadzony w życie. Ponadto stwierdziłem, że mimo ustawicznych ataków i ze strony rządu, i ze strony przedsiębiorców, i ze strony ZZZ organizacje nasze utrzymują się ciągle na powierzchni i ciągle walczą, jakkolwiek walka ta wymaga nieraz dużych ofiar i trudów." Głównym tematem obrad tego Kongresu była kwestia obrony demokracji, a następnie ustalenie naszego programu gospodarczego.

Już na ostatnich kongresach międzynarodowych w Sztokholmie i Brukseli nasz punkt widzenia był pod tym względem inny, niż stanowisko większości kongresu. Począwszy od Zjazdu Związków Zawodowych w roku 1929 zaczęliśmy szukać przyczyn kryzysu w samej organizacji pieniądza - i myśl ta nurtowała we mnie coraz bardziej przybliżając krok za krokiem do rozwiązania zagadnienia. Jeszcze w przedłożonym na kongresie sprawozdaniu z minionych prac pisałem, że "Kongres ten, odbywający się w okresie względnie dobrej koniunktury, dał się nawet uwieść pozorom poprawy i miniony kryzys ocenił jako jeden z koniunkturalnych kryzysów, które życie gospodarcze Polski przechodziło w latach wojennych". Na tym samym mniej więcej stanowisku zaciemnionym może nieco wysuniętymi żądaniami regulacji cen, polityki kredytowej i oszczędności budżetowych, poszły też również w kilka miesięcy później tezy wysunięte przez Związek Parlamentarny Polskich Socjalistów, które następnie Komisja Centralna Związków Zawodowych na posiedzeniu swym dnia 20 marca 1930 zaakceptowała. Lecz już w rok później - 8 lutego 1931 "po raz pierwszy z całą stanowczością wbrew odmiennym twierdzeniom szeregu głosów nawet z obozu socjalistycznego, wypowiedziała w rezolucji Komisji Centralnej przekonanie, że obecny kryzys nie jest zjawiskiem przejściowym i że życie gospodarcze w obrębie obecnego ustroju do stanu normalnego nie wróci". Zaostrzający się ciągle kryzys uznała za "kryzys ustroju, który ustanie dopiero wraz ze zmianą ustroju kapitalistycznego". Stosownie do tego Komisja Centralna "starała się rozwiać złudzenia, by kryzys mógł być usunięty przez pożyczki zagraniczne, oszczędności budżetowe lub zmniejszenie kosztów produkcji, co w całej pełni potwierdziła następnie praktyka lat ubiegłych. Jedynie zmiana ustroju i sprawiedliwy podział dóbr może dać możność podjęcia produkcji na nowo". W myśl też tego Komisja Centralna zażądała "rozpoczęcia przez państwo i samorządy wielkich publicznych robót inwestycyjnych /.../ podniesienia płac /.../ skrócenia czasu pracy /.../ rozszerzenia ubezpieczeń społecznych /.../ najdalej idącej pomocy dla tych, którzy w dzisiejszym procesie wytwórczym miejsca znaleźć nie mogą" - słowem - ograniczenia wyzysku, zmniejszenia rozpiętości dochodu i władzy jednego człowieka nad drugim, uznając, że "środki potrzebne na przeprowadzenie tych wskazań musi znaleźć państwo w odpowiedniej celowej przebudowie swej polityki finansowej i skarbowej". Tę samą zasadę rozwinąłem następnie na posiedzeniu Komisji Centralnej w październiku 1931 r. wskazując na nieudolność i bezskuteczność wszystkich dotychczasowych poczynań rządu w dziedzinie zwalczania kryzysu. Wówczas to wyraziliśmy przekonanie, że "w tych warunkach ani sfery kapitalistyczne, ani rząd, poza próbami łagodzenia skutków bezrobocia przez akcję filantropijną lub zatrudniania bezrobotnych kosztem pracujących robotników, nie są zdolne do podjęcia żadnych kroków w kierunku opanowania samego kryzysu, mimo istnienia niezużytych surowców, niewykorzystanych narzędzi pracy, siły roboczej, dostatecznej ilości środków żywności oraz niezaspokojonych potrzeb ludności". Podnosząc to Komisja Centralna wskazała z naciskiem, że w realizowaniu jej postulatów "nie może być przeszkodą brak złota lub chęć utrzymania dotychczasowych podstaw waluty, gdyż żadne względy na utrzymanie zasad dzisiejszego ustroju finansowego nie mogą być silniejsze nad wzgląd na utrzymanie zagrożonego dziś życia ludzkiego". Następnym etapem w rozwoju naszego programu gospodarczego była rezolucja Komisji Centralnej z maja 1932, która wskazała, że "jedynym celem produkcji może być wyłącznie zaspokojenie potrzeb szerokich mas ludowych i że środkiem do tego może być: wprowadzenie planowości do całego życia gospodarczego, podporządko-

wanie systemu finansowego interesom produkcji i konsumpcji, a wreszcie ujęcie kierownictwa życia gospodarczego przez państwo! Jeszcze wyraźniej wyraziła to Komisja w maju 1933 domagając się "produkcji nie dla zysku, lecz dla zaspokojenia potrzeb szerokich warstw ludności" - i wskazując, że jedyną drogą do tego jest: "planowość gospodarki, podporządkowanie ustroju finansowego potrzebom produkcji i objęcie przez państwo kierownictwa handlu zagranicznego i podstawowych gałęzi przemysłu". Wreszcie Kongres Związków w roku 1933 wszystkie te rozpoznania ujął w jedną rezolucję, która brzmiała:

"V Kongres Związków Zawodowych, potwierdzając w całej pełni tezy gospodarcze, zawarte w rezolucjach Komisji Centralnej Związków Zawodowych, wyraża przekonanie, że obecny ustrój, w którym produkcja oparta jest tylko na dążeniu przedsiębiorców do zysku, okazał się niezdolnym do zaspokojenia potrzeb ludności i doprowadził do paradoksalnego stanu, że wszechstronny wzrost zdolności produkcyjnej społeczeństwa stał się przyczyną wzrostu niedostatku i nędzy ludzkiej. Tę niezdolność i bezradność dzisiejszego ustroju potwierdziło w praktyce bankructwo dotychczasowych reformatorskich recept burżuazyjnych ekonomistów, którzy po szeregu nieudanych konferencyj i narad pocieszają dziś ludność, że kryzys musi się skończyć, "gdyż trwa już za długo".

V Kongres Związków Zawodowych wyraża przekonanie, że obecnego kryzysu, znajdującego swój wyraz przede wszystkim w olbrzymim bezrobociu i nędzy mas pracujących - nie zlikwiduje ani czas, ani żadne reformy. Koniec kryzysu może nastąpić dopiero wtedy, gdy zmienione zostaną podstawy ustroju gospodarczego tak, by jedynym celem produkcji było zaspokojenie potrzeb ludności, a nie zysk jednostki.

Osiągnięcie tego celu możliwe jest jedynie przez złamanie polityki i gospodarczej wszechwładzy kapitalistów, kierującej w obecnym ustroju całym życiem gospodarczym, gdy kierownictwo produkcji obejmie państwo wykorzystując wszystkie istniejące siły produkcyjne społeczeństwa i przeprowadzając sprawiedliwy podział wytworzonych dóbr;

gdy państwo stworzy jednolity plan gospodarczy, wedle którego wytworzone dobra zaspokoić będą mogły wszystkie - zarówno indywidualne, jak i zbiorowe potrzeby ludności;

gdy wywłaszczy wielkie majątki ziemskie i uspołeczni źródła surowców, cały aparat finansowo-kredytowy i większe przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe;

gdy państwo ujmie cały handel zagraniczny kierując nadwyżkę wytworzonych towarów na eksport jedynie dla zdobycia w drodze rekompensaty potrzebnych surowców lub wyrobów przemysłowych;

gdy państwo wreszcie dostarczy całej potrzebnej dla życia gospodarczego ilości pieniądza, niezależnie od zasobów posiadanego złota.

Uwalniając w ten sposób rozwój produkcji oraz wszystkich ludzi pracy spod zależności posiadaczy kapitałów - państwo musi równocześnie skierować pieniądz do właściwej jego roli środka - dla podejmowania i wymiany towarów.

Pieniądz sam nie może być przedmiotem handlu i gromadzenie go nie może stwarzać tytułu do zdobywania procentów, a więc do uczestniczenia bez pracy w produkcyjnym dorobku całej ludności.

Stan ten osiągnąć może niezwłocznie rząd, który reprezentować będzie interesy mas pracujących i który uzna ich interes za jedyny interes państwa oraz znajdzie odwagę do przeciwstawienia się i złamania egoistycznej polityki gospodarczej drobnej grupy kapitalistów.

Walka o ten rząd jest w tej chwili, obok ustalenia programu i wskazania drogi wyjścia z obecnego stanu rozpaczy i nędzy, naczelnym zadaniem klasy robotniczej oraz tych warstw ludności, których interes stanął w sprzeczności z ustrojem kapitalistycznym.

V Kongres Związków Zawodowych poleca Komisji Centralnej Zw.Zaw. szczegółowe opracowanie programu gospodarczego opartego na powyższych zasadach i wszczęcie w całym kraju akcji agitacyjnej dla spopularyzowania tego programu i skupienia najszerszych mas do walki o rząd natychmiastowej realizacji socjalizmu".

W ten sposób w szeregu uchwał i rezolucyj rozwijałem konsekwentnie myśl, że obecny kryzys jest kryzysem ustroju kapitalistycznego; że żadne reformy w obrębie tego ustroju go nie usuną; że należy się wyzbyć wszelkich złudzeń szerzonych w tej mierze przez kapitalizm; że w nowym ustroju jedynym celem produkcji musi być zaspokojenie potrzeb całej ludności; że w tym celu państwo musi przygotować odpowiedni plan gospodarczy, ująć kierownictwo życia gospodarczego, dostarczać potrzebnych środków pieniężnych w takiej ilości, jak tego wymagają potrzeby obrotu - i że musi usunąć wszelkie procenty, które są zawsze wyrazem wyzysku człowieka przez człowieka. Zasady te wyłuszczałem w szeregu artykułów w "Robotniczym Przeglądzie Gospodarczym" i w wywiadzie, jaki został zamieszczony w książce p. Wrzosa pt. "Oko w oko z kryzysem", a ostatnio dałem im wyraz w książce pt. "Bogactwo, wolność i moralność", którą wreszcie napisałem, ale której niestety nie zdołałem zaraz wydać ze względów politycznych.

Rok 1934 rozpoczął się pod znakiem głębokich zmian zarówno w polityce zagranicznej, jak i w stosunkach krajowych. Po objęciu władzy przez Hitlera w Niemczech Piłsudski podobno proponował Lidze "uderzenie na wroga, gdy dopiero zaczął tworzyć swe siły", a więc to samo, co zrobił potem Hitler napadłszy na Polskę. Ponieważ jednak "alianci sądzili, że problem ten da się rozwikłać bez wojny" - jak tłumaczył to potem p. Beck w swym wywiadzie, w roku 1940 - i wysunęli projekt "paktu wschodniego" - Piłsudski, którego marzeniem była wojna, obraził się śmiertelnie. Uparłszy się, jak kozioł, że nie dopuści nigdy do ewentualnego przemarszu wojsk sowieckich przez Polskę, co wynikałoby z tego paktu, przewidującego solidarne wystąpienie wszystkich państw przeciwko napastnikom i zobowiązywałoby Polskę do ewentualnej współpracy z Sowietami - zawarł niespodziewanie "pakt nieagresji" z hitlerowską Rzeszą niemiecką.

Pierwszą wiadomość o tym przywiózł mi do Genewy minister Jurkiewicz, z którym teraz - po jego ustąpieniu z rządu - zasiadaliśmy razem w Radzie Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy, tylko on jako delegat rządu polskiego, a ja - delegat grupy robotniczej. Wiadomość ta wstrząsnęła mną do głębi - i obaj z p. Jurkiewiczem chodziliśmy przeszło godzinę po holu, dyskutując o następstwach tego kroku. Ja uważałem go za groźne uderzenie w Ligę Narodów i w sojusz polsko-francuski, natomiast p. Jurkiewicz tłumaczył, że to wszystko nie jest tak tragiczne i skończy się tylko prztyczkiem w nos dla Francji i Czechów, których buta i zarozumiałość stają się coraz bardziej nieznośne. Pamiętam, że skończyłem naszą rozmowę uwagą, że czasem nawiązane stosunki i niechęci pomiędzy państwami mogą je ponieść znacznie dalej, aniżeli one same pierwotnie zamierzały.

Po zakończeniu tego posiedzenia, już w drodze powrotnej do Polski, dowiedziałem się też o nowym niebezpieczeństwie, które w tym wypadku zagrażało stosunkom wewnętrznym. Usłyszałem wtedy o jakimś "kawale" i kupiwszy sobie gazetę, przekonałem się, że "kawał" ten dotyczył zamachu na konstytucję.

Sprawa konstytucji zajmowała opinię polską od paru lat i sanacja domagała się coraz natarczywiej jej zmiany. Zwłaszcza podnosił takie żądania pierwszy raz "pułkownikowski" i płk Sławek, który wierzył, że - przeprowadziwszy po "brzesku" wybory znajdzie taką większość, która umożliwi mu podjęcie "legalnej" uchwały. Ponieważ jednak większości tej - mimo terroru i nadużyć wyborczych - rząd nie osiągnął, groza zmiany konstytucji zmniejszyła się do minimum i zdawało się, że sama sprawa przestała być w ogóle aktualna. Zaczęto wprawdzie próby kupowania posłów, jak cielki na targu, ale handel ten natrafił na coraz większe trudności i "pułkownicy" zrozumieli że tą drogą nie osiągną rezultatu. Postanowili więc iść podstępem i oszustwem.

P. Car w porozumieniu z marszałkiem Sejmu postawił na porządku dziennym "sprawozdanie ze stanu prac nad zmianą konstytucji", a równocześnie ktoś rozpoczął w kuluarach agitację wśród opozycji, by ona w tych obradach, jako sprzecznych z regulaminem, nie brała udziału. Gdybym był wówczas w Warszawie podejrzewałbym w tym jakiś podstęp, lecz większość - chcąc okazać swój radykalizm i lekceważenie dla prac BBWR - poszła na lep i posiedzenie to zbojkotowała. Na to

...zakał też tylko p. Sławek, Car i Switalski. Po krótkim referacie Cara ktoś ...stawił wniosek, by sprawozdanie to uznać za pierwsze czytanie - i chociaż ...nie było sprawozdania komisji, większość obecnych na sali posłów sanacyjnych ...znała je również za "czytanie drugie" i "czytanie trzecie".

Na drugi czy trzeci dzień zabrałem głos i przypomniałem, że konstytucję ...lską zwalczają w tej chwili nawet ci, którzy "wyłamywali się z solidarności ...lubowej, by tylko głosować za nią, bo uważali ją za dobrą. Przyjmowali ją ...entuzjazmem takim samym, z jakim później przyjmowali słowa rzucone przez ...ersz. Piłsudskiego, piętnujące tę konstytucję jako "prostytutę". Ci sami lu...dzie z takim samym entuzjazmem przyjmować będą wszystko, co im przemoc i siła ...rzuci! Toteż z entuzjazmem przyjęli oni "kawał", jaki ta przemoc zastosowała ...wobec własnego narodu. Rzeczywiście! - mówiłem dalej - kawał był dobry, był ...bardzo dobry. Tylko /.../ czy jeżeli ktoś ustrój państwowy traktuje poważnie; ...jeżeli ktoś traktuje państwo poważnie - czy tego rodzaju rzeczy może załatwiać "kawałem"? Czy wolno nawet najlepiej obmyśloną /.../ sztuczką załatwić rzecz, od której może zależeć przyszłość całego państwa! Komużeście to kawały zrobili! "Chciano mnie zakrzyczeć i marszałek ustawicznie przerywał mi i wzywał - "do porządku", a ja w ostateczności zaapelowałem do ich ambicji mówiąc, że nie powinni się bać dyskusji na ten temat, ci, którzy już raz dokonali zamachu. Lecz słowo "zamach" wywołało tylko nową burzę. Tłumaczyłem więc, że przecie jeżeli kogoś mogły razić słowa o zamachu, to nie powinny one razić właśnie ich, którzy "doszli do władzy przez zamach stanu /.../ przepędzenie prezydenta /.../ wywołanie buntu w wojsku /.../. Wskazując dalej na wstrząsy, idące poprzez cały świat, przestrzegałem jakby proroczo, że "przed tymi wstrząsami nie uchroni Polski papierek konstytucyjny p. Cara /.../ on zginie wraz z wami; jednego dnia was nie przeżyje".

W końcu omówiłem stosunki, jakie zapanowały w państwie pod rządami sanacji; przedstawiłem złodziejską aferę w Ministerstwie Poczt i Telegrafów, której bohaterem był jakiś inżynier protegowany przez ministra Miedzińskiego, oraz akty nepotyzmu, uprawianego przez ludzi zajmujących najwyższe stanowiska w Państwie.

Mowa ta wywołała też duży oddźwięk w całym społeczeństwie. Od Daszyńskiego otrzymałem depeszę: "Kochanemu towarzyszowi brawo - wasz Ignacy" - i cały szereg listów z uznaniem. W jednym z nich jakaś kobieta pisała, że "dziś jestem jedynym człowiekiem w Polsce, który umie i ma odwagę powiedzieć prawdę łajdakom, bez trwogi o konsekwencje, a staruszek ksiądz dziękował mi za to, że "tak doskonale dzisiejsze stosunki w naszej biednej Polsce scharakteryzowałem" i przesyłał mi "najwyższe słowa uznania i czci". Tak samo oceniła to niezależna prasa "Nowy Dziennik" napisał, że "żadna mowa w ciągu dyskusji budżetowej nie dała się tak we znaki sanacji, jak przemówienie posła z PPS, który rozstawił rodzinę po kątach i przeistoczył się w nieurzędowego prezesa Najwyższej Kontroli Państwa. Z nim to staczał boje generalny referent, posługując się ciętym dowcipem i ostrą satyrą. Poseł Miedziński był zły, gdy atakował; mówił nerwowo, gdy odpowiadał Żuławskiemu". Nawet "Kurier Poranny", krytykując opozycję, przyznawał, że "p. Rybarski, jako mówca generalny i - last not least - poseł Żuławski są ludźmi ... święta. To są szczyty Himalajów pośród równiny codziennego życia politycznego". Wreszcie "Słowo wileńskie" scharakteryzowało mnie jako "szlachcica rodem z ...naszych czasów - Hałaburdę z Podkarpacia, który zaciekłość do gardłowania, do "roznoszenia na szablach", do nieprzykładnej demagogii podlaną ma jeszcze krwią węgierską i wściekłym zaiste temperamentem". "Nie sposób czytać jego słów - pisał p. Mackiewicz - nie mając przed oczami jego wąsów szlacheckich, jego fizjonomii madziarskiej, jego oczu roziskrzonych". Wreszcie miły i wrażliwy poeta Czesław Cieśliński pod wrażeniem mojej mowy napisał wiersz "Mówca" i wysłał go do "Robotnika", dedykując mi go jako wyraz uznania.

Lecz mimo tego wszystkiego nie można było zmienić faktu, że marszałek ...nuncjował uchwalenie przez Sejm konstytucji, którą poszła teraz do Senatu, gdzie ...trzeba było jej nadać odpowiednią formę. W tym celu Senat musiał dokonać w niej odpowiednich zmian, które też miały być zatwierdzone przez Sejm.

W państwie zmieniały się teraz rządy i ministrowie, jak w kalejdoskopie, bo każdy z wybitnych senatorów chciał popróbować swych sił. Po Prystorze prze-

wodnictwo gabinetu objął Jędrzejewicz, a później Kozłowski i znowu Sławek, lecz te zmiany personalne nie miały już żadnego znaczenia. Rządziła już bowiem "ideologia marszałka Piłsudskiego".

W tym czasie - w maju 1934 - umarł w Krakowie mój brat Witold - cichy, pracowity i poczciwy człowiek, któremu nie chciano zapomnieć, że jako zbieg, przed dwudziestu kilku laty, dostał ode mnie marną posadę w Kasie Chorych za kilkadziesiąt koron miesięcznie.

Dla mnie rozpoczęła się teraz ciężka walka. Jeździłem po całym kraju, przemawiałem w nim od jednego krańca do drugiego - to w Gdyni, to w Nowym Sączu, to w Poznaniu, to w Białymstoku, to w Bydgoszczy, to w Kałuszu, to w Płocku, to we Lwowie. Byłem gościem we własnym domu i nieraz żona robiła mi gorzkie wyrzuty, że nie widzi mnie całymi tygodniami - podczas gdy ja wiedziałem, że gdy ten, kto mogąc wybrać "wybrał zamiast domu gniazdo na skałach orła - niechaj umie żyć, gdy źrenice czerwone od gromu i słychać jęk szatanów w sosen szumie...".

Kiedy więc ja w ten sposób słuchałem obojętnie "jęków" - "szatanów sanacyjnych" i konsekwentnie przemawiałem wszędzie w obrębie demokracji, to jednocześnie jednak byli towarzysze, którzy - strwożeni rozwijającymi się wypadkami - chcieli im przeciwstawić własne koncepcje, opierające wolność o dyktaturę. Ośrodkami tych myśli był w Warszawie tow. Zygmunt Zaremba, a w Krakowie tow. dr Bolesław Drobner, którego po jego bankructwie z "Niezawisłymi" i po moim osobistym zaręczeniu przyjęto do Partii. Znałem go bowiem dobrze jeszcze jako studenta i uważałem zawsze za porządnego i ideowego człowieka, ale człowieka, który mimo wieku nie mógł dojrzeć i na skutek swej wybujałej ambicji pozostał zawsze lekkomyślym wiecznym studentem, zachwycającym się każdym radykalnym frazesem. Zwalczałem go też bardzo często i na ogół uważałem za jednostkę wysoce szkodliwą, ale nigdy nie stosowałem wobec niego jakichkolwiek represyj. Zmartwiłem się też bardzo, kiedy już w czasie mej choroby usunięto go z Partii i gdy rząd, wykorzystując ten moment, wtrącił go do więzienia. Był to dla mnie jeden z najohydniejszych mordów sprawiedliwości, która może karać za przestępstwa, ale której nie wolno karać za naiwność. Prześladowany dr Drobner wysunął się potem na czoło w czasie inwazji bolszewickiej; bronił uczciwie wszystkich i udzielał pomocy, nie zapominając jednak nigdy, jak go traktowano - i nawet wobec mego syna, który prosił go o pomoc podkreślił, że /.../ ja go też nie uważałem za "zbyt mądrego". Nie rozumiał, że pod tym względem nie zmieniłem swej opinii o nim ani na jedną sekundę, uważając go zawsze nie za "niemądrego" lecz za niepoprawnego marzyciela i idealistycznego wiecznego studenta.

Otóż ten tow. Drobner i tow. Zaremba postawili na kongresie PPS dodatek do rezolucji, który wśród pokłonów w stronę "dyktatury proletariatu" przewidywał przy jej pomocy możliwość zduszenia reakcji i zdobycia powszechnej wolności. Po uchwaleniu tego dodatku rozentuzjazmowany tow. Drobner zaintonował na sali "Czerwony Sztandar", zapominając, że sztandar socjalizmu ma nieść "ponad trony" wolę ludu i "ludu gniew", ale nie wolę i gniew ludzi, siedzących na tronach dyktatorskich.

Zamiast więc skupienia wszystkich sił w obronie demokracji powstawały teraz wśród naszych własnych szeregów coraz to większe szczerby i pęknięcia, zresztą tak jak dzieje się zawsze w życiu, że w ciężkich momentach ludzie utrudniają je sobie jeszcze przez wzajemne spory i kłótnie. A położenie nasze i Partii było faktycznie coraz trudniejsze. Wprawdzie dziennik "Robotnik" miał coraz więcej czytelników, ale cały jego dochód pochłaniały wydatki partyjne i deficyty drukarni, która razem z dziennikiem tworzyła jedno przedsiębiorstwo. Żądałem, by dziennik "Robotnik" wyeliminowano z całości, lecz niestety natrafiałem pod tym względem na stałe sprzeciwy ze strony tow. Żuław, który nie chciał zrzec się wpływu na całe przedsiębiorstwo, w którym samowolnie rządził, a poza tym nie chciał stracić możności atakowania Niedziałkowskiego jako redaktora i zwalania na niego winy za wszystkie niepowodzenia przedsiębiorstwa.

Natomiast istotnie ciężkie położenie było wychodzącego w Krakowie "Naprzodu", który żył tylko dzięki energii dzielnego tow. Czerwieńca i pomocy "Drukarni Ludowej". Toteż CKW powziął uchwałę, by "Naprzód" zwinąć i zastąpić go "Robotnikiem", wydawanym pod dawnym tytułem. Broniłem się przed tym do ostatka, lecz

wobec faktów musiałem się podporządkować powziętej uchwale i z ciężkim sercem poczyniłem odpowiednie kroki. Jakże się więc zdziwiłem, gdy - wróciwszy z urlopu - dowiedziałem się, że wbrew uchwale tow. Pużak - jakby na przekór - cofnął moje zarządzenia i oświadczył: że "Naprzód" bez zmiany będzie nadal wychodził. Zorientowawszy się w jego krytycznej sytuacji musiałem jednak stanąć na stanowisku uchwały CKW i "Naprzód" zlikwidować. Ustaliłem przy tym, że jego długi, za które odpowiadałem jako formalny wydawca wynosiły około 40 tysięcy złotych- i uzyskałem uchwałę, że CKW na poczet ich spłaty będzie przesyłać do Krakowa 500 zł miesięcznie. Mimo to pieniędzy tych jednak nie otrzymałem, a mając do zapłacenia terminowe weksle, ustaloną kwotę potrącałem z należności za abonament nowego "Naprzodu". Rozpoczęła się na tym tle nieprzyzwoita i małostkowa walka, która skończyła się dopiero wtedy, gdy sekretariat, z powodu chwilowej choroby Pużaka, objął tow. Kwapiński i gdy potrąciłem cały dług ciążący na "Naprzodzie".

Tow. Pużak jednak jeszcze raz w rok później starał się we mnie uderzyć, lecz już z innej strony. Przeprowadził, w czasie mej nieobecności, uchwałę o zamianowaniu w Krakowie "pełnomocnika CKW" w osobie tow. Ciołkosza, mającego funkcjonować obok CKW, którego byłem przewodniczącym. Ponieważ statut przewidywał tego rodzaju "pełnomocnika" tylko na wypadek rozwiązania CKR z powodu nadużyć lub zaniedbań, sprzeciwiłem się temu stanowczo, oświadczając, że jeśli chodzi o przeniesienie się tow. Ciołkosza do Krakowa - to ja sam na najbliższym zgromadzeniu partyjnym postawię wniosek, by tow. Ciołkosza wybrać do OKR, ale tylko w charakterze członka o równych prawach, a nie jakiegoś "pomocnika" ponad OKR-em.

W międzyczasie, zgnębiony losem "Naprzodu" i wewnętrznymi stosunkami partyjnymi, umarł tow. Emil Haecker. Podnosząc jego wielkie zasługi, napisałem o nim wspomnienie, jako o człowieku, który całe życie oddał walce, partii i "Naprzodowi". Przepracowałem z nim 35 lat i pamiętam go jako zapalonego młodzieńca, który słowem i piórem chłostał polską reakcję i jej nadużycia, toteż śmierć jego wywołała we mnie bolesne uczucie i szczery żal za straconym przyjacielem.

Tymczasem doszło do nowej sesji sejmowej, na której zaraz na początku wygłosiłem mowę, piętnując nieodpowiedzialność całej polityki sanacyjnej. Mówiąc o stosunkach zagranicznych, skonstatowałem też oziębienie stosunków z Francją i ataki na Czechosłowację, a w wypowiedzeniu zobowiązań o ochronie mniejszości narodowych dopatrywałem się podważenia traktatu wersalskiego, "na którym oparł się byt państwa". Skończyłem swe wywody, zwracając się do posłów sanacyjnych słowami: "Wy jesteście najbardziej antypaństwową partią w Polsce. Społeczeństwo musi zrozumieć wreszcie, że w tej chwili na czele państwa stoi partia bez kierunku, bez odpowiedzialności, antypaństwowa". Mowa ta rozeszła się w osobnej odbitce w blisko 100 tysiącach egzemplarzy i dla osłabienia jej wrażenia mówca generalny budżetu p. Miedziński zaczął drwić z socjalizmu i demokracji, uważając, że są one już tylko przeżytkiem.

Zapanowała teraz ciężka, duszna atmosfera i w państwie, i w sejmie. Społeczeństwo było zdeptane; część więźniów brzeskich powracała z emigracji - i aresztowana odbywała karę, którą jej potem w drodze "łaski" skracano, a część, wśród której byli Witos i Lieberman pędziła tułaczy żywot. Z tow. Liebermanem spotykałem się dosyć często i często otrzymywałem od niego listy, pełne tęsknoty za krajem, ale tchnące wiarą, że dyktatura sanacji musi się załamać, choć tymczasem triumfowała ona coraz bardziej.

Senat bowiem skończył swój "elaborat" naprawy konstytucji i podjęte zmiany przedłożył sejmowi do zatwierdzenia. Na terenie ciał ustawodawczych zaczęła się więc niegodna macherka, polegająca na tym, by jakoś wyinterpretować, że do uchwalenia tych zmian nie potrzeba już kwalifikowanej większości. Interpretacyj tych dokonywał p. Car i marszałek Switalski przy pomocy posła ziemi wileńskiej p. Podoskiego. Dziwna rzecz, jak czasem w historii łączą się te same czyny z tymi samymi nazwiskami. Swego czasu - w XVIII w. - poseł Podoski, biskup z Wilna, pomagał mataczyć i "interpretować" ówczesnemu marszałkowi Sejmu przy przeprowadzeniu uchwały o zatwierdzenie gwałtu pierwszego rozbioru Polski. W półtora

wieku później poseł wileński, sędzia Podoski, dopomagał przy zatwierdzeniu gwałtu, popełnionego przez polską sanację na demokracji polskiej.

P. Switalski enuncjował uchwalenie nowej konstytucji, chociaż już w parę miesięcy po tym żałował swych interpelacyj i kajał się publicznie, lecz trochę już poniewczasie. Sanacja popełniony gwałt chciała zagłuszyć urządzanymi uroczystościami i pochodami, w których "naród" miał wyrażać swą "radość" z uchwalenia konstytucji. Kiedy jednak zaraz po tym miałem przemawiać na 1 Maja w Krakowie, tamtejszy starosta grodzki zwrócił się do mnie, bym o tym, jak ta witana konstytucja została uchwalona, nie mówił, bo musiałby zgromadzenie rozwiązać.

Zaraz potem - w maju 1935 - umarł też Piłsudski i rozpoczęły się uroczystości, mające na celu podnieść wielkość zmarłego, w imię którego mieli rządzić spadkobiercy jego "ideologii". Urządzano obchody i procesje i zmuszano robotników pod groźą wydalenia z pracy do brania w nich udziału. Znaleźliśmy się w ciężkim położeniu: nie chcieliśmy na ten temat rozpoczynać walki, tym bardziej, że w tym momencie mogłaby ona dać wręcz odmienny efekt, a nie mogliśmy też stworzyć pozorów, że łączymy się w hołdzie na cześć człowieka, który nas deptał. Wydaliśmy więc hasło, by organizacje postępowały tak, aby "zachowanie ich nie mogło być uważane za jakąkolwiek prowokację". Ci, którzy musieli iść w procesjach, poszli, a ja - choć w czasie pogrzebu zostałem w domu - usprawiedliwiłem ich wszystkich i broniłem przed tymi, którzy nie zdawali sobie sprawy z dążeń sanacji, chcącej sprowokować jakąś wielką awanturę pod pretekstem, że zmarły został sprofanowany.

Po uchwaleniu konstytucji sejm miał jeszcze uchwalić nową ordynację wyborczą. Ten sam poseł Podoski i ten sam poseł Car, którzy niedawno tłumaczyli, że "w interesie państwa" należy utrzymać system wyborów powszechnych, równych, proporcjonalnych i tajnych", teraz stanęli na stanowisku wręcz przeciwnym, że "by krajowi zapewnić większą siłę, wzmóc jego spoistość i wzmocnić wewnętrzną zwartość", trzeba pozbawić masy ludowe możności wpływania na losy ich własnego państwa.

W ostatniej mowie, którą wygłosiłem w sejmie, zapowiedziałem więc, że "my wszyscy i wszyscy robotnicy w kraju zdają sobie sprawę, że przyszły sejm będzie dla nas zamknięty: nie rezygnujemy jednak z walki o przebudowę tego państwa i nie rezygnujemy z walki o zdobycie w nim równych praw obywatelskich - i o pełnię władzy". Kiedy z trybuny zapowiedział ten nasz "powrót" mój towarzysz i przyjaciel Niedziałkowski, spotkał się z szyderstwem p. Miedzińskiego, który pytał: "Wrócicie? Skąd? Gdy tymczasem my jesteśmy panami". Zarzucił nam zacofanie; nazwał nas "echem z przeszłości", twierdząc, że dziś postęp reprezentuje faszyzm i sanacja, podczas gdy my tkwimy ciągle jeszcze w tradycjach rewolucji 1848 r.

Odpowiedziałem mu, że się myli, bo nasze tradycje sięgają wstecz znacznie dalej - sięgają "odwiecznych dążności człowieka do sprawiedliwości i wolności; sięgają starożytnych walk plebejuszów o wyzwolenie, buntów ciemiężonych chłopów w okresie feudalnym; Wielkiej Rewolucji Francuskiej i wszystkich innych następnych nie wyłączając 1848, których słusznych ideałów, niestety dotąd wcielić w życie nie byliśmy w stanie." Powiedziałem, że jest to "ta wieczna walka wolnej duszy ludzkiej z brutalną przemocą fizyczną - ten odwieczny tragiczny pochód Psyche ze zwycięskim Blaksem. I mogą Blaksy zwyciężać w Niemczech i w Austrii, w Hiszpanii i we Włoszech, mogą cieszyć się i upajać odniesionymi zwycięstwami: koniec ich zawsze będzie jeden - bankructwo i klęska/../Więc wrócić musimy z tych nizin, na które zepchnęła nas wraz z ideą wolności dzisiejsza przemoc /.../ jak Psyche, by przywrócić zduszonemu światu sprawiedliwość i na gruzach przemocy zatknąć zwycięskie sztandary sprawiedliwości i wolności, bez których nie ma postępu".

Tymczasem jednak zwyciężali Blaksy i sanacja, a po odniesieniu przez nią zwycięstwa p. Sławek zaapelował do społeczeństwa, że teraz "prawo ma nami rządzić". Zdziwiłem się. Jak to. Przedstawiciel tego samego kierunku, który wczoraj /.../ zapowiadał uchwalenie konstytucji "z prawem czy wbrew prawu", który /.../ wołał o przeprowadzenie zamachu stanu, który /.../ straszył, że żaden wzgląd "na liczbę siedzeń" i na formalne prawo nie może powstrzymać od przeprowadzenia swej woli tych, którzy raz ważyli się na przeprowadzenie jej z bro-

nią w ręku - ten sam p. Walery Sławek, który /.../ wzywał "do łamania kości" swoim przeciwnikom, dziś nagle poczuł respekt dla prawa i mówi o jego wielkim autorytecie na przyszłość.

Wskazałem, że to jest "odwieczna kolej rzeczy na świecie, że zawsze i wszędzie prawo stworzone przez innych, niegodne i krępujące, można gwałcić i łamać, jeśli się ma siłę, ale prawo stworzone przez siebie dla swojej wygody i dla obrony swoich własnych interesów - choćby nawet doszło do skutku z pogwałceniem prawa - niech będzie świętością i autorytetem". Pewnie, że tak być musi. Musi być jednak tak długo tylko, jak długo nie powstanie nowa siła, która je znowu zdoła złamać i usunąć". Zapowiedziałem też, że tej walki o prawo "nie usunie żadna próba przekształcenia Sejmu i zniszczenia "sztabów partyjnych". Jeśli walka ta o demokrację i o sprawiedliwość społeczną nie będzie mogła toczyć się w Sejmie, będzie musiała toczyć się poza Sejmem - i to pod kierownictwem tych samych znienawidzonych "generów ze sztabów partyjnych", bo oni dostali się do nich nie przez piastowanie mandatów, lecz przez ofiarną, wytężoną pracę społeczną, przez swe zdolności i siłę swoich charakterów".

Chciałem też, aby walka ta była prowadzona na wszystkich terenach, a więc nawet na tych resztach parlamentaryzmu, które nam jeszcze pozostały, bo zdawałem sobie sprawę, że tych kilku towarzyszy, którzy nie będą mogli prześliznąć się do Sejmu, mogą stanowić taran, którym można będzie atakować rząd i większość sanacyjną. Niestety towarzysze stanęli na innym stanowisku i - uważając to za wyraz zaostrzenia walki - postanowili Sejm i wybory zbojkotować. Zwracałem uwagę, że efekt bojkotu będzie wręcz odmienny, że spowoduje on osłabienie sił opozycji i stworzy poza Sejmem nowe kontakty pomiędzy społeczeństwem a rządem, w formie coraz bardziej bliskich rozmów prywatnych i konwentykli pomiędzy jego przedstawicielami a przedstawicielami organizacyj - związków i partii.

Przewidywania moje sprawdziły się bardzo wnet. Wśród opozycji ludowcowej na tle stosunku do bojkotu nastąpił rozłam. Tym, którzy odeszli, przypomniałem jedynie, że "tylu ludzi, których zdobyto takimi czy innymi obietnicami, odchodziło marząc o wielkiej karierze, jaka ich czeka za zdradę, a dziś siedzą gdzieś na uboczu zapomniani, przeklinając w duszy ten moment, w którym się dali uwieść do przekreślenia całej swej przeszłości". Z drugiej strony wśród nas - walkę i rozmowy dokonywane pomiędzy rządem a przedstawicielami organizacyj z trybuny sejmowej, zastępowały powoli z konieczności rozmowy w gabinetach ministerialnych, poza kontrolą publiczną.

Po podjęciu uchwały o bojkocie, do której zastosowałem się z całą lojalnością, wyłoniła się kwestia udziału związków zawodowych w tzw. "kolegiach wyborczych", które miały ustalać kandydatów do Sejmu. Wedle ustawy w kolegiach tych mieli zasiadać również przedstawiciele związków - i z jednej strony, by demonstracyjnego usunięcia się ich rząd nie uznał za "sabotaż" i nie zastosował wobec nich, które stały się teraz jedyną organizacją walki, specjalnych represyj, a z drugiej - by mogły mieć one możność podniesienia protestu - stanąłem na stanowisku, by uprawnione związki w kolegiach tych wzięły udział. Nie wiem dlaczego - czy dlatego, że bał się, by któryś z towarzyszy wbrew uchwale nie wysunął swej własnej kandydatury, czy z innych jakichś ukrytych motywów - tow. Kwapiński stanął na wręcz odmiennym stanowisku - i na tym tle rozpoczęła się pomiędzy nami, którzy dotąd pracowaliśmy zawsze zgodnie i w harmonii przez piętnaście lat, zacięta walka. Wygrałem ją: przedstawiciele związków wzięli udział w kolegiach i żaden z nich nie złamał uchwały, a ich głosy były jedynymi protestami podnoszonymi przeciwko toczącej się akcji wyborczej. Tow. Kwapiński zaś już przy następnych wyborach stanął na stanowisku nie tylko brania udziału w kolegiach wyborczych, lecz również udziału w wyborach i w Sejmie.

Akcja wyborcza toczyła się w zupełnej cichości - były to wybory "nieme". Od czasu do czasu tylko któryś z sanacyjnych dygnitarzy próbował udowodnić, że tak być właśnie powinno, bo agitacja partyj jest nieszczęściem dla państwa, rozsadnikiem "jątrzenia" i "demoralizacji", a postęp społeczny dziś reprezentują p. Car, Miedziński, Radziwiłł, Hołyński i rabin z Agudy, którzy sami już, poza partiami, urzeczywistnią "tęsknotę społeczeństwa do nowego porządku" i zaprowadzą nowy ład i sprawiedliwość. Pytałem publicznie, czy to "naprawdę trzeba dzi-

siaj aż agitacji i partyj politycznych, aby jątrzyć niezadowolenie w społeczeństwie polskim /.../ które /../ przelewa się wszędzie masowo przez każdą wieś polską, przez każdą osadę fabryczną". A jeśli chodzi o "demoralizację" to pytałem, czy mam przypomnieć nazwiska "posłów sanacyjnych, których trzeba było wydawać sądom z oskarżeniem o pospolite zbrodnie, kradzieże, oszustwa i sprzeniewierzenia - czy mam przytaczać słowa p. Sławka o potrzebie przeprowadzenia "czystki" w szeregach BBWR i słowa p. Prystora, aby "gnać tę łaszącą się, schlebiającą kanalię, węszącą jedynie za zyskiem i intratą?". Całą tę ordynację wyborczą nazwałem "lekkomyślnym eksperymentem", wskazując, że eksperymentować można na świnkach morskich, ale nie na państwie, na jego interesach i na ludziach", bo "państwo i jego ludzie są zbyt wielkim i zbyt cennym dobrem, by ktokolwiek mógł i miał prawo dokonywać na nim eksperymentu".

Po tej kampanii wyborczej naturalnie rząd "zwyciężył", lecz zwycięstwo jego ujawniło równocześnie całą jego słabość. Wybory wykazały "zupełną bierność i obojętność większości społeczeństwa wobec aktu wyborów" i w efekcie dały, jak określił "Czas" posłów "źle dobranych i nieposiadających dostatecznego zaufania u społeczeństwa". Wprawdzie prasa sanacyjna roztrąbiała na wszystkie strony, że "obóz rządowy zwyciężył"; że "wpływy nasze nie tylko nie zmalały, lecz nie patrząc na trwanie kryzysu i dolegliwości gospodarcze - wzrosły"; że "opozycja słaba i bierna, zdolna do powiedzenia: nie, ale nie zdolna do powiedzenia: tak, że "to tylko ci, którzy są i byli zawadą życia narodu, te koszmarne reszty sejmokracji, przeciwko którym wymierzona jest reforma ustroju - próbują warcholić" - i że "teraz cały ciężar odpowiedzialności za państwo spada na barki sanacji". Ale to były tylko czcze słowa, bo faktycznie obóz sanacyjny ogarnęła zupełna "dekompozycja", jak określił potem ówczesne polityczne nastroje p. Miedziński. Kraj wypowiedział się przeciwko sanacji, co stwierdziłem w prasie, pisząc, że "na przeszło 16 milionów uprawnionych do głosowania zaledwie 7 milionów, z czego milion 700 tysięcy obywateli w najbardziej uświadomionych dzielnicach kraju, oddało karty nieważne", a w stolicy kraju spośród 130 tysięcy uprawnionych do głosowania premier rządu otrzymał zaledwie 29 tysięcy głosów. Żądałem, więc, by z tych faktów "koniecznie wyciągnąć konsekwencje".

My wyciągnęliśmy je też momentalnie i rozpoczęliśmy "miesiąc propagandy" za przystąpieniem do związków, by w ten sposób wzmocnić siłę społeczeństwa przeciwko sanacji. W wydanej odezwie przedstawiliśmy, że "w tej chwili byłoby największą zbrodnią wobec siebie samych, gdybyśmy - zrażeni ogromem piętrzących się przed nami trudności, czy pozorną siłą naszych wrogów, zechcieli wyrzec się walki i popadli w bierność i apatię. Dziś nie wolno stać z boku - pisałem. - Nie wolno być apatycznym i obojętnym! Nie wolno z uległości czy ze strachu należeć do wrogiej organizacji! /.../ Spełnijcie swój obowiązek! Wstąpcie do swego klasowego związku zawodowego. Wzmocnijcie swych walczących kolegów! Przyczyńcie się czynnie do usunięcia krzywdy, do zapewnienia wszystkim ludziom chleba i pracy - do osiągnięcia zwycięstwa!".

W prowadzonej walce pomału wyczerpywały się jednak również i moje własne siły. Na ostatnim plenarnym posiedzeniu Komisji Centralnej byłem już tak osłabiony, że nie byłem w stanie dokończyć swego referatu i zastąpił mnie tow. Zienowski. Byłem też szczęśliwy, gdy otrzymałem zaproszenie z Międzynarodowego Biura Pracy na jakąś komisję o nieszczęśliwych wypadkach, która się miała odbyć w Lucernie, zwłaszcza, że dziesięć dni po tym miałem normalne posiedzenie Rady Administracyjnej w Genewie - tak, że bez wyrzutów sumienia mogłem ten czas spędzić na odpoczynku.

I w tym celu wyjechałem po zakończeniu komisji w Lucernie, do Interlaken. Było już późno i pusto. Błąkałem się sam, ale otaczający mnie spokój i samotność oraz związany z nimi nastrój oddziaływał na mnie bardzo dobrze i kojąco. Nie czytałem żadnych gazet, nie mówiłem z nikim i wśród ostatnich pięknych dni jesieni wałęsałem się po okolicy, zwłaszcza koło Mürren, skąd wpatrywałem się w śnieżno-białą Jungfrau.

Lecz wraz z upływem mego wypoczynku skończyła się również piękna pogoda i w Genewie zastałem już paskudną słotę. Tam dowiedziałem się też, że "konsekwencje", których domagałem się dla premiera Sławka, wyciągnął p. prezydent

Mościcki, zamianowawszy nowy rząd pod przewodnictwem pp. Kościałkowskiego i Kwiatkowskiego. Zaraz po moim powrocie zwróciliśmy się do nich z memoriałem o konieczności zmiany dotychczasowej polityki wobec klasy robotniczej.

Mimo zmiany rządu i upadku "pułkowników" sołdateska szalała jednak w dalszym ciągu, toteż - by pohamować rosnące ciągle nastroje militarystyczne i powtarzające się ustawicznie akcesy uzbrojonych oficerów wobec ludności cywilnej - w styczniu 1936 roku napisałem artykuł, w którym domagałem się zrównania oficerów pod względem praw z ludnością cywilną. Wykazując, że "dzisiejsza nowoczesna armia to coś zupełnie innego, niż armia z dawnych czasów, w których oficerowie byli jedyną grupą społeczną, mającą obowiązek nieść życie i krew w obronie swojego kraju i obywateli", pisałem, że "już czas skończyć z tymi przeżytkami średniowiecznymi, czas skończyć z przywilejem munduru i koniecznością bronienia go z bronią w ręku w czasie pokoju, czas skończyć z prawem noszenia broni przez wojskowych poza służbą". To naruszyło, naturalnie "tabu", jakim stał się militaryzm od przewrotu majowego - i od razu spotkałem się z napaścią ze strony "Gazety polskiej", której jeden z przedstawicieli pisał, że "korpus oficerski stanowi elitę, w której poczucie honoru i etyki przestrzegane jest silniej i dotkliwiej niż w tzw. cywilbandzie", a drugi napadł na mnie osobiście z powodu mego stosunku do Legionów i mej służby wojskowej w czasie wojny.

Odpowiedziałem, że "stosunek ten określiłem już raz w 'Robotniku', podnosząc piękno Legionów, ich urok i bohaterstwo porywu - i stwierdzając już wtedy, że piękna tej legendy nie wolno przekuwać na narzędzie polityki dnia. Co się zaś tyczy mego osobistego zachowania się w czasie wielkiej wojny, to spełniłem mój obowiązek tak, jak mi to dyktowało moje przekonanie i moje sumienie. Poszedłem walczyć na front w armii austriackiej - nie za Austrię i nie za cesarza, w najcięższych dla siebie warunkach, jakkolwiek mogłem wybrać lżejsze. Nie żądałem i nie żądam za to uznania od nikogo, gdyż zrobiłem to z obowiązku wobec własnego sumienia, ale też przed nikim nie mam zamiaru zdawać z tego rachunku, a najmniej przed panami z "Gazety polskiej". Chcę jednak w imię prawdy stwierdzić; do wojska austriackiego zgłosiłem się dobrowolnie dnia 2 sierpnia 1914, jakkolwiek nie byłem objęty wezwaniem mobilizacyjnym. Do armii polskiej w roku 1920 zgłosiłem się dobrowolnie, jakkolwiek jako inwalida wojenny, uznany w 50% za niezdolnego do pracy, ustawowo do tego nie byłem zobowiązany".

W tym czasie, polemizując z artykułem "Gazety polskiej" o "Linii podziału": na tych, którzy wierzą "w siłę i moc państwa" i tych, którzy w nią nie wierzą - postawiłem tezę innego podziału: na tych którzy tę moc państwa widzą w odpowiedzialności rządów, w wykonywaniu nad nimi kontroli przez ciała ustawodawcze i w demokracji, oraz na tych, którzy chcą ją widzieć w fizycznej przemocy i w militaryzmie. Czytając korektę, naraz dostałem ataku i poczułem, że straciłem mowę.

To był cios. Dla mnie mowa to była cała moja siła, przy pomocy której prowadziłem walkę o własne swoje ideały. Jeżeli mógł w swych "Pamiętnikach" napisać o sobie Ignacy Daszyński, że "nie wie, czy jest ktoś z jego rodaków, który by tak używał trybuny mówcy w życiu politycznym, jak on", to ja z całą stanowczością mogłem powiedzieć, że do nich właśnie należałem. Mówiłem ustawicznie i wszędzie: na wiecach publicznych i na zgromadzeniach poufnych, w salach i pod gołym niebem, na zebraniach partyjnych i w okręgu, na zgromadzeniach zawodowych wszystkich zawodów i na zjazdach związków zawodowych, na konferencjach i na posiedzeniach, w pracy agitacyjnej podczas strajków czy demonstracyj, mówiłem w kraju od Gdyni aż do Kałusz i od Bielska aż po Wilno - i mówiłem za granicą, na zjazdach poszczególnych krajów - począwszy od Rygi aż po Meksyk i Stany Zjednoczone, wreszcie przemawiałem na zjazdach międzynarodowych i na posiedzeniach Międzynarodówki. I dziwna rzecz, że chociaż mówiłem całe życie, to jednak każde przemówienie wywoływało we mnie pewną emocję i tremę, i każde z nich kosztowało mnie część mego życia. Toteż zwaliły mnie one z nóg - i jak Łazarz byłem bliski rozpaczy i samobójstwa.

Na wieść o mej chorobie przybiegła Dolka i zaraz po tym przyjechała żona, a lekarz dr Kölichen - spokojny, zrównoważony i rozumny człowiek, który zaopiekował się mną bardzo troskliwie i wobec którego mam zawsze największą

uznanie i uczucia prawdziwej wdzięczności - mówił, że trzeba zastosować przede wszystkim spokój i radził, bym wyjechał do małego sanatorium pod Warszawą "Karolin", pozostającym pod kierownictwem dr. Knoffa, w którym i o którym Adolf Nowaczyński pisał, że leży "pod Tworkami".

W Karolinie odwiedzała mnie stale Bolka, otaczając mnie najczulszą opieką - i stary mój przyjaciel Wilek Topinek; przyjeżdżali towarzysze: Stańczyk, Barlicki, Kwapiński, Szczucki, Zdanowski, Ziegelbojm /który potem, w okresie okupacji, na wieść o mordach dokonanych na ludności żydowskiej, popełnił samobójstwo w Londynie/ - i cały szereg innych, którzy prześcigali się w okazywaniu mi przyjaźni i współczucia. Najwięcej jednak dbałości i troski o mnie i o moje zdrowie okazywał mi zawsze Mieczek Niedziałkowski, który nie mógł być dla mnie lepszy niż rodzony brat. Od towarzyszy z prowincji i od poszczególnych związków metalowców, górników, budowlanych, użyteczności publicznej, chemicznych, drukarzy itd., itd., otrzymywałem też ustawicznie listy i adresy, w których towarzysze, przesyłając mi "pozdrowienia", "wyrazy uznania", "szacunku", "czci", życzyli mi powrotu do zdrowia i do podjęcia na nowo walki o wspólne ideały.

Będąc w Karolinie, dowiedziałem się też o śmierci mej siostry Jadwigi, która również uległa atakowi, co tajono mi długo, by nie wywołać pogorszenia stanu mego zdrowia.

Wtedy też dochodziły do mnie wieści o coraz ostrzejszych walkach społecznych i o strajkach. Widocznie albo towarzysze nie potrafili dość zgrabnie nawrócić ku nowemu kursowi, albo nie umiał tego zrobić rząd p. Kościałkowskiego - dość, że po salwach dawanych do tłumu rząd ten padł sromotnie, a jego miejsce objął gabinet gen. Składkowskiego, będący nową edycją sołdateski "pułkownikowskiej"; zmienionej nie pod względem kierunku rządzenia, lecz jedynie pod względem składu rządzących.

Pomału zacząłem wracać do sił i mówić - i mogłem już wrócić do domu, a potem podjąć dalszą kurację, którą mi zalecono - kąpielami radioaktywnymi w Jachimowie w Czechach. Stamtąd wróciłem do domu i znowu do Karolina - tak, że moje życie dokonywało się teraz pomiędzy domem a jakimś sanatorium. Lekarze: dr Kölichen, dr Knoff i dr Rose, profesor z Wilna, dawny mój przyjaciel i kolega jeszcze z krakowskich czasów uniwersyteckich - radzili mi jednak, bym zaczął pracować nad sobą: bym myślał, pisał i mówił. Zacząłem próbować, lecz każda podjęta myśl się rwała i wywoływała we mnie niemal fizyczny ból. Ile trudu i wysiłku wymagało, by go przezwyciężyć - ocenić mogę tylko ja i chyba Bolka, nad którą nieraz wprost się znęcałem, gdy nie mogłem sobie dać rady z wyrażeniem jakiejś myśli słowami.

W czasie tej choroby lub bezpośrednio przed nią dokonały się też duże zmiany w polityce zarówno w kraju, jak i za granicą. W kraju rosły coraz bardziej tendencje totalistyczne i coraz ostrzej atakowano demokrację, a za granicą - faszystowskie Włochy i hitlerowskie Niemcy napadły na Hiszpanię, Mussolini zajął Abisynię, Japonia zaś zaatakowała spokojne Chiny. Te wszystkie akty siły militarnej znajdowały też coraz większe uznanie ze strony totalistycznych sfer polskich, których wyrazem stawał się coraz bardziej nowy generalny inspektor armii - gen. Śmigły Rydz. On tylko marzył, by móc spełnić w Polsce rolę "wodza" - i w tym celu powołał do życia nową "bezpartyjną" organizację: "Obóz Zjednoczenia Narodowego" - OZN, który teraz, po usunięciu BBWR, tak samo jak on miał "jednoczyć naród" i "zdobywać wpływ" na społeczeństwo.

W tym samym czasie PPS, wśród której towarzysze też szukali ciągle swojej "siły" i wśród której w dalszym ciągu pokutowały tendencje dyktatorskie, zwołała do Radomia swój kongres. Pierwszym moim publicznym nawrotem na arenę polityczną był artykuł, w którym zwróciłem się do kongresu, przestrzegając przed wszelkimi flirtami z dyktaturą. Pisałem, że uchwała poprzedniego kongresu, "podjęta w momencie głębokiego zawodu politycznego i ciężkich ciosów, spadających na socjalizm, była raczej wyrazem szukania dróg dla zdobycia siły, a nie wyrazem przekonania o słuszności dyktatorskiego systemu rządzenia" - i że była ona raczej "tęsknotą za siłą, która położyłaby kres rozbestwionej reakcji i jak najszybciej doprowadziłaby klasę robotniczą do utęsknionej przebudowy społecznej i politycznej". Wskazywałem, że "w całej Europie zaznacza się coraz wyraźniej podział na dwa wiel-

kie obozy: obóz demokracji, postępu, sprawiedliwości i wolności - i obóz dyktatury, obóz gwałtu, niesprawiedliwości i wyzysku", twierdząc, że granicy walki pomiędzy tymi obozami "zacierać nie wolno pod żadnym warunkiem, jeśli się nie chce osłabić gromadzących się sił demokracji". W końcu napisałem, że "dyktatura stwarza nie siłę, lecz słabość - i tę słabość pokrywa gwałtem i okrucieństwami". Mimo to, niestety, - kongres ten nie zdołał przeprowadzić żadnej przeze mnie granicy i powziął "tezy", starające się pogodzić wolność z gwałtem i demokrację z dyktaturą.

Po kongresie zwrócił się do mnie Pużak, bym się zgodził na objęcie przewodnictwa Rady Naczelnej Partii, a gdy nie mogłem się na to zdecydować ze względu na stan mego zdrowia, przysłał mych przyjaciół: Topinka, i Kwapińskiego, którzy mnie tak przekonywali, że wreszcie ustąpiłem i na najbliższym posiedzeniu Rady zostałem wybrany jej przewodniczącym, choć byłem jeszcze bardzo słaby. Lecz to właśnie tow. Pużak uważał za moją najlepszą kwalifikację na to stanowisko. Chciał on bowiem mieć prezesa słabego i chorego, za którego plecami mógłby robić to, co by mu się tylko podobało. Tak było bowiem za prezesury Daszyńskiego, który był chory i którego zastępował niepolityczny tow. Topinek - i to samo chciał teraz Pużak kontynuować, przeznaczając mi rolę bezwolnego manekina. Na szczęście zacząłem się dźwigać - i coraz bardziej domagać się swych praw statutowych, które ustawicznie starał się ograniczać tow. Pużak swymi dyktatorskimi zakusami.

I dziwna rzecz: im bardziej rosły te tendencje dyktatorskie wśród poszczególnych obozów - na lewo czy na prawo - to tym ostrzejszą metodę walki starał się każdy z nich zastosować wobec dyktatorskich tendencji swego przeciwnika. A dla mnie zawsze każda dyktatura, bez względu na nazwę i barwę, była jednakowo wstrętna, bo każda była "podeptaniem wolności człowieka i gwałtem wobec jednostki, podporządkowaniem wymiaru sprawiedliwości woli dyktatora, możnością karania człowieka obozem koncentracyjnym bez poprzedniego wyroku, bez potrzeby udowodnienia mu winy, skrępowaniem wolnego słowa, systemem denuncjacji i szpiclostwa oraz przymusem wiary, że wszelkie zamierzenia dyktatorskie idą zawsze w kierunku szczęścia ogólnego".

Pytałem więc w dwóch artykułach tych, co potępiali jeden rodzaj dyktatury, a drugi apoteozowali, co ich razi: "nazwa czy treść", która jest jednakowa, bez względu na to, czy wypełniają ją Sowiety czy czające się do "skoku naprzód młode Włochy", "młode Niemcy" i "młoda Japonia", depczące wolność swych własnych obywateli. Przestrzegając więc przed stosowaniem tych samych szkodliwych metod gwałtu, żądałem "zaprzestania prześladowań, więzień, wyroków i Berezy Kartuskiej" - tym bardziej, że okazywały się one zawsze bezcelowe. "Kto postępuje inaczej - robi tak jak strażak, który chce gasić płomień sikawką napełnioną oliwą; może lać strumienie, a pożar będzie ogarniał coraz dalsze obszary".

W maju byłem już na tyle silny, że pokusiłem się o rozpoczęcie pracy w Komisji Centralnej, choć zawsze pozostawała u mnie pewna trudność wysłowienia myśli, które same były jednak zupełnie swobodne i jasne. Zaraz na początku zwrócił się do mnie przedstawiciel ZZZ, który w międzyczasie po upadku p. Sławka, stracił łaski i swe uprzywilejowane stanowisko - i robiąc bokami, chciał rozpocząć pertraktacje co do "zbliżenia się" do Komisji Centralnej. Na jego publiczne skargi i żale na prześladowania ze strony rządu odpowiedziałem, że "kto siał wiatr, ten musiał być przygotowany, że prędzej czy później wywoła burzę" - i wyraziłem przypuszczenie, że burza ta "która wybuchła w ZZZ, nie zmiotła jeszcze tych wszystkich plewów, które wiatr zapędził tam swojego czasu". Co się zaś tyczy samego stosunku do ZZZ, to oświadczyłem, że i ja, i Komisja Centralna stoimy na tym samym stanowisku "klasowości, niezależności i bezpartyjności" wszystkich związków, na jakim staliśmy zawsze, ale nie chcemy żadnego "zbliżania się", lecz ustalenia wspólności celu i budowania wspólnej siły w toczącej się walce. Ci, którzy odnajdą w sobie te same dążenia - "nawet bez uderzenia się w piersi" - "niech wrócą pod sztandary, które jeszcze wczoraj były naszymi wspólnymi sztandarami i wiodły nas do wspólnych ideałów". Lecz Moraczewski w imieniu ZZZ odpowiedział, że "pod stare sztandary nie powróci".

W tym samym czasie odbywało się po raz pierwszy w Polsce posiedzenie

[illegible] zapewniały [illegible] konfliktu [illegible]
[illegible] nie [illegible] z prześladowań, [illegible] jego starczyć [illegible]
[illegible] artykuł, [illegible] się, że [illegible] jak [illegible]
o wolności i [illegible] sam [illegible] właśnie wówczas [illegible] 1916, [illegible]
[illegible], [illegible] wszystkie [illegible] siły [illegible]
polsko-[illegible] Sikorskiego [illegible]
[illegible] dla [illegible] i przy [illegible]
[illegible] i [illegible] i wiedz, w [illegible]
[illegible] tow. Sterling [illegible]
[illegible] rewolucji [illegible] robotniczej.

[illegible] był [illegible] tej [illegible] cała [illegible]
[illegible] historia [illegible]
[illegible] wyłonił się [illegible] przy [illegible]
[illegible] w [illegible] [illegible] w Polsce, a wreszcie [illegible]
[illegible], że z [illegible], które [illegible]
[illegible] "obóz" na [illegible]
[illegible] tow. Rutka [illegible]
[illegible] w [illegible] 50 [illegible]
[illegible], [illegible] nie [illegible] tym [illegible]
[illegible] że [illegible]

[illegible]

Niestety [illegible]

[illegible]

Rady Generalnej Międzynarodówki Zawodowej w Warszawie. Na powitanie delegatów - "nie tylko jako miłych i drogich gości, lecz również jako wiernych współtowarzyszy walki" - napisałem artykuł, w którym wskazałem, że Polska w swej walce o wolność i zniesienie wyzysku stanęła dziś na rozdrożu - i to, w którą stronę pójdzie, zależy przede wszystkim od siły polskiej klasy robotniczej, od siły polskich chłopów i polskiej inteligencji. Jakkolwiek nie byłem jeszcze dostatecznie silny, by brać udział w obradach i przyjęciach, to jednak poszedłem na salę, by przywitać starych przyjaciół i znajomych, i wtedy w gorących słowach zwrócił się do mnie z trybuny przewodniczący tow.Citrine, podnosząc z uznaniem moje wytrwanie i odwagę w walce o wyzwolenie klasy robotniczej.

W Komisji Centralnej jednak po tym krótkim czasie swej nieobecności natrafiłem teraz na same niemiłe i przykre historie. Najprzód chwyciłem Hankę znowu na nowych nadużyciach, potem wyłoniła się bardzo przykra personalna walka w Związku Kolejarzy, wynikły scysje wśród członków Zarządu Budowlanych i nieprzyzwoita walka pomiędzy dwoma sekretarzami w Gdyni, a wreszcie niemiłe historie partyjne. Ustaliłem bowiem, że ze składek, które wpływały do Komisji Centralnej przez administrację "Robotnika" na rzecz rodzin ofiar, które padły w ostatnich rozruchach w Krakowie i we Lwowie, tow. Pużak pożyczył kilkanaście tysięcy złotych dla wydawnictwa "Robotnik" - i chociaż wezwałem jego administratora do natychmiastowego ich zwrotu, pieniądze te nie zostały oddano tym, dla których były przeznaczone. W końcu dowiedziałem się, że tow.Pużak samowolnie, bez uchwały CKW porozumiał się z jakimś towarzyszem z Nowego Yorku co do rozpoczęcia wspólnej akcji składkowej na rzecz Bundu i PPS. Z akcji tej dla PPS wpłynęło przez Międzynarodówkę Zawodową 20 tysięcy złotych - i tow. Pużak, nie pytając CKW, zużył je na wydanie odrębnego, konkurencyjnego dla "Robotnika", "Dziennika Ludowego", redagowanego przez tow.Zarembę. Zaprotestowałem przeciwko temu bardzo ostro i zażądałem jako prezes Rady Naczelnej, by na przyszłość wszystkie wpływy i rozchody partii, zgodnie ze statutem, były objęte budżetem, uchwalonym przez Radę Naczelną.

Nowe pismo rozpoczęło też na własną rękę i "kontakty" z lewicą legionową czy niepodległościową, ktora - tkwiąc w OZN - buntowała się przeciwko jego kierownictwu, ale wcale nie miała zamiaru wejść na drogę szczerej demokracji. Chciała ona tylko utrzymać potrzebne jej "kontakty". Widział je "Kurier Polski", widziała je prasa żydowska i "Czas", który pisał o "konsolidacji akcji lewicy" i konstatował "posuwanie się naprzód", mówiąc, że prą do jej "sfinalizowania" przede wszystkim koła opozycji lewicowej PPS. Widziałem je zresztą i ja, bolejąc nad nimi bardzo - i aby je przerwać, napisałem artykuł, w którym podniosłem, że "nawet najpiękniejszy frazes nie wystarczy" i nie wystarczy "powoływanie się na przeszłość i historię", bo "przeszłość ma wielkie znaczenie, ale większe ma teraźniejszość i przyszłość. Niech więc ci wszyscy, którzy reklamują swoją lewicowość społeczną, dadzą dowód, że faktycznie zmienili swoje dotychczasowe reakcyjne i szkodliwe poglądy na wolność ludu i na potrzebę przebudowy obecnego ustroju, krzywdzącego większość narodu - i że ostatnie kilka lat były jedynie czasowym "epizodem zapomnienia". W ten sposób, domagając się jasności, przerwałem rozwijający się wówczas flirt, a jeden z dzienników napisał, że "Robotnik" zamieścił artykuł p.Zygmunta Żuławskiego, który kładzie kres plotkom na temat "cichego" kontaktu nawiązanego przez "lewicę" sanacyjną z niektórymi liderami PPS". Niestety nie udało mi się przerwać kontaktu, jaki nawiązywał się pomiędzy dygnitarzami sanacyjnymi a poszczególnymi przedstawicielami związków zawodowych i partii, którzy coraz częściej odbywali poufne rozmowy czy to z premierem gen.Składkowskim, vicepremierem Kwiatkowskim, ministrem pracy Kościałkowskim, dyrektorem departamentu politycznego Kaweckim, czy z Zyborskim.

Nie zwracając na nie uwagi, sam pisałem coraz częściej i tak ostro, jak mi na to pozwalała cenzura. Pisałem o "wolności prasy" i żądałem położenia kresu samowolnemu konfiskowaniu jej przez cenzurę, której urzędnicy słodziutkimi głosami zawiadamiali telefonicznie, że ten a ten artykuł czy słowa trzeba usunąć, bo inaczej cały nakład "może zostać" skonfiskowany; broniłem prawa krytykowania wyroków sądowych pisząc, że krytyka ich nie jest zła, "tylko jest przykre i bolesne, gdy wydane wyroki są takie, że je można krytykować, wyśmiałem propago-

wany coraz natarczywiej "solidaryzm", tłumacząc, że prawdziwy solidaryzm pomiędzy ludźmi można osiągnąć wówczas tylko, gdy "urzeczywistniona zostanie równość praw" i, że "walka o dobrobyt powszechny jest równocześnie walką o wyzwolenie spod przemocy człowieka, walką z faszyzmem i dyktaturami"; ośmieszałem tezę niepolitycznych związków zawodowych; broniłem walki, jaką podjęli chłopi przez swój "czyn chłopski", wstrzymując dojazd furmanek do miasta; pisałem o potrzebie pomocy zimowej dla bezrobotnych, o urlopach robotniczych, o prześladowaniu związków - i wskazywałem, że "demokracja nie osłabia państwa, lecz je wzmacnia", dowodząc, że jedyna racja stanu Polski - "to wolność całego narodu, dążenie do pełni praw wszystkich obywateli i poczucie ich równości". Przypomniałem, że o tej racji stanu może decydować jedynie większość ich wszystkich, a nie rząd, który "nie ma innego kryterium dla oceny interesów Polski, jak własne przekonanie, które jutro może spotkać się z odmienną oceną i z bardzo ostrą krytyką i potępieniem, gdy przestaną już działać zakazy i konfiskaty". Pisałem coraz częściej artykuły i refleksje, które podpisywałem "n.t.", starając się na każdym kroku bronić wolności i podniecać walkę przeciwko tendencjom totalistycznym, przeciwko rządowi, przeciwko OZN-owi i przeciwko militaryzmowi.

Niestety, pod tym względem nie wszyscy towarzysze szli zupełnie zgodnie. W listopadzie 1937 r. generalny inspektor armii gen. Śmigły Rydz, który coraz wyraźniej pretendował na "wodza" i stawał się głową polskiego faszyzmu, urządził wielką demonstrację młodzieży, w której, pod naporem tow. Pużaka, wzięła udział również młodzież socjalistyczna z TUR i ze Związków Sportowych. W Warszawie, w Krakowie i w całym szeregu innych miast defilowali więc nasi towarzysze, razem z młodzieżą faszystowską, skupioną w ozonowym "sektorze" młodych - przed głowami polskiego militaryzmu. Podniosłem przeciwko temu ostry protest; niestety - samego faktu "współpracy" nie byłem w stanie już odrobić.

Tę wspólną defiladę starano się potem tłumaczyć koniecznością skupienia wszystkich sił przeciwko faszyzmowi endeckiemu. Dlatego więc na najbliższym posiedzeniu Rady Naczelnej zwróciłem uwagę w zagajeniu, że "jakiekolwiek rozróżnienie pomiędzy obiema formami faszyzmu i łagodzenie walki przeciwko jednemu z nich, by skoncentrować atak na drugim, z natury rzeczy musiałoby wbrew woli spowodować poparcie pierwszego i pomóc w ten sposób w zwycięstwie". Wskazałem, że klasa robotnicza "może szukać sojuszników w swej walce tylko wśród chłopów, inteligencji demokratycznej i pracowników umysłowych".

Pod koniec roku spotkał mnie ciężki cios, gdyż umarł najmłodszy mój brat Janusz - wesoły, dobry, rozlewny, którego kochaliśmy też wszyscy bardzo gorąco i szczerze. Po jego śmierci pisano, że "jego życie - to cząstka epopei wojska polskiego", że był to "człowiek wysoce ideowy", że zaczął "jako członek organizacji młodzieży 'Promienisty'" i do końca jego dni świeciły mu ideały 'Promienistych'".

Na świecie propagowano tymczasem "siłę" coraz już głośniej i uporczywiej. Niemcy, opierając się na swej armii, którą zbudowały w okresie współpracy i przyjaźni z Polską, targały teraz jedno za drugim postanowienia Traktatu Wersalskiego i zaanektowały Austrię; Włochy wcieliły 'zdobytą' Abisynię do swego imperium i zajęły Albanię. Japonia toczyła wojnę z Chinami, a w Hiszpanii 'zwyciężył' gen. Franco przy pomocy niemieckich i włoskich wojsk. Toteż i w Polsce "silny rząd" i "wódz" uznały się za jedyne czynniki, które reprezentują rozum polityczny, interes państwa i polską rację stanu. Przypomniałem im publicznie, że każdy rząd i każdy panujący uważał się zawsze za ostatni wyraz mądrości, i każdy podawał, że reprezentuje interes państwa, jakkolwiek zupełnie inaczej oceniła go potem historia. "Od 300 lat wszystkie rządy mówiły o sobie, iż miały na oku jedynie tylko dobro publiczne i interes państwa. Tak było za Wazów, za Sasów, za Stanisława Augusta, za Targowicy, tak mówił o sobie Wielopolski, Koło Polskie w Wiedniu, Rada Regencyjna i wszystkie rządy przed majem i po maju, aż do obecnego. A równocześnie ileż z nich popełniało błędy, nadużycia i zbrodnie na kraju i narodzie, pokrywając własną prywatę, egoizm klasowy, ciemnotę i krótkowzroczność, świadomie lub nieświadomie, pięknymi frazesami o dobru publicznym. O tym, w czym leżał faktyczny interes Polski i jej narodu,

rozstrzygnie kiedyś historia, gdy miną piękne zapewnienia rządzących. Nie inaczej też będzie z rządem, p. premiera Składkowskiego.

A kiedy mój głos starano się zagłuszyć coraz to głośniejszymi frazesami, wygłaszanymi przez radio, przez prasę czy z trybun ozonowego sejmu, przedstawiając nasze dążenia do wolności za wyraz przebrzmiałego "liberalizmu", za "reakcję" z przeszłości, napisałem artykuł, w którym starałem się ustalić istotę toczącego się sporu. Przedstawiałem, że społeczeństwo nie może zadowolić się ogólnikami i pięknymi słowami i musi odważnie rozstrzygnąć pomiędzy demokracją a totalizmem, pomiędzy wolnymi jednostkami ludzkimi, regulującymi swe wzajemne stosunki wedle woli większości, a nadrzędnym czynnikiem, dyktatorem i wodzem, który by o tych stosunkach sam decydował. Wobec tendencyj przeciwstawiania pojęciu "wolnego człowieka" takich pojęć, jak "państwo", "naród" czy "społeczeństwo" - i wobec prób uzupełniania pojęcia demokracji rozmaitymi wymyślnymi przymiotnikami, w rodzaju "kierowana" czy "karna", które miały jedynie na celu pojęcie to zatrzeć, napisałem, że trzeba pamiętać, iż "nie ma lasu, tylko są drzewa" i, że "pojęcie demokracji jest tylko jedno i wieczne, które żąda dla wszystkich ludzi równych praw i równych obowiązków, żąda prawa kontroli ze strony społeczeństwa i respektowania jego woli". Podniosłem, że to są te właśnie kwestie, które dzielą nas od "totalistów": "kwestia, na czym polega siła rządu i państwa oraz kwestia - kto ma prawo decydować o tym, co jest wspólnym interesem tego państwa i jego obywateli: ich większość, czy też wódz, elita i wybrańcy".

Odpowiedział mi naczelny redaktor "Gazety Polskiej", p. Starzyński w artykule "Las i drzewa", w którym prześlizgnął się nad kwestią demokracji jednym słowem, zapewniając, że "nie dzieli nas pogląd na demokrację - to zapewne" i tłumaczył, że "jednak w lesie musi "leśniczy chodzić, oglądać, mierzyć", ustalać odstępy pomiędzy drzewami i wycinać te, które uzna za złe". Niestety, nie zdołałem odeprzeć jego argumentów, bo dostałem silnego osłabienia mięśnia sercowego i lekarz zabronił mi wszelkiej pracy. A chciałem odpowiedzieć, że to, co nas dzieli, to właśnie "pogląd na demokrację" i pogląd na rolę leśniczego w lesie. Leśniczy w stosunku do drzew jest istotnie "wyższą istotą", nadrzędnym czynnikiem, który przywłaszczył sobie wobec nich prawo wycinania ich i karczowania, ale takiego prawa nie może mieć żadne drzewo wobec innych i żaden człowiek wobec innych - a gdy ktoś ni stąd, ni zowąd sięga po władzę decydowania, jak pielęgnować i wycinać współobywateli, musi być przygotowany, że natrafi z ich strony na opór i niezadowolenie".

W trakcie więc wspomnianej polemiki musiałem zaprzestać swej pracy publicystycznej na kilka miesięcy, złożyłem sekretariat Komisji Centralnej, który prowadziłem dziesięć lat przed wojną i blisko lat dwadzieścia w Polsce - i życie moje dokonywało się teraz dosłownie pomiędzy domem a takim czy innym sanatorium. W domu opiekę nade mną obejmowała Zośka, w sanatorium - Bolka. Obie były mi drogie, obie były dla mnie dobre, obie wrosły w moje życie i bez obu nie mogłem się obejść. Zośka była moją żoną, była głową mojego domu, matką moich dzieci i członkiem rodziny, kochanym przez wszystkich - Bolka była natchnieniem moich myśli, dobrym opiekuńczym duchem mego życia, wiernym towarzyszem w mej pracy społecznej i podporą w ciężkich chwilach, gdym się łamał fizycznie i moralnie. Te dwie strony mojego życia powodowały, niestety, niejednokrotnie kolizje i konflikty pomiędzy obiema tymi kobietami, o których myślałem, że zdołają się wznieść ponad swoje małe kobiece zazdrości. Zapomniałem, że są one jednak kobietami i nie mogą się oderwać od małostek właściwych ich płci.

Lecz poza tym me życie prywatne potoczyło się równo i spokojnie. Otrzymałem z Komisji Centralnej emeryturę, zająłem się trochę bibliofilstwem i zgromadziłem ładny zbiorek pięknie oprawionych cennych starych książek i pierwszych wydań najcenniejszych dzieł literatury polskiej. Synowie moi stanęli na własnych nogach: starszy, Jacek, po studiach w Paryżu, jako malarz osiedlił się w Gdyni i ożenił z koleżanką, którą polubiliśmy wszyscy szczerze - młodszy, Rafał, przechodząc ustawicznie tragedie miłosne, został urzędnikiem w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych; bratowe zaś i bratankowie okazywali mi na każdym kroku swoje przywiązanie i szacunek.

Gdy tak było w mym życiu prywatnym, to w polityce miałem coraz większe zmartwienia. Na każdym kroku bowiem widziałem wzrost ~~apołeczowania~~ siły -

zarówno w kraju, jak i za granicą. Coraz bardziej zaczęto lekceważyć Ligę Narodów i rozstrzygnięcia jej Rady, a minister spraw zagranicznych, p. Beck, wynnętrzał się, że dopiero teraz, gdy oparł państwo o "ministerialne układy", poczuł się tak bezpieczny, że mógł odłożyć karabin, którego dotąd nie mógł wypuścić z ręki, nawet śpiąc.

W tych warunkach odzyskawczy trochę zdrowia, napisałem artykuł, w którym wskazywałem, że jednak "Liga Narodów, bez względu na jej słabość obecną i bez względu na przyczyny, które tę słabpść spowodowały, jest aeropagiem, który ma wyrokować dla wszystkich - zarówno dla silnych, jak i słabych - o sprawiedliwości, słuszności i prawie". Pomysły wystąpienia Polski z Ligi Narodów uznałem też za chęć przyłączenia się do obozu, który głosi, że "ponad względami na sprawiedliwość i prawo ma górować przemoc i siła". Dowodziłem, że takie regulowanie stosunków międzynarodowych siłą byłoby dla Polski, wciśniętej pomiędzy dwa kolosy państwowe, nieszczęściem - i że układy bilateralne są jeszcze bardziej kruche, niż rozstrzygnięcia Ligi - zwłaszcza, że "każdej chwili, tak jak było to w wieku XVIII, a potem w Brześciu i w Rapallo - może powstać układ bilateralny pomiędzy Niemcami a Rosją przeciwko Polsce, która stanie się łupem napastników, jeśli nie obroni jej głos sprawiedliwości międzynarodowej". Postawiłem też tezę, że "bezpieczeństwo każdego państwa i każdego narodu wobec przemocy silniejszych może zapewnić wspólna międzynarodowa organizacja narodów, rozporządzająca sankcjami wobec napastnika".

Spotkałem się z drwinami oraz z zarzutem, że lekceważę siłę i suwerenność własnego kraju. Udowadniono mi, że "polityka nie może zależeć od jakichś obcych decyzyj", że "los Polski nie zależy od tego czy innego układu europejskiego", że "jedyne bezpieczeństwo każdego państwa i każdego narodu wobec przemocy może zapewnić tylko jego własna siła moralna, polityczna i militarna" - i że Polska "może walczyć tylko w obronie swoich praw, swojej polityki i swojego honoru". Odpowiedziałem, że tego rodzaju "splendid isolation" jest nie tylko niemoralne, lecz również sprzeczne z interesami Polski, bo "trzeba się liczyć z realnymi względami tej siły, która poza pięknie brzmiącym frazesem w danym wypadku nie zdoła obronić wolności". Stojąc na stanowisku, że nie "siła", lecz "prawo" i "sprawiedliwość" może regulować stosunki między narodami, skończyłem swą polemikę słowami: "Nie mówcie, że to tylko poezja, bo na tej poezji wychowały się trzy najpiękniejsze, najbardziej wartościowe i najbardziej ofiarne pokolenia Polski. Przypomnijcie sobie "Księgi Pielgrzymstwa Polskiego" i pamiętajcie, że w tych tworach największych duchów Polski jest więcej prawdy, niż we wszystkich waszych wyrozumowanych a wykrętnych wywodach. Nie zawstydzajcie więc sami siebie, wobec pamięci własnych dziadów i pradziadów, swą małością i małodusznością".

Lecz "siła" rozpętała się już na dobre. Hitlerowskie Niemcy, po swych "sukcesach", atakowały coraz natarczywiej małą Czechosłowację, a akompaniował im w tym rząd polski. Zamiast stanąć po stronie demokracji, Wersalu, Czechosłowacji i Małej Enteny, stanął on po stronie hitlerowskiej Rzeszy, czynnie dopomagał do rozkładu Małej Enteny i odmówił zbrojnej współpracy z Francją, by razem bronić zaatakowanej Czechosłowacji, która też po przykrych i niegodnych pertraktacjach i podróżach monachijskich stała się w końcu łupem siły.

To jednak, co mnie najboleśniej dotknęło, to świadomość, że do rozbioru Czechosłowacji przyczyniła się dopiero co zmartwychwstała Polska. Czułem się moralnie zdeptany i było mi wstyd, że Polacy w imię swego "egoizmu narodowego" mogli się przyłączyć do niegodnego i głupiego kroku, który jutro miał się stać dla nich samych nieszczęściem. Moje uczucie wstydu wzmagało jeszcze przeświadczenie, że nawet w naszych własnych szeregach partyjnych znajdowali się ludzie, którzy szli ręka w rękę z przemocą i - współdziałając z II oddziałem sztabu generalnego - pomagali "rewindykować Zaolzie".

Rozpętane w ten sposób na świecie militaryzm i nacjonalizm, zajęły teraz pierwsze miejsce również i w Polsce - i nim wstrząsnęły jej bytem na zewnątrz, spowodowały w niej tymczasem głębokie wewnętrzne konflikty. Jak powiedziałem już poprzednio, od dłuższego czasu generalny inspektor armii p. Śmigły Rydz starał się zostać najwyższym "autorytetem" i "wodzem" narodu.

Na tym tle wynikały z nim ustawiczne konflikty - najprzód między nim a prezydentem Mościckim, a potem między nim a płk Sławkiem, który nie rozumiał, że w myśl stworzonej przez niego samego zasady Polską będzie rządził ten, kto stanął na czele jej armii. P. Mościcki pogodził się wnet z losem: rząd pod przewodnictwem gen. Składkowskiego, też stawał "na baczność" przed swym generalnym inspektorem armii, a Sejm - wybrany jeszcze za rządów p. Sławka - czekał niezdecydowany, obserwując dalszy rozwój wypadków. Gdy jednak umarł jego marszałek Car, p. Sławek pokusił się o odzyskanie utraconych wpływów i - wysunąwszy swoją kandydaturę na marszałka - łudził się, że teraz stoczy walkę z militaryzmem, który sam rozpętał. Lecz było już za późno. Generalny inspektor armii gen. Śmigły, naczelny wódz "in spe", usunął sejm, który wbrew jego woli śmiał wybrać marszałkiem p. Sławka - i już w dwa lata po wyborach rozwiązał go, kryjąc tę decyzję w orędziu prezydenta pretekstem, że nowy sejm powinien znaleźć "szerszą podstawy" przez zmianę dotychczasowej ordynacji wyborczej.

Rozpoczęły się więc nowe wybory - również ciche, jak przed dwoma laty, niemrawe, w których chodziło nie o wybór tych czy innych ludzi, bo ich wybór był dokonany już przedtem "przez czynniki administracyjne" - i to "centralistycznie", jak pisał "Ilustrowany Kurier Codzienny" - lecz o to, by jak najwięcej kart głosowania znalazło się w urnach.

W czasie akcji wyborczej zabrał głos p. premier Składkowski i wice-premier Kwiatkowski, o mowach których napisałem, że "były bardzo charakterystyczne w swej treści: jedna przez to, co w sobie mieściła, druga bardziej jeszcze przez to, co przemilczała". O najważniejszym zagadnieniu: o demokracji - p. Składkowski w ogóle mówić nie chciał", natomiast p. Kwiatkowski zadeklarował się jako jej zwolennik, lecz tylko o ile będzie ona "rządna i karna", a nie "liberalno-masońska". Obaj natomiast zgodnie zwalczali bojkot wyborów i apelowali do wyborców - nie o to, na kogo mają głosować, lecz tylko, by w ogóle głosowali. Na tym tle p. wice-premier "wyciągnął rękę do współpracy z opozycją, lecz równocześnie oświadczył jej, że: każda próba zmiany będzie szybko i sprawnie zlikwidowana", bo "rząd uznaje się za jedyny czynnik polityczny i nie widzi nikogo, kto by go mógł obalić". Obaj - p.premier i wice-premier - skrytykowali obecną ordynację wyborczą: zwłaszcza p. Kwiatkowski oświadczył, że "uczyniła ona dużo złego" - i obaj wreszcie, choć cała Europa już się trzęsła i pękał system wersalski, nie powiedzieli o polityce zagranicznej nic prócz tego, że "każdą chciwą łapę uderzymy szablą". Zwróciłem publicznie uwagę, że są sytuacje, których nie można załatwić frazesem - że "każdą siłę na świecie można pokonać jeszcze większą siłą, a szable mają w rękach również i inni, którzy też mówią, że jej zaufali"... Rzucanie słów, choćby najpiękniejszych, czasem może być nie tylko niepotrzebne, ale nawet szkodliwe".

Tę metodę frazesu i nieszczerości, która wionęła nie tylko z mów obu przedstawicieli rządu, lecz z całej jego działalności,

Brak strony oryginału

domiu, w Piotrkowie i w Łodzi socjaliści przy własnej większości mogli objąć zarząd miasta. W Łodzi - po niezatwierdzeniu przez rząd wybranego prezydenta, tow. Barlickiego, - wybrano nim następnie tow.Kwapińskiego, długoletniego przewodniczącego Komisji Centralnej Związków Zawodowych, który wobec tego musiał ustąpić ze swego stanowiska w Komisji. Objął je mój drugi przyjaciel, tow. Wilhelm Topinek, z którym tyle lat przepracowałem w największej zgodzie i harmonii.

Po wyborach sejmowych i samorządowych oraz po opanowaniu się po bolesnym nastroju, w jaki wpadłem po rozbiorze Czechosłowacji, poruszyłem publicznie zagadnienie, które korciło mnie już od dłuższego czasu, mianowicie - kwestię stosunku socjalizmu do kościoła katolickiego. Zagadnienie to stawało się dla mnie coraz bardziej ciekawe i aktualne - tym bardziej, że w wielkiej walce, jaka rozgorzała na świecie pomiędzy demokracją a totalizmem i nacjonalizmem, ówczesny papież stanął niedwuznacznie po stronie demokracji. Pisałem, że jakkolwiek

sam nie wierzę, to jednak muszę przyznać, że "wiara nie jest przeszkodą w walce o wyzwolenie człowieka", że jest ona "często istotną potrzebą duszy ludzkiej", że "ułatwia jej przejście przez życie" - zwłaszcza słabym, których jest najwięcej - i że wiara "nie jest w sprzeczności z wyzwoleńczą walką socjalistyczną". Wskazywałem, że dziś "coraz częściej i śmielej wysuwają się hasła, rzucone jeszcze przed dwudziestoma wiekami o wolności i równości człowieka" i coraz bardziej wyraźnie zaznaczają się "dwa obozy: obóz gwałtu, dyscypliny ciała, obóz rasizmu, nacjonalizmu i antysemityzmu, obóz totalizmu i dyktatur - i obóz wolności ducha, obóz równości człowieka i tolerancji dla myśli i przekonań ludzkich, obóz demokracji. W jednym z nich stoi hitleryzm, stalinizm i faszyzm - w drugim chrystianizm z ducha i socjalizm /.../ i oba zacieśniają się ideologicznie i zbliżają do siebie nawet wbrew swym własnym chęciom", bo "oba wyszły z tej samej szczytnej etyki Chrystusa o miłości człowieka".

Jakbym kij włożył w mrowisko! Artykuł mój wywołał dziesiątki zastrzeżeń, protestów i komentarzy. Sowieckie sfery klerykalne przez trzy miesiące rzucały się na mnie udowadniając, że nie jestem dość dobrym socjalistą, bo nie chcę walczyć z kościołem, a księża - zapominając o słowach listu św. Pawła do Rzymian: a "słabego w wierze przyjmujcie bez osądzenia mniemań" - osądzili mnie w swej zaciekłości i potępili bezwzględnie, zarzucając mi "niedowiarstwo", "walkę klasową" i "socjalizm". Pierwszym o powiedziałem, że stanowisko ich podyktowane jest "względami konkurencyjnymi", a drugich spytałem, czy "bardziej ich razi walka klasowa socjalistów i bardziej widzą w niej "zaprzeczenie etyki chrześcijańskiej i zasad miłości bliźniego", bardziej niż w walce zbrojnej, w której część tego samego chrześcijańskiego społeczeństwa i tych samych bezbronnych "bliźnich" praży się granatami, bombami czy gazami trującymi"/.../ Chrystus mówiąc: "nie mniemajcie, żem przyszedł dawać pokój na ziemię; przyszedłem dawać nie pokój,ale miecz" - też nie wzdragał się przed walką ze złem i podjął ją nie z "nienawiści do innych klas /.../ lecz z nienawiści do krzywdy, niesprawiedliwości i niewoli".

Z tych wszystkich artykułów i głosów, które w większości napadały na mnie, szydząc, że "socjalizm pragnie chrztu", że jest to "kazanie czerwonego proboszcza" - i że "diabeł się ubrał w ornat" - miłe były dla mnie tylko dwa: głos ks. Kasprzyka, z którym byłem swojego czasu w Radzie Kasy Chorych w Krakowie - i głos posła żydowskiego dr: Schwarzbarta. Ksiądz Kasprzyk napisał: "Ja wierzę, że artykuł Żuławskiego był owiany szczerością. Znam Żuławskiego - szlachcica polskiego, który już w młodości poszedł działać wśród proletariatu. Nie wychwalam Żuławskiego za jego artykuł, - ale nie mam powodu zarzucać mu złej woli i obłudy. Przypominam sobie zdarzenie sprzed lat dziesięciu,charakterystyczne dla Żuławskiego. Pewien urzędnik Kasy Chorych w Ch., socjalista, żalił się Żuławskiemu: "mój syn chce iść na teologię, na księdza. Co mam począć? A Żuławski na to ojcu: "To dziękujcie Bogu, towarzyszu i cieszcie się, że syn wasz chce być księdzem". A drugi głos - to głos Żyda, który pisał, że "wśród nocy naszego bytu głosy, takie, jak Zygmunta Żuławskiego, wzmacniają w nas wiarę w lepsze jutro człowieka /.../ są jak błyski, które przedzierają się przez całuny nocy".

Po zniszczeniu tamy, którą była dla Polski i dla systemu wersalskiego Czechosłowacja, fale hitleryzmu rozlały się teraz szeroko i zagroziły zalewem Rzeczypospolitej Polskiej i całej Europie. Hitler, nie zwracając uwagi na "pakt nieagresji", żądał wcielenia do Rzeszy Gdańska i wolnej autostrady przez Pomorze, a Polska miała do wyboru: albo przyjąć pokojowo podyktowane przez niego warunki, albo szukać obrony w demokracji, którą tak lekkomyślnie u siebie zniszczyła.

Niebezpieczeństwo, które w razie zwycięstwa Niemiec zagroziłoby całemu światu, widziała też Międzynarodówka zawodowa, która w osobnej rezolucji wyraziła przekonanie, że "jedynie solidarna współpraca Wielkiej Brytanii, Francji, Polski i ZSRR, przy współudziale Stanów Zjednoczonych, może zapewnić wolność i niepodległość narodów". Zobaczył je rząd angielski, zapobiegający teraz o zawarcie sojuszu pomiędzy Anglią, Francją, Sowietami i Polską, która odżegnywała się jednak od jakiejkolwiek myśli o współpracy z tymi ostatnimi.

Widziałem je również ja, wskazując na Radzie Naczelnej na konieczność jak największego współdziałania z Międzynarodówką i jej tezą - i przestrzegając przed wszelkimi kompromisami z tendencjami antysemickimi i faszystowskimi bez względu na to, z której strony się one przejawiają.

Na ten temat rozpoczął ze mną, ogródkami, dyskusję tow. Pużak, mówiąc, że nie należy przeceniać międzynarodowej akcji i międzynarodowej solidarności - i radził, by nim towarzysze będą komuś stawiali zarzuty faszyzmu, starali zdać sobie sprawę, na czym właściwie ten faszyzm polega oraz by w każdym wystąpieniu przeciwko Żydom nie dopatrywali się od razu akcji antysemickiej. Oburzyło mnie to tak, że zszedłem z trybuny prezydialnej i zapisałem się do głosu, by odeprzeć to nowe pojmowanie socjalimu, odbiegające tak bardzo daleko od dotychczasowych naszych żądań i wierzeń. Przyłączył się do mego protestu tow. Grosfeld z Przemyśla /który potem był ministrem londyńskiego rządu/, lecz większość Rady, oszołomiona "rewindykacją Zaolzia", nie zwracając uwagi na te głosy, przeszła nad nimi do porządku dziennego.

Wśród rozwijających się teraz szybko wypadków na arenie międzynarodowej, Polska stanęła wreszcie po stronie państw demokratycznych - i fakt ten powitałem z największą radością. Wskazując na taktykę totalizmu, na jego ustawiczne frazesy, matactwa i kłamstwa w Niemczech, we Włoszech i w Hiszpanii - ostrzegałem, że "u nas też frazesem pokrywa się prawdę" i że ci sami, którzy głoszą frazesy o "własnej narodowej" koncepcji państwowej i własnym polskim ustawodawstwie, ślepo naśladują obce wzory totalne. Ten sam OZN, który deklaruje swe przywiązanie do wiary chrześcijańskiej i Kościoła, równocześnie zerka żądnym okiem w kierunku potępionego przez Kościół rasizmu i antysemityzmu, a ksiądz i senator polski Machay, bez żadnej żenady, domaga się zerwania z kokietowaniem "pseudodemokracji" i chce się oprzeć o "rządy autorytatywne". Czyż nie posiadamy zresztą własnych księży Piwowarczyków i Trzeciaków, uprawiających najohydniejszy antysemityzm? Chciałbym, by choć w tych rozstrzygających chwilach zerwano z tą "podwójną buchalterią" i powrócono do szczerości i odwagi wypowiadania własnych prawdziwych myśli i uczuć".

Lecz niestety prawdziwe myśli i uczucia rządzących sfer polskich szły właśnie w stronę totalizmu. W dalszym ciągu chciano tedy utrzymać tę "podwójną buchalterię" i tłumaczono, że co innego totalizm Hitlera, a co innego jego Rzesza niemiecka. Nie chciano zrozumieć, że w danej chwili jakakolwiek propaganda za totalizmem była tym samym, "jak gdyby ktoś w latach 1920-tych, podczas wojny bolszewickiej, propagował komunizm, udowadniając, że jest to tylko kwestia ustroju, która w niczym nie może dotykać obrony kraju". W dalszym więc ciągu, odżegnywując się od demokracji, sławiono "nową dynamikę" narodów, a "Gazeta Polska" twierdziła, że "nie ma żadnych bloków ideologicznych!" rozstrzygają interesy państwowe; kto mówi i pisze inaczej, ten oddaje usługę mocarstwom osi Berlin-Rzym." Podnosiłem też publicznie te sprzeczności, oburzając się, że nie mogę zrozumieć tych wszystkich pp. Miedzińskich, Makowskich, Skwarczyńskich, Wendów, Goetlów, Nowaczyńskich - nie mogę zrozumieć polityki OZN-u czy ONR-u i stanowiska "Gazety Polskiej", "Kuriera Porannego" czy A.B.C", które w tej chwili chciałyby zwycięstwa państw demokratycznych w tych wielkich ideowych zmaganiach świata, ale równocześnie nie chcą się wyrzec wewnętrznej "dynamiki" totalnej i zasad "systemu". Przypomniałem, że "są chwile, w których trzeba umieć powstrzymać własny pęd i umiłowanie władzy, i poskromić w sobie własne ambicje i egoizm w interesie przyszłości całej Rzeczypospolitej".

Jedyną bowiem obroną przed niebezpieczeństwem totalizmu mogło być tylko oparcie się o demokrację i o wolność narodu. Powołując się więc na historię, na Manifest Połaniecki, na powstanie i na obronę w roku 1920 - na to, że zawsze i wszędzie, by wzmocnić siły narodu do walki, rozszerzano jego prawa - żądałem, by i teraz jak najszybciej spełnić zobowiązania, zawarte w orędziu prezydenta, i rozszerzyć podstawę nowego sejmu przez nową ordynację. Wskazywałem, że wprawdzie "niewypełnienie tego zobowiązania na czas i rzetelnie, bezsprzecznie nie osłabi zdolności i woli obrony, ale może podkopać zaufanie, które jest też cennym i wysokim dobrem".

Ale OZN, rząd i p. Śmigły wcale się pod tym względem nie śpieszyli.

Zamiast zreformować sejm i zmienić jego ordynację, zwołano jedynie po raz pierwszy od przewrotu majowego przedstawicieli partyj i utworzono z nich "Naczelny Komitet Obrony Przeciwlotniczej", do którego również i ja zostałem wybrany.

W obliczu wspólnego niebezpieczeństwa wszyscy tedy, poza oficjalnymi sferami, chcieli szczerze zjednoczyć swe usiłowania w obronie wolności i demokracji - i nawet komuniści więzieni za swe przekonania, w duszach których mogło się nagromadzić dużo żalu i jadu wobec Polski, stanęli na stanowisku współpracy z całym społeczeństwem. W Tarnowie wysłali oni na mój adres, jako członka Naczelnego Komitetu Obrony Przeciwlotniczej, 800 złotych i list, w którym pisali: 404 więźniów, przebywających w więzieniu za swe przekonania, /.../ deklaruje, że przekonania te nakazują im obronę niepodległości kraju, gdy granice jego są dziś poważnie zagrożone agresją hitleryzmu. Wobec tego więźniowie postanowili przekazać całą sumę na dozbrojenie lotnicze, gotowi każdej chwili, gdy zajdzie tego potrzeba i gdy wróg naruszy granice kraju, razem z całym ludem bronić każdego skrawka niepodległej ziemi".

Niestety - mimo że Hitler już wypowiedział pakt nieagresji z Polską - rząd Polski i OZN chciały bronić jej wolności zupełnie inaczej - nie tak, jak pragnęli to robić więźniowie tarnowscy: "razem z całym ludem", lecz przeciwko niemu - przez usunięcie wszelkiej myśli o przeprowadzeniu reformy ordynacji wyborczej, przez coraz to większe represje stosowane wobec własnych obywateli, przez zakaz obchodu w dniu 1 Maja i przez napełnianie coraz to nowymi aresztowanymi obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej. Przedstawiciel OZN-u p. Skwarczyński, odżegnywał się też nadal od demokracji - i gdy Polska zawarła sojusz z państwami demokratycznymi, oświadczył wprost, że "fakt zawarcia sojuszów przez Polskę z zachodnimi demokracjami nie oznacza, by kontakt ten wpłynąć miał na układ polityki wewnętrznej". Równocześnie każdą myśl o współpracy z Sowietami zwalczano najzaciętej, uważając ją za naruszenie testamentu Piłsudskiego - i nawet poszczególni socjaliści nie rozumieli grozy położenia i brnęli w te same błędy, w których tkwiły sfery ozonowe.

W tym samym czasie palnął sobie w czoło - może dlatego, że zobaczył już konsekwencje swych własnych czynów, a może z powodu naruszenia jego osobistych ambicyj - pułkownik Walery Sławek, jeden z największych winowajców wytworzonej sytuacji i jeden z największych szkodników, - człowiek, który dla utrzymania swojej władzy nie zawahał się deptać po własnym narodzie, po jego wolnościach, po socjalizmie i po swoich byłych towarzyszach walki. Ciało jego ponieśli do grobu jego przyjaciele, wśród których znalazł się prezes CKW, partii, którą zmarły tak bezwzględnie zwalczał, a jej sekretarz, tow. Pużak, napisał gorące wspomnienie, w którym tłumaczył, że wszystko, co Sławek robił - robił tylko z miłości do Polski i z myślą o jej szczęściu i wielkości. Byłem tym tak oburzony, że napisałem jako przewodniczący Rady Naczelnej protest na ręce CKW, lecz nie mogłem rozpocząć na ten temat publicznej dyskusji.

W tych ciężkich momentach - bezradny - pisałem tylko coraz częściej i coraz więcej o potrzebie obrony wolności. Pisałem artykuły i "refleksje" - i między innymi napisałem krótki zarys "dwudziestoletniej działalności związków zawodowych w Polsce", w którym zapowiedziałem, że "wchodząc wśród szaleństw dyktatur w nowe dwudziestolecie, możemy dziś z całą stanowczością przewidzieć, że bez względu na obecne stosunki w poszczególnych krajach, walka klasowa będzie trwała dalej, jako nieodzowna konieczność. I żadne kazania solidarystyczne i próby osiągnięcia zgody pomiędzy kapitałem, a pracą nie zdołają usunąć konfliktu, będącego wyrazem naturalnego odruchu niewolnika, który się chce wyzwolić z niewoli. Walka ta pomiędzy władcą a ujarzmionymi będzie się więc toczyć póty, póki świat pracy nie wyzwoli się i nie zdobędzie równych praw do życia. Musi ona być rozegrana do końca, a jej przebieg i stopień boleści porodowych nowego świata zależeć będzie tylko od stopnia i sposobu oporu tych, którzy mają władzę i chcą jej bronić przemocą do końca". Nie przypuszczałem jednak, że te boleści porodowe nowego świata będą aż tak potworne i że pociągną za sobą takie szalone ofiary pod względem kultury, zdrowia i życia ludzkości.

Z początkiem lata wyjeżdżałem do swego brata Sławomira, który mieszkał

od dłuższego czasu w Turce nad Stryjem. Na dworcu w Krakowie spotkałem się z gen. Mondem i - jadąc z nim razem -, słuchałem jego utyskiwań na gen. Śmigłego Rydza, którego charakteryzował jako zupełnie nieudolnego i twierdził, że to będzie nieszczęście dla Polski, jeżeli w tych warunkach wybuchnie wojna. "On dotychczas nie zmienił jeszcze nawet swego planu mobilizacyjnego, który był pomyślany na wypadek wojny z Sowietami i wedle którego wszystkie niemal ośrodki siły rozmieszczone były nad granicą wschodnią, podczas gdy dziś grozi wojna z Niemcami" - mówił gen. Mond, przewidując jak najcięższe następstwa tego rodzaju zaniedbania. Słuchałem jego słów z przerażeniem, ale nie przypuszczałem, że okażą się one tak prawdziwe i prorocze.

W Turce owionęły mnie dawne wspomnienia. Podkarpacka okolica przypominała mi Słomianą - takie same góry, i lasy, i potoki - i tak samo, jak za młodych lat, grzebaliśmy razem z bratem w ziemi, w ogrodzie - i we wspomnieniach, a z bratową w filozoficznych dyskusjach i w polityce, która teraz stawała się coraz bardziej ohydna i głupia. Polskie sfery rządowe, zamiast stanąć na stanowisku obrony wolności i równości praw dla wszystkich, stosowały coraz większe represje. Założono wśród ludności ruskiej "Obronę Narodową", która - naśladując faszystowskie gwardie i "kolorowe koszule", i tak samo jak tamte, złożona z szumowin - terroryzowała ludność, to masakrując jakiegoś chłopa ruskiego, to paląc kram jakiegoś ruskiego sklepikarza, to grożąc wreszcie "25 kijami" księdzu ruskiemu, jeśli nie zaintonuje w cerkwi po polsku hymnu "Boże coś Polskę". "Obronę Narodową" chciano podeprzeć propagandą za przystąpieniem biednych ruskich chłopów do "Związku Szlachty Zagrodowej", wmawiając w nich, że są szlachtą i że trzeba ich "rewindykować" dla polskości. Jakby w przeczuciu zbliżającej się przyszłości napisałem też, że "wszelka "rewindykacja" przeszłości z tytułu urodzenia może być bardzo obosieczną bronią, bo nigdy nie wiadomo, na czym - raz rozpoczęta - zechce się zatrzymać. Zacznie się od "rewindykacji" szlachty zagrodowej na wschodzie, a może się skończyć na rewindykacji Polów, Lamów, Lelewelów, Szajnochów, Hoffmanów, Szopenów, a potem rozmaitych Wolffów, Ulrychów, Szmidtów, Klottów, Segajłów itd.". Nie przypuszczałem jednak jeszcze wtedy, że ta rewindykacja rozpocznie się już tak szybko - i to na rzecz niemczyzny.

Wtedy dostałem też pierwsze egzemplarze moich "Refleksyj", które wydałem jako osobny zbiorek artykułów, ogłoszonych w "Robotniku". Książka ta spotkała się z bardzo przychylną oceną: pisał o niej tow. Czapiński w "Robotniku" i tow. Chudoba w "Dzienniku Ludowym" - i prasa żydowska - i "Dziennik Powszechny", który podniósł "przedziwną prostotę wypowiedzeń, spokój roztrząsania zdarzeń i zagadnień, krzyczących krzywdą, oszałamiających bolesnością". "Prostota i spokój słowa Zygmunta Żuławskiego - pisał recenzent - wzbudza w czytelnikach nie wrogość, niechęć lub umiarkowane uznanie, lecz bezradne zawstydzenie".

Z Turki wyjechałem do Druskienik, by odwiedzić Bolkę, która tam miała spędzić urlop. Tam spotkałem też dawną narzeczoną Janusza, p. Jadwigę, która wyszła za mąż, za kogo innego i owdowiała - teraz dostojną matronę o srebrnych włosach, którą pamiętałem jako hożą młodą studentkę - i z radością witałem Marynkę, moją młodzieńczą miłość, która też wyszła za kogo innego i też owdowiała. Była jeszcze zawsze przystojna, o pięknej cerze i regularnych rysach, tak samo jak dawniej przewrażliwiona, delikatna i miękka, tylko przybyło jej trochę więcej lat i trochę więcej ciała. Patrząc więc razem z nimi wszystkimi na urocze brzegi Niemna, rozmawialiśmy o przeszłości i przyszłości, która zarysowywała się przed nami w coraz bardziej czarnych i ponurych barwach. Sowiety bowiem w trakcie prowadzonych pertraktacyj o sojusz z Wielką Brytanią nagle - dnia 13 sierpnia - zawarły pakt nieagresji z Niemcami, co zabezpieczyło im tyły i umożliwiło im potem atak na Polskę.

Druskieniki opuściłem razem z Bolką ostatnim pociągiem - i w Warszawie przywitały mnie już aeroplany niemieckie i szczęk nowej wojny.

Rozdział IX

W PODZIEMIACH

Teraz dopiero zobaczyli politycy sanacyjni konsekwencje "apoteozowania siły" i polsko-niemieckiej współpracy w kierunku budowania "nowej Europy". Ci sami ludzie, którzy przechwalali się buńczucznie, że się "w ocenie sytuacji nie pomylili", teraz zaczęli się żalić, że "przez pięć lat korzystała dyplomacja hitlerowska z polskiej lojalności". Tłumaczyli, iż brali deklaracje Hitlera "za dobrą monetę, tym bardziej, że kanclerz niejednokrotnie dawał publiczny wyraz swemu oburzeniu, iż mógłby nie wypełnić przyjętych przez siebie zobowiązań" i boleli, iż ma on "na stosunki polsko-niemieckie pogląd bardzo nieoryginalny". A przecież ten kanclerz swemu "nieoryginalnemu" poglądowi dawał wyraz niejednokrotnie w swych poprzednich anuncjacjach, tchnących nienawiścią do Polski - i trzeba było tylko wierzyć jego własnym słowom i temu, co oświadczał kilkakrotnie, że żadne układy i pakty nie mają dla niego znaczenia, gdy chodzi o interes niemieckiego narodu. Trzeba było wierzyć demokracji polskiej i nienawistnym Międzynarodówkom, gdy ostrzegały przed niebezpieczeństwem, które lekceważono tak długo, dopóki nie stanęło ono oko w oko. Wtedy dopiero zobaczyła je prasa ozonowa, krzycząc, że "Niemcy chcieli zniszczyć naród, z którym umówili się na przyjaźń", że "chcą zniszczyć Polskę, odebrać jej możność istnienia, by na jej trupie ufundować swoją hegemonię nad światem" - i że wojna, której społeczeństwo polskie oczekiwało /.../ z dziedzicznym wrogiem jest nieunikniona".

Pomylił się też bardzo grubo Piłsudski, gdy sądził, że "opierając się na armii polskiej pod jego komendą /.../ odtąd żadna armia obca nie wkroczy do Polski, nim nie wyrazimy w tej sprawie formalnej woli naszej". Pomylił się, bo wiarę swą oparł na "sile brutalnej", na militaryzmie, któremu zawsze można przeciwstawić jeszcze większą siłę. Wbrew jego zapewnieniom dnia 1 września 1939, w godzinach rannych, niespodziewanym natarciem lotnictwa i oddziałów wojska Niemcy wtargnęli na nasze terytorium, nie wypowiadając uprzednio wojny.

W tym groźnym momencie Anglia podjęła jeszcze raz próbę uratowania pokoju w Europie, lecz w odpowiedzi na podjętą interwencję Hitler przedłożył swoje warunki, które miały być zupełną kapitulacją Polski. Zażądał on, by: 1/ "Wolne miasto Gdańsk wróciło na podstawie swego czysto niemieckiego charakteru, jako też jednomyślnej woli swej ludności do Rzeszy niemieckiej, 2/ by obszar tzw. korytarza, sięgający od Bałtyku po linię Marienburg, Grudziądz, Chełmno, Bydgoszcz wraz z tymi miastami, następnie mniej więcej aż po Schöndanke, sam rozstrzygnął kwestię swej przynależności do Niemiec lub do Polski, 3/ by w tym celu na obszarze tym przeprowadzony został plebiscyt. Uprawnieni do głosowania mieli być wszyscy Niemcy, którzy w dniu 1 stycznia 1918 zamieszkiwali na tym terenie lub do tego dnia urodzili się tam, jak również wszyscy Polacy, Kaszubi itd., którzy do tego dnia na tym obszarze zamieszkiwali lub tam się urodzili. Niemcy, którzy z tych terenów zostali przesiedleni, mieli powrócić dla wzięcia udziału w głosowaniu".

Naturalnie tego Polska przyjąć nie mogła, lecz Niemcy nie czekając na odpowiedź, napadły zbrojnie na swą wczorajszą sojuszniczkę. Pierwszy komunikat niemiecki obwieszczał obłudnie, że "na rozkaz kanclerza i naczelnego dowódcy siły zbrojne przejęły czynną ochronę Rzeszy. Wypełniając poruczone zadanie, mające na celu położenie kresu przemocy polskiej, oddziały armii niemieckiej dziś rano przez wszystkie niemiecko-polskie punkty graniczne przystąpiły do kontrataku". Bez poprzedniego "ataku" więc Niemcy przystąpiły do "kontrataku", by położyć kres "przemocy polskiej", dlatego tylko, że wiedziały, iż w tej chwili

przemoc jest po stronie niemieckiej.

Rozpoczęła się więc za mego życia trzecia wojna na terenie Polski. Prezydent Rzeczypospolitej wydał orędzie, w którym podniósł, że jeszcze raz Polska musi stanąć do walki "z odwiecznym swym wrogiem" - nie wspominając ani słowem, że z tym "odwiecznym wrogiem" utrzymywał dopiero co stosunki serdecznej przyjaźni i, że w oparciu o niego starał się zapewnić sobie i swej klice władzę nad własnym narodem.

Zebrał się sejm, a premier rządu gen. Składkowski złożył na nim oświadczenie, że "jesteśmy spokojni - spokojni o losy Narodu i Państwa. Narzuconą nam wojnę wygramy, bo nauczył nas Józef Piłsudski, jak się zdobywa niepodległość i jak się jej broni. Wojnę tę wygramy, bo na wezwanie pana prezydenta pójdziemy do walki wszyscy - ramię przy ramieniu. Wojnę tę wygramy, bo mamy wodza - marszałka Edwarda Smigłego Rydza, - i wypełnimy z twardym żołnierskim posłuszeństwem wszystkie jego rozkazy, wiodące Polskę w imię Boże do zwycięstwa". A on, gen. Smigły, który jako generalny inspektor armii nie mógł się doczekać władzy, jaka miała spocząć na nim w razie wojny - i który już w czasie pokoju żądał, by go tytułowano "wodzem naczelnym" - teraz, zostawszy nim faktycznie, sięgnął przede wszystkim po stanowisko "zastępcy prezydenta Rzeczypospolitej", by w ten sposób skupić potem w swych rękach całą władzę i stać się czynnikiem nieodpowiedzialnym - tak, by jako naczelny wódz, odpowiedzialny przed prezydentem, odpowiadał teraz tylko sam przed sobą.

W trakcie tych wszystkich aktów i enuncjacji nad Polską i Warszawą unosiły się jednak coraz częściej aeroplany niemieckie, wywołując coraz większy niepokój - tym bardziej, że z frontu dochodziły wiadomości wcale niepomyślne.

Przyjechawszy w nocy do przepełnionej Warszawy, która robiła wrażenie jednego wielkiego zbrojnego obozu, zastanawiałem się teraz, co zrobic dalej ze sobą. W Warszawie zastałem żonę, która właśnie przebywała w gościnie u bratowej i Jacka, który już musiał uciekać z Gdyni. Po wahaniach i rozmowie z nimi postanowiłem aż do możliwości wspólnego powrotu do Krakowa przeczekać w Karolinie, gdzie od czasu choroby byłem częstym gościem i gdzie czułem się zawsze bardzo dobrze u pp. dr. Knoffów. Odwiedzała mnie tam żona i syn,którzy opowiadali, iż ich podróż kolejką połączona była już z pewnym niebezpieczeństwem, ale łącznikiem stałym pomiędzy mną a światem stała się Bolka, która - nie bacząc na własne bezpieczeństwo - niemal codziennie przyjeżdżała do sanatorium, by przywieźć najświeższe wiadomości.

Dnia 3 września wypowiedziała wojnę Niemcom Francja, a potem Anglia, której premier, stary konserwatysta Chamberlain oświadczył wprost: "Nie mamy żadnego sporu z narodem niemieckim poza faktem, że pozwala się kierować rządowi narodowo-socjalistycznemu. Dopóki rząd ten będzie istniał i stosował metody z ostatnich dwóch lat, nie będzie pokoju w Europie. Jesteśmy zdecydowani położyć kres tym metodom". Niestety, inne państwa - widząc, że Francja nie jest przygotowana do wojny i, że Anglia nie posiada jeszcze dostatecznej armii lądowej i powietrznej - starały się ratować ogłoszeniem swej neutralności. Czoło potędze niemieckiej musiała więc stawić tylko Polska i w walkach z nią - mimo że "nauczył ją Piłsudski, jak walczyć" - Niemcy posuwali się błyskawicznie naprzód. Szli od zachodu przez Pomorze, Poznańskie i Śląsk; wkraczali od północy z Prus Wschodnich na Mazowsze i w województwo wileńskie - i od południa atakowali Małopolskę i Kraków.

Społeczeństwo polskie zaczęła opanowywać panika. Wprawdzie prezydent wydał nowe orędzie, w którym tłumaczył, że jeśli ktos chce schwycić złodzieja to musi go przedtem wpuścić do swego ogrodu, ale to nie mogło już uspokoić nikogo - tym bardziej, że dowiedziano się, iż ten prezydent w panicznej ucieczce sam opuścił kraj, że uciekali ministrowie i że jeden z pierwszych uciekł również naczelny wódz. Szły więc teraz jeden za drugim pociągi ewakuacyjne z urzędnikami, a wszystkie drogi na wschód i południe zajęły prywatne auta dygnitarzy państwowych, przedsiębiorców, bankierów, obszarników i w ogóle ludzi bogatych, którzy w ogólnej panice chcieli ratować przede wszystkim siebie.

I naraz wśród tych nastrojów ucieczki "szpiców społeczeństwa" - nie wia-

domo po co i dlaczego - pułkownik wojsk polskich Umiastowski zwrócił się z wezwaniem przez radio, by wszyscy opuszczali swe domy i kierowali się na wschód lub w stronę stolicy. Rozpoczęła się więc masowa, bezładna wędrówka wszystkich: szli mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, inteligencja, chłopi i robotnicy - pociągami, furmankami i piechotą - nie zdając sobie sprawy, gdzie ma być kres ich wędrówki, podczas której Niemcy prażyli uciekających z aeroplanów karabinami maszynowymi i bombami. W takich warunkach również wybitniejsi działacze partyjni i zawodowi zaczęli się zastanawiać, co mają zrobić ze sobą. Część ich, na czele z Mekiem Niedziałkowskim, Topinkiem i Zarembą - postanowiła pozostać na miejscu, a Barlicki, Pużak, Czapiński, Dubois, Stańczyk, Zdanowski i inni szli na wschód, nie zdając sobie sprawy z politycznego i strategicznego położenia państwa.

Jednego popołudnia przyjechała zaaferowana Bolka i przywiozła wiadomość, że w granice Rzeczypospolitej wkroczyły również Sowiety. Hitler bowiem - zdając sobie sprawę, że "w razie walki, bój na dwóch frontach będzie mógł być prowadzony przez Niemców jedynie przy ciężkich ofiarach" mimo swego traktatu "antykominternowskiego" zawarł z Sowietami pakt, który rozwiązał mu ręce. I to była bodaj ostatnia wiadomość ze świata, którą Bolka przywiozła ze sobą, bo sama nie zdołała już powrócić do Warszawy, która w międzyczasie została niemal otoczona.

Siedząc pewnego dnia w pobliskim lasku, zobaczyłem nagle na drodze auta i żołnierzy niemieckich. To był dla mnie cios taki sam, jak wówczas, gdy poczułem, że straciłem mowę. Nigdy nie byłem nacjonalistą - i w fizycznej sile i w militaryzmie nie widziałem przejawu, który by mnie uprawniał do dumy narodowej. Ale gdy na własne oczy zobaczyłem, jak żołdactwo niemieckie rozpiera się po wsiach i miasteczkach polskich, poczułem się moralnie poniżony. - i nie mogę nigdy darować tym, którzy swoją polityką buńczuczania się doprowadzili do takiego stanu, że poczułem się dotknięty w swej dumie wolnego człowieka.

Patrząc na przejeżdżające kolumny niemieckie, czułem się jak zdeptany robak. A kolumn tych przybywało dzień w dzień coraz więcej - i nieraz przez całe noce słychać było tylko bezustanny turkot zmotoryzowanych oddziałów, które właśnie koncentrowały się, by wykonać atak na Warszawę. Wreszcie jednego dnia Karolin stał się terenem bitwy, po której - po całodziennej wrzawie i strzelaninie - pozostało na polach tylko trochę trupów i rannych, których Niemcy pozostawili bez jakiejkolwiek opieki. A potem nastąpiła cisza, w czasie której wzmogły się tylko łuny nad Warszawą i panował coraz większy ruch aeroplanów niemieckich. Patrzyłem jak przelatywały nad nami - całe ich eskadry, dziesiątki i dziesiątki - nie zdając sobie sprawy, że każdy z nich niesie ze sobą dla ludności stolicy grozę, pożary, wybuchające bomby i śmierć. Wreszcie dowiedziałem się o kapitulacji Warszawy.

Po zajęciu miasta przez Niemców pierwsza dotarła do niego Bolka i przyniosła hiobowe wieści: najwspanialsze i najludniejsze dzielnice były w gruzach, około 100 tysięcy ludzi stało się ofiarami bestialskich nalotów niemieckich; jej mieszkanie zostało roztrzaskane granatem, a mój najserdeczniejszy przyjaciel, z którym przez tyle lat pracowałem w tak różnych warunkach, Wilhelm Topinek, zginął rozszarpany bombą. Nie zdołano mu oddać nawet ostatniej posługi i pożegnać go na wieki; pochowano go gdzieś jako nieznaną bezimienną ofiarę, nie rozpoznawszy nawet jego ciała. Ale wierzę, że mimo to pozostanie o nim pamięć, jako o człowieku, który - wpatrzony w wolność - niezłomnie walczył o nią przez całe swoje życie - dla siebie, dla całej klasy robotniczej i dla całej ludzkości.

Dowiedziałem się jednak również pocieszających wiadomości: wszyscy mi bliscy, choć przechodzili piekło, uciekając z jednego palącego się domu do drugiego, uratowali się. Żona niemal cudem wyrwała się z płomieni; Jacka wyciągnięto spod walącej się ściany, a Mek - ten zawsze delikatny i miękki Mek - zdobył powszechne uznanie i podziw dla swojej odwagi i poświęcenia, z jakim - gdy zamilkły już wszystkie "narodowe" pisma - ciągle niewzruszony stał na posterunku i wśród walących się gruzów wydawał swego "Robotnika", podtrzymując nim ducha walczących.

Wkraczając do strzaskanej Warszawy Niemcy od samego początku zaciążyli

nad jej życiem, jak zmora. Zamknęli radia, wstrzymali ruch kolejowy i pocztowy dla ludności polskiej, rozwiązali wszystkie stowarzyszenia, partie i związki, zakazali wszystkich druków i wydawnictw, wydając jedynie w języku polskim dziennik, który pod redakcją kupionego Polaka, pluł na wszystko, co tylko było polskie.

W tych warunkach sekretarz naszej partii, tow. Pużak - nie wiem, czy na podstawie jakiejś uchwały, czy z własnej inicjatywy - wydał odezwę - różowy plakat, który podawał do wiadomości, że PPS została rozwiązana, a wszyscy jej członkowie mają postępować jedynie wedle własnego swego uznania. Tłumaczono potem, że plakat ten był wydany tylko ze względów formalnych, by spełnić warunki kapitulacji, jakkolwiek żadna inna partia polityczna - ani Ludowcy ani Stronnictwo Narodowe, ani nawet OZN - nie uznała za konieczne ogłaszać tego rodzaju rozwiązania swej organizacji. Krok ten wywołał też największy zamęt w kołach socjalistycznych. Towarzysze, z których jedni przeżywali potworne męczarnie oblężenia i bombardowania miasta, a inni powracali teraz z przymusowej wędrówki - pozbawieni oficjalnie kierownictwa - nie mogąc zająć zgodnego stanowiska, a nie chcąc żyć bezczynnie, podejmowali akcję - każdy na własną rękę.

Bodaj pierwszy zaczął działać Mek i nawiązał stosunki ze sferami wojskowymi, które - mając trochę pieniędzy, pod egidą gen. Tokarzewskiego - marzyły, by na nowo powtórzyć okres bohaterskich walk o niepodległość, pamiętając, że - bez względu na praktyczny efekt - dały one ich uczestnikom tytuły do sławy i nagród. Propagowano więc i dziś taką samą walkę zbrojną o zrzucenie okupacji niemieckiej - tak, jak gdyby się można było łudzić, że gdy cała, uzbrojona nowocześnie armia polska padła wobec przemocy niemieckiej w ciągu trzech tygodni, może ją złamać tajna organizacja, uzbrojona w rewolwery lub zakopane karabiny. Organizacja ta, pod kierownictwem wodza, który miał przy sobie komisarzy cywilnych, była daleka od demokracji i przypominała raczej trochę "Bojówkę" Piłsudskiego, a trochę OZN Śmigłego.

Poza nią działali też osobno Norbert Barlicki, Dubois i Próchnik, wiążąc swoje nadzieje z powszechną rewolucją społeczną. Natomiast ja uważałem, że zadaniem socjalizmu w tej chwili jest tylko trzymać wysoko sztandar demokracji, skupiać wokół niego wszystkie demokratyczne żywioły i wszelkimi siłami dopomagać państwom prowadzącym wojnę z totalizmem - w przekonaniu, że w razie zwycięstwa one wyzwolą ujarzmione narody.

Na razie siedziałem więc spokojnie w Karolinie, który wśród piekła, jakie stwarzali Niemcy, był oazą spokoju. Wprawdzie w sanatorium zostałem wnet tylko ja, Dolka, doktorka p. Zofia i pielęgniarka siostra Janka, bo w międzyczasie powyjeżdżali wszyscy inni kuracjusze, a potem rozbiegła się służba i administracja, ale jakoś dawaliśmy sobie radę; sami gotując, sprzątając i starając się o prowianty. Panującą ciszę mąciły tylko częste przemarsze wojsk niemieckich i wiadomości ze świata.

Dnia 1 października przybył do Warszawy Hitler, by odbyć triumfalny wjazd do pokonanej stolicy, lecz uroczystość ta nawet dla Niemców przypominała bardziej ponury obrzęd pogrzebowy, niż radosne święcenie zwycięstwa. Ulice były pełne gruzów, bez komunikacji, bez światła - wiała od nich pustka - ludność zamknięto w mieszkaniach i nikomu nie wolno było wyjść z domów, pozamykanych na klucze, które dla większego bezpieczeństwa pozabierali policjanci niemieccy. Dopiero tak - wśród tego nastroju strachu, panującego wśród Niemców, odważył się przemawiać Hitler, sławiąc ducha niemieckiego, widząc w pokonaniu Polski "wyższość" rasy niemieckiej, i oświadczając, że Polska - "ten przeklęty twór Wersalu" - musiała być "ukarana" i nie powstanie już nigdy. To miał być koniec dramatu - a potem miał nastąpić pokój, pokój niemiecki. Europa miała być podzielona na dwa obozy: totalizmu i demokracji, wśród których rozjemcą spodziewał się być - komunista Stalin.

Od czasu do czasu przyjeżdżał teraz do Karolina Mek, z którym wspólnie omawialiśmy sytuację i rolę socjalizmu. Przejęty on był akcją gen. Tokarzewskiego, a kiedy przedstawiłem mu jej niebezpieczeństwo i możliwość przerodzenia się jej w nową sanację i nową sołdateskę - tłumaczył, że jednak trzeba coś robić koniecznie. Odpowiedziałem mu, że czasem lepiej nie robić nic, niż robić

rzeczy, z których jutro może się wyłonić nowe niebezpieczeństwo dla demokracji. To znowu przyjechał niespodziewanie i opowiadał, że wezwano go do Gestapo, gdzie - ku jego wielkiemu zdziwieniu - pytano się go tylko, czy zna mnie i czy nie wie przypadkiem, gdzie w tej chwili przebywam. Oświadczył im, że mnie zna, ale nie wymienił miejsca mego pobytu,nie wiedząc, jakbym się na to zapatrywał. Ja zaś, nie znając jeszcze barbarzyńskich metod Gestapo i uważając, że żadna władza nie może mnie pociągnąć do odpowiedzialności za przekonania, lekkomyślnie poprosiłem syna, by poszedł do Gestapo i powiedział, że mieszkam w sanatorium chory, ale każdej chwili, gdy przyjdą, mogą odbyć ze mną żądaną rozmowę.

Tymczasem zaś w Karolinie słuchałem audycyj radiowych, które stale urządzała Bolka i doktorka - i pochłaniałem wiadomości ze świata. Dowiedziałem się, że prof. Mościcki ustąpił ze stanowiska prezydenta Rzeczypospolitej, że objął je były minister i wojewoda, umiarkowany senator Raczkiewicz - i że w międzyczasie utworzył się we Francji nowy koalicyjny rząd polski pod przewodnictwem gen. Władysława Sikorskiego. Do rządu tego mieli należeć przedstawiciele wszystkich partyj, a więc pp. Mikołajczyk i prof. Kot - ludowcy; pułk. Koc i Zaleski - członkowie OZN; Stroński i Seyda - endecy; i mały Jaś Stańczyk - socjalista, który w swej wędrówce dotarł aż do Francji. Jako jedyne swe zadania, rząd ten postawił sobie: 1/ reprezentowanie Polski na zewnątrz, 2/ tworzenie nowej polskiej armii na emigracji i 3/ udzielanie pomocy materialnej społeczeństwu polskiemu, zniszczonemu niemiecką i rosyjską inwazją.

Wówczas też dowiedziałem się o potwornym nowym podziale Rzeczypospolitej. Na podstawie "traktatu przyjaźni", zawartego 28 września pomiędzy Niemcami a Sowietami, Polska miała się stać łupem nowego imperializmu i rozpaść się na dwie strefy wpływów:niemieckich i rosyjskich, których granice miały stanowić rzeki: Bug i Narew. Część strefy niemieckiej - Pomorze, Poznańskie, Śląsk, Kujawy, część Mazowsza, Łódzkie, Zagłębie i Chrzanowskie wraz z Żywiecczyzną - została od razu wcielona do Rzeszy, a ludność jej miała być "przesiedlona" lub zniemczona. Z reszty zaś - z około 100 tysięcy kilometrów kwadratowych - utworzone zostało "Generalne Gubernatorstwo", w którym władzę objął minister sprawiedliwości Rzeszy - dr Hans Frank, niegdyś członek Towarzystwa Polsko-Niemieckiej Współpracy za czasów OZN-u. W swej pierwszej proklamacji obwieścił on, że Niemcy objęli administrację, gdyż musieli "położyć kres rządom nieodpowiedzialnej kliki", że teraz językiem urzędowym będzie język niemiecki, ale język polski będzie obok niego "dopuszczony" - i że będą "uszanowane właściwości polskie". Wreszcie powtórzył słowa Hitlera, że "Polska nie powstanie już nigdy".

Strefa "wpływów rosyjskich" miała być wcielona do "niepodległej Białej Rusi" i do "niepodległej Ukrainy", po przeprowadzeniu odnośnych "plebiscytów". Śledziłem przez radio tę propagandę i mowy przedstawicieli sowieckich i polskich - i nieraz ogarniał mnie wprost wstręt, gdy słyszałem niegodne panegiryki, wygłaszane przez Polaków, wśród których pod tym względem odznaczała się nasza była towarzyszka - Wanda Wasilewska - i mowę p. Mołotowa.

Sowiecki minister spraw zagranicznych cieszył się, że wreszcie "nasze stosunki z Niemcami uległy gruntownej poprawie", oraz, że "uzyskano praktyczną współpracę i polityczne poparcie niemieckich usiłowań wprowadzenia pokoju przez Unię Sowiecką". W wygłoszonej dnia 2 listopada mowie widział on w ostatnich miesiącach trzy ważne fakty w sytuacji światowej. "Na pierwszym miejscu /.../ zmianę w stosunkach między Związkiem Radzieckim a Niemcami, która doprowadziła do ustanowienia długotrwałej przyjaźni między tymi dwoma największymi państwami Europy; po drugie - zniszczenie wojskowe Polski i rozkład państwa polskiego; a wreszcie kontynuowanie wojny między Niemcami z jednej strony, a Anglią i Francją z drugiej". Uważał, że "zawarcie niemiecko-sowieckiego paktu przyjaźni i układu granicznego oraz ustalenie granicy interesów na terytorium dawnego państwa polskiego było ciężką próbą, którą jednak zwycięsko przetrwano". Podnosił, że "Związek Sowiecki obserwował walkę Niemiec o odrzucenie zasad Traktatu Wersalskiego z głębokim zrozumieniem, gdyż stale stał on na stanowisku, że silne Niemcy - to stanowcza gwarancja pokoju w Europie". Dążenie do "zniszczenia hitleryzmu"/.../ o co zabiegają mocarstwa "pod płaszczykiem

demokracji", nazwał "po prostu zbrodniczym"!

Gdy wcielono Ruś czerwoną do Ukrainy, nie było dość okrzyków na cześć Stalina, którego nazywano słońcem. Nie mogłem słuchać, jak wysławiano niezwyciężoność "krasnej" armii bolszewickiej - i żałowałem, że nie mogę uderzyć w twarz tych, którzy zachwycali się wolnością, jaką wspólnie z Hitlerem wprowadzały Sowiety, wyzwalając ludność przy pomocy więzień, wysiedlań i rozstrzeliwań.

W końcu jednak ta sielanka karolińska musiała się skończyć. Wobec braku opału i światła - i wobec tego, że uruchomiono już pociągi, wybrałem się do Krakowa dnia 1 grudnia. Zastałem tam mieszkanie nienaruszone i książki; wróciła żona i Rafał, który - jak wszyscy - odbył swoją "krajoznawczą" wędrówkę - tylko nie zastałem już mej matki.

Staruszka zgasła samotna, nie wiedząc nawet o wojnie i o dokonujących się zmianach, pozostawiając za sobą pamięć kobiety, która przez całe swe życie była wyrazem dobroci i troskliwości o wszystkich, tylko nie o siebie. Wszyscy, którzy ją znali, otaczali ją największą miłością i czcią - a dla nas, jej dzieci - była opatrznością i aniołem, który nas uczył kochać piękno, wolność i ludzi.

W Krakowie, który stał się teraz stolicą "Generalnego Gubernatorstwa" dowiedziałem się przede wszystkim o nowych gwałtach niemieckich. Aresztowano ludzi bez żadnego powodu - kogoś dlatego, że miał "zatruć wodociąg", innego - że dopuścił się "obrazy narodu niemieckiego" lub," że słuchał radia", a w gruncie rzeczy dlatego tylko, by sterroryzować całe społeczeństwo. W pierwszym rzędzie więc uderzono w szkolnictwo i uniwersytety polskie. Ściągniętych podstępem profesorów Uniwersytetu wywieziono do niemieckich obozów koncentracyjnych, co bardzo wielu z nich przypłaciło życiem, a profesorów gimnazjalnych osadzono w Wiśniczu lub u Św. Michała. A potem szedł już jeden gwałt za drugim. Wywożono ludzi - tysiące i setki tysięcy - z Pomorza, z Poznańskiego i ze Śląska, w najstraszniejszych warunkach, w czasie mrozów, w bydlęcych wagonach, nie pozwalając uchodźcom zabrać ze sobą niczego - i rozstrzeliwano ludzi setkami dlatego tylko, że byli Polakami. Aresztowano byłego marszałka sejmu, Rataja, Meka Niedziałkowskiego, prezydenta Warszawy Starzyńskiego i cały szereg innych wybitnych jednostek, a potem rzucono się na Żydów, przeprowadzając w Kazimierzu rewizje, w czasie których rabowano i strzelano do nich, jak do kaczek.

Jakby na ironię, zwołano w Krakowie "Mieszaną Komisję" niemiecko-sowiecką, w której - wśród toastów na cześć nowej Europy i zapewnień o wzajemnej wzrastającej przyjaźni - dr Frank, generalny gubernator, minister sprawiedliwości Rzeszy, wybitny działacz narodowo-socjalistyczny, b. członek Towarzystwa Polsko-Niemieckiej Współpracy, wróg komunizmu - komunista Aleksandrow, komisarz sowiecki, wróg hitleryzmu - mówili o wspólnej budowie nowego świata i podnosili znaczenie dla narodów podjętej wspólnie akcji przesiedleńczej. Nowy imperializm komunistyczny i faszystowski - przejawił się teraz zgodnie w zniszczeniu narodu polskiego, którego członkowie padli ofiarą - raz dlatego, że byli "polskimi nacjonalistami", to znowu dlatego, że byli "polską burżuazją".

Zaraz w pierwszych dniach po mym powrocie przybył do mnie tow. Cyrankiewicz /późniejszy premier rządu , wówczas sekretarz OKR krakowskiego, którego pamiętałem z niezbyt chlubnej roli, jaką odegrał przy konstytuowaniu się OKR-u jeszcze w roku 1935. Mimo to, licząc się z jego oficjalnym charakterem, przedstawiłem mu bardzo szczerze swój punkt widzenia i rolę, jaką - moim zdaniem - powinien w tej chwili odegrać socjalizm - i bardzo ostro przeciwstawiłem się fantastycznym pomysłom nowej organizacji wojskowej. Zgodził się ze mną zupełnie i postanowiliśmy podjąć wspólnie akcję w kierunku restytuowania OKR w Krakowie oraz porozumienia się z innymi stronnictwami, a zwłaszcza z Ludowcami.

OKR ukonstytutował się bardzo wnet - już w styczniu 1940 roku - i wybrał mnie na swego przewodniczącego. Ponieważ zaś tendencja wzajemnego porozumienia się przejawiała się niemal równocześnie u wszystkich stronnictw, stojących na stanowisku demokracji, więc i tu nie natrafiliśmy na żadne przeszkody. Cztery stronnictwa: PPS, Ludowcy, Stronnictwo Pracy i Stronnictwo Narodowe - zawarły oficjalne "Porozumienie Komitetów Politycznych" /PKP/, ustalając jako swoje

zadania: 1/ reprezentowanie społeczeństwa, 2/ urabianie w nim wspólnej orientacji w stosunku do okupantów, 3/ zawieszenie wzajemnych walk programowych pomiędzy partiami aż do odzyskania demokracji, 4/ uznanie rządu koalicyjnego w Paryżu za legalny rząd polski, 5/ dopomaganie mu w spełnieniu jego zadań politycznych i wojskowych. Równocześnie "Porozumienie" potępiło jednomyślnie wszelkie tendencje, przejawiające się u poszczególnych grup wojskowych, pretendujących do naczelnej kierowniczej roli w społeczeństwie, uznając, że wszystkie organizacje wojskowe, zjednoczone w jeden związek, winny być tylko organem wykonawczym - i podlegać decyzjom Rządu i "Porozumienia".

W ten sposób demokratyczna myśl polska w kraju rozpoczęła na nowo swą pracę polityczną od koalicji stronnictw, a więc od tego samego miejsca, na którym została przecięta lekkomyślnie w maju 1926 roku. Niestety, nie zdołała się na nim utrzymać - i coraz bardziej spychana, szła powoli w kierunku tendencyj militarystyczno-sanacyjnych i dyktatorsko-rewolucyjnych.

W pierwszym posiedzeniu Porozumienia w Krakowie brał udział również ks. prałat Kaczyński z Warszawy, który właśnie przejeżdżał do Rzymu - i był zachwycony krakowską współpracą, utyskując równocześnie na stosunki warszawskie, gdzie stronnictwa, rozbite zresztą na strzępy i konkurujące ze sobą, stwarzały coraz to nowe programy i orientacje.

Wnet potem - pod koniec lutego - wpadło do mnie niespodziewanie Gestapo. Rozpoczęli od zarzutu, że utrzymuje stosunki z zagranicą. Po ostrej wymianie zdań, gdy powołałem się na to, że jestem inwalidą wojennym, byłym oficerem a-ustriackim i chorym, ton rozmowy zelżał - zwłaszcza, że jeden z gestapowców, marynarz z Hamburga, przypomniał sobie, że mnie zna z międzynarodowego ruchu zawodowego. Po rewizji, która trwała dwie godziny, oświadczył on wreszcie, że mnie nie aresztuje, bo widzi, że jestem chory. Na moją uwagę, że obroniło mnie więc nie to, że nie popełniłem karygodnego czynu, lecz to, że jestem chory - zaczął się śmiać i opuścił mieszkanie. W dwa czy trzy miesiące później przybył do mnie jeszcze raz jakiś elegancki pan z Gestapo w cywilu, w towarzystwie tłumacza i rozpoczął ze mną "towarzyską" rozmowę. Na moje zapytanie, o co mu właściwie chodzi, oświadczył, że - pracując na tym terenie politycznie - chciał tylko poznać ludzi, którzy na nim odgrywali pewną rolę, ale ani wobec mnie, ani wobec innych towarzyszy nie ma żadnych pretensyj. Gdym mu zwrócił uwagę, że jednak aresztowano zupełnie bez powodu redaktora Niedziałkowskiego, odpowiedział "Ach, to jest co innego" - i zapowiedział swe ponowne odwiedziny.

Tymczasem nawiązywały się pomiędzy mną i naszą organizacją a socjalistyczną emigracją w Budapeszcie i w Paryżu oraz z rządem coraz bliższe stosunki. Stańczyk napisał do mnie list, w którym - przewidując, że wojna będzie trwała długo - zapowiedział nam materialną pomoc. Rzeczywiście otrzymaliśmy po półtora miljona złotych dla nas i dla Ludowców, które przywiózł konsul chilijski, p. Mikiciński, a potem dwa miliony, które trzeba było przewieźć z Warszawy i zmienić na nowe, kursujące już banknoty, wydane w międzyczasie przez Bank Emisyjny. Otrzymawszy te pieniądze, towarzysze - a zwłaszcza tow. Rzeźnik, który objął kasę - chcieli je zabezpieczyć przez kupno jakichś nieruchomości, lecz ja przeciwstawiłem się temu z całą stanowczością, żądając, by były one w gotówce lub w złocie - tak, by w każdej chwili można je było podjąć i zużyć zgodnie z przeznaczonym celem.

Mając więc w ten sposób odpowiednie środki, mogliśmy teraz rozszerzyć naszą akcję zarówno co do udzielania pomocy materialnej towarzyszom, jak również - co do ożywienia naszej politycznej współpracy w "Porozumieniu"; zwłaszcza zaś - akcję wysyłania ochotników do wojska we Francji, czym specjalnie miał się zająć Związek Walki Zbrojnej /ZWZ/.

Wykonując powyższe zadania, natrafiliśmy jednak ustawicznie na trudności, jakie powstawały przed nami na skutek nieregularnych stosunków politycznych w Warszawie. Wprawdzie tam istniało też "Porozumienie" i socjalistów reprezentował w nim tow. Pużak, lecz od samego początku było ono raczej terenem, na którym ścierały się poszczególne partie i orientacje, kwestionujące nawzajem swoje prawo do reprezentowania całości, niż terenem pozytywnej zgodnej współpracy.

W takich warunkach wyłoniła się myśl, bym jako prezes Rady Naczelnej wyjechał do Warszawy i podjął tam starania w kierunku usunięcia rozterek organizacyjnych i stworzenia jednego kierownictwa partii, które by uznali wszyscy socjaliści. Zdając sobie sprawę z niemożności przeprowadzenia w danej chwili jakichś ogólnych wyborów, szukałem innych bezstronnych kryteriów, na których można by było oprzeć nowe kierownictwo - tak, by uznały je wszystkie ideologiczne kierunki. Zaproponowałem więc, by kierownictwo powierzyć komitetowi, złożonemu z przewodniczącego Rady Naczelnej, z czterech członków CKW mieszkających w Warszawie, z przedstawiciela Komisji Centralnej Związków Zawodowych i z przedstawiciela TUR, uważając, że powołane w ten sposób kierownictwo może zadowolić wszystkich, bo wszystkie kierunki byłyby w nim reprezentowane.

Projekt ten zaakceptował krakowski OKR i wyjechałem z nim do Warszawy. Rozmowy rozpocząłem od tow. Pużaka. Stanął on na stanowisku, że dawnych władz partyjnych już nie ma - i uważał, że nasze żądanie powołania nowych może nas nawet między sobą zbliżyć. Poza tym jednak miał zastrzeżenia co do współpracy z Czapińskim i Kuryłowiczem, choć obaj byli członkami CKW, ale zasadniczo nie odrzucał mojego projektu. Zacząłem więc kontynuowac rozmowy z innymi towarzyszami: z Barlickim, z Dubois, z Próchnikiem, z przedstawicielami Związków Zawodowych i wice-prezesem Rady Naczelnej tow. Uziembłą - i wreszcie doprowadziłem do tego, że wszyscy zgodzili się na mój projekt. W ostatniej chwili jednak, kiedy mieliśmy się już zejść, by zsumować osiągnięte wyniki, tow. Pużak zawiadomił mnie, że przybyć nie może. Na moje nalegania przyszedł jednak, lecz na samym niemal wstępie podkreślił, że starał się uniknąć dalszych rozmów ze mną, uważając je za zupełnie zbędne. Nie pozostało mi więc nic innego, jak przerwac rozmowę, którą prowadziłem wobec dwóch świadków: tow. Cyrankiewicza i tow. Zdanowskiego - i wyjechać do Krakowa, by tam starać się o utrzymanie jednolitej organizacji przynajmniej w Małopolsce i na Śląsku, pozostawiając teren warszawski własnym jego losom.

Lecz jakże zdziwiłem się, gdy w dwa dni po mym przybyciu do Krakowa tow. Cyrankiewicz, który po odbytej rozmowie pozostał jeszcze w Warszawie, zawiadomił mnie, że został zaproszony przez tow. Pużaka na konferencję, która się ma odbyć w najbliższą niedzielę, tj. dnia 6 maja. Byłem zdania, że tow. Cyrankiewicz powinien odmówić swego udziału, ale wobec jego argumentów, że należy wykorzystać sposobność szerszego zebrania i starać się przeforsować na nim nasz punkt widzenia, ustąpiłem - i tow. Cyrankiewicz wyjechał jedynie celem przedstawienia krakowskiej uchwały. Wróciwszy, złożył sprawozdanie, zawiadamiając, że nasz wniosek został odrzucony - i zajął bardzo krytyczne stanowisko wobec przebiegu obrad konferencji i powziętych przez nią uchwał. Nic powiedział jednak ani słowem, że był przewodniczącym tej konferencji, że został wybrany do nowego kierownictwa i że z nową organizacją nawiązał już stosunek współpracy.

Organizacja ta, przyjmując nazwę "Mas Pracujących Polski" i wysuwając hasła: Wolność, Równość, Niepodległość - WRN, ustaliła przede wszystkim nowe "kierownictwo centralne" i "jednolity pogląd na konieczność wyrzeczenia się współdziałania z ruchem jednostek z dawnego ruchu legalnego, aby nie obciążać ich odpowiedzialnością", jakkolwiek kierowało nią dwóch ludzi z tego legalnego ruchu: tow. Zaremba i tow. Pużak - obaj dawni członkowie Rady Naczelnej i CKW. Po złożeniu pokłonu w stronę militaryzmu polskiego i "hołdu tym oddziałom armii, które do ostatka spełniły swój obowiązek żołnierski" - konferencja wyraziła "niezłomną wolę prowadzenia raz jeszcze w historii walki na śmierć i życie o usunięcie okupanta i przywrócenie Polsce całości i niepodległości państwowej" - tak, jak gdyby faktycznie Polska kiedykolwiek zawdzięczała swą całość i niepodległość państwową walce "bojowców" Frakcji rewolucyjnej czy legionistow, a nie zwycięskiej demokracji. Powód klęski wrześniowej konferencja widziała jedynie w "przewadze militarnej wrogów", w "braku szybkiej pomocy aliantów" i "w braku przygotowania narodu do obrony", a nie w apoteozowaniu "siły brutalnej" militaryzmu, w popieraniu hitlerowskich Niemiec, w rozsadzeniu podstaw Traktatu Wersalskiego, we wspólnym ataku na Czechosłowację i w odrzuceniu każdej myśli o wspólnej pracy i o wspólnej obronie razem z Sowietami.

Zebrani, nie licząc się z rzeczywistością, zapowiedzieli, że wynik ich

"walki powstańczej zależy w pierwszym rzędzie od wysiłku i postawy samej Polski", a w państwach demokratycznych widzieli jedynie "naturalnych sprzymierzeńców , którzy również walczą przeciw zaborczości Niemiec hitlerowskich i Rosji komunistycznej". Rolę nowego polskiego rządu na emigracji konferencja ograniczyła do tego, by "emigracja i rząd popierały działalność kraju", by utrzymywały stosunki międzynarodowe z innymi państwami i budowały armię polską - uważając, że "reszta spraw powinna być pozostawiona całkowicie organizacjom krajowym". Wreszcie zapowiedziała, ona, że wytworzony przez nie nowy "rząd robotniczo-chłopski /.../ natychmiast po zdobyciu niepodległości przeprowadzi zasadniczą przebudowę gospodarczą, społeczną i polityczną".

Wobec tej ideologicznej platformy, przypominającej aż do złudzenia ideologię "Frakcji rewolucyjnej PPS" Piłsudskiego i Jaworowskiego - OKR krakowski powziął jednomyślnie oficjalną uchwałę, by nie wiązać się w niczym z nową organizacją i uważać ją tylko za jedną z frakcyj PPS. Równocześnie zaś "poufnie" tow. Cyrankiewicz i "wtajemniczeni" przez niego członkowie /wśród których znajdował się również tow. W. Dobrowski - ten sam, który w czasie kampani wyborczej w roku 1918 tak dowcipnie służył do mszy naszemu kontrkandydatowi, aby go obalić/ - współpracowali z potępioną organizacją WRN, zasiadali w jej kierownictwie i w tajemnicy przede mną kolportowali jej druki.

W tym właśnie czasie nawiązaliśmy bezpośredni kontakt z rządem, który wysłał do Polski młodego, dzielnego kuriera w osobie p. Kozielskiego. Zawiadamiał on nas przede wszystkim o stanowisku rządu, który w deklaracji, złożonej w lutym, oświadczył, że - walcząc o przywrócenie niepodległości państwowej - chce, by o losach kraju decydowali wszyscy obywatele i stosownie do tego natychmiast po zrzuceniu okupacji odda rządy tym, którzy zdobędą w nim większość. Tymczasem chciał, zgodnie z wolą partyj skupionych w "Porozumieniu", powołać centralnego delegata kraju i trzech delegatów dzielnicowych - tak, by każdy z nich miał dwóch zastępców, informowanych o każdym podejmowanym kroku. Odpowiedź i nazwiska kandydatów krakowskich /prof.Piłoń i adw. Woźniakowski/ wziął z sobą p. Kozielski, który wpadł jednak w ręce niemieckie przy przechodzeniu granicy. Oskarżony o szpiegostwo, chciał przeciąć sobie żyły w więzieniu nowosądeckim, skąd - cudem wydobyty przez młodych Rosińskich - uciekł i uratował się od grożącej mu niechybnie śmierci.

Równocześnie otrzymaliśmy też wiadomość z okupacji rosyjskiej, przywiezione przez ludzi, którym władze zezwoliły na powrót. Wracał więc cały szereg naszych towarzyszy, a między nimi tow. Przybyś, którego od razu dokooptowaliśmy do CKW. Opowiadał on o dzikich znęcaniach się bolszewików nad ludnością, a zwłaszcza nad socjalistami, spośród których aresztowano: Hausnera, Kuśniarza, sekretarza związków zawodowych. Szczyrka i Halucha z Borysławia. Oprócz tego wszyscy, którzy w czasie wojny pełnili służbę oficerów, byli zasądzeni na długie lata więzienia za działalność "kontr-rewolucyjną", bo służyli w burżuazyjnej armii. Bardzo dzielnie bronił wszystkich tow. Drobner, który ze względu na swą przeszłość był na razie w łaskach, ale na skutek tej swojej działalności stał się też wnet ofiarą i został wywieziony przymusowo w głąb Sowietów.

Tow. Przybyś przywiózł mi również wiadomość o mojej rodzinie. Jeden z braci, Bohdan - na skutek pogłosek o deportacji - dostał ataku sercowego i umarł; bratowa moja, a siostra mojej żony, tego samego tygodnia została wywieziona do Semipałatyńska; drugi brat, Sławomir, tułał się i krył gdzieś we Lwowie.

Wiadomość o śmierci Bohdana - choć musiałem się już nauczyć traktować śmierć bliskich mi ludzi, jako normalne, codzienne zjawisko - dotknęła mnie bardzo boleśnie. Pamiętałem go zawsze jako hożego, zdrowego chłopaka, z którym hasałem po Słomianej i Krakowie - i nie mogę się pogodzić z myślą, że on już nie żyje.

W tym samym czasie - w maju - przybył również do Polski tow. Wiktor Strzelecki. Zawiadomił nas o swym przyjeździe akurat w czasie mojej rozmowy z tow. Pużakiem w Warszawie, ale ten nie chciał z nim nawet rozmawiać, twierdząc, że jest to "komunista", choć ja w rozmowach toczonych z nim później w Krakowie mogłem ustalić, że był on szczerym demokratą i szczerym zwolennikiem

rządu koalicyjnego. Tow. Strzelecki, który dzielnie przebył kordony niemieckie, opowiadał mi dużo o wewnętrznych stosunkach na emigracji, o podjazdowych walkach prowadzonych przez czynniki sanacyjne, które nie mogły się pogodzić z myślą, że skończyła się już ich rola i wpływy, o ich zamachach na rząd - i z wielkim entuzjazmem mówił o rozumie i takcie politycznym Liebermana, który właśnie objął przewodnictwo Rady Generalnej, mającej być pewnego rodzaju parlamentarną reprezentacją na emigracji. Dowiedziawszy się o stosunkach, jakie - zwłaszcza po ostatniej konferencji WRN i jej uchwałach - zapanowały w kołach socjalistycznych w Warszawie, potępiał bardzo ostro tow. Pużaka i Zarembę - i nie chcąc popierać ich akcji, przywiezione czterysta tysięcy złotych złożył na ręce OKR w Krakowie. Wreszcie określił nastroje polityczne na zachodzie i roztaczał przede mną jak najbardziej różowe nadzieje. Po paru tygodniach pobytu w kraju wyjechał z powrotem, zapowiadając ponowny swój przyjazd.

Tym jego różowym nadziejom zaprzeczyła jednak wnet przykra rzeczywistość.

Wprawdzie Niemcy po rozgromieniu Polski od razu zabiegały o zawarcie pokoju, w czym bardzo dzielnie asystowały im Sowiety spodziewając się, że w ten sposób staną się rozjemcą pomiędzy światem demokracji a faszyzmem - ale Hitler chciał pokoju "niemieckiego", na który nie chciała się zgodzić demokracja.

W mowie wygłoszonej dla świata jeszcze w lutym, w rocznicę założenia partii narodowo-socjalistycznej, Hitler - powołując się, że "istnieje Bóg, ten Bóg, który stwarza narody i daje im równe prawa" - zapewniał, że "to, czego my chcemy, to nie jest ujarzmienie innych narodów - my chcemy tylko naszej własnej wolności, naszego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa naszego obszaru życiowego. To jest - bezpieczeństwa życia naszego narodu ! O to walczymy".

Równocześnie pod adresem Polaków generalny gubernator tłumaczył, że "część obsadzonych obszarów polskich, tworzących Generalne Gubernatorstwo, nie należy do Rzeszy. Führer uznał ten teren za ojcowiznę Polaków. Ziemia ta nie będzie narażona na germanizację, lecz ma być zabezpieczona wyłącznie jako ojcowizna polskiej ludności. Każda tendencja germanizacyjna sprzeciwia się woli Führera". Zgodnie z tym pisała też prasa niemiecka, że "dążeniem Niemiec na wschodzie nie jest uciskanie małych narodów, ale jedynie i wyłącznie zabezpieczenie własnego obszaru życiowego. Niemcy nie mogą ścierpieć tego, aby na ich granicach małe narody były nadużywane w roli szermierza interesów angielskich na kontynencie - i muszą starać się o to, aby te narody żyły w atmosferze spokoju z 80 milionowym Narodem Niemieckim. Jeżeli pewne odłamy Narodu Polskiego nie zdają sobie sprawy może w obecnym momencie z motywów postępowania Niemiec, to jednak trzeba stwierdzić, że ten bieg wypadków jest korzystny także dla samego Narodu Polskiego, ponieważ z historycznego punktu widzenia nie może leżeć w interesie Narodu Polskiego, aby był zdegradowany do roli narzędzia i najemnika Anglii. Pomimo tych poważnych następstw otrzyma Naród Polski zarówno teraz, jak i w przyszłości, takie możliwości egzystencji, jakich sobie może życzyć. Na terenie Generalnego Gubernatorstwa znajdzie Naród Polski te możliwości zapewnione" /Krakauer Zeitung/.

Gdy zaś te wszystkie zapewnienia o uszczęśliwianiu Polaków i umizgi o pokój nie dawały efektu, Niemcy "pokojowo" zajęły Danię, dokonały zbrojnej inwazji Norwegii i po zwycięskich walkach, wbrew przewidywaniom tow. Strzeleckiego, opanowały całą Holandię i Belgię. Ponieważ jednak - jak skarżył się potem Hitler w swej mowie, wygłoszonej z początkiem czerwca - "plutokratyczni władcy Anglii i Francji sprzysięgli się przeszkodzić wszelkimi siłami rozkwitowi nowego lepszego świata - i chcą dalej prowadzić wojnę" - zapowiedział on, że - "walka o wolność naszego /niemieckiego/ narodu o być i nie być, na dziś i na całą przyszłość, musi więc być dalej prowadzona aż do zupełnego zniszczenia tych władców".

Potoczyła się więc dalej wojna, w której brało udział również 70 tysięcy żołnierzy polskich, walczących na polach Francji. Lecz walki te skończyły się znowu niemieckimi zwycięstwami. Pod ich wpływem - gdy zajęty już został Paryż - załamała się Francja, a nacjonalizm francuski, reprezentowany przez czynniki militarystyczne, skapitulował przed Hitlerem, poświęcając honor narodu, by tylko utrzymać resztkę swej władzy. Anglia została więc sama.

Rząd polski i resztki sił polskich, dzięki energii gen. Sikorskiego, zostały tam przetransportowane, a moment ten sfery sanacyjne uznały za odpowiedni, by jeszcze raz popróbować nowego zamachu, który na szczęście też zakończył się fiaskiem.

Zwycięski hitleryzm zrzucił teraz już maskę i deptał po ujarzmionych narodach. Teraz już "Generalne Gubernatorstwo miało być pomyślane przez kanclerza Hitlera jako trwała część składowa niemieckiego obszaru suwerennego" i Niemcy szaleli w nim. W Warszawie skazano na karę śmierci stu kilkudziesięciu ludzi, między którymi byli również marszałek Rataj i Mieczysław Niedziałkowski.

Nie mogę myśleć do dziś dnia o jego śmierci i nie chcę mówić o nim samym, bo wiem, że kiedyś poświęci mu osobne karty historia polska i historia socjalizmu - ale jako jego serdeczny przyjaciel chcę podnieść, że był to naprawdę piękny człowiek, który umiał się skrzyć tym jaśniejszymi blaskami, im cięższą i bardziej ponurą była sytuacja, którą miał zwalczać. Czytałem jego ostatni list, jaki wysłał z Pawiaka do p. Marysi, kiedy już wiedział, że jutro ma zginąć. Nie wspominając jej ani słowa o grożącej mu śmierci, wśród najczulszych słów żegnał ją tylko i zapewniał, że w więzieniu nie załamie się i spełni swój obowiązek do końca. Dotrzymał też tego przyrzeczenia i nawet na miejscu kaźni - spokojny - podtrzymywał jeszcze na duchu tych, którzy łamali się, czekając wraz z nim na swą męczeńską kolej.

Po tej masowej zbrodni Niemcy starali się wpoić w społeczeństwo polskie przekonanie, że Polska i jej niepodległość skończyły się już definitywnie i że Polacy muszą się pogodzić z faktem zwycięstwa i panowania Niemców. Z jednej strony p. Frank zapewniał więc, że "odnosimy się z całą życzliwością wobec kulturalnych i innych potrzeb Polaków", że "jakkolwiek nasz reżim jest silny i twardy, to jednak jesteśmy zdecydowani rządzić po ludzku - i przestrzegając przed "wszelką grą na niepodległość i suwerenność, które po krótkim historycznym upływie przestały być aktualne i należą do przeszłości" - żądał tylko "lojalności" od Polaków i "wypełnienia przez nich lojalnych obowiązków obywatelskich Generalnego Gubernatorstwa". Wobec zaś coraz większych gwałtów uspokajał ich, że "to wszystko, co się tam dzieje, jest wynikiem nieodpartej konieczności stworzenia na tym terenie definitywnego stanu pokoju, spokoju i porządku oraz stworzenia wszelkich warunków dla owocnej pracy" - tak, jak gdyby można było stworzyć pokój i spokój tam, gdzie panuje gwałt. Z drugiej strony zaś - niemiecka policja i Gestapo starały się równocześnie zdusić bezwzględnie każdy przejaw narodowego życia, w czym dopomagali im Rusini i obywatele polscy, którzy nazwali się teraz "Volksdeuch'ami" i rdzenni Polacy "Goralen", "Schlesier", "Kaschuben" oraz kupione kanalie, które za pieniądze i materialne korzyści zdradzały swój własny naród.

Niszczono z całą perfidią inteligencję polską, urządzano obławy po ulicach i schwytanych wywożono do robót przymusowych lub osadzano w więzieniach; dla ludności polskiej wyznaczono głodowe racje żywnościowe i dwukrotnie niższe zarobki i pensje niż dostawali Niemcy; po wsiach rabowano chłopów przy pomocy rekwizycyj i ustanowionych cen maksymalnych; zakazano Polakom uczęszczać do kawiarń i restauracyj, określając wszystkie najlepsze jako "nur für Deutsche" i nawet ogrody publiczne zamknięto przed ludnością polską; zabierano mieszkania i meble przemocą, przeprowadzano rewizje i konfiskowano wszystko, co tylko w oczach niemieckich przedstawiało jakąkolwiek wartość; Żydom w ilości 40 tysięcy kazano opuścić Kraków w przeciągu dwóch tygodni, a w innych miastach zamknięto ich w gettach, zamęczając głodem i znęcając się nad nimi bezlitośnie; usuwano pamiątki narodowe, herby i emblematy polskie; rozsadzano pomniki - i nie zapomnę nigdy tego momentu, w którym ściągano z piedestału statuę Mickiewicza w Krakowie. Więzienia zapełniły się "politycznymi" więźniami bez różnicy płci, zawodów i przekonań - więziono nawet kilkunastoletnie dzieci i chorych i starców, bo wszyscy wydawali się niemieckim zwycięzcom niebezpieczni. Wprowadzono zasadę odpowiedzialności zbiorowej i rozstrzeliwano całymi dziesiątkami ludzi tylko, by wypełnili sobą to kwantum, które wyznaczono do stracenia. Wreszcie urządzono obozy koncentracyjne w Oświęcimiu, a potem w Majdanku, które wnet stały się żywymi grobami, gdzie dosłownie zamęczano aresztowanych biciem, głodem i ciężką

robotą - tak, że już po krótkim w nich pobycie nawet młodzi i silni ludzie nie wytrzymywali i ginęli. Urządzono specjalne komory gazowe, w których zamordowano miliony ludzi, a trupy ich palono w osobnych krematoriach. O śmierci tych męczenników, którą tajono przed opinią publiczną, dowiadywano się potem dopiero z lakonicznych klepsydr, które nie podawały daty i miejsca śmierci. Taki los spotkał też cały szereg czołowych towarzyszy z organizacji zawodowej i partyjnej - i wybitnych polityków, jak poseł Tempka, prof. Rybarski, Norbert Barlicki, Stasiek Dubois i Kazimierz Czapiński, z których dwóch ostatnich spotkałem jeszcze dopiero co w Karolinie.

Wyjechałem tam bowiem z końcem sierpnia, dowiedziawszy się, że sanatorium jest czynne - w przekonaniu, że tam będę mógł najswobodniej poodbywać cały szereg rozmów politycznych i pomówić z nowym tymczasowym delegatem rządu. Jakże jednak byłem zdziwiony, gdy spotkałem cały niemal warszawski świat literacki, artystyczny i dziennikarski. Urządzili oni tam sobie bowiem rodzaj kooperatywy, która zapewniała im kilkutygodniowy bezpłatny pobyt. Zastałem Adolfa Nowaczyńskiego i przemiłego postępowego publicystę p. Hulkę Laskowskiego - i Stpowskiego - i Godzięba Wysockiego - i muzyka Szymańskiego - i artystkę Mirę Zimińską, która w życiu prywatnym okazała się tak samo cudowna, jak na scenie - i cały szereg dziennikarzy, począwszy od p. Skiwskiego z "Gazety Polskiej", który potem wydawał gadzinowy "Przełom", aż do Bolki i Czapińskiego z "Robotnika". Ten miły pobyt został jednak przerwany przez niespodziewane zjawienie się Niemców, którzy po paru dniach wysłali Gestapo, by aresztowali mnie i Czapińskiego. Ja wyjechałem w porę do Krakowa, ale aresztowani zostali: Nowaczyński, p. Hulka Laskowski, Mira Zimińska i Czapiński, który nie wyszedł już żywy z więzienia.

Siedząc w Karolinie - jeszcze przed wspomnianym incydentem - odbyłem też rozmowy z Próchnikiem, Kuryłowiczem, Zdanowskim, Dubois i innymi, a wreszcie z p. płk Foglem, który oświadczył, że jest tymczasowym delegatem rządu, podając równocześnie, że głównym jego zadaniem jest przeprowadzić wybór delegata definitywnego, zgodnie z opinią "Porozumienia".

Przedstawił się on jako b. pułkownik czy podpułkownik wojsk polskich b. bojowiec, i b. legionista - dziś delegat rządu, ale ja wiedziałem, że jego charakter delegata rządu był bardzo silnie kwestionowany. Spełniając swą funkcję - legalnie czy nielegalnie - nie zdawał on sobie jednak sprawy z właściwej swej roli. Zamiast podnosić autorytet "Porozumienia" i stwarzać wśród stronnictw zgodną współpracę, usuwając powstające pomiędzy nimi konflikty, p. Fogel przeciwnie, starał się zmniejszyć wpływ partyj politycznych i "Porozumienia". Wbrew zasadzie demokracji, starał się on ze Związku Walki Zbrojnej /ZWZ/, w którym skupiali się głównie byli wojskowi, zrobić naczelną instancję polityki krajowej - i pod komendą gen. Sosnkowskiego w Londynie, utrzymać wpływy dawnej sanacji, wśród której ciągle, bez zmiany, pokutowały antydemokratyczne tendencje militarystyczno-sanacyjne. P. płk. Fogel, wychowany w ideologii Piłsudskiego, marzył o nawrocie okresu, w którym by decydowała "siła brutalna" i wojsko, współpracujące z socjalizmem, reprezentowanym przez "Frakcję rewolucyjną" Piłsudskiego, Jaworowskiego, czy WRN Pużaka, przywracające narodowi niepodległość i urzeczywistniające "sprawiedliwość społeczną" poza "rozchechłaną" demokracją. Za czasów jego delegatury, przy silnym poparciu WRN-u, projektowano tedy jakieś "etaty", wedle których ZWZ miałby mieć wpływ na życie społeczeństwa, przemysł, pracę, rolnictwo, a nawet opiekę społeczną - "szematy", wedle których miało się odbudowywać administrację państwową i obsadzać już z góry odnośne stanowiska - znowu tak, by utrzymać decydujący wpływ ZWZ.

"Porozumienie" szarpane sporami o to, jaki ma być przyszły ustrój wyzwolonej Polski, traciło tymczasem coraz bardziej swoje znaczenie i nie zdobyło się nawet na to, by zgodnie zaproponować rządowi jednego kandydata na definitywnego delegata krajowego. Toczące się, gorszące nieraz, spory przeciął wreszcie sam rząd, mianując delegatem b. min. Ratajskiego, który - jako kandydat na zastępcę delegata - skupił na sobie wszystkie głosy. Mianowanie to wywołało protesty i obrazy - do tego stopnia, że WRN zapowiedział swoją opozycję wobec rządu, chociaż zasiadał w nim również przedstawiciel PPS. Musiało to oddziałać również i na stosunki krakowskie - zwłaszcza, że WRN zaproponował teraz zmienić delegata rządu na p. Korbońskiego, ludowca z Warszawy, a jego zastępcę - na młodego, lecz

ambitnego Józefa Cyrankiewicza z Krakowa.

Minęło już lato i mijała jesień, a sytuacja polityczna nie uległa zmianie. Wprawdzie Anglia, reprezentowana teraz przez rząd koalicyjny, obejmujący zarówno konserwatystów, jak i Partię Pracy, pod przewodnictwem Churchilla, dawała schronienie wszystkim, których Francja oddała na pastwę zemsty niemieckiej; wprawdzie, bombardowana ustawicznie z wybrzeży francuskich, wytrzymywała - przy dzielnej pomocy lotników polskich - ataki nalotów niemieckich; wprawdzie, oparta o pomoc Stanów Zjednoczonych, uniemożliwiła przygotowaną już inwazję niemiecką na swój kraj - i nawet zadawała coraz bardziej bolesne ciosy zwycięskim Niemcom, lecz zasadniczą zmianę sytuacji nowy premier Churchill zapowiedział dopiero na rok 1943. W tej chwili więc cała inicjatywa, jak dotychczas, spoczywała w rękach niemieckich.

Mimo to u nich przeciąganie się zapowiadanej "wojny błyskawicznej" też wywoływało coraz większe zaniepokojenie, które uspokajał Hitler, zapewniając tych, którzy coraz natarczywiej pytali się o koniec wojny, że "nie trzeba być takim ciekawym" - i trzeba wierzyć, że w każdym razie "ten świat będzie wolny". "Raz na zawsze - mówił - trzeba zrobić koniec z tym łajdactwem, ażeby tylko jeden naród według swego widzimisię mógł blokować cały kontynent. Musi się na przyszłość zapobiec, ażeby jakiemuś państwu piratów od czasu do czasu, zależnie od życzenia lub humoru, nie wpadło do głowy, ażeby wydawać 450 milionów ludzi, w większym lub mniejszym stopniu, na biedę i nędzę. My, jako Niemcy - wołał - już po wszystkie czasy mamy dość przepisywania nam przez Anglię, czy możemy zrobić to lub owo". Przypominając, że "wyciągnął rękę do porozumienia się z narodem angielskim" i że chciał podzielić władzę nad światem pomiędzy Niemcy i Anglię, bo "to był jego program zagraniczno-polityczny" - teraz groził. Zapowiedział, że "po raz najostatniejszy wybiera walkę, aż wreszcie zapadnie zupełnie jasne rozstrzygnięcie" - i prorokował, że "takie rozstrzygnięcie może być tylko jedno, a mianowicie, to, że usunięty zostanie ten ustrój nędznych i nikczemnych podżegaczy wojennych, a natomiast stworzony będzie taki stan, który uniemożliwi jednemu narodowi tyranizowanie w przyszłości całej Europy".

Tymczasem zaś, faktycznie terroryzowało świat, ujarzmiało narody i tyranizowało całą Europę jedno państwo niemieckich "Raubritterów", a jego wódz, miotając się w wściekłości, że ludy bronią swej wolności - pomawiał o "podżeganie" do wojny: Żydów, Anglików, Polskę i Roosevelta - wszystkich, którzy po wielkiej wojnie propagowali rozbrojenie i nie zbroili się sami.

Przeciwko nim więc - "przeciwko wyłącznie podżegaczom wojennym i nieodpowiedzialnym elementom, rekrutującym się z przeciwnego bieguna, które zdążają wbrew istotnym interesom wszystkich narodów do dalszego przedłużenia lub rozszerzenia obecnej wojny" - zawarł "pakt trzech". Stosownie do jego postanowień "rządy Niemiec, Włoch i Japonii uznały jako postawę stałego pokoju, że każdy naród świata otrzymuje należną mu przestrzeń" - taką jednak tylko, jaką wymierzą mu "trzej" silni. Razem "ramię przy ramieniu" postanowili oni współpracować we wszystkich zamierzeniach na wielko-azjatyckim obszarze oraz na obszarach europejskich, uważając, że "ich celem najszczytniejszym jest stworzenie i utrzymanie nowego porządku rzeczy, który by wspierał rozkwit i dobrobyt tamtejszych ludów".

Wbrew tym zapowiedzianym tendencjom pokojowym Niemcy przygotowywały jednak zajęcie Rumunii, zajęły Bułgarię i rozciągnęły swą "współpracę" na Jugosławię, a Włochy zgromadziły kolosalną armię w Cyrenajce, by stamtąd napaść na Egipt i sforsować Suez, a potem napadły na Grecję. W ten sposób razem miano opanować całe Bałkany i zbliżyć się ku Bliskiemu Wschodowi.

Pakt Trzech, zawarty bez porozumienia z Sowietami, i zajęcie Bałkanów, naruszyło jednak już bezpośrednio interesy sowieckie, zwłaszcza, że Sowiety widziały, jak ustawicznie płynęły niezliczone armie niemieckie ku granicy wschodniej. Po obu stronach rozpoczynały się więc przygotowania wojenne wśród wzajemnych zapewnień o pokojowych nastrojach i o niewzruszonej przyjaźni.

Jakoś z początkiem grudnia przyszedł do mnie tow. Cyrankiewicz, co do którego nie miałem już żadnych wątpliwości, że siedzi na dwóch stołkach -

i zaproponował, byśmy jako organizacja wysłali delegatów na drugą konferencję WRN, którą jego kierownictwo zwołało właśnie w grudniu 1940. Ponieważ zgodnie z oficjalną uchwałą, traktowaliśmy WRN jedynie jako jedną z frakcyj PPS, byłem bezwzględnie przeciwny, by na jej konferencję wysyłać osobną delegację i nawiązywać z nią w ten sposób jakieś bliższe stosunki. Na ten temat wybuchł spór i tow. Cyrankiewicz zażądał rozstrzygnięcia tej kwestii przez OKR. Nie pomogły moje przestrogi, że poruszenie jej może naruszyć jednolitość organizacji miejscowej; nie pomogły prośby i odwoływania się, że żądany krok byłby sprzeczny z dotychczasowymi uchwałami; - tow. Cyrankiewicz, mając większość jednego głosu, już bez osłonek postawił wniosek anulowania wszystkich odnośnych uchwał i wzięcie udziału w konferencji WRN-u.

Konferencja ta potwierdziła w całości wszystkie uchwały majowe - i ci sami delegaci krakowscy, na czele z Cyrankiewiczem, którzy tak krytycznie odnosili się do nich przed półrokiem, teraz głosowali za nimi bez żadnych zastrzeżeń. W osobnej zaś rezolucji o stosunkach zagranicznych, konferencja jednomyślnie wyraziła przekonanie, że "rachuby na przyłączenie się Rosji do bloku państw demokratycznych są iluzją, podtrzymywaną krętacką polityką komunistyczną" - i że "oficjalna polityka Rosji - bez względu na to, kto nią rządzi - od dawna dążyła stale w oparciu o Niemcy do rozprawienia się z Anglią, jako swym najgłośniejszym wrogiem". Wreszcie konferencja ustaliła swój stosunek do rządu, domagając się - mimo jego deklaracji lutowej - by "rząd /.../ zdecydował się na jasne i wyraźne oświadczenie w sprawie swego stosunku co do ustroju przyszłej Polski" i by "ograniczył się do reprezentacji zagranicznej Polski, propagandy, informacji oraz organizacji wojska za granicą", wytykając mu, że "dotychczasowe metody wiązania poczynań emigracji z krajem niestety nie dały rezultatów pozytywnych, lecz przeciwnie - wprowadzają zamęt i utrudniają planową działalność organizacji krajowych".

Po powzięciu tej uchwały przez WRN - nie chcąc stwarzać jakichś rozłamów w Krakowie, a nie mogąc się pogodzić z nowym kierownictwem i nowym kursem socjalizmu - musiałem się usunąć zarówno z OKR, w czym solidaryzowali się ze mną tow. Czerwieniec i tow. Przybyś, jak również z "Porozumienia", w którym nie miałem już kogo reprezentować.

Jedynym kierownikiem organizacji krakowskiej stał się teraz tow. Cyrankiewicz, który w piśmie swym "Wolność" zwalczał wtedy zaciętcie zarówno Niemców, jak i Sowiety, - nazywając Stalina "zerem jako mówca i pisarz", "mistrzem w zakulisowych intrygach", a sztab bolszewicki "bandą tchórzów i pochlebców". Politykę swą prowadził bez zastrzeżeń w kierunku zasad WRN, które później też zdradził, przystępując do nowej PPS i wychwalając tam tego samego Stalina, którego niedawno odsądzał od czci i wiary.

Ja - usunięty w ten sposób od prac nad odbudowaniem demokracji - zająłem się teraz z konieczności bardziej energicznie swą pracą publicystyczną. Skończyłem pracę pt. "Bogactwo, Wolność i Moralność", rozwijając w niej tematy,które od dłuższego czasu nie dawały mi spokoju - i na nowo zacząłem pisać "Refleksje", których niestety w danej chwili nie byłem w stanie ogłaszać drukiem. Prosiłem więc tylko Bolkę, by przepisała mój skrypt na maszynie i posłała mi przy sposobności czystopis.

Potoczyło się teraz dla mnie ciężkie życie - i jedynym pocieszeniem było to, że poprawiła się chwilowo znacznie sytuacja polityczna i strategiczna. Anglia odparła atak na granice Egiptu i wyparła Włochów aż po Trypolitanię, zajęła włoską Erytreę i Somali, i uwalniała stopniowo całą Abisynię. Malońka Grecja stawiała bohaterski opór i wtargnęła do Albanii, a Jugosławia, po wewnętrznym przewrocie, odrzuciła projekty "współpracy" z Niemcami.

Niestety, te wszystkie osiągnięcia i sukcesy bardzo wnet zostały unicestwione przez niezdecydowanie państw bałkańskich, a zwłaszcza Jugosławii, Bułgarii i Turcji. Bułgaria stanęła po stronie Niemiec; Jugosławia zdecydowała się dopiero wtedy, gdy wojska niemieckie usadowiły się już na Bałkanach w takich ilościach, że wszelki opór okazał się bezcelowy, a Turcja ciągle jeszcze nie wiedziała, po czyjej stronie ma stanąć. W tych warunkach Niemcy i Włosi zajęli cały Półwysep Bałkański i wyparli Anglików z całej Cyrenajki, oprócz Tobruku, który ciągle jeszcze był w rękach angielskich.

Wraz z tym pogorszeniem się sytuacji na frontach nastąpiło dalsze pogorszenie się jej również i w podziemiach. "Porozumienie" w Krakowie nie odbywało posiedzeń w ogóle, a w Warszawie odbywało je po to tylko chyba, by napadać na swych partnerów i zwalczać ich programy, których zresztą żadna z partyj, skrępowanych przemocą niemiecką, nie mogła praktycznie realizować. Toczyły się więc homerowe boje o zasady i teorie, i o to, jak ma kiedyś wyglądać niepodległa Polska, jaki ma mieć ustrój i kto nią ma rządzić. WRN wydał program "Polski Ludowej", obwieszczając, że jest on wynikiem współpracy ze Stronnictwem Ludowym. Obiecywał on, że Polska, rządzona przez robotników i chłopów, przeprowadzi "natychmiast" przebudowę gospodarczą, społeczną i polityczną, że będzie "państwem zdolnym do podjęcia zadań obrony /.../ w tych rozmiarach i sile, by zdolno było nie tylko do trwałego niepodległego bytu, lecz również by dawało rękojmię pokoju w środkowej Europie" przez stworzenie pod swoją egidą "Bloku" narodów od Bałtyku aż po morze egejskie; że "wracając do granic z roku 1772 wysiedli do Rzeszy niemieckiej wszystkich "nielojalnych" Niemców i że "przez swój ustrój społeczny usunie antagonizm narodowościowy, a w szczególności w sprawie żydowskiej usunie nienaturalne i jednostronne skupienie Żydów w handlu i w niektórych zawodach wyzwolonych" - oraz "pasożytnicze grupy bankierów i lichwiarzy, rekrutujących się w większości spośród ludności żydowskiej". Rozumiejąc tak równouprawnienie, Polska Ludowa miała zapewnić je wszystkim obywatelom, bez względu na narodowość i religię, a poza tym miała przeprowadzić reformę rolną i uspołecznić "dojrzałe gałęzie produkcji".

Stronnictwo Ludowe odżegnywało się jednak bardzo ostro od tego programu, twierdząc, że wcale nie był on wyrazem współpracy z jego przedstawicielami - i samo wysunęło własne podstawy "odbudowy". Ludowcy chcieli przede wszystkim "podnieść wieś" i zapewnić jej dobrobyt przez wysokie ceny artykułów rolnych i taniość artykułów przemysłowych, zapowiadając w tym celu nieograniczony wywóz artykułów rolnych za granicę, zakaz wywozu artykułów przemysłowych potrzebnych rolnictwu oraz zakaz wszelkich strajków robotniczych.

Wreszcie endecy - nie bacząc na to, jaki praktyczny efekt dla świata dała próba realizacji nacjonalizmu niemieckiego i do czego może doprowadzić zasada "egoizmu narodowego" - chcieli, by wyzwolona Polska była przede wszystkim polska, narodowa i by utrwaliła te wyniki rozwiązywania kwestii żydowskiej, które zastosował hitleryzm - uważając, że "przynajmniej tę korzyść powinniśmy zyskać z okupacji niemieckiej". Całą duszą stali więc po stronie gwałtów, dokonywanych na ludności żydowskiej, i w imię interesu narodowego podjudzali antysemityzm, prowadząc równocześnie walkę z polskimi socjalistami.

Wszyscy więc w tej koalicji zwalczali się nawzajem i wszyscy wysuwali coraz to nowe wskazania taktyczne: jedni propagowali "powstanie", inni chcieli stosować terror, na który Niemcy odpowiadali bezlitosnymi represjami; jedni zerkali w stronę Sowietów, inni - w stronę Anglii i Ameryki, a inni wreszcie - twierdząc, że nie można zaufać ani Sowietom ani Anglii - obiecywali zrzucić okupację własnymi siłami. Jedni obwiniali sanację i Piłsudskiego - i klęskę przypisywali jego polityce, a inni go apoteozowali i "u jego trumny chcieli czerpać otuchę do dalszej swej walki". Na tym tle rozgorzała nawet pomiędzy Delegaturą a ZWZ zacięta walka, w której po stronie ZWZ stanął WRN, broniąc pamięci Piłsudskiego. Wszyscy jednak "bronili" zawsze interesów Polski, państwa, demokracji i niepodległości - i zapominając o przyjętej zasadzie nieagresji, wszyscy tworzyli własne kadry wojskowe - "bojówki", by przy ich pomocy zaskoczyć swych przeciwników i w momencie ustępowania okupantów ująć władzę w swoje własne ręce. Na takim samym stanowisku stał zresztą również i sanacyjny ZWZ, który teraz budował już w kraju konspiracyjnie kadry wojskowe, mające w zbrojnym powstaniu zrzucić okupację niemiecką.

Patrzyłem na to wszystko już tylko z boku, ale niemniej przeto z przerażeniem widziałem, jak ludzie, upajając się oszałamiającym ich frazesem "walki zbrojnej o niepodległość", ginęli bezcelowo - i jak z narażeniem życia i wolności budowali w konspiracji wojsko polskie, które miało im przywrócić niepodległość po pokonaniu i Niemców i Moskali. Te akcje uważałem jednak zawsze za bawienie się w "żołnierzy", za zabawkę niesłychanie drogą i niebezpieczną.

Zdawałem sobie sprawę, że ta konspiracyjna armia będzie za słaba, by pokonać okupantów, że w miarę rozrostu będzie tylko ustawicznie powodowała bezcelowe "wsypy" i ofiary - i że w przyszłości może stworzyć poważne niebezpieczeństwo dla demokracji w postaci nowej "elity" i nowych "zasłużonych", którzy "ważyli się na czyn". Pomysłów "powstania" też nie traktowałem zbyt poważnie, bo wiedziałem, że w dzisiejszych warunkach - by zrzucić z siebie przemoc, opartą o regularną armię - potrzeba jeszcze większych armii, którymi konspiracja nie mogła rozporządzać. Moim zdaniem naszą polityką powinno było być stosowanie taktyki "biernego oporu", uniemożliwianie Niemcom ruchu przemysłowego, komunikacji i administracji, odmawianie pracy, a wreszcie przeprowadzenie - w razie potrzeby - dywersyj na tyłach czy sabotażu, które mogła organizować każda organizacja polityczna lub społeczna - i to tym lepiej i skuteczniej, im bliżej działałaby armii regularnych, które - atakując armie nieprzyjaciela - jedynie mogły wyzwolić kraj spod przemocy. Uważałem, że dopiero wtedy na wyzwolonych terenach rząd mógłby przeprowadzić celowy regularny pobór rekruta - i dla kontynuowania wojny powoływać nowe narodowe armie regularne.

Mimo to wszystkie polityczne partie uważały za główne swe zadanie budowanie takich właśnie konspiracyjnych armii, korzystając przy tym z pomocy ZWZ, który te partyjne wojska - "bataliony chłopskie", "gwardie robotnicze" i "narodowe siły zbrojne" - miał scalać pod wspólną komendą. Nic też dziwnego, że w tych warunkach nie "Porozumienie" stronnictw, lecz ZWZ stał się ośrodkiem całego życia podziemnego - tym bardziej, że sam wydawał polityczne pisma i finansował wydawnictwo poszczególnych organów prasowych, które - zwalczając się nawzajem - ustawicznie wpadały, powodując coraz to nowe represje i areszty. Trzeba przyznać jednak, że ze wszystkich tych pism ZWZ owe uzależnione od rządu, pisały jeszcze w najprzyzwoitszym tonie, lecz niestety przy każdej sposobności podjudzały polemikę, rozumiejąc, że kompromituje ona demokrację i partię.

W dziale kolportażu prasy ZWZ pracowała Dolka - i Gestapo, ustaliwszy przy jakiejś wsypie jej pseudonim i adres, wpadło niespodziewanie do jej domu - na szczęście, gdy była na mieście. Przeprowadzili jednak w czasie jej nieobecności bardzo dokładną rewizję i przy sposobności znaleźli moje skrypty, które właśnie przepisywała na maszynie. Musiała więc zbiec, lecz koniecznie chciała przedtem ostrzec mnie przed grożącym mi niebezpieczeństwem. Ścigana sama, zaryzykowała podróż do Krakowa, do której potrzeba było wówczas zezwolenia władzy - i po wspólnej rozmowie zadecydowaliśmy, że powinniśmy się ukryć oboje. Ona po krótkiej tułaczce, pod zmienionym nazwiskiem Franciszki Kwiatkowskiej, wyjechała do Łańcuta, a ja znalazłem schronienie u pp. Wodzickich w Kościelnikach. Pozostałem w ich miłej gościnie przez półtora roku - i jedynym łącznikiem pomiędzy mną a światem stała się teraz moja żona i tow. Stefan Rzeźnik. W ruchu przedwojennym nie odgrywał on dotąd większej roli, lecz po aresztowaniu tow. Cyrankiewicza wysunął się na czoło i stał się faktycznym kierownikiem organizacji krakowskiej.

W Kościelnikach - w zaciszu - rozkoszowałem się życiem wiejskim i spokojem - i z braku zajęcia zacząłem studiować zbiorowe pisma Józefa Piłsudskiego oraz pisać o nich swoje uwagi, które potem ująłem w osobną książkę pt. "Piłsudski i Piłsudczyzna".

I naraz, dnia 22 czerwca gruchnęła wieść, że wybuchła wojna pomiędzy Niemcami i Rosją. Naiwna teza WRN-u, że Sowiety za głównego swego wroga uważają Anglię i ich celem jest szczera współpraca z Niemcami, rozwiała się jak puch. Hitler, "przyciśnięty troskami i skazany na wielomiesięczne milczenie, doczekał się wreszcie godziny, kiedy mógł mówić otwarcie". Wbrew zawartemu 23 sierpnia 1939 paktowi nieagresji i wbrew zawartemu 28 września paktowi przyjaźni, która przejawiła się we wspólnym zrabowaniu Polski, uderzył na Sowiety. Gromił teraz "żydowsko-bolszewickich potentów z Moskwy, którzy bez skrupułów podjęli próbę narzucenia innym narodom europejskim swojego panowania", nie wspominając, że on też "bez skrupułów" podjął próby narzucenia innym narodom wbrew ich woli panowania porządku narodowo-socjalistycznego. Potępiał "imperializm rosyjski, który zauważył jeszcze w kampanii w Polsce, jak wysunął nagle swoje pretensje do Litwy", ale wcale nie mówił o imperializmie niemieckim, który wysunął pretensje do Polski. Obłudną swą "proklamację", wystosowaną do wszystkich narodów, zakończył

stekiem wyzwisk pod adresem swych wczorajszych przyjaciół, nazywając ich "bandytami" i "zdrajcami". Równocześnie zaś minister Ribbentrop, który osobiście jeździł do tych "bandytów" do Moskwy, wyjaśnił teraz, że - usuwając ważne skrupuły, wynikające z zasadniczych rozbieżności celów politycznych Niemiec i Rosji - zawarł z nią pakt przyjaźni - pewny, że "uwarunkowane chęcią uniknięcia wojny i tym samym możliwe do uzyskania zabezpieczenie realnych potrzeb życiowych obydwu, od dawna przyjaźnie stojących wobec siebie narodów, stanowić będzie najlepszą obronę przeciwko dalszemu szerzeniu się doktryn komunistycznych międzynarodowego żydostwa w Europie". Nie zawahał się jednak zdradzić swych partnerów, gdy tylko okazali mu się już niepotrzebni i - uznając, że tylko wojna z nimi może uratować jego ojczyznę, "ochronić cały świat kulturalny przed śmiortelnym niebezpieczeństwem bolszowizmu i utorować drogę do prawdziwego socjalistycznego rozwoju w Europie" - starał się stworzyć powszechną koalicję przeciwko swym niedawnym przyjaciołom.

Z pagórków w Kościelnikach dochodziły mnie głuche odgłosy strzałów armatnich, które jednak po trzech dniach zupełnie ucichły, gdyż "niezwyciężona" armia czerwona zaczęła się cofać.

Sowiety doznały więc takiej samej zdrady ze strony swych niemieckich przyjaciół, jakiej doznała Polska - i tak samo jak ona, zapłaciły za swój błąd krwią własnych obywateli. Niemcy - niepomni, ile wdzięczności powinni mieć za pomoc w roku 1939 - szli teraz na-przód w niewstrzymanym pochodzie, niszcząc wsie i miasta - i zajęli resztę obszaru Rzeczypospolitej. Do ludności "wyzwolonych" obszarów wydał odezwę dr Frank, który zdobył już sobie miano "kata narodu", zapewniając, że "minęły straszne lata cierpienia i pognębienia przez bezmyślny i samowolny reżim warszawskiej kliki rządzącej oraz minął dla was czas okrutnego despotyzmu Sowietów /.../. Tysiące waszych braci i sióstr stało się niewinną ofiarą żydowsko-bolszewickich okrutników. Żołnierze Führera uwolnili was wśród największych ofiar od systemu mordu, terroru i hańby kultury. Pobożna Rzesza niemiecka wzięła was pod swoją ochronę /.../ Führer darzy was swym zaufaniem /.../ wszelkie wyrządzone wam niesprawiedliwości zostaną w granicach możliwości naprawione".

Rzeczywiście Polacy, którzy przez cały czas okupacji bolszewickiej znosili najpotworniejsze męczarnie, teraz w imię zasady: "wróg mojego wroga jest moim przyjacielem" zaczęli szukać możliwości współpracy z Niemcami. Przekonali się jednak bardzo wnet, że dostali się tylko z deszczu pod rynnę. Można bowiem było znieść i zapomnieć z czasem największe gwałty fizyczne, jakich dopuszczały się w swej dzikości Sowiety, ale nigdy nie można zapomnieć moralnych poniżeń, jakie w swym wyrafinowaniu stosowali Niemcy, depcząc po godności całego narodu. Sowiety niszczyły poszczególnych ludzi; Niemcy chcieli zniszczyć cały polski naród.

Rozczarowali się co do nich również Ukraińcy, dla których zwycięzcy nie stworzyli z "wyzwolonych" ziem ruskich jakiegoś zaczątka wolnej Ukrainy, lecz wcielili je, jako odrębny, piąty dystrykt "Galicja" do Generalnego Gubernatorstwa.

Wszystkie te wypadki pociągnęły za sobą zmianę stanowiska Sowietów wobec Demokracji, u której musieli teraz szukać ratunku - i spowodowały zmianę również w stosunkach polsko-rosyjskich. Rząd polski nawiązał pertraktacje z Sowietami i - zapominając o przeszłości - zawarł z nimi sojusz i pakt wieczystej przyjaźni. Na skutek tego uwolniono deportowanych i aresztowanych - i między innymi zwolnieni zostali: b. poseł krakowski tow. Mastek i Jan Kwapiński /z żoną i córką/, który jechał teraz do Londynu by objąć tekę ministra. Również moja bratowa wydobyła się z Obłasti semipałatyńskiej, jednak jadąc do Turcji czy do Egiptu - umarła w czasie drogi.

Powoli znajdowali się we wspólnym obozie: Anglicy, Rosjanie, Polacy i Amerykanie, a więc pod naporem faktów urzeczywistniała się koncepcja angielska Chamberlaina: sojusz Anglii, Francji, Polski i Sowietów - i teza Międzynarodowki, która wprowadzona w życie na czas uratowałaby od nieszczęść i Polskę, i Sowiety, i demokrację, i całą Europę.

Przeciwko tej współpracy z Sowietami wystąpiła niestety wówczas Polska

ozonowa, powołując się na testament Piłsudskiego, a mimo wynikłych stąd przykrych konsekwencyj znaleźli się znowu niepoprawni, którzy popełniwszy raz błąd - nie mieli odwagi przyznać się do niego, lecz z uporem maniaków starali się wmówić w opinię publiczną, że w błędzie tym trzeba konsekwentnie wytrwać, choćby to było nawet ze szkodą całego narodu. Do nich należał cały obóz sanacji, polski nacjonalizm i socjalistyczny WRN, które razem w dalszym ciągu propagowały walkę przeciwko Sowietom. Nie bacząc, że do Sowietów zbliżyła się i Anglia, i rząd polski, sfery te kontynuowały swój atak, uważając, że wszelka współpraca z Sowietami jest zdradą interesów narodowych. Z tego powodu na emigracji ustąpił z rządu Minister Spraw Zagranicznych Zaleski; złożył naczelną komendę "sił zbrojnych w kraju" gen. Sosnkowski, a potem usunęli się z rządu ministrowie endeccy.

Naturalnie wszystko to musiało się odbić odpowiednim echem również i w kraju i w politycznym "Porozumieniu" stronnictw. ZWZ - chociaż całą duszą stał po stronie gen. Sosnkowskiego - nie mógł jawnie demonstrować, bo był zależny od rządu, ale zrobił to WRN, zawiadamiając delegata oficjalnie, że na skutek obecnej polityki zagranicznej rządu i nieprzestrzegania zasad konspiracji, występuje z "Porozumienia".

Na chwilę zdawało się, że cała koncepcja koalicji runie. W Londynie ratował ją gen. Sikorski i dr Lieberman, który wkrótce potem umarł i dla którego była to ostatnia akcja jego zasłużonego życia - a w kraju Ludowcy i Delegat. Po wystąpieniu tow. Pużaka z "Porozumienia" miejsce reprezentanta socjalistów zajął w nim teraz tow. Adam Próchnik, jako przedstawiciel "Polskich Socjalistów" /PS/.

Zorganizowali się oni właśnie w odrębne partie wbrew mojej radzie, by nie tworzyć żadnych nowych organizacyj, lecz stać ustawicznie na stanowisku dawnej PPS i kwestionować jedynie prawomocność kierownictwa WRN. Prócz Próchnika, znajdował się wówczas wśród nich Edward Osóbka, późniejszy premier "Tymczasowego Rządu", b. współpracownik "Dziennika Ludowego" Chudoba, którego rozstrzelali Niemcy, Wachowicz z Łodzi i trzej bardzo mili młodzi towarzysze: Leszek Raabe i bracia Posińscy z Tarnowa, którzy wszyscy trzej później zginęli.

Przez przystąpienie więc PS do "Porozumienia" zostało ono uratowane - tym bardziej, że powróciła do niego również część endeków.

Tymczasem na froncie Niemcy szli naprzód i przed zimą stanęli pod Leningradem, pod Moskwą i zajęli linię Charków-Krym. Zwycięstwa te jednak wcale nie zbliżyły ich do upragnionego pokoju i nie kładły kresu wojnie. Dopóki walczyła Anglia, wspierana przez Stany Zjednoczone i dopóki stawiły opór Sowiety, które swe materialne straty mogły wyrównywać dowozem z Zachodu - wojna mogła się ciągnąć jeszcze bardzo długo. By zwyciężyć i zakończyć ją, Niemcy musieli więc przede wszystkim uniemożliwić pomoc Stanów Zjednoczonych.

W tym celu Hitler, oparty o "Pakt Trzech", doprowadził do tego, że Japonia - po krótkich pertraktacjach - w grudniu 1941 napadła na Stany Zjednoczone. Wierzył on bowiem, że w ten sposób Ameryka nie będzie się już mogła mieszać do stosunków europejskich. Po stronie Japonii stanęły naturalnie Niemcy i Włochy - no i z kolei Rumunia, Bułgaria, Finlandia, Węgry i Słowaczyzna, a po stronie Stanów Zjednoczonych prawie cała Ameryka Środkowa i Południowa. Cały świat ogarnięty więc został pożogą wojenną, którą rozpętał totalizm, apoteozując siłę i lekceważąc demokrację.

Na parę tygodni przedtem - w ostatnich dniach października - widząc, że Gestapo wcale nie wpadło na mój trop i znalezionych skryptów nie związało z moją osobą, wróciłem do Krakowa. Zaraz po mym powrocie zwrócił się do mnie krakowski delegat rządu z propozycją, bym przystąpił do "Porozumienia" jako reprezentant socjalistów krakowskich. Nie mając pod tym względem żadnych formalnych uprawnień, musiałem porozumieć się przedtem z towarzyszami, którzy - tak jak ja - stali na stanowisku, że nie należą oni do WRN, ani do PS, lecz w dalszym ciągu do PPS, bo nikt nie miał prawa usunąć ich z jej szeregów organizacyjnych - i za ich zgodą objąłem w "Porozumieniu" na nowo reprezentację socjalizmu.

Delegatem okręgu krakowskiego był mój dawny kolega uniwersytecki, p.Jan Jakóbiec, były kurator okręgu poznańskiego - człowiek bezsprzecznie postępowy i bardzo przyzwo-

ity, ale - niestety - nie mający pojęcia o polityce. Był to urzędnik, który uważał, że spełni swoją rolę, gdy będzie ślepo wykonywał powierzone mu formalnie zlecenia. Urzędując niemal już rok, nie zetknął się jeszcze wcale z przedstawicielem ZWZ, który tymczasem cichaczem też na własną rękę obsadzał stanowiska w przyszłej administracji państwowej. Ł. Jakóbiec spotkał się z nimi dopiero na wyraźne żądanie, zadowolił się jednak zupełnie, gdy mu powiedzieli, że w czasie wojny jedynym czynnikiem decydującym jest siła zbrojna, a nie władze cywilne i partie. Był też bardzo rad, gdy usłyszał od nich, że w myśl tej zasady "o dalszym rozwoju wypadków zadecydują w odpowiedniej chwili sztaby generalne Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Polski". To stanowisko ZWZ musiało naturalnie wywołać burzę na "Porozumieniu" i dopiero zaproszony jego komendant okręgowy, bardziej politycznie wyrobiony, oświadczył, że ZWZ nie ma żadnych tendencyj dyktatorskich, że czuje się tylko organem wykonawczym rządu gen. Sikorskiego i chce zgodnie współpracować z partiami. Dało mi to jednak zdolność skonstatowania jeszcze raz, że w ZWZ-cie były dwa tory: jeden oficjalny, demokratyczny, rozumny. u góry - i drugi u dołu - antydemokratyczny, obejmujący szerokie koła wojskowe i sanacyjne.

W tym właśnie czasie - z wiosną 1942 - musiałem również rozpocząć bardzo ostrą kampanię z delegatem co do jego sposobu pojmowania demokracji i co do sposobów tworzenia przez niego nowego aparatu administracyjnego. Delegat chciał obsadzać wszystkie stanowiska w całym okręgu "fachowcami" - i to w terminie, który wyznaczyła mu "góra" - podczas gdy ja uważałem, że ta kwestia nie jest wcale pilna i że kierownicze stanowiska w administracji winny być obsadzane w miarę okazującej się potrzeby - przede wszystkim przez ludzi, którzy w danej chwili wybili się w pracy społecznej i politycznej, bo tylko oni mogą dać gwarancję, że zapewnią spokój i poszanowanie decyzyj rządowych. Zdawałem sobie sprawę, że "fachowcy" to dawni urzędnicy, którzy w ogromnej swej większości są albo sanatorami albo endekami - i że pociągając ich do administracji państwowej, obsadzamy ją tymi samymi skompromitowanymi osobami, występującymi teraz tylko pod nową firmą. Na to nie mogłem się zgodzić. A gdy przeciwko temu protestowałem, delegat poradził sobie tak, że przez rok nie zwołał posiedzenia "Porozumienia", jakkolwiek domagałem się tego kilkakrotnie. Wszystko, a zwłaszcza personalną obsadę stanowisk, załatwiał on sam, w porozumieniu jedynie z przedstawicielem "Stronnictwa Ludowego". Życie potwierdziło jednak potem słuszność mego stanowiska. Mianowani przedwcześnie "urzędnicy" wędrowali masowo do Oświęcimia, wpadając na skutek braku potrzebnej konspiracji; wśród stronnictw rozpoczęły się spory i protesty co do obsady stanowisk - a w praktyce cały ten elaborat okazał się fikcją, bo urzędowali nie ci, których mianował delegat.

W takiej sytuacji, gdy na widowni wojny wystąpili już wszyscy możliwi aktorzy - i gdy rozumiałem, że wchodzi ona w końcowe stadium, nie chciałem, by okres ustępowania okupantów zastał nas w rozbiciu - tym bardziej, że widziałem, iż na skutek naszego rozłamu wzrastał nadmiernie wpływ Ludowców i coraz większe zbliżanie się ich do Stronnictwa Narodowego. Przy interwencji tow. Rzeźnika, który z całym zapałem wykorzystywał każdą sposobność, by tylko doprowadzić do usunięcia rozłamu, doszło pomiędzy mną a tow. Zarembą do rozmowy, która jednak nie dała żadnego efektu.

Przybyły niedługo potem kurier z Londynu przywiózł mi jednak kartkę z prośbą, bym podał różnice stanowisk pomiędzy poszczególnymi socjalistycznymi grupami i ich siłę. W odpowiedzi na to, kreśląc historię WRN, jego powstania, samowolne zwołanie konferencji i sposób ustanowienia nowego kierownictwa - pisałem, że "nie chcąc stwarzać większego zamętu, nie protestowałem, gdy Bazyli /Pużak/ zajął w "Porozumieniu" stanowisko reprezentanta partii, ale musiałem bardzo ostro przeciwstawić się, gdy w naszym wspólnym imieniu grupa ta obwieściła opozycję klasy robotniczej wobec rządu, w którym zasiadali nasi własni towarzysze i którego w kraju, mającym skrępowane usta, nie można było ani usunąć ani zmienić. Zupełnie, jak swojego czasu Piłsudski, tak teraz Bazyli wewnętrznymi intrygami rozbijał "Porozumienie", tworząc równocześnie własny aparat wykonawczy, który by - zaskakując społeczeństwo - sam zadecydował o linii jego

rozwoju. Doprowadził przy pomocy zwykłego oszustwa do rozbicia organizacji krakowskiej i - opierając się na pomocy ZWZ i jego funduszach - stwarzał pozory, że grupa jego jest jedyną reprezentacją klasy robotniczej - jakkolwiek cała ona - od góry do dołu - zoriemtowana była na współpracę z koalicyjnym rządem londyńskim. Wreszcie Bazyli wystąpił z "Porozumienia" i wówczas na jego miejsce wszedł inny przedstawiciel socjalizmu, który zgodził się na współpracę ze stronnictwami, które zawarły koalicję. Stałem konsekwentnie przez całe swoje życie na stanowisku, że każde stronnictwo ma prawo walczyć w obrębie demokracji o zwycięstwo swej idei, ale równocześnie stałem na stanowisku, że wszystkie one muszą się łączyć w koalicję, gdy demokracja została naruszona lub gdy jej coś grozi. Bazyli zaś przeciwnie: okres skrępowania demokracji chce wyzyskać w kierunku zaskoczenia i narzucenia społeczeństwu nowych form, bez względu na wolę większości i chce powtórzyć błąd z roku 1926, gdy część socjalistów stanęła po stronie dyktatury i przemocy. Która z koncepcyj znajduje w tej chwili większość w klasie robotniczej - trudno ustalić. Ja twierdzę, że moja; Bazyli - że jego. Kto z nas miał rację, ocenić może dopiero przyszłość".

Lecz jeszcze nie zdołałem przesłać tego raportu, gdy naraz przybył niespodziewanie Wiktor Strzelecki. Został spuszczony razem z sześciu innymi przez omyłkę jeszcze przed granicą Generalnego Gubernatorstwa i musiał ją przekroczyć w dzień. Przybyli - zdając sobie sprawę, że walka z uzbrojonymi w karabiny strażnikami, którzy ich już spostrzegli, byłaby bezcelowa - poszli wszyscy na strażnicę i tam, wydobywszy rewolwery, położyli trupem konwojujących ich pięciu żołnierzy niemieckich. Po sterroryzowaniu jakiegoś "Volksdeutscha" przekroczyli granicę i - bojąc się pościgu na drogach i w pociągu - doszli lasami aż do samej Warszawy. Tow. Strzelecki opowiedział tę całą przygodę, a następnie mówił o stosunkach londyńskich, o śmierci Mastka, o Liebermanie, o rządzie - i zgadzając się z moją oceną sytuacji, uważał za konieczne, by podjąć kroki w kierunku połączenia wszystkich grup socjalistycznych w kraju.

W tym celu przybyłem też w maju 1942 do Warszawy i po rozmowach z tow. Zarembą ustaliliśmy, tym razem wspólnie: 1/ potrzebę usunięcia wszelkich rozłamów i konieczność jednolitej organizacji; 2/ postanowiliśmy, że w tym celu ideologiczną jej stronę mają ustalić dwaj przedstawiciele: on i Próchnik; 3/ że nie dotykając przeszłości, mamy stworzyć jedno kierownictwo partii, które by się składało z pięciu ludzi; 4/ że kierownictwo to ma być wybrane przez "Radę Naczelną", złożoną z trzech przedstawicieli prezydium Rady dawnej, z 6 członków CKW, z 3 przedstawicieli Wydziału Wykonawczego Komisji Centralnej i z 3 przedstawicieli TUR-u, pośród których będzie również przedstawiciel "młodych"; 5/ że obie strony wedle zawartego "gentlemen's agreement" przedłożą Radzie zgodny projekt układu nowego "kierownictwa", do którego ja zaproponowałem tow. Pużaka, Próchnika, Zdanowskiego i tow. Kriegera, względnie tow. Rzeźnika - natomiast tow. Zaremba, godząc się na pierwszych czterech, proponował tow. Bienia, co do którego ja miałem zastrzeżenia; 6/ że wszyscy członkowie obu frakcyj, bez względu na ich stanowiska i ocenę ich z drugiej strony - staną się automatycznie członkami zjednoczonej PPS i żaden z nich nie będzie pociągany do odpowiedzialności za przeszłość, wykluczony lub prześladowany; 7/ że ze względu na przyszłość Rada dokona wyboru nowego ciała - pewnego rodzaju Sądu, który by bezapelacyjnie karał i miał prawo usuwać tych, którzy dopuszczą się przewinień wobec uchwał zjednoczonej organizacji; 8/ że wszelkie wydawnictwa będą poddane pod wspólne kierownictwo i od czasu zjednoczenia wstrzymane będą wszelkie odrębne publikacje; 9/ że warunkiem dalszych rozmów co do zjednoczenia jest nieużywanie od natychmiast nazwy "Robotnik" przez organ PS; 10/ że poszczególne komórki obu frakcyj, bez mieszania ich dotychczasowych członków, będą wcielone do wspólnej organizacji.

I cała historia połączenia zostałaby załatwiona, gdyby nie niespodziewana, nagła śmierć Próchnika. On reprezentował w "Porozumieniu" socjalistów i on, razem z tow. Zarembą, miał ustalić tekst wspólnej platformy ideologicznej. Po jego śmierci bałem się więc teraz z jednej strony, by PS na następcę zmarłego w "Porozumieniu" nie wyznaczył kogoś, którego osoba utrudniałaby dojście do zgody, a z drugiej - nie widziałem nikogo, kto by mógł zgodnie, razem z tow.

Zarembą, ustalić przewidzianą platformę. W tym celu więc zaproponowałem przedstawicielom PPS, by jako swego reprezentanta w "Porozumieniu" wysunęli tow. Pawła Markowskiego, na co oni się wreszcie zgodzili - i z konieczności sam objąłem rolę pośrednika, przedkładając obu stronom następujący własny projekt ideologicznej deklaracji:

1/ PPS potępia jak najostrzej politykę Piłsudskiego, BBWR i OZN-u, które siłę Rzeczypospolitej chciały oprzeć na militaryzmie i oświadcza, że siła Polski winna się opierać w przyszłości o demokrację, o socjalizm i o międzynarodową solidarność wszystkich państw i narodów;

2/ Stosownie do tego PPS wyraża przekonanie, że po katastrofie, spowodowanej przez współpracę rządów sanacyjnych z totalizmem, wyzwolenia Polski może dokonać tylko zwycięska demokracja świata;

3/ Frazesy, rzucane czy to przez nacjonalistyczne sfery Stronnictwa Narodowego i OZN, czy przez dawne sfery wojskowo-sanacyjne, lub przez inne jakieś antydemokratyczne ugrupowania, że zwalczą okupantów własną siłą, które tymczasem praktycznie zmniejszają przez podniecanie wzajemnych walk w samym społeczeństwie, PPS uważa za groźną próbę zaskarbienia sobie w ten sposób na przyszłość ze strony tych żywiołów nowych "zasług" i tytułów do nagród, które by im zapewniły władzę nad "wyzwolonym" przez nie społeczeństwem;

4/ Realną i skuteczną walkę o interes i wyzwolenie Polski PPS widzi przede wszystkim w skupieniu wszystkich sił demokratycznych w kraju i w zawieszeniu, aż do zwycięstwa demokracji, walki pomiędzy stronnictwami, które zresztą i tak podczas okupacji nie są w stanie realizować swych programów;

5/ Zgodnie z tym PPS przystępuje do "Porozumienia" stronnictw, widząc jedynie w nim w tej chwili możliwy surogat demokracji polskiej;

6/ Wytworzoną w ten sposób siłę skoalizowane stronnictwa oddają w ręce rządu emigracyjnego, powierzając mu zastępstwo interesów Polski w toczących się zmaganiach pomiędzy demokracją a totalizmem i oddziaływanie na nie w kierunku jak najdalej idącego urzeczywistnienia i uwzględnienia dążeń społeczeństwa polskiego, reprezentowanego przez "Porozumienie";

7/ Rząd koalicyjny, oderwany w tej chwili od społeczeństwa - by móc spełnić swe zadania - musi się liczyć z wolą i uchwałami "Porozumienia", a krajowy delegat rządu musi być równocześnie jego reprezentantem i pośredniczyć z jednej strony pomiędzy nim a rządem, z drugiej - pomiędzy samymi stronnictwami, usuwając ewentualne wśród nich nieporozumienia i tarcia;

8/ W tym momencie więc PPS dąży do odbudowania powagi "Porozumienia", do zmiany delegata - tak, by stał się on faktycznym jego wyrazem - i dąży do podporządkowaniu jemu i "Porozumieniu" ZWZ, który winien być jedynie ich organem wykonawczym, nie czynnikiem, który by mógł prowadzić własną, niezależną politykę;

9/ O dążeniach w kierunku przeprowadzenia swych ostatecznych celów PPS - wykorzystując doświadczenia z ostatnich wydarzeń politycznych, społecznych i ekonomicznych - zadecyduje na najbliższym kongresie, gdy Polska nie będzie skrępowana obcą okupacją;

10/ Już w tej chwili jednak stwierdza ona, że dąży do jak największego zrównania praw wszystkich obywateli, że chce im zapewnić możność korzystania z całego ich dorobku społecznego, bez względu na ich różnice narodowe, religijne, rodzaj prac, wykształcenie i stosunki własnościowe; że potępia wszelką dyktaturę i wszelki imperializm

oraz oświadcza gotowość porozumienia się co do granic i przyszłej współpracy z s siedniai republikami Litwinów, Białorusinów i Ukraińców".

Naturalnie projekt ten spotkał się z niechęcią obu stron, bo obie stały na jednakowym stanowisku "rozwiązania rewolucyjnego", obie na stanowisku "zbrojnego powstania" - i obie chciały urządzić Polskę stosownie do swej własnej siły fizycznej, którą budował PS. Wbrew przedwstępnemu warunkowi zaprzestania używania tego tytułu dla swego organu - "Robotnik" nie tylko tego nie zrobił, lecz jeszcze w nieprzyzwoity sposób, w trakcie prowadzonych pertraktacyj połączeniowych, napadł na WRN i przedłożył na moje ręce swój własny projekt "zasad politycznych". Wedle nich PS "realizację swych celów widziały /.../ poprzez zbrojne powstanie przeciwko okupantowi" i "rząd robotniczo-chłopski,który przeprowadzi natychmiast zasadnicze reformy społeczno-gospodarcze, niezbędne do złamania ustroju kapitalistycznego, a następnie zwoła Konstytuantę". WRN mój projekt odrzucił również, ale chciał kontynuowac rozmowy, uważając, że "nielojalność" PS nie powinna być przeszkodą w dokonaniu wielkiego dzieła zjednoczenia.

Rozpoczęliśmy więc obaj z tow. Zarembą - w osobistych rozmowach i przez wymianę korespondencji - ustalać tekst ideologicznej platformy, gdy naraz wyszła nowa afera w PS. Jego przewodniczący, tow. Wachowicz, zaaresztowany przez Gestapo, zobowiązał się - o ile puszczą go na wolnosc - spełnić rolę konfidenta i podać nazwiska: delegata rządu, przedstawiciela socjalistycznego w "Porozumieniu" i "skoczka", który przyjechał z Londynu, a teraz grasuje w Warszawie. Krok swój motywował on tym, że - wydobywszy się w ten sposób z więzienia - będzie mógł przestrzec pozostałych. Faktycznie też na zwołanym przez siebie posiedzeniu opowiedział o tym wszystkim otwarcie, czym oszczędził "wsypania się" reszcie, oprócz jedynego Strzeleckiego, który w parę dni później został zaa-resztowany.

Po tych przykrych historiach, które - bez względu na motywy i praktyczne wyniki - moim zdaniem dyskredytowały Wachowicza, który jako przedstawiciel organizacji i pewnego rodzaju jej znak widomy, nie powinien był stwarzać nawet pozoru jakiegokolwiek załamania się, chociażby tylko ze względu na przykład - doszliśmy jednak wreszcie do tego, że platforma ideologiczna, mająca być podstawą połączenia, była już gotowa. A ponieważ skład wspólnego kierownictwa też był uzgodniony - zdawało się, że sprawa połączenia szczęśliwie dochodziła do końca.

W tym momencie jednak kłodę, która stworzyła nową przeszkodę dla połączenia, rzucił dla odmiany WRN. Mimo bowiem przyjętych już zasad połączenia, powziął on następującą uchwałę:

1/ Postanawia się zwołać Radę Ruchu Zjednoczonych Mas Pracujących w składzie 13 osób o określonych mandatach, celem wyjaśnienia nieporozumień wewnętrznych ruchu, załatwienia sprawy kierownictwa oraz uchwalenia platformy obowiązującej na przyszłość wszystkich członków zjednoczonego ruchu mas pracujących;

2/ Do uczestnictwa w Radzie zostaną za-proszeni dwaj przedstawiciele PS, jeśli podadzą do publicznej wiadomosci, że odrębna ich organizacja została rozwiązana.

To było nie tylko coś nowego, lecz coś, co było sprzeczne z trescią dotychczasowych naszych wspólnych decyzyj. Napisałem więc do tow.Zaremby i przypomniałem mu, że naszym celem było ustalić platformę ideologiczną, co "doprowadziliśmy do tego, że on sam mógł skonsta-tować, iż sprawa ideologicznej platformy jest skończona" oraz "że uzgodziliśmy się, by reprezentację i najwyższą instancję wspólnej organizacji stanowili przedstawiciele naczelnych instancyj ruchu robotniczego przed wojną /.../ bez względu na ich obecne nastawienie polityczne i ich późniejszą przynależność /.../. Z doświadczenia wiem - pisałem do niego - iż pierwszym warunkiem osiągnięcia pomyślnego skutku i usunięcia konfliktu jest uznanie pertraktujących stron za równorzędne". To zaś, co proponował WRN byłoby nie połączeniem obu stron, lecz kapitulacją jednej.

Zaproponowałem więc jeszcze raz, 1/ byśmy powrócili do poprzedniej koncepcji, że cała Rada i wszyscy jej /15/ członkowie są jednakowymi przedstawicielami przedwojennych instancyj, a nie PS-u czy WRN-u - i wszyscy muszą być traktowani jednakowo, bez względu na to, czy należą do tej czy innej grupy, 2/ by zaproponowaną przez nas obu platformę i sposób powołania nowego kierownictwa i reprezentacji przyjęły obie strony na wspólnej konferencji, albo by zrobiła to każda z nich osobno, oświadczając swą zgodę, wreszcie: 3/ by każda z nich po tym oświadczeniu ogłosiła likwidację swych dotychczasowych form istnienia - albo by nie robiła tego żadna, uważając, że już sam fakt przyjęcia wspólnej platformy i uznanie nowego kierownictwa jest wyrazem połączenia i nowych form organizacyjnych". Równocześnie tłumaczyłem, że "tu nie chodzi o usunięcie nieporozumień ze mną - nie o mnie, nie o WRN i nie o PS, lecz o nas wszystkich, którzy jesteśmy socjalistami i o sam socjalizm, którego nie ma tam, gdzie nie ma demokracji". Zażądałem też, aby połączone organizacje wróciły do dawnej nazwy PPS.

Wszystkie te pertraktacje i wymiany listów ciągnęły się jak wąż morski przez cały rok 1942 bez żadnego rezultatu.

Tymczasem po ciężkiej zimie z roku 1941 na 1942, którą armia niemiecka wśród największych ofiar przepędziła w polu, Hitler ustawicznie przemawiał - uważał, że "widocznie stwórca musiał przekazać im historyczną rewizję, o rozmiarach nie mających przykładu w dziejach"; - kłamał, że on "tej wojny nie szukał, ale wprost przeciwnie - robił wszystko, by jej uniknąć" - przechwalał się swymi sukcesami; - wymyślał na Roosevelta, Churchilla i Żydów - i pocieszał Niemców, że armia rosyjska została już zupełnie rozbita, a Amerykanie wobec akcji niemieckich łodzi podwodnych nie przedostaną się nigdy do Europy. Mówił, że "Niemcy walczą dziś nie tylko za siebie, ale także za całą Europę" - i podając się za jej "oswobodziciela", zaprowadzał w niej stosunki, które wprost urągają pojęciu "europejskiej kultury".

W "Generalnym Gubernatorstwie" po wsiach nie było już prawie koni i krów, chłopi pół-nadzy, którym często wystarczały na cały dom jedne tylko "drewniaki", żyli bez światła, bez nafty, bez soli, obywając się bez najbardziej prymitywnych artykułów, jak garnek, nici czy gwoździe. W miastach zaś nie można było kupić mąki, tłuszczów, mięsa i cukrów pod grozą najostrzejszych kar, a na kartki oficjalnie otrzymywało się zaledwie 11dkg chleba dziennie, 20 dkg mąki miesięcznie i tyleż samo mięsa. Ludność polska - głodna i brudna, nie otrzymując mydła, wtłoczona była w ciasne mieszkania, bo wszystkie lepsze zajęli Niemcy, chcąc przywrócić "pierwotny niemiecki charakter miast polskich". Oznaczywszy pewne dzielnice jako niemieckie, wyganiali ludność polską z jej domów i mieszkań, chwytali ją w obławach do robót przymusowych, aresztowali na lewo i prawo coraz to szersze masy - rzekomo, by "zapobiec powstaniu polskiemu" - i pchali je do Oświęcimia, do Majdanka czy innych obozów, co było niemal jednoznaczne z wyrokiem śmierci. Wreszcie - by raz definitywnie rozwiązać kwestię żydowską, po przeprowadzeniu już wszędzie osobnych "gett" - zastosowali wobec ludności żydowskiej zwyczajne, bestialskie mordy, których pastwą padło setki tysięcy, a potem nawet miliony, bez różnicy płci i wieku.

Losy nie oszczędziły również i mnie uczestniczenia w tych przejawach europejskiej kultury. W czerwcu 1942 otrzymałem nakaz opuszczenia własnego mieszkania i gdy mimo najusilniejszych starań nie mogłem otrzymać nowego, po czterdziestu latach mieszkania w Krakowie musiałem to miasto opuścić. Postanowiliśmy z żoną przenieść się teraz do Myślenic, gdzie dostaliśmy mieszkanie w domu redaktora "Codziennego Kuriera Ilustrowanego", p. Stankiewicza, człowieka nie cieszącego się najlepszą opinią w Krakowie. Toczyłem też z nim ustawiczne spory - i chociaż starałem się z nim potem jakoś żyć - tym bardziej, że po powrocie do Krakowa po wojnie zamieszkaliśmy w drugiej jego pięknej willi na Osiedlu - nie mogłem się do niego przekonać.

W trakcie tych przygotowań do przeprowadzki mój syn Rafał został naraz aresztowany i wywieziony z innymi oficerami do Oświęcimia, jako odwet i kara dla "całego narodu" za uprawiany "sabotaż" czy też projektowane "powstanie".

Odczułem wtedy praktycznie całą ohydę i potworność niemieckich metod

męczenia. Rafał, który normalnie pracował, naraz jednego dnia nie wrócił do domu. Zdenerwowani dostaliśmy wreszcie wiadomość, że został wywieziony do Oświęcimia - i od tego czasu, dzień za dniem, drżeliśmy o jego los i życie, nie wiedząc, na jak długo został zasądzony, za co - i czy wytrzyma głód, zimno i poniewierkę.

Na dobitek złego złamałem sobie jeszcze podczas przeprowadzki rękę i wtedy to, po kilkunastu latach, po raz pierwszy przekroczyłem próg gmachu Kasy Chorych, który zbudowałem - kasy, której tyle lat byłem prezesem, a z której wypędził mnie minister Prystor i przemoc sanacji.

W Myślenicach mimo ustawicznych obaw o Rafała, fizycznie odetchnąłem, bo z jednej strony nie musiałem codziennie patrzeć na Niemców, a z drugiej - wzmocniło mnie świeże, zdrowe, podgórskie powietrze. Odcięci od świata, żyliśmy teraz z żoną niemal samotnie, chodząc po lasach i pagórkach i odbywając długie nieraz spacery. Czasem przyjeżdżali towarzysze w sprawach partyjnych; kilka razy spotkałem się z Bolką, którą zawsze witałem z największą radością, a raz w miesiącu przyjeżdżał do nas tow. Stefan Rzeźnik, który przywoził mi pieniądze i ostatnie wiadomości ze świata.

A teraz były one coraz bardziej pomyślne. Hitler, który doszedłszy nad Wołgę i na Kaukaz - zapowiedział zdobycie Stalingradu, by w ten sposób przeciąć tę główną wodną arterię Sowietów i opanować zagłębie naftowe, poniósł na przełomie nowego roku ciężką klęskę pod Stalingradem. Zamiast zdobycia Baku, zdobył tylko Elbrus, a "nie istniejąca" już armia sowiecka naraz rozpoczęła ofensywę na całym niemal froncie. Amerykanie, którzy mieli nie przepłynąć Atlantyku z powodu akcji niemieckich łodzi podwodnych, znaleźli się na zachodnim wybrzeżu Afryki i stamtąd zaatakowali całe północne wybrzeże włoskie i francuskie, a wreszcie Anglia rozpoczęła coraz silniejsze ataki powietrzne na miasta niemieckie.

Również bardzo poważnie posunęła się naprzód kwestia stworzenia jednej organizacji socjalistycznej w kraju. Na skutek bowiem zupełnego rozbicia się PS-u straciły wszelkie praktyczne znaczenie zastrzeżenia WRN-u wysunięte przed paru miesiącami i można było teraz, bez uchwalenia dodatkowego warunku składania deklaracji, dokonać połączenia przez samo przyjęcie ustalonej już poprzednio platformy ideologicznej i umówionych podstaw wspólnego kierownictwa. Trudności były jeszcze tylko ze zmianą socjalistycznego przedstawiciela w "Porozumieniu", do którego WRN chciał teraz koniecznie powrócić. Zostały one jednak też rozwiązane - zwłaszcza, gdy zrezygnował, a potem umarł dotychczasowy delegat min. Ratajski, z którym swojego czasu WRN nie chciał współpracować - i gdy ustąpił z "Porozumienia" dotychczasowy przedstawiciel socjalistyczny tow. Marłowski.

Toteż w pierwszych dniach czerwca 1943 zwołana została do Wawra konferencja w składzie, ustalonym wspólnie jeszcze przed rokiem, która - podzielona na dwa komplety - stwierdziła, że "zebrani jako przedstawiciele najwyższych instancyj przedwojennego ruchu robotniczego ujmują jego kierownictwo w swoje własne ręce", wzywając równocześnie do współpracy wszystkich, którzy godzą się na przedłożoną platformę polityczną. Następnie już jako nowa Rada Naczelna partii dokonała wyboru nie 5, lecz 8 osób Komitetu Wykonawczego, a mianowicie: trzech członków dawnego prezydium CKW, jednego przedstawiciela Komisji Centralnej Związków Zawodowych, po jednym przedstawicielu trzech poszczególnych okręgów i przedstawiciela "Akcji podziemnej". Te same uchwały bez zmiany powzięte zostały na drugim komplecie, na który nie przybył jednak tow. Pużak.

Zasadniczo więc została przebudowana podstawa wspólnej partii bardzo demokratycznie - podobnie do tej koncepcji, którą wysunąłem jeszcze w roku 1940 - ale w praktyce w centrali zostało wszystko po dawnemu. "Rada Naczelna", której nie zwołano już nigdy, została tylko fikcją, a o wszystkim decydowało dawne kierownictwo WRN-u, tylko pod nową już nazwą. W dalszym ciągu więc prowadziło ono walkę przeciwko "komunistom" i Sowietom; w dalszym ciągu roiło o "powstaniu" i w dalszym ciągu budowało "gwardię" i "milicję", jako podstawę socjalizmu. Natomiast na prowincji zmiany te miały również swój praktyczny efekt. W Krakowie do OKR wróciłem ja i tow. Przybyś - i na nowo zacząłem działać jako przed-

stawiciel PPS w ożywionym na nowo "Porozumieniu".

Przeciwko powziętym uchwałom zjednoczenia zaprotestował jednak na najbliższym posiedzeniu tow. Pużak, żądając anulowania ich, jako sprzecznych z uchwałą październikową WRN-u, lecz został już pod tym względem zupełnie odosobniony. Rozbicie zostało formalnie usunięte, a fakt połączenia przyczynił się w znacznej mierze do wzmocnienia samego "Porozumienia", jakkolwiek wśród "zjednoczonych" socjalistów pozostały nadal różnice zapatrywań co do stosunku do ZWZ, co do możliwości wywołania powstania, Polski etnograficznej czy historycznej i stosunku do Rosji, a zatem te same niemal, jakie istniały swego czasu jeszcze pomiędzy "Ludem Polskim" Limanowskiego a "Równością" Waryńskiego, a potem pomiędzy Frakcją Rewolucyjną Piłsudskiego a polską socjalną demokracją.

Zwłaszcza ta ostatnia kwestia dla stosunków polskich zarówno w kraju, jak i na emigracji, stanowiła najważniejsze zagadnienie polityczne. Od czasu bowiem, kiedy poszczególne organizacje polskie podniosły protest przeciwko paktowi polsko-sowieckiej przyjaźni, który zawarł gen. Sikorski, stosunki wzajemne pogarszały się niemal z każdym miesiącem. Psuła je podziemna prasa poszczególnych stronnictw "walczących z komunizmem" - popsuło je wyprowadzenie armii Andersa i zachowanie się ambasadora polskiego prof. Kota - i śmiertelny cios zadała im "kwestia Katynia", gdy Niemcy z całą rozmyślnością, a Polacy na emigracji z krótkowzrocznością zaczęli rozdymać ohydną sprawę zamordowania kilku tysięcy polskich oficerów, jakkolwiek dokonało się to w czasie niemiecko-sowieckiej współpracy i długo przed zawarciem nowego paktu polsko-sowieckiej przyjaźni. Powoli miejsce przyjaźni zastępowała niechęć, a wreszcie dnia 25 kwietnia 1943 nastąpiło zerwanie wzajemnych stosunków dyplomatycznych i dawna wzajemna walka. Starał się je nawiązać premier gen. Sikorski, lecz niestety zginął właśnie tragicznie w katastrofie aeroplanowej.

Na czele nowego rządu stanęli teraz: premier Stanisław Mikołajczyk, którego pamiętałem jako miłego kolegę sejmowego i dzielnego mówcę Stronnictwa Ludowego, i wicepremier - mój przyjaciel Jan Kwapiński. Nie zdołali oni jednak nawiązać już raz zerwanych nici - tym bardziej, że stanęli na stanowisku dawnych granic ryskich - i zamianowali naczelnym wodzem na nowo gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który był znany jako nieubłagany wróg Sowietów. Również "Porozumienie" stronnictw, choć ożywione teraz nowymi siłami - w odezwie wydanej do kraju w sierpniu 1943, po dokonanej zmianie rządu, a mówiącej o jego ideologicznych podstawach - nie umiało o tym najważniejszym zagadnieniu nowych granic powiedzieć nic innego, jak tylko zwrócić uwagę aliantów na "imperialistyczne tendencje Sowietów". Wreszcie sfery sanacyjne - w odpowiedzi na sierpniową deklarację stronnictw, zapowiadających demokratyzację polskich stosunków politycznych i społecznych przez usunięcie "wszelkich naleciałości okupacyjnych i sanacyjnych" - wystąpiły z pasją i przeciwko demokracji polskiej, i przeciwko Sowietom. Przyjąwszy szumną nazwę "konwentu stronnictw niepodległościowych" - chociaż nie było ani jednego stronnictwa w Polsce, które by nie stało na jednakowym stanowisku "niepodległości" - zaatakowały bardzo ostro stronnictwa "Porozumienia" oraz delegata krajowego i, zapowiadając walkę w obronie praworządności i konstytucji z roku 1935, w której widzieli nie gwałt i oszustwo, lecz wyraz prawa - wezwały wszystkich do walki przeciwko Sowietom, nie bacząc, że idą w ten sposób zupełnie zgodnie z Niemcami i dr. Frankiem.

Rząd, wódz naczelny, Porozumienie Stronnictw, które teraz stało się już oficjalną reprezentacją społeczeństwa w postaci ukonstytuowanej Rady Jedności Narodowej, a nawet "konwent" i ZWZ, który w międzyczasie też przyjął nową nazwę "Armii Krajowej" - AK, nie rozstrzygnęły więc tego najważniejszego zagadnienia polskiego, od którego rozwiązania zależał nasz los i stosunek do Sowietów. Wzmogły one jedynie "walkę podziemną", w której coraz częściej zaczęto usuwać szpiegów polskich i niemieckich i poszczególnych przedstawicieli władz okupacyjnych.

W tych warunkach Frank, który przez swe gwałty na ludności żydowskiej wywołał powstanie w Getto warszawskim i spalił je bestialsko, teraz z jednej strony - wobec zwycięstw sowieckich - coraz bardziej przymilał się do ludności polskiej, by pchnąć ją do walki z Sowietami, wskazując, że "na wielką sposob-

ność dobrowolnego przyczynienia się do zwycięstwa i powinna z niej korzystać", a z drugiej - chcąc rzucić na nią postrach za "walkę podziemną", wprowadził sądy doraźne, które za zamach na jednego Niemca lub Polaka współpracującego z Niemcami rozstrzeliwały 10 Polaków, często spotkanych przypadkiem na ulicy lub w tramwaju, a często wybranych rozmyślnie. W poszczególnych miastach, a zwłaszcza w Warszawie, odbywały się też niemal codziennie potworne publiczne egzekucje śmierci, w których między innymi stał się ofiarą również tow. Chudoba, b. członek PS i redaktor "Dziennika Ludowego", a później minister Ziemięcki, i cały szereg innych wartościowych jednostek, powodując przez to nieraz większe straty dla społeczeństwa polskiego, niż zyskiwało ono na skutek terrorystycznych zamachów "walki podziemnej".

Tymczasem na frontach wytrącona już została zupełnie inicjatywa w pociągnięciach wojennych z rąk państw osi - i jak zapowiedział to na rok 1943 premier Churchill jeszcze przed dwoma laty - obejmowali ją alianci. Niemcy zostali wyparci z Afryki zupełnie, Anglia i Ameryka zajęły Sycylię i pół półwyspu włoskiego, padł Mussolini, który zszedł do roli niegodnego utrzymanka Hitlera, w Jugosławii rozgorzało powstanie przeciwko załogom niemieckim, aeroplany angielskie i amerykańskie niszczyły przemysł i miasta niemieckie, a Sowiety szły w nieprzerwanym pochodzie poprzez Zagłębie Donieckie, poprzez Dniepr, do Bugu, do Dniestru, dochodziły do granic niemieckich wasali i wkraczały w granice Rzeczypospolitej.

Mimo to rząd polski ciągle jeszcze nie zdołał usunąć konfliktu z nimi - i chociaż podejmował w tym kierunku nieraz trafne i taktowne kroki, pozostawały one bez rezultatu. Z jednej strony bowiem Sowiety, poczuwszy swą siłę, robiły teraz coraz większe trudności, a z drugiej nie wszystkie polskie organy wykonawcze rządu współpracowały z nim w tej mierze zgodnie i szczerze. AK - przepojona nienawiścią do Sowietów i komunizmu - przejawiała swe uczucia ustawicznie w podziemnej prasie, w napisach na murach i trotuarach:"PPR zdrajca", a nawet w czynnych napadach na jej zwolenników. Skoalizowane zaś stronnictwa wyłoniły przy poszczególnych delegaturach "komitety oporu społecznego" /KOS/ wobec Niemców i narodowych szkodników - i motywując, że co innego jest stosunek państwowy do Sowietów, a co innego - społeczny do komunizmu, przy tej sposobności "nieoficjalnie" rozpoczęły z nim walkę. Na posiedzeniach zwracałem uwagę, że tego rodzaju podwójna gra jest niemoralna i zła, że nie może doprowadzić do celu i musi się zemścić, lecz głos mój pozostał głosem wołającego na puszczy. Gdy zaś w kilka miesięcy później przedstawiciel Stronnictwa Ludowego p. Marcinkowski - na posiedzeniu "Porozumienia" - wyraził raz zdziwienie, dlaczego, chociaż we Francji, we Włoszech, w Grecji i w Jugosławii można współpracować z komunistami, u nas uważa się to ciągle za narodową zbrodnię, jego uwagi spotkały się w Warszawie tylko z oburzeniem.

Ci komuniści zaczęli jednak współdziałać i z "Demokratami" i z "Centralizacją", w której skupiły się rozmaite radykalne niedobitki sanacyjne i "niezadowoleni" z poszczególnych partyj - i przy pomocy Sowietów stworzyli nową koalicję, która nazwała się "Radą Narodową". "Rada" ta w oficjalnej enuncjacji z dnia 1 stycznia 1944 oświadczyła, że nie uznaje rządu londyńskiego - i zapowiedziała równocześnie powstanie nowego, żądając już dziś bezwzględnego wobec siebie posłuchu.

W tych warunkach dowiedziałem się, że do Warszawy przyjechał J.H.Retinger - "Dżosef" - z którym niestety pogniewałem się przed kilku laty, lecz dla którego miałem zawsze jednakowe uczucia przyjaźni i którego uważałem za wybitną siłę polityczną. Chciałem więc mówić z nim koniecznie, bo był on w tej chwili jednym z najbliższych ludzi, z którym mogłem podzielić swe obawy. Przyjechawszy do Warszawy, przywitałem go bardzo serdecznie - tym bardziej, że zastałem go w towarzystwie p. Marka, którego poznałem już swego czasu, gdy "spadł" razem z Wiktorem Strzeleckim i uczestniczył w jego romantycznych i śmiałych przygodach. Teraz towarzyszył on w podróży do kraju Józkowi, który właśnie lada dzień miał wyjechać z powrotem i czekał tylko na aeroplan, mający go zabrać.

W serdecznej rozmowie starałem się przedstawić mu obecne nasze stosunki polityczne i bezcelową i szkodliwą walkę przeciwko Sowietom, którą w tej chwili

- bez względu na przynależność partyjną - toczyła cała niemal inteligencja, wierząca, że sojusz Anglii i Stanów Zjednoczonych z Sowietami jest tylko pozorny i że natychmiast po pokonaniu Niemców kraje te rozpoczną nową wojnę, by rozgromić komunistyczną Rosję; - kreśliłem działalność AK, która coraz bardziej stawała się jedyną władzą w kraju i opowiadałem o naszych wewnętrznych stosunkach partyjnych. A on opowiadał mi z humorem o swej podróży spadochronem, przez którą osiągnął "rekord wieku", bo nikt jeszcze nie skakał mając 57 lat; - a potem mówił o polskich stosunkach emigracyjnych, o rządzie w Londynie, o znajomych, o zaobserwowanych przez siebie "nastrojach" w kraju, zgadzając się pod tym względem zupełnie z moją oceną; - o złudach co do rzekomo przygotowującej się nowej wojny angielsko-sowieckiej i o AK, i mówiąc, że jej metod doświadczył sam na własnej osobie dodał, że premier Mikołajczyk miał też co do nich bardzo poważne zastrzeżenia i obawy na przyszłość. Spostrzeżenia swoje i oficjalny punkt widzenia Anglików i Churchilla, z którym o tym kilkakrotnie rozmawiał, przedstawił też oficjalnie na posiedzeniu "Porozumienia", lecz zdaje się - nie oddziałało to zbytnio na zmianę polskich różowych nastrojów.

Nastroje te zmieniła dopiero prawdopodobnie wizyta premiera Mikołajczyka w Waszyngtonie u Roosevelta, który radził, by rząd polski starał się jednak konflikt polsko-rosyjski załatwić, choćby nawet kosztem pewnych ustępstw. Stosownie do tego premier polski wyjechał do Moskwy, gdzie jednak nie oszczędzono mu nieraz przykrych upokorzeń i gdzie rozmowa ze Stalinem skończyła się jego radą, by rząd londyński starał się przede wszystkim osiągnąć porozumienie w bezpośrednich rozmowach z "Komitetem Wyzwolenia". Równocześnie p.prezydent Raczkiewicz, po zrzeczeniu się przez gen. Sosnkowskiego stanowiska zastępcy prezydenta Rzeczypospolitej, zamianował nim teraz socjalistę, tow. Arciszewskiego, który też w międzyczasie razem z Jóźkiem wyjechał do Londynu. Nominacja ta stała się jednak tylko niegodną komedią, bo jeśli p. prezydent, jako nadrzędny czynnik polityczny, wybitny senator, który musiał wierzyć w słuszność swej własnej sanacyjnej linii politycznej, naraz zamianował swym następcą socjalistę, to albo musiał sam zmienić swoje przekonania - a wtedy powinien był wyciągnąć konsekwencję ze swej pomyłki i ustąpić natychmiast - albo wiedział już, że zmiana ta jest tylko pozorna.

Wśród tych nieuregulowanych stosunków Sowiety przeszły tymczasem Bug, a Rada Narodowa dnia 22 lipca w osobnym manifeście wydanym w Lublinie, ogłosiła, że władzę w Polsce obejmuje "Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego" - PKWN, pod przewodnictwem p. Osóbki - młodego, nieznanego nikomu człowieka, bez wiedzy, bez zasług i bez specjalnych zdolności, którego poznałem dopiero w czasie pertraktacyj WRN z PS. W Komitecie tym byli dr Bolesław Drobner i Wanda Wasilewska, a oprócz tego cały szereg Bogu ducha winnych ludzi, jak gen. Rola Żymierski czy Andrzej Witos. Ponieważ jednak Sowiety uznawały go za tymczasowy rząd polski, obejmował on władzę faktycznie wszędzie, gdzie wkraczała armia czerwona.

Dla Rady Jedności Narodowej i dla Delegatury Krajowej nie pozostawało nic, jak tylko spory, czy i jak mają się "ujawnić" ci, którzy w konspiracji stali się dygnitarzami w nowej polskiej administracji. Mój delegat krakowski - ponieważ nie wyczytał w "instrukcji" żadnych pod tym względem zastrzeżeń - chciał, by nie oglądając się na faktyczne stosunki "ujawniali się" i obejmowali swe stanowiska wszyscy, których on pomianował, - nie rozumiejąc, że byłoby to zdradą rządu londyńskiego, który uznawał za jedyny i legalny rząd polski. Zagadnienie to dotykało bezpośrednio również i mnie, który zostałem desygnowany do objęcia prezydentury Krakowa, lecz ja uważałem, że mogę się "ujawnić" wtedy dopiero, gdy się dowiem, kto będzie w Polsce rządził.

W Warszawie natomiast Delegatura Krajowa i AK postanowiły zagadnienie to rozwiązać przez wywołanie zbrojnego powstania przeciwko Niemcom, łudząc się, że w ten sposób mogą uprzedzić Sowiety i PKWN i ująć władzę w Polsce w swoje własne ręce. I chociaż już po paru dniach było jasne, że powstanie to nie może dać pozytywnego efektu, kierownicy jego nie mogli się zdecydować, ażeby je skończyć, lecz kontynuowali jeszcze beznadziejne walki przez długich 6 tygodni. Toteż - jak to było do przewidzenia - powstanie skończyło się masakrą ludności i bezce-

lowym strasznym zniszczeniem miasta, które niemal przestało już istnieć.

W jakimś niszczycielskim szale Niemcy palili domy, ulice, dzielnice, w gruzach padło setki tysięcy ludzi, a resztę "zwycięzcy" wywieźli na tułaczkę lub do obozów koncentracyjnych.

Mój syn Jacek uratował się ucieczką z ewakuacyjnego pociągu i schronił się u nas w Myślenicach, a reszta rodziny, znajomi i towarzysze tułali się gdzieś na prowincji, bez domów, w najcięższych warunkach.

W ten sposób cała akcja Armii Krajowej skończyła się fiaskiem i tragedią, nie dając nic, prócz niepotrzebnych ofiar i też zresztą niepotrzebnych, aktów bohaterstwa poszczególnych jednostek. Na terenach, które obejmowały teraz Sowiety, członków AK albo wcielano do polskiej armii, utworzonej pod ich egidą, albo aresztowano, na okupacji zaś niemieckiej resztki jej skupiały się w lasach mazowieckich lub w górskich powiatach, marząc, by się mogły dostać na Słowaczyznę. Dla polityki polskiej stało się teraz najpoważniejszym zagadnieniem, co zrobić z pozostałymi zbrojnymi oddziałami, które lekkomyślnie powołano do życia, łudząc je, że będą mogły zrzucić jarzmo niewoli. By żyć, musiały teraz dopuszczać się coraz to nowych wybryków, powodując równocześnie największe niebezpieczeństwo dla ludności chłopskiej, którą Niemcy niszczyli i puszczali z dymem za okazanie im jakiejkolwiek pomocy.

Za to wszystko - za powstanie i jego następstwa - gen. Sosnkowski zwalił jednak winę na aliantów, pisząc, że "sumienie całego świata zostało obciążone grzechem jedynym w historii, ponieważ wskutek bierności i obojętności aliantów ludność Warszawy musiała ginąć pod ruinami". To oskarżenie, podjęte publicznie, wywołało konflikt nie tylko z rządem angielskim, lecz również z rządem polskim. Gen. Sosnkowski - jak napisał p. Litauer - "wmanewrował prem. Mikołajczyka w bardzo trudną sytuację" i musiał teraz ustąpić, lecz niestety rząd samo powstanie podżyrował i przyjął za nie pełną odpowiedzialność. W tym celu - by je "zalegalizować" - zamianował jego kierownika, gen. Bora Komorowskiego, nowym wodzem naczelnym, który prawie równocześnie jednak skapitulował i jako jeniec niemiecki poszedł do obozu jeńców. Starali się to wykorzystać Niemcy - i tak, jak gdyby to nie oni byli winni zbrodni zniszczenia Warszawy, pisali, że z tej wspólnej pracy Niemców i Polaków na tle obrony przed bolszewikami i pomocy dla wysiedlonej ludności warszawskiej "wyrośnie błogosławieństwo po wsze czasy".

Ja, razem z żoną i Jackiem, przeżywaliśmy te ciężkie chwile ciągle w Myślenicach, za Rabą, daleko za miasteczkiem, względnie bezpieczni, choć pobyt nasz urozmaicony był ustawicznie, jakimiś groźnymi wypadkami. To AK napadła zbrojnie na nasz dom, by odebrać zakonspirowane radio, to ktoś lekkomyślnie zastrzelił żołnierza niemieckiego i tylko cudem nie staliśmy się przedmiotem pacyfikacji i pastwą pożaru, który by zniszczył całe osiedle, - to Niemcy dokonywali coraz to nowych aresztów, przeprowadzali rewizje i zmuszali ludność do robót przy kopaniu rowów, to znowu musiałem teraz coraz częściej wyjeżdżać do Krakowa, by brać udział w posiedzeniach "Porozumienia" - zwłaszcza, że zastępcą delegata krakowskiego został teraz tow. Rzeźnik.

Wreszcie rozeszła się wieść, że po drugiej podróży do Moskwy premier Mikołajczyk, spotkawszy się z oporem przeciwko swym kompromisowym projektom nowej granicy polsko-sowieckiej, w listopadzie podał się do dymisji, a rząd utworzył tow. Arciszewski, opierając się przede wszystkim na socjalistach i endekach.

Ci sami socjaliści, którzy w roku 1926, nie mogąc wytrzymać w koalicji z endekami, rozbili ją na korzyść Piłsudskiego, teraz pod egidą sanatora Raczkiewicza zawarli z nimi niepotrzebną spółkę.

Nowy rząd nie spotkał się jednak z przychylnym przyjęciem ani w Polsce ani w Anglii. Angielski "Times" ocenił, że "ustąpienie Mikołajczyka prawie zupełnie unicestwiło wszystkie nadzieje takiego uregulowania sprawy polskiej, jakie zarysowało się podczas jego wizyty w Moskwie, w toku konferencyj Churchilla i Edena z marszałkiem Stalinem" i jakie "przyszły los Polski opierało na silnej podstawie ścisłego sojuszu i kompromisu z Rosją. Jego wysiłki pokrzyżowali i w końcu udaremnili ci, którzy nie rozumieli, że takie uregulowanie

było konieczne". "Times" przestrzegał też "przed zgubną wiarą, panującą w pewnych kołach polskich, iż odroczenie załatwienia tej kwestii z Rosją mogłoby przynieść Polakom korzystniejsze warunki", wyrażając opinię, że "to przekonanie, tak bardzo sprzeczne z wszystkimi realnymi faktami, a także z wszelkim prawdopodobieństwem, można było wytłumaczyć tylko jedną okolicznością - mianowicie nadzieją tych osób, które się jej oddały, że zapewnią sobie poparcie mocarstw zachodnich, a następnie wygrają je przeciwko Rosji". Takie stanowisko nazwał "Times" "samobójczym", twierdząc, że "prędzej czy później doprowadzi ono do tego, że odbudowa Polski w ogóle nie będzie możliwa", bo "jasne jest, że los Polski da się ukształtować tylko przy ścisłej współpracy i w sojuszu z Moskwą".

W kraju po stronie rządu Arciszewskiego stanął jedynie nacjonalizm polski, senatorzy i CKW PPS - mimo, że nie miał żadnego prawa rozstrzygać o tych zagadnieniach, które zastrzeżone były wyłącznie dla kompetencji nowej Rady Naczelnej. Wbrew temu, pod wpływem tow. Pużaka, CKW wyraził poparcie "wszelkimi rozporządzalnymi środkami" i "solidaryzując się z usiłowaniami" rządu, stanął na stanowisku "rozgraniczenia się z Sowietami" przez przeprowadzenie granicy pomiędzy Polską a "narodami: litewskim, białoruskim i ukraińskim" "bez pokrzywdzenia narodu polskiego", "na podstawie danych statystycznych ludności z roku 1931", "względów gospodarczych" i "względów strategicznych /obrony/", nie bacząc, że takie właśnie uwzględnienie momentów gospodarczych i militarystycznych jest główną cechą imperializmu.

Sądziłem, że te wszystkie dawne frazesy reemptorystyczno-niepodległościowe i militarystyczno-imperialistyczne, które niegdyś stanowiły treść Piłsudczyzny, przeszły już do przeszłości. Nie przypuszczałem, by wbrew strasznym doświadczeniom, jak skończyła się budowa militaryzmu polskiego - i wbrew słowom samego Piłsudskiego, przyznającego, że z jego dawnej bojówki nie pozostało nic, tylko "demoralizacja, bandytyzm i inne smutne objawy", że "system zastosowany do Legionów z góry skazywał imprezę na niepowodzenie i porażkę" i że tylko "sławne armie państw sprzymierzonych /.../ wyzwoliły Polskę z niewoli" - mógł ktoś jeszcze powtarzać jego dawne błędy i by tym, kto powtarza te piękne, romantyczne frazesy mógł być polski socjalizm

A jednak to on w swym WRN zapowiedział odzyskanie niepodległości "przez walkę zbrojną na śmierć i życie"; on przygotowywał "wysiłki powstańcze", on projektował militarystyczny "Blok", który by miał być rękojmią pokoju w środkowej Europie - i on, nie mogąc się zgodzić na Polskę w jej etnograficznych granicach stanął do walki z Sowietami o jej granice historyczne - takie, które by uwzględniały również jej interesy "ekonomiczne i strategiczne /obrony/". Po pięciu latach tych pięknych romantycznych złud życie przekonało nas jednak jeszcze raz, że Polskę może wyzwolić tylko demokracja, że siła militarna jest za słaba, by zapewnić narodom wolność i bezpieczeństwo, że polski blok "od morza do morza" to fikcja; - że naród może się oprzeć tylko o swój własny rozwój; że warszawskie powstanie przyniosło nam ciężką klęskę i że w toczącym się konflikcie o granice zwyciężyły Sowiety.

I kiedy zastanawiałem się nad tym, nie mogłem nigdy zrozumieć, jak ówcześni politycy polscy, a zwłaszcza polscy socjaliści, mogli popełnić te same błędy co w przeszłości - i jak w obronie granic ryskich, niesłusznych zresztą i nielogicznych, mogli wysunąć się na czoło kampanii przeciwko Sowietom, rozpętać walkę z Ludowcami i - zadając dotkliwe ciosy demokracji - doprowadzić do tego, że ich moralnym protektorem i obrońcą ich stanowiska stał się potem gadzinowy "Goniec" i radio niemieckie.

Kiedy więc w ten sposób polska polityka bezradnie wiła się w konwulsjach, przegrywając jedną pozycję za drugą, to równocześnie alianci odnosili ustawicznie zwycięstwa. Rozpoczęta dnia 6 czerwca inwazja ich na kontynent roztrzaskała reklamowany jako "niezwyciężony" wał atlantycki; po trzech miesiącach uwolniła Francję, a potem Belgię i część Holandii - wobec ich zwycięstw musiała kapitulować Rumunia, a następnie Finlandia i Bułgaria; - chciał skapitulować Horthy, którego przymusowo wywieziono do Niemiec - i całe Bałkany odzyskiwały wolność. Armia sowiecka przekroczyła Dunaj i Drawę, zagrażając bezpośrednio Budapesztowi

i Wiedniowi, a angielska i amerykańska, dochodząc do Renu - zaczęła kruszyć niemiecką obronną "linię Zygfryda". Pod koniec roku 1944 zwycięskie wojska alianckie wkraczały już coraz głębiej w granice Niemiec i od Zachodu, i od Wschodu.

Zwycięska ofensywa sowiecka, zapoczątkowana w połowie stycznia 1945, wyzwoliła wreszcie wszystkie ziemie polskie - i Polska po pięciu potwornych latach niewoli poczuła się wolna.

Rozdział X

"DEMOKRACJA LUDOWA"

Myślenice, a wraz z nimi i mnie, wyzwoliła Armia Czerwona dnia 20 stycznia. Po krótkiej bitwie, w której znalazłem się niemal w środku wrzawy wojennej - podobnie jak swojego czasu, przed pięciu i pół laty w Karolinie wśród wojsk niemieckich atakujących otoczoną Warszawę - Niemcy ustępowali teraz w popłochu. Cofali się coraz bardziej na zachód i na południe, coraz bardziej cichły strzały i huki armatnie, coraz więcej zjawiało się jeńców niemieckich, którzy - niedawno jeszcze dumni i butni - teraz przedstawiali pożałowania godny widok nędzarzy bez broni, bez butów, głodnych, brudnych, trzymających się ledwie na nogach - i coraz gęściej nasza cicha dolina nad Rabą wypełniała się zwycięskimi czerwonymi wojskami.

W styczniu i w lutym cała Polska została już wyzwolona przez Armię Czerwoną, ale wśród społeczeństwa polskiego, które bezsprzecznie po ustąpieniu Niemców odetchnęło swobodniej i które było szczerze wdzięczne za wyzwolenie go z pięcioletniej potwornej okupacji, nie było widać wielkiego entuzjazmu. Myślałem nieraz, że gdy dożyję tej chwili, że Niemcy już zaczną uciekać i gdy zobaczę ich złamaną butę, to będzie to chwila szalonej radości - tym bardziej, że pamiętałem te podniosłe pierwsze dni powstającej wolnej Polski w roku 1918, w czasie których entuzjazm ogarniał wszystkich bez wyjątku, po wsiach i po miastach, młodych i starych, robotników, chłopów i inteligentów. Wtedy wszyscy żyli niemal jak zaczarowani.

W tej chwili bezsprzecznie też wielkiego przełomu i powstającej wolności padł jednak na wszystkie sfery jakiś ponury cień, który zmroził powszechną radość. Wszyscy z oczekiwaniem i z trwogą patrzyli, jak też ta nowa "wolność" będzie wyglądała - zwłaszcza, że wśród ludzi szły już głuche wieści o zachowaniu się żołnierzy sowieckich, o aresztowaniach dokonywanych przez NKWD i o metodach rządzenia "Tymczasowego Rządu".

Pewnie - żołnierz jak żołnierz: im mniej jest kulturalny, tym bardziej jest przykry i tym bardziej chciwy. Toteż sowieccy byli przykrzy - napadali na sklepy, na prywatne mieszkania, przeprowadzali "rewizje" szukając "Germańców" w szufladach i w pudełkach i kradli wszystko, co im tylko wpadło w ręce, a zwłaszcza nie mogli się oprzeć widokowi zegarków, które zdejmowali przemocą z rąk i wyjmowali z kieszeni. Gwałcili kobiety - młode i stare - i myszkowali za jedzeniem, za pieniędzmi i za złotem, ale to wszystko można było jeszcze wytrzymać wiedząc, że każdy żołnierz jest mniej więcej niemal zawsze jednakowy, bez względu na narodowość i na armie. Nawet przecież legioniści polscy - jak pisał Piłsudski - zwracali się do niego krzycząc: "my chcemy być żołnierzami, chcemy rabować, gwałcić /.../ dość tej cnoty". Trzeba bowiem żołnierza rozumieć i trzeba mu wybaczyć wiele z jego wybryków za jego ciężki trud i ofiarę.

Znacznie gorzej było jednak z rządem. W styczniu dawny lubelski "PKWN" /Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego/, który teraz nazwał się oficjalnie "Tymczasowym Rządem Polskim", dokonał swej rekonstrukcji i po ustąpieniu Wandy Wasilewskiej, dr. Bolesława Drobnera, dr. Sommersteina, Andrzeja Witosa i innych przybrał wyraźniejsze oblicze. Zasiedli w nim teraz wyłącznie prawie zwolennicy dyktatury proletariatu - komuniści lub ludzie komunizujący - kryjący swoje właściwe poglądy pod rozmaitymi nazwami: PPR, PPS, Stronnictwo Ludowe czy Demokraci. Nie licząc się zupełnie z wolą większości społeczeństwa przeprowadzali przemocą swe "demokratyczne reformy", oparci o bagnety sowieckie i o NKWD, który jak

za czasów saskich czy stanisławowskich rozgospodarowywał się coraz bardziej w tej "wolnej Polsce" jak we własnym domu, aresztował i wywoził masowo do Sowietów na przymusowe roboty spokojnych, niewinnych ludzi jako "reakcyjnych burżujów" czy członków AK, co naturalnie od razu musiało wywołać antysowieckie nastroje.

W imię "demokracji" Tymczasowy Rząd przeprowadził definitywnie dziką reformę rolną - tak, że czasem zdawało się, że chodziło w niej nie o poprawę naszego ustroju rolnego i nie o wydobycie z ziemi jak największych plonów, lecz wyłącznie o zemstę na "obszarnikach", którym odebrano wszystko: ziemię, ich osobiste majątki, meble, biblioteki i nawet rodzinne pamiątki. W imię "demokracji" rząd przeprowadził reformę finansową i by "uderzyć w kapitalistów i paskarzy" przy zmianie pieniędzy pozostawił każdemu jedynie 500 zł gotówki, za które można było wtedy kupić zaledwie 1 kg masła, podkopując w ten sposób nie kapitały bogatych, lecz byt biedaków, którzy swoją ciężką pracą zapewnili sobie możność życia na najbliższe tygodnie. W imię "demokracji" ustanowił on różne normy spożycia i jak za Niemców uprzywilejował w nich najsilniejszych, zdolnych do pracy, nie licząc się zupełnie z tymi, którzy nieraz swoją własną pracą położyli wielkie zasługi i z tymi, którzy jeszcze nie mogli zarobić na siebie. Zamiast zorganizować pracę i odpowiednio zapłacić robotnikom, rząd - utyskując ustawicznie na "spadek wydajności pracy" - wprowadził "wyścig pracy" i pozostawił ją "dla szlachetnej rywalizacji". Administrację terytorialną oddał w ręce ludzi młodych, niedoświadczonych, często bez jakiegokolwiek przygotowania i wykształcenia, o ile tylko byli "pewni" - i jak w Sowietach czy w Hitlerowskiej Rzeszy wydzielił z niej samodzielny "Urząd Bezpieczeństwa Publicznego", który w imię "walki z faszyzmem" ograniczał swobody obywatelskie i skrępował wolność sumienia, słowa, prasy, koalicji i zrzeszeń. Nie wolno było słuchać radia i w imię "obrony demokracji" UB, jak Gestapo czy NKWD, stawał się powoli panem życia i śmierci wyzwolonych obywateli polskich. Spierając się wreszcie o to, która z konstytucji polskich - ta z roku 1921 czy z roku 1935 - ma obowiązywać, rząd w praktyce zastosował samowolnie zasady konstytucji sowieckiej z roku 1934.

Narzekali więc na te stosunki wszyscy - chłopi, robotnicy, urzędnicy i kupcy - ale rząd był niesłychanie zadowolony z siebie, uważając, że w ten sposób "chroni Polskę wyzwoloną z jarzma niewoli hitlerowskiej przed zakusami reakcji", że jest "szermierzem postępu społecznego" i "toruje całemu narodowi, a nie tylko jednej jego szczupłej warstwie drogę rozwoju, dobrobytu, wolności i niepodległości" - tak, jak sam je pojmował. Powtarzało się niemal to samo, co było za czasów sanacji, kiedy Piłsudski - gdy wszyscy już przeklinali jego rządy - przechwalał się jeszcze bezkrytycznie, że "rządzi państwem z pewnym powodzeniem". I tak jak on ci ludzie, którzy dorwali się teraz do władzy przy pomocy obcej siły, chcieli uszczęśliwić naród wbrew woli jego większości i siłą chcieli zapewnić mu "prawdziwą demokrację".

Przed laty angielski filozof Jan Locke powiedział, że "wiele upartych sporów należy przypisać nadużywaniu wyrazu", Goethe w "Fauście", że "gdy braknie pojęcia - występuje termin". Jak więc swojego czasu nadużywano terminu "komunista", przeciwko czemu protestowałem zawsze pisząc z oburzeniem, że "gdy się komuś chce postawić hańbiące zarzuty, których się nie ma potrzeby i musu uzasadniać najwygodniej jest zarzucić mu komunizm", tak teraz komuniści bezceremonialnie nadużywali terminów "demokracja" i "faszyści", nie bacząc zupełnie na treść tych wyrazów. Jak dawniej każdego, kto nie zgadzał się z rządem "ozonowym" uznawano za "komunistę", tak teraz każdego, kto nie zgadzał się z "Rządem Tymczasowym", nazywano "faszystą".

Wszyscy nazywali się więc teraz demokratami - i przypominało mi to moje własne słowa, które napisałem jeszcze w roku 1937, że w Europie są obecnie "same demokracje". Tylko są ich dwa rodzaje: te, w których "demokratyczne" rządy widzą demokrację w tym, że ich narody nie mają nic do powiedzenia w kwestii rządzenia krajem, - w których "demokratyczne" ustawy dochodzą do skutku w formie dekretów, a parlamenty tworzy się przez mianowanie z góry, - w których wola narodu przejawia się przez usta "demokratycznych" dyktatorów,

a "demokratyczne władze" mogą karać bez sądów i bez udowodnienia winy, - w których obywatele nie mogą mówić i pisać tego, co czują i myślą. Ale są też demokracje, w których wola rządzących przejawia się w powszechnych głosowaniach - w których władza wykonawcza chyli głowę przed wolą narodu, - w których dochodzą do skutku przez decyzję większości wybranych przedstawicieli parlamentarne ustawy, w których nie wolno skazywać, internować i "izolować" bez wyroku sądowego wydanego przez samych obywateli i nie wolno krępować wolnego słowa i wolnej myśli człowieka.

"Demokracja" Rządu Tymczasowego przypominała niestety ten pierwszy rodzaj "demokratycznego"rządzenia. Przypominała raczej rządy Piłsudskiego, sanację i "kierowaną demokrację" OZN, tylko w znacznie zaostrzonej formie. Zupełnie bowiem jak Piłsudski, który "symbol demokracji" widział w "prawie widzącym nad ludem" i usuwając Sejm twierdził, że "nikt oskarżać go nie może o brak demokratycznych pojęć", "Rząd Tymczasowy" wprowadzając swoje samowolne reformy i ograniczając obywatelskie swobody, uważał się za najdoskonalszy wyraz demokracji. Jak Piłsudski, który zapewniając, że "jest z przekonania jednym z najszczerszych demokratów w kraju", rządził z pominięciem większości - Rząd Tymczasowy, żonglując stale słowami: "demokracja" i "demokratyczny", chciał też przemocą wprowadzić do Polski swoją własną koncepcję demokracji. Zapominał, że "pojęcie demokracji jest tylko jedno i wieczne /.../ takie, które żąda dla wszystkich ludzi równych praw i równych obowiązków, żąda prawa kontroli ze strony całego społeczeństwa i respektowania jego woli". Zresztą można się spierać o taką czy inną definicję demokracji, ale bezsprzecznie nie może się ona nigdy przejawiać w rządach mniejszości nad większością i nie ma jej tam, gdzie nie naród decyduje o rządzie, lecz rząd o narodzie. Jak sanacyjni faszyści,którzy zapowiadali, że władzy którą "zdobyli przez most, nie oddadzą przez głosowanie" i że odważywszy się raz "na czyn" nie ustąpią "wobec liczby siedzeń" - ludzie Rządu Tymczasowego zapowiadali też butnie, że "władzy nie oddadzą nigdy". I jak sanacyjny rząd Piłsudskiego, który dla utrzymania tej władzy stwarzał nową PPS "Frakcji Rewolucyjnej" Moraczewskiego i Jaworowskiego, a nowe Stronnictwo Narodowe w osobach Stahla i consortes, Tymczasowy Rząd stworzył też nowe "Stronnictwo Ludowe" i nową "PPS", kradnąc równocześnie dawne ich firmy i zasób zaufania, a tych, którzy je zdobyli długoletnią swą pracą, myślą i walką o wolność, pozbawił swobody słowa i prawa koalicji.

Jego premier p. Edward Osóbka, dawny członek PPS, potem prezes PS i RPPS, wykorzystując błąd, jaki popełnił swego czasu tow. Pużak przez stworzenie swojego WRN, przez usunięcie legalnych władz partii i przez "ustalenie jednolitego poglądu na konieczność wyrzeczenia się współdziałania w ruchu jednostek dawnego ruchu legalnego" - teraz powołał nową PPS i nowe jej władze, ogłosił się ich prezesem i "wyrzekł się współdziałania" z dawnymi jej członkami. Powstała więc nowa PPS, a właściwie druga, która z pierwszą, oprócz nazwy, nie miała nic wspólnego ani co do treści ideowej, ani co do składu ludzi, którzy ją tworzyli.

Ich wszystkich określano teraz terminem "faszyści", a komuniści z UB, widząc w nich "wrogie agentury" i "wrogów demokracji" aresztowali ich na lewo i prawo w imię obrony demokracji - zupełnie tak, jak niegdyś ich samych w obronie "demokracji" aresztowały władze sanacyjne. Zapomnieli ci nowi "demokraci" stojący tak długo na stanowisku "dyktatury proletariatu" i niedawno jeszcze uważający demokrację już tylko za "przeżytek" i wyraz reakcji, że ci, którym przylepiono teraz etykietkę "faszystów", w długim sporze pomiędzy socjalizmem a komunizmem bronili zawsze zasad demokracji, przeciwstawiając się każdej dyktaturze i z lewa,i z prawa.

Nie zmieniwszy wcale swych poglądów zmienili teraz tylko używanie odpowiednich terminów i nawet mnie uznali za faszystę, a UB przeprowadziło u mnie ścisłą rewizję wydając równocześnie nakaz, aby mnie aresztować. A jeśli uniknąłem tego losu, to mam to do zawdzięczenia tylko przypadkowi - takiemu samemu zresztą, jaki uchronił mnie swego czasu przed aresztowaniem przez Gestapo,które dwukrotnie wydało przeciwko mnie taki nakaz.

Przypadkiem bowiem wyjechałem w tym czasie do Krakowa, by - pod wpływem

namów tow. Kuryłowicza, który po czteroletnim pobycie w Oświęcimiu, ku ogromnej mej radości, zjawił się niespodzianie w Myślenicach - próbować, czy nie dałoby się zjednoczyć potarganych szeregów i na nowo odtworzyć jednolitą dawną PPS ze wszystkich tych, którzy czuli się socjalistami bez względu na to, w której organizacji w danej chwili się znaleźli.

Dla mnie sytuacja była jasna. Nie mogłem się pogodzić z polityką rządu londyńskiego, który po ustąpieniu z niego Ludowców przestał już być wyrazem większości i stał się jedynie rządem sfer sanacyjnych, nacjonalistycznych i socjalistycznych Piłsudczyków, którzy niegdyś chcieli odbudować Polskę przez swą "walkę zbrojną". I nie mogłem się też pogodzić z takim pojmowanie demokracji, jakiemu hołdował Rząd Tymczasowy, który będąc wyrazem mniejszości przeprowadzał samowolnie doniosłe reformy. Byłem zdania, że w tych warunkach należy dążyć do utworzenia nowego rządu, opartego o nową koalicję, która by reprezentowała prawdziwą większość społeczeństwa, a więc rządu Ludowców, PPS, komunistów i tych wszystkich grup inteligenckich, które skupiały się czy to w "Partii Pracy", czy w "Demokracji".

Pierwszym zaś krokiem do tego było dla mnie zjednoczenie wszystkich sił socjalistycznych w obrębie jednej PPS i Ludowcowych w obrębie jednolitego "Stronnictwa Ludowego". Przedstawioną przeze mnie taktykę zaakceptowali Ludowcy i na tym samym stanowisku stanęli również towarzysze krakowscy oraz obecna tam przypadkiem połowa CKW, który jednak w danej chwili z technicznych przeszkód nie mógł odbyć oficjalnego posiedzenia. Wspólnie z tow. Rzeźnikiem podjąłem więc nową akcję połączenia rozbitych szeregów socjalistycznych. Rozpocząłem ją od rozmów z dr. Drobnerem, któremu było też nieraz ciężko w warunkach, do których sam się nieopatrznie bardzo znacznie przyczynił. Zapewnił mnie on, że chce iść w tym samym co i ja kierunku - i o tym samym zapewnił mnie tow. Kuryłowicz, który jednak niedługo potem, gdy zrobiono z niego jakiegoś dygnitarza i powołano do nowego CKW stanął na innym stanowisku. A potem mówiłem z nowym wojewodą krakowskim Ostrowskim, bardzo miłym i kulturalnym młodym towarzyszem, który przyniósł mi przy tym wiadomość, że NKWD zaaresztował ostatniego mego brata, Sławomira. Mówiłem z wiceministrem Kantlem, z dawnym bibliotekarzem Sejmu, dr. Kołodziejskim, którego opinia była dla mnie wówczas jeszcze bardzo cenna, z młodymi towarzyszami pracującymi już w nowej PPS, a wreszcie z prezydentem Krajowej Rady Narodowej, p. Bierutem, któremu przedstawiłem szczerze swój punkt widzenia co do konieczności powołania nowego rządu powszechnego zaufania. Na jego uwagę, że on przecież od samego początku chciał takiej współpracy z premierem rządu londyńskiego, p. Mikołajczykiem, a nic z tego nie wyszło, odpowiedziałem, że jeśli jedna próba nie dała efektu, to trzeba je ponawiać aż do skutku. Przestrzegałem go też przed stosowaniem ze strony jego rządu takich metod, które by miały na celu łamanie oporu społeczeństwa, wskazując, że stworzą one tylko coraz większe trudności rządzenia i spowodują coraz większą przepaść pomiędzy społeczeństwem a rządem.

Przygotowawszy w ten sposób odpowiedni grunt do połączenia wracałem zadowolony do Myślenic, a wiedząc już, że UB wydało nakaz aresztowania mnie, zaopatrzyłem się w odpowiednie pismo wojewody. Mimo to myśleniecki kacyk UB zatrzymał mnie parę godzin i zapowiedział, że "tu żadne protekcje wojewody czy p. Bieruta nie mają żadnego znaczenia" i że muszę się stawić jutro celem przeprowadzenia przeciwko mnie "śledztwa". Na zapytanie, o co jestem posądzony, oświadczył mi, że to już jest "tajemnica władzy". Musiałem więc w określonym terminie stawić się na nowo przed obliczem tej "władzy", a ponieważ nie miała ona nigdy czasu, musiałem iść po południu, i jutro, i pojutrze, choć miałem blisko 6 km drogi tam i z powrotem i tego rodzaju przymusowe spacery, przy stanie mego zdrowia, były dla mnie bardzo męczące. Nie bacząc na to "władza" oświadczyła mi ostro, że "gdy władza każe, obywatel bez szemrania musi się stawić choćby nawet 30 razy", a wreszcie porwał mnie przemocą w czasie mrozu do Krakowa, do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, gdzie te szykany skończyły się na szczęście zasądzeniem myślenickiego kacyka za niesubordynację na 48 godzin aresztu.

Chociaż odczułem więc sam na sobie najlepiej, jak wygląda ta nowa "demokracja" i przypomniałem sobie te same niemal słowa, jakimi swego czasu stary

Foulton, z którym razem zostałem aresztowany przez policję niemiecką, gdy wracaliśmy z Górnego Śląska, wyrażał zadowolenie, że wreszcie mógł zobaczyć, jak wygląda praktycznie demokracja w Niemczech - uważałem, że mimo to czy nawet dlatego - trzeba koniecznie kontynuować rozpoczęte rozmowy.

Ucieszyłem się też ogromnie, gdy przeczytałem po paru dniach o skończonej właśnie konferencji Roosevelta, Churchilla i Stalina, która była ostatnim wspólnym aktem tych mężów stanu. Zaraz potem umarł bowiem prez. Roosevelt, pozostawiając jako swego następcę Trumana, a po paru miesiącach musiał również ustąpić Churchill na skutek zmiany rządu i zwycięstwa Labourzystów w przeprowadzonych wyborach. Wspólna ich konferencja w Jałcie potwierdziła niemal dosłownie moje własne projekty rozwiązania problemu rządu polskiego, które przedstawiłem w rozmowach toczonych w Krakowie. Tak, jak uważałem, że trzeba usunąć zarówno rząd londyński, jak i "Rząd Tymczasowy", jako nie reprezentujące większości społeczeństwa, i stworzyć nowy - "powszechnego zaufania", do którego by weszli przedstawiciele prawdziwych polskich organizacyj politycznych wraz z komunistami, konferencja w Jałcie też wyraziła przekonanie, że Rząd Tymczasowy powinien ulec przekształceniu na szerszej podstawie demokratycznej z włączeniem działaczy demokratycznych z samej Polski oraz Polaków z zagranicy /.../" i że rząd ten winien nosić nazwę: "Polski Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej".

Skutki tej rozumnej uchwały okazały się jednak nie takie, jak tego oczekiwałem. Rząd londyński Arciszewskiego zaprotestował przeciwko niej, jako powziętej bez jego wiedzy i udziału, na skutek czego tow.: Stańczyk, Szczyrek, Grossfeld i Beluch, dotychczasowi członkowie "Komitetu Zagranicznego PPS", ustąpili z niego, motywując to tym, że nie mogą się zgodzić z obecną polityką rządu londyńskiego. Tow.: Pużak i Zaremba zaś - by przeciwnie stworzyć pozór, że cała partia stoi właśnie po stronie Arciszewskiego i po stronie dawnej ideologii WRN - zwołali dawną Radę Naczelną, pomijając zupełnie uchwały powzięte w Wawrze i ukonstytuowanie się tam już nowej najwyższej instancji kierowniczej Partii. Zebrały się więc zwołane bez mej wiedzy i zgody resztki dawnej Rady w ilości ok. 20 osób, ocalałych przypadkiem z 75 członków reprezentujących niegdyś wszystkie kierunki myślowe i wszystkie okręgi, które nie mogły być już wyrazem całej PPS i jej dążeń. Licząc się jednak z faktem zwołania tych ludzi, zażądałem zaproszenia również członków Rady "wawerskiej" uważając, że wszyscy oni razem mogą być wyrazem opinii Partii, choć nie mogą być w tym składzie instancją, która by miała prawo podejmować uchwały w politycznych kwestiach spornych.

Ze szczerą radością i rozrzewnieniem witałem towarzyszy, których w większości nie widziałem przez długich pięć lat - dziś starych, zdartych pracą przyjaciół, z którymi tyle lat pracowaliśmy razem, kłócąc się nieraz zawzięcie o zasady. Zebranie to wyraziło wówczas opinię, że o współpracy z nową PPS i celowości połączenia się z nią mają decydować poszczególne okręgi zależnie od miejscowych warunków - i pomijając wszystkie zagadnienia sporne, jak: aprobatę dotychczasowej polityki WRN, powstanie warszawskie i udział w rządzie Arciszewskiego, powzięło uchwałę wyrażającą radość z wyzwolenia, chęć utrzymania jak najlepszych stosunków z Sowietami, protest przeciwko Tymczasowemu Rządowi i dążenie do rządów opartych o większość społeczną.

Wreszcie "Tymczasowy Rząd" p. Osóbki, zgodnie z jego własną tezą wyrażoną jeszcze w programie PS, że "rząd ludowy - robotniczo-chłopski /.../ przeprowadzi natychmiast zasadnicze reformy społeczno-gospodarcze, niezbędne do złamania podstaw ustroju kapitalistycznego", a potem dopiero zwoła konstytuantę - starał się przeciągać jak najdłużej swoją władzę i stawiać społeczeństwo przed dokonanymi faktami. Nie licząc się więc zupełnie z wolą większości, wbrew uchwałom w Jałcie, sabotował utworzenie "Rządu Jedności Narodowej" i stanął na stanowisku, że "w chwili obecnej rząd zajęty problemami zasadniczymi i nie cierpiącymi zwłoki" nie ma czasu na wybory i że "kwestia wyborów powszechnych nie stoi w tej chwili na porządku dziennym".

Mimo uchwał krymskich pozostało więc wszystko po dawnemu. Były dalej dwa rządy, dwa Stronnictwa Ludowe i dwie PPS, a w społeczeństwie zapanowała jakaś powszechna mistyfikacja, w której człowiek nie wiedział już, co to de-

mokracja, co dyktatura proletariatu, a co faszyzm.

Demokratyczny Rząd Tymczasowy mając władzę, samowolnie rozwiązywał "zasadnicze problemy" bez społeczeństwa, samowolnie ustalał granice państwowe i w myśl decyzji Sowietów zajmował terytoria zdobyte przez Armię Czerwoną nad Odrą i Nysą, przeprowadzając na nich odpowiednią "akcję przesiedleńczą", wedle której żywioł polski miał siłą zostać przesunięty ze wschodu na zachód. Tłumaczono, że "Polska to kraj między Odrą a wschodnimi dopływami Wisły i między Karpatami a Bałtykiem" i że "każdy naród ma wypisaną dla siebie marszrutę dziejową w kierunku swoich rzek", zapominając przy tym zupełnie o Lwowie, który też leży po zachodniej stronie Bugu i który w myśl tej zasady powinien należeć do Polski. Ci samo ludzie, którzy tak niedawno jeszcze z drwinami nazywali nas "socjal-patriotami", którzy tak niedawno jeszcze kwestionowali przynależność do Rzeczypospolitej Górnego Śląska i Gdańska, teraz przelicytowywali swój "patriotyzm" z endekami i sanacją i zagarniali cały Śląsk i Pomorze aż po Szczecin. Budowali Polskę "w prastarych piastowskich granicach" zapewniając, że "cały naród polski odrzuca z pogardą antypolskie koncepcje reakcyjnej kliki londyńskiej Arciszewskich i Rączkiewiczów, usiłujących zrzec się ziemi na zachodzie".

W imię postępu zwracali tedy oczy w zamierzchłą przeszłość zapominając zupełnie o słowach Stalina, że "byłoby utopią i donkiszoterią cofnąć koło historii", zapominając o rzeczywistości i o dokonanych w niej już zmianach. W imię zaś międzynarodowej solidarności stwarzali państwowy blok słowiańskich narodów, zawierając jednakowe sojusze z Czechosłowacją, z Jugosławią i z Rosją" na przeciąg 20 lat", jakkolwiek sami byli tylko rządem "tymczasowym". W ten sposób znaczenie tego sojuszu z Sowietami, którego chciał zresztą cały naród polski jeszcze za gen. Sikorskiego, zostało osłabione przez to, że zawarł go "rząd tymczasowy". Mimo to zapewniał on, że sojusz ten "stanie się głównym czynnikiem zabezpieczającym nasz naród przed groźbą nowej niemieckiej napaści i czynnikiem zabezpieczającym naszą niepodległość i naszą pokojowość". Szkoda tylko, że nie użył tam jeszcze tych samych słów: "gwarancji" i "gwarantów", jakich użyto za czasów Katarzyny II.

A w końcu - by utrwalić zdobycze "demokracji" i "zniszczyć raz na zawsze faszyzm" - rząd zastosował takie same metody i gwałty, jakie stosowali faszyści. Słabych korumpował dając im chleb, stanowiska i ziemię, chwiejącym się groził, a wobec opornych zastosował przemoc i więzienie. Aresztowano premiera Wincentego Witosa i chcąc go sterroryzować, by zgodził się na "współpracę", obwożono go po kraju - do Brześcia nad Bugiem, gdzie niegdyś siedział za sanacji, a wreszcie, nie wiedząc co z nim dalej zrobić, puszczono go na wolność. Podstępnie uwięziono b. ministra Kiernika, przypomniawszy sobie, że to "krwawy Kiernik"; aresztowano przedstawiciela dawnej PPS w Krakowie tow. Stefana Rzeźnika; aresztowano dyrektora biura dawnej Delegatury krakowskiej i innych przedstawicieli dawnego ruchu podziemnego, a poza tym dokonywano ustawicznie aresztowań wśród dawnych kierowników AK i wybitniejszych działaczy, oskarżając ich czy to o "współpracę z Niemcami", czy o współpracę z "faszystowskim rządem londyńskim".

Wreszcie - z wiedzą czy bez wiedzy rządu polskiego - rząd sowiecki porwał podstępem, pod pozorem obrad nad utworzeniem "Rządu Jedności Narodowej", i wywiózł do Moskwy 16 osób, pośród których był delegat krajowy b. minister Jankowski, trzej jego zastępcy, prezes Rady Jedności Narodowej tow. Pużak, krajowy komendant AK gen. Okulicki i poszczególni przedstawiciele skoalizowanych stronnictw - zupełnie tak, jak swego czasu porwał Repnin senatorów polskich i uwięził w Kałudze. Wbrew prawu uwięziono polskich obywateli, wytoczono im proces i winnych czy niewinnych skazano na karę więzienia, choć byli przecież obywatelami niepodległego państwa polskiego.

Przewidując, że ta "cała plejada tych, którzy faszyzowali Polskę" nie zgodzi się nigdy na dobrowolne ustąpienie wobec dyktatury, rząd traktował ich też tak, jak traktowali faszyści swych wrogów na Montelupich czy na Pawiaku. Trzymano ich często w piwnicach, głodzono i bito zupełnie jak za czasów Gestapo. A dokonywał tego wszystkiego komunistyczny minister, by "bronić demokracji" i uniemożliwić akcję tych, którzy "przeszkadzają siać ziemię odebraną od obszar-

ników" i "przeszkadzają w pracy odbudowy państwa". Zapomniał p. Radkiewicz, że Frank też zapewniał, iż aresztował ludzi tylko po to, by zabezpieczyć chłopom "nabożeństwa, szkoły i ich własne życie" i tylko "celem ochrony życia i własności przed zamachami na dzieła odbudowy" wprowadził sądy doraźne mające karać "elementy, które chciały siać krwawe żniwo za obce pieniądze". Jak generalny gubernator Frank, który skarżąc się na "polski terror" wysyłał Polaków na śmierć lub na męki Oświęcimia, zapewniając równocześnie, że "byłoby szaleństwem przypuszczać, że można cośkolwiek zdziałać podstępem i brutalnością" - polski minister, skarżąc się na terror AK i "obcych agentów", odbierał też wolność słowa i zrzeszeń socjalistom i ludowcom, zapewniając równocześnie obłudnie, że "każdy ruch społeczny, który nie ma podstaw masowych, który nie może przyjść do narodu ze swoją platformą polityczną, ze swoim programem politycznym, który boi się ujawnić swoje oblicze polityczne, sięga do terroru".

Teraz dopiero przekonano się dosadnie, co to znaczy "czasowa dyktatura", którą w imię postępu i wolności propagowała swojego czasu część radykalnych socjalistów, i co to znaczy "przełamać siły reakcji i faszyzmu wszelkimi rozporządzalnymi środkami, gdyby nawet musiały one w okresie przejściowym przybrać charakter dyktatury" - jak uchwalił ostatni kongres PPS w Radomiu. Przekonano się, jak wyglądają w praktyce urzeczywistnione rojenia - i WRN i PS - by "natychmiast po zdobyciu niepodległości przeprowadzić zasadniczą przebudowę gospodarczą i społeczną "bez względu na większość. I przekonano się wreszcie, że znacznie łatwiej ręczyć w oparciu o konspirację o "całkowitej jednomyślności panującej w szeregach rzesz pracujących Polski", jak robił "Rząd Tymczasowy", że to on właśnie jest "wyrazem protestu ogólno-narodowego przeciw bezprawiu emigrantów londyńskich" i przedstawicielem "szerokich milionowych mas obywateli", które stoją po stronie Krajowej Rady Narodowej i Rządu, niż faktycznie respektować wolę większości w społeczeństwie, ustalić jej jakość w sprawiedliwych wyborach i rządzić zgodnie z jej wolą.

Jak za czasów sanacji znowu więc zapanował ohydny frazes wśród rządzących. Usta ich były teraz zawsze pełne "miłości ojczyzny", patriotyzmu i dobra ogólnego i nigdy nie schodziły z nich słowa: "demokracja" i "dobro narodu".

A przecież byłoby znacznie lepiej, gdyby - zamiast powtarzać dawne frazesy z okresu "radosnej twórczości" - ci nowi ludzie rozumieli, że są one zawsze szkodliwe i śmieszne, bez względu na to, czy głoszą je sanacyjni ozonowcy, czy komuniści, broniący nawet "szerokich szlaków morskich" i "prastarych piastowskich granic". Byłoby lepiej, gdyby - zamiast mówić: "demokratyczny rząd", "demokratyczny ustrój" i "demokratyczna Polska" - wprowadzili do niej demokratyczne zasady - i gdyby na czele jej rządu stanął nie jakiś nieznany nikomu Osóbka, lecz osoba obdarzona zaufaniem większości ludności. Byłoby lepiej, gdyby - zamiast powtarzać aż do znudzenia słowa o wdzięczności narodu dla Czerwonej Armii i wyrazy czci dla "wielkiego Stalina", wybijając bizantyjskie pokłony - rozumieli, że prawdziwa przyjaźń może istnieć tylko tam, gdzie jest wolność i równe prawa dla przyjaciół. Byłoby lepiej, gdyby - zamiast utyskiwać na angielskie metody akwizgrańskie i ich łagodność wobec Niemców - przypomnieli sobie słowa św. Augustyna: "Trzeba nienawidzieć błędów, a mieć serce dla błądzących" i słowa cesarza Aureliusza: "bacz, byś nigdy nie postąpił wobec ludzi złych tak, jak oni postępowali wobec ciebie" - rozumiejąc, że tylko tak można zasklepić rany i stworzyć na świecie "lepsze i swobodniejsze istnienie". A wreszcie byłoby lepiej, gdyby - zamiast apoteozować "pracę" i "podnosić ją do najwyższej godności" - umieli ją zorganizować i uszanować tych, którzy ją wykonują.

W takich warunkach rozpanoszenia się frazesu naturalnie cała moja akcja zjednoczenia PPS nie mogła dać efektu i z przykrością musiałem ją odłożyć do dogodniejszego momentu. Sądziłem, że może on nadejść w czasie obrad Międzynarodowej Konferencji w San Francisco, która właśnie zgodnie z uchwałami w Jałcie miała uchwalać statut nowej międzynarodowej organizacji zabezpieczającej stały pokój. Niestety konferencja nie posunęła sprawy polskiej ani o krok i mimo uchwał krymskich ciągle nie zdołano czy nie chciano stworzyć "Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej; tak, że nie tylko Polska w konferencji tej nie mogła być reprezentowana, ale w ogóle problem jej rządu zaogniał się coraz bardziej.

Natomiast na frontach dokonywał się równocześnie zupełny już rozgrom Niemców. Wojska sowieckie zajęły Wiedeń, a potem Berlin, nad którym powiały teraz dumnie sowieckie i polskie sztandary. Anglicy i Amerykanie zajęli Magdeburg, Hamburg, Monachium, Norymbergę, Weimar, Lipsk, Drezno, a Rzesza Niemiecka - mimo kilkakrotnych zaręczeń Hitlera, że "Niemcy nie skapitulują nigdy, choćby wojna nie wiedzieć jak długo trwała" - skapitulowała i zdała się na łaskę i niełaskę zwycięzców. Mussolini za zdradę swojego narodu, jak zbrodniarz został stracony; Hitler popełnił samobójstwo; Himmler schwytany w ucieczce zażył truciznę; Goebbelsa i jego rodzinę znaleziono martwych, a Goering, dumny marszałek Wehrmachtu, Frank, "generalny gubernator", i inni znaleźli się w więzieniu, czekając na sprawiedliwe wyroki, które w półtora roku potem, po procesie w Norymberdze, skończyły się dla nich haniebną śmiercią na szubienicy.

A tak niedawno jeszcze ci ludzie stwarzali "nowy porządek" i wychowywali "nowego człowieka", który by nigdy nie tęsknił do wolności. Tak niedawno reformowali świat i prorokowali, że "państwa, które nie pójdą za ich przykładem, wcześniej czy później upadną". Tak niedawno wykreślali narody z karty Europy", karali te, które nie chciały żyć w ich niewoli, a Anglii - "temu głównemu winowajcy tragedii wojennej" - za to, że broniła wolności, zapowiadali "jasne rozstrzygnięcie, które może być tylko jedno, a mianowicie, że usunięty zostanie ten ustrój nędznych i nikczemnych podżegaczy wojennych". Tak niedawno uderzając na Związek Radzieckich Narodów, "dziękowali Bogu, że natchnął ich we właściwej chwili i obdarzył mocą do spełnienia czynu, który trzeba było spełnić". Tak niedawno chełpili się, że "widocznie sam Stwórca musiał przekazać im historyczną rewizję o rozmiarach nie mających przykładu w dziejach /.../ by w ciągu najbliższych stuleci ukształtowali nie tylko historyczną Europę, ale także historię całego świata". I tak niedawno byli jeszcze panami od Atlantyku po Wołgę i Kaukaz, od podbiegunowych lodów po piaski Sahary - a dziś legli w prochu, nie wiedząc, gdzie by mogli schronić własne głowy. Dziś naród niemiecki, w który wmawiali, że jest "panem świata" i o którego losy zagrali jak szulerzy "va banque" - "być i nie być na dziś i na całą przyszłość" - znalazł się w niewoli, patrząc z rozpaczą na ruiny swych miast, na zniszczenie i na te potworne zbrodnie, których pod wodzą swych dyktatorów dokonywał wczoraj wobec pokonanych.

Dnia 8 na 9 maja w nocy admirał Dönitz imieniem Rzeszy podpisał "bezwarunkową kapitulację", a potem następowało powszechne rozbrojenie wszystkich sił zbrojnych niemieckich. Powracali jeńcy wojenni, powoli wracali robotnicy polscy wywiezieni do Niemiec i odzyskiwali wolność więźniowie obozów koncentracyjnych. Wśród nich był również Rafał więziony od trzech lat w Buchenwaldzie, o którym nie mieliśmy jeszcze żadnej pewnej wiadomości i drżeliśmy, czy żyje i czy wytrzyma te straszliwe katusze, które światu zadał totalizm.

Władza hitleryzmu i faszyzmu skończyła się i zdawałoby się, że wraz z tym kończyła się tragedia ludzkości: totalizm i buta tych, którzy - oparci o bagnety, tanki i armaty - wbrew woli narodów chcieli przemocą uszczęśliwić ludzkość, a na świecie zapanuje wreszcie powszechny pokój i prawdziwa demokracja.

Czytając tedy z przejęciem o jej powrocie, o jej zwycięstwach na Zachodzie, nadsłuchiwałem też,czy i u nas nie usłyszę już jej kroków. Czekałem z największą niecierpliwością, lecz niestety było cicho. Musiałem więc bezczynnie siedzieć w Myślenicach - bo tak, jak nie mogłem się zgodzić w roku 1926 na demokrację Piłsudskiego, jak nie mogłem się pogodzić z pomysłami własnych towarzyszy o "czasowej dyktaturze", jak nie mogłem się zgodzić na "demokrację kierowaną" OZN i na zapowiadaną "natychmiastową przebudowę" WRN czy PS - tak i dziś nie mogłem się pogodzić w swej duszy z tą nową demokracją, którą nieśli zwolennicy dyktatury proletariatu i przemoc Sowietów. Stojąc niezłomnie na swoim stanowisku nadsłuchiwałem też równocześnie, czy nie usłyszę kroków milicjantów przychodzących, by mnie aresztować jako jednego z "wrogów demokracji" i wolności. I bodajże od czasów napadów "niewyśledzonych sprawców", od gróźb marsz. Piłsudskiego zapowiadającego w czasie "brzeskich wyborów" nowe "transze" aresztowań, poprzez głuche wieści o jakiejś nowej czystce

marsz. Śmigłego czy OZN-u, pogróżki zamknięcia mnie do Berezy Kartuskiej, obawy przed gwałtami Gestapo, aż do obecnej działalności UB i NKWD, który gdzieś odgrzebał moje "Refleksje" i groził - nie zaznałem już poczucia prawdziwego bezpieczeństwa i pewności swej własnej wolności. Bowiem - jak przed blisko dwustu laty powiedział Montesquieu - "wolność polityczna zasadza się na spokojności umysłu, wynikającej z przeświadczenia o własnym bezpieczeństwie" - i na odwiecznej zasadzie: "Habeas Corpus" czy "nominem raptivabimus nisi i ure Victum". Tam, gdzie nie ma bezpieczeństwa, tam nie ma wolności.

Ja zdawałem sobie sprawę z tego od samego początku, lecz również zdawałem sobie sprawę, że żadne narzekania nie zmienią naszego ciężkiego położenia w niczym, dopóki sami nie zaczniemy aktualnie działać. Toteż, kiedy dostałem zaproszenie na rozmowę z premierem Osóbką w sprawie połączenia obu grup PPS, przyjąłem je bardzo chętnie - tym bardziej, że w mej podróży miał mi towarzyszyć stary mój przyjaciel Paweł Markowski i sympatyczny dla mnie bardzo, młody wojewoda krakowski, tow. Ostrowski.

Przyjechawszy do Warszawy stanąłem w hotelu "Polonia" - w tym samym, w którym ostatnio mieszkałem w pierwszych dniach września 1939, gdy wróciłem z Druskienik. Hotel, restauracja i służba nie zmieniły niemal zupełnie swojego wyglądu i ducha. Zastałem tych samych metrhoteli i tych samych kelnerów, którzy z taką samą powagą podawali wykwintne przekąski , wódki i potrawy - tylko podawali je teraz innym, nowym gościom.

Natomiast zmienił się nie do poznania wygląd ulic warszawskich. Dworzec zapadł się niemal zupełnie pod ziemię, a naokoło, jak tylko można było sięgnąć okiem, nie było widać nic, jak tylko ruiny, ruiny i ruiny. Na ulicach, przy których sterczały teraz jakieś potworne szkielety domów straszących pustymi oczodołami okien, panowała cisza. Ustała bowiem prawie cała komunikacja; nie było tramwajów ani dorożek i tylko rzadko przejeżdżały auta nowych dygnitarzy wojskowych i cywilnych lub sennie przesuwały się "riksze", przewożące rowerami nowobogackich, którzy pozwalali, by w tym "demokratycznym" ustroju jeden człowiek swoją własną siłą przenosił drugiego.

Martwe miasto, a jednak wśród jego gruzów żyło już wówczas blisko 200 tysięcy ludzi, którzy starali się odtworzyć dawne hulaszcze, beztroskie i wesołe życie warszawskie. Wśród ruin powstawały nowe restauracje, nowe kawiarnie, nowe sklepy i nowe stragany przekupniów i kwiaciarek, które nie bacząc na makabryczne otoczenie, jak za najlepszych czasów sprzedawały swe wspaniałe kwiaty. Były punkty, jak na przecięciu Alei Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej, na ulicy Poznańskiej, na Nowym Świecie i na Placu Napoleona, że ruch pieszy był niemal tak silny, jak przed wojną. Ludzie przede wszystkim handlowali, pośredniczyli, zalecali swe towary, lecz obok nich byli również ci, co pracowali twórczo w fabrykach i w warsztatach. Wśród tych ostatnich spotkałem p. Marysię Niedziałkowską, która objęła dawne swoje stanowisko w elektrowni, i powitałem ją z prawdziwym rozczuleniem.

Pod wieczór rządowe auto przywiozło mnie na Pragę, gdzie mieściła się Rada Ministrów. Już, gdy jechałem przez drewniany most, uderzyły mnie niemiło wschodnie "ikony": portrety prezydenta Bieruta, premiera Osóbki i marszałka Żymirskiego, a potem znowu marszałków rosyjskich i Stalina, aż wreszcie z przerażeniem zobaczyłem szeregi żołnierzy, którymi ten nowy demokratyczny rząd odcinał się od ludności.

P. premier Osóbka przyjął mnie w prywatnym mieszkaniu bardzo uprzejmie i natychmiast rozpoczęliśmy rozmowy co do możności połączenia obu grup PPS.

Po jednej stronie stałem ja i Paweł Markowski, a po drugiej premier Osóbka, Minister Sprawiedliwości Świątkowski i wojewoda krakowski Ostrowski, do których wnet przyłączył się minister propagandy Matuszewski i tow. Stanisław Szwalbe, który jako wiceprezydent KRN stawał się coraz bardziej decydującą figurą i w partii i w Polsce. Ten ostatni, jakby zupełnie mimochodem, zawiadomił mnie też, że dnia 15 czerwca mają się rozpocząć w Moskwie konsultacje nad utworzeniem nowego "Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej", do którego również i ja zostałem zaproszony. Ponieważ ustaliliśmy już przedtem zasady, że członkowie dawnej PPS wejdą bez wyjątków do nowej, odłożyliśmy szczegóły tego połączenia aż do Moskwy.

Rzeczywiście na drugi dzień zjawił się u mnie w hotelu p. ambasador Lebiediew i wręczając oficjalne zaproszenie - "Komisji Trzech" pp. "komisarza ludowego Spraw Zagranicznych ZSRR W.M. Mołotowa, ambasadora Wielkiej Brytanii - Archibalda Kerr'a i ambasadora Stanów Zjednoczonych Ameryki W.A. Harrimana" - zawiadomił mnie o ich decyzji i prosił, ażebym celem wzięcia udziału w konsultacjach wyjechał aeroplanem do Moskwy.

Niespodziewanie miałem się więc znaleźć w stolicy Sowietów. Nie mogąc się w tej sprawie przedtem porozumieć z nikim w Partii, a uważając, że usunięcie się od tych konsultacji byłoby wielkim błędem, zadecydowałem sam wziąć w nich udział - tym bardziej, że miałem tam być nie jako przedstawiciel PPS, lecz jako człowiek, który w społeczeństwie polskim zdobył sobie pewien stopień zaufania.

Dnia 13 czerwca znalazłem się więc na pokładzie aeroplanu, który mnie miał zawieźć do Moskwy. Latałem pierwszy raz w swym życiu. Wznieśliśmy się wysoko, około 2000 m ponad poziom i płynęliśmy spokojnie bez jakichkolwiek wstrząsań, wśród wspaniałej pogody, obserwując pod nogami skłębione chmury, które niemal zupełnie zasłoniły nam ziemię. Razem ze mną jechali również prof. Krzyżanowski i dr Kołodziejski oraz min. Rzymowski, wiceprezydent Szwalbe, p. Bańczyk, przedstawiciel nowego Stronnictwa Ludowego i wpływowy redaktor "Rzeczypospolitej" p. Borejsza, którzy - jakkolwiek nie byli członkami konsultacji - to jednak też chcieli wpływać na ich przebieg. Natomiast osobno koleją jechał prof. Kutrzeba, prezes Akademii Umiejętności, razem z uczestnikami zjazdu naukowców, który właśnie odbywał się w Moskwie.

W Moskwie ulokowano nas w znanym Hotelu "National", w pięknych apartamentach, z których balkonu roztaczał się wspaniały widok na Kreml. Podziwiałem z zewnątrz cudny Sobór św. Zofii, mauzoleum Lenina i z daleka patrzyłem na otoczone murami budowle Kremla, ale wejść tam wszędzie już nie było wolno. Siedziba rządu Stalina, parlament były jak twierdza odcięte od szeregu tłumu i dostać się tam było można już tylko po przebyciu szeregu kordonów NKWD, które bardzo skrupulatnie badały wystawione przepustki.

Poza Kremlem Moskwa nie jest jednak ciekawa. Płaskie duże miasto, pozbawione jakichś ciekawych starych zabytków, jakichś wielkich monumentalnych budowli, pomników czy nawet kawiarń lub sklepów, w którym ostatnio poprzecinano jednak wspaniałe szerokie bulwary. Mimo nazwy, ta "czerwona" Moskwa robi przede wszystkim wrażenie szarej - bez wyrazu. Szare jest w niej niebo, szare ulice, szare konsumowe sklepy, szare domy i szary tłum ludzki. Przejeżdżałem przez nią niemal wzdłuż i wszerz jeżdżąc do "daczy" pod miastem, w której mieszkali przedstawiciele polskiego "Rządu Tymczasowego" i uderzyło mnie, że wśród tej ogólnej szarzyzny widzę ciągle bogatych i biednych, zbytek i nędzę. Widziałem na przedmieściach walące się domy, nędzne i odrapane - i wspaniałe wille,- widziałem stołówki ludzi pracy, brudne - i bankiety, jakie wydawali dygnitarze państwowi. Widziałem ludzi niemal obdartych, a obok nich wspaniałe mundury i piękne, jak z igły, ubrania kobiet i mężczyzn - i widziałem na ulicach śmiejących się robotników i robotnice, kiepsko odżywionych i kiepsko ubranych, a równocześnie płynąco w długich szeregach, jak w Paryżu, wspaniałe auta, w których rozpierali się dygnitarze wojskowi i cywilni. Mam wrażenie, że w Moskwie - tak, jak na całym świecie - jest bogactwo i bieda, tylko tam te różnice oparły się nie na posiadaniu ziemi czy fabryk, lecz na zakresie posiadanej władzy jednych nad drugimi.

W dwa dni po naszym przybyciu przyleciał aeroplanem p. Mikołajczyk i Stańczyk w towarzystwie sekretarzy, wśród których był również przemiła p. Stefa Liebermanowa. Stańczyka przywitałem z prawdziwym rozczuleniem, gdyż nie widzieliśmy się przez długich sześć lat, w czasie których on został ministrem i podróżował po całym niemal świecie, a ja - kryjąc się przed "Gestapo" - ocierałem się ustawicznie o Oświęcim. Uprzejma p. Stefa przywiozła mi też kilka numerów londyńskiego "Dziennika Polskiego" i "Dziennika Żołnierza" i trochę wiadomości z emigracji.

Jeszcze 13 czerwca radio londyńskie - pytając się - kto są ci ludzie, których powołano do konsultacji nad utworzeniem nowego rządu - wyjaśniło, że Witos Wincenty był przywódcą Stronnictwa Ludowego. Liczy 71 lat i przed wojną

był trzykrotnie premierem; Zygmunt Zuławski, prezes Rady Naczelnej, był przywódcą ruchu zawodowego w Polsce i sekretarzem generalnym Komisji Centralnej Związków Zawodowych, a w czasie okupacji niemieckiej był jedną z czołowych postaci podziemnej walki PPS. Prof. Krzyżanowski Adam i prof. Stanisław Kutrzeba byli profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego: pierwszy profesorem prawa, drugi - historii Polski, a dr Henryk Kołodziejski był przed wojną bibliotekarzem biblioteki sejmowej od początku istnienia Sejmu".

Lecz już nazajutrz, dnia 14 czerwca, "Dziennik Polski" i "Dziennik Żołnierza" - dowiedziawszy się, że przyjęliśmy zaproszenie do Moskwy - doniósł, że "Ludzie ci są, a raczej byli zasłużeni w różnych dziedzinach życia. Nie brali wszakże udziału w ruchu podziemnym w Polsce, są starzy i schorowani od dawna. Ich możliwości polityczne są żadne. Nikogo nie reprezentują. Wyjątkiem jest Wincenty Witos, niewątpliwy przywódca Stronnictwa Ludowego w Polsce, i człowiek niepospolity. Zaproszenie do podróży moskiewskiej pomija wszystkie żywe siły społeczne i polityczne, które prowadziły ruch podziemny w Polsce"

Opinie swe o zaproszonych zmieniał w ten sposób "Dziennik Polski" zawsze zależnie od potrzeby, już w dwa dni później - donosząc, że "Wincenty Witos, duchowy przywódca Stronnictwa Ludowego, jeden z nielicznych pozostałych przy życiu wielkich polityków polskich ubiegłej epoki, nie weźmie udziału w obradach" - starał się mój udział w nich usprawiedliwić tym, że zostałem sterroryzowany do wyjazdu. Zapominając o tym, jak charakteryzował mnie jeszcze przed dwoma dniami, pisał teraz, że "jedynym nazwiskiem wśród pozostałych zaproszonych, które ma znaczny walor polityczny, jest nazwisko Zygmunta Zuławskiego. Stary działacz socjalistyczny, o wybitnie patriotycznej postawie osobistej podczas okupacji niemieckiej, prezes Rady Naczelnej PPS, choć nie wchodził w skład władz Polski Podziemnej - podobnie zresztą, jak Wincenty Witos - to jednak utrzymywał stale żywy kontakt z ruchem podziemnym. Jest on w Polsce - a to tłumaczy wszystko".

Może słusznie ocenił też "Dziennik Polski" w Londynie, że "obecne warunki w kraju wpływają na to, że sprawy składu osobowego uczestników obrad moskiewskich, a nawet sprawa składu ewentualnego rządu nie jest zagadnieniem pierwszoplanowym. Najistotniejsze znaczenie w Polsce ma sprawa systemu i atmosfery politycznej". Nie rozumiał on jednak, że - by ten system zmienić i wprowadzić do Polski nową atmosferę polityczną - trzeba było przede wszystkim doprowadzić do istnienia jednego tylko rządu - takiego, który by uznała większość społeczeństwa i wszyscy sojusznicy - zarówno Sowiety jak Anglia i Stany Zjednoczone.

To przeświadczenie, zwłaszcza gdy w zastępstwie chorego Witosa przybył b. minister dr Władysław Kiernik - zapanowało też wśród delegatów krajowych prawie powszechnie. Rozumieliśmy, że w razie nieosiągnięcia zgody "Rząd Tymczasowy" będzie nadal rządził nieuznany przez Anglię i Amerykę i w oparciu o Sowiety będzie przeprowadzał nadal wbrew woli społeczeństwa swoje "demokratyczne reformy". Uświadomiliśmy sobie wszyscy, że - by ten stan zmienić - trzeba w myśl uchwał krymskich przede wszystkim stworzyć jeden rząd - "Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej", rozszerzyć pojęcie "demokratycznych stronnictw," a zwłaszcza zmienić skład Stronnictwa Ludowego i PPS, zneutralizować wyłączne dotąd wpływy sowieckie wpływami Anglii i Ameryki - i wreszcie uznać, że nie rząd i nie cztery uznane stronnictwa, lecz przeprowadzone powszechne wybory mają rozstrzygnąć o tym, kto ma rządzić w Polsce.

Z tego zdawali sobie jednak sprawę również przedstawiciele "Rządu Tymczasowego" i Sowiety, toteż - nie kwapiąc się do zmiany istniejącego stanu - stawiali coraz to wyższe żądania. Ponieważ od samego początku wyłoniła się myśl, że Polacy powinni starać się zgodę osiągnąć sami, bez obcych czynników - rozpoczęły się obrady w obrębie samej polskiej delegacji. Pierwsze te nasze zebrania w Ambasadzie polskiej nie rokowały jednak zbyt dużych nadziei na pomyślny ich rezultat. Postawiłem więc wniosek, by wybrać komisję, która by przez swe wnioski przygotowała i ułatwiła ogólne porozumienie.
Jak pisał później o tym prof. Kutrzeba w swym "Tygodniku Powszechnym", weszli do tej "Komisji" pp. Kiernik /Stronnictwo Ludowe/, Szwalbe /PPS/ i Gomółka /PPR/. Długa dyskusja prowadzona przez cały dzień we środę przeciągnęła się

także i na czwartek 21 czerwca, aż wreszcie o godzinie 4. -ej zebrała się pełna delegacja dla przyjęcia wniosków. Były w stosunku do nich różne zastrzeżenia, ale ostatecznie zostały przyjęte. Uchwalono przeprowadzić zmianę składu Prezydium Krajowej Rady Narodowej tak, by obok prezydenta Bieruta, jako jego zastępcy, stanęli trzej przedstawiciele stronnictw, mianowicie jako pierwszy p. Witos, p. Szwalbe i p. Stanisław Grabski z Londynu. Jako nowi ministrowie zostali zaproszeni do Gabinetu: p. St. Mikołajczyk jako wicepremier i minister rolnictwa, p. Kiernik jako minister administracji publicznej, jako minister oświaty p. Wycech, który był już nim poprzednio z ramienia Rządu Londyńskiego w czasie okupacji niemieckiej - i wreszcie młody jeszcze inżynier Stanisław Thugutt, syn b. ministra Thugutta. Ze strony socjalistów zostali przedstawieni p. Zuławski, szeroko znany działacz PPS, nieskazitelnego charakteru oraz p. Kołodziejski; ci dwaj jednak, mimo nalegań i tłumaczeń, ze względu na stan zdrowia nie zgodzili się - na objęcie ofiarowanych im stanowisk.

Powzięte uchwały Delegacji Polskiej, ujęte w osobnym komunikacie, przedstawione zostały na kolejnych, odbytych we wspaniałej sali "okrągłego stołu" posiedzeniach "Komisji Trzech" - p.p. Mołotowowi, Kerr'owi i Harrimanowi, który specjalnie podkreślił konieczność przeprowadzenia jak najprędzej nieskrępowanych niczym wyborów powszechnych. Dla mnie ta kwestia nowych "swobodnych wyborów" była też najważniejsza - ważniejsza niż skład Rządu i termin wyborów. Gdy bowiem potrafiliśmy czekać na nie przez blisko 20 lat, to potrafilibyśmy czekać jeszcze dłużej, byleby tylko były one faktycznie "swobodne" i były wyrazem prawdziwej woli większości narodu.

W odpowiedzi na to p. Bierut - imieniem całego rządu i całej delegacji - uroczyście zobowiązał się przeprowadzić je. Równocześnie zapowiedział mianowanie nas wszystkich "konsultantów" członkami KRN, na skutek czego zostałem też na nowo "posłem", jakkolwiek pierwszy raz nie wybranym przez wyborców, lecz mianowanym przez władzę.

W Moskwie wśród wszystkich dygnitarzy, z którymi zetknąłem się w czasie konsultacji, najsympatyczniejszy dla mnie był ambasador Stanów Zjednoczonych p. Harrtman, z którym zresztą - zaproszony przez niego razem z prof. Kutrzebą na lunch - miałem sposobność mówić dużo i szczerze o stosunkach polskich.

Wszystkie te obrady, konferencje i przyjęcia zakończył wydany przez p. Stalina wspaniały bankiet na cześć nowego Rządu Jedności Narodowej i na cześć zwycięskiej armii, która nazajutrz miała uroczyście obchodzić swe święto zwycięstwa. W bogatej sali na Kremlu zebrało się kilkadziesiąt osób, Polaków i Rosjan: delegaci Komisji Konsultacyjnej i generałowie obu armii z orderami, komisarze ludowi, prezydent Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i prezydent Polskiej Krajowej Rady Narodowej, posłowie i inni dygnitarze sowieccy i polscy - przy wspólnym stole, przy którym - zupełnie jak za dawnych czasów - jedzono, pito i toastowano.

W podnoszeniu tych toastów niestrudzonym okazał się zwłaszcza p. Mołotow - i gdy wymienił moje nazwisko, spowodował również i mnie do zabrania głosu. Powiedziałem mniej więcej w ten sposób: "Jesteśmy pod znakiem polsko-sowieckiej przyjaźni i wszyscy pijemy na jej zdrowie. Wiem jednak, że przyjaźń narodów zależy nie od ilości toastów i od ilości wypitego wina, lecz od stopnia ich wzajemnej szczerości. Dlatego też z całą szczerością przyznaję, że między moim narodem a narodem rosyjskim były dotąd walki, była krew, - że między moją partią: PPS, a partią komunistyczną były uprzedzenia i niechęć, ale też i z całą szczerością wyrażam przekonanie, że przeszłość nigdy nie powinna zasłonić przyszłości. Z całą szczerością - jako Polak i jako socjalista - przekonany, że te dotychczasowe konflikty i walki nie przyczyniły się nigdy do szczęścia naszego narodu i do ugruntowania wolności na świecie, deklaruję naszą szczerą przyjaźń dla radzieckich narodów i wnoszę toast na szczęście, pomyślność i wielkość ich Związku".

Odpowiedział mi na to natychmiast p. Stalin mówiąc, że faktycznie pomiędzy Polską i Rosją była krew, ale to było dawniej - za caratu, że to jest już przeszłość. Dziś nowa Rosja chce zastąpić tę dawną nieprzyjaźń, prawdziwą i trwa-

...łą przyjaźnią. Jeśli ktoś zaś na słowo w nią jeszcze nie wierzy, musi uwierzyć wytworzonym faktom.

Nazajutrz odbyła się zapowiedziana "rewia zwycięstwa", w której defilowały przed Stalinem niezliczone oddziały poszczególnych broni i która jeszcze raz potwierdziła dla mnie tezę, że militaryzm jest zawsze jednakowy bez względu na kolor.

Dnia 27 czerwca wyjechałem z Moskwy przekonany, że rolę konsultanta spełniłem uczciwie i dobrze. Jakkolwiek bowiem panujące w danej chwili stosunki w Polsce pozostały nadal ciężkie i niemiłe, jakkolwiek skład nowego rządu, a zwłaszcza utrzymanie odrębnych ministerstw "Bezpieczeństwa" i "Propagandy" nie mogło zadowolić nikogo, to jednak powstała teraz możność zmiany tych stosunków przez zapowiedziane swobodne wybory, przez współdziałanie Ameryki i Anglii i przez zjednoczenie wszystkich ludowców i wszystkich socjalistów w obrębie jednoczących się równocześnie PPS-ach i Stronnictwach Ludowych.

Był to raczej krótki sukces. Zagwarantowane swobodne wybory okazały się bardzo wnet tylko fikcją, a ludowcy, wśród których ogromną większość stanowili zwolennicy Witosa i Mikołajczyka, już w czasie pertraktacji podzielili się na nowo na Stronnictwo Ludowe i na Polskie Stronnictwo Ludowe - i niemal to samo stało się również w obozie socjalistycznym.

Zgodnie z zapowiedzią, rzuconą w Warszawie, ustaliliśmy w Moskwie warunki połączenia obu grup PPS i miałem wrażenie, że zarówno tow. Osóbka jak i tow. Szwalbe zgodzili się po targach, by połączenie czy włączenie - bo nie chodziło mi o słowa i prestiże, lecz o istotę rzeczy - nie pozostawiło nikogo poza ramami obu dotychczasowych socjalistycznych organizacji. Dowiedziawszy się, że nowa PPS zwołała właśnie swój kongres na koniec czerwca, proponowałem zrazu, by ten kongres odroczyć. Gdy zaś wytłumaczono mi, że jest to niemożliwe choćby już tylko z czysto technicznych względów, zgodziłem się z przykrością na jego odbycie z tym, że kongres ten pozostawi nam odpowiednią ilość miejsc w nowych wspólnych władzach, a ja - celem powzięcia formalnej decyzji o połączeniu na tych warunkach - zwołam na najbliższe dni posiedzenie Rady Naczelnej podziemnej PPS. Obaj więc z tow. Stańczykiem, który miał objąć tekę w Rządzie Jedności Narodowej, nie mieliśmy aż do tego czasu przystępować do nowej PPS. Zgodnie z tym ja wystosowałem jedynie do jej kongresu serdeczne powitanie listowne, a on miał go witać jako nowy socjalistyczny minister, nie przyjmując we władzach nowej partii żadnego stanowiska aż do czasu dokonania formalnego połączenia, o którym miała zadecydować nasza Rada Naczelna.

W liście swym do Kongresu pisałem też: "Drodzy Towarzysze: Nie mogąc jeszcze z formalnych względów brać udziału w waszym Kongresie - jako jeden z weteranów PPS i długoletni przewodniczący jej Rady Naczelnej, choć w tej formie przesyłam wam najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia jej najpomyślniejszych obrad.

W minionych ciężkich latach okupacji, którą opłaciliśmy strasznymi ofiarami wolności i życia, były nieraz wśród nas przykre rozłamy i polityczne rozterki, nie zawsze łączyło nas wspólne dążenie do socjalizmu, wspólna wiara, że nie ma postępu i wolności bez demokracji i wspólne umiłowanie niepodległości naszego narodu.

Toteż dziś, gdy coraz bardziej zwycięża wśród nas przekonanie, że te ideały można osiągnąć tylko przez stworzenie wielkiej siły z całej klasy robotniczej i przez zgodną współpracę z naszymi zwycięskimi sojusznikami - ze Związkiem Radzieckim, z Ameryką i Anglią, coraz bardziej zacierają się wśród nas dotychczasowe różne orientacje. Coraz bardziej i z coraz większą siłą ogarnia nas wszystkich dążenie do wspólnych szeregów i do wspólnej pracy nad urzeczywistnieniem naszych wielkich ideałów.

Wierzę głęboko, że obecny Kongres, który witam gorąco i szczerze, przyczyni się do usunięcia resztek uprzedzeń i nieufności i stanie się początkiem naszej wspólnej pracy dla dobra klasy robotniczej i dla socjalizmu".

Niestety stało się inaczej. Tow. Stańczyk - jak pisał potem do mnie w liście - uważał, że "w tych warunkach nie mógł się poprostu procesować o moment wejścia do Rady Naczelnej i CKW", i nie mogąc się oprzeć "uczuciowemu

klimatowi i nastrojom" uznał, że "w chwili i warunkach, jakie przeżywamy, względy formalne i prestiżowe są drobiazgami". Nie doceniając wielkiej roli, jaką miał odegrać, stwarzając swoją osobą pomost pomiędzy dawną a nową PPS, tow. Stańczyk pospieszył się z deklaracją przystąpienia do nowej i tym zdradził socjalizm i to, cośmy razem umówili w Moskwie. Jemu samemu dało to też potem odskocznię dla zrobienia osobistej kariery, lecz dla nas, dla sprawy połączenia i socjalizmu spowodowało nowe i przykre trudności.

Zwołana przeze mnie Rada Naczelna podziemnej PPS po burzliwej dyskusji wybrała dnia 5 lipca komisję z pięciu towarzyszy, do której wszedłem ja, tow. tow. Kłuszyńska, Szczerkowski, Nowicki i Garlicki, a zatem prawie wszyscy zwolennicy połączenia i współpracy z nową organizacją. Komisja ta miała rozpocząć pertraktacje co do połączenia obu grup, względnie zalegalizowania nowej socjalistycznej organizacji politycznej. Tę ostatnią ewentualność rząd odrzucił jednak a limine, wobec czego trzeba było ustalać warunki połączenia, które ustaliliśmy też po 3 dniach razem z tow. Szwalbe i Osóbką - z tym, że dla formy ma zaakceptować je jeszcze CKW zwołany w tym celu nazajutrz. Niestety CKW zdezawuował swego prezesa i premiera, który - nie spodziewając się tego - zamówił już nawet wspólny bankiet na cześć dokonanej zgody.

Po tym posiedzeniu tow. Osóbka, który dotąd szedł szczerze w kierunku połączenia, zaczął się wycofywać i w długich, mętnych wywodach radził, by się "nie spieszyć", by "wniknąć przedtem w swoje własne dusze" i zobaczyć, czy sprawa połączenia faktycznie już "dojrzała". Dla mnie ta jego mowa była jak smaganie biczem. Totoż - konstantując krótko, że w marcu w Krakowie osiągnęliśmy zgodę co do sposobu połączenia, którą rozbili wysłannicy CKW - i że dziś znowu dokonaną zgodę rozbijają ci sami ludzie, chciałem p.premiera pożegnać i wstałem. Lecz wówczas on, jak żak, zaczął się kręcić i nie mogąc wykrztusić swych słów prosił, byśmy razem zjedli przygotowany już wspólny obiad. Jeśli mowa Osóbki była dla mnie niespodzianką, to zaproszenie na wspólny bankiet było już jak grom z jasnego nieba. "Jakże chcecie - odpowiedziałem od razu - byśmy jedli razem jak przyjaciele, gdyście dopiero co czynami potraktowali nas jak wrogów". I na ten temat rozpoczęła się dyskusja, w czasie której uświadomiłem sobie, że odejście w tych warunkach znaczyłoby stworzyć jeszcze większy rozdźwięk. Gdy więc ktoś zaproponował, byśmy po obiedzie rozpoczęli na nowo swe rozmowy, zgodziłem się i na bankiet i na nowe pertraktacje.

Przy pomocy tow. Szwalbego sklecono nową umowę następującej treści:

"Po odbyciu rozmów w dniach 10, 11, 12 i 13 lipca między przedstawicielami PPS a delegacją Rady Naczelnej Podziemnej Grupy PPS obie strony uznają, że w wyniku utworzenia po konsultacjach w Moskwie Rządu Jedności Narodowej powstały warunki umożliwiające pełną jedność Partii.

Rada Naczelna Podziemnej PPS: 1/ uznaje zasadnicze wytyczne polityki Rządu Jedności Narodowej, oparte między innymi na przyjaznych stosunkach ze Związkiem Radzieckim i współpracy czterech stronnictw demokratycznych. 2/ uznaje uchwały XXVI Kongresu PPS.

Rada Naczelna dokooptuje do swego grona osoby wskazane przez Grupę Podziemną PPS.

CKW PPS oświadcza, że gwarantuje bezpieczeństwo dla ludzi dotychczas pracujących w Podziemnej PPS oraz że członkowie Podziemnej PPS uważani będą za członków jednolitej partii, korzystających w pełni z wewnętrznej demokracji w partii, na równi z innymi członkami. Osoby, które nie zaakceptują zasad niniejszego porozumienia pozostawią się poza ramami partii.

Do KRN wejdą również osoby z dotychczasowej PPS".

Poza tym do tej umowy dołączone zostały następujące "uchwały wewnętrzne": "1. Rada Naczelna PPS dokooptuje do swego grona osoby należące dotychczas do Grupy Podziemnej PPS; CKW przedstawi na CKW i na Radzie Naczelnej nazwiska następujących towarzyszy: Bielnik, Bocian, Cohn, Garlicki, Kłuszyńska, Krieger, Markowski, Nowicki, Rzeźnik, Szczerkowski, Szczucki, Wilczyński, Woliniewska, Zdanowski i Zuławski - z wnioskiem o dokooptowanie do Rady Naczelnej. 2. Do Krajowej Rady Narodowej winni być powołani tow.tow. Bień, Garlicki, Krieger, Markowski, Nowicki, Rzeźnik, Szczucki, Szczerkowski i Zdanowski.CKW dołoży starań

aby te osoby weszły w skład KRN. 3. Tow. Dorota Kłuszyńska przewidziana jest na przewodniczącą RTPD i z tego tytułu winna wejść również do KRN. 4. Towarzysze Zaremba, Dzięgielewski, Białas i Sokołowski powstrzymają się od udziału w życiu politycznym do czasu zmiany tej decyzji. 5. Uchwała Rady Naczelnej Podziemnej Grupy PPS aprobująca niniejsze porozumienie zostanie podana do wiadomości przewodniczącego CKW PPS tow. Osóbki Morawskiego - odpowiednia uchwała CKW PPS - do wiadomości towarzysza Żuławskiego."

Z ciężkim sercem przedłożyłem tę umowę do ratyfikacji Radzie Naczelnej zdając sobie sprawę, że z jednej strony przy szczupłości przedstawicieli dawnej PPS mogą zdobyć w ciałach kierowniczych przewagę elementy obce ideologii socjalistycznej; z drugiej, że powoduje ona niezasłużone ofiary z naszych własnych szeregów. Po długiej dyskusji umowa została jednak ratyfikowana jednomyślnie i nawet ci towarzysze, od których żądała, by się "powstrzymali od udziału w życiu politycznym" uznali, że ich osoby nie mogą się stać przeszkodą dla połączenia i przyszłego rozwoju Partii.

Dużą satysfakcją było dla mnie jedynie to, że to moje konsekwentne dążenie do zjednoczenia lekkomyślnie rozbitych szeregów ocenione niemal ze wszystkich stron. Z Londynu otrzymałem od tow. Grossfelda i szeregu towarzyszy zapewnienie, że "dążenie Wasze do zjednoczenia wszystkich elementów socjalistycznych w obrębie jednej PPS uważamy za niezmiernie ważne i doniosłe i stawiamy się do Waszej dyspozycji oświadczając gotowość natychmiastowego powrotu do kraju i podjęcia pracy na posterunkach przez partię naszą wyznaczonych". Z Nowego Yorku zaś przesłano mi rezolucję, w której towarzysze "witają z największym uznaniem wysiłki tow. Zygmunta Żuławskiego w kierunku skupienia wszystkich grup socjalistycznych w jednej, zjednoczonej Polskiej Partii Socjalistycznej, której jako karni członkowie oddajemy się do dyspozycji".

Niestety mimo tych pięknych deklaracji poszczególnych towarzyszy, że są "do mej dyspozycji", prawie wszyscy oni - nie mogąc się oprzeć pokusie zrobienia kariery przy nowym reżimie - stanęli potem przeciwko mnie, po stronie CKW, który ulegając coraz bardziej komunistom wcale nie chciał połączenia, lecz kooptacji - takiej samej zresztą, jakiej chciał swojego czasu, w roku 1942, tow. Pużak w stosunku do PS. Chociaż więc ja zawiadomiłem bezzwłocznie o naszej uchwale ratyfikacyjnej tow. Osóbkę, on milczał przez szereg miesięcy. W końcu - zwracając uwagę w liście do tow. Szwalbego, że tego rodzaju "milczenia w niewygodnych sprawach nie można uważać za wyraz przyzwoitości politycznej" - prosiłem go o "oficjalną jasną odpowiedź". Odpowiedział mi jednak wykrętnie: To raz, że "CKW umowy nie ratyfikował", to znowu, że "nie było można osiągnąć ostatecznej uchwały CKW", lecz "nie przewiduje by była ona pozytywna" i radził, bym "dla dobra przyszłej PPS zlikwidował swoją grupę w całości i później, jako część ze mną na czele, wstąpił do organizacji" zapewniając, że "wytworzone wewnętrzne i zewnętrzne warunki tylko taką drogę nakreślają /.../ i w stale zmieniających się okolicznościach". Nie mogąc więc się zgodzić na tę metodę dokonywania zmian w raz już powziętych rozstrzygnięciach zależnie "od zmieniających się okoliczności" - skonstatowałem, że zawarta umowa znowu została przez CKW odrzucona.

Nie pozostało nam tedy nic innego, jak tylko starać się znowu o zalegalizowanie odrębnej partii socjalistycznej. Nazwaliśmy ją "Polską Partią Socjal-no-Demokratyczną" i ustaliwszy jej ideologiczne zasady wnieśliśmy odpowiednie podanie do Prezydium Rady Ministrów i do Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Politycznych przy Krajowej Radzie Narodowej. Podpisałem je ja, tow.tow.Grzecznarowski Józef, były prezydent miasta Radomia, Karlicki Stanisław były członek Rady Naczelnej PPS, Kłuszyńska Dorota, była przewodnicząca organizacji kobiet, Bień Aleksander były prezydent Sosnowca, Zdanowski Antoni, były sekretarz Komisji Centralnej Związków Zawodowych, Woliniewska Lucyna, długoletnia inspektorka pracy, Woszczyńska Stanisława, była wiceprzewodnicząca Rady Naczelnej PPS, Szczerkowski Antoni były przewodniczący Związku Włókniarzy, Bocian Zygmunt, były sekretarz Centralnego Związku Chem., Cohn Ludwik, były przewodniczący organizacji Młodzieży TUR, Szczucki Władysław, były sekretarz Związku Drukarzy, Markowski Wincenty - Paweł, znany działacz w okręgu Borys-

ławskim, Rzeźnik Stefan, kierownik organizacji podziemnej w czasie okupacji i Zbrożyna Stefan, były prezydent Włocławka, a więc sami starzy i zasłużeni socjaliści, którzy w okręgach i w kraju zdobyli sobie duże zaufanie.

Komisja odrzuciła jednak nasze żądanie motywując to tym, że "uzasadnionemu strukturą społeczeństwa naszego zróżniczkowaniu programów społeczno-politycznych /.../ w całej pełni czynią zadość dzisiejsze stronnictwa PPR, PPS, SL, Str. Demokr., PSL i Stronnictwo Pracy". Równocześnie prasa rządowa i "demokr-atyczna" napadła na nas jako na "rozbijaczy i niedobitki WRN", nazywając naszą akcję "antyrobotniczą, reakcyjną, i pseudosocjalistyczną", a UB rozpoczął przeciwko podpisanym śledztwo o tworzenie "nielegalnej organizacji".

Byliśmy bezsilni. Nie chcąc iść na nowo pod ziemię - tym bardziej, że wszystkie dawno organizacje niezalegalizowane na nowo obnośny dekret rządowy uznał za "nielegalne" - i nie mogąc się zgodzić, by nas wyeliminowano z politycznego życia Polski, rozpoczęliśmy nowe pertraktacje przede wszystkim co do ustalenia naszej własnej politycznej pozycji. W osobistej rozmowie z tow. Szwalbe, który powtórzył mi swą radę, bym "wstąpił do organizacji", zwróciłem uwagę, że jednak pomiędzy mną a oficjalną PPS istnieją głębokie różnice: 1. co do pojmowania demokracji, 2. co do sposobu stosowania wolności prasy i słowa, 3. co do potrzeby budowania militaryzmu, 4. co do postępowania wobec pokonanych Niemców, 5. co do celowości "bloku wyborczego", który właśnie został wysunięty, by ominąć przyrzeczenie przeprowadzenia swobodnych wyborów. Tow. Szwalbe odpowiedział mi, że o te moje odrębne poglądy będę mógł walczyć wewnątrz partii, zapewniając, że jako socjalista pomieszczę się jednak zupełnie dobrze w obrębie obecnej PPS.

Po wymianie korespondencji na ten temat ustaliliśmy nowe warunki wzajemnej współpracy. Tow. Szwalbe pisemnie zagwarantował mi osobiście, że "wszyscy dawni członkowie PPS nie będą pociągani do odpowiedzialności za dotychczasową działalność polityczną z uwagi na ogłoszoną ustawę o amnestji", że "wszyscy będą przyjęci do poszczególnych organizacji terenowych przez komitety miejscowe", że "wszyscy będą korzystać /.../ na równi z ogółem członków PPS z prawa wyrażania swych poglądów i nikt nie będzie z tego powodu bojkotowany pod żadnym względem", a "przy kandydowaniu na stanowiska w partii i poza partią rozstrzygać będzie tylko rzetelność w pracy dla PPS i dla socjalizmu" i że wreszcie "partia nie stanie się zamkniętym zakonem krępującym swobodę myślenia".

Poza tym CKW zawiadomił mnie o uchwale powziętej dnia 19 grudnia, że na najbliższym posiedzeniu Rady Naczelnej postawi wniosek o kooptowanie do Rady 11 towarzyszy, jednego do Komisji Rewizyjnej i jednego do Sądu Partyjnego, wymienionych z imienia i nazwiska. W odpowiedzi na to wystosowałem więc publicznie do wszystkich towarzyszy następujące wezwanie:

"Największym dobrem klasy robotniczej to z jednej strony jej wolność - wolność walki przeciwko każdej krzywdzie, wyzyskowi i niewoli, a z drugiej - jej siła, którą zdobyć można przez jedność i solidarność.

Przez pół niemal wieku walczyłem też o tę wolność i przez pół niemal wieku łączyłem robotników w solidarne szeregi, starając się usuwać wśród nich wszystko co ich mogło dzielić.

Robiłem to w czasie zaborów, robiłem to przez dwadzieścia lat w niepodległej Polsce, w czasie okupacji starałem się znaleźć wspólny język wśród poważnionych szeregów socjalistycznych, a dzisiaj, natychmiast po usunięciu Niemców i oswobodzeniu kraju przez Armię Czerwoną podjąłem starania by je na nowo zjednoczyć. Gdy zaś pod tym względem natknąłem się na przeszkody, nawet projektując założenie odrębnej PPSD podkreśliłem wyraźnie, że 'nie ustaniemy w wysiłkach, by jedność ruchu socjalistycznego stała się rzeczywistością'.

Stoimy razem na stanowisku popierania Rządu Jedności Narodowej w kierunku wszystkich jego wysiłków, zmierzających do odbudowy kraju i przebudowy ustroju. Stoimy na stanowisku współpracy ze wszystkimi miłującymi pokój narodami. Stoimy na stanowisku sojuszu i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i potępiamy politykę tych kół emigracyjnych i krajowych, mieniących się nieraz nawet socjalistycznymi, które utrudniają normalizację warunków w kraju i ugruntowanie przyjaznych, sojuszniczych stosunków z ZSRR.

Zgodnie z tym, gdy otrzymałem od kierowników obecnej PPS ponowne zapewnienie, że nie ma żadnych przeszkód, byśmy wszyscy zgodnie stanęli do współpracy o wspólne ideały, że wszyscy dawni członkowie PPS uznający powyższe zasady będą przyjęci do Partii z otwartymi ramionami i będą w niej korzystać z wewnętrznej demokracji, mogąc wyrażać swoje poglądy w obrębie ustalonego programu i uchwał obowiązujących w Partii, oraz że wszyscy znajdą możność wpływania na jej uchwały i jej działalność - wzywam Was wszystkich, którzy obdarzyliście mnie swoim zaufaniem, byście wstąpili do szeregów jednolitej PPS i byście tam razem walczyli o Wolną, Niepodległą, Demokratyczną Polskę i o Socjalizm".

Wezwanie to wystosowałem za zgodą wszystkich, którzy swojego czasu projektowali założenie PPSD.

Równocześnie dr Drobner urządził w Krakowie pod pozorem uczczenia 53-ej rocznicy istnienia PPS uroczyste zebranie, na którym po raz pierwszy od dziesięciu lat przemawiałem publicznie. Gdy ukazałem się na trybunie zebrani urządzili mi gorącą owację.

W międzyczasie przeprowadziliśmy się z żoną z Myślenic na powrót do Krakowa, przyznano mi stałe zaopatrzenie z Funduszu Zasłużonych, a zaraz potem przyjechał Rafał, którego witaliśmy z największym rozczuleniem. Wrócił zdrów fizycznie i moralnie i opowiadał o swych strasznych przeżyciach w obozach koncentracyjnych - w Oświęcimiu, w Buchenwaldzie i w Dachau.

W tym czasie również odwiedził mnie niespodziewanie ambasador angielski p. Cavendish-Bentinck, a potem ambasador amerykański p. Blitz-Lane w towarzystwie miłego Polaka Thommescka, którego poznałem jeszcze w czasie swego pobytu w Moskwie. Z tymi obu przedstawicielami zachodniej demokracji łączył mnie wspólny pogląd na demokrację, toteż starałem się utrzymać z nimi najlepsze stosunki. Obaj narzekali na niewykonanie zobowiązań przyjętych w Moskwie i Poczdamie i obaj utyskiwali na niesłychane skrępowanie w Polsce wolności prasy i słowa.

W tych warunkach Rząd z jednej strony, by ominąć swe zobowiązania wyborcze, wysunął myśl "bloku wyborczego" wszystkich uznanych sześciu stronnictw, co w gruncie rzeczy byłoby unicestwieniem wyborów, a z drugiej zarządził ogólne referendum co do tez, które sam samowolnie poprzednio już rozwiązał, dusząc równocześnie bez litości wśród pięknych frazesów o demokracji wolność słowa, sumienia i swobodnej koalicji.

Na tym tle rozpoczęła się też na nowo coraz ostrzejsza walka z całym społeczeństwem, a zwłaszcza z Polskim Stronnictwem Ludowym. Nie bacząc, że jest ono jednym z podstawowych członów Rządu Jedności Narodowej, UB lub "niewyśledzeni sprawcy" napadali na jego przedstawicieli i działaczy, konfiskowano jego prasę oraz aresztowano i terroryzowano dzielniejszych chłopów PSL, by w ten sposób "zgodziło się na utrwalenie rządów demokracji - jak przyznał to otwarcie w prasie p. Szwalbe - tak, jak my to pojmujemy". Naturalnie te metody musiały wywołać - jak powiedziałem przed rokiem w rozmowie z prezydentem Bierutem - jedynie coraz większy opór, coraz większe trudności rządzenia, coraz większą niechęć w kraju i coraz silniejsze oparcie się o Sowiety. Stojąc już w szeregach Partii zwracałem wtedy uwagę na te konsekwencje na walnym zgromadzeniu członków PPS w Krakowie, po którym wybrano mnie przewodniczącym Komitetu Miejskiego, na Zjeździe wojewódzkim, który był wielkim tryumfem dawnej ideologii PPS i wreszcie - jako gość na Radzie Naczelnej. W tym duchu napisałem też cały szereg artykułów - o WRN, o Bloku wyborczym, o jednolitym froncie i antysemityźmie, które jednak nie zobaczyły nigdy światła dziennego, skonfiskowane albo przez cenzora, albo przez władze partyjne - do tego stopnia, że skonfiskowano nawet moją dawną "Refleksję" o demokracji drukowaną jeszcze w roku 1937.

Pomimo utworzenia Rządu Jedności Narodowej po państwie szerzył się coraz większy ucisk i coraz większy chaos. Premier nazywał publicznie wicepremiera "zbrodniarzem", a obok ministrów rządzili przedstawiciele Partii: PPR i PPS, którzy deklamując oficjalnie o jednolitym froncie toczyli między sobą dziką walkę o wpływy i władzę. Sztukę rządzenia widziano jedynie w coraz silniejszym

rozbudowaniu systemu policyjnego - do tego stopnia, że często trzecią część każdej załogi fabrycznej wtłaczano do "ochotniczej milicji" - i by zdusić odruchy akademickiej młodzieży nie wstydzono się projektować dla niej osobnego obozu koncentracyjnego. Przy tym systemie panoszyła się też coraz większa protekcja, coraz większe przywileje dla ustosunkowanych, dzika pogoń za zyskiem i szaber. Zatracało się coraz bardziej poszanowanie prawa zarówno u urzędników jak i u ludności i rosły przeraźliwie gwałty i areszty, a na drogach powstawały oddziały "leśne" złożone trochę z naiwnych romantyków, trochę z awanturników, a trochę ze zbrodniczych elementów, stając się coraz większą plagą dla całego państwa.

Równocześnie zaś jego suwerenność stawała się też coraz większą fikcją. W obchodzie 3 Maja 1946 roku w Krakowie - by zdusić pokojową demonstrację - wystąpił oddział wojskowy pod komendą sowieckiego oficera; o tym, co wolno drukować decydował p. Lebiediew; o kwestiach przemysłu zbrojeniowego rozstrzygała władza sowiecka; wojsko polskie przepojone zostało elementem obcym; banknoty drukowano w Moskwie - niemal bez żadnej kontroli, a rząd polski razem z głową państwa i przedstawiciele Partii jeździli do Stalina, by tam otrzymać od niego zlecenia czy "rady". Naturalnie mimo powszechnego uznania, że oba narody powinny żyć w przyjaźni wywoływało to coraz większą niechęć do Sowietów. Nie rozumiano bowiem w Moskwie, że szczerą przyjaźń narodów czy ludzi można utrzymać tylko przez równość ich praw i wolność mówienia co myślą o sobie i jakie mają wobec siebie wzajemne pretensje.

W tych warunkach przeprowadzone dnia 30 czerwca "referendum", którym chciano zastąpić wybory, wykazało też jeszcze raz, że tymi metodami społeczeństwa pozyskać nie można - tak, że po stronie rządu stanęło nie więcej jak 15 procent. Referendum okazało jednak również, że rząd nie cofnie się przed niczym, by utrzymać swą władzę. Klęskę swą pokrył on też fikcyjnymi danymi, jakoby spośród przeszło jedenastu milionów głosujących na pierwsze pytanie co do "senatu" - głosów "tak" padło przeszło siedem milionów; na drugie - co do przeprowadzonych reform - około dziewięciu milionów, a na trzecie - co do granic zachodnich - dziesięć i pół miliona, zupełnie tak jak podał mi w procentach w prywatnej rozmowie jeszcze przed głosowaniem p. prezes Mikołajczyk. Nie udała się ta mistyfikacja jedynie w Krakowie, bo komisja sprzeciwiła się wszelkim poprawkom - tak, że tylko Kraków wykazał istotny wynik referendum: dwanaście procent głosów za rządem, choć wszyscy wiedzieli, że w ten sam sposób głosował również Górny Śląsk i Zagłębie, Białystok, Poznań, Tarnów, Nowy Sącz, a były wsie, gdzie głosu "tak" nie było ani jednego jedynego.

Powoli z "Moskwy", po której rokowałem sobie przed rokiem największe nadzieje, pozostały już tylko strzępy i Polska powracała znów do "Lublina". Wraz z tym unicestwiono też wszystkie nasze dawne gwarancje grudniowe, dążąc nie do zjednoczenia wszystkich socjalistycznych szeregów, lecz do "jednolitego frontu" z komunistami, a potem do zjednoczenia się z nimi w jedną komunistyczną partię. Nie przyjmowano do partii dawnych przedwojennych jej członków; mimo amnestii cały szereg socjalistów siedział nadal w kryminałach za dawną polityczną działalność; nie dawano nam żadnej możności szerzenia naszych własnych poglądów; nie wolno nam było pisać co myślimy; starych pepeesowców bojkotowano, bo to "Żuławszczycy" - tak, że wśród blisko trzydziestu nowych członków dokooptowanych do KRN nie znalazło się dla nich ani jedno miejsce. Na Zjeździe uczestników walki zbrojnej o niepodległość w nieprzyzwoity sposób odznaczano ludzi tytułami wojskowymi i odznaczeniami zależnie nie od ich pracy, poświęcenia i odwagi, lecz od ich lojalności do ich władz partyjnych.

A wreszcie wbrew zobowiązaniom CKW - zamiast wymienionych trzynastu towarzyszy - chciano kooptować do Rady Naczelnej tylko sześciu. Zaprotestowałem przeciwko temu wiarołomstwu, lecz mój protest starano się zdusić milczeniem. W ten sposób nasze przystąpienie do wspólnej partii chciano zrobić nie aktem współpracy, lecz aktem wykorzystania mojej osoby i moich osobistych wpływów, które zdobyłem w walce o wolność człowieka.

Toteż w tych warunkach stawało przede mną coraz bardziej zagadnienie: Czy wolno mi iść nadal z partią, z którą nie miałem nic wspólnego oprócz nazwy

i która coraz bardziej szła w kierunku nacjonalizmu, militaryzmu i totalizmu, co zwalczałem przez całe swoje życie. Podczas gdy ja byłem przepojony do głębi ideą międzynarodowej solidarności, obecna PPS propagowała rasizm słowiański. Podczas gdy ja nie miałem żadnych zastrzeżeń do Niemców, prócz tego jednego, że dali się opanować zbrodniczej idei totalizmu, nowi socjaliści zionęli nienawiścią do nich i propagowali "demokrację" nie różniącą się w niczym od hitlerowskiego totalizmu. Podczas gdy ja byłem przeciwnikiem wszelkiego egoizmu narodowego, ani chcieli pokonanemu narodowi narzucić warunki, w których musi zginąć. I kiedy oni budowali nową rzeczywistość, nie mogłem pogodzić się z projektami nowej Europy, w której Niemcy - dusząc się w ilości dwustu ludzi na jednym kilometrze kwadratowym - z konieczności muszą stać się zarzewiem ustawicznych walk i rozsadnikiem fermentu. Podczas wreszcie gdy ja byłem zasadniczym wrogiem każdej przemocy, militaryzmu i wojska, oni apoteozowali teraz armię, żołnierzy, "ich nieśmiertelną sławę", "opromieniającą czoła bohaterów" - tylko niegdyś "znad Stochodu", "spod Warszawy" a teraz"spod Odry i Sprewy". Apoteozowali ich "historyczne zwycięstwa"w ciężkich bojach, odnoszone niegdyś "przeciwko nawale hord bolszewickich", a dziś "ramię przy ramieniu wielkiej Armii Czerwonej" przeciwko gniazdu niemieckiego faszyzmu. I tak, jak niegdyś składano hołdy wobec marsz. Piłsudskiego i Smigłego, tak dziś składano je wobec marsz. Roli Zymirskiego.

Skonstatowawszy te różnice między nami w piśmie do Rady Naczelnej i nie otrzymawszy od niej żadnej odpowiedzi, nie miałem też innego wyjścia, jak tylko po nieudanej próbie z tej partii wystąpić. Musiałem to zrobić zwłaszcza, że równocześnie zawarła ona umowę współpracy z PPR - taką, która przekreślała faktycznie samodzielność PPS i która miała być przygotowaniem jej likwidacji.

Zrobiłem to dnia 14 listopada przez wystosowanie listu do dr Drobnera jako przewodniczącego wojewódzkiego Komitetu w Krakowie, gdy pisemnie zakazał on mi uczestniczenia w posiedzeniach Komitetu mimo, że byłem ich członkiem i - wbrew przyjętym warunkom - dyskutowania na nich nad kwestią demokracji, a równocześnie zawiadomiłem o tym p. Szwalbego jako przewodniczącego Rady Naczelnej.

Mając w ten sposób na nowo rozwiązane ręce starałem się teraz z jednej strony pisać i szerzyć swe własne poglądy na socjalizm i na sytuację, czego w partii mi nie pozwolono, a z drugiej - przygotowywałem się do wyborów, których ze względu na zagranicę nie można już było odroczyć. W artykułach, które posyłałem do "Gazety Ludowej" i " do Piasta", wytykałem nowy "instrumentalizm", którym usprawiedliwiano ohydną jezuicką zasadę: cel uświęca środki; tłumaczyłem, że zły i niebezpieczny jest nie tylko "faszyzm" , lecz każdy totalizm; uzasadniałem dlaczego wystąpiłem z partii; potępiałem obecny egoizm partii robotniczych,które apoteozowały tylko siłę i młodość, nie licząc się zupełnie z tymi, którzy już spełnili swój obowiązek pracy; porównywałem rząd mniejszości powstały w Lublinie z Rządem Jedności Narodowej utworzonym w Moskwie jako nieudana próba oparcia się o większość społeczeństwa; pisałem, że jeśli ktoś naprawdę chce praworządności i położenia kresu walce podziemnej w Polsce, powinien przede wszystkim uszanować prawo, a wreszcie wystąpiłem bardzo ostro przeciwko wszelkim tendencjom nacjonalistycznym i rasistowskim bez względu na to,czy oparte są na nienawiści do Żydów, czy na apoteozowaniu rasy słowiańskiej. Wszystkie te artykuły zostały jednak albo skonfiskowane, albo wykastrowane tak, że trudno je było poznać - i dopiero odczytałem je w całości w prasie zagranicznej. Równocześnie za ś porozumiewałem się z całym szeregiem towarzyszy - przede wszystkim z tymi, którzy swego czasu podpisali podanie o założenie PPSD - by przy nadchodzących wyborach wysunąć niezależne kandydatury w Warszawie, w Krakowie, w Łodzi, w Radomiu, w Chrzanowskiem, w Zagłębiu i na Górnym Śląsku. Niestety ci projektowano kandydaci woleli jednak zapewnić sobie pewne miejsca na listach "Bloku", nie bacząc na swe przekonania i na wstyd, niż walczyć - oprócz jednego jedynego tow. Zdanowskiego,który swój wielki charakter i odwagę przypłacił tym, że go najprzód pozbawiono praw wybieralności, szkalowano niegodnie, że "współpracował z Niemcami", a potem zaaresztowano i niemal zabito.

Wybory, co do których rząd uroczyście zobowiązał się w Moskwie i Poczdamie, że będą "swobodne", nie tylko nie były swobodne, lecz w ogóle to nie były wybory,

ale zorganizowana przemoc nad wyborami, jak powiedziałem w Sejmie. Blok odniósł też "wspaniałe zwycięstwo" nad ludnością i otrzymał 416 mandatów, podczas gdy opozycja mająca za sobą conajmniej osiemdziesiąt procent wyborców otrzymała 28 posłów, wśród których znalazłem się i ja.

Po wszystkich ceremoniach ukonstytuowania się Sejmu po wyborze nowego prezydenta i po expose nowego premiera, którym został teraz Józef Cyrankiewicz - po 12 latach stanąłem na trybunie sejmowej. Porównałem przede wszystkim obecne rządy z rządami sanacyjnymi i określiłem przebieg wyborów przyznając, że rzeczywiście "zwyciężyli" ... Zwyciężył jednak i Piłsudski w roku 1930 i płk Sławek w roku 1935, gdy oszukańczo narzucił narodowi nową konstytucję - i tak, jak oni urządzali "uroczystości swego zwycięstwa". Przedstawiłem następnie niesłychane skrępowanie wolności słowa i prasy i zapowiedziałem, że w tych warunkach wszystko, co "mówią i deklarują, nie ma dla mnie ani społeczeństwa żadnego znaczenia tak długo, dopóki nie pozwolą na swobodną dyskusję i na wolność słowa. /.../ Wasze argumenty - mówiłem - są zawsze nieodparte, ale tylko dlatego, że ich nie wolno odpierać/.../ To jest jak rozmowa z gramofonem lub radiem". Skończyłem słowami Daszyńskiego: "nie wiem, jak długo mi jeszcze żyć wypadnie, ale póki będę żył, będę siekł /.../ oszustów i gwałcicieli wyborczych, karierowiczów, pasożytów, waletów, co się dorwali do władzy /.../ z rozpaczą ogromnej większości pracującego ludu w Polsce".

Wbrew prawu, wbrew konstytucji i regulaminowi obrad marszałek czy dyrektor Urzędu Kontroli Prasy skreślił jednak cały szereg zdań, które wypowiedziałem w Sejmie. Mimo to przemówienie moje wywołało wielkie wrażenie i poruszyło całą opinię publiczną. Z całego niemal kraju otrzymałem też masę listów z uznaniem i podziękowaniem, że poruszyłem to, co czuje prawie całe społeczeństwo.

Taką samą walką w obronie demokracji była również moja książka "Bogactwo, Wolność i Moralność", którą wreszcie zdołałem wydać, jakkolwiek nie bez dotkliwych okaleczeń cenzury. Przeprowadzałem w niej tezę, że o "sprawiedliwości społecznej" i o wolności decydują przede wszystkim nie stosunki własnościowe, lecz stopień równości praw człowieka. Książka ta, której - niestety - nie wolno mi było ani reklamować, ani o niej pisać, rozeszła się jednak mimo to bardzo szybko, ale nie pojawiła się o niej nigdy żadna recenzja. Jedyną recenzję o niej dostałem w nielegalnym paryskim "Swietle". Recensent I.M. podnosząc, że jakkolwiek nie może się zgodzić ze wszystkimi moimi tezami, to jednak uważa, że "książka Zygmunta Żuławskiego przynosi wiele cennych myśli i daje klucz do zrozumienia zasadniczych problemów ekonomicznych i polityczno-społecznych/.../". "Koncepcja, jaką nam przedstawił autor, jest koncepcją pełną, oryginalną i przekonywującą /.../ toteż zasługuje na poważną dyskusję naukową". Niestety - nowa "demokracja ludowa" nie tylko nie chciała nad nią "naukowo" dyskutować, lecz w ogóle starała się ją za wszelką cenę przemilczeć i ukryć.

Te nowe metody wprowadzenia wolności nie mogły zadowolić ani polskiej ludności, która chciała prawdziwej demokracji opartej o równość praw i wolność, ani mocarstw, które w Jałcie i w Moskwie wzięły na siebie pewnego rodzaju gwarancję, że warunek połączenia obu rządów polskich: londyńskiego i lubelskiego - swobodne wybory - zostanie faktycznie spełniony. Niedotrzymanie go musiało wywoływać coraz ostrzejsze konflikty rządu to z ambasadorami: angielskim i Stanów Zjednoczonych, którzy wreszcie musieli ustąpić, to z tymi, którzy śmieli się wobec nich uskarżać. Rząd polski - zapomniawszy o swych zobowiązaniach wobec "obcych mocarstw" - każde przypomnienie o nich uważał za akt "szpiegostwa", za naruszenie suwerenności polskiej, którą faktycznie naruszały jedynie Sowiety, i za "podżeganie do wojny" - zupełnie jak robił to swego czasu Hitler.

Starałem się przeciwko tym stosunkom protestować na najbliższej sesji sejmowej. Kiedy jednak zacząłem mówić o nowym polskim militaryzmie wykazując, że jest on dziś większy niż za czasów sanacji, o gwałtach UB, o ohydnych procesach i potwornych karach oraz o skrępowaniu wolności słowa - "demokratyczna" większość chciała zagłuszyć moje słowa dzikimi krzykami i śpiewaniem pieśni, które nieraz śpiewali w Sejmie senatorzy. A potem skonfiskował cenzor czy marszałek wszystko niemal, co było dla reżimu niewygodne - zwłaszcza to, co mówiłem o nowej "sprawiedliwości społecznej" i o tym, jak ją oceniają sami robot-

nicy. Toteż jeśli potem w Genewie na międzynarodowej konferencji wolności prasy, pan generał Grosz miał odwagę mówić o wolności prasy i słowa w Polsce, to chyba na kpiny - wiedząc, że rząd potrafi zdusić nawet wieść o istotnych tam stosunkach.

Coraz więcej zarysowywały się dwa światy, jak przed wojną: świat demokracji i wolności człowieka i świat totalizmu, który dziś reprezentował komunizm, jednoczący siłą cały naród - i chłopów i robotników w jednolity front.

Zdając sobie sprawę, że agitację za nim ułatwia powojenne zniszczenie i nędza, Stany Zjednoczone wysunęły plan międzynarodowej pomocy ludom Europy, tzw. Plan Marshalla. Rozumiały to jednak również i Sowiety, toteż wystąpiły przeciwko niemu całą siłą. Kto był za planem Marshalla, to był reakcjonista, wróg, imperialista i podżegacz do wojny. A ponieważ odbudowująca się Międzynarodówka socjalistyczna była za nimi, Sowiety wznieciły przeciwko socjalistom dziką walkę, którą w międzynarodowej skali prowadzić miał teraz "Kominform", Biuro Informacyjne skupiające dziewięć partii komunistycznych - łącznie z Polską PPR obłudnie wypierającą się stale swego komunizmu.

Po całej Europie rozpoczęła się na nowo walka i nagonka na "Reakcjonistów" i "faszystów" - tylko nie nazywanych już teraz "socjalpatriotami", jak to było przed wojną. W Polsce - mimo "amnestii" z roku 1945 i mimo uroczystej deklaracji Sejmu o wolnościach obywatelskich - każdy, kto nie należał do Bloku, kto nie zgadzał się z rządem i ze Stalinem, był uważany za wroga, którego trzeba zniszczyć. Posypały się więc areszty i ohydne procesy - to przeciwko narodowcom, to przeciw członkom PSL, to przeciw dawnym socjalistom - kończące się zazwyczaj wyrokami śmierci lub długoletniego więzienia.

Po procesie przeciw ludowcom, w którym starano się koniecznie ustalić jakąś winę prezesa Mikołajczyka, by go oskarżyć i skazać, on ostrzeżony na czas uratował się ucieczką. Aresztowano jednak cały szereg członków dawnych PPS, między innymi tow. Pużaka - mimo, że go już raz "ułaskawiono" z sowieckiego więzienia. Chociaż nigdy nie mogłem się zgodzić z jego polityką i zwalczałem go często, uznanie tego człowieka przepojonego głęboko ideą walki o wolność i socjalizm, dla której umiał ponieść ciężką ofiarę dziesięciu lat swego życia, za "szkodliwego reakcjonistę" - było zwykłą zbrodnią. Błędem tow. Pużaka było tylko to, że jak Piłsudski i dawni socjaliści rosyjscy był człowiekiem Wschodu, że nigdy nie rozumiał demokracji i nie umiał się stosować do wyroków większości.

Ale w jeszcze mniejszym stopniu rozumiał to rząd "demokracji ludowej", który swą demokrację chciał wprowadzić siłą swojej armii i organizacją dwu zdyscyplinowanych przymusowych partii: chłopskiej i robotniczej, w której ani chłopi ani robotnicy nie mieli nic do powiedzenia. Tę jedność w obozie chłopskim komuniści osiągnęli też po ucieczce Mikołajczyka i po zdradzie Kiernika i Wycecha; w robotniczym zaś - po ohydnym procesie przeciwko starym PPS-owcom, po zlikwidowaniu PPS i stworzeniu jednolitej robotniczej partii marksistowskiej.

Niestety, nie byłem w stanie publicznie napiętnować w Sejmie tej ohydnej obłudy, gdyż na nowo zachorowałem ciężko na serce. Z boku patrzyłem więc tylko na te "triumfy" i na te nieprzyzwoite niemal walki o władzę - to ze strony Hochfelda, to Drobnera czy Szwalbego, którzy wszyscy razem stawali się już teraz tylko bezwolnymi manekinami wykonującymi wolę sowieckiej dyktatury.

W ten sposób - po bohaterskich walkach o wolność człowieka - PPS po przeszło półwiekowej swej działalności miała przestać istnieć, a pojęcie demokracji chciano ograniczyć do pustego dźwięku. Pan Cyrankiewicz doczekał się tego, że przez radio zagraniczne napiętnowano go, iż przez trzy lata przyczyniał się do stworzenia największej tragedii, jaka spadła na Polskę, a jego wystąpienia obrzucające błotem dawnych przyjaciół i towarzyszy nazwano "odrażającymi" i przewyższającymi służalczością wobec Moskwy służalczość Targowicy.

W Polsce chwilowo zapanował więc powszechnie komunistyczny totalizm.

A jednak - tak, jak przed kilkunastu laty w sporze z posłem Miedzińskim, który był też gorącym zwolennikiem totalistycznych nowinek i też uważał się za wyraz zwycięskiego postępu, zapowiedziałem, że jednak "wrócimy" - dziś znowu jestem pewny, że wrócić musimy, bo Polska "nie może trwać wiecznie oparta

o oszustwa, o podejścia, o ucisk i gwałt". Wrócić musimy, by "przynieść krajowi sprawiedliwość i wolność, bez których nie ma postępu". Jak napisałem jeszcze w roku 1938, w "Robotniku", w tej walce o wolność "Blaksy mogą zwyciężyć - w Niemczech, w Austrii, w Hiszpanii i we Włoszech /.../ a jednak koniec ich będzie zawsze jeden: bankructwo i klęski".

Dziś jestem też tego pewny, tylko boję się, że trzeba jeszcze dużo przelać krwi, by ludy przekonały się, że demokracja to nie "ginący świat", że trzeba jeszcze dużo zniszczenia i nieszczęść i hekatomb żyć ludzkich, by ludzkość zrozumiała wreszcie, że pojęcie dekomracji jest tylko jedno i wieczne - i by w tej wiecznej wędrówce duszy ludzkiej - Psyche - z ordynarnym, głupim Blaksem zwyciężyła Psyche.

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazały się:

Jerzy Andrzejewski	MIAZGA
Stanisław Barańczak	JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE
Władysław Bartoszewski	POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE 1939-1945 /Zeszyt TKN/
Władysław Bieńkowski	SOCJALIZM PO 60 LATACH
Jacek Bierezin	W POŁOWIE ŻYCIA
Kazimierz Brandys	NIERZECZYWISTOŚĆ
Josif Brodski	WIERSZE I POEMATY
Tomasz Burek	JAKIEJ HISTORII LITERATURY POTRZEBUJEMY /Zeszyt TKN/
Bohdan Cywiński	Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W POLSCE NIEPODLEGŁEJ /Zeszyt TKN/
Józef Czapski	WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE
Jerzy Ficowski	GRYPS
Władysław Gnomacki	TOW. SZMACIAK
Igor Gołomsztok	JĘZYK ARTYSTYCZNY W WARUNKACH TOTALITARNYCH
Witold Gombrowicz	WSPOMNIENIA POLSKIE
Gunter Grass	BLASZANY BĘBENEK
Marek Hłasko	ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA
Bogumil Hrabal	ZBYT GŁOŚNA SAMOTNOŚĆ
Paweł Jasienica	ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ
Zdzisław Jaskuła	DWA POEMATY
Wieniedikt Jerofiejew	MOSKWA - PIETUSZKI
Andrzej Kijowski	NIEDRUKOWANE
Tadeusz Konwicki	KOMPLEKS POLSKI /Zapis nr 3/
Tadeusz Konwicki	MAŁA APOKALIPSA /Zapis nr 10/
Sandor Kopacsi	TRZYNAŚCIE DNI NADZIEI - WĘGRY 1956
Tadeusz Kowalik	SPORY O USTRÓJ SPOŁECZNO-GOSPODARCZY POLSKI 1944-1948 /Zeszyt TKN/
Waldemar Kuczyński	PO WIELKIM SKOKU /Zeszyt TKN/
Jacek Kuroń	ZASADY IDEOWE, MYŚLI O PROGRAMIE, UWAGI O STRUKTURZE RUCHU
Antonin H. Liehm	NOWA UMOWA SPOŁECZNA
Osip Mandelsztam	PÓŹNE WIERSZE
Tomasz Masaryk	WYBÓR PISM /Zeszyt TKN/
Adam Michnik	CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW
Czesław Miłosz	TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MORALNY
Czesław Miłosz	KRÓL POPIEL I INNE WIERSZE
Czesław Miłosz	MIASTO BEZ IMIENIA
Czesław Miłosz	GDZIE SŁOŃCE WSCHODZI I KĘDY ZAPADA
Czesław Miłosz	ZNIEWOLONY UMYSŁ
Czesław Miłosz	ŚWIATŁO DZIENNE
Jan Nowak	KURIER Z WARSZAWY
George Orwell	FOLWARK ZWIERZĘCY
Maria Ossowska	O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI WALKI
Józef Piłsudski	BIBUŁA
Dominique de Roux	ROZMOWY Z GOMBROWICZEM
Julian Stryjkowski	WIELKI STRACH /Zapis nr 14/
Jan Strzelecki	ZAPISKI 1950-1953
Janusz Szpotański	UTWORY WYBRANE
Marek Tarniewski	POCHODZENIE SYSTEMU
Marek Tarniewski	DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ
Piotr Wierzbicki	CYRK
Piotr Wierzbicki	GNIDZI PARNAS
Kazimierz Wierzyński	CZARNY POLONEZ
Witold Wirpsza	POLAKU, KIM JESTEŚ?
Wiktor Woroszylski	JESTEŚ I INNE WIERSZE
Stefan Żeromski	NA PROBOSTWIE W WYSZKOWIE

ANTYSEMITYZM /wybór artykułów/
DWIE ROZMOWY - MOSKWA 1960 /stenogramy rozmów polsko-chińskich/
UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU
EUROKOMUNIZM /wybpr artykułów/
NOCNE ROZMOWY Z JOSEFEM SMRKOVSKIM
Z KSIĘGI ZAPISÓW GUKPPiW
ŚPIEWNIK DOMOWY I ULICZNY
ŚPIEWNIK WARCHOŁA
DOKUMENTY BEZPRAWIA /opracowanie KSS 'KOR'/
PAKTY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA
OPRACOWANIA ZESPOŁÓW PROBLEMOWYCH PPN
JĘZYK PROPAGANDY /kolokwium TKN/
KULTURA /wybór artykułów z rocznika 1978/
PRAWDA /wybór artykułów z moskiewskiej 'Prawdy' z września 1939/
RAPORT O STANIE RZECZPOSPOLITEJ /opracowanie DiP/
ZBRODNIA KATYŃSKA W ŚWIETLE DOKUMENTÓW
STOSUNKI SOWIECKO-NIEMIECKI /1939-1941/ - dokumenty MSZ III Rzeszy
OBYWATEL A SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA
ANEKS /wybór artykułów/

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ
ukazują się kwartalniki literackie ZAPIS i PULS
oraz Zeszyty TOWARZYSTWA KURSÓW NAUKOWYCH

Druk: Zakłady Graficzne NOWA
Warszawa, sierpień 1980
Dziewięćdziesiąta szósta pozycja wydawnicza NOWEJ

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA	pragnie przełamywać państwowy monopol wydawniczo-informacyjny.
NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA	nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego, chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym.
NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA	spełni swoje zadania, jeśli społeczeństwo udzieli jej poparcia; jej powodzenie zależy od dostarczanych nam tekstów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu sprzętu i materiałów poligraficznych, pomocy finansowej.

OD NAS SAMYCH

ZALEŻY LOS WOLNEGO SŁOWA W POLSCE!